



Hanna  
Urbankowska

*Noworoczne  
anioły*

  
Replika

# *Noworoczne anióły*



Hanna Urbankowska

*Noworoczne  
aniółki*

Copyright © Hanna Urbankowska

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Magdalena Kawka

Korekta

Joanna Pawłowska

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Skład i łamanie

Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2018

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-801-6

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

[replika@replika.eu](mailto:replika@replika.eu)

[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

*Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak ciężką mamy pracę. Szczególnie dzisiaj – nie mam tu na myśli dzisiejszego dnia, chociaż też był dość męczący, ale całą epokę. Gdyby wiedzieli, jak bardzo się staramy, może nie próbowaliby ze wszystkich sił utrudniać nam zadania...*

(Z dziennika Annaela, anioła stróża Anny)

*Szminki, szaliczki, szpileczki i książkowe romanse. Bardzo staram się zrozumieć moją podopieczną i pomóc jej, w miarę moich możliwości. Ten rok zapowiada się nie najlepiej, zwłaszcza że, wbrew temu, co niektórzy uważają, nie czytam w myślach... Ale powtarzam sobie, wytrwale: Niebo miało jakiś cel, przydzielając mi tę misję.*

(Z notatnika Matiela, anioła stróża Matyldy)

*...O, mój dobry Boże!*

(Z pamiętnika Zanaela, anioła stróża Zuzanny)

**ZIMA**

## ROZDZIAŁ 1

Gdy patrzyło się z góry, Warszawa przypominała labirynt światła. Krzyżujące się arterie ulic, jasno oświetlone wieżowce w centrum, szpalery latarni i okna, nieprzeliczone ilości okien. Był trzydziesty pierwszy grudnia i właśnie minęła dziewiąta wieczorem. Warunki do lotu – niestety umiarkowane. Mokry śnieg spadał z chmur, topniejąc jeszcze w powietrzu. Nie miał czasu dotrzeć do ziemi, chętnie za to osadzał się na skrzydłach. Poza tym trzeba było uważać na fajerwerki; od czasu do czasu niebo przecinały pojedyncze race, rozbłyskując i szybko gasnąc. Najwyraźniej warszawiacy nie mogli się już doczekać nowego roku, który na pewno będzie lepszy niż poprzedni.

W oświetlonym oknie na parterze bloku pojawiła się zgrabna dziewczęca postać. Ustawiała szklanki na ladzie pod oknem i zaczęła pospiesznie szykować drinki. Od strony przystanku autobusowego nadciągali już goście. Dwie młode kobiety szły pewnym krokiem, najwidoczniej dobrze znając trasę. Gdy dochodziły do końca ulicy, wydarzyła się pewna znacząca rzecz, która łatwo mogła umknąć ludzkiej uwadze. Wyższa z dziewczyn, blondynka balansująca na wysokich obcasach, poślizgnęła się na lodzie pod blokiem. W ostatnim momencie, i jakby wbrew zasadom fizyki, złapała równowagę i roześmiała się, maskując zażenowanie. Jej koleżanka, niższa i pulchniejsza brunetka, również zachichotała, zgodnie z oczekiwaniami nie zauważając w całej sytuacji niczego niezwykłego. Nacisnęła guzik domofonu i chwilę później gospodyni otworzyła im drzwi. Przyjaciółki przywitały się serdecznie, ściskając, komplementując i przerywając sobie w pół zdania, po czym przeszły do salonu, specjalnie na tę okazję udekorowanego dziesiątkami balonów.

Tymczasem, z czego żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, ktoś przyglądał im się uważnie, zaglądając do mieszkania od strony chłodnej sylwestrowej nocy, a dokładniej: przez balkonowe drzwi.



– W nowym roku zacznę nową pracę – ogłosiła Anka. Nie zdjęła szpilek i rozsiadła się na kanapie, przewieszając nogi przez poręcz, żeby nie uszkodzić obicia. Pomimo że jedynym zaproszonym na imprezę przedstawicielem męskiej płci był Raster, pies gospodyni, dziewczyna włożyła dużo wysiłku w skompletowanie stroju na ten wieczór. Czarna sukienka pasowała do czarnych butów, które dobrano specjalnie do skórzanej torebki, również kruczoczarnej. Monotonię koloru przełamывała intensywnie czerwona szminka. Krótkie blond włosy Anna zaczesła na bok i wzmocniła fryzurkę żelem, uzyskując efekt permanentnego wiatru, wiejącego z lewej strony.

– A co z twoją poprzednią robotą? – Matylda spojrzała na nią z zaciekawieniem, kołysząc lekko niemal pustą szklanką, na której dnie pływał plasterek limonki. Matylda uważała się za artystyczną duszę. Twórcze nastawienie do świata podkreślał wielki fioletowy szal narzucony na sukienkę i kilkanaście brzęczących bransoletek. Tak naprawdę więcej o charakterze dziewczyny mówiły trudne do ujarzżenia ciemne loki, ale Matylda nie przepadała za nimi, podobnie jak za swoją zaokrągloną sylwetką. Zuzanna, trzecia z przyjaciółek i jednocześnie gospodyni tej kameralnej imprezy, podsunęła jej nową szklankę. Miała powody do dumy: drinki były kolorowe, zaopatrzone w zakręcone słomki i małe parasolki. Mniej wysiłku Zuza włożyła we własny strój, decydując się na celebrowanie sylwestrowej nocy w legginsach i swetrze. Usiadła teraz na drugiej kanapie, opierając się o leżącego już na niej psa.

– To nie była inspirująca praca, czułam, że się nie rozwijam, sama podcinam sobie skrzydła. – Anka westchnęła teatralnie, nieświadomie cytując artykuł, przeczytany ostatnio w którymś z kobiecych pism.

– Szkoda – powiedziała Matylda. – Zwłaszcza że zapowiadało się ciekawie. Tyle mówiłaś o swoim przystojnym szefie...

– Co? A bo to mało przystojnych mężczyzn! – Anka machnęła ręką, znów nieco zaskakując Matyldę, która miała dobrą pamięć i nie zapomniła, że przy poprzedniej rozmowie wypracowały teorię, zgodnie z którą wszyscy przystojni mężczyźni zginęli podczas drugiej wojny światowej, co miało tłumaczyć obecny stan świata. Tymczasem Ania wyraźnie się spieszyła, żeby zmienić temat.

– Przynajmniej nie muszę spędzać sylwestra na eleganckiej imprezie z ludźmi z pracy – stwierdziła z przekonaniem. – Ostatni raz witałyśmy Nowy Rok we trójkę chyba w gimnazjum.

– W pierwszej klasie liceum – poprawiła ją Matylda. – Chociaż swoją drogą to dziwne, że nie ma z nami Adama.

Zuzanna drgnęła, jakby nagle wywołana do odpowiedzi. Poprawiła kosmyk włosów, który wysunął się z luźno upiętego koka.

– Och, Adam musiał wyjechać. Jego mama ma problemy ze zdrowiem, nagle jej się pogorszyło. – Westchnęła, z pewną ulgą wypowiadając na głos to, o czym

myślała przez cały wieczór.

– To fatalnie. – Anka zmarszczyła brwi. Obie z Matyldą kibicowały związkowi Zuzy i obie dzielnie starały się jej nie zazdrościć. Niektóre dziewczyny po prostu mają szczęście w miłości. Ich przyjaciółki niekoniecznie – zapewne wszechświat pozostaje dzięki temu w stanie równowagi.

– Powinien wrócić zaraz po Nowym Roku. – Zuzanna trochę się rozchmurzyła na myśl o przyjeździe Adama. – To ostatni sylwester, który spędzamy osobno...

– No nie mów! – Anka pisnęła, a Matylda momentalnie zerwała się z miejsca. Kolorowe bransoletki na jej nadgarstkach zabrzęczały, uderzając o siebie, podczas gdy dziewczyna wymachiwała rękami.

– Zrobił to! – Cieszyła się. – To dopiero nowina na początek nowego roku!

Zuza, już zupełnie rozpromieniona, podciągnęła przydługi rękaw swetra i wyciągnęła przed siebie rękę. Jej serdeczny palec ozdabiała cienka srebrna obrączka.

– Bardzo ładny – pochwaliła Matylda nieco mniej entuzjastycznym tonem, podczas gdy Anka uśmiechała się niezbyt szczerze. Nic dziwnego, że nie zauważyły go wcześniej. W ich wąskim gronie Adam nosił przydomek „księcia z bajki”. Banalny, to prawda, ale nigdy nie udało im się wymyślić niczego bardziej adekwatnego. Wybranek Zuzanny przywodził na myśl bohatera Disneyowskiej kreskówki: wysoki blondyn, szarmancki i opiekuńczy, a jakby tego było mało – również dobrze ustawiony. Według tego, co mówiła Zuza, Adam miał odziedziczyć rodzinną firmę produkującą pokrycia dachowe; papę, dachówki czy coś równie nieciekawego, niemniej – był to intratny biznes. Przyjaciółki Zuzy spodziewały się ujrzeć co najmniej ogromny brylant. Skromny pierścionek bez oczka mógłby ładnie wyglądać na palcu którejkolwiek z ich koleżanek i bez wątpienia dla każdej z nich stanowiłby spełnienie dziewczęcych marzeń, ale jako dowód miłości Adama był po prostu nie na miejscu.

– Chcemy zamówić bardzo eleganckie obrączki – wyjaśniającym tonem powiedziała Zuza, domyślając się, że jej pierścionek nie zrobił właściwego wrażenia. – Zdecydowaliśmy się na białe złoto... No i nadal zastanawiam się nad wyborem sukienki, muszę się chyba pospieszyć, ślub już za kilka miesięcy, w maju...

Rozmarzona, sięgnęła po jeden z leżących na stole katalogów ślubnych i wszyscy, nie wyłączając psa, pochylili się nad kolorowymi zdjęciami.

Zostało zaledwie kilka minut starego roku, kiedy przyjaciółki wyszły na balkon. Żadnej z nich nie chciało się zakładać płaszcza, ale rozentuzjasmowane nie czuły chłodu.

– Nasze postanowienia, szybko! – Matylda pierwsza poruszyła tradycyjny

noworoczny temat. – W tym roku traktujemy je poważnie – zaznaczyła tonem niepozostawiającym żadnych wątpliwości. Jej słowa spotkały się z gorącą aprobatą.

– Nowa, lepsza praca – rzuciła Anka bez większego namysłu, a Matylda i Zuza spojrzwały na nią z podziwem. Ich przyjaciółka urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą i kolekcjonowała życiowe zwycięstwa tak jak normalni ludzie kolekcjonują figurki z porcelany albo pocztówki. Świadoma ich spojrzeń, Anna prędko odwróciła się do Zuzanny:

– Wszyscy już się domyślają, co powiesz, ale...

– Najcudowniejsze wesele pod słońcem. – Zuzanna potwierdziła ich przypuszczenia, po czym bardzo dziewczęco się zaczerwieniła i dodała cichym głosem: – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę spędzimy resztę życia we dwoje.

– Jak w mojej powieści! – wykrzyknęła Matylda. – No właśnie, bo jeszcze nie wiecie, jakie jest moje postanowienie...

Przyjaciółki spojrzwały na nią bez zrozumienia.

– Tak, w tym roku wydam wreszcie moją książkę! – dokończyła dziewczyna. Rozejrzała się wokół, czekając na aplauz. Jednak ta deklaracja nie spotkała się z oczekiwanym entuzjazmem.

– Um... to świetnie – rzuciła Zuza. – Ale już ją chyba wysyłałaś...

– Do wszystkich wydawców w tym kraju – dokończyła bezlitośnie Anka. – Wiem, bo pomagałam ci adresować koperty kiedy byliśmy na pierwszym roku studiów.

– Poprawiłam ją.

– Na trzecim roku – uściśliła Zuzanna. – Pamiętam, wtedy ja chodziłam z tobą na pocztę.

– Słuchajcie, wiem, że dotychczas wszyscy ją odrzucili! – Matylda mówiła nieco za głośno. – Ale to historia prawdziwej miłości. Włożyłam w nią całą duszę. Nawet ty – spojrzła na Zuzę – musiałaś przyznać, że mój bohater jest bezkonkurencyjny.

– Był tak niezmierny, że aż przybył z kosmosu. – Anka nawet nie starała się ukryć rozbawienia.

– Z rzeczywistości równoległej – sprostowała Matylda, urażona. – To literacki symbol przenikania się światów, kobiecej i męskiej energii...

– Za spełnienie naszych marzeń! – Zuzanna przerwała jej w pół słowa, usiłując ratować sytuację. Bądź co bądź, nie wolno deptać cudzych marzeń, zwłaszcza w sylwestra. Dobrze wyczuła moment; w tej właśnie chwili wybiła północ i niebo rozświetliły pióropusze wielobarwnych świateł. Wtórowało im dzikie szczekanie psów i radosne okrzyki imprezowiczów z całego osiedla. Przyjaciółki zapatrzyły się na niebo. Nawet Matylda zapomniała na chwilę o swojej powieści z włożoną do środka całą duszą. Anna uśmiechała się promiennie, zupełnie jakby wszystkie fajerwerki wystrzelono na jej cześć, a Zuzanna śledziła

pokaz sztucznych ogni z rozmarzonym wyrazem twarzy. Dopiero po chwili przypomniała sobie o psie i pomknęła do salonu, żeby sprawdzić, czy Raster nie potrzebuje psychicznego wsparcia. Po drodze rzuciła okiem na milczący telefon komórkowy i wyraźnie posmutniała.

Dopiero gdy fajerwerki na dobre ucichły, Zuza wróciła na balkon razem z psem. Matylda i Anka, serdecznie objęte, przekomarzały się na temat powieści. Raster przez chwilę kręcił się im pod nogami, parę razy szczechnął i zaczął energicznie merdać ogonem, jakby się z kimś witał. Jednak kobiety odczuły w końcu chłód sylwestrowej nocy, więc ociągając się tylko trochę, wrócił za nimi do mieszkania. Na balkonie, z czego przyjaciółki nie zdawały sobie sprawy, choć dla psa było to zupełnie oczywiste, ktoś został. Właściwie to było ich trzech, wszyscy trzej – niewidzialni i ogromnie zafrasowani.

– Nie będzie łatwo, chłopaki. – Matiel odezwał się pierwszy, przerywając niezręczną ciszę. Spojrzał na pozostałą dwójkę. Annael z nieokreślonym wyrazem twarzy udawał, że nadal obserwuje niebo, na którym zgasły już fajerwerki. Zanael odwzajemnił jego spojrzenie, ale miał taką minę, jakby chciał schować głowę w skrzydłach.

– Matylda tak bardzo marzy o tej książce... – westchnął Matiel. – Może gdyby...

– Tu i dobry Boże nie pomoże – przerwał mu Annael. – Przyznaj wreszcie, że twojej podopiecznej poskąpiono pisarskiego talentu. Od lat prześladujesz jej potencjalnych wydawców.

– Są teraz dużo lepszymi ludźmi – bąknął Matiel. – Udało mi się wlać w ich dusze wiele przychylności dla debutantów i miłosierdzie, morze miłosierdzia, poruszyłem najbardziej stwardniałe sumienia, niektórzy zaczęli sami odpisywać pisarzom na maile i listy...

– Wydali w rezultacie dużo niepotrzebnego chłamu – wypomniał mu Annael. – Ale nadal nie chcą książki Matyldy.

– Ale nie jesteśmy od spełniania życzeń, prawda? – odezwał się wreszcie Zanael. – Zostaliśmy wybrani, aby być przewodnikami. A powierzone nam dusze powinny zakończyć przyszły rok... odrobinę mądrzejsze. Rozumiecie, myślę o życiowym doświadczeniu, o hierarchii wartości...

– Ale też szczęśliwsze – dorzucił Matiel.

– Mądrzejsze czy szczęśliwsze, na jedno wychodzi – podsumował Annael. To naprawdę dobrze zabrzmiało. Przez chwilę cała trójka milczała. Wiatr mierzwił białe pióra skrzydeł, a śnieg znów zaczął nieśmiało padać, osiadał na aureolach i natychmiast topniał od ich blasku. Matiel poruszył gołymi palcami stopy.

– W tym roku nie poradziliśmy sobie najlepiej – Annael pierwszy wypowiedział na głos to, o czym wszyscy trzej myśleli. – Zuzanna na okrągło

mówi tylko o ślubie, Matylda ubzdurzyła sobie, że jest pisarką...

– Za to Anna wyrosła na egoistkę, której wszystko się udaje, zawsze jakimś cudem – wytknął mu Zanael, urażony. – Co w tym złego, że dziewczęta marzą o ślubach?

Matiel wydał z siebie znaczące chrząknięcie.

– Nie sądzisz, że byłoby lepiej...

– Negocjuję z aniołem stróżem Adama – przerwał gwałtownie Zanael. – Ma go dopilnować. Adam będzie jeszcze dobrym mężem dla Zuzanny. Więcej wiary!

Annael jednak pokręcił głową.

– Brakuje ci dystansu – zauważył. – Czy nie powiedziałeś przed chwilą, że powinny zakończyć przysły rok odrobinę mądrzejsze? Ukrywanie prawdy jeszcze nigdy w tym nie pomogło.

– Z tą mądrością to pewnie był przytyk w naszą stronę – obruszył się Matiel. – Widzisz drzazgi w naszej pracy, a nie dostrzegasz tej wielkiej belki...

Zanael bardziej się zasępił.

– Może macie rację – przyznał wreszcie. – Dziewczyny nie mają pojęcia, czego powinny sobie życzyć na nowy rok. Ale – dodał po chwili – to dotyczy całej trójki.

Posłał znaczące spojrzenie Annaelowi.

– Anna wierzy w siebie i ma szczęście – rzucił ten obronnym tonem. – Popęlnia pewne błędy, ale powoli z nich wyrasta...

– Zwolnili ją z pracy – przypomniał mu Matiel. – I chyba mieli powody...

– To był tylko staż, nie praca. – Annael założył ręce na piersi w obronnym geście. – To nic takiego. Teraz znajdzie nowe zajęcie...

– I dalej będzie jej się wydawało, że jest dzieckiem szczęścia – nie odpuszczał Matiel. – Myślisz, że nie widzieliśmy, kto ją przytrzymał, kiedy się poślizgnęła przed wejściem do bloku? Zawsze robisz to samo.

Annael, zafrasowany, znów zapatrzył się w przestrzeń. Czas mijał powoli, ale aniołom zazwyczaj się nie spieszy, wołą wszystko przemyśleć na spokojnie.

– No dobrze... – powiedział w końcu, zdecydowany. – Nieważne, ile pracy nas to będzie kosztowało, ale to właśnie będzie nasze postanowienie noworoczne.

Zanael i Matiel pokiwali głowami, doskonale zgodni. W ciągu nadchodzących dwunastu miesięcy życie ich podopiecznych zmieni się na lepsze.

## ROZDZIAŁ 2

Zuzanna odprowadziła przyjaciółki na przystanek autobusowy i wracała do domu okrężną drogą. Zabrała ze sobą Rastra. Tradycyjny poranny spacer tym razem znacząco się opóźnił, pies jednak szybko zapominał o urazach i biegał wokół, ciesząc się jak szczeniak. Był jeden z tych pogodnych poranków, kiedy nad Warszawą rozciąga się błękitne niebo z nielicznymi małymi obłoczkami, a słońce bardzo przekonująco udaje, że grzeje. Na trawnikach leżała cienka warstewka śniegu, który spadł nad ranem. Bawiący się Raster zostawiał na nim ciemne ślady, odsłaniając leżącą pod spodem ziemię. Zuzanna przyglądała się wszystkiemu dużo uważniej. Zaledwie parę miesięcy dzieliło ją od wyprowadzki od rodziców. Analizowała swoje uczucia z przyjemnością, niespiesznie przyglądając się sobie, jakby patrzyła z zewnątrz. Odkryła nostalgię za latami, które spędziła w rodzinnym domu i które minęły bezpowrotnie. Także trochę obaw o przyszłość. Czy poradzi sobie w roli żony? Czy będzie potrafiła prowadzić własny dom? Jednak przede wszystkim Zuzanna czuła się szczęśliwa, tak bardzo, że chwilami nie wierzyła w swój los i zaczynała doszukiwać się jakiejś skazy na tym pięknym obrazie... Ale żadnej skazy nie było. Już od kilku lat życie Zuzanny kręciło się wokół Adama. Poznali się zupełnym przypadkiem, który uznała potem za zrządzenie losu. To było na którejś ze studenckich imprez w połowie studiów. Zauważyła go od razu: na tle wygłupiających się kolegów Adam wydawał się nieco staroświecki, ubrał się trochę zbyt elegancko jak na studencką domówkę. Ale nawet stojąc z boku, emanował pewnością siebie i, jak wydało się Zuzannie, skupiał na sobie uwagę wszystkich dziewcząt. Podszedł do Zuzanny pierwszy i bez żadnych wstępów poprosił ją do tańca. Dziewczyna nie zastanawiała się ani chwili, kiedy nad ranem zagadnął ją o numer telefonu. Szybko okazało się, że to początek pięknej miłości. Adam był opiekuńczy, dowcipny, elokwentny... Poza tym, o czym dowiedziała się po paru tygodniach związku, za parę lat miał przejąć rodzinną firmę i już teraz

reprezentował ojca w interesach. Nie studiował w Warszawie. Często przyjeżdżał do miasta i równie często wracał na rodzinną wieś, do Jagodna, gdzie zakład pana Radzelewskiego był jedynym okazałym budynkiem, a ich rodzinny dom jako jedyny miał wielki ogród, piętrowy garaż i basen z dmuchanym krokodylem. Zuzanna była tam zaledwie dwa razy, jeszcze jako studentka, i trochę denerwowała się myślą, że najpewniej zobaczy rodzinę Adama ponownie dopiero w dniu ślubu. Na szczęście nie planowali przeprowadzki na wieś: Adam miał bardzo ładną kawalerkę w mieście.

Ta bajka trwała już trzy lata. Zuzanna czekała cierpliwie na koniec studiów i na oświadczyzny, a przyjaciółki śmiały się z niej, że mówi tylko o swoim chłopaku. A teraz zostało zaledwie parę miesięcy do jej wymarzonego, zaplanowanego w każdym szczególe „i żyli długo i szczęśliwie”. Dyplom ukończenia polonistyki od paru miesięcy leżał na półce z ważnymi dokumentami. Nie musiała martwić się o pieniądze, mieszkanie czy pracę... Jej nowe życie czekało na nią, ślicznie zapakowane, jak prezent na zakończenie studiów. Szykowała się za to do roli pani domu; w specjalnym segregatorze zbierała przepisy kucharskie, zamówiła w internecie mały staroświecki fartuszek z ozdobnymi tasiemkami i fantazyjną miotełkę do kurzu. Chyba nie należała do tych nowoczesnych kobiet, które marzą o karierze zawodowej... Adam obiecał, że będzie mogła urządzić ich mieszkanie tak, jak sobie wymarzy, więc wybrała tapetę i zaznaczyła w katalogu staroświeckie meble. Jej narzeczony zgodził się nawet na fotele z kolekcji retro: obite materiałem w herbaciane róże. Wszystko tak, jak jej się podoba; był pewien, że wybierze dobrze, bo z nich dwojga, co przyznawał, to ona miała dobry gust. Wciąż pamiętał, że na początku studiów Zuzanna interesowała się sztuką i kiedyś nawet próbowała malować. Ona sama już właściwie o tym zapomniała. Ale on był pamiętliwy! Uśmiechnęła się do siebie z rozbawieniem.

Zanael szedł obok Zuzanny, czasem tylko zbaczając z prostej drogi, żeby przypilnować dokazującego psa. Brunatną sierść dokładnie oblepił śnieg i Raster wyglądał na uszczęśliwionego. W przeciwieństwie do Zanaela. Anioł nie mógł usłyszeć myśli swojej podopiecznej, ale i tak wiedział, o czym duma dziewczyna. W ostatnich latach myślała, zdaniem jej stróża, dość jednotorowo. Szła przed siebie, wpatrzona w przestrzeń, z uśmiechem na ustach. Anioł pokręcił głową. Nie chciał przerywać tej idylli, ale postanowienie noworoczne pozostawało wiążące. Musiał zacząć od razu, zanim zabraknie mu odwagi.

– No – szturchnął Zuzannę. – Adam nie odezwał się w sylwestra, ale teraz pewnie już wstał, zadzwoni do niego. Masz komórkę w torebce.

Zuzanna nie zdawała sobie sprawy z niewidzialnego towarzystwa. Przestała widzieć Zanaela jeszcze zanim nauczyła się mówić. Jednak pomysł, który nagle

przyszedł jej do głowy, był znakomity. Adam wspominał co prawda, żeby nie dzwoniła i poczekała na telefon od niego...

– To twój narzeczony, to naturalne, że zadzwonisz – podszeptał anioł, czując się coraz bardziej podle.

...ale teraz byli zaręczeni, więc te stare zasady traciły ważność. Mogła zadzwonić pierwsza. Nieco stremowana, jak przed pierwszą randką, wybrała numer. Zanael zamknął oczy, żeby nie patrzeć na to, co się stanie, chociaż właściwie powinien zatkać uszy. Po chwili oboje usłyszeli kobiecy głos. Na pewno nie należał do mamy Adama.

– Tu telefon Adama Radzelewskiego.

– Um... – Zuzanna nie mogła wydusić z siebie nic więcej. Anioł zacisnął powieki jeszcze mocniej, jakby to mogło pomóc.

– Um... – powtórzyła Zuzanna.

– Halo? – Niespodziewanie usłyszeli głos Adama. Po dłuższej chwili odezwał się znowu. – Zuza? Poczekał, dobrze? – Minęły kolejne długie sekundy. – Już jestem, chciałem wyjść z pokoju. Chłopcy trochę przeholowali wczoraj z szampanem, wiesz jacy są.

Zuzanna skinęła głową. Adam miał kilku braci, z tego, co o nich słyszała, nie byli tak idealni jak jej narzeczony. Ale na pewno nie miał siostry.

– Ta kobieta, która odebrała... – zaczęła.

– Jaka kobieta? – W głosie Adama słychać było autentyczne zaskoczenie.

– Twój telefon... – Wciąż nie wiedziała, jak zacząć.

– A, to! – Po drugiej stronie Adam zaczął się strasznie śmiać. – Słuchaj, przepraszam. W nocy chłopaki ustawili mi coś w komórce, jeszcze nie wiem, jak to skasować. To automatyczne powitanie czy coś. Chyba uznali, że to śmieszne.

– Automatyczne powitanie? – powtórzyła Zuzanna bez przekonania.

– Wiesz, taki żart. Ktoś do mnie dzwoni i telefon odzywa się kobiecym głosem. Zuza, jesteś tam?

– Tak, jestem. – Przez głowę Zuzanny przebiegały kolejne myśli. Przed chwilą dałaby się pokroić, że słyszała po drugiej stronie prawdziwą kobietę. Ale czy nie o to chodziło w takich żartach? Żeby brzmiały przekonująco? No i w sumie była niewyspana, może te dwa czy trzy drinki, które wypila z przyjaciółkami, utrudniały jej racjonalne myślenie...

– Powiedz im, że to nie jest śmieszne – podsunęła ostrożnie. – Naprawdę się zdenerwowałam...

– No coś ty, Zuza! – Adam wydawał się oburzony. – Chyba nie pomyślałaś, że ja...?

– Nie, nie, oczywiście, nie mogłabym tak pomyśleć. – Odruchowo zaczęła się tłumaczyć. – Ale to po prostu było dziwne...

– Wszystko jest porządku, przecież rozumiem – uspokoił ją. – Powiem im



potem do słuchu.

Odetchnęła z ulgą. Zanael wpatrywał się w nią, a jego oczy robiły się coraz większe.

– A jak mama? – zapytała, z całych sił próbując uznać poprzedni temat za niebyły.

– Nie za dobrze. – Adam posmutniał – Będę musiał zostać dzień czy dwa dłużej... – Usłyszała w tle czyjś niewyraźny głos. – Słuchaj, wołają mnie – zakończył poważniejszym tonem. – Zadzwoń później.

Rozłączył się bez zwyczajowego buziaka. Zuzanna stała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ciemny już ekran telefonu.

– Tam była jakaś kobieta! Odebrała jego telefon! Jest RANO! – Zanael krzyczał jej niemal do ucha, ale nic z tego, co mówił, nie przebiło się do świadomości dziewczyny. Machnęła tylko ręką, jakby odganiała natrętną muchę. Patrzyła w mały ekranik, wystukując wiadomość do Adama, więc nie mogła zauważyć ulepionej niewidzialną dłonią śnieżki, która uderzyła w pień drzewa tuż obok psa. Dopiero szczekanie Rastra przywołało ją do rzeczywistości.

Annael radził sobie dużo lepiej. Właściwie to był z siebie naprawdę dumny. A już się obawiał, że rodzice Anny pokrzyżują mu plany. Państwo Nowiccy byli w domu, kiedy dziewczyna wróciła z sylwestrowej zabawy. Co więcej, Eleonora, mama Anny, zdążyła rozłożyć świeży obrus na stole w salonie i przygotować dla wszystkich śniadanie. Anna dołączyła do rodziców, jedną ręką sięgając po maślany rogalik, a drugą po szklaneczkę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy.

– Rozmawiałem ze Zbychem – oznajmił ojciec Anny, kiedy tylko jego córka usiadła przy stole. Sławomir Nowicki, jak przystało na głowę rodziny, siedział u szczytu stołu. Należał do tych brzuchatych, wąsatych mężczyzn, którzy zawsze są z siebie zadowoleni. Z dużą ulgą zmienił garnitur, w którym był na sylwestrowej zabawie, na dresowe spodnie i nieco już przymały szary T-shirt.

– Jutro idziemy na ryby. Wygląda na to, że uda mi się przy okazji omówić twoją sprawę. – Mrugnął do niej znacząco.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu – roześmiała się Eleonora. W przeciwieństwie do męża, pani Nowicka była bardzo szczupła i zadbana, nigdy też nie chodziła po domu w znoszonych ubraniach. – Chociaż ja nie wiem, jak można łowić ryby w styczniu – dodała.

– To sport dla prawdziwych mężczyzn! – rozpromienił się Sławomir, po czym znów odwrócił się w stronę córki. – Tylko nie mów nikomu, że tata pomógł ci znaleźć pracę. Pewne znajomości trzeba trzymać dla siebie. Twój wujek już nie bardzo mógł pomóc, skoro nie poszło ci w jego firmie. Ale Zbychu działa w podobnej branży, będziesz mogła coś robić w reklamie, jakieś, nie wiem, haselka, może papierkowa robota na początek, zobaczymy, co się uda załatwić...

– Poradzę sobie – uśmiechnęła się Anka. – Szybko się uczę.  
– To moja zdolna dziewczynka... – Mama posłała jej promienny uśmiech.  
Po przeciwnej stronie stołu Annael, zafrasowany, śledził ich rozmowę.  
– A czy ty nie miałeś czegoś oddać Zbigniewowi? – przypomniała sobie nagle pani domu. Jej mąż się zamyślił.  
– Oczywiście! – wykrzyknął. – Spławiki!  
Annael natychmiast się poderwał.  
– No, to bym dużo załatwił, gdybym zapomniał o tych spławikach! – roześmiał się Sławomir. – Zbychu poważnie podchodzi do wędkowania. Wiecie, ja jestem zapaleńcem, ale on to prawdziwy profesjonalista! Ściągał te spławiki zza oceanu... Zaraz po śniadanku pójdę je przygotować, powinny być w szafce z narzędziami...

Anioł nie czekał dłużej na swoją szansę. Zanim rodzina Anny skończyła śniadanie, drogocenny zestaw spławików opuścił szafkę i znalazł się na pawlaczu, dla pewności owinięty w poszewkę i upchany w rogu za starymi kurtkami.

Matylda, jako jedyna z całej trójki, wyprowadziła się już od rodziców. Swoje czterdzieści metrów kwadratowych dzieliła ze współlokatorką. Państwo Konarzewscy, właściciele niewielkiej posesji na przedmieściach Łodzi, jeszcze pięć lat temu uważali, że przeprowadzka do stolicy to dla ich córki wspaniały krok w dorosłe życie. Matylda miała usamodzielnić się i dorosnąć, a ponieważ mieszkanie było niedaleko od uczelni, zyskać więcej cennego czasu na naukę. Po kilku latach zwątpili w rezultaty pierwotnego planu. Matylda co prawda bardzo dzielnie rozpoczęła wraz ze swoimi przyjaciółkami z liceum studia na polonistyce, ale szybko uznała, że studiowanie tego, co napisali inni, nie leży w zakresie jej zainteresowań. Podobnie jak filozofia i socjologia. Aktualnie zaczynała wątpić w kulturoznawstwo.

Olga, współlokatorka Matyldy, była od niej trzy lata młodsza. Matyldę czasem deprymował fakt, że jej koleżanka już od dawna pracuje, jednocześnie wytrwale studiując w wieczorowym trybie. Nawał obowiązków nigdy nie przeszkodził jej w zdobywaniu co roku studenckiego stypendium. Życie osobiste Olgi mogłoby posłużyć jako przykład w poradniku „Jak stworzyć zrównoważony, partnerski związek w weekend?”. Regularnie chodziła na randki z aktualnym chłopakiem, a w wakacje zawsze spędzała ze swoim wybrankiem dwa tygodnie urlopu w romantycznych okolicznościach przyrody. Zwykle była to nadbałtycka plaża albo jakaś bieszczadzka połonina. Jednak Olga, przyglądając się Matyldzie z ukrytym podziwem, nieodmiennie dochodziła do wniosku, że i ona sama, i jej życie są zupełnie nieciekawe. Matylda była pełna energii i ludzie zawsze słuchali, co mówi. Wciąż szukała swojej drogi i entuzjastycznie angażowała się w nowe projekty, niezależnie od tego, czy zmieniała kierunek studiów, czy zaczynała

szydełkować. Nawet jej pokój był fascynujący, w przeciwieństwie do uporządkowanej przestrzeni współlokatorki. Zalegało tam mnóstwo przedmiotów świadczących o aktualnych fascynacjach właścicielki. Olga lubiła przesiadywać u koleżanki i przyglądać się zestawom do frotażu, ręcznie robionej biżuterii, wzorom do haftu czy książkom o origami. A już najbardziej zazdrościła współlokatorce ciemnych, trudnych do ujarznienia loków.

Kiedy Matylda usiadła na podłodze z laptopem, Olga nieśmiało wsunęła głowę do pokoju.

– Jak się udał sylwester? – zagadnęła.

Matylda wzruszyła ramionami.

– Trzy przyjaciółki z liceum i duży czarny pies – odparła. – Nic szczególnego. A ty byłeś z Markiem?

– U jego znajomych. – Olga zrobiła zniechęconą minę. – Zupełnie nieciekawie.

Przez chwilę milczały, zazdroszcząc sobie nawzajem znakomitej zabawy.

– Siadaj – rzuciła po chwili Matylda, pochylając się z powrotem nad laptopem. Olga przykucnęła obok niej. Matylda odnotowała, że pomimo wczesnej pory jej współlokatorka zdążyła już umyć włosy i się przebrać. Ona sama ciągle miała na sobie sylwestrową sukienkę. Westchnęła.

– Mam wielki plan na ten rok – oznajmiła po chwili. – Jest związany z moją książką.

Olga wstrzymała oddech.

– Nie opowiadałam dziewczynom o szczegółach – dodała Matylda konspiracyjnym tonem.

Olga się ożywiła.

– Mogę ci jakoś pomóc? – Sama nie czytała książki Matyldy, ale znała ją doskonale z opowieści starszej koleżanki i uważała za straszną niesprawiedliwość fakt, że owo dzieło jeszcze nie ukazało się drukiem.

– Szczerze mówiąc, to tak. Wasz dom kultury organizuje w tym roku tę imprezę...

– „Nowy rok z książką”? Jak najbardziej – rozpromieniła się Olga. Od pewnego czasu pracowała w położonym na ich osiedlu niewielkim domu kultury, pomagając przy organizacji imprez. Gdy nic się nie działo, czyli zazwyczaj, odpisywała na maile i podlewała imponującą kolekcję paprotek.

– W tym roku, tak jak w zeszłym, impreza odbędzie się pod hasłem „Rozpocznij rok z książką” – wyjaśniła. – Będą panie z biblioteki, dzieci z kilku szkół, oczywiście redaktorzy z naszej gazety osiedlowej i wygląda na to, że przyjdzie też ktoś z Książki i Myśli...

– Jakiś wydawca? – zagadnęła Matylda. Wydawnictwo Książka i Myśl mieściło się niedaleko domu kultury. Była to mała firma, ale za to dobrze

prosperująca i z wielkimi ambicjami.

– Nawet główny redaktor – rozpromieniła się Olga. – Pan Wojciech Miśkiewicz. A czy ty nie wysyłałaś im już swojej książki? – zainteresowała się po chwili.

– Ze trzy lata temu. – Matylda machnęła ręką. – Ale nie sądzę, żeby redaktor naczelny miał ją w ręce. Zwykle wstępną selekcję robią jakieś dziewczyny zaraz po studiach...

– Tak, wiem – przytaknęła Olga. – Odrzucają wszystko, co nie jest *mainstreamowe* – bez zastanowienia powtórzyła stwierdzenie, które wielokrotnie słyszała od Matyldy. – Chcesz wręczyć mu swoją książkę osobiście! – domyśliła się. Znów westchnęła, zdumiona odwagą koleżanki. Jednak ta pokręciła głową.

– To by było dziecinne. Ja mam prawdziwy plan.

### **ROZDZIAŁ 3**

W domu Anny wybuchła panika. Sławomir krążył po całym mieszkaniu jak miotana wiatrem gradowa chmura, pomrukując groźnie i zaglądając w każdy kąt. Żona towarzyszyła mu jak cień, bez słowa odkładając wszystko na miejsce i zasuwając pootwierane szuflady.

– Tutaj były! – krzyczał. – Tutaj kładłem!

Anna, mocno przybita, jeszcze raz wyjęła wszystkie narzędzia z szafki. Nie była pewna, jak wygląda drogi amerykański zestaw spławików, ale nawet laik potrafił ocenić, że nie było ich pomiędzy wyłożonymi na dywan rzeczami.

– No to przecież nie do pomyślenia! – Sławomir otworzył na oścież szafę, wygarniając stojące na dolnej półce buty. – Coście z nimi zrobili? Przecież ja się teraz nie mogę pokazać na oczy Zbychowi!

– Nikt nie ruszał twoich rzeczy, kochanie – zaprotestowała nieśmiało Eleonora.

– To kto je schował? Same sobie powędrowały?

Siedzący na szafie Annael skulił się, zawstydzony.

– Co ja mu powiem, jak ich nie znajdziemy?

Jakby na ten znak nagle rozdzwonił się telefon. Przez chwilę wszyscy zamarli, patrząc na siebie. Eleonora podniosła słuchawkę.

– Halo? O, dzień dobry, panie Zbigniewie!

Jej mąż zaczął gwałtownie machać rękami.

– Oj, nie, akurat musiał wyjść... – Eleonora uśmiechnęła się przepaszająco do słuchawki. – Tak, mówił mi o jutrzejszych rybkach... Och, oczywiście, przypomnę mu o spławikach. Tak. Nie, nie mógłby zapomnieć, przecież pan go zna. Do usłyszenia, panie Zbigniewie... – dokończyła niewyraźnie, odkładając słuchawkę.

– Szukamy! Wszyscy szukamy! – wykrzyknął Sławomir, gdy tylko słuchawka dotknęła widełków. Cała rodzina zaczęła z jeszcze większym zapalem przetrząsać mieszkanie.

Zuzanna, siedząc po turecku na łóżku, znów wpatrywała się w ekran komórki. Adam nie odpisał ani słowa na jej poranne SMS-y i zaczynała się martwić coraz bardziej. Dowcip z automatycznym powitaniem, chociaż mało znaczący, o dziwo również nie dawał jej spokoju. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że narzeczony mógłby kłamać. Prędzej uwierzyłaby w odchudzające właściwości czekolady. Ale jak miała to sprawdzić? Zwykle była do tyłu z technicznymi nowinkami. Oboje z Adamem mieli niechętny stosunek do kolejnych wytworów cywilizacji. Nie przesiadywali przy komputerach, nie prowadzili blogów i zgadzali się co do tego, że telefon, który nie tylko dzwoni, ale też robi zdjęcia, jest już wystarczająco nowoczesny. Rozmyślnie nie zarejestrowali się na facebooku, na punkcie którego już niemal wszyscy dostali małego rozumu.

Narzeczony Zuzy wielokrotnie powtarzał, że za bardzo szanuje swoją prywatność, więc i ona szanowała swoją, pomimo wrażenia, że Anka i Matylda całkiem nieźle się bawią, przesyłając zdjęcia znajomym. Właściwie nie miała powodów, żeby podważać słowa Adama. Było bardzo prawdopodobne, że bracia majstrowali przy jego telefonie i doskonale mogła sobie wyobrazić, jak narzeczony irytuje się, nie mogąc skasować automatycznego powitania. Odtwarzając całe zdarzenie w myślach, Zuza pracowicie utwierdzała się w przekonaniu, że głos brzmiał sztucznie. Scenariusz, w którym oboje, i ona, i Adam, padają ofiarą żartu, był bardzo przekonujący. Tylko że... No właśnie, dlaczego ciągle myślała o „przekonującym scenariuszu”, zamiast po prostu zapomnieć o sprawie? Chociaż udało jej się wyszukać tyle argumentów świadczących na rzecz wersji Adama, wcale nie poczuła się spokojniejsza. Być może miał w tym udział Zanael. Równie zdenerwowany jak jego podopieczna, krążył po pokoju. W przeciwieństwie do przyszłego mieszkańca, które Zuzanna dokładnie umeblowała już w wyobraźni, to wnętrze niewiele mówiło o charakterze mieszkającej tu dziewczyny. Na łóżku leżała wytarta na brzegach kapa, zdjęcia na półce, od lat te same, przedstawiały dwunastoletnią Zuzę na konikach. Wiszący obrazek za szkłem namalowała jeszcze w liceum. Zanael coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z niedopatrzenia, którym było pozwolenie młodej kobiecie, by żyła tylko myślami o przyszłości, nie dostrzegając, że terażniejszość coraz gwałtowniej domaga się uwagi. Czemu wpadł na to dopiero dzisiaj? Anielskie rozmyślania przerwała dopiero matka Zuzanny.

Anioł doskonale pamiętał, jak w swoim czasie rodzice Zuzanny chcieli wybrać dla nowo narodzonej dziewczynki imię będące kompilacją ich własnych. To było wesołe wspomnienie. Anita i Zygmunt Jezierscy długo przestawiali literki, wybrane z zestawu do scrabbli. Ostatecznie, po dorzuceniu jednego dodatkowego „Z”, czyli prawie bez oszukiwania, z „Anity” i „Zygmunta” wyszła im mała Zuzanna Jezierska.

– Czemu nie pomożesz mi przy obiedzie? – zapytała teraz Anita, zaglądając do pokoju. Odgarnęła za ucho rozpuszczone włosy, jeszcze dłuższe niż u córki. – Jeśli nic nie robisz, to przynajmniej przypilnuj psa, Raster usiłował porwać kurczaka.

Zuzanna niechętnie odłożyła telefon i wyszła z pokoju.

– Pewnie, pomogę – westchnęła. Uśmiechnęła się blado, nie chcąc martwić mamy swoim nastrojem. Jednak ta była zaaferowana innymi sprawami.

– Możesz zrobić sałatkę – poleciała córce. – Jestem wykończona... – westchnęła, zatrzymując się w drzwiach kuchni i opierając malowniczo o framugę. – Twój ojciec przeżywa spóźniony kryzys wieku średniego, nie zgadniesz, dokąd mnie zabrał!

– To miała być jakaś impreza-niespodzianka? – Zuzanna słabo pamiętała,

gdzie mieli iść jej rodzice. Koncentrowała się na tym, że skoro nie może przywitać nowego roku z Adamem, to przynajmniej będzie miała wolne mieszkanie na spotkanie z przyjaciółkami.

– Sylwester naszego klubu motocyklowego! – Z drugiego pokoju dobiegł głos Zygmunta. Udało mu się przekrzyczeć grający głośno telewizor.

– Klub motocyklowy! – prychnęła Anita. – To dużo powiedziane. Połowa członków ma co najwyżej skutery. A pan Kazio cały czas jeździ rowerem!

– Motorowerem!

– Jak dla mnie to jednak bardziej rower. – Anita rzuciła znaczące spojrzenie w stronę pokojowych drzwi i wzruszyła ramionami. – Ale wiesz – zwróciła się znów do córki – na szczęście mamy zimę. Nie chcę nawet myśleć o tym, że twój ojciec mógłby wyciągnąć ten stary motocykl z piwnicy...

– To na wiosnę! – Z pokoju dobiegł kolejny wesoły okrzyk. Zuzanna skinęła głową, ale już od dłuższej chwili nie słuchała, o czym oboje mówią.

– Więc nie zgadniesz, gdzie przesiedzieliśmy całą noc z tym nedorzecznym klubem... – opowiadała tymczasem jej mama. – W jakiejś knajpie za miastem!

– W oberży!

– Śmiertelnie się wynudziłam. Nawet nie zatańczyłam, a na stole stało tylko piwo i frytki...

– Był kapitalny pokaz slajdów! Zabytkowe modele!

– Widzisz, jacy są mężczyźni. – Pani Anita głośno westchnęła, znów zwracając się do córki. – A gdzie wyście mieli pojechać z Adamem? – spytała, siląc się na głośniejszy ton, żeby mieć pewność, że mąż nie przegapi i tej kwestii.

– Do Stambułu. – Słyszac imię Adama, Zuzanna momentalnie się ocknęła. – Tym razem się nie udało, ale na pewno zrobimy to w przyszłym roku.

– Widzisz! – Anita, nie doczekawszy się żadnej reakcji Zygmunta, zakomunikowała głośno: – Narzeczony twojej córki zabiera ją do Stambułu!

– Jeszcze nigdzie jej nie zabrał!

– Ale w przyszłym roku...

– Jak chcesz, to zabiorę cię do tego Stambułu w przyszłym roku!

– A skąd wiesz, że chciałabym pojechać do Stambułu? – Anita westchnęła nad bezmyślnością swojego męża. – Poza tym jesteśmy już umówieni na przyszły rok z klubem motocyklowym, nie pamiętasz? – zaznaczyła. Od strony pokoju i telewizora dobiegło niezdecydowane mruknięcie. Anita rzuciła córce porozumiewawcze spojrzenie, mówiące „widzisz, jacy są mężczyźni” i pociągnęła ją za sobą do kuchni. Wyjęła z szafki dużą szklaną misę i zaczęła myć sałatę. Raster, wyciągnięty pod stołem, na wszelki wypadek śledził każdy jej ruch.

– Dobrze, że znalazłaś takiego wspaniałego chłopaka – oznajmiła Anita. Bardzo lubiła Adama, więc powtarzała to córce dość często. – Przyda się w tej rodzinie ktoś, kto twardo stoi na ziemi.

– Wygląda na to, że Adam wróci kilka dni później... – Dziewczyna jednak nie potrafiła przemilczeć swojego zmartwienia.

– Coś tam się stało?

– Jego mama choruje... Nie wiem, co dokładnie tam się dzieje, Adam nie odpisuje na SMS-y...

– To na co czekasz? Zadzwoń jeszcze raz! – pragmatycznie poradziła jej Anita, odsuwając na bok sałatę i sięgając po kurczaka. Raster poderwał się na widok kurzego korpusu i usiadł z powrotem, gdy tylko ten zniknął mu z pola widzenia. Pani Jezierska, tknięta nagłym przeświadczeniem, na chwilę zapomniała i o obiedzie, i o psie.

– A może powinnaś mu jakoś pomóc? – zapytała. – Jeszcze nie mieliśmy czasu poznać państwa Radzelewskich, ale już właściwie jesteście rodziną.

Zanael, który podszeptał tę myśl, bacznie śledził uczucia odbijające się na twarzy Zuzanny. Nachylił się nad jej uchem.

– Powinnaś do nich pojechać – zasugerował. – Poza mamą Adama są tam sami mężczyźni. Jak mieliby sobie poradzić?

Telefon od Matyldy rozległ się w niewłaściwym momencie. Cała rodzina Nowickich przez cały wieczór przetrząsała dom w poszukiwaniu zaginionych spławików. Bezskutecznie. Z twarzy Sławomira nie schodziły czerwone plamy, Eleonorze trzęsły się ręce, i ogólnie rzecz biorąc, w mieszkaniu panowała tak ciężka atmosfera, że powietrze można było kroić nożem.

– Słuchaj, nie bardzo mogę rozmawiać. – Anna w końcu odebrała dzwoniący telefon. Wycofała się ze słuchawką do swojego pokoju i dyskretnie zamknęła drzwi. – Jestem bardzo zajęta...

– Musisz mi pomóc! – powiedziała Matylda, dokładnie w tej samej chwili. – Mam wielki plan, ale ty jesteś mi koniecznie potrzebna! – gorączkowała się.

–...tak więc naprawdę nie mam czasu... – mówiła dalej Anna.

–...jest impreza, na której koniecznie muszę być, i potrzebuję wsparcia. Chyba masz wolną przyszłą sobotę? – kontynuowała Matylda.

– Sobotę?

Za ścianą rodzice Anny ciągle się kłócili. Anna dosłyszała, że temat zszedł na jej niedoszłą pracę. To głupie, pomyślała, żeby spławiki zrujnowały mi życie zawodowe.

– Słuchasz mnie? Hej, naprawdę cię potrzebuję! – Matylda nie dawała za wygraną. – Jesteś tam?

– Tak, tak, jestem. Hm, mam wolną sobotę.

I wszystkie pozostałe dni tygodnia, bo mój ojciec zapodział gdzieś te głupie spławiki, dodała w myślach.

– Będiesz moją konsultantką. Ty wiesz wszystko o tym, jak oczarować



mężczyznę – oznajmiła Matylda.

– Chcesz kogoś poderwać? – Skoro temat zszedł na mężczyzn, to widocznie był ważny. Anna na chwileczkę zapomniała o swoich problemach i wreszcie skoncentrowała się na rozmowie.

– No, powiedzmy – odparła Matylda tajemniczo. – Potrzebuję wszystkiego – mówiła dalej. – Oczywiście strój i makijaż, dobre byłoby coś w twoim stylu, może też te wszystkie sztuczki z włosami i spojrzeniami, wiesz, kiedy chcesz okazać zainteresowanie, ale nie nachalnie, no i musimy ustalić, co będę mówić...

– Chcesz kogoś poderwać? – powtórzyła Anna z większym naciskiem.

– To kiedy mogę zająrzeć? – Matylda odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Za ścianą ojciec Anny trzasnął drzwiami od szafy.

Zuzanna również siedziała w swoim pokoju z telefonem w dłoni. Dochodziła dziesiąta wieczorem i państwo Jezierscy już zdążyli się położyć, żeby odespać sylwestrową noc. Dziewczyna miała ogromną ochotę pójść w ślady rodziców. Ale Adam znów nie odbierał telefonu. Dzwoniła już chyba z dziesięć razy. Westchnęła i odblokowała klawiaturę, żeby ponownie wybrać numer. W tej właśnie chwili telefon nagle ożył, oznajmiając wesołą melodyjką oczekujące połączenie. To był on.

– Hej – odebrała natychmiast.

– Przepraszam, że nie dzwoniłem – zaczął. Już po tonie głosu Adama domyśliła się, że coś nie gra. – Mama jest w szpitalu – dodał, ubiegając jej pytanie.

– Co się stało? Mówiłeś, że gorzej się czuła..

– Zapalenie płuc, a teraz są jakieś powikłania – wyjaśnił mężczyzna grobowym tonem. – Nie wiem, kiedy uda mi się wrócić do ciebie, do miasta...

– Ale to zupełnie nie jest teraz ważne! – zaprotestowała Zuzanna. – Najważniejsze jest teraz jej zdrowie. Słuchaj... – zaczęła.

– Tak?

– Może do was przyjadę? – zapytała.

Z drugiej strony słuchawki odpowiedziała jej cisza.

– Halo? – powtórzyła. – Chciałabym pomóc – tłumaczyła dalej. – Wciąż mało znam twoich rodziców, a przecież już właściwie jesteśmy rodziną, twoja mama jest dla mnie jak druga mama...

– Poradźmy sobie. – Ton Adama nie był zachęcający. – Nie musisz się kłopotać, wiem, że masz tam dużo swoich spraw.

– Jakich spraw? – roześmiała się niewesoło. – Najważniejszą sprawą jesteś ty... I nasza rodzina. Bardzo martwię się o twoją mamę.

– Prawie jej nie znasz – odparował. Jego ton znów nieprzyjemnie zaskoczył Zuzannę. Adam chyba też to zauważył, bo szybko się zreflektował.

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę mocno dało mi w kość to, co się

tutaj dzieje. Wszyscy są zdenerwowani. Chciałem powiedzieć, że jeszcze nie było okazji, żebyś lepiej poznała moją mamę, a ja żyję z nią tak długo, że wiem, że wolałaby spotkać się z tobą, kiedy już wyjdzie ze szpitala...

– Ale nie muszę odwiedzać jej w szpitalu. Zresztą mogą mnie tam nie wpuścić, nie jestem jeszcze oficjalnie częścią waszej rodziny – zauważyła. – Ale pomogłabym w domu i... Halo?

– Słuchaj, coś przerywa. Zadzwoń później. Kocham cię.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Adam się rozłączył. Zdezorientowana Zuza wpatrywała się w wygaszony ekranik telefonu. Poczula się nagle strasznie osamotniona. Dlaczego Adam nie chciał, żeby przyjeżdżała? Czy to była jedna z tych spraw, które chciał załatwić sam, nie kłopotując jej? To było bardzo męskie, ale Zuzannie wydało się, że narzeczony odsuwa ją od swojej rodziny – i od siebie. Może jego mama czuła się dużo gorzej, niż mówił? A może coś przemilczał?

Zanael, który od dłuższego czasu stał nad jej uchem, powtarzając w kółko: „Może on ci czegoś nie mówi!”, odetchnął z ulgą. To był krok we właściwą stronę.

Ale jak to możliwe, żeby Adam coś przed nią ukrywał? Zuza pokręciła głową. Jej chłopak zawsze był szczery, nie oszukiwał jej nawet w najdrobniejszych sprawach. Każdy inny mężczyzna mógł to robić, ale Adam mówił jej nawet o wszystkich spotkaniach z kolegami, wyliczał, ile piw wypili i zwierzał się z tego, jak idą interesy w firmie! Nie mieli przed sobą tajemnic. Zuzanna posmutniała. Skoro narzeczony coś przed nią ukrywał, to z jego mamą musiało być naprawdę źle... Może nawet...? Nie odważyła się dokończyć tej myśli, przejęta grozą. A jeśli jest tak źle, że nie zdąży lepiej poznać swojej teściowej?

– Dlatego powinnaś tam pojechać! – szepnął Zanael, dostrzegając swoją szansę. – To nie pora, żeby Adam zgrywał bohatera... Nie radzi sobie... Jesteś tam bardzo potrzebna... – powtórzył.

## ROZDZIAŁ 4

Minęło kilka dni, zanim Matyldzie udało się wprosić do Anny. Nie była pewna, co takiego robi jej przyjaciółka, że nie ma czasu na spotkanie, ale założyła, że ma to związek z nową pracą. Może Ance już się udało spełnić noworoczne postanowienie? Kiedy jednak zjawiała się u Anny, uderzyła ją atmosfera panująca w mieszkaniu Nowickich. Cała rodzina siedziała przy stole, jedząc kolację, ale Sławomir i Eleonora mieli takie miny, jakby w mieszkaniu odbywała się stypa. Anka, co Matylda odnotowała z pewnym zdziwieniem, nie wyglądała lepiej. Miała na sobie przyduży wełniany sweter z reniferem i najwyraźniej zapomniała o makijażu.

– Dobry wieczór! – zawołała Matylda.

Sławomir mruknął coś pod nosem, a pani Nowicka nieznacznie skinęła jej głową, nie odrywając wzroku od talerza.

– Lepiej gdzieś pójdziemy. – Anka pospiesznie zerwała się od stołu.

Matylda, która miała nadzieję, że posiedzą w ciepłym, gustownie urządzonym pokoiku Anny, w towarzystwie jej szafy z ubraniami i toaletki, poczuła się zawiedziona. Ale najwyraźniej przyjaciółka miała swoje powody, żeby nie zostawać w domu.

– Co się stało? – zapytała Matylda, gdy tylko znalazły się na zewnątrz. Było chłodno i szaro, a na ulicy zamiast śniegu zalegała kilkudniowa breja. Zupełnie nie czuło się atmosfery piątkowego wieczoru ani tym bardziej nadchodzącego weekendu. Anna otuliła się mocniej płaszczem.

– Ojciec pokłócił się z kumplem – wyjaśniła. – Poszło o spławiki.

– Spławiki? No tak, mówiłaś, że twój tata wędkuje – przypomniała sobie Matylda. – Ale nie rozumiem, jak można się pokłócić o spławik – dodała, ponieważ Anna szła przed siebie, nic nie mówiąc.

– Można, jeśli są bardzo drogie i zagraniczne. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Tata miał iść po nowym roku na ryby, ale gdzieś zapodział spławiki tego kumpla – wyjaśniła. – Przez kilka ostatnich dni wmawiał mu przez telefon, że

wszyscy u nas mają gripę żołądkową i przekładał wyjście, ale w końcu ten kolega się uparł, że zajrzy po swoje spławiki i sprawa się sypnęła.

– I co teraz?

– Nic specjalnego, po prostu zamówią taki sam komplet, tata zapłaci. Ale kumpel się złości, bo może minąć i parę tygodni, zanim przyślą je ze Stanów. A tata jest wściekły, bo są strasznie drogie.

– Faktycznie niewesoło – zgodziła się Matylda. Odruchowo skierowały się w stronę znajomej kawiarni pod wdzięczną nazwą „Niezapominajka”. Matylda poczuła się rażniej, wchodząc do przytulnego lokalu. Nawet Anna trochę się rozchmurzyła.

– I tylko o to poszło? – zagadnęła znów Matylda. Miała przeczucie, że Anka nie mówi jej wszystkiego, co zresztą nie było niczym nowym.

– W sumie tak – burknęła teraz, udając, że wczytuje się w menu, które od dawna znały na pamięć. Matylda westchnęła z zadowoleniem, rozglądając się wokół. Już wiedziała, że nie dowie się niczego więcej, więc pozostawało jej cieszyć się wieczorem w kawiarni. Niewielkie wnętrze, oświetlone ciepłym blaskiem i poprzegradzane małymi parawanami, jak zawsze dawało komfortowe wrażenie prywatności. Ściany kawiarenki były obite materiałem w niebieskie kwiatki, a na drewnianych stolikach, różnych kształtów i rozmiarów, stały niewysokie świeczniki. Po namyśle obie dziewczyny zamówiły to, co zwykle: Anna wielowocowy koktajl z mnóstwem witamin, który miał w nazwie *eco* i *fit*, a Matylda gorącą czekoladę.

– Więc o co chodzi z tym tajemniczym mężczyzną? – Anka nie chciała już dłużej czekać na zwierzenia przyjaciółki. – I co to za impreza w przyszłą sobotę?

– No tak, to już za tydzień! – Matylda momentalnie się ożywiła. – Nasz dom kultury organizuje coroczną imprezę pt. „Nowy rok z książką”. Pod hasłem „Rozpocznij rok z książką” – dodała. Anna patrzyła na nią bez słowa, z niewyraźną miną.

– Moje postanowienie noworoczne! – dorzuciła Matylda konspiracyjnym szeptem. – Na sali ma być wydawca z Książki i Myśli, pan Wojciech Miśkiewicz!

– O tak, znam go – skojarzyła Anka. – Kiedyś był u nas na polonistycie z gościnnym wykładem. Mówił głównie o...

– Znasz go? – powtórzyła Matylda z napięciem.

– No, z widzenia. To znaczy, widziałam go raz, jak prowadził wykład – sprostowała. – Nie wiem, czy potem jeszcze go zapraszano, może tak, ale ja się już nie wybrałam, sądziłam, że spotkanie będzie dotyczyło branży wydawniczej, a on mówił głównie o filozofii. Swoją drogą, ten gość naprawdę wygląda trochę jak niedźwiedź.

Po minie przyjaciółki wywnioskowała, że to nie jest zbyt dobra wiadomość.

– A coś jeszcze o nim wiesz? – zapytała ostrożnie Matylda.

Anka wzruszyła ramionami.

– Jest chyba przed czterdziestką – zaczęła. Matylda nadal miała niewyraźną minę. – Taki duży facet, mało atrakcyjny – dodała, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości. – I jak go widziałam, to miał wielkie wąsy. Niesamowite – dorzuciła z przekąsem.

Matylda wyraźnie oklapła, ale tylko na moment.

– To właściwie nawet lepiej! – wykrzyknęła po chwili. – To on nie jest zbyt popularny wśród kobiet, nie?

Anna prychnęła, rozchlapując owocowy koktajl i witaminy po całym stoliku.

– Daj spokój, jak sobie wyobrażę te jego wąsy... Nie wiem, czy mając coś takiego na twarzy, w ogóle da się pocałować kobietę... – Zaczęła chichotać, ale po chwili spoważniała.

– Ty chcesz poderwać... wydawcę? – upewniła się. Matylda skinęła głową.

– Żeby wydać swoją książkę?

Matylda znów przytaknęła.

– Ale chyba nie zamierzasz...

– No coś ty! – wykrzyknęła Matylda, uprzedzając pytanie. – Myślę, że wystarczy, jak go oczaruję na tyle, żeby się raz ze mną umówił, a potem poruszę jakoś temat mojej książki... Dużo o tym myślałam, rozumiesz – dodała. – Teraz właściwie wszystko załatwia się po znajomości, pracę, te rzeczy, nie?

– Chyba tak – bąknęła Anna, patrząc w drugą stronę.

– No więc jak będę znała samego wydawcę, i on zobaczy we mnie fascynującą kobietę... A najlepiej, żeby się zakochał! To wtedy już na pewno spojrzy innym okiem na moją książkę! I za rok o tej porze – uśmiechnęła się tryumfalnie – będziesz siedziała przy jednym stoliku z poczytną autorką!

Stolik dalej Matiel metodycznie uderzał głową o drewniany blat.

– No nie mów, że się nie domyślałeś – zagadnął go Annael.

– Przecież nie czytam w myślach – odburknął zmarkotniały anioł. Zajęli obaj wolne miejsce w kącie sali, na tyle blisko dziewczyn, by nie stracić ani słowa z ich rozmowy. Po Matielu było jednak widać, że wolałby być teraz gdziekolwiek indziej. Westchnął jeszcze raz, składając głowę na rękach.

– To i tak się nie uda – pocieszył go Annael. – Matylda najwyżej się zbłąźni.

– Zaraz zbłąźni! – Matiel uniósł się, oburzony. Po chwili jednak oklapł. – Ona się nie podda – westchnął. – Żeby to się tylko nie skończyło jakąś tragedią...

Annael z namysłem zaczął skubać róg tekturowego menu.

– Może po prostu postaraj się konsekwentnie wypełniać swoje obowiązki – poradził. – Anna, dzięki moim staraniom, poczyniła już znaczne postępy od początku roku.

Matiel posłał mu zimne spojrzenie.

– Ach tak – rzucił. – Widziałem, kiedy Matylda po nią wpadła. Oszałamiający postęp – dodał złośliwie.

– Uczy się pokory – odparował Annael. – A twoja podopieczna? Czego się właśnie uczy?

– I musisz mi wyjaśnić, co mam mówić, jak już podejść blisko! – poprosiła rozentuzjasmowana Matylda.

Anna bardzo chętnie wchodziła w rolę wyroczni w kwestii relacji damsko-męskich. Posiadała na ten temat oszałamiającą wiedzę i niemałe doświadczenie. I teraz, w zdecydowanie lepszym nastroju, pochyliła się nad stolikiem.

– Przede wszystkim mów cicho – poradziła. – Cicho i trochę nieśmiało, żeby pokazać, że onieśmiela cię jego męskość. – Nagle prychnęła śmiechem.

– Co takiego? – Przyjaciółka spojrzała na nią urażona.

– Nie, nic, pomyślałam o tych wąsach. – Anka znów zachichotała. – Przepraszam.

Matylda westchnęła.

– No, nieważne.

Jej wyrocznia wróciła do przerwanej wątku.

– Kiedy mówisz cicho, on musi się przysunąć bliżej i skoncentrować, żeby cię dobrze usłyszeć. Od razu budujesz intymność. Jak się będziesz darła tak jak zwykle, to tylko go spłoszysz.

– Och. – Matylda przygryzła wargę. – I co dalej?

– Dalej musisz go urobić – poradziła Anna. – On wcześniej będzie miał jakąś prelekcję, prawda? Więc podejdziesz i powiesz, że to co mówił, było niesamowite, że zmieniło twoje spojrzenie na... No, na to cokolwiek, co było tematem prelekcji. Zresztą, mów wszystko, co ci przyjdzie do głowy, spontanicznie, tylko żeby zrozumiał, jak bardzo go podziwiasz. A potem musisz wyczuć sytuację. Rozumiesz, nie możesz tak po prostu zaprosić go na randkę. Musisz coś zrobić, żeby to on cię zaprosił.

– Hmm. – Ta część wydawała się najtrudniejsza.

– Ale łatwo pójdzie – zapewniła ją Anka. – Ta część z komplementami powinna go sprowokować, żeby zaczął wygłaszać drugą prelekcję, więc musisz tylko wtrącać „ach” i „och” i pamiętać, żeby stać blisko niego. Jeśli przestanie mówić, patrzysz mu w oczy, potem szybko w podłogę, i znowu w oczy, i zadajesz następne pytanie. A jak zacznie się plątać we własnym temacie, oszołomiony twoim spojrzeniem i tą bluzką, którą ci pożyczę, to już jest twój.

– A jak nie?

– To też nic nie szkodzi. Ważne, żebyś w którymś momencie wyraziła żal, że musisz już iść i brakuje wam czasu, więc nie możesz wysłuchać wszystkiego, co on

może opowiedzieć o...

– Tym czymś, o czym mówił wcześniej – dopowiedziała Matylda. – I mówię to tak, żeby rozumiał, że tylko ja jedna na całym świecie jestem naprawdę zafascynowana tym jego, hm, czymkolwiek, o czym będzie ta prelekcja? – zgadła, wczuwając się w tok rozumowania przyjaciółki.

– I bingo! – rozpromieniła się Anna. – Na pewno się z tobą umówi, to już zapisane w gwiazdach.

Anioły w zasadzie nie odczuwają temperatur, ale Zanael miał wrażenie, że jest mu przeraźliwie zimno. Od pół godziny krążyli wraz z Zuzanną po parkingu przed blokiem, w którym mieszkał Adam. Anioł naprawdę rozumiał, że dziewczyna martwi się o narzeczonego. Od sylwestra Adam dzwonił kilka razy i rozmawiali dość krótko. Gdy tylko Zuzanna wyraziła chęć pomocy i zaproponowała, że przyjedzie do rodzinnego domu państwa Radzelewskich, ciężko chora mama chłopaka w cudowny sposób zaczęła czuć się lepiej. Zanael jednak nie upatrywał w tym interwencji niebios.

Spojrzał na przestępującą z nogi na nogę Zuzannę. Przyjechali tutaj dobre pół godziny przed czasem, więc Adam najpewniej dopiero przejeżdżał przez przedmieścia. Anioł nie mógł zrozumieć, dlaczego stoją na mrozie, zamiast czekać w jakimś ciepłym miejscu. Na przykład w domu. Jednak wyglądało na to, że Zuzanna miała zamiar cierpliwie stać przed blokiem, wypatrując znajomego samochodu. Na przemian zdejmowała rękawiczki, chuchała w dłonie, chowała ręce do kieszeni i zakładała rękawiczki z powrotem. Przez cały czas wyglądała na bardzo zmartwioną. Wreszcie, po upływie całej lodowatej wieczności, samochód Adama pojawił się na horyzoncie i Zuzanna zaczęła energicznie machać rękami.

– Adam! – wykrzyknęła, podbiegając do auta, zanim mężczyzna zdążył dobrze zaparkować. Zanael uprzejmym skinieniem głowy pozdrowił drugiego przybysza, który zdążył już wysiąść z samochodu. Adael, opiekun Adama, był roslym, barczystym aniołem. Kiedy rozkładał skrzydła, mógł zasłonić sobą ciężarówkę albo nawet cysternę z paliwem. Adael był pewny siebie i chwalił się zawsze, że w niekonwencjonalny sposób prowadzi przydzielone mu dusze. Między Bogiem a prawdą, Zanael trochę się go obawiał.

– Moja najdroższa! Jak dobrze znów cię zobaczyć! – Adam, jak przystało na stęsknionego narzeczonego, pospiesznie wysiadł z samochodu, a Zuzannie, tak jak zawsze, zaparło dech na jego widok. Mężczyzna ujął twarz Zuzanny w obie dłonie i przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, jakby starał się z nich wyczytać uczucia, po czym czule ucałował narzeczoną. To był długi filmowy pocałunek, zaczynający się delikatnie i nieśmiało, przechodzący w gwałtowną namiętność i zakończony w momencie, w którym dziewczyna uwiesiła się na szyi narzeczonego. Gdyby ktoś zapytał o zdanie zniesmaczonego Zanaela, to cała scena była pretensjonalna

i trąciła sztuczością.

– Może coś jeszcze z tego będzie, jak myślisz? – Zanael podskoczył, zaskoczony nagłym pytaniem. Adael zdążył w międzyczasie stanąć tuż za nim i obserwował romantyczne powitanie zza pleców kolegi.

– Z tego całego ślubu?

– Twoja duszyczka jest chyba naprawdę zakochana, prawda? – zagadnął Adael.

– Moja tak, widzę jednak pewne problemy z twoją...

– Daję Adamowi czas, żeby się zdecydował. – Adael wzruszył ramionami. – Najważniejsza jest wolna wola. Nie przeszkadzać i nie pomagać, jeśli o to nie proszą. Znasz moją dewizę. Nie dotyczy to małych dzieci – zaznaczył jak zawsze. – O małe dzieci dbamy cały czas.

– To chyba popularny pogląd – burknął Zanael, nadal kątem oka obserwując Adama i Zuzannę. Mocno przytuleni, powoli skierowali się w stronę klatki schodowej. Adam miał przewieszoną przez ramię podróżną torbę.

– Czyżbyś miał inne zdanie? – zagadnął znów Adael.

Zanael pokręcił głową, starając się uniknąć tej rozmowy. Już miał ruszyć za Zuzanną, kiedy poczuł na ramieniu ciężką dłoń Adaela.

– Chyba nie zamierzasz iść za nimi?

– Muszę wiedzieć, o czym będą rozmawiać! – zaprotestował Zanael, wrywając się. Ale drugi anioł tylko pokręcił głową.

– Możesz mi wierzyć, że dzisiaj nie będą o niczym rozmawiać – oświadczył wszystkim wiedzącym tonem. – Popatrz na nich, stęsknili się jedno za drugim. Możemy spokojnie wrócić tu jutro rano.

– Ale... – Zanael chciał zaprzeczyć, jednak rzut oka na dwie wtulone w siebie sylwetki uświadomił mu, że Adael nie myli się w ocenie sytuacji.

– To się nie godzi – wyjąkał, zafrasowany.

Jego towarzysz wzruszył tylko ramionami.

– Skoro w obecnej sytuacji nie możemy nic zrobić, to może nie będziemy ich podglądać, tylko gdzieś pójdziemy? – zaproponował. Zanael jeszcze przez chwilę stał, spoglądając to na Zuzannę, to na Adaela. Ostatecznie, zrezygnowany, skinął głową. Jedna przegrana bitwa, pomyślał, nie oznacza jeszcze końca wojny.

– Annael i Matiel powinni być gdzieś w pobliżu – przypomniał sobie.

W „Niezapominajce” niewiele się zmieniło przez ostatnie dwie godziny. Matiel na w pół leżał na blacie stołu, a Annael, korzystając ze swojej anielskiej zręczności, ulepił z roztopionego wosku ze świecy całą kolekcję miniaturowych zwierzątek. Z nieokreślonym wyrazem twarzy pracował zawzięcie nad jeżem, niewiele większym niż główka od szpilki, za to wyposażonym w cały zestaw kolców. Stolik dalej dziewczęta niezmordowanie kontynuowały rozmowę.



Założyły, że Matyldzie uda się przekonać wydawcę do przeczytania książki już podczas pierwszej randki. Ku niezmiernemu zaskoczeniu aniołów okazało się, że to zadanie wymaga niesamowitych nakładów czasu i finansów. Matylda potrzebowała mnóstwa rzeczy, z których większość służyła do tego, by wetrzeć je w twarz, we włosy, albo rozsmarować po paznokciach. Matiel miał wątpliwości, w jaki sposób którykolwiek z tych przedmiotów mógłby zwrócić uwagę wydawcy na Matyldę, a tym bardziej – na powieść, którą dziewczyna będzie miała w torebce. Annael, dzięki wieloletnim obserwacjom własnej podopiecznej, rozumiał te zagadnienia nieco lepiej, ale nie czuł się na siłach, żeby teraz wyklądać je koledze. Nagłe nadejście Zanaela z Adaelem na chwilę rozluźniło atmosferę. Adael pierwszy podszedł do stolika i rozsiadł się wygodnie, zostawiając Zanaelowi nieco miejsca z brzegu.

– I jak tam w pracy? – zapytał, uśmiechając się szeroko. – Dobrze czasem zrobić sobie małą przerwę, prawda?

Tylko Annael odwzajemnił jego uśmiech, i to niewyraźnie. Matiel rzucił mu smutne spojrzenie, nie podnosząc przy tym głowy z blatu. Adael, niezrażony, pomachał ręką w stronę kręcącego się po sali anioła stróża, trzymającego pieczę nad zatrudnioną tam kelnerką, a przy okazji nad niematerialnym menu dla niematerialnych gości. Tymczasem przy stoliku obok dziewczęta chichotały jak szalone, umawiając się na następny dzień. Leżący na stole Matiel osunął się jeszcze niżej, słysząc wypowiedany po wielokroć zwrot „galeria handlowa”. Zapowiadał się ciężki weekend.

===OA06AjAAOQAzUmVUNwNgWGEHPwc2BT0IOV1pDDQNPA8=

## ROZDZIAŁ 5

Zwyczajowo przyjęło się uważać, że mężczyźni źle znoszą zakupy w galeriach handlowych. Nie jest to stwierdzenie pozbawione podstaw. Statystycznie na kilka kobiet pochłoniętych przymierzaniem ubrań i buszowaniem w wyprzedażach przypada przynajmniej jeden mężczyzna czekający pod sklepem z cierpiętniczą miną i naręczem toreb. Po to zresztą ustawiono tam tyle miękkich kanap. Jednak cierpienie, będące udziałem mężczyzny zabranego nieroztropnie (albo właśnie z rozmysłem) na zakupy, jest niczym w porównaniu z katuszami, jakie przechodzi w galerii handlowej anioł. Mężczyzna, przy odrobinie wysiłku, jest w stanie przynajmniej zrozumieć pochłoniętą oglądaniem ubrań kobietę. Zazwyczaj wystarczy, by wyobraził sobie, że zamiast identycznych ciuszków i mających ten sam kolor szminek w sklepie znajdują się jakieś godne uwagi produkty, powiedzmy: noże, laptopy albo wędki. Dzięki temu prostemu ćwiczeniu, przeprowadzonemu w wyobraźni, siedzący pod sklepem mężczyzna nie poczuje się co prawda lepiej, ale przynajmniej gotów jest uwierzyć, że jego kobieta nie zwariowała. Anioł to co innego. Dla każdego anioła stróża zakupowe szaleństwo jest, jak sama nazwa wskazuje, właśnie szaleństwem.

– Nie rozumiem i nie chcę rozumieć – marudził Matiel, spiesząc za Matyldą do kolejnego butiku. Jak mogli spędzać sobotę w Złotych Tarasach, jeżdżąc ruchomymi schodami z piętra na piętro i zatrzymując się przed każdą wystawą? Już

to byłoby nie do zniesienia, a dziewczyny musiały jeszcze wejść do środka każdego sklepu i przetrząsnąć wszystkie wieszaki. Jeśli coś pomijały, to tylko w drodze wyjątku, zniechęcone cenami albo wystrojem sklepu. Annael szedł tuż za Matielem, mając oko na rozbawioną Annę. Już zupełnie z tyłu włókł się Adael, który uznał, że skoro Adam spędza ten sobotni poranek razem z Zuzanną, to Zanael może spokojnie popracować za nich dwóch.

– Rozumiałbym – mówił dalej Matiel – gdyby nie miała żadnego ubrania. Ale przecież ma jakieś na sobie. Nawet ciepłe i niepodarte. To po co jej inne?

– W ogóle nie słuchałeś, o czym rozmawiały wczoraj – zarzucił mu Annael, który, między Bogiem a prawdą, również nie bardzo słuchał. – Chodzi im o to, żeby kupić coś ładnego i ładnie wyglądać.

– To czemu nie kupiły kwiatów przed wejściem? – dziwił się dalej Matiel. – Dziewczyna z bukietem kwiatów zawsze ładnie wygląda.

Annael westchnął, ale nie wiedział, co odpowiedzieć. Właściwie to zgadzał się z kolegą.

– Obaj jesteście anielsko niewinni – odezwał się przemądrzałym tonem Adael. – Matylda chce się komuś spodobać, prawda? Przecież to o tym rozmawiały.

– Masz nas za głupich? – odparował Matiel. – Wiem przecież, co planuje Matylda. Ale jeszcze nigdy nie widziałem, żeby jakikolwiek mężczyzna zakochał się w nowej spódnicy...

Anioł westchnął. Zupełnie nie podobał mu się plan Matyldy i nie wiedział, co powinien zrobić. Jeszcze w sylwestra wydawało mu się, że ma najłatwiejsze zadanie z całej trójki. Cóż może być prostszego, niż powstrzymanie Matyldy od wydania książki, której nikt nie chce wydać? I co bardziej inspirującego, niż skierowanie myśli dziewczyny w inną stronę, ku czemuś wartościowemu albo przynajmniej mającemu odrobinę sensu? Teraz jednak zaczął wątpić we własne siły. Plan Matyldy był nieuczciwy, niewłaściwy, niemalże diabelski. Zamierzała przecież wykorzystać do własnych celów niewinnego wydawcę, za nic mając jego uczucia! Matiel mógł jedynie mieć nadzieję, że nie myli się w ocenie wątpliwej skuteczności takich przedmiotów jak szminki i spódnice, i że Matylda wróci z sobotniej imprezy rozczarowana. Wtedy on, jej anioł, będzie mógł wykorzystać pierwszą nadarżającą się sposobność, by zainteresować dziewczynę czymś innym niż jej własna twórczość. Póki co, żadna taka okazja nie chciała się trafić.

– To już właściwie wszystko – ogłosiła z satysfakcją Anka jakieś trzy godziny później. Dziewczęta wyszły z butików obwieszonych papierowymi torbami. Przed wejściem stała pozornie pusta miękka kanapa, na której na wpół leżały mocno przywiedle trzy anioły. Nie zdając sobie sprawy z ich obecności, Anna postawiła torby wprost na kolanach Matielea.

– Mamy krótką spódniczkę, rajstopy i buty – wyliczyła. – Bluzeczkę ci pożyczam, a resztę zrobi ten bajerancki stanik z push-upem... Jest też ten tusz, który wydłuży twoje rzęsy o pięćdziesiąt procent, nowy podkład, róż i brązujący krem do ciała z błyszczącymi drobinkami, to da efekt eleganckiej opalenizny...

– Jest środek zimy – syknął Matiel, nie mając odwagi poruszyć się pod przygniatającymi go torbami.

– Na nowe perfumy już nam nie starczy – westchnęła Matylda.

– Perfumy też ci pożyczę – uspokoiła ją Anna. – Ważne, że wzięłyśmy malinowy błyszczak do ust, błyszczaki zawsze się sprawdzają na pierwszych randkach, dopóki nie zamierzasz się całować...

– W ogóle nie zamierzam się z nim całować! – wtrąciła Matylda.

– ...bo błyszczaki strasznie się kleją – dokończyła swoją kwestię Anna. – A jak facet potem próbuje dyskretnie zetrzeć z siebie twój błyszczak, to cały nastrój diabli biorą.

– Nie zamierzam się z nim całować – powtórzyła Matylda na wszelki wypadek.

– To i lepiej, to będziesz mogła go użyć i na drugiej randce.

– To będzie tylko jedna randka! – zaznaczyła Matylda stanowczo. Ale Anna nie odpowiedziała. Nagle znieruchomiała, zapatrzona na postać nadchodzącą z naprzeciwka. Mężczyzna, który zwrócił jej uwagę, był wysoki i postawny. Na oko dobiegał czterdziestki. Miał na sobie dżinsy i białą koszulę, na którą narzucił nonszalancko rozpięty płaszcz. Niósł w ręku kilka papierowych toreb z zakupami.

– Zaraz zobaczysz to, czego cię uczyłam, w praktyce – szepnęła Anka, dając Matyldzie znak, żeby nie ruszała się z miejsca i pilnowała toreb. Spokojnym krokiem ruszyła w stronę mężczyzny.

– Neeee... – jęknął Annael, zrywając się z miejsca. Widać było, że jest gotów rzucić się za dziewczyną, a nawet podstawić jej nogę, byle tylko zawróciła z nieroztropnie obranej drogi. Powstrzymała go wielka dłoń Adaela, zaciśnięta na jego ramieniu. Matiel nie był gorszy i capnął za skrawek białej szaty Annaela.

– Mamy umowę – przypomniał. – Pozwalasz jej na popełnianie błędów. Chcesz ją nauczyć pokory, już zapomniałeś?

– Nic nie rozumiecie! – wyrывał się zdesperowany anioł. – To nie będzie błąd, tylko tragedia! Ten człowiek to jej szef!

– Jaki szef?

Ale było już za późno. Mężczyzna przystanął, zauważając idącą z naprzeciwka Ankę. Wyglądało na to, że nie wie, jak się zachować. W końcu zdecydował się na uprzejmy półuśmiech.

– Widzę, że pani też dzisiaj na zakupach – zagadnął.

Dziewczyna uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem.

– Przecież mówiliśmy sobie po imieniu. Nie wiem, co ci przyszło do głowy

z tą panią.

Annael, kilka metrów za jej plecami, znów usiłował poderwać się z kanapy i ponownie ciężka ręka Adaela usadziła go na miejscu.

Tymczasem mężczyzna taksował Annę wzrokiem, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią. Po chwili, dokładnie tak jak tego oczekiwała dziewczyna, jej były szef podjął grę.

– No cóż, Aniu – powiedział – brakuje cię w naszej firmie.

– Odniosłam wrażenie, że firma nie była mną wystarczająco poważnie zainteresowana – rzuciła filuternie, posyłając mu znaczące spojrzenie.

– Och, jeśli chodzi o tamto... – Wyglądał na naprawdę zafrasowanego. – Niestety, to nie tylko ode mnie zależało...

Anna zrobiła urażoną minę.

– Sądziłam, że to ty jesteś szefem.

– Szefowie też mają swoich szefów. – W pocieszającym geście dotknął jej ramienia. Anna delikatnie przysunęła się jeszcze o parę centymetrów bliżej. Wyglądało na to, że stoją już niemal przytuleni. Matylda, przyglądając się tej scenie, aż otworzyła usta z podziwu. Za to Annael poderwał się po raz trzeci.

– Puszczajcie! – syknął do pozostałej dwójki. – To wyjątkowe okoliczności!

– Ohoho. – Adael już wiedział, co się święci, i najwyraźniej go to rozbawiło. – Czy ta pani w białym płaszczku to żona?

Annael w odpowiedzi tylko cicho jęknął. Elegancko ubrana kobieta, niezauważona ani przez Annę, ani przez jej szefa, stanęła tuż przy nich.

– Kochanie... – Miły, pozornie niezirytywany głos rozległ się tuż przy uchu mężczyzny. – Kim jest ta pani?

Szef Anny podskoczył do góry i cofnął się przynajmniej o metr.

– Och, ta pani się zgubiła, pytała mnie o drogę. – Uśmiechnął się głupkowato do żony, jednocześnie starając się rzucić porozumiewawcze spojrzenie Annie, ale dziewczyna, oniemiała, wpatrywała się w niego bez słowa.

– Od kiedy to ty wiesz, jak tu gdziekolwiek trafić? – Kobieta roześmiała się, jednocześnie wsuwając dłoń pod ramię swojego męża. – Którego sklepu pani szuka? – zwróciła się do Anny uprzejmym i tylko trochę lodowatym tonem.

– Kiedy my się doskonale znamy – zaprotestowała dziewczyna z rozbrajającą szczerością, która w tych okolicznościach nikogo nie oczarowała. Nie mogła zdawać sobie sprawy z rozpaczliwych grymasów, które robił za jej plecami Annael. Urażona, spojrzała dumnie na byłego szefa. – Pracowaliśmy razem – dodała.

– Ach, więc to jest TA dziewczyna? – Ton kobiety stracił pozory uprzejmości. Przemawiała teraz głosem, którego nie powstydziliby się sama Królowa Śniegu. – Sądziłam, że to tylko plotki...? – zwróciła się znów do męża.

– Nie, to znaczy, tak, oczywiście, że plotki... Po raz pierwszy w ogóle

widzimy się, to znaczy, nie spotykaliśmy się z Anią... z tą panią... poza pracą, w pracy oczywiście też się nie spotykaliśmy, to znaczy...

– Rozmawialiśmy o tym niespełna godzinę temu – przerwała mu żona, zupełnie zaskakując tym Annę. – Czy od tego czasu coś się zmieniło?

– Tak, to znaczy, nie, nic się nie zmieniło... – Mężczyzna plątał się dalej. Zupełnie już nie wyglądał na szefa agencji reklamowej, robił raczej wrażenie zbesztanego nastolatka.

– W takim razie może nie będziemy tracić czasu i pójdziemy dalej? – zasugerowała kobieta, rzucając Annie jeszcze jedno nieprzyjemne spojrzenie.

– Sądzę, że ta pani już nie wróci na swoje stanowisko – dodała, odwracając się na chwilę. Były szef Anny posłusznie podreptał za żoną, nie oglądając się za siebie. Dziewczyna, wciąż oniemiała i coraz bardziej wściekła, patrzyła za odchodzącą parą.

– Przecież nie pcham się na żadne stanowisko – powiedziała na wpuł do siebie, a na wpuł do Matyldy, która nadbiegła z naręczem toreb. – I nie czeptałam się jej męża, to on za mną cały czas chodził. Jak mógł powiedzieć, że mnie nie zna!

– Ale dobrze ci szło, zanim ona nie przyszła – trochę niezręcznie pocieszyła ją Matylda.

– Dlaczego nie mógł jej po prostu powiedzieć, że się nie spotykaliśmy, to byłaby prawda, w pewnym sensie rzeczywiście nic między nami nie było, nie zdążył mnie nawet pocałować, w każdym razie nie za bardzo, i nic poważniejszego się nie zdarzyło, rozumiesz – wyjaśniała Anna gorączkowo. – Ale on wolał zrobić ze mnie idiotkę!

– On się boi żony – zasugerowała Matylda. – I chyba czuł się winny tego nic, które między wami było... Tak się tłumaczył, jakby ją naprawdę zdradził, czy coś.

– Chyba nie ze mną. – Anna wzruszyła ramionami, wciąż nie mogąc się otrząsnąć po nieprzyjemnej scenie. – Nawet mi wspominał o tej żonie – dodała po chwili. – Ale mało pochlebnie. Zrozumiałam, że są przynajmniej w separacji, albo nawet w trakcie rozwodu.

Matylda spojrzała na nią bez przekonania.

– Nie wyglądało na to – zauważyła.

– No, teraz to już nie wyglądało – westchnęła Anka. – Przecież gdybym wiedziała, jak to wygląda, tobym trzymała go na dystans. Nie jestem taka. Ale już nieważne – oświadczyła tonem, który sugerował, że to jednak było ważne.

– Już po wszystkim, możesz wstać. – Matiel wyciągnął rękę do Annaela. Rozdygotany anioł patrzył przed siebie pustym wzrokiem. – Wszystko jest w porządku – dodał, ale zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie faktu. Annael powoli podniósł się z kanapy.

– Gdzie jest ta dziewczęca niewinność – jęknął, wciąż mając przed oczami

swoją podopieczną wdzięczącą się do szefa – I naturalność. Ania była taka miła, kiedy miała dziesięć lat...

– Spokojnie, nadal jest miła, zobacz, pomaga Matyldzie nieść torby – pocieszył go Matiel, sam niezbyt przekonany do tego, co mówi. Za to Adael wykazał się wyjątkowym taktem: zachował swoje mądrości dla siebie i nic nie powiedział.

## **ROZDZIAŁ 6**

Kiedy Zanael odważył się wrócić do swojej podopiecznej, był już późny poranek. Zuzanna, otulona szlafrokiem, krzątała się po kuchni, szykując kawę. Anioł od razu zauważył, że dziewczyna odżyła. Bijąca od niej aura radości wypełniała całe pomieszczenie. Zawsze tak było; gdy tylko wracał Adam, Zuzanna zmieniała się nie do poznania. Nawet mówiła i poruszała się inaczej, a jej zwyczajowa niepewność zniknęła bez śladu. Dziewczyna tanecznym krokiem przemierzyła kuchnię. Otworzyła lodówkę, przyjrzała się leżącej tam samotnej konserwie turystycznej i zamknęła drzwiczki z powrotem, bez żalu rezygnując ze śniadania. Zanael zostawił ją na chwilę i zajrzał do pokoju. Adam, nadal rozczochrany, ale już ubrany w spodnie i świeżą koszulę, siedział na łóżku. Zawzięcie stukał w klawiaturę laptopa. Miał minę człowieka odpisującego na ważne służbowe maile, i kiedy anioł zajrzał mu przez ramię, okazało się, że

naprawdę to robi.

– Kawusia już gotowa – zaćwierkała Zuzanna, wchodząc do pokoju z dwoma identycznymi kubkami w dłoniach. Usiadła na łóżku, podkulając nogi, i oparła głowę na ramieniu narzeczonego. Zanael westchnął ciężko, patrząc na nich. W innych okolicznościach latałby teraz w kółko pod sufitem, podśpiewując z radości. Ale wiedział, że ta idylla nie potrwa zbyt długo i, co gorsza, on sam miał się przyczynić do jej końca.

– Wybrałam już sukienkę – powiedziała Zuzanna rozmarzonym tonem. Adam przytaknął i objął ją jedną ręką, drugą wysyłając maila. – Dziewczyny mi doradziły.

– Anka i Matylda? – upewnił się. – Co u nich?

Zuza uśmiechnęła się, zadowolona, że spytał.

– Nasza kobieta sukcesu zmienia pracę na lepszą.

– A artystka?

– Nadal wydaje swoją książkę.

– Mmm. To poważna sprawa. – Adam znał całą historię niechcianej powieści Matyldy, chociaż w swoim czasie odmówił lektury, tłumacząc się brakiem zamiłowania do kobiecej prozy.

– Nie zapytałeś, jaką chcę mieć sukienkę – zarzuciła mu Zuzanna żartobliwym tonem. Sięgnęła po laptop. – Pokażę ci, nie wiem tylko, czy nie jest za droga... – Rzuciła mu ostrożne spojrzenie.

– Mówiłem ci, żebyś nawet nie myślała o pieniądzach – odparł Adam, dokładnie tak samo, jak za każdym razem, kiedy dziewczyna wspominała o kosztach wesela. Zuzanna, już spokojna, wpisała w okienku przeglądarki adres sklepu i odszukała wybrany model.

– To ta – rozpromieniła się. Fotografia prezentowała klasyczną długą suknię w kolorze kości słoniowej, z gorsetem wyszywanym w delikatny kwiatowy wzór. Stojący obok Zanael odruchowo spojrzął na własną szatę, zastanawiając się, czy ona też ma kolor kości słoniowej. Wcześniej uważał, że jest po prostu biała.

– Jest wspaniała – pochwalił Adam. – Dokładnie tak ją sobie wyobrażałem.

Anioł odnotował, że narzeczonej Zuzanny ledwo rzucił okiem na ekran. W tej samej chwili rozdzwonił się telefon komórkowy, leżący na samym dnie sportowej torby Adama. Mężczyzna zerwał się, ale potrzebował dłuższej chwili, by go odnaleźć i wyłączyć.

– Kto to był? – Zuzanna oderwała wzrok od monitora.

– Ktokolwiek to był, nie będzie nam teraz przeszkadzał – odparł Adam. Widząc, że jego odpowiedź nie jest satysfakcjonująca, dodał wyjaśniającym tonem:

– Kolega, jeszcze ze szkoły. Spotkałem go przed sylwestrem i teraz nie daje mi spokoju.

Zuzanna, nadal markotna, patrzyła na trzymany przez niego telefon.



– Pogoniłeś już braci? – zapytała w końcu, ostrożnie zaczynając gnębiący ją temat.

– Braci?

– No, za ten żart telefoniczny...

– Żart?

– Kiedy zadzwoniłam do ciebie w Nowy Rok...

– Ach, wtedy!

Zuzanna patrzyła na niego wyczekująco, nagle znów pełna najgorszych obaw. Zanael również czekał, spodziewając się, że mężczyzna powtórzy wcześniejsze łgarstwo. Ale Adam westchnął ciężko, pochylając głowę.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział niespodziewanie. – To było kłamstwo.

Zuzanna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Momentalnie zaczął jej się trząść podbródek.

– Okłamałeś mnie? – powtórzyła.

Adam usiadł przy niej, kładąc rękę na ramieniu dziewczyny, ale ta odsunęła się na drugi koniec łóżka. Zanael nie mógł uwierzyć własnym oczom. A więc tak miało się to skończyć. I to już teraz! Adama w końcu ruszyło sumienie!

– Moja mama czuła się naprawdę źle przed Nowym Rokiem... – zaczął mówić mężczyzna, ku zaskoczeniu anioła zmieniając temat. Zuzanna wydawała się wcale go nie słuchać. Miętosila w palcach brzeg prześcieradła.

– Nie wiedzieliśmy co zrobić. – Ton Adama był coraz smutniejszy. – W szpitalu powiedzieli, że dopóki nie będzie konieczna hospitalizacja, mama ma zostać w domu. Tymczasem ona była taka słaba, że właściwie nie wstawała z łóżka. Nie bardzo potrafiliśmy sobie poradzić. Ja nie potrafiłem – dodał krytycznie.

Zuzanna nie przerywała. Skuliła się w sobie, czekając na dalszy ciąg.

– Potrzebowaliśmy pomocy i tacie udało się znaleźć pielęgniarkę. Była przy mamie przez całą sylwestrową noc i rano... To był najgorszy moment. Ja... Powinienem był ci powiedzieć o wszystkim, ale nie mogłem. Chciałem po prostu przeczekać tę całą sytuację. Tak naprawdę, to zupełnie się rozkleiłem.

– Było aż tak źle? – odezwała się wreszcie Zuzanna. Jej obawy odnośnie mamy Adama zdawały się potwierdzać.

– Nie wiedzieliśmy, jak to się skończy. – Przełknął ślinę. – A ja musiałem pracować, czekaliśmy z ojcem na ważny telefon, tymczasem właściwie nie odchodziłem od jej łóżka... – westchnął. – Poprosiłem pielęgniarkę, żeby odbierała telefony, jeśli ktoś zadzwoni. Wiesz – dodał – że to właściwie służbowy telefon. Nie spodziewałem się, że ty możesz zadzwonić.

– Nigdy pierwsza nie dzwoniłam – przytaknęła Zuzanna.

– Mam sobie za złe, że ci nie powiedziałem. – Adam pokręcił głową. – Nie

chciałem, żebyś wiedziała, jak ciężką mamy sytuację. Nawet nie myślałem jasno, cały czas bałem się o mamę... Ale to mnie nie tłumaczy. Nic nie tłumaczy kłamstwa – dodał mocno.

– Więc rozmawiałam z pielęgniarką... – powiedziała Zuzanna ostrożnie.

– Mam nawet jej zdjęcie! – przypomniał sobie Adam. – Pokażę ci. Bardzo się zaprzyjaźniły z mamą. Jak już poczuła się lepiej, poprosiła mnie, żebym zrobił im zdjęcie na pamiątkę.

Mężczyzna znów sięgnął po telefon.

– Tutaj, zobacz.

Zuzanna wzięła komórkę ostrożnie, jakby bała się ją stłuc. Na małej fotografii widać było siedzącą w fotelu mamę Adama i rudowłosą dziewczynę w swetrze, która pochyliła się, obejmując ją ramieniem.

– Zrobiłem je tuż przed wyjazdem – wytłumaczył Adam. – Widzisz, mama poczuła się już na tyle silna, że wstała z łóżka. Dlatego nie bałem się zostawić jej samej z ojcem i z chłopakami. – Uśmiechnął się, ale tylko na krótką chwilę. – Wiem, że okropnie się zachowałem – powiedział. – To musi być dla ciebie bardzo trudne, zawsze byliśmy ze sobą szczerzy we wszystkim, wiem, że ty nigdy mnie nie okłamałaś. Ja też zawsze byłem z tobą szczerzy. Sama zauważyłaś – uśmiechnął się krzywo – że nawet nie umiem dobrze kłamać. Powiedz mi, jeśli potrzebujesz czasu, żeby wszystko przemyśleć...

Zuzanna, dla której wszystko stało się znów cudownie proste, natychmiast zaprzeczyła. Ujęło ją, że narzeczony aż tak się obwinia o, właściwie zupełnie nieistotne wobec całej sytuacji, kłamstwo.

– Rozumiem, co czujesz... Strasznie mnie boli, że nie powiedziałaś mi od razu, przecież mogłam być przy tobie... Nie, absolutnie się nie gniewam! – odpowiedziała, uprzedzając o sekundę jego pytanie.

– Następnym razem, obiecuję, powiem ci o wszystkim – szepnął Adam, obejmując narzeczoną. Telefon wypadł z jej dłoni na kołdrę, ale na wygaszonym ekraniku nie było już nic widać. I tylko oniemiały Zanael cały czas stał obok i wpatrywał się w aparat, jakby wciąż nie mógł zrozumieć tego, co usłyszał.

Gdy Anna wracała do domu, było już późne popołudnie. Czowała się wspaniale, jak dobry samarytanin, który pomógł człowiekowi w potrzebie. Matylda miała już wszystko, czego tylko kobieta może potrzebować, by oczarować mężczyznę. Został dokładnie tydzień do imprezy w domu kultury. Ustalily, że wybiorą się tam obie, żeby Anna mogła, niejako zza kulis, wspierać przyjaciółkę. Matylda miała jeszcze zadzwonić do Zuzanny, żeby i ją zaprosić, chociaż nie były pewne, czy uda im się oderwać zakochaną narzeczoną od przygotowań do szykującego się ślubu stulecia.

– Już jesteś, jak dobrze! – Mama Anki najwyraźniej na nią czekała, bo

pojawiła się w przedpokoju, gdy tylko dziewczyna przekroczyła próg. – Tata ma dla ciebie wspaniałą nowinę! – oznajmiła.

Zdziwiona Anka zdążyła tylko zrzucić płaszczyk i kozaki. Eleonora pociągnęła ją za sobą do pokoju. Sławomir siedział na swoim fotelu z zadowoloną miną.

– Witam moją pracującą córkę! – Uśmiechnął się, wygłaszając przygotowane zawczasu powitanie.

– Pracującą? – Dziewczyna była zaskoczona, dokładnie tak, jak się spodziewał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiwając głową.

– Twój tata rozmawiał rano z wujkiem – wyjaśniła pani Eleonora tonem pełnym podziwu dla zmyślności męża.

– A potem zadzwoniłem do twojego szefa! – oznajmił Sławomir, pusząc się jeszcze bardziej.

– Do mojego szefa? – Na twarzy jego córki malowały się jakieś uczucia, których za bardzo nie rozumiał, ale wydawały się nie pasować do sytuacji.

– Do twojego szefa, z tej firmy, w której pracowałaś przed Nowym Rokiem. Kiedy byłaś na stażu – wyjaśnił bardzo dokładnie, na wypadek, gdyby Anka nie rozumiała, co powiedział.

– Kiedy?

– Kiedy co?

– Kiedy do niego dzwoniłeś?

– No, rano – odparł Sławomir, nieco zbity z tropu. – Ale to nieważne! – dodał, machając ręką. – Ważne, że sobie pogadaliśmy, to rozsądny młody człowiek, no i twój wujek też się za tobą wstawił i – voilà! Okazało się, że trochę się pospieszyli, nie przedłużając z tobą umowy... Haha, dla mojej córki zawsze znajdzie się wolny etat!

– Cieszysz się, prawda? Podziękuj ojcu, spędził cały ranek przy telefonie! – Pani Eleonora szturchnęła stojącą bez ruchu Ankę.

– Ja...

– Od poniedziałku wracasz do firmy! – Pan Nowicki zdziwił się jeszcze bardziej, nie widząc radości na twarzy córki. Czy to możliwe, żeby Anna nie chciała dobrej roboty? A może w ogóle nie miała ochoty pracować? Przestraszył się, że mógł, przez niedopatrzenie, wychować lenia. Ale, przypomniał sobie, jego córka bardzo chwaliła pracę w tej firmie, i nawet nie trzeba było jej budzić rano, wychodziła z domu przed czasem... Rozmyślenia Sławomira przerwał dzwonek telefonu. Eleonora odebrała i natychmiast przekazała mu słuchawkę.

– Tak? – Sławomir słuchał przez dłuższą chwilę. Resztki dobrego nastroju prędko rozwiały się w powietrzu. Mężczyzna burknął coś kilka razy, a na koniec powiedział „rozumiem, pogadam z nią”. Z ciężkim westchnieniem osunął się w swoim fotelu.

– To był twój wujek – zwrócił się do córki. Tym razem w jego tonie nie było entuzjazmu. – Wygląda na to – zaczął ostrożnie – że jednak nie udało się z twoją pracą.

– Och nie! – Pani Nowicka zasłoniła usta dłońmi.

– Czy mogłabyś mi powiedzieć – Sławomir patrzył na córkę takim wzrokiem, jakby widział ją po raz pierwszy – co takiego wydarzyło się dzisiaj w tym centrum handlowym? Twój wujek twierdzi, że obraziłaś czymś żonę swojego szefa. – Pokręcił głową, nie do końca dowierzając w to, co sam mówi. – Po co zrobiłaś coś takiego? Nawet nie wiedziałem, że się z nimi spotykasz, mówiłaś, że idziesz na zakupy z koleżanką!

– Ja... – Anka chyba po raz pierwszy w życiu zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Eleonora najwyraźniej zaczęła się domyślać, bo patrzyła na córkę z rezerwą.

– Ja...

– Proszę mi natychmiast wyjaśnić tę sytuację! – Sławomir uniósł się na fotelu.

– Wpadłam na nich przez przypadek. – Dziewczyna wreszcie coś powiedziała, więc Sławomir usiadł z powrotem, patrząc na nią odrobinę łaskawiej.

– Ta żona... Ona pomyślała chyba, że mieliśmy... romans, czy coś takiego, bo strasznie na mnie naskoczyła...

– Coś takiego! – Mężczyzna znów podskoczył, wzburzony. Po chwili jednak zaczął się śmiać. – Te kobiety! – Machnął ręką, jakby odganiał muchę. – Co za absurd! Ale skoro to głupie nieporozumienie, to można jeszcze wszystko wyjaśnić, pójdiesz do niej z kwiatami, przeprosisz... – przerwał.

Eleonora nadal przyglądała się uważnie córce.

– Kochanie, to nie było tak do końca nieporozumienie, prawda? – zapytała ostrożnie.

Jej córka miała taką samą minę, jak piętnaście lat wcześniej, kiedy stłukła oszklone drzwi zabytkowej komody piłką do koszykówki.

– Właściwie tak – bąknęła. – To znaczy... – Znacznie trudniej było opowiedzieć o tym rodzicom niż Matyldzie. Nagle wszystko brzmiało dużo, dużo gorzej.

– No cóż, jeśli tylko nie podrywałaś rozmyślnie jej męża, to na pewno wszystko da się wyjaśnić – stwierdził pan Sławomir, z resztkami nadziei w głosie. Ale jego córka spuściła głowę, wpatrując się we wzorek na dywanie.

– Nie bardzo wiedziałam, że ma żonę... – powiedziała w końcu, tak cicho, że ledwo ją było słyszeć. Oczekiwała, że ojciec wybuchnie. I nie przeliczyła się.

## **ROZDZIAŁ 7**

Infantylnie zachowanie, które można by tolerować u nastolatki, ale nie u dorosłej kobiety – tak matka Anki podsumowała całą przygodę córki. Siedząc w swoim pokoju przed włączonym laptopem, dziewczyna wpatrywała się w przestrzeń. Czemu tyle kobiet przeżywa szalone romanse bez żadnych konsekwencji, a ona, nie dość że została odrzucona, to jeszcze wyszła na dziecinną i głupią? Była wściekła, bo po raz pierwszy od wielu lat musiała się spowiadać rodzicom ze swoich spraw sercowych, ale po tym wszystkim, co ojciec zrobił, żeby znaleźć jej pracę, po prostu nie miała innego wyjścia. Od wielkiej awantury – nie można tego inaczej określić – minęło kilka dni. Pan Nowicki miał ochotę wlepić córce areszt domowy, ale przypomniał sobie, że ma do czynienia z teoretycznie od kilku lat dorosłą osobą, więc zamiast tego odbyli poważną rozmowę o jej życiu i przeszłości. Anka już odczuła jej pierwsze skutki.

– Skoro jesteś taka rozrywkowa i nie szanujesz pracy, to teraz sama jej sobie poszukasz! – zdecydował ojciec. – I koniec z marnowaniem pieniędzy w galeriach handlowych! – dodał, chociaż Anka tamtej pamiętnej soboty w Złotych Tarasach nie kupiła sobie nawet lakieru do paznokci. – Jeśli chcesz mieć na przyjemności, to sobie na nie zarobisz!

Eleonora przyszła potem do pokoju córki, żeby ją trochę pocieszyć i zapewnić, że nadal może na nich liczyć, a nawet, pamiętając, że dziewczyna wybiera się za tydzień na „Nowy rok z książką”, wsunęła jej do ręki banknot na wstęp. Ale, jak na kochającą matkę, również była wyjątkowo stanowcza.

– Ojciec nie ma już możliwości, żeby ci pomóc – powiedziała. – Będziesz musiała poradzić sobie sama, jak twoje koleżanki.

Anka westchnęła, myśląc o tym stwierdzeniu. Ma sobie poradzić tak, jak jej koleżanki! To jej koleżanki niby sobie radziły? Zuzanna niedługo wychodziła za mąż i nie potrzebowała pracy. Chyba jedyną rzeczą, którą robiła zawodowo, były korekty tekstów dla jakiegoś internetowego magazynu, który upadł, zanim zdążyli jej zapłacić. Matylda w ogóle była ponad to: myślała tylko o karierze pisarki i ostatnią pracą, jaką podjęła i szybko porzuciła, było roznoszenie ulotek w liceum. Chociaż nie, kiedyś jeszcze odbyła praktyki w kwiaciarni. To było wtedy, kiedy zrezygnowała z pierwszych studiów i przez cały semestr chciała zostać florystką.

– Mam sobie poradzić sama, jak koleżanki – powtórzyła Anka do siebie, rozbawiona. A przecież nie było jej do śmiechu. Po raz pierwszy w życiu czuła, że dobry los się od niej odwrócił.

-

W tym samym czasie, kiedy Anna snuła niewesołe rozmyślenia o szukaniu pracy, Matylda siedziała w auli uniwersytetu przy Krakowskim Przedmieściu. Nadal się wahała, czy nie rzucić kulturoznawstwa, ale póki co postanowiła pochodzić na wykłady – przynajmniej do czasu zimowej sesji. Z przodu sali

profesor snuł jakieś swoje rozważania, spacerując od okna do drzwi i z powrotem. Nie zapuszczał się jednak w okolice ostatniego rzędu i to tam właśnie usiadła dziewczyna. Udało jej się odgradzić od świata dzięki rozmyślnie ustawionej na blacie stolika torbie, obok której stał też termos z gorącą herbatą. Owinęła się w swoje ulubione fioletowo-pomarańczowe poncho i niezainteresowana zupełnie wykładem gryzmołała coś na kartce. Na wolnym miejscu po jej prawej ręce siedział Matiel. Aniołowi podobało się kulturoznawstwo i miał nadzieję, że dziewczyna nie zrezygnuje ze studiów. Wpatrywał się z napięciem w wędrującego profesora, robiąc, dla własnej przyjemności, szczegółowe notatki. Od czasu do czasu, dla porządku, rzucał okiem na Matyldę. Na kartce przed nią powstała imponująca galeria postaci. Wszystkie pochodziły z powieści Matyldy. Dziewczyna najwyraźniej zastanawiała się nad projektem okładki, który planowała podpowiedzieć wydawnictwu. Zakreśliła właśnie na czerwono najlepszy z pomysłów: scenę pocałunku w deszczu. Anioł westchnął, kręcąc głową. Fatalna impreza w domu kultury zbliżała się wielkimi krokami. Cieszyło go tylko to, że znów spotkają się we trójkę. Annael na pewno będzie towarzyszył Annie, a jak się okazało, nie zabraknie też Zanaela. Matylda zaraz po weekendzie zadzwoniła do Zuzanny. Rozmawiały krótko, bo dziewczyna spieszyła się na pierwszą przymiarce wymarzonej sukni ślubnej. Wyglądało na to, że wybierają się tam razem z Adamem i Matiela bardzo zaskoczył taki obrót spraw. Czyżby ten ślub jednak miał się odbyć? Współczuł szczerze Zanaelowi, który miał coraz mniej czasu, żeby powstrzymać swoją podopieczną przed największym życiowym błędem, który ta z radosną nieświadomością faktów zamierzała popełnić już za parę miesięcy.

– No dobrze – westchnęła w końcu Anna, ogłaszając samej sobie koniec smucenia. – Jeśli mam to zrobić, to zacznę teraz.

Ostatecznie przyjaciółki nie bez powodu nazywały ją „kobietą sukcesu”. Nowy rok zaczął się fatalnie, ale jedna czy dwie porażki (przypomniała sobie nagle o tej dziwnej historii ze spławikami) nie mogą jej złamać. Przede wszystkim potrzebowała dobrego CV. Przy stażu, który załatwił jej wujek, ten dokument w ogóle nie był potrzebny, więc teraz musiała zacząć pracę od zera. To oznaczało włączenie dobrej muzyki i utworzenie nowego pliku w Wordzie. Annael, zaintrygowany, pochylił się nad jej ramieniem, obserwując powstające *curriculum vitae*. Dziewczyna zaczęła od wybrania naprawdę dobrego zdjęcia, wpisała datę ukończenia studiów, przemilczając nie za wysoką średnią, i odszukała swoją umowę stażową, żeby przypomnieć sobie nazwę firmy, w której pracowała. Zatrzymała się na dłużej przy kompetencjach zawodowych, niepewna, co ma tam wpisać. Przez trzy miesiące zajmowała się głównie dobieraniem ładnych ubrań i makijażu do pracy, a poza tym robiła to, co jej kazano. Ale czy obsługa kserografu jest kompetencją zawodową? Brała udział w „burzach mózgów”, kiedy

faceci zastanawiali się nad chwytliwymi hasłami reklamowymi, ale głównie po to, żeby z podziwem słuchać pomysłów szefa. No i miała odpowiadać za telefony i maile, ale ktoś i tak zawsze stał nad nią, pilnując, żeby napisała to, co trzeba. Najlepiej chyba wychodziło jej parzenie kawy i rozmowy ucinane z innymi pracownikami, którzy w większości naprawdę ją polubili. Wyraźnie nikomu tam nie przeszkadzało, że dziewczyna spędza większość czasu bez konkretnego zajęcia. Ale to był staż, prawda? Nie musiała jeszcze umieć niczego specjalnego. Anna zastanowiła się. Puste miejsce w polu z kompetencjami zawodowymi nadal wyglądało fatalnie, więc po głębszym namyśle wyrzuciła cały nagłówek i wpisała na jego miejsce „umiejętności interpersonalne”. Tutaj mogła się wykazać! Na świecie było niewiele osób tak kontaktowych, przyjacielskich, dobrze czujących się w grupie, elokwentnych i nastawionych na współpracę jak Anna.

Annael kiwał głową, śledząc pracę dziewczyny. CV, chociaż krótkie, nie robiło jego zdaniem najgorszego wrażenia, a największym plusem było piękne duże zdjęcie. Anioł nie był tylko pewien, dlaczego jego podopieczna postanowiła nakłamać, pisząc o swoich zainteresowaniach. Rozglądając się, chociażby pobieżnie, po jej pokoju, widziało się głównie stosy kolorowych gazet, ubrania, trochę kosmetyków i imponującą kolekcję zagranicznych magazynów poświęconych modzie. Dla anioła było to wszystko mało ciekawe, zwłaszcza że sam miał jedną białą szatę, a i to niematerialną, więc zasadniczo w kolorze niewidzialnej bieli. Ale wiedział, że jego podopieczna posiada imponującą wiedzę na temat tego, co człowiek powinien zrobić, żeby ubrać się modnie, a nawet wyprzedzić bieżące trendy. Spodziewał się, że w CV Anny znajdzie się jakaś wzmianka o tym wszystkim. Tymczasem dziewczyna po półgodzinnym namyśle postanowiła napisać, że interesuje się sztuką, literaturą i teatrem, w którym nie była przecież od podstawówki.

– I jak jej idzie? – Przez otwarte drzwi do pokoju Anny wsunęła się głowa Elechiela, opiekującego się matką dziewczyny. Wyglądał na zatroskanego. Często zdarzało mu się, że z rozpędu przejmował zadania Eleonory, takie jak zamartwianie się losem jej córki.

Annael wzruszył ramionami. Nie wspominał Elechielowi o tym, że od nowego roku nie będzie wspierał dziewczyny w jej poczynaniach. Tym bardziej nie chciał mu się przyznać, że zamierza zrobić wszystko, żeby Anna odnalazła nie sukces zawodowy, ale dużo ważniejsze rzeczy, jak wewnętrzny spokój, wrażliwość na innych i pokorę.

– Nie najgorzej, kończy pisać swój życiorys – odparł ostrożnie. – A co tam w telewizji?

Zarówno Elechiel, jak i Sławiel, anioł stróż Sławomira, mieli zwyczaj spędzać wieczory przed telewizorem, oglądając program wraz z panem domu. Elechiel szczególnie lubił programy przyrodnicze, a Sławiel kreskówki, i często



zdarzało się, że telewizor sam zmieniał kanały, nieodmiennie wprawiając tym domowników w zadziwienie. Oba anioły wykorzystywały fakt, że elektroniczne urządzenia, takie jak telewizor, są bardzo łatwe do kontrolowania przez niematerialne istoty. Dzieje się tak dlatego, że sam prąd jest ze swojej natury czymś niewidzialnym i tajemniczym. Jeszcze łatwiej podlegał wpływom niematerialnych istot (zarówno tych dobrych, jak i niedobrych) internet. Annael zamierzał zresztą (i to też była tajemnica!) wykorzystać niebawem ten fakt do własnych celów.

– Nic ciekawego. – Elechiel wzruszył ramionami, nadal ciekawie zerkając w stronę Anki. – Sławomir ogląda mecz. Nie można mu zmienić kanału, już próbowałem. Chyba bardzo zdenerwował się problemami z córką. A tak przy okazji, nie wiesz, co się stało z tymi spławikami?

Annael poczerwieniał. Nie mógł skłamać, bo anioły nigdy nie kłamią.

– Mam nadzieję, że wrócą na swoje miejsce – rzucił surowo Elechiel, obserwując jego reakcję. – Sławomir już kupuje nowe, ale wydaje mi się, że może jeszcze anulować to zamówienie...

## **ROZDZIAŁ 8**

Matylda się spóźniała. Anka z Zuzanną już od piętnastu minut krążyły po holu osiedlowego domu kultury. Zdążyły zostawić płaszcze w szatni, obejrzeć wielki transparent z napisem „Rozpocznij nowy rok z książką” i wystawkę

z nowymi pozycjami wydawnictwa Książka i Myśl, a nawet zamienić parę zdań z zaaferowaną Olgą, która zajmowała się cateringiem. Biegając między główną salą a zapleczem, znalazła chwilę, żeby przynieść dziewczynom kubeczki z gorącą, zachęcająco parującą kawą. W zimny styczniowy wieczór kawa była najbardziej rozchwytywanym napojem. Tym razem, pomimo że w domu kultury roiło się od literatów, okazała się bardziej popularna nawet od wina.

Anka oparła się o ścianę, patrząc znacząco na ścienny zegar. Nie była jednak zirytowana, wprost przeciwnie. Cały zeszły dzień spędziła na wysyłaniu odpowiedzi na znalezione w internecie oferty pracy. Była właściwie pewna, że zaraz po weekendzie pojawią się pierwsze owoce wczorajszego wysiłku. Poradzi sobie, i to bez niczyjej pomocy! Poza tym, jakimś cudownym sposobem, zaginione spławiki odnalazły się na swoim miejscu w szafce i ojciec dziewczyny był w znacznie lepszym humorze. A co za tym idzie, wszyscy domownicy czuli się dużo lepiej. Pan Sławomir pochwalił też plany Anny na dzisiejszy wieczór i nawet dał jej pieniądze na bilet wstępu, zupełnie nieświadomy, że wcześniej to samo zrobiła jego żona. Teraz Anna mogła skoncentrować się całkowicie na wsparciu Matyldy. Zdecydowała się nawet na pewne poświęcenie, póki co jednak przez nikogo niedocenione: aby nie przyćmić przyjaciółki własnym blaskiem, ubrała się w czarny workowaty golf.

Stojąca tuż obok Zuzanna wydawała się nieobecna. Ankę trochę to deprimowało. Poza nimi po holu krążyła para aniołów. Co ciekawe, w podobnych nastrojach co ich podopieczne: Zanael wydawał się zgaszony, za to Annael promieniał.

– Hahaha, wyobraź to sobie! – opowiadał Zanaelowi. – Ona wysyła te maile, a ja siedzę sobie na łączu i robię takie anielskie „kasuj, kasuj”. Czasem robiłem też „spam, spam” – dodał rozbawiony.

– Nic jej nie przepuściłeś? – zapytał grzecznościowo Zanael. Myślami wyraźnie był gdzie indziej.

– Ani jednego małego mailika – potwierdził anioł. – Jeśli tylko nie wpadnie na to, żeby szukać tej pracy na piechotę, to będzie dużo łatwiej, niż myślałem! Zobacz – dodał znacząco – los zaczął ją doświadczać niedawno, a już jest bardziej wrażliwa na innych. I nawet ubiera się lepiej, tak skromniej i stosowniej. I nie nałożyła dzisiaj na buzię tych wszystkich papuzich kolorów.

– Mhm – mruknął Zanael.

– No, powiedz, czy nie odwaliłem świetnej pracy? I to zaledwie w dwa tygodnie!

– Mhm.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Zanael nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili w drzwiach pojawiła się Matylda. Oba anioły zamilkły, zadziwione jej wyglądem. Niesforne czarne loki,

po których dziewczynę można było rozpoznać z daleka, zniknęły, zastąpione przez misternie upięty wysoki kok. Przez całą drogę szła pod parasolką, żeby padający śnieg nie zrujnował jej makijażu: pomalowanych na czarno oczu z niesamowicie długimi, podkreconymi rzęsami. Koronkowa bluzka, pożyczona od Anki, miała imponujący, przyciągający wzrok dekolt. Całości dopełniała nie za długa spódniczka, cienkie rajstopy i szpilki na piętnastocentymetrowych obcasach. Nietrudno było się domyślić, że to one stanowiły przyczynę spóźnienia.

– Kilka razy myślałam, że zginę – zwróciła się z westchnieniem do przyjaciółek. – Przez cały ostatni odcinek drogi szłam jak żuraw, tylko wyciągałam te obcasy ze śniegu i...

– Kim pani jest? – zapytała Anna z zadziwieniem, a nawet odrobiną zazdrości w głosie. – Ja chyba pani nie znam! Pani wygląda jak gwiazda! Może powinnam prosić o autograf?

Matylda uśmiechnęła się niepewnie.

– Jest ładnie? – upewniła się.

– Jest niezmiernie! – Anka nie mogła oderwać wzroku od przyjaciółki. Podeszła do Matyldy, poprawiła wystający z koka kosmyk włosów i cofnęła się o krok, jak malarz, który właśnie ukończył swoje dzieło. Matylda zmieniła się nie do poznania. I w tym nowym wcieleniu mogłaby z powodzeniem ozdabiać okładkę dowolnego magazynu o modzie, a to, w odczuciu Anny, zasługiwało na największy podziw.

– Chodźmy! – klasnęła w ręce. – Przecież zaraz zacznie się prelekcja twojego przyszłego chłopaka!

Wojciech Miśkiewicz długo przygotowywał się do tegorocznego wystąpienia. Dom kultury zasugerował mu półgodzinne przedstawienie wydawnictwa i najciekawszych propozycji czytelniczych, ale ostatecznie, korzystając ze swojego statusu najważniejszego gościa, wynegocjował czterdziestopięciminutowy wykład na dowolny temat. Dyrektorka domu kultury, przysadzista i bardzo ugodowa pani Beatka, zgodziła się również z jego sugestią, że to ona powinna opowiedzieć zebranim gościom, które pozycje wydane w ostatnim roku przez Książkę i Myśl są szczególnie warte uwagi. Dzięki temu zadowolony Wojciech miał nadzieję skoncentrować się całkowicie na pasjonującym go temacie prelekcji. Jednak teraz, rozglądając się po sali, zaczął wątpić, czy nie przecenił możliwości słuchaczy. Na rozkładanych krzeselkach siedziały, jak zawsze niezawodne, panie z biblioteki, w połowie sali rozlokowały się rodziny z dziećmi i emeryci, a bliżej przodu dziennikarze z osiedlowej gazety „Twój dzień”. Ci ostatni stanowili szczególnie specyficzną mieszaninę ludzkich typów, w większości źle odżywionych, ale za to zawsze czymś zaaferowanych. Jego uwagę zwróciły jednak przede wszystkim trzy dziewczyny, które nie

oglądając się na nikogo, zajęły pierwszy rząd, zwyczajowo zarezerwowany dla vipów i dla rodziny, której jednak pan Wojciech nie posiadał, odkąd po śmierci ojca przejął kierowanie wydawnictwem. Potarł wąsy nerwowym ruchem. Oceniał, że z trzech dziewcząt tylko jedna, ta niepozorna, w czarnym swetrze, zdradza jakieś objawy inteligencji. Dwie pozostałe, a już szczególnie pulchna brunetka, wciśnięta w miniaturową spódniczkę, najpewniej znalazły się na jego prelekcji przez pomyłkę. Ale był mężczyzną i musiał wziąć to na klatę.

Odchrząknął, postukując lekko w mikrofon. Nie miał już wyboru, musiał mówić zgodnie z planem.

– Witam państwa serdecznie w ten piękny sobotni wieczór – zaczął rażno. – Korzystając ze swobody, jaką pozostawiono mi w wyborze tematu – uśmiechnął się znacząco do pani Beatki, która natychmiast się rozpromieniła – opowiem dziś państwu o filozoficznym aspekcie pracy wydawcy. Jak być może zdążyli państwo zauważyć, zatytułowałem moje wystąpienie „Prawa ducha a prawa rynku”. W ciągu najbliższej godziny padną tu nazwiska, które na pewno nie są państwu obce. Mam oczywiście na myśli Karola Marksa i Georga Wilhelma Friedricha Hegla. Mam nadzieję, że nie urażę nikogo z zebranych, jeśli uda mi się, jak to zaplanowałem, wykazać wyższość ducha, w tym wypadku ducha literatury, nad przyziemnymi prawami rynku...

– Będzie mówił o Heglu? – szepnął zaskoczony Annael.

– Znałem kiedyś anioła stróża, który opiekował się Heglem – odszepnął Zanael. – Dawno, dawno temu. Łatwego życia to on nie miał.

Mówili cicho, ponieważ sala pełna była niewidzialnych gości: połowę podium za plecami prelegenta zajęli aniołowie, kilku siedziało też na wolnych krzeselkach z boku, blisko Annaela i Zanaela. Nie mieli stąd dobrego widoku na dziewczęta w pierwszym rzędzie, ale za to mogli się wygodnie oprzeć na blatach stojących pod ścianą ławek. Z każdą minutą prelekcji blaty wydawały się coraz bardziej kusząco wygodne. Jednak zanim aniołowie zdążyli się zdrzemnąć, na salę wbiegł straszliwie spóźniony Matiel.

– Odnosiłem książkę – stwierdził enigmatycznie, siadając.

– Książkę?

– Powieść Matyldy – wyjaśnił. – Schowała ją do torebki, na wypadek gdyby udało jej się już dziś porozmawiać z wydawcą. Udało mi się capnąć wydruk dopiero w połowie drogi tutaj, kiedy na chwilę usiadła na ławce i odstawiła torbę. Wicie, musiała odpocząć, przez te buty.

– I co z nią zrobiłeś? – zainteresował się Annael.

– Odniosłem do domu. – Matiel wzruszył skrzydłem. – Pakowała do tej torby setki rzeczy i strasznie się spieszyła, więc uwierzy, że zostawiła ją na biurku.

– Sprytnie – pochwalił Annael.

– A niech to! – szepnęła w tej samej chwili Matylda, zaglądając dyskretnie do torebki. – Zapomniałam książki!

– Jak to zapomniałaś? – Anna odwróciła się w jej stronę.

– O ja głupia..! – jęknęła pisarka.

– Tsss... – Anka trąciła ją ramieniem, dostrzegając, że prelegent znacząco przerwał wykład i patrzył w ich stronę. Speszona Matylda zamilkła. Wojciech Miśkiewicz odchrząknął, mówiąc dalej:

– Przyjmując stanowisko idealistyczne, zgadzamy się, że duch nie tylko góruje nad materią, ale że wręcz stanowi jej wewnętrzną prawdę...

– Notatki! – szepnęła odkrywco Anka, podsuwając Matyldzie notes i długopis. – Notuj! Zrobisz wrażenie!

Prelegent znów na chwilę przerwał, ale Anka uratowała sytuację, znaczącym ruchem machając w powietrzu długopisem. Wojciech uśmiechnął się, dostrzegając takie zainteresowanie.

– Powtórzę tę myśl, gdyby chcieli państwo zanotować – powiedział, uśmiechając się znów, tym razem konkretnie do Anki, która chcąc nie chcąc zaczęła gorączkowo pisać w notesie. – Wyższość Hegla nad Marksem polega, w moim mniemaniu, właśnie na uznaniu prymatu ducha nad materią, na uznaniu, że istnieją siły kreujące ten świat, siły pozornie niewidzialne...

– Słuchaj, chyba jest o nas! – Matiel, nagle zainteresowany, szturchnął Annaela.

– Błąd Marksa, na szczęście dziś nie strach mówić o tym otwarciu, polegał na sprowadzeniu wszystkiego do parteru, na całkowitym uzależnieniu ducha od rzeczy tak przyziemnych, jak prawa rynku. Jak niektórzy z państwa pamiętają, doprowadziło to do wielu absurdalnych twierdzeń...

– Tak, tak, Marks był wielkim filozofem! – przytaknął jakiś niedosłyszający staruszek z tyłu i przysunął się bliżej, żeby nie uronić ani słowa z prelekcji. Szczęśliwie poza nazwiskiem Marksa niewiele udało mu się dosłyszeć.

– Uff... – Korzystając z okazji, Anka przekazała notatnik Matyldzie. – Notuj! – szepnęła. Ta jednak, spojrzawszy na zeszyt, wybuchnęła mimowolnym śmiechem. Anka nie zapisała ani słowa, za to narysowała u góry strony małego duszka podpisanego „Hegel”.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – kontynuował swoją prelekcję Wojciech, patrząc z jawnym już oburzeniem na Matyldę. – Ten błąd filozofa pociągnął za sobą nie tylko upadek myślenia, ale też, chociaż jest to, jak państwo wiedzą, daleka konsekwencja, doprowadził cywilizację europejską do przemian, w wyniku których zginęło wielu ludzi...

– Tak! Marks był wielkim filozofem! – Staruszek z tyłu wykorzystał ten moment, żeby zacząć klaskać, a Anna znów trąciła Matyldę.

– No, skup się – syknęła – Nie będziesz wiedziała, o co go zapytać!

– To jak mam jednocześnie się w niego wpatrywać i notować, co mówi? – westchnęła Matylda. Anka, zamiast odpowiedzieć, odebrała jej notes. Wojciech Miśkiewicz w tej samej chwili rzucił okiem na przód sali, żeby odnotować z satysfakcją, że dziewczyna w czarnym swetrze nadal pilnie robi notatki.

– I teraz musimy zadać sobie ważne pytanie – oznajmił. – Jak przełożyć te filozoficzne idee na praktykę wydawniczą? Czy wydawca powinien dziś kierować się prawami ducha czy prawami rynku? – Zrobił dramatyczną pauzę, naprawdę zadowolony, że udało mu się tak postawić pytanie. – Zdradzę teraz państwu tajemnicę nazwy Książka i Myśl. Jakie pozycje chcemy wydawać? Sięgnijmy głębszych znaczeń! To, co nam współczesne, decydujące o naszym życiu, ale i szybko przemijające, to prawa rynku. Dzisiejsza nowość jest jutrzejszą starością, gusta czytelników zmieniają się jak w kalejdoskopie. Co zatem jest niezmiennie? To, co należy do ducha! Do dziś porusza nas *Iliada*, greckie dramaty, takie jak...

– Obudź się, niedługo koniec. – Matiel szturchnął Annaela. Ale ten, z głową opartą o ramię rozciągniętego na blacie stołu Zanaela, nawet się nie poruszył. Prelegent kontynuował tymczasem wyliczanie nieśmiertelnych dzieł ludzkiego ducha, porozwodził się jeszcze przez chwilę nad trudnością, którą dla wydawcy stanowi rozbieżność praw ducha z prawami rynku, a na koniec zapewnił, że misją Książki i Myśli jest poszukiwanie we współczesnej prozie dzieł nieprzemijających. Siedząca z przodu Matylda bardzo się ożywiła, słysząc to stwierdzenie. Wydawca pokłonił się, a przez salę przetoczyły się zasłużone oklaski. Najgłośniej klaskały dziewczyny z pierwszego rzędu i staruszek-marksista.

– Czy mają państwo jakieś pytania? – Wojciech się rozpromienił, słysząc głośne brawa. Anka, która tylko czekała na ten moment, pochyliła się do Matyldy.

– Zapytaj go, czy te prawa rynku... – zaczęła szeptać, zupełnie nieświadoma faktu, że prelegent właśnie na nią spoglądał.

– Słyszę, że pani z przodu ma jakieś pytanie... – powiedział, zadowolony, że jego przypuszczenia się sprawdziły. – Bardzo proszę, nie ma się czego bać! – zachęcił ją.

– Um... – Anka, zaskoczona, podniosła wzrok. Jednak wyglądało na to, że po prostu musi się odezwać. Prelegent patrzył na nią wyczekująco. – Chciałam zapytać, czy jest możliwe, że prawa rynku ulegną pod naporem ducha literatury? – Anka zadała swoje bardzo starannie obmyślane pytanie.

– To znakomite pytanie! – ucieszył się Wojciech. Nie pomylił się w ocenie swojej słuchaczki. – Oczywiście, odpowiadając jednym słowem, powiedziałbym, że tak. Jednak musimy pamiętać, że mamy tu do czynienia z dwoma nieprzystającymi modelami świata... – zaczął mówić, nieświadom, że interesująca dziewczyna w czarnym swetrze zupełnie nie słucha jego wywodów. Anka gorączkowo starała się wymyślić jeszcze jedno, równie dobre pytanie, by móc je

podpowiedzieć Matyldzie. Tymczasem ta siedziała, wpatrzona w prelegenta, i wyglądało na to, że również bardzo intensywnie myśli.

– Już mam! – szepnęła nagle do Anki, potwierdzając jej przypuszczenia. Widać było, że niecierpliwie czeka na przerwę w monologu wydawcy. Jednak ten nadal rozwodził się nad pytaniem Anny, a co gorsza od czasu do czasu zerkał w jej stronę i uśmiechał się, dodając coś w stylu: „jak zapewne pani się domyśla” albo nawet „co dla mnie i dla pani jest oczywiste...”

Matylda kręciła się coraz bardziej nerwowo. W końcu prelegent przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. Niestety, w tym właśnie momencie swoją szansę dostrzegł inny słuchacz. Pech chciał, że był to młody człowiek, studiujący zaocznie filozofię.

– A-a czy-y mógłbym zapytać, ja-jakie widzi pan przełożenie pomiędzy, eeem, Hegłowskimi p-pra-prawami dialektyki a rozwojem branży wydawniczej? – zapytał, trochę się jąkając i kilkakrotnie poprawiając okulary. – Cz-czy d-dobrze się domyślam, że branża wydawnicza m-musi w swoich, eee, że tak powiem, działaniach, sz-szukać zł-złotego środka pomiędzy, nazwijmy to, Scyllą p-praw rynku, a-a Charybdą du-du-du-ducha absolutnego?

Wojciech Miśkiewicz nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. A pomyśleć, że tak nisko ocenił zebraną publiczność!

– Dokładnie tutaj leży sedno problemu! – niemal wykrzyknął. – Jak pan trafnie zauważył...

– Pfff... – Matylda zapadła się w sobie. Anka mogła tylko rzucić jej współczujące spojrzenie. Miały z głowy następny kwadrans. Co gorsza, jak łatwo można było zorientować się po minie dyrektorki domu kultury, czas przeznaczony na pytania publiczności właściwie dobiegł już końca.

## ROZDZIAŁ 9

– A miałam takie świetne pytanie! – jęknęła Matyllda. Po prelekcji wszystkie trzy przyjaciółki zebrały się w holu, przy stoiskach z książkami. Zuzanna nadal wyglądała na trochę nieobecna, ale dwie pozostałe dziewczyny gorączkowo omawiały spotkanie, zastanawiając się, co mogło pójść źle w tak znakomicie opracowanym planie. Stały tu zaledwie kilka minut, a do Matylldy, zwabiony jej nowym urokiem, zdążył podejść już i jękający się student, i jakiś dziennikarz z „Twojego dnia”. Ten pierwszy zdecydowanie za bardzo się zacukał, by można było zrozumieć, co próbuje powiedzieć, natomiast dziennikarz strasznie chciał przynieść dziewczynom cokolwiek do picia, przy czym widać było, że szuka kontaktu właśnie z Matylldą.

– Chciałam się dowiedzieć, po czym wydawca może rozpoznać powieść, która jest nieprzemijającym dziełem ducha! – westchnęła niedoszła pisarka. – Nie uwierzycie, ale nawet podobał mi się ten wykład... I naprawdę chciałam go o to zapytać!

Anka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jeszcze możesz go zagadnąć. – Milcząca Zuzanna wreszcie się odezwała, wskazując nieznacznym ruchem głowy na korytarz. Rzeczywiście: w ich stronę zdążył sam wielki wydawca Książki i Myśli. Matyllda aż wstrzymała oddech. Jednak Wojciech Miśkiewicz skierował swoje kroki wprost do Anki.

– Bardzo mi było miło, że wysłuchały panie z takim zainteresowaniem mojej



prelekcji – rzucił grzecznościowo, nie patrząc ani na Zużę, ani tym bardziej na Matyldę. – Pani pytanie o relację ducha do praw rynku było niezwykle trafne. – Z niekłamanym podziwem wpatrywał się w Annę. – Czy mógłbym zapytać... Może studiowała pani filozofię?

– Em, nie, tylko polonistykę. – Anka patrzyła w podłogę, starając się z całych sił ukryć swój urok osobisty, a już pod żadnym pozorem nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. – Ale moja koleżanka studiowała przez jakiś czas filozofię... – podjęła próbę skierowania uwagi wydawcy na stojącą obok Matyldę. Niestety, bezskutecznie.

– Polonistyka! – Wojciech Miśkiewicz, zachwycony, potarł wąsy. – Ja również studiowałem polonistykę! Chociaż miałem też do czynienia z filozofią, a nawet z teologią i z kulturoznawstwem!

– Och, moja koleżanka studiuje teraz właśnie kulturoznawstwo...! – Kolejna próba przyniosła równie mierne rezultaty. Wydawca chyba nawet nie usłyszał tej uwagi, skoncentrowany całkowicie na intrygującej intelektualistce.

– Interesuje się pani może egzystencjalistami? – zapytał. Chyba miał to być żart, bo uśmiechnął się pod wąsem i, niby to przypadkiem, musnął rękaw czarnego swetra Anki. Ta cała zdrętwiała.

– Eee, nie, nie za bardzo... Ja raczej wolę takie weselsze książki... – wymamrotała. Pech chciał, że powiedziała to za cicho i Wojciech musiał przysunąć się dużo bliżej, żeby cokolwiek dosłyszeć.

– Wesole książki! To świetnie! To może zainteresowało panią coś z nowej komediowej serii Książki i Myśli? Gdybym mógł zaoferować pani mały prezent, na do widzenia...? – dopytywał się. Anka nie zdążyła nic odpowiedzieć, pociągnięta zdecydowanym ruchem w stronę stoiska.

– Jakie książki pani lubi? – dopytywał się wydawca. Matylda wielkimi oczami obserwowała całą scenę. Anka, ponad ramieniem Wojciecha Miśkiewicza, rzuciła jej bezradne spojrzenie. W końcu, przymuszona przez wydawcę, capnęła pierwszą książkę z brzegu i nie czekając na kolejne propozycje, pospiesznie skierowała się do drzwi wyjściowych. Desperacko zastanawiała się, jak umknąć niedoszłemu wydawcy Matyldy. Jednak pośpiech jej nie sprzyjał.

– Mam niedługo pociąg! Nie mogę się spóźnić! – wykrzyknęła w końcu, widząc, że Wojciech Miśkiewicz próbuje kontynuować rozmowę. I nawet niemal udało jej się wybiec z budynku, ale wydawca, zamiast zostawić ją w spokoju, popędził za dziewczyną.

– Ale proszę pani! – zaprotestował, zdziwiony. – Przecież jest mróz! Wychodzi pani bez płaszcza?

Anka zatrzymała się na chwilę. Faktycznie! Co miała robić? Stała już w drzwiach, płaszcz został w szatni, a wydawca był coraz bliżej!

– Nic nie szkodzi! Jest mi ciepło! – odkrzyknęła zdesperowanym tonem. Ale

dżentelmen, jakim bez wątpienia był Wojciech, nie mógł się na to zgodzić.

– Odwiozę panią na dworzec, będzie szybciej! Nie może się pani przeziębic! – zawołał dziarsko. – Jeszcze złapiemy ten uciekający pociąg! – dodał, chwytając Ankę pod ramię i ciągnąc ją w stronę zaparkowanego niedaleko samochodu. Po pośpiechu dziewczyny wywnioskował, że liczy się każda sekunda, dlatego krótki odcinek między drzwiami domu kultury a autem przebyli biegiem.

– Pewnie odjeżdża z Centralnego? Proszę się nie martwić, za dziesięć minut będziemy na dworcu! – zapewnił, podczas gdy Anka, przeklinając swoją głupotę, wsiadała do samochodu. Podczas trwającej kilkanaście minut jazdy Wojciech zdążył ją jeszcze zaprosić na wiosenne „Spotkania z książką”, które miały się odbyć pod koniec maja, i na cykl własnych prelekcji, które, jak się okazało, i w tym roku wygłaszał gościnnie na polonistycie. Jednak wobec braku zainteresowania zarówno sobą, jak i swoimi przyszłymi wystąpieniami, który nagle wyczuł ze strony dziewczyny, uparcie milczącej przez całą drogę, porzucił kiełkujący mu w głowie pomysł zadedykowania jej niewielkiej broszury filozoficznej własnego autorstwa.

– Odprowadzić panią? – zapytał tylko, zatrzymując samochód przy przystanku autobusowym, ale Anka wysiadła pospiesznie.

– Poradzę sobie, bardzo dziękuję! – udając wielki pośpiech, pobiegła w stronę hali głównej dworca, nadal mając na sobie tylko sweter, ale za to z wesołą powieścią pod pachą. Wojciech pokręcił głową i zawrócił w stronę domu kultury.

Tymczasem zdezorientowana Matylda jeszcze chwilę pozostała w holu domu kultury, mając za towarzystwo tylko mało rozmowną Zuzannę. Wyglądało na to, że nie mają tu już nic do roboty, odkąd wydawca zniknął, zabierając ze sobą Ankę. Dziewczyny pożegnały się zdawkowo i rozeszły się, każda w swoją stronę. Matylda wystukiwała po drodze SMS-a do Anki. Obie wyglądały na przybite.

– Misja wykonana, niebezpieczeństwo zażegnane – rozpromienił się Matiel. Zanael odwzajemnił się wątłym uśmiechem. Aniołowie zostali na imprezie w domu kultury trochę dłużej. Nie było z nimi tylko Annaela, który popędził za Anką, żeby zobaczyć, dokąd pojedzie z wydawcą i dopilnować ich bezpieczeństwa na drodze.

– Widzisz, ściśle zgodnie z planem: nie mogła nic zdziałać, bo nie miała ze sobą swojej książki – ocenił Matiel. – Znakomicie to rozegrałem – dodał. Na chwilę zapadła cisza, po której Matiel z większą uwagą spojrział na Zanaela.

– A tej twojej dziewczynie to co się stało? – zadał w końcu pytanie, na które zasmucony anioł tak naprawdę czekał przez całą imprezę.

– Ten jej narzeczony... – westchnął Zanael, strosząc pióra, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

– Przestaje im się układać? – domyślił się Matiel. – Pownieneś się cieszyć, o to nam chodziło!

Jednak Zanael pokręcił głową.

– To strasznie skomplikowane – powiedział. – Sam nie wiem, co o tym myśleć.

– Opowiedz, może coś wymyślimy we dwójkę – zachęcił go Matiel.

– Mieli się wybrać pooglądać ślubne sukienki – westchnął Zanael. – To było parę dni temu. Wiesz, Zuza miała już nawet wybrany model. Widziałem w internecie. Ale musieli się udać do salonu, żeby ją obejrzeć i przymierzyć. Adam przyjechał po Zuzę wcześniej... I ledwo mama Zuzy zdążyła mu zrobić herbatę, on nagle zaczął opowiadać jej rodzicom o problemach w firmie...

– W firmie jego ojca? – upewnił się Matiel.

Anioł przytaknął.

– W tej, którą ma odziedziczyć. Adam mówił o problemach finansowych i o tym, że mają zły moment... Wydaje mi się, że Zuzannę zupełnie to zaskoczyło, wyglądało na to, że narzeczony nie wspominał jej o tej sytuacji. Wiesz, ten chłopak nic nie powiedział wprost, ale było jasne, że po prostu nie ma pieniędzy ani na sukienkę, ani na wesele...

Matiel wzruszył ramionami.

– Im mniej pieniędzy, tym lepiej dla duszy – zauważył. – Poza tym nigdy nie podobała mi się ta ich firma. Co oni produkują? Kafelki?

– Dachówki, ale nie o to chodzi – westchnął Zanael ze zniecierpliwieniem. – Zresztą, matka Zuzanny, która lubi Adama, strasznie się zmartwiła i zaproponowała, że wobec takiego obrotu spraw to ich rodzina pokryje koszty ślubu. Nie wydaje mi się, żeby ojciec Zuzy jakoś szczególnie się ucieszył, ale zgodził się z żoną.

– Czyli Adam jest teraz biedny – podsumował Matiel. – Ale czym ty się martwisz?

Zanael znowu się zasepił.

– To wszystko było trochę dziwne – zauważył. – Poza tym nie podobała mi się reakcja Zuzanny. Powinna była się obrazić albo popłakać, przecież obiecał jej ślub marzeń, a dziewczyny przywiązują straszną wagę do obietnic, prawda? Najlepiej by było – rozmarzył się – żeby w ogóle odwołali tę całą uroczystość. Tymczasem ona... – Przerwał, szukając właściwych słów. – No, sam widziałeś, jakby się, hm, zawiesiła – dokończył. Nie przychodziło mu do głowy lepsze porównanie.

– I pojechali po tę sukienkę? – dopytywał się Matiel.

– Tak, teraz to tata Zuzanny ją kupuje – potwierdził Zanael. – Wiesz, nie jestem pewien... Ale może to nie jest prawda, to wszystko, co Adam mówił o firmie? Może ich biznes wcale nie ma problemów?

– Myślisz, że nadal jest bogaty? – Matiel zdziwił się i bardzo głęboko zamyślił. – Tylko nie chce wydawać swoich pieniędzy na ślub?

Anioły są z natury prawdomówne, więc często z trudem przychodzi im choćby podejrzenie, że ktoś mówi nieszczerze. Podobnego trudu wymaga od nich zrozumienie wagi, jaką ludzie przywiązują do pieniędzy, a zwłaszcza do gromadzenia ich na kontach. Tak więc Matiel musiał dokonać prawdziwego wysiłku intelektualnego, aby zrozumieć sytuację nakreśloną mu przez opiekuna Zuzanny.

– Skoro Adam kłamie w tylu różnych sprawach, to może kłamać i w tej – potwierdził Zanael. – Myślałem nad tym długo i to jest logiczny wniosek. Próbowałem pogadać z Adaelem, ale on nie chce mi nic powiedzieć. Jak zawsze – westchnął. – Pójdę posiedzieć z Zuzanną – stwierdził w końcu. – Coraz bardziej się o nią martwię.

Matiel, równie zasmucony, pokiwał głową.

## ROZDZIAŁ 10

Zanael prędko dogonił swoją podopieczną. Zamiast skierować się prosto do domu, Zuzanna krążyła bez celu po osiedlu, a w końcu zawędrowała do parku leżącego na Polach Mokotowskich. Mroźny zimowy wieczór nie poprawiał jej nastroju ani nie pomagał uporządkować myśli. Wsunęła ręce głębiej do kieszeni kurtki, zaciskając pięści, i maszerowała wzdłuż niemal pustej alei, ciągnącej się nad niewielkim jeziorem. Po raz kolejny zaczęła odtwarzać w pamięci scenę, którą Adam urządził przy jej rodzicach. Nie zapomniała o żadnym szczególe: ani o niezręcznych tłumaczeniach narzeczonego, ani o uniesionych brwiach ojca, ani o współczującym „ojej, ojej” mamy. Wróciło do niej to samo uczucie zaskoczenia i wstydu. Dlaczego Adam nie powiedział jej wcześniej o kłopotach z firmą? Przecież nie musieli oglądać sukienek już w tym tygodniu, mogli nawet postarać się o przesunięcie terminu ślubu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni! Tymczasem jej księżę z bajki odegrał przed całą rodziną Jezierskich biednego pastuszka, właściwie zmuszając ich do zaoferowania pomocy. Prędko wyszło na to, że ta pomoc nie ograniczy się do współfinansowania ślubu, ale że to rodzice Zuzy, wobec niejasnej sytuacji rodzinnego biznesu Adama, opłacą całą uroczystość. Teraz dziewczyna

zastanawiała się gorączkowo, z czego mogłaby zrezygnować, żeby jej rodzina nie zbankrutowała na weselu. Planując ślub marzeń z Adamem, nie myślała o kosztach, do czego zresztą gorąco namawiał ją sam narzeczony. Ale wiedziała, że jej ojca, który w tym roku zabrał żonę na sylwestra klubu motocyklowego, nie będzie stać na wynajęcie wielkiej sali z orkiestrą i na zaproszenie dwustu gości... Sukienka, którą zdążyła już raz przymierzyć, i w której tak ładnie wyglądała, też była dużo za droga. Zuza westchnęła. Tak naprawdę nie to martwiło ją najbardziej, w ślubie jej marzeń liczył się przecież Adam, a nie goście, sukienka czy orkiestra. To wszystko były miłe dodatki, które teraz stały się, każdy z osobna i wszystkie razem, irytującymi problemami. Najgorsze było to, że narzeczony nie przyznał się do niczego wcześniej, jakby do ostatniej chwili udawał, że nie ma żadnego problemu. A po wszystkim zachowywał się tak, jakby zupełnie nic się nie stało. Nie chciał z nią rozmawiać ani o firmie, ani o ślubie. Dzwonił codziennie, tak jak zawsze, ale wszystkie jej próby skierowania rozmowy na temat tańszej sali czy ograniczenia liczby gości ucinął stwierdzeniem „zrobicie, jak uznacie za stosowne z rodzicami” albo „na pewno sobie poradzisz, jesteś urodzoną organizatorką”. A przecież nie brała tego ślubu sama! Czy on zamierzał zostawić wszystko na jej głowie i pojawić się dopiero w dniu uroczystości? Starła się go wytłumaczyć przed sobą na dziesiątki różnych sposobów, zaczynając od tego, że ma do czynienia z typowym męskim zachowaniem, a kończąc na tym, że Adam ma za dużo własnych zmartwień. Ale chociaż starała się naprawdę ze wszystkich sił, już nie potrafiła sobie wmówić, że wszystko jest w porządku.

Czuła się teraz najbardziej samotną osobą na świecie. Nieświadoma, że krok w krok wędruje za nią równie zasmucony anioł, zaczęła trzeci raz okrążyć to samo jezioro i po raz setny odtwarzać w pamięci tę samą scenę.

Anna na powrót z dworca do domu potrzebowała całej, bardzo długiej i bardzo mroźnej godziny. Na pewno cała przygoda skończyłaby się przeiębieniem, gdyby nie starania Annaela. Pod nieobecność kolegów anioł pozwolił sobie na typową dla siebie opiekuńczość i otoczył biedną istotę skrzydłami, kiedy stała na przystanku, czekając na autobus.

Dopiero następnego dnia, ubrana w zeszłoroczną kurtkę, Anna wybrała się odzyskać płaszcz. Na szczęście Olga, wykorzystując swoją pozycję w domu kultury, zabrała go wcześniej z szatni. Współlokatorka Matyldy była cichą wielbicieleką obu jej przyjaciółek, a u Anny podziwiała bezgranicznie dobry gust i znajomość światowych trendów. Olga również z zapalem dbała o swój wygląd i często wydawała pieniądze zarobione w domu kultury na jakąś nową część garderoby czy kosmetyk. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się starała, dobierając ubrania, rezultat, przynajmniej w jej przekonaniu, zawsze był ten sam: niczym nie wyróżniała się z tłumu dziewczyn wychodzących z galerii handlowej.

Za to Anna zawsze wyglądała zjawiskowo. Kilka razy Olga poprosiła przyjaciółkę Matyldy o pomoc w zakupach i okazało się, że ten dar dobierania ubrań rozciąga się też na inne osoby. Tym samym podziw Olgi dla Anny wzrósł jeszcze bardziej. Gdy tylko niekwestionowana królowa mody weszła do ich mieszkanek, Olga pojawiła się z jej płaszczkiem, który niosła tak ostrożnie, jakby był wyszywany złotą nicią i ozdobiony brylantami. Za to Matylda z nieokreśloną miną burknęła coś na przywitanie i poszła zrobić wszystkim herbatę.

– Umówiłaś się z nim? – zapytała, wchodząc kilka minut później do pokoju. Anka siedziała na podłodze, pochylona nad najnowszymi ciuchowymi zdobyczami Olgi, które ta wyciągnęła z szafy z prośbą o fachową opinię.

– Co? – Uniosła głowę, niemile zaskoczona tonem głosu przyjaciółki.

– Czy umówiłaś się z wydawcą? – doprecyzowała Matylda, udając, że przygląda się leżącym na dywanie ubraniom.

– No coś ty! Bałam się, że nigdy go nie splawię! – Anka zaprotestowała tak gwałtownie, że nie można było wątpić w jej szczerość. Matylda jednak nie wydawała się pocieszona.

– Mogłaś się już z nim umówić, skoro tak go oczarowałaś – burknęła. Anka otworzyła szeroko oczy, a Olga z napięciem przypatrywała się to jednej, to drugiej.

– Myślałaś, że zrobiłam to specjalnie?!

Matylda, dla odmiany, zaczęła patrzeć na ścianę. Olga pomyślała, że wypadałoby wyjść z pokoju, żeby dać przyjaciółkom odrobinę prywatności, ale i tak została.

– Daj spokój, po co miałabym to robić? – zaprotestowała Anna. – Przecież poświęciłam mnóstwo czasu, żeby ci pomóc! Co więcej – podkreśliła swoje poświęcenie – sama ubrałam się jak łachmaniara, żeby nie rzucać się w oczy!

– To widać jestem tak nieciekawa, że nawet TWOJE wysiłki nie wystarczyły, żeby poprawić mój wygląd. – Matylda wydawała się jeszcze bardziej obrażona.

– Dwóch innych facetów chciało cię poderwać – przypomniała nieśmiało Olga. – I wielu innych się patrzyło, nawet ten stary grzyb, który siedział z tyłu sali... On to nawet obszedł cię parę razy dookoła jak stałaś na korytarzu...

Matylda, nieco udobruchana, westchnęła teatralnie.

– Ale pomimo to się nie udało! A dla mojej powieści to była ostatnia szansa... – Rzuciła znaczące spojrzenie w stronę biednego wydruku, leżącego w tekturowej teczce na środku biurka.

– Są inni wydawcy... – pocieszyła ją Anka, ale Matylda pokręciła głową.

– Przecież wiesz, że oni nie chcą jakiejś-tam-książki, napisanej przez jakąś-tam anonimową autorkę! Oni nawet nie czytają tych nadsyłanych powieści! Pewnie od razu je kasują albo wyrzucają do kosza. – Matylda rzuciła przestraszone spojrzenie na swoje dzieło. – Dlatego naprawdę potrzebowałam jakiegoś, hm,

zaprzyjaźnionego wydawcy... – Zamyśliła się na chwilę. Najwyraźniej wpadła na nowy pomysł. – A masz z nim teraz jakiś kontakt? – zapytała w końcu, zwracając się do Anki już cieplejszym tonem. – Może gdybyś to ty się z nim umówiła, ale poszła na spotkanie z moją książką w torebce...

– Nie ma mowy! – Anka aż podskoczyła. – Wystarczy, że musiałam znosić te jego wąsy w samochodzie! Poza tym – dodała, czując że kończy jej się cierpliwość dla przyjaciółki – to by nic nie dało, skoro to nie moja książka. Musiałabym się chyba najpierw za niego wydać, żeby zainteresować go powieścią mojej przyjaciółki!

– A gdybyś udawała, że to twoja powieść? – Matylda nie dawała za wygraną. Anka jednak coraz gwałtowniej kręciła głową.

– Są jakieś granice przyjacielskiej pomocy! Nie możesz wysyłać mnie na randkę z wusaczem!

– Może jest jeszcze jakiś inny sposób? – podrzuciła Olga, nie mając żadnego konkretnego pomysłu. – Pan Wojciech najpewniej znowu nas odwiedzi wiosną, będzie na corocznych „Spotkaniach z książką”...

– Wiosną...? – jęknęła Matylda. – To za kilka miesięcy!

– Już w maju – pocieszyła ją Olga. – Chociaż chyba pod koniec miesiąca.

– No to się świetnie składa, przecież mamy cały rok na realizację naszych postanowień, prawda? – Anka entuzjastycznie podjęła temat. – Spróbujesz jeszcze raz na wiosnę, teraz już wiesz, że on leci na czarne swetry i na nieśmiałe intelektualistki, mogę ci pożyczyć takie okulary-zerówki, w których każda dziewczyna wygląda na kujonkę, przypomnisz sobie wcześniej coś o filozofii... Przecież studiowałaś ją ze trzy miesiące, prawda?

Matylda nic nie odpowiedziała, patrząc spode łba na przyjaciółkę.

Zuzanna dawno nie czuła się tak stremowana, jak teraz, idąc na spotkanie z Adamem. Właściwie wymusiła na nim niedzielną randkę i nie było jej z tym dobrze. Czuła jednak, że jeśli natychmiast nie dowie się, co tak naprawdę dzieje się z jej narzeczonym, to w końcu wybuchnie od nadmiaru gotujących się w niej, może nie do końca określonych, ale zdecydowanie negatywnych odczuć. Umówili się w Niezapominajce i widok zaprzyjaźnionego wnętrza dodał jej trochę otuchy. Pomimo że starała się iść wolno, dziesięć minut przed czasem była już na miejscu. Ulokowała się na swojej ulubionej kanapie w kącie sali i zamówiła dużą kawę latte z wiórkami czekolady. Może i dobrze, że zostało jeszcze kilka minut – zdąży jeszcze raz zastanowić się nad tym, jak zagaić rozmowę. Czy powinna powiedzieć mu wprost, że czuje się samotna i bezradna, czy udawać, że nic się nie stało i spróbować jeszcze raz sprowadzić rozmowę na ślub?

Pół godziny i całą kawę później Zuza nadal siedziała sama. Zanael, siedzący naprzeciwko, nerwowo bębnił palcami o blat.



Po kolejnych pięciu minutach zaczął dzwonić leżący obok pustej szklanki telefon. Zuzanna, która patrzyła na swoją komórkę już od kilkunastu minut, odebrała od razu.

– Halo? – odezwała się zgaszonym głosem.

– Kochana, strasznie cię przepraszam... – Po drugiej stronie usłyszała nerwowy głos narzeczonego. – Mam jakiś problem z samochodem... – Dochodzące zza jego pleców odgłosy ulicznego ruchu zdawały się podkreślać jego słowa, aczkolwiek zagłuszały średnio co drugie.

– Co się stało?

– Rozkraczył mi się w połowie drogi do ciebie... Już wezwałem pomoc drogową, ale chyba nie uda mi się dotrzeć...

– Och. – Zuza nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Zanael, który niezbyt elegancko podsłuchiwał rozmowę, również poczuł się zagubiony. Tymczasem Adam dalej się tłumaczył.

– Jeszcze raz cię przepraszam... Wynagrodzę ci jakoś to dzisiejsze spotkanie, może w następny weekend?

Słowa „następny weekend” zmroziły Zuzannę. Miałaby przez następne siedem dni zastanawiać się, co tak naprawdę się dzieje?

– A gdybyś przyjechał później? – zapytała bez większej nadziei, podczas gdy anioł nerwowo potakiwał. – Będę dzisiaj...

– Koteczku, mam już tutaj panów z pomocy drogowej. Zadzwońę potem, kocham cię bardzo! – Rozłączył się pospiesznie, pozostawiając ich samych w Niezapominajce.

## ROZDZIAŁ 11

W poniedziałek wczesnym popołudniem Anna niespiesznie włączyła komputer. Dobiegał końca prześliczny styczniowy dzień i nad miastem zapadał wieczór w kolorze ciemnego błękitu. Obok laptopa stał już przygotowany kubeczek ciepłego kakao, które Anka zamierzała popijać, odpisując na maile. Dziewczyna przeciągnęła się i otworzyła skrzynkę pocztową. Wbrew jej przypuszczeniom, żaden z potencjalnych pracodawców jeszcze nie odpisał. Niezrażona, zabrała ze sobą kubek i wyciągnęła się na łóżku w towarzystwie książki, którą podarował jej niedoszły wydawca Matyldy. Powieść, którą wybrała bez większego namysłu, okazała się całkiem zabawna i perypetie bohaterów na dobre wciągnęły dziewczynę. Późnym popołudniem, kiedy za oknem było już zupełnie ciemno, doszła do wniosku, że firmy skończyły już pracę na dzisiaj i że warto ponownie odwiedzić skrzynkę. Jednak przez cały dzień przyszło tylko kilka reklam.

We wtorek Anka sprawdziła pocztę zaraz po przebudzeniu. O dziwo, nadal nie było tam żadnej odpowiedzi. Ile czasu trzeba, żeby przyjąć kogoś do pracy? Przynajmniej w kilku z ogłoszeń, na które pracowicie odpisywała, zawarta była informacja, że firmie bardzo zależy, by znaleźć kogoś szybko... W ciągu dnia, spędzonego na wytrwałym czytaniu wesołej książki i oglądaniu telewizji, Anka jeszcze kilkakrotnie zajrzała do skrzynki. Za każdym razem była równie pusta.

Wreszcie w środę, nie otrzymawszy żadnego maila, dziewczyna doszła do jedyne go logicznego wniosku: skrzynka się popsowała. Resztę dnia poświęciła na założenie nowego konta na innym portalu, staranne skopiowanie treści wysłanych maili i ponowne przesłanie ich do pracodawców, z adnotacją, że za pierwszym razem najpewniej nie doszły.

W czwartek nowa skrzynka okazała się równie popsuta, co stara. Nic nie zmieniło się w piątek, w związku z czym już drugi z kolei piątkowy wieczór upłynął Annie na przeglądaniu ogłoszeń i pisaniu jeszcze staranniejszych listów motywacyjnych. Za oknem padał śnieg, ledwo widoczny w ciemności, nie licząc tych płatków, które zabłąkały się w pobliże latarnii, ale Anka nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Zbyła matkę, która zajrzała do pokoju, żeby zapytać, jak idą jej poszukiwania, i zrezygnowała z pomysłu zaproszenia przyjaciółek na sobotę. Miała nadzieję pochwalić się im kolejnym sukcesem, a w ostateczności opowiedzieć o ofertach, które odrzuciła, czekając na coś lepszego. W obecnej sytuacji po prostu nie było o czym mówić. Tymczasem Annael, uwieszony na kablach od modemu, pracowicie wylapywał i kasował jeden za drugim wszystkie napisane przez Ankę maile. Było z tym trochę roboty: dziewczyna, wobec

początkowych niepowodzeń, podwoiła swoje wysiłki, a co za tym idzie, ilość wysyłanych wiadomości. Anioł jednak był szybki i skuteczny, a co najważniejsze: głęboko przekonany o zasadności swoich działań.

Tydzień Zuzanny wyglądał jeszcze gorzej. Adam dzwonił kilka razy, rozmawiając z nią tyleż czule, co zdawkowo. Przez pierwszą połowę tygodnia ciężko pracował, usiłując ratować firmę. Drugą połowę spędził w rodzinnym domu na wsi, czuwając przy matce, która znów podupadła na zdrowiu. Tym samym Zuzannie nie udało się ani spotkać z narzeczonym, ani nawet zamienić z nim dwóch zdań na temat przygotowań do ślubu. Co gorsza, zaczęła odnosić wrażenie, że Adam zbywa ją specjalnie, jakby temat ich małżeństwa nagle przestał istnieć. Jednocześnie zapewniał ją o swoich dozgonnych uczuciach przy okazji każdej rozmowy, ale te deklaracje zaczęły wydawać jej się coraz bardziej... Sama nie była pewna, jak je określić. Sztampowe? Powierzchowne? Konwencjonalne? Powtarzał jej to samo, co zawsze, ale wyczuwała, że mężczyzna cały czas jest myślami gdzie indziej. Najpewniej przy matce albo firmie... Na pewno daleko od biednej narzeczonej, która krążyła po mieszkaniu, po raz pierwszy w życiu nie wiedząc, co powinna robić. Próbowwała razem z mamą ułożyć nową listę gości, ale nie wiedziała nawet, kogo powinny zaprosić z rodziny Adama... Po kilku telefonach okazało się też, że znalezienie w tak krótkim terminie tańszej sali będzie, w najlepszym razie, graniczyło z cudem. Zwłaszcza że nie wiedziały, ilu gości musi się w niej zmieścić. Pan Zygmunt, nakłoniony przez żonę, przeliczył oszczędności i optował za tym, by z wyjściowej listy dwustu gości wybrać drogą losowania szczęśliwą dwudziestkę i wynająć na wesele tę samą karczmę motocyklową, w której świętowali sylwestra. Natomiast na wieść o cenie sukienki zbladł i poprosił o szklankę wody.

– Nie dałoby się jakoś przedłużyć tej, w której Zuza była u komunii? – zapytał, kiedy już trochę doszedł do siebie. – Kochanie – dodał, widząc, że córka za chwilę wybuchnie płaczem – wiesz, że tata zrobiłby dla ciebie wszystko, ale musiałbym chyba własną nerkę sprzedać, żeby było nas na to stać...

Tak więc ślub miał się odbyć bez sali, bez gości i bez sukienki. I najwyraźniej bez pana młodego, który nie chciał o nim nawet porozmawiać. Zuzanna w końcu wybuchnęła płaczem i, pomimo kolejnych dowcipnych uwag ojca, który postawił sobie za cel rozbawienie zasmuczonej córki, przepłakała z rozpędu także kilka następnych wieczorów.

W następny poniedziałek skrzynka mailowa pozostała zupełnie pusta. Anka, nie dowierzając własnym oczom, kilkakrotnie się wylogowała i zalogowała z powrotem, sprawdziła folder ze spamem, poszła do kuchni zrobić kawę i wróciła sprawdzić, czy w międzyczasie przyszedł jakiś mail.

Nic.

I to nic utrzymywało się konsekwentnie przez cały dzień, mimo że dziewczyna zaglądała do skrzynki średnio co pół godziny. W końcu, wraz z wczesnym zimowym zmierzchem, Anka musiała zaakceptować niewygodną prawdę.

Świat wcale się nie spieszył do tego, aby dać jej wymarzoną pracę. Świat perfidnie ją olał, ani jej piękne zdjęcie w CV, ani rozbudowane umiejętności interpersonalne nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Nie mogła oczywiście wiedzieć, jaki ma w tym udział jej własny anioł stróż. Tymczasem Annael obserwował ją bacznie, starając się dojrzeć pierwsze oznaki pozytywnej zmiany. Niestety, na zirytowanym obliczu młodej kobiety nie odbijała się w obecnej chwili ani pokora, ani szacunek wobec innych, ani wdzięczność za drobne radości codziennego dnia. Widać – pomyślał anioł – potrzeba tu znacznie więcej czasu.

Tymczasem Anka, wyciągnięta na łóżku z laptopem pod ręką, snuła niewesołe rozważania. A co, jeśli nie znajdzie pracy również w tym tygodniu? Albo, co gorsza, i w tym, i w przyszłym? Czy miała spędzić cały ten miesiąc w domu, coraz biedniejsza i coraz bardziej bezrobotna? Wizyta w urzędzie pracy, do którego udała się następnego dnia, również nie natchnęła jej otuchą. W środę, logując się do swojej poczty, zacisnęła mocno powieki, kierowana jakimś irracjonalnym poczuciem, że być może, jeśli nie będzie podglądać, oczekiwane maile jednak się tam pojawią. Ostrożnie otworzyła oczy, westchnęła ciężko i zamknęła je z powrotem. Zaczynała czuć coraz większą niechęć do swojej skrzynki mailowej, do szukania pracy, no i oczywiście do świata. Od pograżenia się we własnym nieszczęściu uratował ją, paradoksalnie, telefon od zrozpaczonej Zuzanny.

– Ja już nie wiem, co mam robić! – wychlipała Zuza, zupełnie szokując tym przyjaciółkę, która spodziewała się usłyszeć po drugiej stronie radosne szczebiotanie szczęśliwej panny młodej. A potem Zuza zanosła się takim płaczem, że Anka zupełnie nie mogła zrozumieć, co się stało, poza tym, że na pewno coś strasznego. Zerwała się sprzed laptopa i zaczęła grzebać w szafie, jednocześnie próbując uspokoić przyjaciółkę.

– Zaraz u ciebie będę – powtarzała, próbując bez rozłączania się zmienić dresową bluzę na bardziej wyjściowe ciuchy. – Spokojnie, wszystko będzie dobrze.

Z drugiej strony odpowiedział jej tylko zdławiony jęk rozpacz.

– Co się stało? Albo nieważne, już nie mów, już biegnę, spokojnie, nie rozłączaj się! – Anka narzuciła na siebie płaszcz i porwała klucze z szafki.

– Już jestem pod twoimi drzwiami, otwórz! – poprosiła Anka. Trzymała telefon przy uchu przez całą drogę, słysząc po drugiej stronie chlipanie, od czasu do czasu przerywane przez pociąganie nosem. Dopiero kiedy drzwi zaczęły się otwierać, rozłączyła rozmowę. W progu stała zapłakana Zuzanna, okutana

w ciepły, różowy szlafroczek. Na nogach miała pasujące do niego kapcie-króliczki. Przez dłuższą chwilę dziewczyny nic nie mówiły, mierząc się wzrokiem i nie do końca wierząc w to, co widzą. Zuza przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz, chociaż widać było, że jeszcze rano usiłowała coś ze sobą zrobić. Świeżo umyte włosy zdążyły wyschnąć, co oznaczało, że ręcznik na plecach dziewczyny został tam jedynie przez roztargnienie. Wyglądało też na to, że planowała pomalować paznokcie i przerwała pracę dokładnie w połowie. Natomiast Anka... Dość powiedzieć, że na jej widok Zuza przestała na chwilę płakać. Jej przyjaciółka, zawsze nienagannie ubrana, tym razem pod wyjściowym płaszczem miała koronkową bluzkę i spodnie od dresu. W przeciwieństwie do Zuzanny najwyraźniej zapomniała ostatnio umyć głowę, a jej paznokcie nosiły wyraźne ślady nerwowego obgryzania. O ile Zuza dobrze pamiętała, Anka porzuciła ten dziecinny nawyk jakoś pod koniec podstawówki.

– Co się stało? – zapytały obie jednocześnie.

– Dobrze ci idzie – ironicznie zauważył Zanael, spoglądając na Ankę i na Annaela, który usiłował się ukradkiem wemknąć do mieszkania za swoją podopieczną. – Taka pozytywna zmiana w tak krótkim czasie...

– A coś ty taki uszczypliwy? – odpalił Annael. – Widzę, że ty sobie radzisz jeszcze lepiej!

Anioł, speszony, umilkł.

– Przepraszam... Zupełnie nie wiem, co zrobić ze ślubem Zuzy – przyznał po chwili. – Dzisiaj głównie zajmowałem się chowaniem przed nią ostrych przedmiotów...

Annael rzucił mu współczujące spojrzenie.

– Wszystkie zmiany na lepsze wymagają czasu – zaznaczył. – Nie możemy się poddawać z powodu chwilowych trudności!

Tymczasem dziewczyny, nieświadome, że ich trudności są chwilowe, ulokowały się na kanapie, po dwóch stronach psa, który lubił się wciskać na środkowe miejsce. Raster zwiesił nisko pysk, wyczuwając wiszący w powietrzu żalobny nastrój. Zuza znów zaczęła popłakiwać i Anka przestawiła wielkie pudło z chusteczkami ze stolika na psi grzbiet.

– Zadzwoił dopiero dzisiaj... – wychlipała w końcu Zuzanna. Dla Anki było oczywiste, że jej przyjaciółka mówi o Adamie. Cała reszta zdania była jednak daleka od jasności. – Chciałam go zapytać, co z tym ślubem – jęknęła nieszczęsna narzeczona – i dlaczego nie chce ze mną porozmawiać, miałam to jakoś zręcznie sformułować, ale w końcu wszystko wyszło niedobrze, wspomniałam, że taty nie stać na moją sukienkę, a wtedy on powiedział, nie uwierzysz, jak on mógł to zrobić, powiedział, że chodzi mi o jego pieniądze, i że jak firma ma problemy, to mnie już nie zależy, i że widocznie nie chcę już tego ślubu... Rozumiesz?

Powiedział, że to ja zachowuję się, jakbym nie chciała tego ślubu!

– Nie bardzo rozumiem. – Anka pokręciła głową. To wszystko nijak nie przystawało ani do Adama, ani do szykującego się niebawem bajkowego wesela – Dlaczego twój tata płaci za sukienkę?

– Właśnie nie płaci, bo go nie stać! – Zuzanna znów zaniosła się łkaniem. – Ale to wszystko nieważne, nie będzie żadnego ślubu, on mnie już nie kocha! Pewnie – dodała nawet, tknięta jakimś nagłym przeczuciem – pewnie ma inną!

– O tak, tak! – ucieszył się Zanael. Nachylił się nad uchem dziewczyny. – Pomyśl o tej rudej... – szeptał gorączkowo.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła w tej samej chwili Anna. – Przecież on za tobą szaleje!

Zuzanna momentalnie przestała słuchać anielskich podszeptów i spojrzała na nią z nadzieją w oczach.

– Ma jakieś problemy w firmie, tak? – kontynuowała przyjaciółka. – Finansowe?

Zuza kiwała głową energicznie.

– No to wszystko jasne! – Anka klasnęła w dłonie. – Mężczyźni się w takich sytuacjach zawieszają! Oni w ogóle nie potrafią radzić sobie ze stresem. I stosują mechanizm wyparcia, to znaczy, nie mówią o problemie...

– O, właśnie tak jest! – ucieszyła się Zuzanna, nadal potakując. – Adam nie chce ze mną rozmawiać ani o firmie, ani o ślubie, ani o jego mamie...

– A co się dzieje z jego mamą? Nadal choruje?

Zuza znów przytaknęła.

– No to widzisz, on ma mnóstwo powodów, żeby się martwić... I pewnie czuje, jestem tego właściwie pewna, że przestał spełniać twoje oczekiwania, i to go stresuje jeszcze bardziej... – rozpędzała się Anka.

– Myślisz, że niepotrzebnie się martwię? – upewniła się Zuzanna, jeszcze nieprzekonana.

– Tak, właśnie! Powinnaś teraz...

– Nie, nie, nie! – wykrzykiwał tymczasem Zanael. – Słusznie się martwisz! Martw się dalej!

– Dlaczego nie pozwalasz mojej dziewczynie, żeby pocieszała swoją? – zdziwił się drugi anioł.

– Powinnaś teraz sama zająć się przygotowaniem do ślubu, i jak zadzwoni, powiedz mu, jak świetnie ci idzie, zamiast się ciągle żalić – kontynuowała Anka beztrąsko, wymachując energicznie rękami. – Pomogę ci! Zobaczysz, to od razu będzie inna rozmowa! A tym, że ci coś nagadał w nerwach, to się w ogóle nie przejmuj...

– Przejmuj się! – krzyczał Zanael. – Przejmuj się, on usiłował odwołać wasz ślub!!!

Zuzanna sięgnęła po kolejną chusteczkę, żeby otrzeć oczy.

– A to, że nie chciał się ze mną spotkać w tym tygodniu? W zeszłym też nie miał czasu...

– Przecież sama mówiłaś, że ratuje firmę – zauważyła Anka. – Nie możesz się dziwić... Za to twoja głowa w tym, żeby przygotować wszystko na ślub stulecia!

– Nieee!!! – desperacko wydarł się Zanael. Annael patrzył na niego z rezerwą.

– Zacznijmy od czegoś łatwego! – zdecydowała Anka. – Pewnie musisz ułożyć listę gości, prawda..?

– Tak – chlipnęła Zuza, już zdecydowanie weselej. – Nawet leży na wierzchu...

– Zostaw tę listę gości – jęczał jej anioł, okrążając kanapę. – Odłóż ją!

– Nie wiem, kogo mogę wykreślić... – mówiła tymczasem dziewczyna.

– Pokaż mi. – Anna zrzuciła z grzbietu Rastra chusteczki i rozłożyła na nim listę. – Kto to jest? Na początek wykreślimy tych, których nie znasz...

Dziewczyny, zaaferowane, skoncentrowały się na nowym zajęciu. Nie było mowy, by którakolwiek posłuchała teraz anioła. Zanael, zrezygnowany, usiadł na podłodze, opierając się ciężko o tył kanapy.

– Adam nadal ma tę kobietę na boku? – zapytał Annael, krzywiąc się przy „tej kobiecie” i z lekkim zażenowaniem wymawiając słowa „na boku”.

– Chyba tak... Tak, właściwie jestem pewien, że tak – potwierdził zniechęcony anioł. – Nawet pokazał Zuzie jej zdjęcie w telefonie. Z jego mamą.

– I ona nadal chce brać z nim ślub? – zadziwił się Annael. – Uparta dziewczyna... Musisz ją powstrzymać!

– Czterdzieści osób będzie akurat – zdecydowała tymczasem Anka, która przejęła już na siebie organizację całej imprezy. – Teraz pomyślmy, na czym możesz oszczędzić... Może ta karczma to nie jest taki zły pomysł? Będzie klimatycznie... A gdyby on cię tam zawiózł na motocyklu? Czy twoi rodzice nie robili czegoś takiego? I pokaz zdjęć – zapaliła się – koniecznie trzeba przygotować najlepsze fotki z waszego związku, dobre wesele musi mieć pokaz zdjęć, żeby wszystkie ciotki mogły się popłakać ze wzruszenia. Ja przejrzę wasze albumy, daj mi laptopa – zdecydowała. – A ty tymczasem zrób coś z tymi paznokciami, dobrze, że twój narzeczony cię nie widzi...

Zuza popatrzyła na swoje ręce. Na jednej dłoni miała nieomal wzorowy manicure, ale druga wyglądała nieciekawie.

– No tak, jest fatalnie – zaczęła się śmiać. – Wiesz co, Adam zadzwonił, jak robiłam manicure... I nawet chciałam dokończyć potem te paznokcie, ale gdzieś mi poznikały wszystkie nożyczki... Zupełnie wszystkie, z całego domu, jakby ktoś je pochował!

Za kanapą Annael zaczął chichotać, podczas gdy Zanael, zupełnie podłamany, osunął się na dywan.

## ROZDZIAŁ 12

Matiel pilnie uczył się do sesji. Poświęcił się temu całym sercem i szło mu znakomicie – zwłaszcza że, w przeciwieństwie do Matyldy, nie opuścił w tym semestrze żadnego wykładu i miał kompletne notatki. Anioła i jego podopieczną różniła nie tylko zawartość zeszytów, ale i metoda pracy. Matiel siedział w skupieniu, pilnie wczytując się w tekst, i w zamyśleniu skubał pióra. Matylda leżała na zasłanym papierami biurku, wśród kartek, z których połowa nie miała żadnego związku z przedmiotem, i od czasu do czasu dokonywała desperackiej próby skupienia się na czymś innym niż sufit.

Decyzja o kontynuowaniu studiów na kulturoznawstwie nie przyszła jej łatwo. Jednak musiała robić coś w życiu, przynajmniej tymczasowo, zanim zostanie poczytną pisarką. Plan, który miała nadzieję zrealizować już na początku roku, przesunął się na wiosnę – i w zasadzie dziewczyna zaczęła poważnie wątpić w jego powodzenie. Wojciech Miśkiewicz okazał się mężczyzną niedostępnym, człowiekiem, na którym po prostu nie da się zrobić wrażenia. Chyba że jest się Anką. Ale Anka była poza rankingiem: zawsze bez najmniejszego wysiłku podbijała męskie serca. Zabranie jej ze sobą, a do tego wniosku Matylda doszła po



długich rozmyślaniach, było największym błędem, jaki mogła popełnić. Choć z drugiej strony, bez wsparcia i trafnych rad przyjaciółki dziewczyna czułaby się zupełnie zagubiona i też nic by nie działała. Tak czy inaczej, plan się nie powiódł, a co gorsza, Matylda czuła się odrzucona. I to odrzucona przez zupełnie nieatrakcyjnego, starszawego faceta z bujnym wąsem, który miał czelność nie zauważyć ani jej, ani tego, ile wysiłku włożyła w przygotowanie do ich pierwszego spotkania! Jak on mógł być aż tak ślepy?

Matiel oderwał na chwilę wzrok od notatek i ciężko westchnął.

– Sesja... – szepnął. – Hej hej, zostało tylko parę dni... – Wyglądało na to, że jeśli on się nie nauczy, to żadne z nich nie będzie nic umiało i obleją. Anioł nie zastanawiał się nad tym, czy podpowiadanie odpornej studentce jest etyczne. Liczyło się to, że dziewczyna podjęła decyzję o kontynuowaniu studiów – wreszcie zaczęła myśleć o czymś poza tą nieszczęsną książką! A on zamierzał wspierać swoją podopieczną ze wszystkich sił i wszelkimi możliwymi sposobami. Jeszcze wyjdą w tym roku na ludzi!

– Hej hej..? – spróbował jeszcze raz.

Ani leżąca na notatkach Matylda, ani jej pracowity anioł nie wiedzieli nic o staraniach Anki, pomagającej Zuzannie w przygotowaniach do ślubu. Nie mając nic innego do roboty, Anka poświęciła się temu nowemu zajęciu całym sercem. Chęć pomocy przyjaciółce była głównym motorem jej działań. Dodatkową motywację, z której nie zdawała sobie sprawy, stanowił fakt, że mogła na jakiś czas zapomnieć o nieszczęsnej skrzynce mailowej. W ciągu kilku dni gorliwa pomocnica znalazła przez internet dziewczynę, która miała do odsprzedania sukienkę niemal identyczną jak suknia marzeń Zuzanny – a za to tańszą o jedno zero. Anka, dzięki swoim zdolnościom interpersonalnym, obniżyła tę cenę jeszcze o połowę. Karczma motocyklowa została po namyśle odrzucona przez przyjaciółki na rzecz całkiem niedrogiej restauracji na obrzeżach miasta, gdzie nie było podwieszono nad barem motocykla ani dekoracyjnej sterty opon w kącie, a za to na stołach leżały białe obrusy. I właśnie wróciły obie z bardzo miłej rozmowy z szefem wybranej knajpki do centrum miasta, kiedy na ich drodze, niespodziewanie, pojawił się nieuchwytny pan młody.

– Zobacz! – Anka nie była pewna, czy dobrze widzi. – Czy to... Ten gość wygląda zupełnie jak twój Adam! – poprawiła się, przypominając sobie, że Adam jest przecież na wsi u chorej matki. Mężczyzna, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowany, wychodził właśnie ze sklepu, chowając do sportowej torby, takiej samej jak torba Adama, jakieś małe pudełeczko. Skupiony, nie oglądał się na boki, ale pospiesznie ruszył w stronę przejścia dla pieszych.

– To przecież jest Adam! – Zuzanna była jeszcze bardziej zaskoczona niż Anka, ale w przeciwieństwie do niej nie miała żadnych wątpliwości. – Miał wrócić

najwcześniej w niedzielę!

Rzuciła się przed siebie, zamierzając dogonić narzeczonego. I na pewno by to zrobiła, gdyby nie pomocna przyjaciółka.

– Czeka! – wykrzyknęła Anka, zastępując jej drogę. – Patrz, gdzie on był! – Machnęła ręką w stronę witryny sklepu. – Przecież to jubiler!

– Jubiler... – Zuzanna powtórzyła to słowo, jakby słyszała je po raz pierwszy. – No tak, jubiler... Przecież nie mamy jeszcze obrączek!

– No zobacz! – Anka zaczęła się śmiać. – Niby nie interesuje się ślubem, a za twoimi plecami kupuje wam obrączki! Bo chyba... No nie wiem, co innego mógłby kupować ukradkiem u jubilera... Niósł pudełeczko, widziałaś?

Zuzanna przytaknęła i rozpromieniła się, spoglądając na wystawę sklepu. Sądząc po bogato udekorowanej wstążkami i serduszkami witrynie, i tak nie sprzedawali tam nic poza obrączkami. Ale skąd Adam wziął na nie pieniądze? Może jakaś dalsza rodzina postanowiła go wspomóc?

– Musimy go dogonić! – postanowiła. Nie chciała nic mówić przyjaciółce, ale miała już serdecznie dosyć tajemnic i prowadzonej przez Adama dziwnej gry, nawet jeśli narzeczony chciał jej zrobić na koniec miłą niespodziankę.

– Ale ty jesteś niecierpliwa! Nie ma mowy! Zepsujesz wszystko! – Anna złapała ją za rękaw. – A jeśli twój ślub marzeń jednak ma się odbyć...? Ciekawe, co jeszcze robi, udając, że siedzi na wsi... Idziemy za nim? – Mrugnęła. – Jeszcze zdążysz z nim pogadać, teraz będziemy go śledzić!

Zuzanna, nie do końca przekonana, skinęła głową i dziewczęta ruszyły ukradkiem za mężczyzną, idąc powolutku i trzymając się ścian budynków. Przejście dla pieszych pokonały pospiesznie, przemykając z pochylonymi głowami pomiędzy tłumem. Za nimi, również ukradkiem, szli dwaj inni, uskrzydleni konspiratorzy. A jeszcze parę kroków za nimi...

– Co robicie? – Głos rozległ się tuż za Annaem. Przestraszony anioł aż podskoczył.

– Czy wasze dusze śledzą moją? – To był tylko Adael. Jeśli można powiedzieć „tylko” o aniele dwa razy większym od przyjętych anielskich standardów wzrostu i szerokości w barach.

– Um... Na to wygląda... – przytaknął Annael.

– Co twoja dusza robiła u jubilera? – wypalił tymczasem Zanael. – Nie chce się wierzyć, że Adam kupił właśnie obrączki na ślub!

– Zdaje się, że kupił... – Adael wzruszył potężnymi ramionami.

– No i..?

– No i je ma. W pudełeczku. – Podzieliwszy się z nimi tym nieistotnym szczegółem, Adael zamilkł.

– To czemu nie chce rozmawiać z Zuzanną? Po co się tak zachowuje? –

Zanael uparcie starał się czegoś dowiedzieć. Minęli przejście dla pieszych i skręcili w boczną ulicę. Dziewczynom trudniej było kontynuować ukradkowy pościg i przemykały pochylone od bramy do bramy. Na szczęście Adam szedł szybko, nie odwracając się za siebie, i po chwili znów znaleźli się przy którejś z głównych ulic.

– Och, z Zuzanną... – Adael wyglądał na zafrasowanego.

– No, powiedz coś! – Zanael szarpał go za rękaw szaty. Adael długo nie odpowiadał, jakby ważył słowa.

– Wiecie, że ja się nie wtrącam – powiedział w końcu. – To element mojej filozofii opiekowania się duszami...

– Tak, tak, zdążyliśmy się zorientować... – jęknął Annael. – Chodź – szturchnął Zanaela – i tak się tutaj niczego nie dowiemy...

Przyspieszyli kroku, usiłując ignorować idącego za nimi mało pomocnego Adaela.

Dziewczyny tymczasem nadal starały się wtopić w tłum. Dzień był zimny, tłum bardzo przetrzebiony i gdyby Adam nie był czymś tak zaaferowany, cała konspiracja na niewiele by się zdała. Mężczyzna wyraźnie się spieszył i nie oglądając się ani za siebie, ani wokół, zniknął za drzwiami tej samej drukarni, w której dziewczyny tego ranka zamówiły ślubne zaproszenia.

– No to koniec! – westchnęła Anka, hamując przed drzwiami. – Będziecie mieli dwa razy więcej zaproszeń! – Przysunęła twarz do szyby, starając się dostrzec, co robi Adam. Zuzanna dzielnie jej asystowała. Ze swojego punktu obserwacyjnego miały wyjątkowo dobry widok. Anka się nie myliła: Adam właśnie odbierał plik małych kartoników, które, nawet widziane z daleka, nie mogły być niczym innym, jak tylko zaproszeniami na ślub. Mężczyzna zapłacił i odwrócił się od lady, a obie dziewczyny, tknięte impulsem, momentalnie przykucnęły.

– Zaraz będzie wychodził! – syknęła Zuzanna. Myśl, że narzeczony miałby ją przyłapać na podglądaniu przez szybę drukarni, wydała jej się wyjątkowo krępująca. Obie przyjaciółki, zgięte w pół, pospiesznie oddaliły się od okna i dały nura w bramę obok.

– Zamówił zaproszenia... – Zuzanna szeptem powtórzyła ten oczywisty fakt. Anka, uradowana, kiwała głową. Starła się nie myśleć o tym, że nagle cała jej pomoc przy przygotowaniach okazała się nic niewarta – a właściwie tylko niepotrzebnie skomplikowała sprawę.

– Musimy anulować zamówienie, może jeszcze nie wydrukowali naszych zaproszeń? – zaczęła się zastanawiać na głos. Wyjrzała zza węgła, upewniając się, że Adam jest już po drugiej stronie ulicy. – Idę pogadać z drukarnią – zdecydowała. – Śledź go dalej, jeśli chcesz.

Zuza skinęła głową, ale miała niepewną minę. Ruszyła powoli za narzeczonym, nie oglądając się już na Ankę, która zniknęła za drzwiami drukarni.

Najpewniej wykorzystywała właśnie swój urok osobisty do tego, by anulować zamówienie, nie płacąc ani grosza. Zuzanna zmarszczyła czoło, cały czas próbując zrozumieć, co tak naprawdę ją niepokoi. Adam właśnie kupił obrączki i odebrał zaproszenia. Musiał szykować ślub ich marzeń w najściślejszej tajemnicy. Co tutaj nie grało? Może chodziło o te pieniądze, których podobno nie miał? Prawie ze sobą nie rozmawiali w ostatnich dniach, ale powinna była powiedzieć mu, że już zamówiła zaproszenia i znalazła sukienkę, za chwilę naprawdę się okaże, że zupełnie niepotrzebnie załatwili całą oprawę uroczystości w dwóch wariantach: wymarzonym i oszczędnym.

Przystanęła nagle. To wszystko nie to. Jeszcze raz spojrzała na idącego, teraz zaledwie kilka metrów przed nią, Adama. Tak jak jej się wydawało: siedł lekko zgarbiony, jak ktoś, kto dźwiga na swoich barkach ciężar całego wszechświata. Kiedy przystanął na chwilę, żeby przyjrzeć się którejś ze sklepowych witryn, utwierdziła się w swoich odczuciach. Adam nie wyglądał jak szczęśliwy narzeczony, szykujący się do wesela marzeń. Przez cały czas miał minę człowieka, który odebrał właśnie zaproszenia na własny pogrzeb.

## **ROZDZIAŁ 13**

– Ale jak to, nie podeszłaś do niego?

Anka przysiadła ostrożnie na krawędzi łóżka Zuzanny. Minęły dwa dni, odkąd widziały Adama pod drukarnią. Przez ten czas Ance, pomimo kilku prób, nie

udało się dodzwonić do Zuzy, założyła więc, że szczęśliwa narzeczona znów jest szczęśliwa i nie ma dla nikogo czasu. Prawda jednak przedstawiała się zupełnie inaczej. Ostatecznie komórka Zuzanny oddzwoniła do Anki, ale po drugiej stronie nie usłyszała głosu przyjaciółki, ale jej zmartwioną mamę. Pani Anita Jezierska sama nie była pewna, co dzieje się u jej córki, poza tym, że odmówiła wychodzenia ze swojego pokoju. „Zajrzyj do nas, może ty ją pocieszysz” – poprosiła. – „Chyba odwołali ślub, ale nie jestem pewna...”

Anka siedziała u przyjaciółki już od pół godziny i też nie była niczego pewna.

– No to skąd wiesz, co on myśli, jeśli z nim nie rozmawiałaś? – dopytywała się dalej. Zuzanna siedziała obok, otulona kocem, jak rozbitek uratowany z tonącego okrętu. Ale wyglądało na to, że okręt Zuzy wciąż idzie na dno, razem ze swoją pasażerką.

– On nie chce ślubu. – Zuza pokręciła głową, powtarzając po raz kolejny tę samą frazę.

– Ale nie rozmawiałaś z nim? – naciskała Anka.

– Wiem to. Poza tym nie dzwoni.

– A może... – Przyjaciółka zawiesiła się, nie wiedząc już, co ma mówić. Widziała na własne oczy Adama kupującego obrączki. Sama anulowała zamówione zaproszenia, żeby nie dublowały się z zaproszeniami Adama. Bez wątplenia szykował wszystko na huczne wesele. Ale czemu nie dzwonił do swojej narzeczonej?

– Przez cały miesiąc widziałam go dwa razy – podkreśliła Zuzanna. – W pierwszy weekend po Nowym Roku, pamiętasz? I potem, jak przyszedł powiedzieć moim rodzicom, że nie stać go na ślub. Później odwołał randkę. Potem pojechał do matki. I nie wrócił. A potem... Udawał, że dalej tam jest. I już zupełnie przestał odbierać telefon. Przedtem go odbierał i mnie zbywał, teraz nawet nie odbiera.

– Ale kupił obrączki! – Anka uczepiła się tej jednej myśli. – Przecież sama to widziałam!

Zuzanna pokręciła głową.

– Ja też nie rozumiem – przyznała. – No właśnie, gdybym chociaż wiedziała, co się dzieje... – Zwiesiła głowę w poczuciu całkowitej beznadziei.

– Nooo... – Anka uznała to za krok do przodu. – To musimy się dowiedzieć, co się dzieje!

W odpowiedzi Zuzanna otuliła się szczelniej kocem.

– On nie odbiera telefonu – powtórzyła.

Anka westchnęła.

– To może jednak do niego pojedziecie? – Zanael, siedzący na podłodze pod ścianą, rzucił tę propozycję w powietrze, bez większego przekonania. Towarzyszył

Zuzannie od dwóch dni i już dawno zdążył mu się udzielić jej grobowy nastrój. Poza tym, o ile pamięć go nie myliła, udzielał im tej samej dobrej rady już od miesiąca i wszyscy konsekwentnie go ignorowali...

– A może tam pojedziemy? – Anioł zdębiał, orientując się, że Anka podchwyciła ulotną myśl. I szybko zaczęła ją rozwijać. – Bo zobacz, Zuza, to nie jest tak daleko od Warszawy, można chyba pojechać pociągiem... Masz jego adres, byłeś tam raz czy dwa...

– Nie mogę. – Dziewczyna kręciła głową. – Nie mogę tam jechać.

Anioł westchnął. Ale Anna stanęła na wysokości zadania i dzielnie przejęła jego rolę.

– Ale właśnie musisz to zrobić! Nie możesz zostać na zawsze w swoim pokoju! – mówiła. – A jeśli tak naprawdę wszystko jest w porządku między wami? Przecież mówiłaś o jego mamie i o firmie... Jest mnóstwo rzeczy, które mogą tam się teraz dziać...

– On nie chce tego ślubu – powtórzyła Zuza po raz enty, zupełnie jakby nie słyszała, co się do niej mówi.

Anka westchnęła i zaczęła wygłaszać swoje kwestie dwa razy wolniej i dwa razy wyraźniej, jakby mówiła do dziecka.

– Teraz ubierzesz się i pójdziemy na dworzec – zakomenderowała. – Wsiądziemy w pociąg, za dwie godziny wysiądziemy z pociągu i jeszcze dziś wieczorem będziesz wiedziała, co się tam dzieje.

Zuza skubała rąbek koca, jeszcze nie do końca przekonana.

– No tak... – bąknęła. – Mogłybyśmy to zrobić.

Anka nie czekała na większą zachętę: grzebała już w szafie Zuzanny, wyciągając z niej wełnianą sukienkę w poziome pasy, czarny golf i leginsy, dobierając je tak starannie, jakby wystrzałowe ciuchy mogły rozwiązać wszystkie życiowe problemy. Zanael też się ożywił i nawet wstał z podłogi, żeby rozprostować skrzydła przed czekającą ich podróżą.

– Nie wiem, czy dam radę. – Głos Zuzy był na tyle cichy, że oboje, i Anka, i anioł, postanowili go zignorować.

– To, to i to! – zdecydowała Anka, rzucając w przyjaciółkę naręczem ubrań. – Cokolwiek nas tam czeka, będziesz ładnie wyglądać!

Było już późne popołudnie, fatalna pora na podróż, ale zarówno rodzice Zuzy, jak i jej przyjaciółka milcząco zgodzali się co do tego, że dziewczyny muszą wyruszyć od razu. Zuzanna stała w przedpokoju i zakładała płaszcz z taką miną, jakby ponad jej siły było zapięcie każdego guzika. Najmniejsza chwila zwłoki zdawała się grozić tym, że nieszczęśliwa narzeczona zawróci z drogi i zakopie się z powrotem pod kocem. Żeby temu zapobiec, Anka pospiesznie podała jej czapkę i szalik, a Anita – ciepłą herbatkę w termosie. Tymczasem pan Jezierski krążył po

mieszkań z groźną miną. On też chciał jechać z dziewczynami, żeby w razie potrzeby osobiście rozprawić się z panem młodym. Jednak wobec stanowczego sprzeciwu żony pozostał przy rzucanych półgłosem groźbach. Za panem domu snuł się Raster. Nawet on wyglądał na zdenerwowanego. Zuza jeszcze raz wyciągnęła z torebki telefon. Wbrew radom Anki cały czas próbowała dodzwonić się do Adama, żeby uprzedzić go o planowanym przyjeździe. Ale i tak bezskutecznie. Telefon Adama milczał.

– Idziemy! – Anna pociągnęła ją za rękaw. Wymieniła jeszcze jeden porozumiewawczy i niezbyt wesoły uśmiech z jej mamą i po chwili obie dziewczyny były już za drzwiami.

Wieczór zapowiadał się chłodny, a na bezchmurnym niebie widniał już w całej swojej okazałości księżyc, otoczony lekką poświatą. Towarzyszył dziewczynom przez całą drogę na Dworzec Centralny i podczas podróży niemal pustym pociągiem. To była bardzo cicha podróż. Wszystkie tematy rozmów podrzucane przez Ankę chwilę wisiały w powietrzu między dziewczynami, po czym, wobec upartego milczenia Zuzy, opadały powolutku na podłogę wagonu. Bardziej gadatliwy był Zanael.

– Wreszcie! – cieszył się, raz po raz szturchając Annaela. – Wreszcie wszystko się wyjaśni!

– Mhm, i to wszystko dzięki mojej dziewczynie! – odpowiadał za każdym razem Annael. – Widzisz, moje metody wychowawcze zaczynają przynosić pierwsze owoce!

Ale nie mógł dokończyć myśli. Zanael był zbyt rozentuzjasmowany, żeby go słuchać.

– Tylko jak ona to przeżyje, jeśli nie będzie tego ślubu? – Załamywał rękę. – Ale z drugiej strony – dodawał po chwili, nie dając Annaelowi wtrącić ani jednego słowa – przecież Adam kupił obrączki! Może po prostu musi zostawić za sobą wszystkie stare... błędy.

– Rude błędy – dopowiadał Annael.

Dwie godziny, o których mówiła Anka, okazały się grubym zaokrągleniem. Kiedy wysiadły na małej stacji, księżyc stał już wysoko na niebie, a żeby dotrzeć do rodzinnego domu Adama musiały jeszcze złapać nieczęsto i niezbyt regularnie kursujący autobus. Rozkładu jazdy nie było, a na pustym przystanku walały się tylko puszki po piwie i gdyby nie umiejętności interpersonalne Anki, która po pięciu minutach złapała autostop, najpewniej spędziłyby obie noc pod dziurawą wiatą.

– Ten duży dom? Wiem, który! – ucieszył się zarośnięty i niezbyt schludnie wyglądający kierowca. – U państwa Radzelewskich to się teraz wszyscy szykują na wesele!

– Widzisz! – Anka usiłowała szturchnąć Zuzannę w ramię, ale ponieważ

samochód podskakiwał na wybojach, to o mało nie zdzieliła jej w szczękę. Pod siedzeniami auta z jednej strony na drugą przewalały się puszki, podobne do tych z przystanku.

– A kiedy to wesele?

Kierowca zarechotał.

– A czy ja wiem? Podobno spieszą się jakoś z tym ślubem, już nazwozili dekoracji, będą ustawiać jakieś parawany przed domem i zdaje się, że będzie więcej światełek niż na Boże Narodzenie... A panie to może w gości? – Nie czekając na odpowiedź, znów zaczął rechotać pod nosem.

Po jakimś czasie Anka wychwyciła na poboczu przechyloną tablicę z napisem „Jagodno” i odetchnęła z ulgą. Przynajmniej pojechali w dobrym kierunku. Samochód mijał pogrążone w mroku domy, kolebiąc się z boku na bok jak łódka na wzburzonym morzu. Jak na wyczucie Anki, to chyba wyjechali znów ze wsi i wtedy nagle pełna wertepów błotnista droga przeszła w wygodny odcinek asfaltu. Kierowca zahamował gwałtownie, niemal najeżdżając na wiecznie zielony żywopłot. Znajdowali się u celu podróży.

– Mają też torty zamawiać ze stolicy – gadał jeszcze, niepomny, że pasażerki już wysiadają. – Tacy to wszystko muszą mieć luksusowe... I ma być jakaś orkiestra, z dyrygentem, i nawet księdza chcieli zapraszać z Warszawy, ale nasz się prawie obraził...

Dziewczyny nie słyszały już dalszych wywodów. Anka odwróciła się jeszcze raz, żeby grzecznościowo pomachać na do widzenia, ale kierowca ani myślał odjechać. Siedział w swoim aucie, coś tam mówił pod nosem i przyglądał im się ciekawie.

– Chodź – westchnęła. Ale ku jej zaskoczeniu Zuzanna wyprzedziła ją i pierwsza nacisnęła guzik przy furtce. Po chwili z domu wybiegła korpulentna dziewczyna w fartuszkach. Była to Kasia, młodsza pomocnica gospodyni.

– Zuzanna? Czy to nie ty byłaś u nas w zeszłym roku? Pamiętam cię! – zawołała uradowana. – Adam nie mówił, że przyjedziesz – zdziwiła się, ale pomimo to otworzyła furtkę. – Mamy teraz mnóstwo pracy przez to wesele, powinni zatrudnić jeszcze kogoś do pomocy... – mówiła, prowadząc je w stronę domu.

Imponująca rezydencja Radzelewskich oświetlona była przez ogrodowe lampy, a ukryte w trawie reflektory wydobywały z ciemności front budynku i werandę z kolumnami, które, ku zdziwieniu Anki, wybudowano w stylu korynckim. Dziewczyna maszerowała już mniej pewnie. Coś nie pasowało jej w tym serdecznym powitaniu, ale nie była pewna co. Zuzanna natomiast szła jak automat.

– Goście! – oznajmiła radośnie Kasia, zapraszając dziewczyny szerokim gestem do środka. – Może zrobić wam gorącej herbaty?



– Bardzo chętnie! – Anka odpowiedziała za nie obie.

Wyglądało na to, że przestronny salon pomimo późnej pory jest pełen ludzi. Wnętrze urządzone na wpół elegancko, na wpół kiczowato. Na samym środku stał wielki, rodzinny stół z resztkami kolacji, w oknach wisiały ciężkie złoto-czerwone zasłony, a ze ścian patrzyły na gości głowy jeleni przyozdobione jeszcze świątecznymi światełkami. Na filigranowym i najwyraźniej zabytkowym stoliczku w kącie stała kolekcja porcelanowych słoni. Z kilkunastu osób przy stole Anka rozpoznała tylko Adama, ale nietrudno było się domyślić, że siedzący u szczytu stołu mężczyzna był jego ojcem, a kobieta, która właśnie uśmiechała się do Zuzanny, musiała być jego mamą.

– Zuzanna! – W głosie pani Radzelewskiej słychać było zdziwienie. – Co was do nas sprowadza? Siadajcie! – zaprosiła, ale sama wstała, żeby przywitać je obie i uściskać Zużę. Grzecznie, ale z jakąś rezerwą, która dla Anki była zupełnie niezrozumiała. Jednak Zuzanna chyba nie zwróciła na to uwagi, skoncentrowana na czymś innym.

– Jak się pani czuje? – zapytała, przytulając mamę Adama. – Tak się strasznie martwiłam przez ostatnie tygodnie...

– Ale o co? O to przeziębienie w święta? – Kobieta, jeszcze bardziej zdziwiona, odsunęła się lekko, żeby przyjrzeć się Zuzie. – Ale czy ty się dobrze czujesz? Jesteś cała roztrzęsiona! Musiałyście przemarznąć!

– Och, bo... – Zuzanna rzuciła spojrzenie na drugą stronę stołu, na Adama. Jednak on cały czas siedział nieruchomo jak woskowa figura i patrzył na Zużę z nieokreślonym wyrazem twarzy.

Jego matka puściła ramiona Zuzy i też popatrzyła na syna.

– Czemu nie powiedziałeś nam, że zaprosiłeś koleżanki? – zapytała. – Jesteś taki rozkojarzony!

– Żeni się. To dlatego – wtrącił ojciec Adama.

– No tak, tak... – kobieta westchnęła. – O, jest i nasz skarb! – rozpromieniła się na widok wchodzącej właśnie do salonu rudowłosej dziewczyny. – Moja najdroższa Anetka! Adam, nie siedź tak, podaj narzeczonej krzeselko!

Nieruchomy do tej pory mężczyzna w jednej chwili posłusznie skoczył na nogi.

Anka przyglądała się całej scenie osłupiała, ale nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Kolejne wrażenia docierały do niej powoli, jedno za drugim. Anetka zeszła powoli po schodach, jak bohaterka filmu uchwycona w długim, romantycznym ujęciu. Była nawet ładna, jeśli nie liczyć zbyt mocnego makijażu, białych dresowych spodni i plastikowych kolczyków w kształcie wielkich kół – gdyby to zależało od Anki, natychmiast przebrałaby tę dziewczynę w inne ciuchy. Miała proste rude włosy, założone za uszy. Usiadła na podsuniętym jej krzeselku z westchnieniem zmęczenia, które było jak najbardziej na miejscu, ponieważ, co

dotarło do Anki dopiero na sam koniec, najwyraźniej była w ciąży.

Zuzanna kojarzyła fakty dużo szybciej.

– Pielęgniarka – powiedziała, patrząc prosto na Adama.

– Jaka pielęgniarka? – Anetka oparła dłoń na ramieniu mężczyzny, prezentując pomalowane na niebiesko paznokcie. – Kogutku, co się stało?

Wszyscy zebrani patrzyli na Zuzę, jakby właśnie postradała zmysły. Nie było to dalekie od prawdy.

– Adam... – zaczęła jeszcze raz. Przerwała jednak, widząc jego minę. Siedzące przy stole szacowne ciotki zaczęły już kręcić głowami, a mężczyźni, wyglądający w większości jak bledsze kopie ojca Adama, marszczyli znacząco brwi.

– Nie wiem, o co chodzi – odezwał się w końcu Kogutek, zwracając się jednak nie do niej, ale do rodziny, a najbardziej do Anetki. – Kurko, to chyba jakiś żart.

– Mógłbyś nie rznąć głupa! – nie wytrzymała Anka. Zuzanna nic już nie mówiła. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. – Jak możesz mieć drugą narzeczoną!

– Jak to drugą? – Mama Adama spojrzała na nią ze zgrozą. – Moja Anetka jest tylko jedna! Prawda?

– Oczywiście. – W niewinnych oczach Kogutka widać było tylko bezgraniczną szczerość, popartą przez bezgranicznie szczere zaskoczenie. Anka zamknęła usta, zadziwiona, że można aż tak dobrze grać. Chłopak powinien natychmiast dostać Oscara.

– To kim jest ta dziewczyna? – To pytanie zadała Anetka, patrząc na płaczącą Zuzannę z mieszaniną niechęci i współczucia.

– To... Kiedyś byliśmy razem. – Adam powiedział to cicho, jakby bał się, że jeszcze mocniej wyprowadzi z równowagi tę i tak już dostatecznie niezrównoważoną psychicznie kobietę, która zjawiała się tu nie wiadomo po co. Siedzący przy stole goście zaczęli już otwarcie wymieniać porozumiewawcze spojrzenia.

– Jak możesz tak udawać! Przecież jesteście zaręczeni! – wybuchnęła znowu Anka. Mama Adama popatrzyła na nią, kręcąc głową.

– Ona ci o tym opowiedziała? – zgadła, wskazując lekko głową na szlochającą Zuzannę.

– Wszyscy o tym wiedzą! Przecież Adam spotyka się z Zuzanną od kilku lat! Jej rodzice...

– To niemożliwe – stwierdził pan Radzelewski kategorycznym tonem, który zdawał się stworzony do ucinania dyskusji. – Mój syn ma narzeczoną, w przyszłym miesiącu biorą ślub, a ja nie życzę sobie takich najść w moim domu. – Lekkim, ale stanowczym ruchem dłoni wskazał osłupiałej Ance drzwi. Zuzanna nic nie

widziała, bo nadal zasłaniała twarz rękami.

– Ale teraz te dziewczyny nigdzie nie pójdą, przecież nie ma już jak wrócić! Jest prawie środek nocy! – zaprotestowała jego żona, jednak bez większego przekonania.

– Poradzimy sobie. – Anka chwyciła przyjaciółkę za rękę, ciągnąc ją za sobą. – Ale powinni państwo wiedzieć, że wasz syn to podły oszust... – dodała na odchodnym. Jednak sądząc po twarzach obecnych, nikt z zebranych w salonie osób nie podzielał tego przekonania. Anetka wpatrywała się wielkimi oczami w obie dziewczyny, Adam utkwiał wzrok gdzieś w ścianie. Nawet Kasia, która właśnie przyszła z kuchni z dwiema filiżankami herbaty, patrzyła niepewnie, nie rozumiejąc, co się właśnie stało.

## ROZDZIAŁ 14

Anka nie pomyliła się w swoich przewidywaniach: wścibski kierowca wciąż tkwił pod domem, tam, gdzie go zostawiły. Ciągnąc za sobą Zuzannę, wpełnęła się z powrotem na siedzenie pasażera. Zdążyła się tam tymczasem pojawić pusta puszka po piwie.

– Wracamy na dworzec – oznajmiła Anka, zrzucając puszkę na podłogę auta.

– A co to ja, taksówka? – Kierowca rozparł się wygodniej na swoim fotelu. – To kawał drogi od Jagodna. Poza tym co wy chcecie robić w nocy na dworcu?

Pociąg będzie rano.

– I tak dobrze, że nie za tydzień – burknęła Anka. Słowa, skierowane zasadniczo do pochlipującej Zuzanny, nie trafiły do nikogo.

– Wyrzucili was? – zapytał ciekawie kierowca, zerkając na Zużę. Mogło być późno, ale jemu wyraźnie nigdzie się nie spieszyło.

– Ten drań... – Anka przerwała, zastanawiając się, czy naprawdę chce się dzielić swoimi przeżyciami z miejscowym chłopem. Ale też ten chłop jawił się jej teraz jako jedyna bezpieczna przystań w otaczających ciemnościach.

– Mężczyźni są podli, bez urazy – powiedziała w końcu. – A ten był zaręczony z dwiema dziewczynami naraz.

– Ho ho! – skomentował kierowca z podziwem w głosie.

Anka westchnęła i na jakiś czas zapadła cisza. W końcu mężczyzna sięgnął ręką do schowka, pogrzebał tam chwilę i wyjął jeszcze nieotwartą puszkę z piwem. W ciszy słychać było tylko ciche szlochanie Zuzy i siorbanie popijającego piwko kierowcy.

Zuzanna ledwo zdawała sobie sprawę z absurdalności sytuacji, w jakiej się znalazły. Jak przez mgłę docierało do niej rechotanie rozbawionego kierowcy i głos Anki, dopytującej się o najbliższy hotel. Cały czas widziała przed sobą Adama i wymalowaną Anetkę obok niego. Jego mama nie była chora. Nie zajmowała się nią żadna pielęgniarka. To Anetka odebrała jego komórkę po sylwestrowej nocy. I nic dziwnego – przecież to ona była jego prawdziwą narzeczoną. Była jego Kurką, a on jej Kogutkiem! Zuzanna czuła mdłości na samą myśl, że Adam mógł dotykać jakiejś innej dziewczyny. Żeby tylko: dotykać... Przecież Kurka niedługo będzie miała małe Kurczątko! To wszystko wydawało się nieprawdopodobne, jak senny koszmar. A tymczasem to właśnie była jawa. Jak długo Adam ją zwodził? Przez ostatni miesiąc? Pół roku? A może Anetka od zawsze była w pobliżu, może mieszkała dwa domy dalej i, tak jak Zuzanna, czekała na oświadczyzny? Anetka! Dziewczyna z niebieskimi paznokciami. Prosta i nieciekawa (to wszystko widać było na pierwszy rzut oka, Zuzanna wcale nie oceniała jej tak z zazdrości). Być może ta Anetka była miła, może nawet niebrzydka, ale Zuza nigdy wcześniej nie pomyślałaby, że Adam może zwrócić uwagę na ten typ urody. Przecież takie dziewczyny, poubierane w miniówki i białe kozaczki, wrywały chłopaków na wiejskich dyskotekach! Kurka na pewno nie przeczytała w życiu ani jednej książki, więc o czym mieliby ze sobą rozmawiać? A jednak – to ją Adam wybrał. Rudą Kurkę z niebieskimi tipsami. Jak to w ogóle było możliwe? Każdy mężczyzna mógłby to zrobić – ale nie Adam!

– Wsiadamy. – Zuza dopiero po chwili zrozumiała, że Anka mówi do niej.

– No chodź, nic z tego nie będzie – powtórzyła, ciągnąc Zużę za rękaw płaszcza i dyskretnie wskazując na kierowcę, który najwyraźniej zdrzemnął się po

trzecim czy czwartym piwku. – On się nie ruszy stąd do rana, jeśli w ogóle. Wygląda na to, że boi się wracać do żony. Jakby któraś z nas umiała prowadzić, to mogłybyśmy przejąć ten samochód, ale... No dalej, chcesz, żeby Adam nas tu zastał rano? – dorzuciła, widząc że Zuza patrzy na nią tępo wielkimi, zapłakanymi oczami.

– Jak wrócimy?

– Pieszko! – ogłosiła Anka, wysiadając z pojazdu. I natychmiast skuliła się, czując przejmujący mróz.

– Dobrze – bąknęła Zuza. Nie była to wielka zachęta. Anka podejrzewała, że porzucona narzeczona zgodziłaby się w tej chwili pójść w dowolną stronę z kimkolwiek. I nie myliła się ani trochę. Zostawiły za sobą samochód i powoli ruszyły brzegiem drogi.

Szczęśliwie, nie wiedząc o tym, miały przewodnika. A nawet dwóch, chociaż Zanael był zbyt wzburzony, żeby się na coś przydać.

– Widziałeś to? – wykrzykiwał raz za razem. – I gdzie był Arael? Widziałeś go? Schował się gdzieś, drań! Już ja bym sobie z nim porozmawiał! Świetnie prowadzi swoją duszę, nie ma co!

– Pewnie się nas przestraszył. – Annael nastroszył pióra. Barczystego anioła nie było w pobliżu, więc czuł się nieustraszony.

– Powinien się zapaść pod ziemię ze wstydu! – pomstował dalej Zanael.

– Jego metody wychowawcze... – westchnął Annael, jednocześnie delikatnie szturchając Annę, żeby skręciła we właściwą stronę. – Niby tyle stuleci doświadczenia, a zachowuje się jak jakiś nieopierzony żółtodziób!

– O, właśnie tak! – Zanael energicznie pokiwał głową. – Słuchaj, daleko jeszcze na ten dworzec? – zreflektował się po chwili. W sumie, szli już dobre dwadzieścia minut, dawno minęli ostatnie zabudowania wsi, a dziewczyny wyglądały na coraz bardziej zmarznięte i zmęczone.

– Chyba nie dojdziemy przed świtem. – Annael pokręcił głową. – Strasznie zimna ta noc, dobrze byłoby złapać dla nich jakiś autostop.

Rozejrzeli się obaj z powątpiewaniem po pustej drodze.

– Niedobrze – skwitował Zanael. – Trzeba było nie wypuszczać ich z tego samochodu.

– A jakby ten kierowca próbował gdzieś pojechać? Skończyliby wszyscy w rowie – wzdrygnął się Annael. – Gdzie on ma swojego anioła stróża, tego też jestem ciekaw.

– Niektórzy tylko by się migali od roboty, do naszej pracy trzeba mieć powołanie. – Zanael delikatnie musnął Zuzannę skrzydłem, żeby podkreślić wymowę swoich słów. Na tym anielska rozmowa się urwała.

Dziewczyny rozmawiały jeszcze półgłosem, chociaż mówiła głównie Anka,

analizując raz za razem absurdalną sytuację. Jak to możliwe, że Adam wiódł podwójne życie? Czy miał zamiar pojawić się na obu weselach? Zupełnie nie do wiary! Jak on mógł tak się podle zachować, normalny to chyba nie jest, jak dobrze, że prawda wyszła na jaw! Od czasu do czasu zatrzymywała się, rozglądała i, nieświadoma, że towarzyszy jej niewidzialny przewodnik, skręcała we właściwym kierunku. Dziewczyny wyszły ze wsi i maszerowały teraz wzdłuż pól. Na pustej drodze nie minął ich żaden samochód i wycieczka stawała się coraz bardziej męcząca. Dobrze, że na niebie wisiał księżyc, a energiczny marsz rozgrzewał. W końcu wyczerpane dziewczyny ucichły zupełnie i w ciszy nocy słychać było tylko skrzypienie śniegu pod nogami. Już nie maszerowały rażno, teraz wlokły się noga za nogą.

– Zobacz! – Annael zatrzymał się niespodziewanie. Od głównej drogi odbijała niemal prostopadła ścieżka, wiodąca na pobliskie wzgórze. A w górze dostrzec można było zarys postaci i jakieś jasne światło.

– Tędy idziemy! – zdecydował, po czym nachylił się nad Anką.

– Skrót! – oznajmił radośnie, wprost do jej ucha. – Będziecie szybciej na dworcu!

Zdezorientowana dziewczyna rozejrzała się, zatrzymując na rozstajach.

– Tędy! – zdecydowała. – Moje wycucie kierunku mówi, że zetniemy kawałek drogi. Ja już ledwo żyję, nie wiem, jak ty.

Zuza ledwo rzuciła okiem na wybraną ścieżkę. Chyba nią nie jechały, ale teraz to przecież i tak wszystko jedno, prawda?

– A to nie jest w drugą stronę niż dworzec? – zapytał Zanael. Annael uciszył go jednak głośnym „cii!”. Wyraźnie zainteresowała go stojąca opodal postać, otoczona anielską poświatą.

Zuzanna ocknęła się ze stuporu, dopiero kiedy zdała sobie sprawę, co właśnie mijają.

– Jesteśmy na cmentarzu? – Zatrzymała się. Miała złamane serce i świat stał się jej zupełnie obojętny, ale to, co ją otaczało, to bez wątpienia był cmentarz. A one przyszły tu same, w środku nocy.

– Tylko go obchodzimy bokiem, nie bój się – zawołała rażno Anka, która zdążyła już wejść między nagrobki. Cmentarzyk był stary i najwyraźniej, przynajmniej od tej strony, nieogrodzony. Ciężko też było go obchodzić, bo leżące na skraju nagrobne płyty znajdowały się już właściwie między drzewami.

– Poczekaj! – Zuza momentalnie dogoniła przyjaciółkę i uczepiła się jej rękawa. W księżycowym świetle przysypane śniegiem groby wyglądały niesamowicie, ale dziewczyny przynajmniej, chociaż troszkę, widziały którądy idą. I dobrze, bo przez chwilę pozostawały zdane na siebie. Pracowici aniołowie zatrzymali się przy stojącej na skraju kapliczce. To tam stała postać dostrzeżona

przez Annaela, którą mogli podziwiać teraz w całej okazałości. A była to, ni mniej, ni więcej, tylko oszałamiającej urody anielica.

Aby należycie zrozumieć zadziwienie aniołów, trzeba zaznaczyć, że w ich gatunku niemal nie zdarzają się samice. Nie stanowi to problemu, ponieważ anioły i tak się nie rozmnażają i od początku stworzenia jest ich stała liczba, chociaż niektóre przewędrowały w swoim czasie na ciemną stronę. Aniołowie nie odczuwają też właściwych ludziom emocji wobec przeciwnej płci, a już zwłaszcza, jako bezcielesne, nie znają pociągu fizycznego.

Ale ta anielica była wyjątkowo piękna. Jej delikatny wdzięk podkreślały świetliste skrzydła, podbite od wewnątrz miękkim puchem, i widoczna z daleka anielska poświata. A ponieważ Annael stał z boku i patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami, Zanael musiał przejąć na siebie poprowadzenie miłej, kulturalnej i błyskotliwej konwersacji.

– Eee... – powiedział.

Anielica spojrzała na nich spod długich anielskich rzęs. Jej delikatne rysy twarzy ułożyły się z wdziękiem w uprzejmy brak zainteresowania.

– Mnie też jest miło was poznać, ale teraz pracuję – zaznaczyła.

– Ooo... – odparł rzeczowo Zanael.

Ich konwersację przerwał niespodziewanie głośny kobiecy krzyk.

– Czy to nie wasze dusze? – zapytała anielica. – Chyba poznały moją.

Anka zaczęła uciekać tyłem, potykając się o nagrobki. Przerazona Zuzanna zastosowała inną technikę obrony: zamarła w stuporze, gapiąc się szeroko otwartymi oczami na postać, która właśnie wyłoniła się spomiędzy grobów. Duch, zombiak, cokolwiek to było, zbliżało się do nich powoli, okutane w długi poszarpany płaszcz. Mógł to być wilkołak, bo pod dziwnie wyglądającym kapeluszem straszliwe monstrum posiadało wielki długi pysk, a właściwie ryj, a dokładniej... Czy to był aparat fotograficzny? Zuzanna odważyła się kilkakrotnie zamruć, a Anka, od dłuższej chwili uciekająca już nie tylko tyłem, ale i na czworakach, zatrzymała się. Zjawą, która jeszcze przed chwilą była śmiertelnie groźna, zaczęła powoli nabierać cech ludzkich. Spod okropnego płaszcza, który chyba był tylko starym prochowcem, wystawały trampki, nawet w księżycowym świetle wyjątkowo brudne. Za to twarz, po odjęciu straszliwego pyska, robiła nawet miłe wrażenie.

Mężczyzna opuścił rękę z aparatem i odłożył go na najbliższą płytę nagrobną, po czym wyciągnął pomocną dłoń do Anny.

– Co robicie w nocy na cmentarzu? – zapytał.

Anka przez dłuższą chwilę patrzyła na jego dłoń z powątpiewaniem, jakby się zastanawiała, czy aby na pewno jest materialna. W końcu jednak przyjęła ofiarowaną jej pomoc i wstała z ziemi.

– Uciekamy z wesela – odparła krótko, rzucając dłuższe spojrzenie Zuzannie. Dziewczyna podeszła do nich, otaczając się ramionami.

– A ty?

– Czekam na wschód słońca. Ale chyba przyjechałem dużo za wcześnie.

Widząc szeroko otwarte oczy Anki, nieznajomy zaczął się śmiać. Zuzanna, która na chwilę wróciła ze świata ponurych rozmyślań do rzeczywistości, zrozumiała pierwsza.

– Będiesz robił tu zdjęcia?

– Bingo! – Pomachał aparatem, jakby właśnie wygrał go w jakimś konkursie. – To zabytkowy cmentarz, może zauważyliście, za godzinkę będzie tu cudownie, jak zacznie się rozjaśniać... Mógłby jeszcze zacząć padać ten śnieg, który zapowiadali...

– Och – powiedziała krótko Zuzanna.

– Możecie mówić do mnie Michaela – powiedziała tymczasem anielica. Przez cały czas nie spuszczała z oczu swojego podopiecznego, który gawędził już sobie w najlepsze z dziewczynami. Im bardziej wydawali się zaprzyjaźnieni, tym miłsza była i Michaela.

– Prześliczne imię. – Annael odważył się na komplement, po czym udał, że musi się pilnie skoncentrować na obserwowaniu Anki.

– Moja dusza jest artystą – wyjaśniła tymczasem anielica, udając że nie dostrzega zmieszania Annaela. – Michał jest bardzo wrażliwy, łatwo go zainspirować.

– Pomagasz mu...? – Zanael zawiesił głos.

– Można powiedzieć, że jestem jego muzą. On mnie tak nazywa. Zresztą, Michał nie jest pierwszy, zawsze dostawałam pod opiekę piękne dusze...

– Och – Annael westchnął, na w pół z podziwem, na w pół z zazdrością.

Zanael pokiwał głową, jakby doskonale znał temat.

– Zuzanna też ma artystyczny talent. W liceum bardzo ładnie malowała... – zaczął. Wyglądało jednak na to, że nie zwrócił tym niczyjej uwagi. Annael, cały rozanielony, przyglądał się Michaeli, która wciąż udawała, że nie widzi jego spojrzeń. Anka i Zuzanna czekały na schodach stojącej pośrodku cmentarza drewnianej kaplicy, podczas gdy Michał manipulował przy zamku. Po chwili schronili się wewnątrz. Zdejmując z ramienia torbę, Zuzanna przypomniała sobie o ukrytym w środku termosie i cała trójka postanowiła się rozgrzać solidnie ocukrzoną herbatą. Do aniołów doszedł głośny śmiech, zupełnie nielicujący z powagą miejsca.

– Niesamowite! – wykrzyknęła Anka. – Naprawdę jesteś fotoreporterem?

– To dopiero staż – wyjaśnił Michał skromnie. Opowiadał właśnie o swojej pasji. – Póki co, fotografuję takie rzeczy jak świąteczne jarmarki, dziury w jezdni



i ciągniki na polu... To, co akurat jest potrzebne w gazecie, więc głównie życie kilku okolicznych wsi i czasem coś małomiastowego... Ale nawet nie zbliżam się do granic Warszawy.

– Ojej, to super!

– Prawda, zwłaszcza te ciągniki robią wrażenie, nie?

Anka znów się roześmiała, jakby to był dobry żart. Michał też błysnął zębami i poprawił rondo dziwaczego kapelusza. Kapelusz, najwyraźniej dobrany do płaszcza, robił wrażenie czegoś wielokrotnie przeżutego i na koniec wyplutego przez wielkiego i zaślinionego psa. Gdyby Zuzanna nie osunęła się znów w otchłań własnego smutku, na pewno zwróciłaby uwagę na urok tej sceny. Anka, wschodząca ikona mody, siedziała tuż obok najprawdopodobniej najgorzej ubranego człowieka na świecie. Co więcej, właśnie obdarzyła go uśmiechem zarezerwowanym wcześniej tylko dla prezesów wielkich firm.

Zuzanna jednak była zbyt zajęta dygotaniem z zimna i przeżuwaniem w pamięci tych wszystkich momentów, które, poniewczasie, wyraźnie świadczyły, że Adam cynicznie robił ją w konia. Czy nie powinna była się domyślić już choćby po tym, że narzeczony nigdy nie zapraszał jej do rodzinnego domu? Zabrał ją na wieś tylko dwa razy, ostatnio – ponad rok temu. Prawie nie знаła jego mamy ani taty, chociaż w świecie swoich marzeń spędzała już z nimi wszystkie święta. A to, że Adam zgadzał się bezkrytycznie na każdy pomysł związany z przyszłym mieszkankiem, nawet na obicie w różyczki...? Nigdy się nie kłócili, bo Adam zawsze przyznawał jej rację – może mógł sobie na to pozwolić, bo nic pomiędzy nimi nie było prawdziwe? Zuzanna zwiesiła głowę. Jakaś część jej psychiki dramatycznie pragnęła wierzyć, że ta bajka się nie skończyła – i to chyba większa część. Właśnie ona była odpowiedzialna za następne, coraz bardziej odrealnione myśli. A jeśli Adam podczas tego wieczoru nie był sobą? Jaka była szansa na to, że Zuzanna poznała dziś złego brata bliźniaka mężczyzny? A może ktoś go zahipnotyzował?

Podczas gdy potwornie zmęczona Zuzanna rozważała możliwość, że na jej narzeczonego ktoś rzucił urok (przecież i takie rzeczy się zdarzają...), nad cmentarzykiem zaczęło powoli wschodzić słońce. Michał przerwał w pół słowa prowadzoną właśnie konwersację z Anką i zaczął majstrować przy aparacie. Był całkowicie skoncentrowany na bladoróżowym świetle rozjaśniającym horyzont i po chwili zostawił dziewczyny same. Anka, starając się ukryć swój entuzjazm związany z faktem, że właśnie poznała sympatycznego, chociaż trochę dziwaczego chłopaka, szturchnęła lekko Zużę.

– Będziemy miały podwózkę do domu – rzuciła, wstając i wychodząc przed kaplicę. Przeciągnęła się, omiatając wzrokiem okolicę, dużo przyjaźniejszą niż jeszcze godzinę czy dwie temu. W porannym świetle zabytkowy cmentarzyk pod Jagodnem wyglądał całkiem malowniczo i bez trudu można było dostrzec

zaparkowany przed bramą samochód. – Michał obiecał nas odwiedzić. Trochę nadrobi drogi, ale nie za bardzo, nie mieszka w tej wiosce, co twój Adam... – Przerwała, uświadamiając sobie, że Adam nie jest już Adamem Zuzanny. – Hm, to się nazywa szczęście, nie?

Zuzanna była jednak daleka od tego, żeby dostrzec jakiegokolwiek szczęście w swoim nieszczęściu. Tymczasem zaczął padać lekki śnieg, a nowo poznany fotograf biegał między nagrobkami, od czasu do czasu wydając ciche okrzyki, świadczące o tym, że znalazł szczególnie dobre ujęcie.

## **ROZDZIAŁ 15**

– Ciężka praca się opłaca – oznajmiła radośnie Matylda, wracając do domu. Olga uniosła głowę znad kuchennego blatu, na którym starannie kroїła warzywa. Matyldę nieodmiennie zaskakiwało, że jej współlokatorka po całym dniu w pracy potrafi zrobić wielkie zakupy, posprzątać kuchnię, nastawić pranie i nie tracąc ani krzty energii, wziąć się za gotowanie czegoś przepysznego.

– Dziś miałaś ostatni egzamin? – Olga odłożyła na chwilę nóż do warzyw i wzięła się za wyciskanie czosnku.

– Taaak! – Matylda rzuciła torbę w kąt kuchni i sięgnęła po kawałek skrojonej marchewki. – Wszystko pięknie zaliczone, do czerwca mam święty spokój z tymi studiami.

– Gratuluję! – uśmiechnęła się Olga.

Matiel, który wszedł do kuchni zaraz za Matyldą, rozpromienił się z dumy. Matylda mogła sobie nie zdawać z tego sprawy, ale to głównie jego ciężka praca zaowocowała znakomitymi, a w każdym razie wystarczającymi do kontynuowania edukacji, wynikami. Matylda nie dostrzegała jednak niczego nadnaturalnego w tym, że w ostatniej chwili przychodziła jej do głowy właściwa odpowiedź – ani w tym, że wylosowała najbanalniejsze pytania z całego zestawu.

– Teraz feeerie, feeerie! – Kręciła się po kuchni, uradowana, co jakiś czas podkradając jakiś kawałek warzywka. Jej radości nie mącił nawet fakt, że nie było jej stać na żaden wyjazd i czekały ją spokojne dwa tygodnie w ich wynajętym mieszkanku. To Olga miała następnego dnia wsiąść w pociąg i spędzić tydzień w Zakopanem, jeżdżąc na nartach ze swoim Markiem.

– Zadzwońię do dziewczyn! – Matylda nagle się zatrzymała. Kiedy ostatnio odzywała się do Zuzy albo Anki? Dwa tygodnie temu? Trzy? Na pewno przed sesją... Już dawno wybaczyła Ance tę nieszczęsną historię z wydawcą, więc dobrze będzie się znowu spotkać, może nawet jutro czy pojutrze, chociaż chyba wypadały walentynki... Matylda była nawet gotowa wysłuchać wszystkiego o tej nowej pracy, którą Anka już pewnie znalazła, a znając ją, to już pewnie dostała awans, chociaż było trochę dziwne, że nie zadała sobie trudu, żeby poinformować o tym Matyldę. No a Zuzannę warto raz na jakiś czas oderwać od przygotowań do ślubu stulecia. Ciekawe, że jeszcze nie rozesłała zaproszeń... W każdym razie Matylda żadnego nie dostała.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Matyldy termin babskich pogaduszek został ustalony właśnie na 14 lutego. Była to sugestia Anki, która w kilku zdaniach, a w każdym razie w niecałe pół godziny, wyjaśniła Matyldzie obecną sytuację. Następne pół godziny musiała poświęcić na powtórzenie wszystkiego jeszcze raz, ponieważ przyjaciółka nie mogła do końca uwierzyć w całą opowieść. Potem jednak, zapytana o to, co dobrego wydarzyło się u niej, Anka podejrzenie szybko zakończyła rozmowę.

Tak więc można uznać, że Matylda była przygotowana na to, że nie jest jedyną osobą, którą początek roku oddalił od spełnienia marzeń. Jednak, pomimo ostrzeżenia, nie spodziewała się zastać swoich przyjaciółek w tak złym stanie.

Anka, zamiast się nonszalancko spóźnić, przyszła na spotkanie u Matyldy piętnaście minut przed czasem. Jej nieco już przydługie jasne włosy były nieciekawie zaczesane do tyłu i, nie licząc może odrobiny podkładu, dziewczyna nie miała żadnego makijażu. Za to na jej buzi widniały nieładne cienie pod oczami, których jakoś nie zatuszował korektor. Kiedy zdjęła płaszcz, zaskoczona Matylda ujrzała znoszony sweterek, który nie wyglądał ani retro, ani awangardowo, ani hipstersko, ani w ogóle nijak.

– Cześć – rzuciła Anka bezbarwnym głosem, siadając na kanapie.

Jednak zanim Matylda zdążyła otrząsnąć się z szoku, rozległ się dzwonek do drzwi, zapowiadający przyjście Zuzanny. I nagle okazało się, że Anka nie wygląda wcale tak źle. Szczęśliwa panna młoda miała oczy zaczerwienione od płaczu i w kółko pociągała nosem. Wielki szary sweter miał jej chyba dopomóc w jakiś sposób w odzyskaniu poczucia bezpieczeństwa. Rzuciła Ance i Matyldzie ledwo słyszalne „hej” i pospiesznie skuliła się po drugiej stronie kanapy. Wyglądało na to, że jeśli Matylda nie weźmie na siebie rozpoczęcia rozmowy, to obie jej przyjaciółki spędzą cały dzień, patrząc pustym wzrokiem na swoje szklanki z gorącą czekoladą. Matylda udekorowała gorącą czekoladę bitą śmietaną i posypała ją kolorową serduszkową posypką, ale jakoś nikt jej za to nie pochwalił, a Zuzanna miała taką minę, jakby jeszcze nie zauważyła, że trzyma coś w ręce.

– To dopiero pierwszy miesiąc – pocieszająco zauważył Matiel. – No, pierwszy miesiąc i troszeczkę.

– Pierwszy miesiąc i dwa tygodnie drugiego – sprostował Annael. Zanael tylko pokiwał głową. Żaden z trzech aniołów nie był dziś w nastroju do siedzenia i wysłuchiwania dziewczęcych rozmów, zwłaszcza że domyślali się panującej w pokoju Matyldy grobowej atmosfery. Ich nastroju nie poprawiło krótkie spotkanie z Olgaem, aniołem stróżem Olgi. Olgael był bardzo miły i uprzejmie zapytał, jak się miewają ich podopieczne, po czym dodał, że trochę się spieszy, ponieważ Olga wybiera się na randkę ze swoim chłopakiem i on, Olgael, musi zadbać o romantyczną scenerię, śnieg i tak dalej. Może urządzą bitwę na śnieżki? Anioł potrząsnął blond lokami, uśmiechnął się przepaszająco, i ulotnił, a pozostali aniołowie w podłych nastrojach zgodnie wyruszyli na zimowy spacer. Popołudniowe słońce zalewało ośnieżone miasto ciepłym blaskiem, a na parkowej górcie na Polach Mokotowskich pełno było dzieci z sankami, jabłuszkami, foliowymi torbami i wszystkim innym, na czym tylko można było spróbować zjechać z góry.

Zanael spojrział na nie i westchnął, przypominając sobie z rozrzewnieniem,

że Zuza też kiedyś jeździła na saneczkach. Miała wtedy czapkę z pomponami i marzyła o tym, że kiedy dorośnie, będzie malarką, pisarką, rzeźbiarką i treserką lwów. To były wspaniałe czasy.

– No, w każdym razie nie możemy oczekiwać, że tak od razu wszystko się uda – uspokajał nadal Matiel. – A w ogóle to moglibyśmy sobie darować to spontaniczne podsumowanie naszej pracy.

– Bo i nie ma czego podsumowywać – burknął Annael. – Wiecie, że ten Michał nawet nie wziął od Anki numeru telefonu?

– Już o tym mówiłeś – odparł Zanael, podczas gdy Matiel pocieszająco machał skrzydłami.

– Teraz się nie daje numerów telefonu, wszyscy się dogadują przez facebooka...

– Numeru facebooka też od niej nie wziął – uciał Annael.

Zanael popatrzył na niego krzywo.

– Anka chyba aż tak się tym nie przejęła, co?

Annael zaczerwienił się i zaczął lepić kulkę ze śniegu.

– Szkoda, że nie będą się widywać – burknął. – Może to by odwróciło myśli Anki od szukania etatu...

– A czy nie chodzi o to, że będzie ci brakowało pewnej anielicy... – zaczął Zanael, ale drugi anioł pośpiesznie mu przerwał.

– Nie wyobrażacie sobie nawet, jaki ona potrafi zrobić problem z tej pracy – zaczął. – Wydawałoby się, że skoro żaden pracodawca nie odpisał jej na żadnego maila, co oczywiście nie jest dziwne, skoro ich nie dostali – uśmiechnął się z wyraźną dumą – to Anka powinna spasować, usiąść, zastanowić się nad tym, co naprawdę chce robić, podziękować Niebiosom za to, że ma dach nad głową, kochających rodziców, całe życie przed sobą, a teraz jeszcze tyle czasu na przemyślenia...!

– No – potwierdził Zanael, zastanawiając się, tak tylko na marginesie, czy Zuzanna nadal chciałaby zostać artystką albo treserką dzikich zwierząt.

– Tymczasem ona dostała krętka na punkcie tej roboty! – żalił się Annael. – Muszę jej pilnować o każdej porze dnia i nocy... W tym tygodniu skasowałem chyba ze sto maili i z pięćdziesiąt listów motywacyjnych... Wczoraj o czwartej nad ranem odpisywała na ogłoszenie jakiejś firmy, która szuka ludzi do sprzedawania szczoteczek do zębów... Przecież to nie jest praca dla mojej dziewczyny!

– Ale skasowałeś tego maila? – upewnił się Matiel.

– Wszystkie kasuję – potwierdził gorliwy opiekun. – Ale ona, zamiast zacząć myśleć, wysyła ich coraz więcej i coraz bardziej bez sensu... Napisała nawet list motywacyjny do tej firmy, żeby ich poinformować, że ma piękne zęby i wysoko rozwinięte zdolności interpersonalne, więc będzie potrafiła zachęcić klientów! – westchnął ciężko.

– Oni tak mają – przytaknął Zanael. – Ludzie. Jak się uczepią jednego pomysłu, to nie potrafią odpuścić, a potem rozpaczają. – Nietrudno się było domyślić, że mówi o Zuzannie.

Tymczasem sytuacja w pokoju Matyldy rysowała się nieco inaczej, niż to podejrzewały anioły. Na samym początku spotkania Anka była zgaszona, a Zuza nawet trochę popłakała. Teraz jednak nieszczęśliwa porzucona narzeczona turlała się po kanapie, zanosząc obłękańczym śmiechem, i nie ulegało wątpliwości, że wszystkie trzy dziewczyny zgodnie dostały głupawki.

– Kurka, ko ko ko ko! – wykrzykiwała Anka, bardzo przekonująco udając biegającą w kółko kwokę.

– I koguuutek! Kukuryku! – Matylda zapiała, stojąc na stole.

– Ko ko ko ko, złap mnie ko-ko-gutku!

Matylda ruszyła w pogoń za Anką, udając, że dziobie ją po głowie, podczas gdy Zuza wcisnęła twarz w poduszkę, próbując opanować atak śmiechu.

– Kurko, czy chcesz podziobać moją niewydaną powieść? Nikt jej nie chce, a ty masz taki piękny dziób, możesz posłużyć za niszczarkę! – Matylda zamachnęła się teczką z wydrukiem powieści.

– Wytapetowany dziób i niebieskie pazury! – podrzuciła Zuzanna, z trudem łapiąc oddech, podczas gdy teczka wymknęła się Matyldzie z rąk, a powieść rozsypała po dywanie.

– Tak, tak, ko ko ko! – ucieszyła się Anka-Kura. – Ale chcę ją dziobać na pełen etat, żeby rodzice przestali się czepiać, że nie mam roboty...

Wesołe żarty zaczęły się robić coraz bardziej wymuszone. W końcu wszystkie trzy dziewczyny opadły na kanapę, Matylda przytuliła pustą teczkę, Zuza – poduszkę, a Anka, siedząc w środku, przytuliła się do nich obu. Po dłuższej chwili pochyliła się, sięgając po leżące na podłodze kartki.

– Czy to nie jest scena oświadczyn? – zapytała, rzucając na nią okiem.

– Mhm – przytaknęła Matylda. – Jedna z tych scen, w które włożyłam całe serce. I po co! Nikt tego nie czyta!

Anka złapała aluzję i podniosła kartkę do oczu. Zaczęła czytać cichym głosem.

– „Emmanuela drżącymi dłońmi otworzyła niebieską kopertę. W środku znalazła bilety lotnicze. »Czy to znaczy, że moje urodziny będziemy świętować za granicą? W Paryżu?«. Manuel nic nie odpowiedział, ale delikatny uśmiech nie zniknął z jego warg, kiedy pochylił się, aby pocałować ją w kark”. – Anka aż za dobrze pamiętała tę scenę. W swoim czasie połowa jej wydziału pomagała Matyldzie poprawić styl, nie ingerując w treść, która była nienaruszalna. – „Dwa dni później Manuel pomógł jej wysiąść z taksówki. Przed nimi wznosił się symbol miasta, strzelista wieża Eiffla, monumentalna i błyszcząca w promieniach

popołudniowego słońca. Mężczyzna poprowadził Emmanuele do niewielkiej windy, która miała ich zawieźć na sam szczyt. »Zamknij oczy«, poprosił. Złapała go za rękę, kiedy wznosili się powoli w górę. Gdy je otworzyła, stali na tarasie widokowym. Byli sami. Manuel wyjął z zanadru dwa kieliszki i butelkę szampana. »A co to za okazja?«, zdziwiła się. »Jeszcze nie wiem«, odparł zagadkowo. Nagle kobieta dostrzegła stojącą po drugiej stronie tarasu orkiestrę. Muzycy stroili instrumenty, szykując się do gry. Gdy znów spojrzała na Manuela, mężczyzna klęczał przed nią. Na jego twarzy malowało się wzruszenie. W powietrzu rozległy się pierwsze dźwięki skrzypiec. Słońce zachodziło nad dachami Paryża. »Najdroższa«, powiedział, ocierając zebrane w kącikach oczu łzy. »Jesteś światłem mojego życia, moją duszą i sercem, jesteś pierwszą kobietą, którą pokochałem, i chciałbym, żebyś była i ostatnią«...»

Głośny szloch Zuzanny przerwał lekturę. Matylda, która zawsze wzruszała się przy tym fragmencie swojej książki, oniemiała, widząc, że po raz pierwszy ktoś jeszcze się przy niej rozkleił.

– Eee, może to nie jest najlepszy fragment. – Anka pospiesznie zaczęła zbierać pozostałe kartki. – To znaczy, ta scena jest świetna – sprostowała, czując na karku spojrzenie Matyldy. – Ale teraz nie pasuje do nastroju...

– Bo... bo... bo... – chlipała Zuzanna. – Bo Adam też mi tak mówił... – Zaniosła się głośnym szlochem.

– Ale ja nie wiedziałam! – Matylda podniosła ręce w obronnym geście.

– Powinnaś była się domyślić już wtedy, przecież to nawet brzmiało sztucznie... – dodała Zuzanna, nieco zbijając przyjaciółki z tropu.

– Sztucznie...? – powtórzyła Matylda bez przekonania.

– Po prostu zbyt pięknie, myślałam, że jestem najszcześniejszą dziewczyną na świecie, a tymczasem byłam tylko najgłupszą...

Anka pospiesznie przytuliła Zuzannę, próbując ją uspokoić, podczas gdy Matylda jeszcze przetrawiała prawdę o tym, że nie ma takich mężczyzn jak Manuel. Ani takich, jak Adam, który okazał się zupełnie kimś innym. Jednak taka prawda zupełnie jej nie odpowiadała.

– Każdy z nas ma gdzieś swoją drugą połowę, widać Adam nie był twoją – podrzuciła optymistycznie. – Musimy wierzyć w prawdziwą miłość, właśnie taką, jak w mojej książce! Taka miłość istnieje, tylko nigdy nie wiadomo, kiedy na nią trafimy... To może się zdarzyć każdego dnia!

Zuzanna przestała na chwilę płakać, ale tylko po to, żeby spojrzeć na Matyldę z powątpiewaniem. Anka pokręciła tylko głową.

– Daj znać, jak już wpadniesz na tego księcia z bajki, wracając z uczelni albo robiąc zakupy – zaproponowała niezbyt uprzejmie.

Matylda nabzdyczyła się i zaczęła zbierać porozrzucone kartki.

– Nie potrzebuję księcia, moim życiowym celem jest pisanie – odburknęła,

rozprostowując pogięte strony. Na wszelki wypadek Anka nie podejmowała tego tematu, a Zuzanna znów wyłączyła się z rozmowy i zwinęła w nieszczęśliwy, rozdygotany i pochlipujący kłębek rozpaczy. Wtedy właśnie wróciły anioły.



## WIOSNA

### ROZDZIAŁ 16

W przeddzień pierwszego dnia wiosny nic nie zapowiadało jeszcze odejścia zimy. Na ulicach zalegały grube śniegowe zaspy, temperatura utrzymywała się zdecydowanie poniżej poziomu komfortu, a idąc po zakupy, Anka poślizgnęła się na oblodzonej kałuży przed wejściem do supermarketu. Nikt nie podał jej pomocnej dłoni, a już na pewno nie trzymający się kilka metrów z tyłu Annael. Dziewczyna pospiesznie pozbierała się z chodnika. Gruba puchowa kurtka (tylko

na prawdziwe mrozy) nie ułatwiała jej poruszania. Jeszcze w zeszłym roku ta kurtka nie ujrzałaby światła dziennego – w każdym razie nie na Ance. W tym było jej już wszystko jedno. I tak nie chodziła ani na uczelnię, ani do pracy. Tylko po zakupy w Cytrynce – osiedlowym markecie. Miała zresztą sporą szansę, że o tej porze wpadnie tam na Zuzannę albo na Matyldę, która od tygodnia znów konsekwentnie zrywała się z zajęć.

Anka otrzepała kolana i ruszyła przed siebie. I wtedy nagle ujrzała, jak dziewczyna z obsługi Cytrynki przykleja kartkę na wewnętrznej stronie oszklonych drzwi supermarketu. Anka poczuła, jak serce zaczyna jej bić dwa razy szybciej. „Poszukujemy pilnie do pracy w dniu jutrzejszym...” – dalej już nie czytała. Pospieszenie otworzyła drzwi i zerwała cenne ogłoszenie, zanim zdążył je zobaczyć ktokolwiek z konkurencji.

– Halo! – zawołała, machając do dziewczyny z obsługi. Annael pobiegł za nią, ale miał najwyżej kilka sekund, żeby powstrzymać desperacko požądającą pracy Ankę. I w ciągu tych paru sekund nie zdążył nic wymyślić. Anna w kilku susach dopędziła młodą kobietę, która przed chwilą przykleiła ogłoszenie.

– Podobno szukacie kogoś do pracy. – Posłała jej swój najpiękniejszy uśmiech, który tamta natychmiast odwzajemniła.

– Jest pani zainteresowana? To cudownie, akurat ktoś w ostatniej chwili zrezygnował, a jutro mamy pierwszy dzień wiosny, będą wiosenne promocje, dziewczyny przebrane za kwiaty...

– Tak, tak, jestem zainteresowana – potwierdziła entuzjastycznie Anka.

Praca na promocji – jeszcze parę miesięcy temu uważałyby to za zajęcie grubo poniżej jej kwalifikacji. Ale teraz, kiedy jej kwalifikacje okazały się niewystarczające do czegokolwiek, ta praca jawiła się Ance jako szczyt marzeń – i jeszcze na wiosennej promocji, pewnie też będzie wiosennym kwiatem, jak pięknie!

– Niech to gęś kopnie – zaklął Annael, najszeptniej jak potrafił.

Zuza i Matylda pierwsze dowiedziały się o nowej pracy Anki. Obie dostały jednocześnie tego samego SMS-a: „Jutro mój pierwszy dzień pracy w Cytrynce! Możecie mnie odwiedzić na wiosennej promocji. Hurra!”. Anka chciała jeszcze dopisać „Nasze marzenia się spełniają”, ale uświadomiła sobie, że może to być trochę niezręczne. Myślała też przez chwilę o tym, czy nie napisać dziewczynom, żeby się pospieszyły z wizytą, bo promocja trwa jeden dzień i jej pierwszy dzień pracy najpewniej będzie też ostatnim. Uznała jednak, że zajęłoby to za dużo znaków. Matylda od razu potwierdziła, że przyjdzie kibicować. Zuzanna odpisała tylko zdawkowe „Gratuluję!” z uśmiechniętą emotką, ale Ankę ucieszyło, że przyjaciółka w ogóle sięgnęła po telefon. Z Zuzanną ostatnio nie było najlepiej. Właściwie – to było z nią tak źle, jak może być jedynie z porzuconą narzeczoną,

którą oszukał mężczyzna jej marzeń. Aktualnie: najpodlejszy mężczyzna na świecie. Żadna z dziewczyn nie mówiła już o Adamie inaczej niż tylko „ta kanalia”, chyba że emocje brały górę – wtedy używały zdecydowanie mocniejszych określeń.

W ostatnich tygodniach Zuzanna przekonała się, że wizyta w rodzinnym domu Adama nie była jeszcze najgorszą rzeczą, jaka spotkała ją w życiu. Znacznie trudniejsze okazały się wszystkie kolejne dni. Na początku czuła ból wymieszany z zaskoczeniem. Wypłakała się rodzicom i czuła nawet pewną satysfakcję, kiedy jej ojciec wybiegł z domu w kapciach, gotów natychmiast pojechać do Adama i „zrobić z niego wycieraczkę”. Anita z córką dogoniły go, kiedy wyciągał motocykl z piwnicy. To była nawet wesoła scena. Potem dzwoniła Anka, żeby po raz kolejny podzielić się wrażeniami z podróży. Umówiły się nawet na drinka w Niezapominajce. Dużo się działo i Zuza miała wrażenie, że może nawet da sobie radę. Potem jednak zaczęła zmieniać zdanie. Do nieciekawego koktajlu emocji dołączyła tęsknota za Adamem, którego miała już najpewniej nigdy nie zobaczyć. I z każdym dniem to „nigdy” wydawało się jeszcze dłuższe. Przez pierwsze dwa tygodnie, do końca lutego, jakoś się trzymała. Chyba dlatego, że towarzyszyła jej irracjonalna nadzieja, że wszystko okaże się złym snem i jakąś nieprawdopodobną pomyłką. Telefon jednak milczał i Adam nie próbował się z nią skontaktować, w żaden sposób. Zdesperowana Zuza sama kilka razy wykręciła jego numer, żeby wygarnąć Adamowi, co o nim myśli, ale oczywiście nie odebrał. A przecież powinien zadzwonić, jakoś się wytłumaczyć, przeprosić ją, okłamać, coś powiedzieć, cokolwiek! Czy naprawdę nic go nie obchodziła? Ani trochę? Czy tak było przez całe trzy lata? Któregoś poranka, leżąc w łóżku i wtulając się w poduszkę, Zuzanna zorientowała się, że odlicza dni od ostatniego spotkania z byłym narzeczonym tak samo jak wtedy, gdy jeszcze byli razem. Tyle że kiedyś z każdym mijającym dniem coraz bardziej cieszyła się na kolejne spotkanie. Teraz nie miała na co czekać.

To chyba było najtrudniejsze, ta pustka. W pierwszych dniach wszyscy się starali pocieszyć Zuzę i wciąż miała wokół siebie wianuszek przyjaciół. Jednak po pewnym czasie wszystkie szczegóły ostatnich zdarzeń zostały omówione i zanalizowane, Adam obrzucony całym słownikiem wulgaryzmów, i nie było już nic do powiedzenia. Otaczający Zuzannę ludzie, pomimo całej swojej życzliwości, musieli wrócić do własnych zajęć. Wszyscy mieli coś do zrobienia w życiu – poza Zuzanną. Zuza nie miała do czego wracać. Co właściwie miała robić teraz, kiedy wymarzony ślub wraz z całą jej przyszłością został odwołany? Anka pomogła jej anulować zamówioną salę i odsprzedać sukienkę. To była duża pomoc, bo Zuza nie mogła nawet patrzeć na białe koronki i małe wyszywane kwiatki. Ale wraz z tą transakcją wszystko naprawdę się skończyło.

Od paru tygodni Zuzanna snuła się po mieszkaniu w szlafroku, oglądała telewizję, czytała wszystko co jej wpadło w rękę i przynajmniej raz dziennie wyrzucała jeszcze jakąś zapomnianą pamiątkę po Adamie. Od czasu do czasu próbowała zacząć wszystko od nowa i zabierała się za różne rzeczy, które chwilę później odkładała z powrotem. Na jeden wieczór udało jej się wciągnąć w rozwiązywanie krzyżówek, któreś sobotnie popołudnie spędziła z ojcem, usiłując się zainteresować motocyklem, przy którym ciągle majstrował. Czasem też wychodziła spotkać się z Anką i Matyldą, bo na oglądanie innych ludzi po prostu nie miała siły. Zwykle zresztą trudno było jej się wciągnąć w temat rozmowy, jeśli nie dotyczyła ona Adama. A pierwszego dnia wiosny przypadał akurat ten dzień, kiedy wyjście z domu do supermarketu, żeby kibicować Ance, okazało się za trudne.

„Nie przychodź” – SMS od Anki zastał Matyldę dosłownie w drzwiach mieszkania. Zdążyła otulić się ciepłym szalem i wciągnąć na nogi puchate zimowe botki. W rękę trzymała równie ciepło otulony aparat fotograficzny. Od wczoraj Anka zdążyła zdecydować, że będzie robić karierę w zawodzie hostessy, a Matylda miała jej pomóc w utworzeniu fotograficznego portfolio. Matylda jeszcze raz spojrzała na telefon, żeby się upewnić, że dobrze przeczytała wiadomość. Jak to „nie przychodź”? Wzruszyła ramionami i postanowiła szybciotko przejść się do Cytrynki i sprawdzić, co się stało.

I Annael, i Matiel byli już na miejscu. Annael przyszedł tam razem z Anką, zaś ciekawski Matiel zajrzał do Cytrynki zaraz po otwarciu, nie czekając, aż Matylda obudzi się, wstanie, zje śniadanie i znajdzie w tym swoim bałaganie czyste ubrania. A potem okazało się, że jest zbyt wesoło, żeby chociaż na chwilę opuścić Cytrynkę.

Wielki transparent „Witamy wiosenne promocje!” górował nad wejściem, a kwiaty z krepiny z powodzeniem zastępowały te prawdziwe, które jeszcze nie przebiły się spod śniegu. W środku, poza papierowymi kwiatami splecionymi w girlandy, wisiały liczne nowiutkie tablice informujące o zniżkach. Tuż za wejściowymi drzwiami rozstawiono specjalne stoisko z promocyjnymi artykułami. Młody chłopak, ubrany na zielono, trzymał transparent z napisem „Oszczędna wiosna”, a grupa dziewczyn-kwiatów rozdawała z małych koszyków próbki kozich serków, soków, słodczy i wiosennego musu z zielonych warzyw. Hostessy miały na sobie przykuwające uwagę obcisłe seledynowe kombinezony, a na głowach coś w rodzaju koron z papierowych płatków. Najważniejsza jednak była wiosenna promocja miodów. I gwiazda programu: wielka puchata pszczoła.

– Widzisz, nie wymyśliłbyś tego lepiej. – Matiel zdążył już naśmiać się do rozpuku, ale od czasu do czasu zaczynał znowu chichotać.

– To się nazywa szczęście! – cieszył się Annael – Ja się mogłem zagapić, ale

Opatrzność czuwa!

Ubrana w kostium wielkiej pszczoły Anka nie zdawała sobie sprawy z tego, że ma szczęście, nie myślała też o zrządzeniach Opatrzności. Stała za ladą, na której rozstawiono rzędy słoików z miodem, i od czasu do czasu wydawała z siebie niezbyt głośne: „zapraszamy do degustacji”, usiłując się przy tym, pomimo zaciśniętych zębów, serdecznie uśmiechać. Nie musiała się specjalnie wysilać, bo jej kostium sam z siebie budził mnóstwo ciepłych uczuć. Regularnie słyszała wesole „mama, paaatr, pściola!”, sporo osób na jej widok zaczynało chichotać albo nawet otwarcie się śmiać. Nieliczni, zbyt poważni na wiosenne promocje, przechodzili obok, starając się zachować kamienną twarz i udając, że nie słyszą jej cichego „zapraszamy do degustacji”.

– No, nie stój tak za tą ladą, nie widać twojego kostiumu. – Przechodzący obok zastępca kierownika niby przypadkiem nachylił się do Anki. – Weź tę tackę z próbkami i przejdź się po sklepie. To twoja pierwsza praca?

Skarcona dziewczyna wysunęła się z za bezpiecznej zasłony. Jej kostium był zaiste urzekający. Wielki i idealnie okrągły pszczeli korpus pomalowano w żółto-czarne pasy, a po bokach wisiały małe skrzydełka. Spod puchatej kuli wystawały szczupłe nogi Anki w czarnych rajstopach, które nie wyglądałyby najgorzej, gdyby nie to, że kazano jej zostawić botki na obcasach na zapleczu i wdziać na nogi wielkie żółte papucie. Wygięte pszczele czułki były elastyczne i idąc przed siebie, Anka starała się nie kręcić głową, żeby nie dostać po nosie jedną z wieńczących czułki żółto-czarnych puchatych kulek. Monotonie odcieni przełamywała tylko twarz dziewczyny, aktualnie w kolorze intensywnej czerwieni.

– Iiihaha! – Matiel zapomniał o swojej anielskiej godności i zaczął się turlać po podłodze.

– Zapraszamy na wiosenne promocje – jęknęła Anka, nerwowo podsuwając tacę jakiejś staruszce, która spojrzała na nią i kręcąc głową, oddaliła się pospiesznie. – Zapraszamy do degustacji miodu...

– Więcej entuzjazmu! – podrzucił zastępca kierownika, znów przechodząc obok. – To od pszczoły zależy dzisiejsza sprzedaż, nie schrzań tego.

Anka chciała się obejrzeć, ale kostium utrudniał jej ruchy. I wtedy zdarzyło się to, czego obawiała się najbardziej: spotkała kogoś znajomego.

– Ojej, Anusia?

Chyba nie mogło być gorzej. Zastępca kierownika oddalił się, mruczając coś do siebie, ale teraz Anka miała przed sobą panią Aleksandrę, jedną z przyjaciółek mamy. Ubraną w prawdziwe futro i umalowaną nienagannie, pomimo że wyszła tylko na zakupy do supermarketu.

– Um, może chce pani skosztować miodu? – zapytała, marząc o tym, żeby zapaść się pod ziemię.

– Pracujesz na promocji? Chętnie się poczęstuję. Ten jest lipowy? – Pani

Aleksandra sięgnęła po pojemniczek z próbką dłonią w skórzanej rękawiczce. Skóra też była prawdziwa.

– Mamy stoisko przy drzwiach. – Anka usiłowała mówić tonem pełnym entuzjazmu.

– To znakomicie, może do was zajrzę, jak skończę zakupy. – Kobieta uśmiechnęła się do niej, ale w jej wzroku Anka widziała wyraźnie wypisane pytanie: „Czy twoja mama wie, że jesteś pszczolą?”. Pani Aleksandra była jednak zbyt dobrze wychowana, żeby o to zapytać, więc posłała Ance jeszcze jeden krzepiący uśmiech i oddaliła się do działu z pieczywem. Dziewczyna jednak niedługo była sama, bo zaraz za nią rozległo się kolejne „Mama! Pściola!”. Odwróciła się, zmotywowana, żeby zachęcić do kupna miodu młodą matkę z dzieckiem. Na swoje nieszczęście, zobaczyła kolejną znajomą twarz.

– Anka? – Młoda kobieta z wózkiem rozpromieniła się na jej widok. Skrępowana pszczola natychmiast rozpoznała Monikę, koleżankę z polonistyki. – Zobacz, ta pszczółka to ciocia Ania! – Monika pochyliła się do dziecka. Mała dziewczynka, otulona w różową kurteczkę, momentalnie wyciągnęła do Anki obie ręce.

– Pściola! – oznajmiło dziecko.

– Nie wiedziałam, że pracujesz w Cytrynce, zaglądałybyśmy tu częściej! – mówiła tymczasem Monika. – Hej, mogę zrobić ci zdjęcie z Małgosią? – Nie czekając na odpowiedź, odebrała Ance tacę z miodami i wręczyła własne dziecko. – Ustawcie się przy szamponach... I uśmiech piękny, taaak! – Pstrykała całą serię zdjęć telefonem. – U mnie teraz tyle się dzieje, ślub, dziecko, zaraz będę wracać do pracy... Ale musimy się koniecznie kiedyś umówić – stwierdziła, zabierając dziecko i oddając Ance tacę. Na do widzenia zabrała też próbkę miodu.

Zostało ich jeszcze dwieście dziewięćdziesiąt osiem. I jakieś dziesięć godzin do końca promocji. Anka pomyślała, że może jednak da radę. I wtedy na horyzoncie pojawił się, rażno pchając przed sobą koszyk z zakupami, kolejny znajomy.

## ROZDZIAŁ 17

Wojciech Miśkiewicz w pierwszy dzień wiosny zrobił sobie wolne od pracy w wydawnictwie. Spędził cały poranek na porządkowaniu książek w biblioteczce, a koło południa postanowił, że coś ugotuje. Jako kawaler, mieszkający samotnie i zazwyczaj niezmiernie zapracowany, zwykle żywił się chińskimi zupkami i makaronem błyskawicznym, urozmaicając tę dietę warzywami, które podobno są zdrowe, i kebabem, który przy chińskich zupkach również może uchodzić za bogaty w wartości odżywcze. Przychodząc do Cytrynki, nie był jeszcze pewien, co ugotuje, ale zakupy wydawały mu się znakomitym pierwszym krokiem do przyrządzenia posiłku. Dziewczęta przy drzwiach niemal zachęciły go do musu z zielonych warzyw, ale z drugiej strony, w punkcie na końcu działu z mięsem, sprzedawali pieczone kurczaki. Zmierzał właśnie w tamtą stronę, wciąż bijąc się z myślami, kiedy zobaczył coś zabawnego.

– Och, my się chyba znamy! – wykrzyknął rozbawiony na widok dziewczyny, którą poznał parę miesięcy wcześniej na własnej prelekcji. – Nie wiedziałem, że mam wśród znajomych taką wspaniałą pszczołę! – dodał z uznaniem.

Anka pomyślała, że jeśli jeszcze raz usłyszy słowo pszczoła, to chyba zacznie krzyczeć. Zamiast tego jedynie uśmiechnęła się krzywo, podsuwając wąsaczowi tacę pod sam nos.

– Może miodu?

– A jakie są do wyboru? – Wąsacz, zamiast zapchać się miodem po same wąsy i sobie pójść, zainteresował się małymi pojemniczkami i zaczął przesuwać je po całej tacy swoją wielką łapą. – Ten jest gryczany?

– Tak – wysyczała pszczoła. I natychmiast uśmiechnęła się serdecznie, napotykać wzrok wydawcy.

– Aha... To poczęstuję się gryczanym. – Chyba w końcu wyczuł jej niechęć, bo bez zbędnych ceregieli sięgnął po pojemniczek.

W tym samym czasie Matylda dotarła wreszcie do Cytrynki. Jednak wbrew

jej oczekiwaniom Anki nie było przy wejściu, w tłumie przebranych za kwiaty dziewczyn. Może wcale nie dostała tej pracy? Na wszelki wypadek Matylda postanowiła sprawdzić wewnątrz supermarketu. Anioły, dostrzegając jej przyście, momentalnie oderwały się od fascynującej wymiany zdań między Wojciechem a pszczołą. Matiel nerwowo zamachał skrzydłami, rozrzucając wokół odrobinę białego puchu.

– Uwaga! – jęknął. – Ona nie może zobaczyć wydawcy!

– Spokojnie, przecież nie wzięła swojej książki na zakupy. – Annael położył mu dłoń na ramieniu. – Ten plan jest już nieaktualny. Nie podejdzie do wydawcy.

W tej samej chwili Matylda dostrzegła stojącego przy wielkiej puchatej pszczole Wojciecha. Pszczoła stała tyłem, ale wydawca przodem i, wyraźnie rozbawiony, wyglądał nawet sympatycznie. Patrzył na pszczołę, więc nie zdążył jeszcze zobaczyć wstrzymującej oddech Matyldy. Czy to możliwe, że właśnie dostała drugą szansę? W tym świecie nie było przecież mowy o przypadkach! To musiało być zrządzenie losu. I, być może jedyna, możliwość wydania książki. Matylda zaczęła gorączkowo przypominać sobie wszystkie dobre rady Anki dotyczące podrywania facetów. Miała wielkiego wydawcę podanego jak na tacy, a wokół aż się roiło od neutralnych tematów do zagajenia rozmowy... A jeśli znów ją zignoruje? Ale w pobliżu najwyraźniej nie było Anki, więc jej szanse na zostanie zauważoną wzrastały stokrotnie. Musi tylko mówić cichym, kuszącym tonem i co parę sekund zerkać mu w oczy. Prościzna.

– Nie idź tam! – Matiel nie musiał czytać w myślach, żeby wiedzieć, co właśnie postanowiła niedoszła autorka bestselleru o miłości. Ale wyglądało na to, że podobnie jak dzień wcześniej Annael, teraz on ma zaledwie parę sekund, żeby powstrzymać Matyldę przed wstąpieniem na drogę wiodącą ku spełnieniu marzeń. Tylko że on wykorzystał swoje cenne sekundy. W jedyny sposób, który przyszedł mu do głowy.

– Aaa! – Matylda, na którą właśnie zwałił się z pobliskiego stojaka cały stos kartonów z sokiem pomidorowym, wydała z siebie zduszony okrzyk. Najwyraźniej któryś z kartonów był nieszczelny, bo przód jej płaszczka zyskał wątpliwą dekorację w postaci wielkiej czerwonej plamy. A co gorsza, po chwili sama Matylda pechowo straciła równowagę na śliskim podłożu i rozciągnęła się jak długa na podłodze.

– No brawo – skomentował Annael, śledzący z boku działania Matiela. – Ale z ciebie pomocny anioł.

– Nie ma mowy, żeby znowu zaczęła te cyrki ze swoją powieścią – bąknął tamten, czerwony tak samo jak pomidory, w które przed chwilą wepchnął swoją podopieczną. I dyskretnie odetchnął z ulgą. A jednak, działając w wielkim pośpiechu, anioł zupełnie nie wziął pod uwagę istotnego faktu. Na końcu działu z sokami stał prawdziwy dżentelmen.



Wojciecha Miśkiewicza, który zamierzał już oddalić się w stronę kurczaków, natychmiast zaalarmował cichy kobiecy krzyk. Nie zastanawiał się ani chwili. Zostawił koszyk i pobiegł do leżącej na podłodze postaci. Za nim próbowała pobic, równie zaalarmowana, pszczoła. Kostium jednak znacząco utrudniał szybkie przemieszczanie i Anka o mało sama nie wpadła na stojaki.

– Nic się pani nie stało? Może pani wstać?

Matylda oniemiała, widząc tuż nad sobą twarz nieosiągalnego wydawcy. Co więcej, Wojciech Miśkiewicz zdążył już wyciągnąć do niej rękę, a ledwo stanęła na nogach, w jej własnych dłoniach znalazły się mokre chusteczki, które mężczyzna wyciągnął wprost ze stojącego nieopodal kosza z kosmetykami. Ledwo zwróciła uwagę na stojącą parę metrów dalej pszczołę. I na tłumek ludzi, przyglądających jej się z zainteresowaniem.

– Co tu się stało? – Wyraźnie zagniewana kobieta w fartuszku Cytrynki zdążyła już do nich podejść i patrzyła oskarżycielsko na Matyldę. Dziewczyna skuliła się w sobie.

– A kto ustawia takie chybotliwe piramidy z soków pomidorowych? – Wojciech zasłonił Matyldę własną pierśią, natychmiast stając w jej obronie. – Ten stos się przewrócił, przecież to nie do wiary! Płaszczyk trzeba będzie oddać do czyszczenia!

Matylda dostrzegła kątem oka, że wydawca najwyraźniej świetnie się bawi. I osiągnął przy tym swój cel: Matylda nie była już winna bałaganu w sklepie, ale stała się jego nieszczęsną ofiarą. Wojciech wziął ją pod ramię i wymijając niechętną im sprzedawczynię, odprowadził do następnej alejki, z dala od pechowych kartonów.

– Dziękuję – wyjąkała Matylda.

– Zawsze do usług. Wojtek Miśkiewicz – przedstawił się z kurtuazją. I wtedy Matylda zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze: wielki i wspaniały wydawca Książki i Myśli sam zamierzał zagać rozmowę. A po drugie: najwyraźniej wcale jej nie rozpoznał.

Anka, widząc zachwyty na twarzy Matyldy, pospiesznie się wycofała. Wyglądało na to, że uduchowiona artystka dostała drugą szansę i Ania nie chciała popsuć ich ponownego spotkania. Zwłaszcza że sytuacja przedstawiała się lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Matylda patrzyła na wąsacza wielkimi, przestraszonymi oczami, w których malowała się wdzięczność, a wydawca nie tylko ocalił ją przed sokiem pomidorowym, ale jeszcze bohatercko zasłonił własną pierśią przed złym smokiem. To znaczy przed tą hałaśliwą kobietą z obsługi. Anka była szalenie ciekawa, czy Matylda da radę oczarować wąsacza. Odegranie roli damy w niebezpieczeństwie było genialnym zagranem i Ania dziwiła się, że sama

nigdy na to nie wpadła. Gorzej, że usmarowany pomidorami płaszcz nie prezentował się zbyt romantycznie. Ale kto wie, wąsacz był dość specyficzny. Może lubi pomidory.

– A ty co tak stoisz? Żarty sobie stroisz? – Głos zastępcy kierownika przywołał ją do rzeczywistości i Anka aż podskoczyła. Jedna z puchatych kuleczek uderzyła ją w nos, przypominając dziewczynie, że cały czas jest pszczołą i ma na głowie elastyczne czułki. – Czy mam sam rozdać te próbki? – warknął mężczyzna, popychając ją lekko ale stanowczo w stronę pobliskiego działu z mrożonkami, w którym zebrało się akurat kilku klientów. Anka oddaliła się niechętnie, tracąc z oczu Matyldę i Wojciecha.

Anioły z niedowierzaniem w oczach śledziły dalszy rozwój wydarzeń. Wydawca, zapatrzony w Matyldę, zapomniał i o swoim koszyku, i o zakupach. Minęło kilkanaście minut, zanim w końcu przypomniał sobie, po co przyszedł do Cytrynki, ale zamiast pójść w swoją stronę, zaczął opowiadać Matyldzie o kuchennych problemach samotnego mężczyzny. A dziewczyna, chociaż mogła spokojnie doradzić mu kupno któregoś z gotowych dań w słoiku, postanowiła w przypływie wdzięczności zaprosić swojego wybawcę na obiad. Matiel latał wokół jak oszalały, desperacko wypatrując anioła stróża Wojciecha. Wyglądało jednak na to, że wydawca-wybawca przyszedł na zakupy sam i że nic już go nie uratuje przed wpadnięciem w pułapkę, zastawioną przez podstępą autorkę. Tymczasem Matylda nie musiała nawet specjalnie się starać. Kwadrans później maszerowali ramię w ramię w stronę jej mieszkania, a Wojciech niósł torbę z wielkim kurzym korpusem i warzywami na rosół. Matiel dojrzał jeszcze jedną niepokojącą rzecz.

– Już po nim – westchnął. – Idą równiutko, noga w nogę. Już go usidliła.

Annael, który razem z nim wybiegł ze sklepu, pokręcił z niedowierzaniem głową. Matiel się nie mylił. Matylda i wydawca szli w tym samym rytmie, idealnie zgrani. I najwyraźniej rozmawiali o czymś zabawnym, bo w tych samych momentach wybuchali śmiechem.

– Nie wiem, co knuje twoja dziewczyna, ale ten facet właśnie zabujał się w niej na amen – ocenił Annael. – Wiesz, że to twoja wina?

Matiel, nieszczęsny Kupidyn mimo woli, westchnął ciężko i zwiesił głowę. Cały dół jego dotąd nieskazitelnie białej szaty był aktualnie upaprany sokiem pomidorowym.

## ROZDZIAŁ 18

Gdyby Wojciech miał później opowiadać o tym pierwszym spacerze, ramię w ramię z Matyldą, upierałby się, że wiosna była już w pełnym rozkwicie, świeciło słońce, kwitły kwiaty, ptaki niemal pozdzierały gardła od śpiewu, a ich wędrownice towarzyszyły chóry anielskie, opiewające potęgę miłości od pierwszego wejrzenia. Na pewno nie uwierzyłby, gdyby ktoś mu powiedział, że wokół leżały brudne śniegowe zasy, a na niebie nie było ani skrawka błękitu. Chór anielski, a właściwie dwóch jego przedstawicieli, włókł się za nimi, bynajmniej nie śpiewając.

– Naprawdę studiujesz kulturoznastwo? Na Uniwersytecie Warszawskim, prawda? – dopytywał się Wojciech. Szedł niemal bokiem, cały czas wpatrzony w niezwykłą dziewczynę. Czy naprawdę spotkali się po raz pierwszy? Matylda wydawała mu się znajoma, ale był pewien, że nie mógłby zapomnieć takiego uśmiechu i burzy czarnych loków!

– To dopiero pierwszy rok – wyjaśniła Matylda. I widząc jego minę, pospiesznie dodała: – Ale nie mój pierwszy kierunek studiów. Chyba nie mogę się zdecydować, co mnie naprawdę interesuje.

Wojciech się roześmiał.

– Jeszcze jedna do listy rzeczy, które nas łączą – powiedział. – Osobiście zaczynałem pięć różnych kierunków, zanim ukończyłem jakieś studia.

Matylda zachichotała, ucieszona.

– To nienaturalne – wtrącił Matiel głośnym szeptem. – Znają się od godziny i już mają listę rzeczy, które ich łączą.

– Od czterdziestu minut – sprostował Annael, nie bez lekkiej złośliwości

w głosie.

– A ty nie powinienes pilnować teraz swojej pszczoły?

– Radzi sobie – zapewnił Annael. Ale chyba sam nie był do końca przekonany, bo nagle się zafrasował.

– Ale ja też uwielbiam filmy bollywoodzkie! – mówiła tymczasem Matylda. – Właśnie ze względu na emocje. Moi znajomi mówią, że mam naiwne podejście do życia, ale zawsze uważałam, że takie uczucia przydarzają się nie tylko w filmach...

– Świat w takich filmach może być odrealniony, ale emocje są prawdziwe – przytaknął Wojciech gorliwie.

– Bo ludzie mają teraz taką tendencję, żeby nie wierzyć w prawdziwe uczucia... – kontynuowała dziewczyna z przejęciem. Idący przy niej mężczyzna kiwał głową ze zrozumieniem i Matylda złapała się na tym, że od dłuższej chwili opowiada mu o swoich najskrytszych przemyśleniach, które wcześniej przyjęły ze zrozumieniem jedynie kartki jej powieści. Tymczasem Wojtek, z którym od ostatniego skrzyżowania byli już na „ty”, nie tylko rozumiał, ale co więcej – zdawał się podzielać jej odczucia.

– Często odsuwamy od siebie niektóre emocje, bo są niewygodne i nieprzewidywalne – mówił. – Mogą pokrzyżować nam wcześniejsze plany, wyrzucić wszystko do góry nogami...

– I to jest straszny błąd! – dopowiedziała Matylda. – Tylko idąc za głosem serca, możemy odkryć swoje przeznaczenie! – Nieświadomie zacytowała bohaterkę własnej książki. I nagle zdała sobie sprawę, że przez ten incydent z sokiem pomidorowym zupełnie zapomniała o powieści! Pewnie wspomniałaby o niej w tym momencie, bo rozmowa zmierzała chyba w dobrym kierunku, ale spieszyła się, widząc poważne spojrzenie Wojciecha.

– Zawsze byłem przekonany, że na swojej drodze spotykamy ludzi, których pisane nam spotkać – powiedział ostrożnie, żeby nie powiedzieć zbyt dużo.

– Oczywiście, że tak! – zgodziła się entuzjastycznie. – Nikt by nie mówił o przeznaczeniu, gdyby to słowo niczego nie znaczyło, prawda?

– Dokładnie o tym pomyślałem! Uważam, że ludzie często wyrastają z wiary w przeznaczenie, bo są niecierpliwi i zadowolają się byle czym...

– I wtedy mogą przegapić swoją prawdziwą szansę – znów dopowiedziała Matylda.

Uświadomili sobie jednocześnie że, przejęci powagą swoich stwierdzeń, przystanęli na środku chodnika. Matylda ocknęła się pierwsza – najpewniej miał w tym jakiś udział Matiel, który szturchnął ją niedelikatnie skrzydłem. Anioł, dla którego uczucia Wojciecha były dużo bardziej oczywiste niż dla rozentuzjasmowanej dziewczyny, wyglądał już na mocno zirytowanego. Choć oczywiście anioły nigdy się nie złością.

– No, rusz się! – burknął, jeszcze raz potrząsając Matyldą. – Powiedz mi coś! Najlepiej, żeby sobie poszedł!

– Nie zapominajmy o rosole. – Matylda uśmiechnęła się, robiąc przy tym niezbyt mądrą minę. Ku rozpaczy Matieła, wyglądała z tym uśmiechem absolutnie czarująco i Wojciech, zanim odpowiedział cokolwiek, pozwolił sobie jeszcze przez całe dwie sekundy popatrywać się w jej błyszczące oczy. Stwierdził z zachwytem, że mają niespotykany kolor: złoto-brązowy. Jakby słońce przeświecało przez znaleziony na plaży bursztyn. Albo jakby...

– No tak, bo kurczak odfrunie – powiedział na głos, podnosząc reklamówkę z kurzym korpusem. Matylda parsknęła śmiechem i po chwili oboje zaczęli się zgodnie zaśmiewać z tego nieszczególnie udanego żartu. Annael też zachichotał, chociaż wyglądało na to, że śmieje się nie z kurczaka, a ze swojego skrzydlatego kolegi. Matiel rzucił mu mało anielskie spojrzenie.

Tymczasem najgorszy dzień w życiu Anki trwał sobie w najlepsze. Rozdała miliony małych próbek z miodem milionom klientów, a kolejny milion chciał sobie zrobić z nią zdjęcie, i ciągnęło się już to wszystko od miliona godzin. Przynajmniej tak się czuła. Kiedy zastępca kierownika na chwilę zniknął z horyzontu, wymknęła się wreszcie do łazienki na siusię i przeżyła chwilę grozy, kiedy kostium pszczoły utknął w drzwiach kabiny. Około trzeciej po południu okazało się, że godziny największego ruchu dopiero nadeszły i niebawem Anka marzyła już tylko o tym, żeby chociaż na chwilę usiąść. Pojawienie się w Cytrynce kolejnych znajomych przyjęła już nie tyle z przerażeniem, co z ponurym zrezygnowaniem. Na szczęście nie było ich zbyt wielu i Anka gratulowała sobie po cichu, że poinformowała o swojej nowej pracy tylko dwie przyjaciółki. O szóstej po południu odkryła, że od uśmiechania się mogą rozboleć dżiąsła, a właściwie to nawet cała twarz, i podzieliła się tą nowiną z dziewczynami przebranymi za kwiaty. Zgodziły się z nią jednogłośnie. O ósmej, na godzinę przed zamknięciem, ojciec Anki wpadł do Cytrynki po papierosy, ale nie zauważył pszczoły, schowanej za stojakiem z gazetami. Anka, siedząc w kucki, przeczekała, aż tata sobie pójdzie, i zaraz potem dostała kolejną reprimendę od zastępcy kierownika. Ale i on był zmęczony, bo wygłaszał swoje uwagi bez przekonania. I wreszcie, o dziewiątej piętnaście, Ance pozwolono zdjąć wielki puchaty korpus i dyndające czułki.

– No, przynajmniej nic nie zepsułaś – pochwalił ją zastępca kierownika. – Możesz się do nas zgłosić w grudniu, jak będzie nabór do ekipy Mikołaja.

Anka już nawet nie pytała, czy ma szansę na rolę elfa, renifera, czy może choinki. Ściskając mocno swoją wypłatę, wyszła ze sklepu. Bez kostiumu pszczoły czuła się tak lekka, jakby nagle przestała działać grawitacja. I tak zmęczona, że miała ochotę, korzystając z tej nieważkości, położyć się w powietrzu i natychmiast ukołysać do snu. Już nie chciała być hostessą. Właściwie, to już wcale nie chciała

żadnej pracy.

Dziewiąta wieczór była tą godziną, o której Wojciech wyszedł wreszcie z mieszkania Matyldy. Nieświadomy rosnącego zniecierpliwienia Matiela, który musiał wysłuchiwać ich głębokich rozmów, przegadał z nowo poznaną dziewczyną kilka godzin. Zdążył również poznać jej współlokatorkę, która wróciła do domu, gdy skończyli obierać warzywa na rosół, i zaoferowała pomoc w gotowaniu. Współlokatorka miała chyba na imię Ola, Ala, czy jakoś tak; skoncentrowany na Matyldzie Wojciech nie zwrócił na nią większej uwagi. Zjedli obiad we trójkę, a potem oglądali *Czasem słońce, czasem deszcz* i Wojtek był przeszczęśliwy, ponieważ film, wybrany przez Matyldę, trwał prawie cztery godziny, a dziewczyna cały ten czas siedziała obok niego na kanapie. Wojciech uznał, że ze swoimi kolorowymi bransoletkami i ciemnymi włosami Matylda mogłaby z powodzeniem zastąpić główną aktorkę w bollywoodzkim filmie, i nie omieszkał jej tego oznajmić.

I to był chyba najmiłszy komplement, jaki Matylda kiedykolwiek usłyszała, ale speszona nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Spotkanie potoczyło się właściwie bez jej starań, w zupełnie niespodziewanym kierunku. Nie zamienili ani słowa o jej książce, Wojtek nie wspominał zresztą jeszcze nic o tym, że pracuje w wydawnictwie, wolał wspominać czasy studenckie, w jego opowieściach wcale nie tak odległe. Matylda miała wrażenie, że nagle, zupełnie nieoczekiwanie, spotkała bratnią duszę. Dziwiła się też sama sobie, że mogła tak się pomylić przy pierwszym spotkaniu, kiedy Wojtek wydał jej się poważnym i surowym wydawcą. Może przez te fatalne wąsy? Chciała mu powiedzieć, że już się spotkali, a nawet nawiązać do tematu prelekcji, który, o dziwo, pamiętała do teraz, ale nie była pewna, jak to zrobić, nie zdradzając całej głupiej historii i nie przyznając się do tego, że to ona, chociaż zmieniona nie do poznania, siedziała w pierwszym rzędzie. Potem zresztą miała inny problem, bo gdzieś zaginęła książka kucharska, a ona nie umiała ugotować rosółu, i musiała jakoś przedłużyć krojenie warzyw aż do powrotu Olgi.

Siedząc na książce kucharskiej, Matiel obserwował rozwój sytuacji i był coraz bardziej zrezygnowany. Cały czas czekał na moment, w którym jego dusza wyciągnie z zanadru swoją powieść i złamie serce naiwnego wydawcy. Ten moment jednak nie następował, a co gorsza, na koniec spotkania Matylda i Wojtek zgodnie postanowili umówić się na przyszły weekend. I to nie na byle co. W osiedlowym Domu Kultury miał się rozpocząć doroczny „Wiosenny festiwal filmów o miłości”, a Olga dysponowała darmowymi biletami. Matiel nie mógł się zdecydować, czy Matylda jest aż tak przebiegła i wyrachowana, czy tak głupia, że zupełnie nie wie, co wyprawia. Aż do dzisiaj nie spodziewał się po niej ani jednego, ani drugiego.

Dzień się skończył, ale nie był to koniec koszmaru. Ledwo Anka zdążyła zamknąć za sobą drzwi mieszkania, znalazła się w czułych objęciach własnej matki.

– Twój pierwszy dzień w pracy, a ty nic nie powiedziałaś! – wykrzyknęła pani Nowicka. – Przecież przygotowalibyśmy z ojcem jakieś przyjęcie! Dzwoniła do mnie Aleksandra – dodała. – Podobno widziała cię w pracy w Cytrynce, ale nie chciała mi zdradzić żadnych szczegółów... Ojciec specjalnie poszedł tam po papierosy, ale chyba ciebie już nie było... – Zawiesiła pytająco głos.

Anka podniosła wzrok. W drzwiach salonu stał Sławomir, uśmiechając się szeroko i tylko trochę sztucznie. Najwyraźniej z relacji pani Aleksandry zrozumieli, że ich córka pracuje teraz w Cytrynce na kasie. Oboje mieli takie miny, jakby postanowili być dumni z Anny, pomimo że przebieg jej kariery zupełnie rozminął się z ich wyobrażeniami. Wzorowi rodzice.

Dziewczyna westchnęła.

– To była praca tylko na jeden dzień – wyjaśniła. – Na promocji.

Na twarzy mamy zobaczyła lekkie rozczarowanie przemieszane z ulgą. Eleonora poprawiła fryzurę. Z jej starannie zaplecionego koczka zdążyło wypaść jedno pasemko, gdy przytulała córkę.

– O, może to dobrze... Praca w sklepie jest ciężka – powiedziała.

– No, tak jest – potwierdził Sławomir, również z mieszanymi uczuciami. Schował za plecy trzymaną w ręku butelkę wina z nadzieją, że nikt jej nie zauważył. Wino bez wątplenia kosztowało dużo więcej, niż ich córce udało się tego dnia zarobić. – Poza tym chyba dobrze ci szło w reklamie – dodał zachęcająco i, zdaniem Anki, zupełnie niepotrzebnie.

Westchnęła, rzucając optymistyczne „będę szukać dalej”. Przynajmniej miała nadzieję, że zabrzmiało to optymistycznie. Przed wspólną kolacją z rodzicami miała jeszcze chwilę na to, żeby zajrzeć do skrzynki mailowej. Chociaż była pewna, że i tak nie ma tam żadnych nowych maili. Jakże się pomyliła!

Piętnaście nieodebranych wiadomości? Czyżby zły los wreszcie się odwrócił? Anka pochyliła się nad laptopem, jak drapieznik nad upolowaną zwierzyną, czekając z niecierpliwością, aż wiadomości się załadują.

Wśród wiadomości nie było jednak maili od pracodawców; przyszły tylko powiadomienia z facebooka – i to aż piętnaście. Ania potrzebowała chwili, żeby zorientować się, o co chodzi. Gdy była w pracy, ktoś wrzucił jej zdjęcie na portal społecznościowy. Najwyraźniej wszyscy znajomi byli pod dużym wrażeniem fotografii, bo dostała mnóstwo wiadomości i komentarzy. Może to jakaś zapomniana fotka z imprezy firmowej? Bo chyba nie... A jednak. Anka, osłupiała, wpatrywała się w zdjęcie. Widać na nim było, niestety bardzo wyraźnie,

zaczerwienioną na twarzy dziewczynę w stroju wielkiej pszczoły. Pszczoła ścisnęła w objęciach małą dziewczynkę w różowej kurteczce i uśmiechała się nieco wymuszonym uśmiechem. Nic dziwnego. Nikt, kto wygląda jak wielka kula z czułkami na oczach, nie może się szczerze uśmiechać. Monika, która opublikowała to zdjęcie, by pochwalić się nowym konterfektem swojego ślicznego dziecka, nie omieszkała niestety zaznaczyć, gdyby przypadkiem ktoś tego nie zauważył, że strój pszczoły ma na sobie właśnie Anka. Zdruzgotana, dziewczyna przesunęła wzrokiem po komentarzach. Jej wzrok padł na „Bzzz, bzzz, kto tak bzyka w spożywczaku?”. Poniżej kumpel z liceum, którym Anka zawsze nieco pogardzała, napisał pocieszające: „Nie martw się, Aniu, ja też długo szukałem pracy”. Dziewczyna przeczytała wszystkie wpisy swoich znajomych kilka razy, starając się ocenić rozmiar katastrofy. Był porażający. Jej długo budowany *image* runął w ciągu jednego dnia, a wszystkie zdjęcia z imprez, studenckich wyjazdów i spacerów z koleżankami (zawsze wyglądała olśniewająco) przesłoniło to jedno, okropne ujęcie. W pierwszej chwili chciała poprosić Monikę o usunięcie fotografii, ale wyglądało na to, że feralne zdjęcie już stało się popularne i wszyscy zdążyli je obejrzeć. Nie wyłączając najpewniej znajomych z firmy, w której pracowała przed nowym rokiem, no i jej byłego szefa. Ale tego Anka domyśliła się sama, ponieważ żadne z nich nie skomentowało fotografii ani jednym słowem.

## ROZDZIAŁ 19



– To twój plan na dzisiaj. – Zuzannę obudził głos mamy. Było jeszcze ciemno, ale Anita zimą wstawała przed świtem.

– Co? – wymamrotała Zuza, mrugając.

Matka wcisnęła jej do dłoni jakąś karteczkę.

– Plan na dzisiaj. – Tyle Zuzanna zdążyła usłyszeć, bo po chwili znów zapadła w sen. Ale chyba nie na długo, bo o dziewiątej obudziło ją głośnie wycie budzika, przypominające strażacką syrenę. Kto go nastawił? Zdezorientowana dziewczyna usiadła w pościeli. W dłoni nadal trzymała zgniecioną kartkę. Nie patrząc na nią, wyplątała się z kołdry i podreptała przez cały pokój, żeby wyłączyć stojący na regale budzik. Odgarnęła włosy z twarzy i usiadła z powrotem na łóżku. Dopiero wtedy spojrzała na otrzymany przed świtem liścik. Zawierał niezbyt długą, ale za to bardzo konkretną listę rzeczy do zrobienia. Wyglądało na to, że pierwszy punkt mogła już odhaczyć.

„9.00 – Wyłącz budzik.

Nie zapomnij o prysznicu i uczesz włosy.

9.30 – Naleśniki na śniadanie są w lodówce.

Przed 12.00 – W Cytrynce nie będzie tłumów. Kup dwa kilo ziemniaków, mleko i śmietanę.

17.00 – Ojciec wraca z pracy i ma nadzieję, że na obiad będą placki ziemniaczane.

18.00 – Zostawcie też trochę dla mnie.

Całuję, Mama”.

Zuzanna obróciła karteczkę, ale już nic więcej na niej nie było. Podniosła rękę do włosów. Rzeczywiście, ostatnio zapominała je rozczesać. Mama była kochana, że zauważała nawet takie drobiazgi. Zuza westchnęła. Intencje rodziców były oczywiste i raczej nie chodziło o to, że stęsknili się za plackami ziemniaczanymi. Skuliła się, naciągając kołdrę na nogi. To, czy spędzi cały dzień w łóżku, czy poza nim, nie miało większego znaczenia. Minęło już sześć tygodni, odkąd ostatni raz widziała Adama. Z jego prawdziwą narzeczoną. Czyli oficjalnie: przeżyła już półtora miesiąca od końca świata. Półtora miesiąca odkąd cała rzeczywistość roztrzaskała się na drobne, niepowiązane ze sobą kawałki. I ona sama, a czuła to aż nadto wyraźnie, rozpadła się na kilka części i te najważniejsze fragmenty gdzieś zaginęły. Jak miała wrócić do normalności, skoro nawet już nie była sobą? I po co miała cokolwiek robić, skoro nie mogła wieczorem usiąść przy telefonie i opowiedzieć Adamowi o tym, jak spędziła dzień? Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo każda codzienna czynność jest przesiąknięta jego obecnością. Westchnęła, mnąc w dłoniach liścik od mamy. Przez ostatnie tygodnie starannie oglądała, segregowała i wyrzucała wszystkie prezenciki i pamiątki po Adamie. Ale gdyby naprawdę chciała wyrzucić wszystko, co przypominało jej o utraconej miłości, musiałaby ogołocić cały pokój, a najlepiej zrównać z ziemią

całą Warszawę, ze szczególnym uwzględnieniem Łazienek, gdzie często spacerowali, uniwersytetu, pod który Adam zaglądał, żeby odebrać ją z zajęć, kawiarni na Starym Mieście... Zbyt wiele było uliczek, po których razem spacerowali, sklepów...

Nagły dźwięk przerwał jej rozmyślania. Zuzanna poczuła, jak nieuczesane włosy stają jej dęba. Drzwi od szafy gwałtownie i samoistnie trzasnęły o ścianę, a ze środka wypadła czysta bluzka. To chyba nie było naturalne zjawisko? Wciąż w stanie lekkiego osłupienia, dziewczyna wstała z łóżka i cały czas badawczo przyglądając się szafie, podniosła bluzeczkę z podłogi. Przeciąg? A może to małe trzęsienie ziemi? Zdezorientowana, na próbę zamknęła i otworzyła drzwi ponownie, ale mebel wyglądał zupełnie zwyczajnie. Westchnęła, kręcąc głową. Może jej się przywidziało? A właściwie, skoro już wstała i wyłączyła budzik, to równie dobrze mogła wziąć prysznic i przebrać się w czyste ubrania. Potem zobaczy, co dalej.

Zanael odetchnął, upominając się w duchu, żeby już nigdy, przenigdy nie trzaskać drzwiami od szafy. Anielska cierpliwość, anielska cierpliwość – powtarzał to jak mantrę, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy Zuza brała prysznic. Nie powinien pozwalać, żeby stan ducha jego podopiecznej do tego stopnia wytrącał go z równowagi. I co, że w kółko snuje te same niemądre rozważania? Nawet archanioł by tego nie wytrzymał, a on był tylko zwykłym aniołem stróżem, jeszcze niezbyt doświadczonym. Niemal każda rzecz... A właściwie prościej: każda rzecz kierowała myśli Zuzanny w stronę Adama. Dziewczyna przerywała różne czynności w połowie i zawieszala się albo wybuchała płaczem. Potrafiła stać przez pół godziny przy zlewie, ze ścierką do naczyń w dłoni, zapominając o płynącej wodzie. I na pewno nie myślała wtedy ekologicznie. Ani nawet logicznie. Ale ludzie czasem muszą się zdręzczać, to taki gatunek. Anielska cierpliwość, anielska cierpliwość... Anielska cierpliwość zaczęła chyba przynosić pierwsze efekty, bo Zuza wyszła z łazienki po godzinie, ale za to ubrana i uczesana.

Matylda nie zamierzała tego dnia iść na zajęcia. I na pewno trzymałaby się tego znakomitego planu, gdyby nie to, że około dziewiątej obudził ją SMS od Wojciecha. Zaspana, wyciągnęła rękę, usiłując wymacać komórkę wśród wszystkich drobiazgów leżących na blacie nocnej szafki. Wiadomość była króciutka: „Miłego dnia na uczelni”. Matiel, który drzemał tymczasem na swoim ulubionym fotelu, podejrzewał, że dziewczyna odłoży telefon i zakopie się z powrotem pod kołdrą. A tu niespodzianka. Matylda zerwała się z łóżka z bojowym okrzykiem i popędziła do łazienki, jakby coś ją gonilo. Skonsternowany anioł nadal wpatrywał się w ekran jej telefonu, kiedy Matylda wróciła, ubrana w szeroką kolorową spódnice, godną gwiazdy Bollywoodu i podśpiewując sobie

wesoło, wrzuciła do dużej torby kilka losowo wybranych zeszytów. A potem, nadal radosna jak skowronek, niepomna śniegowych zasp i błotnistych kałuż, wyruszyła na uczelnię. Matiel, który poleciał za nią, nie mógł nie zauważyć, że ludzie w autobusie odwracają się, patrząc na jego podopieczną. I nic dziwnego: od uśmiechniętej Matyldy bił taki blask, jakby nagle nadeszła wiosna – i to w pełnym rozkwicie.

Nie tylko anioł czuł się zdezorientowany. Sama Matylda również nie miała pojęcia, co w nią wstąpiło. Nie mogło to mieć związku z SMS-em od Wojciecha, a przynajmniej tak sobie powtarzała, odpisując mu na wiadomość. W następny weekend czekało ich wspólne oglądanie filmów na festiwalu. Oczywiście, umówili się dlatego, że oboje lubią kino bollywoodzkie. No i był to element planu wydania książki. Książka była najważniejsza. Matylda pokiwała głową, sama do siebie, i na parę minut naprawdę sobie uwierzyła. Ale potem pojawiły się inne, bardziej niepokojące myśli. Wojciech był strasznie miłym i interesującym człowiekiem. Właściwie, to nawet interesującym mężczyzną. Co by powiedziały dziewczyny, gdyby wiedziały, że Matylda idzie z nim na randkę? Chociaż to nie jest randka, bo przecież po prostu oboje lubią te same filmy. Często chodzi się do kina z ludźmi, których lubimy, chociaż to nie są randki – pomyślała Matylda i znowu pokiwała głową, zadowolona ze swojego rozumowania. Nie ma w tym nic złego, jeśli czasem obejrzą razem jakiś film, chociaż Wojciech jest od niej dużo starszy, jest wydawcą, absolutnie nie nadaje się na mężczyznę jej życia, no i ma te fatalne wąsy. Bez wąsów mógłby nawet dobrze wyglądać. Chociaż to bez znaczenia, bo nie idą na randkę. W zasadzie, to kino to przecież element sylwestrowego planu, no i powinna się cieszyć, że tak dobrze jej idzie. W związku z tym Matylda nagle posmutniała i przegapiła swój przystanek.

Placki ziemniaczane, chociaż słone, zdały egzamin. A smażąca ostatnią partię Zuza miała na sobie odprasowany fartuszek, wyjęty z dna szafy. Jeszcze niedawno planowała gotować w nim obiadki dla męża, więc nie obyło się bez łez. Ale pomimo to, dzień dzisiejszy był pierwszym udanym dniem od paru tygodni. Zdaniem Zanaela, to był nawet pierwszy udany dzień od połowy studiów Zuzy, bo tych wszystkich lat, które jego podopieczna spędziła z Adamem, nie zaliczał do pomyślnych. Anioł, zadowolony z siebie, a jeszcze bardziej ze swojej dziewczyny, przyglądał się wszystkiemu z wygodnego punktu obserwacyjnego na żyrandolu. Parę dni temu Zuzanna, zabijając smutek porządkami, odkurzyła szklany klosz.

Zanael mocno trzymał kciuki za kolejne karteczki. I nie tylko dlatego, że sam opracował i podpowiedział ten pomysł Anicie. Państwo Jezierscy już od dłuższego czasu intensywnie zastanawiali się nad tym, jak pomóc swojej córce. Początkowo postanowili, zgodnie ze starą mądrością, że czas leczy rany, pozwolić Zuzannie spokojnie wypłakać się we własnym pokoju. Jednak po jakichś czterech

czy pięciu tygodniach, kiedy wyglądało na to, że żałoba po utraczonej miłości przeszła w stan chroniczny, zaczęli się naprawdę martwić. Anita wpadła nawet na pomysł, żeby umówić córkę z psychologiem, ale Zygmunt uważał, że byłoby lepiej, gdyby poradzili sobie z tym sami, jako rodzina. „Wszystko, czego Zuza potrzebuje, to jakiś plan działania na najbliższy czas” – stwierdził, po męsku upraszczając cały problem. Zanael uznał to uproszczenie za genialne.

Następne dni utwierdziły anioła w przekonaniu, że się nie pomylił. Zuza wstawała rano i dzielnie, punkt po punkcie, realizowała plan z karteczki. Anioł nie miał złudzeń, że jego podopieczna nagle stała się znów szczęśliwa. Podejrzewał raczej, że Zuza nie chciała zawieść rodziców ani martwić ich jeszcze bardziej. Ale to nie motywacja była najważniejsza, ale skutki. Zuza przejęła na siebie rolę wzorowej gospodyni, codziennie gotując, sprzątając, piorąc i zastawiając parapety w mieszkaniu pierwszymi ciętymi kwiatami, które zaczęto już sprzedawać na bazarze. Co prawda robiła to wszystko z entuzjazmem godnym robota, ale przynajmniej nie spędzała już całych dni w szlafroku i nie zamykała się w pokoju, żeby godzinami płakać. Wszystko szło ku lepszemu. No i nadchodziła wiosna. Zanael czuł to całym sobą, to delikatne mrowienie w piórach, jakby cały świat budził się do życia.

## **ROZDZIAŁ 20**

I w końcu nadszedł Ten Weekend. Pokój Matyldy wyglądał, jakby przeszła przez niego mała trąba powietrzna, wywlekając wszystkie ubrania z szafy i malowniczo rozrzucając je po meblach. Sama Matylda kręciła się przed lustrem, ubrana w trzy różne kolorowe spódnice i wzorzysty czerwony szal.

– Idziecie na festiwal? – Dziewczyna podskoczyła, słysząc za sobą głos Olgi. Współlokatorka stała w drzwiach, przyglądając się jej z nieokreślonym wyrazem twarzy.

– Eee, tak, idę – potwierdziła, odskakując szybko od lustra.

– Pan Wojciech... Um, Wojciech po ciebie wstąpi? – Mina Olgi nadal nic nie wyrażała.

– Nie, nie! – Matylda zaprotestowała, zasłaniając się rękami. – To znaczy, nie wiem – poprawiła się po chwili. – Chyba nie powinien?

Olga pokręciła głową.

– Marek zawsze po mnie wstępuje – zauważyła, błędząc wzrokiem po rozrzuconych po pokoju kolorowych ciuchach.

Matylda zrobiła się równie czerwona jak jej szal.

– Ale to nie jest randka! – zaprotestowała. – To tylko...

– Nie, oczywiście, że nie – Olga zgodziła się z nią podejrzenie łatwo. – Tylko tak mówię. Załóż jedną spódnicę, tak jest trochę dziwnie – dodała.

– Dopiero się decyduję!

– I możesz rozpuścić włosy, będzie bardziej... bollywoodzko.

– Możesz już sobie iść? – odburknęła Matylda, zasłaniając się szczelniej swoim szalem. Olga podniosła dłonie w obronnym geście.

– Tylko tak mówię. O! – dodała, ponieważ w tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Matylda zastygła przerażona, po czym zaczęła gorączkowo zrywać z siebie nadmiarowe spódnice.

– To ja otworzę. – Olga rzuciła swojej współlokatorce zupełnie nieokreślone spojrzenie i ruszyła w stronę drzwi. Po chwili Matylda usłyszała jej entuzjastyczne:

– Dobry wieczór! Matylda przyjdzie za chwilę... Och, jej, jakie piękne!

I ku swojej zgrozie, zdała sobie sprawę, że wydawca przyszedł po nią z bukietem kwiatów.

Anka siedziała przy biurku, wpatrując się w zdjęcie na ekranie laptopa. Niestety, wyglądało dokładnie tak samo jak wczoraj. I przedwczoraj, i dziesięć dni temu, w dniu promocji w Cytrynce. Kostium pszczoły nadal był okrągły i zupełnie nie *glamour*, a dyndające czułki nie wyglądały ani uroczo, ani *kawaii*, ani w ogóle nijak, co najwyżej śmiesznie. Gdyby to chociaż były kocie uszka! Anka spędziła sporo czasu, usiłując wymyślić jakąś zabawną odpowiedź na to zdjęcie – coś sugerującego jej znajomym, że nadal jest kobietą sukcesu, a dzień w supermarkecie można potraktować jako zabawny happening. Gdyby chociaż miała trochę mniej

skwaszoną minę na tym zdjęciu! Kilkadziesiąt razy zaczynała pisać komentarz pod fotografią i za każdym razem rezygnowała. Tymczasem jej znajomi nie mieli takich oporów. Prawie nikt nie zwrócił uwagi na to, że główną bohaterką zdjęcia miała być piękna mała Małgosia w różowej kurteczce. Niemal wszystkie uwagi i wirtualne uśmiešky odnosiły się do Anki, nie wspominając już o wiadomościach od życzliwych koleżanek, dopytujących się, czy już nie pracuje w tej samej firmie, co w zeszłym roku. Nawet im nie odpisywała. Co miała napisać? Że ją wyrzucili i nie chcieli z powrotem, że już nie bywa na imprezach firmowych, nie widuje znajomych z pracy, a co gorsza, nie potrafi też znaleźć jakiegokolwiek innej roboty? Od Cytrynkowej porażki Anka, o ile to w ogóle było możliwe, jeszcze podwoiła wysiłki mające na celu znalezienie etatu. Oznaczało to więcej godzin spędzonych na portalach z ofertami pracy, więcej maili, lepsze listy motywacyjne. Nie potrafiła przegrywać. I zupełnie nie wiedziała, jak poradzić sobie z poczuciem, że w tym wyścigu została z tyłu, daleko za wszystkimi. Nawet nie to, że biegła ostatnia. Czuła się raczej, jakby ktoś trzymał ją za nogi, nie pozwalając wystartować.

I tak było, chociaż Anka nie mogła sobie nawet zdawać sprawy z tego, ile pracy przysporzyła swojemu aniołowi. Annael, niewyspany, kołysał się na pozornie tylko pustym stołku obok Anki i zmęczonym wzrokiem patrzył na znienawidzony ekran laptopa. Nie mógł się wyspać, bo jego podopieczna usiłowała odpisywać na oferty pracy o czwartej nad ranem. A potem o dziesiątej. I o dwunastej w południe. I naprawdę miał już tego serdecznie dosyć.

Kiedy rozległ się dźwięk komórki, drgnęli oboje, chociaż Anka gwałtowniej. Kierowana złudną nadzieją, że może ktoś chce ją zatrudnić, rzuciła się do telefonu. A tu niespodzianka: dzwoniła Zuzanna. Anka uśmiechnęła się, na chwilę zapominając o wszystkich problemach. Przez ostatnie tygodnie to ona wciąż wydzwaniała do przyjaciółki – nigdy odwrotnie.

– Halo?

– Tak sobie pomyślałam – powiedziała Zuzanna bez żadnego wstępu – może masz dzisiaj wolny wieczór? Mogłybyśmy gdzieś wyjść.

Anka wyprostowała się, niemal podskakując na obrotowym fotelu. Zuzanna chciała gdzieś wyjść!

– Jasne! – wykrzyknęła aż nazbyt entuzjastycznie. – Idziemy w jakieś konkretne miejsce? Może zadzwonię też do Matyldy?

– Pewnie, że tak. – Niemal usłyszała, jak przyjaciółka uśmiecha się do telefonu. – Dziś jest chyba festiwal filmowy w domu kultury, jakieś etniczne kino czy coś, mój tata widział plakat...

– Super! Kino dobrze nam robi! – Anka naprawdę się ucieszyła. Po pierwsze dlatego, że Zuzannie nagle się polepszyło, po drugie, że będzie mogła posiedzieć w miłej sali kinowej, przez jeden wieczór nie myśląc o pracy. A po trzecie, że we trójkę z Matyldą. Matylda raczej nie miewała planów na piątkowe

wieczory.

Zuzanna odłożyła telefon i odetchnęła głębiej, spoglądając na karteczkę, którą przez cały czas gniotła w dłoni. Dziś rano obok kilku drobnych domowych prac znalazła tam podkreślone kilkakrotnie hasło: „umówić się na wieczór z przyjaciółkami!”. No i co? I dała radę! W zasadzie, rozmawiając z Anką, tylko udawała entuzjazm, ale musiała przyznać sama przed sobą, że może być fajnie. Ostatecznie Adam to już przeszłość, czy tego chce, czy nie. Ojciec powiedział jej to rano przy śniadaniu i przez większą część dnia dziewczyna powtarzała sobie to jedno zdanie jak mantrę. Przeszłość. Przeszłość. Przeszłość. Czy tego chce, czy nie. A przed nią była przyszłość, czyli coś zupełnie innego. To było takie proste, a ona cały czas musiała się tak bardzo starać, żeby nie odwracać tych kierunków! Może dlatego, że przyszłość bez Adama...

– No już – szturchnął ją Zanael, wyczuwając, że myśli Zuzy znów kierują się w ten sam ciemny zaułek. – Teraz idziemy się pięknie wyszykować – dodał. Kiedyś nie przypuszczałby nawet, że może czuć taką dumę z faktu, że jego podopieczna sięgnęła po telefon i umówiła się z koleżankami. A jednak... Dumie szczególnie sprzyjał fakt, że ostatni punkt do karteczki anioł dopisał osobiście, kiedy Zuza jeszcze spała. I osobiście podkreślił go trzy razy.

Wojciech przyniósł kwiaty. I to nie byle jakie: olbrzymi bukiet czerwonych róż. Obdarowana różami Matylda znalazła się w dziwnym stanie. Fizycznie objawiło się to tym, że stała nieruchomo na środku przedpokoju, ściskając kwiaty i wpatrując się w nie z napięciem. Natomiast w jej uczuciach szalała burza. Czerwone róże! Czy to znaczyło, że... Ale taki obrót spraw nie miał sensu, Wojciech nie powinien był przynosić kwiatów! Należy natychmiast wręczyć mu je z powrotem i wytłumaczyć, że... Nie, nie ma mowy, nie odda ich z powrotem! Zresztą, może to nic takiego? Znajomi często dają sobie kwiaty... Co ona myśli? Nie może się tak oszukiwać. To oczywiste, co oznaczają czerwone róże! Tylko dlaczego ją to ucieszyło? Nie, nie czuła się szczęśliwa, tylko przybita, i to tak przybita, jak nigdy w życiu. Miała ochotę się popłakać, ale zamiast tego zaczęła chichotać. Olga, rzucając Wojciechowi współczujące spojrzenie, wyjęła bukiet z rąk Matyldy.

– Wstawię je do wazonu – rzuciła, wycofując się do kuchni. Matylda, pozbawiona nagle kwiatów, widziała przed sobą już tylko Wojciecha. Mężczyzna wpatrywał się w nią z takim samym napięciem, jak ona w róże. W zasadzie nie wyglądał jak spełnienie jej marzeń. I jeszcze założył garnitur, jak ostatni czubek. A przecież szli tylko do domu kultury na film.

– Mam nadzieję, że lubisz róże? – zagadnął nieśmiało, przestępując z nogi na nogę, i Matylda nagle dostrzegła, jak uroczo wygląda, kiedy jest zawstydzony.

Zupełnie jak chłopiec.

– Mhm – przytaknęła, nagle speszona jeszcze bardziej niż stojący przed nią mężczyzna.

– Nie mamy wazonu. – Olga wybrała ten moment, żeby wrócić z kuchni. Niosła przed sobą wielki garnek, w którym gotowali ostatnio rosół. Teraz był wypełniony różami. – Mam nadzieję, że się nie obrazicie, jeśli ustawię je w tym? – Omijając wzrokiem Matyldę, uśmiechnęła się porozumiewawczo do Wojciecha.

– Nie, nie obrazimy się – odparł, podejrzenie ucieszony, zakręcając wąsa. Nagle Matylda, nie wiedzieć czemu, poczuła się naprawdę wściekła. Jak mogli wymieniać porozumiewawcze spojrzenia za jej plecami? To co, ona nie wiedziała, co się dzieje? Poza tym, te wąsy...

– Idziemy? – zagadnął w tym samym momencie Wojtek, tym razem uśmiechając się do niej, i Matylda zdała sobie sprawę, że właśnie znalazła się na najniezwyklejszej randce w całym swoim życiu. Chociaż, oczywiście, to wcale nie była żadna randka.

## **ROZDZIAŁ 21**

Zuzanna wyglądała zdecydowanie lepiej niż jeszcze tydzień czy dwa temu. Miała na sobie lekki wiosenny płaszcz obramowany futerkiem, a włosy splotła w długi warkocz, puszczając kilka pojedynczych kosmyków luzem. Anka, która



nadal nosiła grubą zimową kurtkę i od początku roku ani razu nie odwiedziła fryzjera, poczuła się nagle nie tylko bezrobotna, ale też potwornie zaniedbana. Zuza chyba jednak nie zwróciła większej uwagi na wygląd przyjaciółki, zaaferowana czymś innym.

– Dodzwoniłaś się do Matyldy? – zapytała. – Nie odbiera telefonu.

– Ode mnie też nie – przyznała Anka.

Dziewczyna gorączkowo starała się ocenić, czy w zimowej kurtce jest za ciepło czy nie. Jak mogła nie zauważyć wiosny? Minęła osiemnasta, ale nadal było jasno. Powietrze pachniało zupełnie inaczej. Na krzakach koło jej domu pojawiły się jakieś listki. Też musiała je przegapić, bo wyrosły już całkiem spore.

– Może Matylda poprawia powieść? – podrzuciła. – Albo znowu zapodziała gdzieś telefon?

– No, może tak – przytaknęła Zuza. – A co u ciebie?

Ankę zaskoczyło to nagle zainteresowanie jej osobą. Zuzanna naprawdę musiała się czuć lepiej; przez ostatnie tygodnie rozmawiały niemal wyłącznie i na okrągło o podłym Adamie.

– Um... – odpowiedziała. Miało to znaczyć: „nie znalazłam żadnej pracy, jestem bezwartościowa i nieszczęśliwa i wyglądam jak bałwan w tej kurtce”, ale Zuzanna nie mogła się tego domyślić. Dlatego w dobrej wierze dopytywała dalej:

– Jak kariera hostessy?

– Nie za bardzo. – Anka wzruszyła ramionami. Drgnęła, kiedy Zuza objęła ją pocieszającym gestem.

– Nic się nie martw, ja jestem spokojna, że niedługo wszystko się ułoży. Zawsze byłaś naszą małą kobietą sukcesu!

Anka mimowolnie się uśmiechnęła, ale znów szybko posmutniała.

– W tym roku coś się zmieniło – stwierdziła. – Chyba już nie jestem tą osobą, którą byłam.

– Bzdura! – wykrzyknęła Zuzanna, szczerze oburzona. – Jesteś dokładnie taka sama! Ja widzę przed sobą tę samą wspaniałą dziewczynę co zawsze!

– Och. – Dla Anki było to dosyć zaskakujące. W jej odczuciu przez ostatnie miesiące zmieniła się w błądź cień samej siebie. Jednak Zuza mówiła dalej:

– Jesteś tak samo energiczna, inteligentna i śliczna... I cały czas starasz się uratować świat! Jeśli coś się zmieniło... Tylko się nie obraż, dobrze? Ale w zeszłym roku byłaś trochę irytująca, kiedy zaczęłaś tamtą pracę. Teraz ci przeszło.

– Razem z pracą – dokończyła Anka mimowolnie. Ale słowa Zuzanny dały jej do myślenia. – Byłam irytująca?

– Troszeczkę. – Zuza uśmiechnęła się znacząco.

– Hm. – Anka jeszcze raz spojrzała na Zuzannę, żeby upewnić się, że przyjaciółka mówi szczerze, ale wyglądało na to, że tak. W jej odczuciu Anka,

wraz z utratą pracy, nie straciła nic na wartości, wprost przeciwnie... To było dość zagadkowe.

– Chociaż widać, że trochę za bardzo się przejmujesz szukaniem roboty – dopowiedziała Zuzanna. – To znaczy, tak mi się wydaje. Czy coś innego się stało?

– Nie, w zasadzie wszystko poza tym gra – mruknęła Anka, przełykając ślinę. Jeszcze jedno czy dwa pytania i zaczniesz się żalić Zuzie, a może nawet wypłacze się w rękaw jej płaszczyka. Chociaż doceniała troskę przyjaciółki, to przesadne zwierzenia zupełnie nie były w jej stylu. Na szczęście dotarły już na miejsce, więc nie musiała się zastanawiać, jak zmienić temat.

– Zobacz, to chyba ten festiwal? – zapytała, kierując uwagę przyjaciółki na okna domu kultury. We wszystkich wisiał ten sam plakat.

– O nie – westchnęła Anka w tej samej chwili, w której Zuza ciężko westchnęła.

– Nie idziemy tam – zdecydowały jednocześnie.

Tata Zuzy najwyraźniej nie przyjrzał się bliżej plakatowi albo też nie miał bladego pojęcia o kinie i nie rozpoznał Shah Rukh Khana. Na pewno nie przeczytał również widocznego poniżej podobizny aktora podpisu „Love Film Festiwal”, bo raczej nie wysyłałby rozmyślnie swojej cierpiącej córki na festiwal bollywoodzkich filmów o miłości.

– Po co robią teraz taki festiwal? To nie walentynki. – Anka parsknęła, obrzucając plakat jeszcze jednym pogardliwym spojrzeniem. – To się powinno nazywać: Festiwal Złudzeń... – przerwała. Zuzanna, zamiast ją poprzeć, gapiała się z lekko otwartymi ustami na ulicę za plecami Anki.

– Czy to Matyllda? – zapytała nieoczekiwanie.

Anka odwróciła się gwałtownie. W stronę domu kultury szła zjawiskowa dziewczyna, ubrana w kolorową hinduską spódnicę i czerwony szal z dzwoneczkami, zastępujący kurtkę. Ciemne włosy, skręcone w loki, unosiły się na wiosennym wietrze. Dziewczyna śmiała się wesoło, idąc pod ramię z wysokim eleganckim mężczyzną, ubranym w nienagannie odprasowany garnitur.

– Nie, to chyba... – Anka w pierwszej chwili zaprzeczyła, ale urwała w połowie zdania. To musiała być Matyllda – albo jej sobowtór. Mężczyznę, który z daleka wydał jej się niezwykle przystojny, rozpoznała niemal w tej samej chwili, co swoją przyjaciółkę.

– To ten pokręcony wydawca. Poznają go po wąsach. – Z całej siły ścisnęła Zuzannę za ramię.

– Czy to znaczy, że Matyllda wydaje swoją powieść? – Zuza szybko skojarzyła fakty. Anka jednak pokręciła głową.

– Nie wiem – mruknęła, coraz mniej dowierzając temu, co widzi. Oczywiście, to ona sama nauczyła Matyldę trudnej sztuki uwodzenia mężczyzn.

Może nie powinna być zaskoczona. Ale wyglądało na to, że uczeń przerósł mistrza. Chyba że... Ale Anka nie wierzyła, żeby Matylda mogła się na serio tak wdzięczyć do tego podstarzałego wąsacza. Musiała jednak być na nim całkowicie skoncentrowana, bo nie zauważyła przyjaciółek, nawet kiedy znalazła się parę metrów od nich. To Wojciech, ku rosnącej irytacji Anki, rozpoznał je pierwszy.

– O, co za spotkanie! – wykrzyknął radośnie, a Ance wydało się, że jego wąsy podskoczyły do góry, jakby też się cieszyły. Skrzywiła się.

– Dzień dobry – powiedziała Zuzanna. Natomiast Matylda skamieniała, patrząc na obie swoje przyjaciółki wzrokiem przerażonej łani, która przyszła poskubać trawę na polance i zastała tam myśliwego.

– Wybierają się panie na festiwal filmowy? – Wojciech nadal uśmiechał się serdecznie. – Ten nasz dom kultury to wspaniałe miejsce spotkań! – dodał.

Anka nic nie odpowiedziała. Zuzanna, która strasznie nie lubiła niezręcznej ciszy, uprzejmie pokręciła głową.

– Tylko przechodziłyśmy obok – wyjaśniła.

– Jaka szkoda, zapowiada się niesamowity wieczór!

Wydawca, nie przestając się uśmiechać, odwrócił się do Matyldy i objął ją ramieniem. Anka otworzyła oczy jeszcze odrobinę szerzej.

– Poznałem te dwie miłe panie na spotkaniu, w lutym – wyjaśnił skamieniałej Matyldzie. – Bo pani chyba też tam była, nie myślę się? – zwrócił się znowu do Zuzanny.

Ta uświadomiła sobie, że ma szeroko otwarte usta, więc zamknęła je pospiesznie.

– Um, tak... To znaczy, byliśmy, no tak... – popatrzyła na Matyldę, oczekując jakiegoś wyjaśnienia. Ale ta stała tylko, czerwona jak burak, i najwyraźniej udawała, że wcale ich nie zna.

– Kino bollywoodzkie ma taką szczególną właściwość, że potrafi każdemu poprawić nastrój. – Miły i nienarzucający się ton Wojciecha przekonałby nawet największego wroga bollywoodzkiego kina.

Anka i Zuzanna jednak zgodnie pokręciły głowami.

– Nie mamy dziś czasu – stwierdziła Anka.

W tej samej chwili Zuza powiedziała:

– To nie nasze klimaty.

– No tak, szkoda. – Wydawca uśmiechnął się na pożegnanie, objął Matyldę jeszcze trochę mocniej i poprowadził ją w stronę wejścia. Anka usłyszała jeszcze, jak tłumaczył jej cicho:

– Miałem tutaj w lutym niewielkie wystąpienie...

Pokręciła z niedowierzaniem głową, spoglądając na Zuzę.

– Wydawało mi się?

– Nie, nie wydawało ci się – potwierdziła Zuza. – Ja widziałam to samo.

Tylko dlaczego Matylda udawała, że nas nie zna? Obraziła się o coś?

Anka pokręciła głową. Zajęta problemami Zuzanny, zaledwie na tydzień straciła z oczu życie Matyldy... I co się dzieje!

– To była taka prelekcja o filozofii... – kontynuował tymczasem Wojciech, przytrzymując drzwi przed Matyldą. Zawiesił znacząco głos, ale dziewczyna nie zadała mu żadnego pytania.

– Trochę się interesuję Heglem, nawet rozwinąłem jego teorię, tak jakby po swojemu – dodał zachęcająco, ale odpowiedziało mu tylko uparte milczenie. Matylda udawała, że zainteresował ją plakat z Shah Rukh Khanem. Patrzyła w bok, unikając wzroku Wojciecha. I była naprawdę wściekła. Wspólne wyjście do kina, dobre sobie. Najwyraźniej miała przy sobie faceta, który zamierzał pozbierać po drodze wszystkie swoje koleżanki! Nie mówiąc już o tym, że te koleżanki tak naprawdę były jej przyjaciółkami! Co on sobie myślał? Czy oni wszyscy są tacy, równie podli jak ten Adam od Zuzy? Wojciech spojrział na jej zaciętą minę i westchnął, przekonany, że domyśla się wszystkiego.

– To tylko znajoma – wytłumaczył łagodnie. – Zainteresowała się moją prelekcją, właśnie tą, o której zacząłem ci mówić...

Matylda nadal uparcie o nic nie zapytała. Śledziła z zainteresowaniem wydeptane ślady na wykładzinie. Wojciech westchnął jeszcze raz, zdając sobie sprawę, że miłość jego życia okazała się straszną zazdrośnicą.

Spróbował jeszcze raz:

– To miłe, kiedy ktoś interesuje się filozofią, chociaż ona oczywiście nie jest tak bystra jak ty i te pytania były dosyć prościutkie – dodał. – Poza tym to taka szara myszka, zupełnie nie rzuca się w oczy.

Tym razem Matylda na niego spojrzała. Anka miałyby być szarą myszką? Facet chyba nie wiedział, o kim mówi. Ale odniosła wrażenie, że Wojciech mówi szczerze.

– No wiesz, ona jest z tych dziewczyn, które są miłe i potrafią słuchać, ale zupełnie giną w tłumie. Teraz też miała na sobie coś burego, prawda?

Kremową puchową kurteczkę, džinsy i błękitny szalik, świetnie dobrane, jak zawsze – pomyślała Matylda, ale głośno powiedziała tylko:

– No, chyba tak...

Wojciech, który uznał to za koniec nieporozumienia, uśmiechnął się szeroko.

– To może coś kupimy? – zapytał, prowadząc ją w stronę pobliskiego barku, a Matyldę na tyle ujął czuły ton w jego głosie, że przestała się gniewać.

– To chyba początek czegoś pięknego, prawda? – Zanael przyglądał się stojącym przy barze postaciom. Wojciech kupił właśnie trzy różne rodzaje orzeszków, a Matylda machała rękami, przekonując go, że nie potrzebują

żelek-wężyków ani kolorowych pianek. Matiel spojrzał na kolegę i poprosił zrezygnowanym tonem:

– Nie żartuj sobie. Już wystarczy, że Annael się ze mnie nabija.

– Nie nabijam się. – Annael pomachał obronnie skrzydłem. – Haha.

– Kiedy ja mówię poważnie. – Zanael uśmiechnął się sam do siebie. –

Z Zużą i Adamem było podobnie.

– Poważnie? Tak poważnie-poważnie? – popatrzył Matiel z powątpiewaniem. Matylda właśnie szarpała z całej siły Wojciecha za rękaw, odciągając go od stoiska. – Tak to u nich wyglądało?

– No, trochę inaczej – przyznał anioł. – Ale ten Adam od początku coś udawał. No wiesz: „Najdroższa, jestem szczęśliwy, że zgodziłaś się pójść ze mną do kina, moja miłość do ciebie jest tak ogromna, że pragnę również kupić dla nas orzeszki, czy zechcesz mi towarzyszyć w drodze do bufetu?” – Zanael wykrzywił się, parodiując Adama. – Wszystko, co mówił, było jakieś takie przesadzone...

– No tak, bo moja Matylda to jest kryształowo szczerą! – westchnął Matiel z przekąsem.

– A co, dała mu już tę swoją powieść?

Anioł pokręcił głową. Właściwie to Matylda nie tylko nie dała wydawcy swojej książki. Postąpiła, ku wielkiemu zaskoczeniu anioła, dokładnie odwrotnie i zupełnie nielogicznie: schowała wydruk na samo dno szuflady.

– Wyczekuje na właściwy moment – zasugerował. – W końcu wyjmie ją z szuflady i złamie mu serce.

– Kiepska literatura nie łamie serc – pocieszył go Annael, radośnie włączając się do rozmowy. – Najwyżej podłamie go intelektualnie.

– Dajcie już spokój... – Matiel zasłonił twarz skrzydłami.

– Kiedy ja naprawdę myślę, że to początek czegoś pięknego. – Zanael uparcie powtarzał swoją kwestię. Matiel pokręcił głową, nadal ukrytą w piórach.

– To początek katastrofy – burknął niewyraźnie. – Katastrofy o niewyobrażalnych rozmiarach.

## ROZDZIAŁ 22

Ciepły poniedziałkowy poranek wcale nie ucieszył Matyldy. Ani trochę. Wybiegła z domu na zajęcia mocno spóźniona i jakoś tak wyszło, że szerokim łukiem ominęła przystanek autobusowy i spacerowała teraz w kółko po osiedlu. Od czasu do czasu otwierała torebkę i wyciągała telefon, żeby sprawdzić godzinę.

Tylko godzinę. Wcale nie patrzyła, czy przyszedł SMS od Wojtka. Piątkowy wieczór był niesamowicie udany, a po filmie wybrali się jeszcze na kawę, po której Matylda nie mogła zasnąć, ale czasem tak bywa. Nawet po bezkofeinowej. Od tego czasu minęły już dwa dni, a jej telefon milczał jak zakłęty.

Westchnęła, upewniając się jeszcze raz, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Ale przecież powiedział wyraźnie: będziemy w kontakcie. To chyba znaczyło, że zamierza do niej napisać? Matylda poprawiła torbę zsuwającą się z ramienia i wcisnęła ręce do kieszeni kurtki. Miała za sobą trudny weekend, spędzony w większej części na zastanawianiu się, ile czasu musi minąć od randki, żeby mężczyzna wysłał SMS-a. Gdyby to ona była facetem, odezwałaby się do samej siebie jeszcze przed upływem godziny od spotkania! Tymczasem Wojciech twardo milczał. Co on w ogóle robił w weekendy?

Zresztą, czemu miałyby ją to obchodzić? W sumie to ich spotkanie nie było tak do końca randką, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę, jeśli chodzi o jakiegokolwiek zasady. Albo upraszczało, bo skoro to nie była randka, to nie

musiała się tym tak emocjonować, prawda? Dookoła wiosna w pełnym rozkwicie, na całym osiedlu kwitnie forsycja, ćwierkają wróble, w trawie pojawiły się małe krokusy, czymże wobec tego całego piękna przyrody jest jeden SMS? Jako artystka powinna się wznieść ponad takie niemądre, dziewczęce problemiki.

Prowadzona przez mocne postanowienie kontemplacji wiecznie odradzającej się natury, Matylda uniosła głowę wyżej i skręciła do parku. Znajdowała się po wschodniej stronie Pól Mokotowskich. Przez chwilę serce zabiło jej mocniej, bo wydawało jej się, że dostrzegła Wojciecha wśród spacerujących wokół fontanny ludzi, ale oczywiście to nie był on. Chociaż spotkanie w tym akurat konkretnym parku, który Matylda wybrała z miłości do przyrody, nie było tak do końca wykluczone: siedziba wydawnictwa Książka i Myśl znajdowała się tuż za ostatnią linią drzew.

Co oczywiście oznaczało, że Matylda będzie się trzymała z daleka od tego budynku, bo nie miała najmniejszej ochoty wpadać na faceta, który nie wysłał jej żadnej wiadomości. Za to dużą przyjemność sprawi jej spacerowanie po alejkach. Może pójdzie nad staw, popatrzeć na kaczki, o ile jakieś tam będą. Właśnie to będzie robić.

Kilka minut później dotarła nad jeden ze stawów i znalazła dla siebie ławkę nad brzegiem. Jednak nie mogła wysiedzieć za długo. Jakoś ją nosiło. Patrzyła na wodę, na promyczki słońca odbijające się od powierzchni, a oczami wyobraźni widziała Wojtkę, który mógłby przecież zrobić sobie przerwę w ciężkiej pracy i wpaść tutaj, pokarmić kaczuchy. Oczywiście bardzo by się zdziwił, widząc Matyldę, ale ona mogłaby odpowiedzieć, że jest zbyt ładnie, żeby wędznąć na wykładzie, a wtedy Wojtek stwierdziłby, że jest też za ładnie na siedzenie w pracy, więc tak go naszło, żeby wyjść sobie z wydawnictwa i pospacerować... Stop. Tego właśnie miała nie robić. Dlaczego nie mogła nawet na chwilę zapanować nad własną wyobraźnią??!

Matiel, doszczętnie ogłupiały, szedł krok w krok za Matyldą. Jego podopieczna, w tej chwili ciężko obrażona na swoją własną wyobraźnię, zerwała się z ławki, na której nie wysiedziała nawet pięciu minut, i zaczęła krążyć dookoła stawu. Anioł przynajmniej od niedzieli poważnie zastanawiał się nad tym, czy nie zajrzeć do wydawcy i nie zmusić go do napisania tej głupiej wiadomości. Ale czy to by było mądre? Czy nie lepiej, żeby Matylda zapomniała o całej sprawie, skoro nawet nie mogła się zdecydować, czy chce jeszcze widywać tego mężczyznę, czy nie, a jeśli tak, to w jakim charakterze? To znaczy, właściwie dziewczyna co i rusz podejmowała ostateczną decyzję, ale anioł szybko się zorientował, że nie należy pokładać większych nadziei w ich trwałości. Przyspieszył kroku, bo Matylda kolejne okrążenie pokonywała niemal biegiem. Dlaczego to on zawsze musiał dostawać takie trudne zadania? Annael świetnie sobie radził z trzymaniem Anny

z dala od pracy, Zanael w końcu poukładał życie Zuzanny, chociaż zajęło mu to prawie cztery lata, a on co? On nawet nie wiedział, od czego ma zacząć! Matylda niczego mu nie ułatwiała. Nic a nic, zwłaszcza snując się między drzewami i uśmiechając do siebie.

Ale dlaczego właściwie nie miałyby pospacerować też po drugiej stronie parku? Tam było ładniej. Przecież nawet nie musiała wiedzieć, że jest tam wydawnictwo. Ani że Wojtek siedzi w środku (może przy oknie?) i nadzoruje pracę całego zespołu. Tak, Matylda przyznała samej sobie rację. Nie ma sensu omijanie najlepszego terenu spacerowego w całym parku tylko dlatego, że ktoś znajomy pracuje w pobliżu. Na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze raz godzinę i wróciła pospiesznie do kontemplacji przyrody. I podskoczyła w górę, bo w tej samej chwili, w której schowała telefon do torby, ten radośnie zaćwierkał. Matylda pospiesznie wyciągnęła go z powrotem, prawie upuszczając na ziemię.

Zuzanna, w przeciwieństwie do swojej wcale nie zakochanej przyjaciółki, obudziła się w doskonałym humorze i z poczuciem jakiegoś szczególnego wewnętrznego spokoju. A w każdym razie: nie czuła się smutna i dopiero koło południa, a więc po pełnych czterech godzinach, zorientowała się, że ani razu nie pomyślała o Adamie. Co więcej: ta refleksja szybciotko przemknęła jej przez głowę, nie zatrzymując się na dłużej. Dziewczyna miała dużo miłszy temat do rozmyślań: zostało kilka dni do jej dwudziestych piątych urodzin. Przełomowa data – i znakomity moment, żeby zastanowić się nad tym, co chce zrobić z resztą życia. Żeby nie wyprzedzać faktów, zamierzała zacząć o tym dumać od przyszłej soboty. Na razie szykowała się okazja do podwójnego, a nawet potrójnego świętowania. W czwartek wybierała się do klubu z koleżankami z polonistyki, których nie widziała przynajmniej od pół roku, na piątek zapowiedziała się bliższa i dalsza rodzina, a w sobotę – czyli właściwy dzień urodzin – postanowiła wyprawić małe przyjęcie, tylko dla przyjaciółek. Tak jak w sylwestra – przemknęło jej przez głowę. I na bardzo krótką chwilę, ale już bez ronienia łez, zadumała się nad tym, jak niewiele czasu potrzeba, żeby czyjeś życie wywróciło się do góry nogami i zaczęło jeszcze raz, w innym miejscu.

To było tylko zaproszenie na urodziny Zuzanny. Matylda spojrzała na telefon, tyleż ucieszona, co rozczarowana. No cóż, przynajmniej jej przyjaciółki były niezawodne, w przeciwieństwie do tego okropnego wydawcy. Nic dziwnego, że Wojciech nie ma dziewczyny, pomyślała, jednocześnie odpisując Zuzannie. Jak mógłby się tak naprawdę z kimś spotykać, skoro nie widzi świata poza tą swoją pracą? Pewnie zaszył się w stosie papierzysk i zwyczajnie zapomniał, że w piątek byli w kinie. Natomiast na pewno nie było go w parku ani nie siedział przy oknie,



bo już musiałby zauważyć Matyldę, mijającą czwarty raz budynek. A, mniejsza o to! Skoro nie wpadli na siebie przypadkiem, to widocznie przeznaczenie im nie sprzyja i najwyższa pora wracać do domu. Mogłaby – co za znakomity pomysł! – zacząć pisać drugi tom swojej niewydanej książki. Najlepiej, żeby akcja działa się po latach, wtedy mogłaby zacząć wydawanie serii od końca, a kiedy drugi tom odniesie sukces, to wszyscy wydawcy pobiją się i o ten pierwszy! I zobaczy, ten cały Wojciech. Będzie mógł przyjść na spotkanie autorskie i bić jej brawo, stojąc w ostatnim rzędzie. Matylda się rozpromieniła, już przeżywając ten przyszły sukces, kiedy telefon znów zaczął dzwonić. Pewnie Zuza.

„Od piątku słońce jaśniej świeci, to chyba Twoja sprawka. Znajdziesz wolny wieczór w ten weekend?”

– Wreszcie! Alleluja! – Matiel zatrzepotał skrzydłami i podrzucił aureolę. Wydawca poradził sobie z wysłaniem wiadomości – i to bez anielskiej interwencji! Jednak umiał obsłużyć komórkę! I jak ładnie napisał! Za to Matylda wpatrywała się w telefon, jakby nie wiedziała, co ma z nim zrobić, więc anioł życzliwie nachylił się nad jej uchem.

– Napisz „piątek” – podpowiedział. – I daj znak zapytania na końcu. W sobotę jesteś u Zuzy.

„Piątek?” – wystukała drżącą ręką Matylda.

Odpowiedź przysłała niemal w tej samej chwili.

„Ok” – napisał Wojciech.

Jak wspaniale! Matiel miał już odtańczyć taniec zwycięstwa, ale patrząc na minę Matyldy, znowu zwątpił. Zupełnie nieadekwatnie do całej sytuacji, jego podopieczna tak jakby się ucieszyła, ale w zasadzie to wyraźnie zmarkotniała.

„Ok”? Przez głowę Matyldy przelatowały kolejne gorączkowe myśli. Czemu odpisał tak lakonicznie? Chyba za szybko wysłała swoją odpowiedź. Pewnie on teraz myśli, że ma dziewczynę już podaną na tacy, a jej serce, udekorowane wiosennymi kwiatkami, jest w każdej chwili do wzięcia... Trzeba było nie odpisywać tak bezmyślnie, tylko odczekać przynajmniej pół dnia. I dodać coś do tego zdawkowego „piątek?”, coś poetyckiego. Co ją naszło, żeby od razu wysłać odpowiedź? Błąd, błąd, błąd!

Matylda westchnęła i na wszelki wypadek postanowiła oddalić się od wydawnictwa. Ładnie by to wyglądało, gdyby Wojtek pomyślał, że specjalnie krąży pod jego pracą, z telefonem w pogotowiu! Chociaż wcale tak nie było. Dziewczyna pospieszenie oddaliła się parkową alejką, a tuż za nią powłókł się skołowany i skarcony Matiel. Wyglądało na to, że znowu coś poszło nie tak, ale za groma nie mógł zrozumieć, co właściwie.

## ROZDZIAŁ 23

– Wszystkiego najlepszego! – Matylda wręczyła Zuzannie niewielkie pudełko własnoręcznie oklejone krepiną i cekinami. – Szczęścia, spełnienia marzeń, zdrowia, pieniędzy, wiernych przyjaciół... – wymieniała jednym tchem, ściskając przyjaciółkę i omijając starannie temat tabu, którym aktualnie było szczęście w miłości.

– Oby się spełniło! Pracuję nad tym, żeby mieć w tym roku nowe marzenia. – Zuza uśmiechnęła się pogodnie. – Ania już jest.

– I wyjada czekoladowe pianki – odpowiedziała Anka, wyglądając z pokoju. – Tym razem nas poznajesz? – dodała, tylko trochę złośliwie, ale Matylda momentalnie się zafrasowała, przypominając sobie, że ostatni raz widziała obie przyjaciółki w zeszły piątek, przy okazji kina z Wojtkiem. I rzeczywiście, wyszło na to, że udawała, że ich nie zna.

– To... Właściwie... – zaczęła z płacziwą miną.

– Oj, daj spokój! – Zuzanna machnęła ręką. – Przecież wiemy, że realizowałaś swój wielki plan! To, że jednej z nas nie udało się urzeczywistnić noworocznych marzeń, wcale nie oznacza, że pozostałe mają się poddać. Wprost przeciwnie, powinnyście walczyć jeszcze dzielniej!

Mimo altruistycznych intencji Zuzanny, jedyną odpowiedzią na jej małą motywacyjną przemowę były dwie smutne miny.

– Eee, to znaczy... – zaczęła jeszcze raz Matylda, ale przerwała

z westchnieniem. Sama nadal nie wiedziała, co się dzieje w jej życiu, więc tym bardziej nie miała pojęcia, jak opowiedzieć o tym przyjaciółkom. Wczoraj znowu spotkała się z Wojtkiem, a co więcej, znów dostała przepiękny bukiet kwiatów. Tym razem wydawca pojawił się z naręczem różnokolorowych tulipanów, wśród których nie było dwóch takich samych.

– O rety, jakie piękne! – Zuza tymczasem wyjęła z pudełka parę kolczyków-kół ozdobionych piórami. – Indiańskie?

– Sprzedawca tak twierdził. – Matylda przyjęła z ulgą chwilową zmianę tematu.

– Wspaniale! Powinnam do nich poszukać innej bluzki, prawda? – zwróciła się Zuza do Anki. Ta zamrużyła kilkakrotnie, mile zaskoczona, że ktoś nadal uznaje ją za wyznacznik w kwestiach mody i dobrego stylu.

– Weź tę białą, sznurowaną – poradziła odruchowo, wywołując aplauz ze strony Zuzy. Ania uśmiechnęła się mimowolnie. Jedno nie ulegało wątpliwości: ich porzucona naręczona wraca do dobrej formy. Obserwując radośnie kręcącą się po swoim pokoju Zuzannę, Anka jednak myślami była gdzie indziej. Dokładnie rzecz biorąc: we własnej skrzynce mailowej. Jaka była szansa, że ktoś wyśle jej maila w sobotę wieczorem? Może któraś z tych małych firm, do których pisała ostatnio? Parę dni temu wydała ostatnie pieniądze na książkę o tym, jak skonstruować CV doskonale (w dziesięciu prostych poradach!) i czuła, że wyeliminowała wszystkie błędy. Zuza mogła zrezygnować ze ślubu i żyć dalej, ale Anka nie mogła sobie pozwolić na luksus zmiany marzeń na nowe. Zdobycie etatu było priorytetem. I w końcu musiało się udać. Zimą na rynku pracy najpewniej panował zastój, więc cała nadzieja w nadejściu wiosny. A wiosna trwała już przynajmniej od dwóch tygodni i jeszcze nie przyniosła żadnej zmiany na lepsze.

– A jak tam postępy w wydaniu książki? – Zuzanna zdążyła zmienić bluzkę i znów odwróciła się do Matyldy. Nowe kolczyki wyglądały bardzo twarzowo przy dwóch warkoczach, które błyskawicznie zaplotła. – Uwiodłaś już tego wydawcę? – Radośnie nieświadoma tego, jak drażliwy temat porusza, spojrzała zachęcająco na Matyldę. Jej przyjaciółka westchnęła, kuląc się na kanapie.

– No, właściwie...

– Oczywiście, że go uwiodła! – Anka postanowiła odpowiedzieć za Matyldę. – Przecież widziałyśmy, szedł za nią jak baranek! Właściwe pytanie brzmi: kiedy wydajesz książkę? – Uśmiechnęła się, czując jednocześnie ukłucie satysfakcji. Pomimo własnych porażek potrafiła jeszcze cieszyć się z sukcesów przyjaciółek. Matylda jednak posmutniała jeszcze bardziej.

– No, w zasadzie... – powtórzyła. Czworo oczu wlepiło się w nią z napięciem. Właściwie sześcioro, bo do pokoju przywędrował również Raster i po krótkim namyśle ułożył się z pyskiem na kolanach Matyldy. A tak między Bogiem a prawdą, to dwanaścioro, bo należałoby też doliczyć ciekawskie anioły. Matiel,

Annael i Zanael zgrupowali siły po drugiej stronie kanapy, tej wiecznie zarzuconej ubraniami.

– Coś poszło nie tak? – zapytała Zuzanna z troską, opatrnie interpretując minę Matyldy. – Wydawca nie chce twojej książki?

– Czemu miałby jej nie chcieć? – Matylda uniosła się, oburzona, piorunując przyjaciółkę wzrokiem. – Jeszcze jej nie widział – dodała wyjaśniająco.

– To na co czekasz? – dopytywała się Anka. – Ile razy się widzieliście?

– Dwa... Byliśmy w kinie i na spacerze...

– Czyli trzy, jak doliczyć spotkanie w supermarkecie, a z promocją w domu kultury to cztery! – podsumowała Anka z miążdzącą dokładnością. – To na co jeszcze czekasz?

– No bo... – Matylda znowu się zacukała.

– Możesz mu ją wręczyć zupełnie otwarcie, przecież widać było, że już zupełnie stracił dla ciebie głowę – podrzuciła znów Anka, jak zawsze pomocna. Matylda miała dziwną ochotę rzucić w nią poduszką. – Przeczyta i może nawet wyda bez marudzenia...

– A czemu miałby marudzić? – Wybitna pisarka znów poczuła się dotknięta. – Myślę, że kto jak kto, ale Wojtek zrozumiałby moją książkę, my w ogóle bardzo podobnie odczuwamy różne rzeczy... – powiedziała wreszcie, po czym dotarło do niej, jak to musiało zabrzmieć.

Pozostałe dwie dziewczyny wlepiły w nią zaskoczone spojrzenia.

– Aha... – Anka szybko pozbierała wszystkie fakty i dodała je do siebie. – Podobnie odczuwacie... różne rzeczy?

– Wojtek. Wojtek? – powtórzyła tymczasem Zuza, usiłując bezskutecznie dopasować to imię do wielkiego wydawcy Pana Wojciecha Miśkiewicza.

– No wiesz, mamy podobną wrażliwość, spojrzenie na świat, na różne sprawy między ludźmi, można powiedzieć, że taką wspólną filozofię życiową... – Matylda starała się jakoś wyplątać, ale bez powodzenia.

– Chcesz powiedzieć, że ci się podoba! – uprościła sprawę Zuza.

– Zabujałaś się w wąsaczu – uznała w tym samym momencie Anka. Matylda w odpowiedzi poczerwieniała i zaczęła energicznie machać rękami.

– Nie, no co wy! My się tylko... Przyjaźnimy.

– Mhm... – Ania zrobiła nieokreśloną minę, gdzieś w pół drogi między rozbawieniem a dezaprobatą.

– Wiosna to pora zakochanych... – zachęciła ją Zuzanna. Miała nadzieję, że te słowa zabrzmiały zachęcająco, ale jakoś tak wyszło, że wypowiedziała je grobowym tonem.

– No widzisz, a z ciebie był taki niedowiarek! – Zanael szturchnął Matylda skrzydłem. Urażony protekcyjnym tonem anioł nastroszył pióra.

– To ty wszystko upraszczasz. Obaj upraszczacie – dopowiedział, widząc rozbawioną minę Annaela. – Sama powiedziała przed chwilą, słyszeliście, powiedziała, że tylko się przyjaźnią!

– Ale Zuza uważa, że to zakochanie. A kto jak kto, ona się na tym zna – zaprotestował Zanael.

– I Anka też tak mówi, czyli mamy dwa do jednego – poparł go drugi anioł.

– A niby dlaczego wasze dwie dziewczyny miałyby wiedzieć lepiej od mojej jednej, co ona czuje, skoro... – Matiel zaplątał się. W zasadzie Matylda sama nie wiedziała, co czuje, więc wypadłoby nie dwa do jednego, tylko dwa do zera. Anioł nie był pewien, dlaczego, ale ta logika nie do końca go przekonywała.

– Anka zna się na uczuciach – kontynuował tymczasem Annael, chwając swoją podopieczną.

– Zuzanna też! – dodał Zanael. – Jest bardzo wrażliwa.

– Matylda też jest wrażliwa! – zachnął się urażony stróż. – I zna się na uczuciach! – dodał, już dużo mniej pewnym tonem.

– No, może na cudzych – pocieszył go Annael. – Czasem najciemniej pod latarnią.

– Pod latarnią wcale nie jest najciemniej – Matiel znowu nastroszył pióra.

– Gubisz pióra na wiosnę? Nie rozrzucaj ich tutaj. – Annael wcisnął mu do ręki kilka zagubionych piórek.

– Pff... Wcale nie. – Anioł zgarnął je szybko i usiłował wetknąć z powrotem.

– A Matylda wcale się nie zakochała... – Szeroki uśmiech rozjaśnił życzliwe oblicze Annaela.

Do czego to doszło, Matylda wreszcie spotkała swoją drugą połowę! Zuzanna uśmiechnęła się do siebie, zgarniając porozstawiane po dywanie szklanki. Dochodziła północ i przyjaciółki już poszły, ale solenizantki nie opuszczały znakomity nastrój. Pozmywała naczynia, powycierała wszystko do sucha, upewniając się, że szklanki ładnie błyszczą i, gdy nie zostało już nic do zrobienia, wróciła do pokoju, cieszyć się ostatnimi minutami urodzin. Zuza wyciągnęła się na kanapie, teraz już pustej, i wyjęła z kieszeni dzinsów schowaną tam przez cały czas karteczkę. Z tych karteczek, które mama podrzucała jej przed wyjściem do pracy. Ostatnio raczej nie było już na nich list rzeczy do zrobienia, a dziś mama napisała tylko „Wielu wspaniałych nowych marzeń do spełnienia!”. Zuzanna na chwilę pograżyła się w myślach, nawet przyjemnych. Już wiedziała, że nie zostanie szczęśliwą żoną Adama, zajmującą się domem, gromadką dzieci i przyjęciami dla rodziny – ale kim w takim razie miała zostać?

– Malarką, pisarką, rzeźbiarką i treserką lwów! – podszeptał uczynnie Zanael, do którego dotarło jej głośnie westchnienie.

No właśnie: Zuzanna się zadumała. A co z marzeniami z dzieciństwa? Czy to

nie tam powinna poszukać wskazówek? Może człowiek jako dziecko najlepiej wie, co chce robić? A potem należy tylko – w tej rozmarzonej chwili wydawało jej się to całkiem proste – znaleźć dorosły sposób na realizację dziecięcych pragnień? Dlaczego nie miałyby zacząć drugich studiów, plastycznych, nawet zaocznie? Mogłyby na nie dorobić, odciążając rodziców. Nie jest na to za późno, dla przykładu Matylda nadal studiuje... A z kolei Anka mogłaby jej pewnie znakomicie doradzić, jak napisać CV. A jeśli nie studia, to może powinna gdzieś wyjechać? Gdzieś daleko, powiedzmy: do Afryki? Przez chwilę świat wydawał jej się wielki, fascynujący i pełen możliwości. I może trochę straszny. Czyli tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem...

– A gdybyś... – Zanael nie zdążył dokończyć myśli. Idealny późny wieczór przerwał nagły dźwięk SMS-a. Zuzanna niespiesznie wstała z kanapy, żeby przeczytać spóźnione życzenia. Ktoś zdecydował się je wysłać w ostatniej chwili: właśnie wybiła północ. Dziewczyna spojrzała na komórkę, po czym upuściła ją na dywan z taką miną, jakby telefon nagle użarł ją w rękę.

„Najdroższa, wszystkiego najlepszego”. Zdążyła już skasować numer Adama, ale i tak rozpoznała znajome cyfry na wyświetlaczu. Oszołomiona, spojrzała na datę, licząc na to, że to telefon oszalał i wysłał jej jeszcze raz zeszłoroczne życzenia. Ale nie, wszystko się zgadzało. Najdroższa? Czy on nie był już po ślubie z tą rudą Anetką? Jak w ogóle śmiał do niej pisać? Wzburzona cisnęła komórką przez pokój, po czym natychmiast sięgnęła po nią z powrotem. Może to żart? A może Adam za dużo wypił... Tylko że on właściwie nie pił. Chyba że i w tej kwestii ją oszukał. Odetchnęła głęboko i drżącą ręką odłożyła telefon na stolik. A ten, jakby nagle ożył, zaczął dzwonić.

– Nie odbieraj! – jęknął Zanael. Jednak Zuzanna, wpatrzona z przerażeniem w numer na wyświetlaczu, nie była w stanie odebrać. Komórka podzwoniła, podzwoniła i zamilkła, a Zuza wpatrywała się w nią zupełnie zagubiona, z mieszaniną złości, rozpaczki, rozbawienia i absurdalnej nadziei.

## ROZDZIAŁ 24

Zaraz po urodzinach Zuzy przypadał jeden z ulubionych dni w roku Zanaela: Niedziela Palmowa. Korzystając z pogody, która w tym roku wyjątkowo dopisała, anioły umówiły się przed Kościołem Zbawiciela, żeby obejrzeć coroczną wystawę palm. W tłumie dorosłych, dzieci i innych aniołów wymęczony Zanael poczuł się odrobinę różniej.

– Popatrz na tamtą! – Annael wylądował obok z głośnym furkotem skrzydeł. – Albo na tamtą! I na tę! A co tam u twojej duszyczki? Już dużo lepiej, nie? – zapytał, gładko przechodząc od palm do pracy.

– No właśnie nie. – Zanael potarł wierzchem dłoni podkrążone oczy. – Nie wiem, po co oni w ogóle wynajdywali telefony komórkowe.

– To pewnie jeden z tych diabelskich podszeptów, jak cała elektronika. – Annael miał gotową odpowiedź. – A już zwłaszcza bezprzewodowa – dodał wyjaśniająco. – Coś, co działa bez kabla, nie jest warte ani odrobiny zaufania... – przerwał, zdając sobie sprawę, że to nie współczesna technika tak zmartwiła jego kolegę.

– Ten cały Adam... – Zanael aż się wzdrygnął. – Wysłał jej życzenia urodzinowe. A ona przez pół nocy nie spała i w końcu nad ranem postanowiła mu odpisać...

– Ale wyląpałeś tego SMS-a, zanim doszedł do Adama? – zainteresował się Annael. – Bo wiesz, ja póki co pokasowałem wszystkie głupie maile, które Anka...

– Tak, wiem. – Anioł westchnął. – No właśnie nie bardzo, chyba trochę przysnąłem – przyznał zawstydzony. – Ale to było o czwartej w nocy!

– Oni zawsze robią najgłupsze rzeczy w środku nocy, żeby nas zmylić – zawyrokował Annael. – Wykorzystują moment nieuwagi, i masz.

– Może się za bardzo przejmuję. – Zanael znów westchnął. – Zuzanna już wie, że Adam cały czas ją oszukiwał. Nieważne, co on teraz robi, ona już mu nie uwierzy. To inteligentna dziewczyna. Ale taka wrażliwa... – pokręcił głową.

– Hej chłopaki! – W tej samej chwili z nieba sfrunął spóźniony Matiel. – Nie uwierzycie, ale już wiem, co zrobić z Matyldą! – wypalił, jeszcze zanim zdążył na dobre wylądować. – Wszystko mam tutaj! – ucieszony machał jakimś zeszytem.

– To jest...? – Annael zawiesił głos.

– Pamiętnik Matyldy – radosnym tonem wyjaśnił anioł. I czując na sobie oskarżycielskie spojrzenia pozostałej dwójki, wyjaśnił pospiesznie – Wcale go nie czytałem! Tylko nie chciałem wrywać tej jednej kartki, która jest taka ważna! Zobaczcie – podsunął im pod nos wyrysowaną krzywo tabelkę. – Dziś w nocy Matylda postanowiła przeanalizować swoje uczucia wobec wydawcy! Wiecie, jak tylko wróciła z urodzin Zuzy.

– Ojej – skomentował Zanael. Jak na jego wyczucie, trochę za dużo się wydarzyło tej jednej nocy.

– Pomyślałem, że macie rację – Matiel, niezrażony, wciąż unosił się na wysokiej fali entuzjazmu. – Skoro Matylda odnalazła swoją miłość, to musimy zrobić wszystko, żeby pomóc uczuciu!

– Czyli jednak zgadzasz się z nami, że coś się między nimi dzieje? – Zanael upewnił się, porzucając na chwilę dręczące go myśli na temat Zuzanny i jej telefonu.

– Tak, jak najbardziej! Zresztą Matylda sama to napisała! Tutaj – anioł wskazał pierwszą połowę tabeli zatytułowaną „za”. – Widzicie, stoi jak wół: „To najwspanialszy i najbardziej wartościowy mężczyzna, jakiego spotkałam w życiu”. I dalej macie: „Możemy porozmawiać na każdy temat”. I to! – wskazał podkreślony kilkakrotnie wpis: „Jestem przy nim szczęśliwa!”. – Wszystko jest jasne jak słońce!

– Um, a ta druga strona? – Annael spojrzał ciekawie na stronę „przeciw”.

– Lista „przeciw” jest krótsza – ucieszył się Zanael.

– No właśnie! – Matiel cały promieniał. – Mamy tu tylko trzy rzeczy...

– „Jest strasznie stary. Chodzi w garniturze do kina. Dziewczyny będą się ze mnie śmiały. Jak ja go przedstawię mamie?” – Annael pokręcił głową. – I jeszcze, podkreślone trzy razy: „Ma OKROPNE WĄSY”. To nie są trzy rzeczy.

– W sumie trzy. – Matiel nie dał się zbić z tropu. – Dziewczyny i mama to jakby jeden punkt, garnitur to bzdura, wiek nie ma żadnego znaczenia, dopóki nie liczy się w stuleciach, a i tak największy problem stanowią wąsy. Są podkreślone! – dodał, jakby ktoś mógł tego nie zauważyć.

– To co zamierzasz zrobić? Zgolisz mu wąsy, jak będzie spał? – rzucił Annael. Błysk w oku Matiela uświadomił mu, że powinien zostawić takie pomysły dla siebie. Ale na szczęście anioł pokręcił głową.

– Nie, to ostateczność. Po prostu pogadam z jego aniołem stróżem.

– O! To świetny pomysł! – Zanaelowi zaczął się udzielać entuzjazm. – Tylko że tego anioła nigdy przy nim nie ma...

– No to go znajdziemy. – Matiel uśmiechnął się szeroko. – Przecież nie może się wałęsać daleko, prawda? Pomyślcie, gdzie może się schować anioł stróż wydawcy?



Zuzanna, nierozważnie pozostawiona przez swojego anioła stróża samopas, popełniała właśnie kolejny życiowy błąd. Podskórnie nawet zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się niezbyt mądrze. Ale mimo to przekonywała samą siebie, że jedno krótkie spotkanie niczego nie zmieni. Pół godziny, co najwyżej. Nie poświęci Adamowi ani minuty więcej. Spotkają się w kawiarni na mieście. On powie to, co ma do powiedzenia, a potem się rozejdą. Skoro aż tak mu zależy... Im szybciej będzie miała to za sobą, tym lepiej, a może takie spotkanie pomoże jej wreszcie na dobre zapomnieć o byłym narzeczonym? Od czwartej nad ranem (czy on nie spał, czekając na jej wiadomość?) zdążyli wymienić z Adamem kilkanaście SMS-ów. Mężczyzna przekonywał, że muszą się zobaczyć, ona odpisywała uparcie, że nie chce go widzieć. Ale odpisywała. I w końcu dała się przekonać do mglistej propozycji „wyjaśnienia wszystkiego”.

Dlatego teraz stała przy lustrze, starając się zamaskować podkładem cienie pod oczami, które aż zbyt wyraźnie świadczyły o nieprzespanej nocy. Chociaż nie miała tego w zwyczaju, pomalowała usta i wyciągnęła z dna szuflady trochę już przyschnięty tusz do rzęs. Miała jakieś takie kobiece przeświadczenie, że łatwiej będzie się zmierzyć ze smokiem, mając na sobie zbroję.

– Oczywiście, że anioł stróż wydawcy będzie w wydawnictwie! – mówił tymczasem Matiel, przekonany o własnych zdolnościach dedukcji. Dwaj pozostali aniołowie wlekli się za nim coraz mniej przekonani. Odwiedzili już dwa inne „oczywiste” miejsca. Na pierwszy ogień poszło mieszkanie Wojciecha, w którym odnotowali brak śladów anielskiej aktywności, a także, co szczególnie ucieszyło Matiela, brak poszlak wskazujących na obecność tam w ostatnich latach jakiegokolwiek kobiety. Po przejściach Zanaela anioł był szczególnie wyczulony na mężczyzn prowadzących podwójne życie, dlatego uradowały go zarówno kłęby kurzu między stosami książek, jak i leżące na kuchennym stole hantle, a już szczególnie popsute żaluzje, prowizorycznie sklezione taśmą klejącą. Następnym znakomitym pomysłem było wyśledzenie samego Wojciecha, w nadziei, że tym razem anioł będzie mu towarzyszył. Po długich poszukiwaniach i konsultacjach z innymi niematerialnymi bytami odnaleźli wydawcę na basenie. Korzystając z czasu wolnego, Wojciech doskonalił się w sztuce pływania kraulem. Jednak anioła nie było ani w wodzie, ani na brzegu. Zamknięte w weekend na trzy spusty wydawnictwo mogło, chociaż nie musiało, zakończyć te poszukiwania.

– No to jesteśmy! – Anioły wsunęły się po cichu przez zamknięte drzwi. Siedziba wydawnictwa Książka i Myśl była nieduża i wyglądała trochę jak odkurzona wersja mieszkania Wojciecha. Matiel pewnym krokiem skierował się w stronę drzwi, na których wisiała pluszowa żaba na gumce i kartka papieru z wykaligrafowanym napisem „Gabinet szefa”.

– Wypada najpierw zapukać. – Burkliwy głos zatrzymał ich w pół kroku, stłoczonych w progu gabinetu. Głos dochodził ze skórzanego fotela, odwróconego w stronę okna.

– My, hm, szukamy anioła stróża wydawcy... – zaczął Matiel, trochę stremowany.

– Szukacie pełnomocnika do spraw duchowych pana Wojciecha Miśkiewicza? – uściślił głos. Fotel zaczął się powoli obracać.

– Um, tak właśnie, szukamy w takiej sprawie... – Matiel przerwał w pół zdania. Siedzący na fotelu anioł – bo bez wątpienia jednak go odnaleźli – przypatrywał się przybyszom spod zmarszczonych brwi. Matiel nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zamiast zwyczajowej białej szaty pełnomocnik do spraw duchowych miał na sobie biały garnitur, tylko o ton ciemniejszy od złożonych za plecami skrzydeł. Natomiast surowe oblicze anioła zdobiła imponująca para gęstych, nastroszonych i zbijających z tropu wąsów.

– W takim razie to mnie szukacie – odparł urzędowym tonem. – Nazywam się Wonsael i reprezentuję Wojciecha Miśkiewicza przed Niebieskim Trybunałem i... – przerwał, z wyraźną urazą patrząc na Annaela, który nie mógł pohamować śmiechu.

– Wąsael? – powtórzył, starając się patrzeć gdzieś w bok, broń Boże nie na oblicze anielskiego reprezentanta.

– Wonsael – poprawił tamten lodowatym tonem, podkreślając wąsa. – Zajmuję się rozwojem duchowym przydzielonej mi duszy, jak również dbam o sprawy wydawnictwa – uściślił, wskazując na leżące na biurku koperty i wydruki.

– No tak, to wspaniale – przytaknął Matiel, zupełnie nie wiedząc, jak teraz przejść do właściwej sprawy.

– Czytam każdą nadesłaną powieść – pochwalił się Wonsael. – Od deski do deski.

Na chwilę w gabinecie wydawcy zapadła cisza, przerywana tylko nieumiejętnie tłumionym chichotem Annaela.

– Pewnie przychodzicie w sprawie któregoś z autorów? – Wonsael pochylił się nad biurkiem, splatając dłonie. – Jeśli tak, to zapowiem od razu, że szkoda i waszego, i mojego czasu. Decyzje wydawnicze są przemyślane i nieodwołalne.

– My nie do końca w sprawie autora – bąknął Matiel, patrząc błagalnie na Zanaela. Tamten jednak tylko odwzajemnił jego bezradne spojrzenie.

– Chodzi o dziewczynę Wojciecha – wypalił w końcu Matiel. Brwi Wonsaela uniosły się w górę w wyrazie skrajnego zadziwienia.

– O ile mi wiadomo... – zaczął.

– To sprawa z ostatnich dwóch tygodni – kontynuował Matiel. – To moja podopieczna, ma na imię Matylda.

Wonsael odchrząknął, najwyraźniej nie mogąc przejść do porządku dziennego nad tym nagłym zakłóceniem.

– Może to tymczasowe? – zasugerował z nadzieją w głosie. – Pan Wojciech Miśkiewicz jest poważnym człowiekiem, oddanym tylko wydawnictwu i naszej wspólnej pracy...

Matiel nerwowo nastroszył pióra.

– Nie, to bardzo poważne! – zapewnił. – Byli już na dwóch randkach. Kupił czerwone róże.

– Ach tak... – Róże przekonały anioła. Podrapał się po głowie, najwyraźniej nieco zażenowany faktem, że przegapił te dwie randki. – To może być niesprzyjające – mruknął, bardziej do siebie niż do swoich gości. – Nasza praca wymaga tyle uwagi... Ale rozumiem – zwrócił się do Matiela – że przyszlście tutaj, żeby wspólnie znaleźć możliwie najmniej bolesne rozwiązanie problemu?

– Ależ to nie jest problem! – Matiela, który jeszcze tydzień temu zdobyłby się na każde poświęcenie, żeby rozłączyć Matyldę i Wojciecha, teraz był gotów bronić ich miłości własną pierśią. – Chodzi nam właśnie o to, żeby pomóc uczuciu!

– Hmm...? – Wonsael nastroszył wąsy.

– O, tutaj! – Annael, który wreszcie opanował mimowolny chichot, wyjął z rąk Matiela dziewczęcy pamiętnik. – Tu Matylda wypisała przeszkody. Proszę spojrzeć na podkreślenia. – Podsunął Wonsaelowi otwarty zeszyt, jednocześnie pospiesznie zbierając się do wyjścia. I bardzo szybko by uciekł, gdyby Zanael nie zatrzymał go w drzwiach.

– Czy to ma być jakiś żart? – Wonsael obrzucił całą trójkę najmniej przychylnym spojrzeniem, na jakie było go stać. – Czy Niedziela Palmowa pomyliła się wam z prima aprilis? Bo jeśli tak, to może powinienem zgłosić to wyżej...?

– Boże broń! – jęknął przestraszony Matiela. – To autentyczna kartka!

– Matyldzie naprawdę przeszkadzają te wąsy – poparł go nieśmiało Zanael. – Gdybyś mógł tylko...

Mina Wonsaela mówiła jednak wyraźnie, że nic z tego.

– Największa ozdoba mężczyzny! – wykrzyknął. – A wy chcecie, żeby Wojciech Miśkiewicz zgolił wąsy, bo nie podobają się jakiejś smarkuli?

– Matylda nie jest smarkulą! – zaprotestował urażony do głębi Matiela.

– Dojrzałe kobiety – anioł wydawcy wypowiedział te słowa z naciskiem – nie dobierają sobie partnerów na podstawie tabelki z podpunktami. – Żeby podkreślić wymowę tych słów, odrzucił Matielowi pamiętnik takim ruchem, jakim ciska się na podłogę niechciane rękopisy. – Jeśli to coś poważnego, to zobaczymy się na weselu. A teraz przepraszam. – Uśmiechnął się półgębkiem i zaczął grzebać w stosie z ważnymi papierami, dając pozostałym aniołom jednoznacznie do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. – Niedziela to mój wolny dzień – dodał,

wyciągając wygnieciony komiks. O ile Matiel dobrze dostrzegł, wychodząc, anioł stróż wydawcy zamierzał zaczytywać się przygodami Kajka i Kokosza.

## **ROZDZIAŁ 25**

W Niezapominajce było niemal pusto. I dobrze – Zuzanna czuła, że czeka ją trudna rozmowa, a takie jakoś rażniej jest prowadzić bez świadków, nawet przypadkowych. Drugą rzeczą, która ją ucieszyła, był fakt, że Adam jeszcze nie przyszedł. Może w ogóle się nie pojawi? Bez większego namysłu zajęła stolik w rogu, ustawiając się bezpiecznie plecami do ściany. A mimo to miała ochotę uciec, jakby coś wyciągało ją z kafejki. I rzeczywiście tak było: przerażony

rozwojem wypadków Zanael krążył dookoła stolika, nad stolikiem, a nawet pod stolikiem.

– Wyjdź stąd! No już, wychodzimy! Jak mogłaś mi to zrobić?! – biadolił. – O, ja głupi, przez pięć minut byłem gdzie indziej, a tu takie straszne rzeczy się dzieją, wszystko przez moją nieuwagę!

– Gratuluję samokrytycyzmu. – Roztrzęsiony anioł poczuł na swoim ramieniu czyjąś umięśnioną łapę. Spojrzał w górę, prosto w oczy Adaela. Już niemal zdążył zapomnieć, że anioł może mieć takie gabaryty.

– No masz... A gdzie Adam? – spytał z resztkami nadziei.

– Zaraz tu przyjdzie. – Ton Adaela jasno świadczył o tym, że i on niespecjalnie się cieszy z takiego obrotu wypadków. – Lepiej, żebyśmy zdążyli pogadać wcześniej.

– My... Pogadać? – Dopiero teraz Zanael przypomniał sobie te wszystkie rzeczy, które zamierzał wcześniej wygarnąć Adaelowi. Szczególnie jego uparte milczenie w kwestii drugiego życia Adama. Ale w towarzystwie potężnego anioła cała odwaga jakoś go opuściła.

– Tak, pogadajmy – mruknął.

– Adam jest żonaty. Od miesiąca. I niedługo będzie ojcem. – Adael mówił szybko, licząc się z tym, że mają mało czasu. – Wspaniale radzi sobie jako mąż, wygląda na to, że będzie świetnym tatą.

– Taaa – przytaknął niechętnie Zanael.

– Nigdy się nie wtrącam – kontynuował anioł. – Nawet kiedy moja dusza potrzebowała dużo czasu, żeby podjąć decyzję. Ale skoro ta decyzja już została podjęta... – Zawiesił głos.

– Czyli obu nam zależy, żeby Adam nie nagiął małżeńskiej przysięgi? – upewnił się Zanael. Adael zrobił poważną minę i ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Świetnie! Pomóż mi w takim razie, zabieramy ją stąd! – Zanael złapał Zuzę za prawą rękę. – Bierz z drugiej strony i ciągniemy razem!

– No coś ty, przecież się zorientuje... – zaprotestował Adael. Ale i tak było już za późno. Drzwi Niezapominajki otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. Nie ulegało wątpliwości, że stojący w nich mężczyzna przynajmniej przez kawałek drogi musiał biec.

– Zuzanna! Jeszcze jesteś! – wykrzyknął, podbiegając do stolika, jakby naprawdę myślał, że trzy minuty spóźnienia mogą przekreślić spotkanie. Zanael spojrzał na Adaela i popukał się w czoło. Jednak wyglądało na to, że Zuzanna nie zwróciła uwagi na sztuczność całej sceny. Jak zawsze. Adam, nie zdejmując nawet płaszcza, usiadł naprzeciwko niej i dramatycznym ruchem ręki oddalił podchodzącą kelnerkę.

– Tak dawno cię nie widziałem – powiedział, nachylając się nad stolikiem i spoglądając prosto w oczy dziewczyny. Zuzanna zmartwiała, nie wiedząc, co

odpowiedzieć. Podejrzewała, że trudno jej będzie opanować emocje na widok dawnego ukochanego, ale nie sądziła, że nie będzie w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Jasne włosy Adama były poczochrane, na twarzy, zawsze gładko ogolonej, widniał wczorajszy zarost. Nie odbierało mu to uroku, wprost przeciwnie. Zacisnęła drżące dłonie na kolanach.

– Ale sam jestem sobie winien – kontynuował Adam. Już nie patrzył jej w oczy. Oparł głowę na ręce i wpatrywał się z rozpaczą w stojący na stoliku bukietik stokrotek. Mężczyzna wyglądał tak smutno, że Zuzanna poczuła irracjonalną potrzebę, żeby natychmiast go pocieszyć. – To ja przekreśliłem wszystko – oznajmił. – Chciałbym ci opowiedzieć o tym, co się stało, ale nawet nie wiem, od czego zacząć... Tak bardzo cię przepraszam, nawet nie liczę na to, że mogłabyś mi kiedykolwiek wybaczyć. Ale czy chociaż mnie wysłuchasz?

– Nie, nie i nie! – wydarł się Zanael, prosto do ucha Zuzanny. – Nie chcesz tego słuchać! Wychodzimy! Już!

Ale wbrew jego najlepszym chęciom dziewczyna bąknęła ciche:

– Tak.

Adam nie potrzebował większej zachęty.

– Musisz wiedzieć, że tylko ty się dla mnie liczyłaś, zawsze. I nasza miłość – powiedział. – Wiem, że teraz w to nie wierzysz. Tak naprawdę... Jestem po prostu tchórzem. Nasze rodziny... Moja i Anety... Od zawsze się przyjaźniły, chcieli mnie zeswatać z Anetą już od lat, ale nigdy nic się między nami nie działo, rozumiesz, żadnej chemii. – Zuzanna natychmiast wychwyciła, jakim tonem wymówił imię swojej żony: Aneta... Jakby to była niezbyt lubiana koleżanka, ktoś niemal obojętny. Tymczasem Adam mówił dalej. – To był błąd, nigdy sobie nie wybaczę... Jeden wieczór, rozumiesz. Aneta nie miała z kim iść na tańce, nasi rodzice poprosili, żebym się z nią wybrał. Powinienem był odmówić, ale ostatecznie, co to takiego, odprowadzić sąsiadkę na dyskotekę i pilnować, żeby nikt jej nie zaczepiał? Potem do mnie dotarło, że wszystko było zaplanowane, a ja dałem się podejść, jak dziecko... Nawet nie wiem, jak to się stało.

– Jak co się stało? – przerwała Zuzanna, chociaż doskonale wiedziała, o czym Adam mówi.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie powinienem był pić. Wiesz, że prawie nigdy nie piję. Jest taka granica... Kiedy zaczynasz tracić kontrolę. Wiesz, że trzeba odmówić, ale nie potrafisz już racjonalnie ocenić sytuacji. Byłem takim idiotą, dałem się uwieść, a ona była... bardzo bezpośrednia. – Umilkł, jakby już powiedział za dużo. Zuzanna poczuła, że za chwilę wybuchnie płaczem. Zacisnęła zęby, ale przed oczami widziała Anetę w krótkiej spódniczce i kozaczkach, owiniętą wokół swojego narzeczonego. Gdzie? Pod ścianą na wiejskiej dyskotekce? W łazience? Na polach za Jagodnem? Nie chciała pytać.

– To był dla mnie szok. Miesiąc później powiedziała, że jest w ciąży. Po prostu przyszła do nas, na rodzinny obiad, i powiedziała, że spodziewamy się dziecka. Przy całej naszej rodzinie. Ojciec głośno nam pogratulował, ale potem, kiedy zostaliśmy sami, wpadł w szal. Dla wszystkich było oczywiste, że musimy się pobrać, i to zaraz. Nie chciałem się na to zgodzić...

– Ale dziecko...? – odpowiedziała Zuza.

– Dziecko też zasługuje, żeby mieć kochających się rodziców, nie z przypadku... To mój ojciec powiedział, że wyrzuci mnie na bruk, jeśli przyniosę wstyd rodzinie, że będę skończony. Nie zapisze mi firmy... A co ja mam, poza jego firmą? – Podniósł dłoń do oczu, jakby chciał otrzeć zabląkaną łzę. Ale oczy miał suche. Malował się w nich gniew. Zuza wywnioskowała, że mężczyzna jest wściekły na samego siebie. – Nie wiedziałem, co zrobię, co my zrobimy, przecież nie taką przyszłość sobie wymarzyliśmy, bez pieniędzy, bez perspektyw, bez mieszkania, i jeszcze z cudzym dzieckiem na boku, nawet nie miałem odwagi pytać, czy mogłabyś mi to kiedykolwiek wybaczyć... Wiedziałem, że nie, przecież ty jesteś taką dobrą, taką uczciwą dziewczyną, z zasadami – powiedział, uprzedzając jakąkolwiek odpowiedź z jej strony. – Teraz też nie proszę cię o wybaczenie, wiem, że to niemożliwe. Mogę winić tylko siebie. Ale chciałem... żebyś zrozumiała, zanim naprawdę się rozstaniemy – dokończył.

Zuza siedziała nieruchoma, jakby zmieniła się we własną figurę z wosku. Była też równie blada.

– Naprawdę tak się zdarzyło? Przez ten jeden wieczór? To tragiczne... – Zanael spojrział na Adaela.

– Też mu uwierzyłeś? – Anioł patrzył z dezaprobatą na powierzoną mu duszę. Adam siedział właśnie ze zwieszoną głową, obraz nędzy, rozpacz i ludzkiej krzywdy.

– To nie był jeden wieczór?

Adael pokręcił głową nad anielską niewinnością kolegi.

– Jeden wieczór tu, jeden wieczór tam... – mruknął. – No, trochę prawdy w tym jest – dopowiedział głośniejszym głosem. – Jego rodzice rzeczywiście lubią Anetkę.

– Uch – stęknął Zanael. Zuzanna nie miała jednak z kim skonsultować opowieści Adama. Chyba że z własnym zdrowym rozsądkiem. Anioł zadrżał, obawiając się wyników takiej konfrontacji. Pół godziny, które jego podopieczna zamierzała spędzić w kawiarni, właśnie dobiegło końca, ale nie wyglądało na to, żeby Zuzanna pamiętała, że powinna już wstać i wyjść.

## ROZDZIAŁ 26

– Zaiste, lany poniedziałek jak nic – mruknął Annael, wyglądając za okno. W jego głosie słychać jednak było zadowolenie. Deszcz sprawił, że delikatna zieleń drzew nabrała głębszych odcieni i niemal było słychać, jak rośliny łapczywie spijają ofiarowaną im wodę. Szczególnie mlecze: cały trawnik pod blokiem był aż żółty od mleczy.

Anioły zebrały się w pokoju Anki. Milej byłoby posiedzieć w jakimś mniej zabałaganionym miejscu, ale Annael bał się spuścić swoją podopieczną z oka. Anna siedziała pochylona nad laptopem i zawzięcie stukwała w klawiaturę. Anioł odwrócił wzrok od zieleni za oknem, żeby rzucić okiem na ekran komputera. Dziewczyna zalogowała się właśnie na kolejnym portalu z ofertami pracy i przeglądała ogłoszenia.

– Ten komputer mnie wykończy – jęknął. – Ona nawet w święta zajmuje się pierdołami. Tak przecież nie wolno! Wiecie, że idąc z koszykiem do kościoła, zabrała ze sobą komórkę? Pisanki, baranek z cukru, chleb i komórka, bo może akurat jakiś zbzikowany ateista postanowi przyjąć ją do pracy w Wielką Sobotę! A w samą Wielkanoc, zamiast raz do roku się zadumać, ona poprawia zdjęcia na komputerze, żeby mieć jeszcze ładniejsze w CV. A mnie boli już głowa i miga mi w oczach od tego ekranu. Komputer promieniuje, jakbyście zapomnieli – dodał takim tonem, jakby koledzy byli współwinni jego nieszczęściu.

– Może jej odpuścisz? – Matiel wyciągnął się na kanapie, nie zważając na to, że leży na dziewczęcych ciuchach, a pod łokciem ma koronkowy stanik z push-upem. – Niech ją wreszcie ktoś zatrudni. Chyba nauczyła się czegoś przez te cztery miesiące?



– O nie! – Annael podniósł ręce do góry w obronnym geście. – To najgorsze, co mogłoby się teraz stać! Ona przecież świata nie widzi poza szukaniem pracy. Wielkanoc, najważniejsze dni w roku, a moja dusza pisze listy motywacyjne...

– Zgroza – przytaknął Matiel, zadowolony po cichu, że Matylda spędza święta jak należy, a do tego poza Warszawą, z rodzicami.

– Niechby trochę odpuściła, to sam bym jej coś podsunął, poważnie – mówił dalej Annael. – Ale ona wyobraziła sobie, że znalezienie jakiegokolwiek zatrudnienia jest jej życiowym celem. I co gorsza uważa, że odniesie sukces własną ciężką pracą. Jeśli ktoś ją teraz zatrudni, to dziewczyna tylko mi się utwierdzi w tym głupim przekonaniu i cały mój trud wychowawczy diabli wezmą. Przepraszam – dodał, zdając sobie sprawę, że okropnie przeklął. – To przez ten komputer z internetem. Zupełnie mnie wykańcza.

– Ta technika. – Matiel pokiwał ze zrozumieniem głową. – Mnie raz o mało nie wykończył nerwowo telefon komórkowy Matyldy.

– Tak, telefony komórkowe! – Zanael, zalegający bez ruchu na szerokim parapecie, niespodziewanie włączył się do rozmowy. – Spaliłbym je wszystkie na stosie.

– Czasem są przydatne – zaprotestował Matiel. – Na przykład Matylda i Wojciech przesyłają sobie ostatnio różne fragmenty wierszy, wiecie?

– Pewnie o miłości, co?

Matiel udał, że nie słyszy rozbawienia w głosie Annaela.

– Nie, no coś ty... To znaczy, przynajmniej nie tylko – przyznał po krótkim namyśle.

– Wszystko się sprowadza do miłości. – Grobowym tonem oznajmił Zanael. Pozostała dwójka spojrzała na niego badawczo. Annael trochę zezował, jednym okiem cały czas patrząc na laptop.

– Nie martw się – pocieszył go Matiel – przecież Zuza już nigdy więcej nie spotka się z Adamem, sam mówiłeś, że oficjalnie to ustalili.

– No tak – bąknął anioł bez przekonania. Spotkanie Zuzy z jej byłym narzeczonym skończyło się dosyć niespodziewanie. Adam jeszcze parę razy przeprosił Zuzannę i podkreślił, że nie oczekuje od niej przebaczenia. Złożył też szczegółową samokrytykę, oceniając, jak niewiele on sam jest wart w porównaniu ze swoją byłą narzeczoną. Zuza jest wspaniała, dobra i mądra i zasługuje na to, by być szczęśliwą. On... No, co tu dużo mówić. Nie sprawdził się jako człowiek ani jako mężczyzna, zrujnował ich miłość, a przy okazji własne życie. To również powtórzył wielokrotnie, jakby dziewczyna mogła nie zrozumieć za pierwszym razem. Na koniec uznał autorytatywnie, że najlepiej będzie dla Zuzanny, jeśli już nigdy więcej się nie spotkają. Niech Zuza już o nim nie pamięta – wystarczy, że on sam nie zapomni ani jednej spędzonej wspólnie chwili. I tak jak przyszedł, tak samo pospiesznie wybiegł z kawiarni.

Zuza właściwie nie miała okazji powiedzieć, co o tym wszystkim sądzi. Skołowany anioł stróż też nie był pewien, czy powinien się cieszyć, czy martwić. Jedno wiedział na pewno: to wyreżyserowane przez Adama ostateczne rozstanie nie wpłynęło za dobrze na Zuzę. Raczej odniósł wrażenie, że ten cały koszmar, z którym zdążyli już sobie poradzić, przypelzł z powrotem i zakradł się tylnymi drzwiami. Jakim egoistą musi być Adam! Jakby sprawiało mu satysfakcję, że Zuza dalej będzie siedzieć i rozpamiętywać ich związek. Bo chyba o to mu chodziło? Czy jednak nie? Adael też nie wiedział, chociaż wyraźnie był zawstydzony zachowaniem Adama. Oba anioły zdążyły jeszcze chwilę porozmawiać, kiedy mężczyzna już sobie poszedł, a Zuza niespiesznie dopijała cappuccino, które zmieniło się tymczasem w kawę na zimno.

– Pewnie już się nie spotkają – powtórzył Zanael głośno, ale to stwierdzenie nie dodało mu otuchy.

– Naprawdę mam tego dosyć! – jęknął tymczasem Annael. Znów stał pochylony nad Anką i laptopem. – Po co ty to wysyłasz? No po co? Znowu będę cały dzień i przez pół nocy kasował te głupie...

– Zrób tak – przerwał mu Matiel, podchodząc do laptopa z drugiej strony. – O, i po kłopotcie – powiedział, przeciągając ręką nad urządzeniem.

– To było brutalne. – Annael zrobił wielkie oczy. Jeszcze większe były oczy Anki, wpatrzonych w komputer, który nagle zrobił głośne „puf!” i najwyraźniej się wyłączył.

– Może brutalne, ale rozsądne – pochwalił sam siebie Matiel. – I tak już zmarnowaliście prawie całe święta na te przepychanki.

– Już nie pada, możemy iść na wiosenny spacer – podrzucił Zanael, wstając z parapetu. – Ja naprawdę potrzebuję świeżego powietrza.

– Ale... – Annael rzucił niepewne spojrzenie Ance.

– No chodź, może ona też się ruszy. I weź ze sobą ten ogon od komputera. – Matiel wcisnął mu do ręki kabel.

– Mhm. – Annael rzucił koledze długie spojrzenie, niepozabawione cienia szacunku. Matiel czasem potrafił go naprawdę zaskoczyć.

Wpatrzona w czarny ekran Anka również czuła się zaskoczona. Chociaż wcale nie pozytywnie. Nie zdążyła wysłać ani jednego maila, nie zapisała pracowicie wklepywanych listów ani zmian w CV. Praca całego poranka poszła na marne. Niech to! Zirytowana nacisnęła kilkakrotnie przycisk zasilania, ale laptop ani myślał się uruchomić. Padła mu bateria? Gdzie ona odłożyła przewód? Nieświadoma, że kabel od laptopa poszedł na spacer razem z aniołami, wpełzła pod biurko. Leżały tam tylko niezbyt świeże ciuchy, opakowanie po landrynkach, butelka wody mineralnej i wyrwany z jakiegoś czasopisma artykuł o tym, że priorytetem w życiu kobiety jest odniesienie zawodowego sukcesu. Kabla jednak

w tym bałaganie nie było. Czy w tym mieszkaniu wszystko musi się gubić? Jak te nieszczęsne amerykańskie spławiki, które ojciec znalazł w końcu w pawlaczu. Po tym, jak ich tymczasowa nieobecność zdążyła zrujnować jej życie. Dziewczyna usiadła na podłodze, opierając się plecami o biurko. Nic się nie udawało, nic. Od połowy stycznia wysyła maile jak głupia, ale nie zaproszono jej na ani jedną rozmowę kwalifikacyjną. Ani jedną! Cóż za imponujący wynik! Przepracowała za to cały dzień w Cytrynce. Trudno to uznać za krok naprzód, ostatecznie nie zyskała nic poza mizerną wypłatą i zrujnowaną opinią u co bardziej liczących się znajomych. Pieniądze i tak poszły w większej części na książkę o tym, jak napisać doskonale CV i na tabletki przeciwbólowe, bo ostatnio ciągle dręczyły ją bóle głowy. Oczywiście, to ze stresu. Zniechęcona, wyciągnęła się na podłodze i wbiła wzrok w sufit. Do dupy to wszystko. Powinna była zacząć szukać pracy zaraz po maturze, zamiast studiować polonistykę. Może do dzisiaj już by jakąś znalazła. A tak leży na dywanie z wyższym wykształceniem i z brakiem jakichkolwiek perspektyw. I bez kabla do komputera.

Zupełnie inaczej wyglądała tegoroczna Wielkanoc u Zuzanny. Rodzina Jezierskich wyznawała zasadę, że jakiegokolwiek odstępstwo od tradycji mogłoby zaburzyć porządek świata. Coś jak w starożytnym Egipcie – Nil by nie wylał i nie nawodnił pól, gdyby nie odprawiono właściwych rytuałów. I tak u Jezierskich co roku pani Anita, pełna werwy, lukrowała mazurki, a Zygmunt z poświęceniem zabawiał gości, nawet tych najstarszych i najbardziej upierdliwych; Zuzie przypadło w udziale farbowanie pisanek w wywarze z łupin cebuli.

Poniedziałek Wielkanocy odwiecznie stanowił drugi dzień hucznego rodzinnego świętowania. Przy stole siedziała babcia Zuzy, druga babcia, dziadek, brat dziadka i jego druga żona, a także dwóch wujków ze strony mamy (z małżonkami i potomstwem). Prababkę, owiniętą w kraciasty koc, usadzono uroczyście w fotelu. Na długo przed pozostałymi gośćmi przyjechała też siostra ojca, ciotka Izabela, przywożąc ze sobą piątkę kotów. Piątkę! Przetransportowała je samochodem w pięciu podróжных klatkach.

Świąteczne śniadanie trwało w najlepsze i stopniowo zbliżała się pora świątecznego obiadu. Zuza nie mogła jednak narzekać na to, że nudzi się przy stole. Całe kocie towarzystwo rozbiegło się po mieszkaniu, polując na co apetyczniejsze rośliny doniczkowe, a jedna szczególnie niesympatyczna szara kotka zdążyła już narzygać na dywan. Podróżne klatki, każda z ręcznie uszytą poduszeczką w środku, stały w przedpokoju, częściowo blokując przejście, i od czasu do czasu któryś z gości na nie wpadał. Zamknięty w drugim pokoju Raster ani na chwilę nie przestawał szczeleć. Wyglądało na to, że święta Zuzy upłyną pod znakiem łapania kotów i szorowania dywanu mokrą szmatką. Bardzo chciała sama zamknąć się w pokoju i poujadać razem z psem, no ale po prostu nie wypadało.

– Nie mogłam ich zostawić, tych moich maluchów, kotków kochanych, moich ślicznych dzieciaczków – ćwierkała tymczasem ciotka Izabela, pochylona nad szarą koteczką, która przyszła się chyba poskarżyć na złe samopoczucie. Zygmunt pokiwał głową ze zrozumieniem, drapiąc za uchem małego czarnego kociaka. Jego siostra była wysoką, korpulentną kobietą, starszą od niego, chociaż w odczuciu reszty rodziny często zachowywała się jakby miała trzynaście lat i tata Zuzy w pełni zgadzał się z tą diagnozą. Krótkie kręcone włosy Izabeli w tym roku miały kolor ciemnego granatu, a w jej uszach tkwiły wielkie kolczyki z perłami.

– Nie wiedzieliśmy, że masz już całą piątkę – powiedział Zygmunt łagodnym tonem, zarezerwowanym do rozmów z małymi dziećmi i z siostrą.

– O, to dopiero początek, po świętach przychodzą do mnie dwa następne dzieciaczki, śliczne koteczki, obie rude, jak lisiczki... – Izabela uśmiechnęła się, uszczęśliwiona. – Zakładamy z Helenką coś w rodzaju rodzinnego domu kota. To będzie taka fundacja...

– Aha. – Tata Zuzy nie okazał ani zaskoczenia, ani zainteresowania.

– Moglibyście przyjechać latem, na tych waszych harleyach... – mówiła tymczasem ciotka. Zuzanna słuchała tego jednym uchem. – Tam są takie fantastyczne tereny, a my organizujemy festiwal, burmistrz zgodził się objąć patronatem naszą inicjatywę...

Dziewczyna wstała z podłogi i trzymając w wyciągniętej ręce mokrą ścierkę, wymknęła się do łazienki, myśląc o biednym burmistrzu, najpewniej zagadany przez Izabelę na śmierć. Ciotka była trochę szalona. I zawsze musiała coś organizować, z niegasnącym przekonaniem, że uczyni świat lepszym miejscem.

Kiedy dziewczyna wyszła po dziesięciu minutach, Izabela nadal mówiła. Słyszając własne imię, Zuza zatrzymała się wpół kroku.

– No to niech Zuziaczek też przyjedzie! – wykrzykiwała ciotka. – Nic tak nie leczy złamanego serca jak świeże powietrze. A nam by się przydała pomoc przy naszej fundacji, zwłaszcza w wakacje, jak już cała inicjatywa ruszy z kopyta. Tyle nieszczęśliwych kotków, którymi można się zająć, trzeba pochodzić z ulotkami, porozmawiać z ludźmi, bo nie wszyscy od razu rozumieją, o co nam chodzi, a taka miła dziewczynka jak Zuzka toby ich w mig przekonała... Prawda, dzieciaki? – Ostatnia kwestia chyba skierowana była do kotów. Ale Zuzanna nie była pewna, bo zawróciła i przerażona zamknęła się w toalecie. Jeszcze tego brakowało, żeby szalona ciotka leczyła jej złamane serce! Poza tym, jakie ciocia Iza mogła mieć pojęcie o miłości, skoro nigdy nie miała męża? Odkąd Zuza pamiętała, Izabela mieszkała w podwarszawskim Milanówku, w wielkim domu pełnym kotów, i nieustannie zapraszała wszystkich do siebie. Zuzanna westchnęła i była gotowa pograć się w niewesołych myślach, ale któreś z dzieci zaczęło nieśmiało stukać w drzwi łazienki. Ten cały rozgardiasz miał tylko jeden plus: niemal nie miała czasu na myślenie o spotkaniu z byłym narzeczonym. Chociaż nie mogła pozbyć

się wrażenia, że ostatnie wydarzenia nie dają jej spokoju, jakby cierpiała na lekki, ale za to permanentny ból głowy.

## **ROZDZIAŁ 27**

Wojciech Miśkiewicz, poważny wydawca i zatwardziały stary kawaler, stał na przystanku autobusowym, ściskając w ręku mały bukiet niezapominajek. I czuł się równie stremowany, jak przed swoją pierwszą randką, kiedy to ćwierć wieku temu zaprosił koleżankę z klasy na lody, a ona, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zgodziła się z nim pójść. Ale nawet te wspomnienia z czasów, kiedy świat był młodszy i piękniejszy, blakły wobec terażniejszości. Matylda! Wojciech przez całe życie był niepoprawnym idealistą. Marzył o kobietach niezwykłych jak dziewczęta z obrazów Waterhouse'a, tajemniczych jak twarze greckich posągów, zwiewnych i nieziemskich, jakby zstąpiły z fresków Boticcellego... Ulotnych jak tancerki Degasa, owianych tajemnicą, nieziemskich. Pierwsze spotkanie z taką boginią powinno być objawieniem, a każde następne pogłębiać porozumienie dusz. Tak, Wojtek był romantykiem, a co gorsza, miał też zadatki na mistyka. Nic dziwnego, że wszystkie jego związki z kobietami ostatecznie rozbijały się o codzienność, a wszystkie dziewczęta, którym dedykował wiersze, ukazywały w końcu przyziemną i materialną stronę. Albo odchodziły wcześniej, pozostawiając go z marzeniami. Matylda, ona pierwsza całkowicie skradła jego serce. I to pomimo że

spotkanie w supermarkecie było zwyczajne i raczej śmieszne niż podniosłe. A jednak ta szczególna kobieta sprawiała, że rzeczywistość nabierała blasku i nic już nie było zwyczajne. Szczególnie niezwykajny okazał się poprzedni wieczór. Wojtek odebrał Matyldę z popołudniowych zajęć, wybrali się do małej knajpki z chińskim jedzeniem, a potem krążyli bez celu po Warszawie, pochłonięci rozmową. W końcu zagubili się gdzieś na Mokotowie i wtedy Matylda wypatrzyła pusty plac zabaw. Zakradli się tam, przechodząc przez ogrodzenie i ignorując tabliczkę z zakazem wstępu dla dorosłych. I faktycznie, na dobre pół godziny zapomnieli, że są dorośli. Wspięli się na drabinki, zjechali ze zjeżdżalni, Matylda koniecznie chciała wypróbować huśtawkę, więc Wojtek zaoferował, że ją rozbują. Dziewczyna piszczała głośno i mężczyzna podskórnie obawiał się, że za chwilę z któregoś z okien wyjrzy jakaś potężna matrona i przegoni ich z placu. Ale tak się nie stało i w końcu, zdyszani i rozbawieni, ukryli się w domku na szczycie drabinek. Wojtek objął dziewczynę ramieniem, a ona oparła mu głowę na piersi i razem patrzyli na gałęzie kasztanowców, rysujące się na tle nocnego nieba, i na światełka w oknach bloków. Mężczyzna nie był pewien, które z nich poruszyło się pierwsze, ale wydawało mu się, że doskonale pamięta moment, w którym się pocałowali. Wciąż zaskakiwało go znaczenie tamtej chwili, poczucie, że wszystko w świecie delikatnie drgnęło, zmieniając swoje miejsce, i kiedy znów przechodzili nad ogrodzeniem, znajdowali się już w innej rzeczywistości. Mógł tylko mieć nadzieję, że Matylda odebrała tamtą chwilę podobnie, bo z drugiej strony, oboje dawno byli w tym wieku, w którym romantyczny pocałunek na placu zabaw może tak naprawdę nie mieć żadnego znaczenia.

W tym samym czasie autobus z Matyldą jechał sobie powolutku od przystanku przy uniwersytecie. Dziewczyna wyjęła z torby puderniczkę i próbowała zamaskować rumieńce. Bezskutecznie. Może powinna zaczesać włosy na twarz? Od paru tygodni usiłowała uporządkować swoje uczucia. Była już chyba na dobrej drodze, chociaż może nie... Zanim zdołała opracować optymalną strategię postępowania, niepodziewanie dla niej wszystko przyspieszyło. Jakby jakaś część Matyldy wcale nie chciała czekać aż ta druga, racjonalnie myśląca, przeanalizuje sytuację.

Jeszcze nie przywykła do tego, że nie jest sama, że w jej życie niespodziewanie wkroczył mężczyzna, burząc ustalony porządek. A jednocześnie przy Wojtku czuła się tak naturalnie, jakby ten stan rzeczy trwał od zawsze. Spotkania z nim nie przypominały tych niezręcznych pierwszych randek, kiedy ludzie nie wiedzą co powiedzieć i nieporadnie usiłują zrobić na sobie nawzajem jak najlepsze wrażenie, ewentualnie czują się znudzeni i próbują elegancko zakończyć spotkanie. Nie musiała stosować żadnych opisanych przez Ankę sztuczek, nie musiała udawać atrakcyjniejszej ani inteligentniejszej; nawet o tym nie pomyślała.

To chyba o czymś świadczyło, prawda? I pewnie zdarzyłoby się wcześniej – pomyślała, wracając pamięcią do wieczoru na placu zabaw. Gdyby tylko Matylda od razu zauważyła, jakim człowiekiem jest Wojtek. Ale ona cały czas miała w głowie obraz poważnego wydawcy, wygłaszającego mało zrozumiałą prelekcję. Łatwo było uznać go za przybysza z innej planety, wypełnionej zakurzonymi książkami. Matylda musiała mieć wrażenie, że spotykając się z Wojtkiem, popełnia coś w rodzaju współczesnego megaliansu. Jak to będzie wyglądało, kiedy przyprowadzi swoją pierwszą prawdziwą miłość na rodzinny obiad? Albo wybierze się razem z Wojtkiem na studencką imprezę? Podejrzewała, że wszyscy będą o tym rozmawiać. Matylda wreszcie ma chłopaka – ale on jest piętnaście lat starszy! Obliczała różnicę wieku między nimi wielokrotnie, ale nie udało jej się uzyskać innego wyniku. Piętnaście lat! Widział na własne oczy hipisów i wprowadzenie stanu wojennego. A co powie jej mama albo koleżanki? Zwłaszcza Anka – Matylda cały czas miała w pamięci uwagę o tych wąsach, które muszą strasznie przeszkadzać przy całowaniu. Wspomnienie tych słów nieprzyjemnie nakładało się na wieczór na placu zabaw, stanowiąc rysę na idealnym obrazie. A przecież to Anka miała braki w edukacji – wąsy w niczym nie przeszkadzały. No i Matylda nie zdążyła nic zrobić z rumieńcami, bo autobus zatrzymał się na przystanku.

W tym samym czasie, kiedy Matylda witała się z Wojtkiem, Zuzanna stała w najnudniejszej na świecie kolejce do kasy. W Cytrynce znowu urządzono jakiś tydzień szalonych promocji czy coś podobnego i nieduży supermarket był po brzegi wypełniony ludźmi. I co z tego, że miała w koszyku tylko puszkę groszku? I tak musiała stanąć na końcu wężyka. Żałowała, że nie zabrała ze sobą czegoś do czytania i rzucała tęskne spojrzenia w stronę wystawionych przy wejściu powieści dla kobiet. Może zostawi na chwilę koszyk i kupi sobie książkę? Pewnie nawet zdążyłaby przeczytać parę rozdziałów, zanim...

– Zuza? – Podskoczyła, natychmiast rozpoznając ten głos. Nie bacząc na spojrzenia stojących za Zuzanną ludzi, Adam wsunął się zręcznie między dziewczynę a resztę kolejki.

– Nie mogę uwierzyć, że się spotykamy – powiedział, podczas gdy dziewczyna patrzyła na niego osłupiała. Jakby zobaczyła ducha. Co on tutaj robił?

– Cześć. – Sama się zdziwiła, że udało jej się cokolwiek powiedzieć. – Robisz tu zakupy?

Adam uśmiechnął się nieśmiało do swojego koszyka. Wypełniały go chińskie zupki.

– Zostaję na weekend w mieście. – Pobujał lekko zupkami. – Jakoś tak wyszło.

– Aha. – Zuza skinęła głową. Dopiero po chwili dotarło do niej, co to znaczy. Świeżo poślubiony małżonek spędza weekend z dala od rodzinnego

gniazdka.

– Coś jest nie w porządku? – zapytała ostrożnie, siląc się na neutralny ton.

– Nic nie może być w porządku. – Mężczyzna posłał jej krótkie, smutne spojrzenie, po czym szybko opuścił wzrok. – Nigdy już nie będzie – powiedział szeptem, na granicy słyszalności. – A co u ciebie? – zapytał po dłuższej chwili, już normalnym głosem.

Zuza spojrzała przed siebie. Kolejka nadal wydawała się nieskończona.

– Nic szczególnego – mruknęła.

– Niemożliwe, u ciebie zawsze tyle się działo. Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o wszystkim? O rodzinie, o koleżankach, czy nawet o tym, co widziałaś, idąc na uczelnię? O tych liściach, które cię goniły? Albo o słoniu?

Zuza drgnęła, przypominając sobie odległe już obrazki. Jesienny wiatr miotający liśćmi, mały słonik, którego jakieś dziecko narysowało na chodniku. Kiedyś lubiła zapamiętywać takie rzeczy, tylko po to, żeby opowiedzieć o nich Adamowi. Kolekcjonowała je po to, żeby mu o nich opowiedzieć. Ale po co teraz to wspominać? Chyba się bała, że jeśli teraz podzieli się z byłym narzeczonym jakimkolwiek drobiazgiem, to ta rzecz zacznie jej się z nim kojarzyć. Jakby Adam zyskał moc zepsucia wszystkiego, każdego wydarzenia z życia Zuzy, każdego uczucia czy myśli, którą mogłaby mu nieroztropnie powierzyć. O, co to, to nie.

– Naprawdę nic specjalnego się nie dzieje – powiedziała zamiast tego.

– To takie dziwne, że znowu się spotykamy – odparł, niezrażony. – Po tym, jak obiecałem sobie, że na zawsze zniknę z twojego życia. To takie... Jakby ostatni prezent od losu. Coś, co będę mógł zapamiętać.

Zuzanna poczuła, że cała się czerwieni. Jakby tego było mało, Adam nieśmiało podniósł rękę i odgarnął z jej policzka kosmyk włosów. Równie dobrze mógł porazić ją prądem.

– Taka ładna para. – Usłyszała za plecami. Któraś z kobiet opacznie zrozumiała całą scenę. – Gołąbeczki takie.

– Dlaczego... Dlaczego zostajesz na weekend? – zapytała dziewczyna, odsuwając się lekko.

Mężczyzna chyba czekał na to pytanie.

– No wiesz, tak się dzieje, kiedy ludzie pobierają się... Jakby z obowiązku. – Pokręcił głową. – Nie ma zresztą potrzeby, żebym cały czas był tam na miejscu. Wystarczy, że dużo zarabiam, jest na ciuchy, kosmetyki, takie tam. Możesz się domyślić – dodał porozumiewawczym tonem, jakby jego żona była ich wspólną, niezbyt lubianą kumpelą. Zuzanna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chyba nie powinni tak rozmawiać. Ale to przecież była jego żona, to on ją obrażał. No i pewnie słusznie.

– I co będziesz robił? – zapytała. To chyba też nie było najszcześniejsze pytanie. Mogło sugerować, że Zuza chce się z nim jeszcze zobaczyć. Ale Adam



zaczął opowiadać o kolegach i o swojej pracy. Mówił takim tonem, jakby jego życie zupełnie już go nie zajmowało, ale nie zaproponował Zuzie spotkania, czego ta po cichu się obawiała. Kolejka przesuwiała się powoli, ale w końcu dziewczyna mogła wyłożyć swoją puszkę groszku na taśmę i zapłacić za zakupy. Adam chyba nie oczekiwał, że na niego zaczeka? Czy oczekiwał? Przeszła dwa kroki, nie odwracając się, ale potem, trochę wbrew sobie, zatrzymała się przed wyjściem. Nic się nie stanie, jeśli pożyczą sobie jeszcze miłego weekendu. Chyba nic.

– Mieszkam niedaleko, chcesz zobaczyć? – Wojtek uśmiechnął się do Matyldy. Trochę nieśmiało. Za każdym razem wydawało jej się urocze, że taki poważny facet może się tak uśmiechać.

– Pewnie! – odpowiedziała, po czym dopiero dotarł do niej sens pytania. Mężczyzna nie pytał, czy Matylda chce sobie obejrzeć z zewnątrz jego blok. On zapraszał ją do środka.

– To znaczy... – zająknęła się, zastanawiając gorączkowo, czy nie obiecała właśnie zbyt wiele. Ale teraz już głupio było zmienić zdanie.

– Coś jest nie tak?

– Nie, nie, w porządku – uśmiechnęła się krzepiąco, bo Wojciech wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany niż ona. Zamknęła na chwilę oczy, kiedy jej chłopak – bo bez wątpienia byli już parą – przekręcał klucz w drzwiach wejściowych. Co ona najlepszego wyprawia? A jeśli teraz wydarzenia przyspieszą jeszcze bardziej? Przecież zupełnie nie jest na to gotowa! A jak się zbłąźni? W jakiś śmieszny sposób, o którym jeszcze nie ma pojęcia? Przez chwilę w głowie Matyldy zaświtała irracjonalna myśl, żeby zadzwonić do Anki albo do Zuzy. Ale chyba było za późno. Może nic się nie zdarzy. Zresztą, jest czwarta po południu. To neutralna godzina. Może powinna mniej myśleć. Zorientowała się, że stoją już w windzie, każde przyklejone do swojej ściany. Wojciech nerwowo skubał wąs i Matylda westchnęła. Bez wątpienia oszalała na punkcie tego faceta, ale skubanie wąsów było w pierwszej dekadzie najmniej atrakcyjnych rzeczy na świecie. Czemu mężczyzna jej marzeń musiał mieć na twarzy taki wiecheć? Czy naprawdę świat by się zawalił, gdyby chodził po nim chociaż ten jeden jedyny facet pozbawiony wad?

– Proszę. – Nieświadomy jej rozterek Wojtek otworzył przed Matyldą drzwi. – Mam nadzieję, że ci się spodoba...

– Czy to jest...? – Matylda stanęła w przedpokoju, zaskoczona. Mieszkanie było całkiem duże i przyjemnie, chociaż spartańsko urządzone, ale w tej chwili nie zwróciła większej uwagi na wystrój. Drzwi między korytarzykiem a salonem były wymontowane, a pod framugą, na dwóch kawałkach sznurka, wisiała pomalowana na zielono deseczka. Wszystko razem wyglądało na solidną, ręczną robotę.

– Huśtawka! – oznajmił mężczyzna z dumą. Uśmiechał się z satysfakcją,

która nie pozostawiała żadnych złudzeń odnośnie tego, kto przywiesił deseczkę. Matylda patrzyła wielkimi oczami to na niego, to na huśtawkę. – Chciałem, żebyś miała tu coś swojego, huśtawka jest dobra na początek – dodał, a dziewczyna, niewiele myśląc, rzuciła mu się na szyję.

Jak mogła być taka głupia! Spodziewała się nie wiadomo czego, a Wojtek chciał zrobić jej niespodziankę – i to jaką! Nic równie romantycznego nie przyszłoby jej do głowy, nigdy przenigdy...

## ROZDZIAŁ 28

– Zrób coś!

– Nie, to ty coś zrób! To twój świeżo upieczony mąż!

– Ale to twoja dziewczyna go kokietuje!

– Zuzanna go wcale nie kokietuje!

Dwa anioły krążyły zdenerwowane wokół parki stojącej na parkingu przy supermarkecie. Zuzanna i Adam nijak nie mogli się rozstać. Żegnali się już dobrych dziesięć minut.

– Taaak..? A ja znam się na mowie ciała i widzę, co ona robi! – Arael zamachał skrzydłami tak gwałtownie, że pobliskie stadko gołębi poderwało się do lotu spłoszone podmuchem powietrza. Zanael mimowolnie skulił się w sobie.

– Zaraz się rozejdą, każde w swoją stronę – zasugerował, zdając sobie

sprawę, że jest to raczej pobożne życzenie niż fakt. Co gorsza, Adam właśnie patrzył Zuzannie w oczy, opowiadając jakieś straszne dyrdymały o pokrewieństwie dusz i przeznaczeniu.

– Wiem, że skreśliłem naszą miłość – mówił z emfazą, a Zuza, zamiast go wyśmiać, słuchała tej przemowy niby krytycznie, ale z malującym się na twarzy wzruszeniem. – Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że straciłem też bratnią duszę, kogoś, kto zawsze mnie rozumiał, kto wiedział o mnie wszystko. Taką osobę... Rozumiesz, kochać można wiele razy, ale kogoś takiego spotyka się raz w życiu. Tak właśnie czuję – mówił, dla podkreślenia swoich słów ściskając ramię Zuzanny. – Wiem, że to niemożliwe, ale czasem mam nadzieję, że moglibyśmy nadal się znać, może czasem zobaczyć na kilka minut, na mieście... – Mężczyzna zamilkł nagle, jakby sam się złapał na tym, że powiedział za dużo.

– Raczej... nie – odparła Zuzanna.

– Zuch dziewczyna! – ucieszył się Zanael. – Idziemy!

– Tak, właściwie masz rację... – Adam pokręcił głową. – Pójdę już – powiedział.

– Chyba tak – przytaknęła Zuza. Oboje stali nieruchomo, jakby wrosli w chodnik.

– Ja... – Adam zaczął coś mówić, ale machnął ręką.

– Właściwie... – Zuza też przerwała. – To do zobaczenia. To znaczy... – Złapała się na pomyłce.

– Do nie-zobaczenia – podpowiedział Adam. Wbrew powadze sytuacji, oboje parsknęli śmiechem.

– To może – zasugerował Adam szybko, zanim jeszcze Zuzanna przestała się śmiać – może odprowadzę cię jeszcze kawałek, zanim się rozstaniemy na zawsze?

– Nie! – ryknął Zanael w tej samej chwili, w której Zuza skinęła głową na zgodę.

– Jaką masz niesamowitą biblioteczkę! – Matylda zdążyła już zeskoczyć z huśtawki i krążyła po salonie Wojciecha, ściskając kubek z ciepłą kawą. Za oknem powoli się ściemniało i chyba zaczęło zbierać się na deszcz. To sprawiało, że wypełniony książkami salon wydawał się jeszcze przytulniejszy. Matylda czuła się prawie tak, jakby już miała tu zamieszkać. Zapewne przez huśtawkę. Trudno o czytelniejszy, a jednocześnie niezobowiązujący symbol tego, że jest tu mile widziana. Wojtek stał obok, opierając się o regał, i z zadowoleniem przyglądał się myszkującej między półkami dziewczynie. Wygodna kanapa, obita czerwonym pluszem, stała wolna, nie licząc Matiela i Annaela. Oba anioły były senne i zadowolone z życia, nawet Annael. Podobno odniósł jakiś sukces wychowawczy, ale nie chciał zdradzić żadnych szczegółów. Cokolwiek to było, najwyraźniej pozwoliło mu zostawić Ankę samą na ten wieczór. Zdecydowanie mniej wygodny

fotel, stojący po drugiej stronie salonu, zajmował Wonsael. Anioł trzymał na kolanach wydruk jakiejś debiutanckiej powieści o wampirach i udawał, że go czyta, tak naprawdę bacznie śledząc cały czas rozwój wydarzeń w salonie. Działo się jednak niewiele.

– Kryminały! – Matylda wypatrzyła kolejną fascynującą półkę. – Uwielbiam skandynawskich autorów! Hej, a co to za obraz? – zapytała, odkrywając na ścianie między dwoma regałami niewielkie malowidło: samo płótno bez ramy.

– Ach, to. – Wojciech stanął tuż za jej plecami. Przez chwilę wpatrywał się w obrazek z zamyśleniem widocznym na twarzy, jakby zastanawiał się, czy może zdradzić tajemnicę. Matylda tymczasem przyglądała się małemu płócienku. Obraz przedstawiał anioła z rozpostartymi skrzydłami. Postać była w ocenie Matyldy naprawdę bardzo ładna, chociaż malarz przesadził trochę z ilością złotej farby. Anioł wydawał się wysoki i potężny, miał surową twarz i ciemne włosy, w tym samym kolorze co Wojtek.

– Podoba ci się? – zapytał mężczyzna ostrożnie. Dopiero kiedy Matylda skinęła głową, zaczął mówić dalej: – To właściwie jest mój obraz.

– Sam to namalowałeś? – Matylda wytrzeszczyła oczy. Ile ten człowiek miał jeszcze ukrytych talentów, z których nie zdawała sobie sprawy? – Jest niesamowity!

– To mój anioł stróż – wyjaśnił Wojciech, chowając dłonie do kieszeni.

– Hahaha, no jasne! – Matiel zerwał się z kanapy, żeby porównać Wonsaela z malowidłem. Niski i stosunkowo mało wygłędny anioł rzucił mu obrażone spojrzenie, strosząc przy tym wąsy.

– Niesamowite! Skąd wiedziałeś, jak go namalować? – Matylda patrzyła na Wojtka z fascynacją. Gdyby mężczyzna powiedział, że anioł osobiście mu pozował, uwierzyłyby w to bez wahania. – Ja też wierzę w anioły! – dodała prędko.

– Wydaje mi się, że ja kilka razy widziałem mojego anioła... – I stało się, Wojciech zdradził jej jedną ze swoich tajemnic. – Może niezbyt wyraźnie...

– Chyba zupełnie niewyraźnie – chichotał dalej Matiel.

– Wystarczająco wyraźnie. – Wonsael posłał mu kolejne oburzone spojrzenie znad swojej lektury. – To portret z czasów młodości – wyjaśnił obrażonym tonem.

– Byłeś szczuplejszy i wyższy? – zagadnął Annael z miłym uśmiechem. Ach, coraz bardziej się cieszył, że spędza ten wieczór z kolegami! Było tak wesoło!

– To było prawie piętnaście lat temu, po śmierci mojego ojca. – Wojciech nadal wpatrywał się w obraz, nieświadomy, że dwa anioły chichoczą za jego plecami. – Wcześniej zawsze mieszkaliśmy we dwóch, ja coś tam studiowałem, co roku chyba coś innego, a ojciec prowadził wydawnictwo. Czasem bywałem u niego w pracy, ale właściwie miałem swoje sprawy i nie interesowałem się specjalnie Książką i Myślą. I nagle okazało się, że zostałem zupełnie sam. Prawie, bo została też rodzinna firma. Ojcu bardzo zależało na tym, żebym przejął po nim

wydawnictwo, a ja nie miałem pojęcia o wydawaniu książek. Ale poszedłem do jego pracy, czując się jak dziecko idące przez gęstą mgłę... Chciałem powiedzieć tym wszystkim ludziom, że zamierzam się wycofać, może sprzedać wszystko... Zresztą, nie wiem, co wtedy myślałem. I nagle zobaczyłem coś, jakby błysk światła, po mojej prawej stronie. Kątem oka coś dostrzegłem, jakby wysoką postać, niezbyt wyraźnie, ale mógłbym przysiąc, że miała skrzydła! I poczułem, że sobie poradzę. Byłem tego zupełnie pewien. Widzisz, ja naprawdę nie miałem pojęcia o wydawaniu książek, ojciec dużo mi opowiadał, ale nie słuchałem co mówi... A nagle okazało się, że wszystko wiem, we wszystkim się orientuję, jakby ktoś mi podpowiadał tego dnia.

– Niesamowite – powtórzyła Matylda.

– Ale to wszystko prawda. – Wojtek pokiwał głową. – Wcześniej nie byłem nawet specjalnie wierzący, wtedy po raz pierwszy poczułem, że nie jesteśmy zupełnie sami. Że ktoś nad nami czuwa. I wiesz co? – dodał nagle. Dziewczyna spojrzała na niego pytająco. – Wydaje mi się, właściwie jestem tego pewien, że nasze spotkanie w supermarkecie nie było przypadkowe. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to jakiś życzliwy anioł zetknął nas razem.

– Tak myślisz? – powtórzyła Matylda. Ten pomysł był dla niej zupełnie nowy i fascynujący... I taki romantyczny! Jeszcze raz przypomniała sobie całą scenę. Czy to nie było dziwne, że przewróciła się tak nagle, jakby los specjalnie chciał dostarczyć Wojtkowi sposobności do uratowania jej z opresji? Nie los – poprawiła się – ale jakiś anioł, który już wcześniej wiedział, że powinni być razem! – Wyobraziła sobie tę świetlistą, wysoką postać z blond lokami i uduchowionym wyrazem twarzy... Kiedy się skoncentrowała, zobaczyła nawet tęczyowy blask wokół rozłożystych skrzydeł.

– Ale się zaczerwieniłeś. – Annael szturchnął Matielą pod żebra.

– Bo to chyba nie do końca tak było – burknął samokrytycznie szturchnięty anioł.

– Wszystko pięknie, ale należało to wcześniej ustalić ze mną. – Wonsael wykorzystał ten moment, żeby przypomnieć im o swoim istnieniu. – Miłość to zbyt poważna sprawa, żeby pozwalać sobie na taką samowolkę.

– No, ale... – zafrasował się Matiel. Ale nawet nie wiedział, jak może wytłumaczyć to wszystko pełnomocnikowi do spraw duchowych pana Wojciecha Miśkiewicza. Chyba musiałyby zacząć od tej nieudanej powieści Matyldy, o której już szczęśliwie wszyscy zapomnieli...

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczyło. – Adam oddał Zuzie siatkę z zakupami, którą po męsku dźwigał przez całą drogę do jej domu. Dziewczyna spojrzała niezbyt przytomnie na swoją puszkę z groszkiem, leżącą na dnie foliowej torebki. Czy teraz pożegnają się na dobre? Chyba nie było innej możliwości, stali

już na schodach jej bloku. Popołudnie przeszło w wieczór i zaczynało mżyć.

– Czuję się tak, jakby przez parę ostatnich miesięcy... – Adam najwyraźniej szukał właściwych słów. – Nie, ostatnie miesiące są nieważne. Dzisiaj, przez tę krótką chwilę, znowu naprawdę żyłem. Widząc cię, rozmawiając z tobą. To jest takie... prawdziwe.

Zuzanna pochyliła głowę. Czy rozumiała? Gorzej – czuła dokładnie to samo. Od rozstania z Adamem tak bardzo starała się zachowywać normalnie, ale przez większość czasu tylko udawała, że żyje. Teraz wszystko docierało do niej tak intensywnie: zapach wieczornego powietrza, wilgoć na policzkach, nawet własny oddech i przyspieszone bicie serca. Nagle przypomniała sobie sylwestrowy poranek sprzed kilku miesięcy. Czy to możliwe, że wtedy po raz ostatni odbierała świat w podobny sposób? Czuła się szczęśliwa i jednocześnie zdenerwowana czekającym ją ślubem. Wszystko było takie... prawdziwe. Jak to możliwe, że Adam był zarazem przyczyną, jak i lekarstwem na jej smutek? Dlaczego nie mogła czuć tego, co powinna?

– To wszystko twoja wina – rzuciła nagle, zaskoczona własnym tonem. Przecież nigdy się nie denerwowała, a teraz czuła, że niemal krzyczy. – Jak możesz teraz mówić o życiu, skoro zniszczyłeś moje?

– I twoje, i moje. I nasze wspólne. – Chłopak nawet nie próbował się bronić. – Wiem, że mi nie wybacysz...

– Mogłabym ci wybaczyć. – Wypowiadając te słowa, Zuzanna odkryła, że to prawda. Jakby jej prawdziwe uczucia czekały na tę rozmowę, żeby się ujawnić. Wszystkie naraz. – Pomimo tego, jak mnie potraktowałeś. Pomimo tych wszystkich kłamstw. Mogłabym, naprawdę, bo wiem, co nas łączyło. Ale i tak jest za późno.

– Jest za późno – powtórzył niepewnie. – Ale to, co do ciebie czułem... Miałem nadzieję, że to minie, że przestanie mi na tobie zależeć. – Znów ją zaskoczył. Jak to możliwe, że przeżywali wszystko tak samo? – Nawet wmówiłem sobie, że to już przeszłość. Ale... To po prostu nieprawda. Możemy się nie widzieć już nigdy, do końca życia. I to nic nie zmieni, nadal będziesz tą jedną jedyną osobą na świecie... – przerwał. Ale Zuzanna przecież wiedziała, o co mu chodzi.

– Podły manipulant! – Zanael wyglądał tak, jakby chciał zdzielić Adama czymś ciężkim. Chociaż takie zachowanie nie mieściło się w anielskim etosie. – Że też mu nie wstyd!

Adael stał obok i najwyraźniej wstydził się w zastępstwie Adama.

– On naprawdę wierzy w to, co mówi – rzucił przeproszającym tonem. – W każdym razie, w tej chwili w to wierzy. Jak go znam.

– To świetnie! Jaki on szczerzy! – Zanael wściekle zamachał skrzydłami, strząsając z nich pierwsze krople deszczu.

– Gdybyśmy mogli... – mówił tymczasem Adam. – Wiem, że już odmówiłaś, ale czasem chciałbym cię zobaczyć, na chwilę. Może jeśli się

postaramy, wtedy razem... Jakoś ocalimy tę więź, zmienimy ją tak, żeby mogła trwać, mimo że ja mam żonę, ty pewnie niedługo znajdziesz jakiegoś mężczyznę... Nie wszystko w życiu jest proste, prawda? Może naszej relacji pisane jest właśnie to, żeby była trudna... Naprawdę czuję, że nasze dusze są połączone ze sobą, już trwale. To dużo więcej niż jakiś sakrament, małżeństwo czy dzieci. Tak bardzo chciałbym wziąć całe to cierpienie na siebie, żebyś ty nie musiała się martwić, żeby cię to nie bolało... Przecież to tylko i wyłącznie moja wina, jeden błąd, którego nie można już naprawić...

– Podlec – warknął Zanael, widząc zrozumienie malujące się na twarzy Zuzy. Dziewczyna nic nie mówiła – ale też nie musiała. Gołym okiem było widać, że może z zastrzeżeniami, ale kupiła wszystko, co z takim przekonaniem sprzedawał jej Adam.

– Najgorsze są takie półprawdy – westchnął filozoficznie Adael. – Jest w tym jeszcze coś dobrego, w jego uczuciach, ale leży pod taką warstwą mułu, że ledwo to widać.

– Półprawdy! – Zanael, rozzłoszczony, kopnął powietrze obok łydki Adama. – Nie ma czegoś takiego jak półprawdy! Moja dziewczyna zasługuje na całą prawdę! Bez warstwy mułu! Co to ona jest, jakaś czapla, żeby brodzić w błocie?

## **ROZDZIAŁ 29**

– Co ja mam zrobić, żeby przemówić jej do rozsądku? No co ja mogę zrobić? – Zanael westchnął, nieco teatralnie zasłaniając twarz skrzydłem. Ciepły majowy poranek przechodził niespiesznie w gorące południe. Wszystkie trzy anioły leżały wyciągnięte na trawie. Kawałek dalej, na parkowej ławce, siedziała Anka z jakąś grubą książką i z zakreślaczami w pięciu odblaskowych kolorach. Co jakiś czas dziewczyna przerywała lekturę, odchyłała głowę do tyłu i patrzyła na bezchmurne niebo.

– Jestem taki zadowolony. – Annael bez wyrzutów sumienia wciąż się w żale Zanaela. I tak nieszczęśliwy anioł od piętnastu minut powtarzał w kółko to samo. – Widzicie, gdzie siedzi moja dusza? Czy w domu? Nie! Na świeżym powietrzu, w otoczeniu przyrody. I co robi? Czy gapi się w komputer?

– Nie. Czyta książkę – odpowiedział Matiel. Już chyba to dzisiaj słyszał. Zadowolony ze swoich sukcesów wychowawczych Annael również nabrał manieri powtarzania na okrągło tych samych stwierdzeń.

– Tak! Czyta książkę! – Annael nie wychwycił lekkiej ironii w głosie kolegi. – Oczywiście, cały czas mówię: to jeszcze nie to, o co nam chodzi. Można nawet powiedzieć, że to jeszcze błędzenie po omacku. Ale jedno musicie przyznać: Anna błdzi teraz w znacznie lepszym miejscu!

Matiel znów westchnął, przypominając sobie, że podopieczna Annaela poświęciła ostatnimi czasy kilka dni na dokładne przejrzanie setek ofert pracy, wyselekcjonowanie dziedzin, w których statystycznie najłatwiej znaleźć zatrudnienie i spisanie powtarzających się wymagań. Po czym wypracowała nową, zaskakującą metodę działania. Annael twierdził, że niczego jej nie podpowiadał, wpadła na ten pomysł sama. Nie mogąc znaleźć zatrudnienia z aktualnymi kompetencjami zawodowymi, postanowiła zdobyć umiejętności najbardziej pożądane przez pracodawców, a przy tym korespondujące z dyplomem z polonistyki, który już posiadała. Anioły obserwowały działania dziewczyny z mieszaniną rozbawienia i zaciekawienia. Anna zaczęła się intensywnie uczyć dwóch różnych języków, zapisała na internetowy kurs księgowości i korespondencyjne wykłady z redakcji tekstów naukowych, a na dobitkę na warsztaty rozwoju osobistego, prowadzone w osiedlowym domu kultury. Przy okazji okazało się, że obecność na warsztatach uprawnia ją do uczęszczania z pięćdziesięcioprocentową zniżką na salsę. Wszyscy trzej opiekunowie zgadzali się, że dokonany przez dziewczynę wybór zajęć, pomimo rozmyślnie przyjętego klucza, robi wrażenie dosyć przypadkowego i niekoniecznie sensownego... No, może poza salsą, w każdym razie zdaniem Matieła. Ale niewątpliwie był to jakiś krok na przód. A przecież idąc naprzód, można dokąś w końcu dojść. Państwo Nowiccy musieli być tego samego zdania, skoro podjęli się sfinansowania wszystkich nowych zajęć córki. Natomiast Annael najbardziej cieszył się z tego, że



Anka przestała rozsyłać wszędzie swoje CV i odkleiła się w końcu od ekranu laptopa. Tym samym i on mógł odpocząć, ciesząc się pięknem Stworzenia i promieniami słońca, przeświecającymi przez korony drzew...

– Co ja zrobię? To się przecież może ciągnąć latami, a Zuzanna marnuje tylko czas... A jak jeszcze coś gorszego się zdarzy? – Nawet żale Zanaela nie mogły doszczętnie popsuć tego pięknego dnia. Zwłaszcza że zerwał się lekki wietrzyk, niosący ze sobą zapach lilaków, kwitnących obficie i na fioletowo, a na jednej z gałęzi przysiadła najprawdziwsza sójka w pasiastej czapeczce.

W tym samym czasie, gdy anioły wygrzewały się w słońcu, Zuzanna siedziała na łóżku, patrząc w ekran laptopa. Odpisywała na maila. Właściwie to konstruowała odpowiedź na wiadomość od Adama przez cały poranek i wyglądało na to, że za chwilę wyczerpią się baterie.

„Cześć, jak się masz?”. Tak zaczynał się mail od jej niedoszłego męża. Dalej pisał: „Ja siedzę w domu i o Tobie myślę”. Bardzo bezpośrednio, ale w sumie obiecali sobie, że u podstaw ich nowej przyjacielskiej relacji będzie leżała bezwarunkowa szczerłość. Zuzanna westchnęła, przymykając oczy. Nie musiała patrzeć na ekran, bo zdążyła już nauczyć się dalszego ciągu na pamięć. „W najbliższy weekend będę w mieście. Cieszę się na samą myśl, że może, przez przypadek, miniemy się na ulicy. Lubię chodzić we wszystkie miejsca, które przypominają mi o Tobie, mam wrażenie, że jesteś wtedy blisko. Chciałem Cię zapytać, co teraz robisz w wolnym czasie. Czy jeszcze malujesz? Mogłabyś mi polecić jakieś wiersze do poczytania w puste wieczory?”.

Wiersze do poczytania w puste wieczory... Zuzanna czasem miała odczucie, że Adam tylko przez grzeczność zagląda do polecanych przez nią lektur. Co miała mu odpisać? W ciągu ostatnich kilku miesięcy nie miała w ręku żadnego rewelacyjnego tomiku z wierszami. Nierewelacyjnego też nie. A malowanie? Co ona właściwie robiła ze swoim wolnym czasem?

„Hej” – napisała. „U mnie też niewiele się dzieje”. Czy mogła być szczerą? Właściwie, czemu nie... „Nie wiem, co mam zrobić z resztą mojego życia. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio czytałam coś ambitniejszego niż...” Niż program telewizyjny albo komiksy o kotach, które Matylda ściągnęła z internetu i rozesłała przyjaciółkom? Zuzanna nie musiała być chyba aż tak szczerą. Pospieszenie wykasowała ostatnie słowa. „Może ty mi coś polecisz?” – dodała. – „Pozdrawiam, Zuza”.

Wyślij. Mail poszedł, już nie było odwrotu. Dwie minuty później zamigotała ikonka nowej wiadomości.

„A może się spotkamy?” – odpisał Adam. – „Porozmawiamy o życiu w cztery oczy”.

Bateria w laptopie wybrała ten moment, żeby definitywnie się wyczerpać.

Ale za to zaczął dzwonić telefon.

– To już oficjalne! – oznajmiła Matyllda w tej samej chwili, w której Zuza odebrała połączenie. – I postanowiłam urządzić z tej okazji babski wieczorek, cała nasza trójka i jeszcze Olga, w tę sobotę, co ty na to?

– Ale co jest oficjalne? – zapytała Zuzanna. Wydawała się zaskoczona i chyba nieco skołowana.

– No jak to co? Ja i Wojtek! Już oficjalnie jesteśmy parą! – dodała Matyllda bojowo, szykując się na odparcie ewentualnego ataku. Ale Zuza nie powiedziała: „ojej, przecież on jest dla ciebie za stary” ani nawet: „no coś ty, przecież ma paskudne wąsy”.

– To wspaniale! Bardzo się cieszę! – oznajmiła, zaskakując nieprzygotowaną na taką reakcję przyjaciółkę.

– No więc właśnie... – Matyllda poczuła się zbita z tropu. – To widzimy się w sobotę o osiemnastej, dobrze?

– No... – W głosie Zuzanny pojawiło się zastanawiające wahanie. Matyllda ścisnęła mocniej telefon w dłoni. Jeśli zaraz usłyszy, że przyjaciółka nie ma czasu albo, co gorsza, wcale nie chce świętować jej związku... Jednak ten moment niepewności prędko minął i Zuza oznajmiła radośnie, jakby nigdy nic:

– Oczywiście, że tak! Nic nie robię w sobotę!

Matyllda, ucieszona, wybrała numer do Anki. Podejrzewała, że tym razem nie pójdzie tak łatwo. Wciąż miała w pamięci wszystkie niemiłe uwagi, które jej przyjaciółka kiedyś, dawno temu, wygłosiła na temat Wojtka. No i niemal go poderwała, chociaż niechcący, ale to też rzucało jakiś nieprzyjemny cień na całą sytuację.

– Cześć! – wykrzyknęła Anka radośnie, zanim Matyllda zdążyła powiedzieć cokolwiek. – Ale dzisiaj jest ślicznie, prawda? Nie zgadniesz, co robię! Siedzę sobie w Parku Szczytliwickim, *nomen omen szczęśliwa*, i zakuwam francuski, a wokół ćwierkają wróble i nawet taki śmieszny brązowy ptak przyleciał, taki ze wzorkiem na głowie i niebieskim na skrzydełkach, nie wiem, jak one się nazywają...

– Aha – chrząknęła Matyllda. – To ja chciałam powiedzieć, że to już oficjalne. Jesteśmy już parą. Z Wojtkiem – dodała prędko, żeby uniknąć zbędnych niejasności.

– Ooo, tak jak się spodziewałam! Gratuluję!

O ile Matyllda mogła się zorientować, Anka mówiła bez ironii i ze szczerą radością w głosie.

– Spodziewałaś się? – powtórzyła.

– No przecież było widać, że się w nim zakochałaś – oznajmiła Anka, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. – I bardzo do siebie pasujecie – dodała. –

Potrzebowałaś jakiegoś sensownego, dojrzałego faceta z fantazją i artystycznym zacięciem.

– Och. – Matylda nie była pewna co odpowiedzieć. Anka dostrzegła aż tyle zalet w Wojciechu? I uznała go za właściwego mężczyznę dla Matyldy? Czy może „dojrzały” to tylko eufemizm, zastępujący „starszego pana z okropnymi wąsami”?

– Halo? – Anka nie mogła zrozumieć przedłużającego się milczenia na linii.

– Poczekaj, myślę... – bąknęła Matylda, zastanawiając się gorączkowo, czy drażyć temat, czy może niekoniecznie. Jednak ciekawość zwyciężyła. – Bałam się, że go nie lubisz – rzuciła ostrożnie. Tym razem to Anka zamilkła na dłuższą chwilę. Zdaniem Matyldy, trwało to irytująco długo.

– Nie myślałam o tym – odparła w końcu. – Przecież ja go w zasadzie nie znam. Ale widziałam was razem, no i opowiadałaś mi dużo... Najwyraźniej to po prostu świetny facet, prawda?

Matylda, zaskoczona, próbowała sobie przypomnieć, co mogła mówić przyjaciółkom o Wojciechu. I nagle uśmiechnęła się do siebie. Tak długo się przejmowała, i po co? Dziwaczny wydawca z wąsem zniknął na dobre. Ustąpił miejsca Wojtkowi, dojrzałemu i odpowiedzialnemu mężczyźnie z artystycznym zacięciem. Nawet jej przyjaciółki zdążyły już zapomnieć, że zrobił na nich takie czy inne pierwsze wrażenie. Przecież też go jeszcze nie znały.

– A co takiego się zdarzyło, że już oficjalnie jesteście razem? – zapytała zaciekawiona Anka. – Powiedział ci coś? Czy może zaprosił cię do siebie i, no wiesz...? – Zawiesiła głos.

– Zaprosił mnie do siebie. I całowaliśmy się na huśtawce. U niego – oznajmiła Matylda, jednocześnie rozbawiona i zadowolona z wrażenia, jakie jej słowa musiały zrobić na rozmówczyni. Rozmawiały o chłopaku Matyldy! To było nowe, bardzo przyjemne uczucie.

– I powiedział mi parę rzeczy... O uczuciach – dodała. Nie chciała silić się na tajemniczość, ale pewne rzeczy musiały pozostać pomiędzy nią a Wojtkiem. Zwłaszcza te dotyczące aniołów i przeznaczenia. – No i właśnie – dodała. – Zapraszam cię na sobotę! Będziemy świętować wielkie wydarzenie! Znalazłam mężczyznę mojego życia!

– Całowaliście się na huśtawce u niego w mieszkaniu? – powtórzyła oszołomiona Anka.

## ROZDZIAŁ 30

Matylda raz jeszcze przeczesła włosy i rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, wiszące w toalecie na wydziale kulturoznawstwa. Dzisiejsze wykłady dłużyły się nieprawdopodobnie, każdy trwał chyba około dziesięciu lat. Ale teraz wybiła trzecia godzina i Matylda czuła się w pełni gotowa na wytęsknioną randkę na Polach Mokotowskich. W tym samym parku, po którym jeszcze niedawno krążyła w pojedynkę, udając, że wcale nie liczy po cichu na spotkanie Wojtka. Zarzuciła na ramię intensywnie żółtą torbę, kupioną zaledwie wczoraj, i lekkim krokiem podążyła na spotkanie z mężczyzną, zesłanym jej przez dobre anioły. Za rozradowaną dziewczyną podązał równie szczęśliwy Matiel. No proszę, myślał, nie minęło nawet pół roku, a jego sylwestrowe postanowienie zostało wspaniale zrealizowane. Nawet bez większego wysiłku, wystarczyło trochę anielskiej mądrości i kilka zbiegów okoliczności, zesłanych przez jeszcze mądrzejszą Opatrzność. I tak oto Matylda z nieudanej autorki jednej książki stała się szczęśliwą kobietą, która pomалу zaczynała rozumieć, czym jest prawdziwa miłość... Matiel uśmiechnął się do siebie, zapominając już zupełnie, że jeszcze nie tak dawno usiłował nie dopuścić Matyldy do wydawcy. A już na pewno żadne z nich nie myślało o historii Emmanueli i Manuela, upchniętej na samym dnie szuflady... Tam, gdzie zawsze było jej miejsce.

– Moja czarodziejka! – Na widok Matyldy Wojciech zerwał się z ławki. – Jak ty ślicznie wyglądasz! – zawołał, podnosząc ją do góry i okręcając wokół. – Czy to nowa torebka? – zapytał w tej samej chwili, w której stopy dziewczyny znów dotknęły ziemi. Matylda zamrugała, zaskoczona. Dotychczas żyła w przekonaniu, że heteroseksualni mężczyźni nie zauważają nowych ubrań. Ale jej Wojtek okazywał się wyjątkowy pod każdym względem.

– Chciałem cię gdzieś zaprosić – oznajmił teraz, chwytając ją za rękę. –

Jeszcze nie widziałaś naszego wydawnictwa!

Powiedział to takim tonem, jakby „nasze” oznaczało ich wspólne, jego i Matyldy. Dziewczyna momentalnie się zarumieniła.

Matylda dobrze znała siedzibę Książki i Myśli, tyle że z zewnątrz. Wydawnictwo zajmowało całe górne piętro niewielkiego bloku, a okna wychodziły wprost na Pola Mokotowskie i wierzchołki kasztanowców. Wojtek pierwszy wbiegł po schodach. Jeśli chciał zaimponować swojej dziewczynie znakomitą formą fizyczną, to zdecydowanie mu się to udało. Matylda wspinała się za nim, nieco onieśmielona. Wielki wydawca zapraszał ją do swojego wydawnictwa, to przecież było spełnienie jej marzeń... Ale tak naprawdę zawstydziła się, dopiero kiedy dotarli na górę, a Wojtek położył jej dłoń na ramieniu i oznajmił zdecydowanie za głośno:

– To właśnie jest Matylda!

Dziewczynę przywitał entuzjastyczny aplauz redaktorów i uśmiechy redaktorek, w większości starszych i na oko bardzo sympatycznych. Matylda bez trudu domyśliła się, że niewielki zespół, pracujący w Książce i Myśli, już zdążył o niej usłyszeć. Z trudem powstrzymała się od wbicia wzroku w podłogę. Na szczęście Wojtek pociągnął ją za sobą, na obchód swoich włości. Jednocześnie przedstawiał jej wszystkich pracowników, a Matylda gorączkowo starała się zapamiętać imiona. Błazej, rudy Rysiek, pani Kasia – mistrzyni korekty, dwie rozchichotane sekretarki: Jola i Magda, pan Andrzej, to ten z długą brodą, pan grafik Jurek...

– Tutaj urzędują korektorki, tu jest mój gabinet...

– A tu mamy taki pokoik do picia kawy – podpowiedziała Jola, po czym obie z Magdą zaczęły zgodnie chichotać.

– Kibelek – dorzucił Jurek, wskazując drzwi przyozdobione bożonarodzeniowym wieńcem z jemioly.

– Ksero!

– Tablica ogłoszeń, możesz zobaczyć nasze najlepsze okładki...

– A tutaj pan Andrzej siedzi i zajmuje się promocją... – dodał brodaty mężczyzna, który najwyraźniej miał irytujący zwyczaj mówienia o sobie w trzeciej osobie. – Pan Andrzej wszystko potrafi zareklamować!

– Zwłaszcza samego siebie – dorzucił któryś z grafików. Kolejnym uwagom towarzyszyły salwy śmiechu i początkowo stremowana Matylda poczuła się zupełnie swobodnie.

– A co jest tutaj? – zapytała, wskazując na stojący na parapecie koszyk. Wypełniały go stosy papieru, a na samej górze siedział klaun: jedna z tych maskotek, które miały wyglądać zabawnie, ale na wrażliwszych osobach robią smutne wrażenie.

– Ach, to najważniejsze miejsce w wydawnictwie! – roześmiał się Rudy Rysiek, klepiąc Matyldę po ramieniu. – To nasz koszyk z perełkami!

– Tutaj trafiają najgorsze z nadesłanych powieści – wyjaśnił Wojtek, strącając lekko dłoń Ryśka z pleców swojej dziewczyny. – Dostajemy bardzo dużo niedrukowalnych prób prozatorskich, ale czasem trafia się wśród tej makulatury coś szczególnego...

– Cała redakcja ma wtedy ubaw po pachy – roześmiała się Magda. Jola wtórowała jej, kiwając energicznie głową. Patrząc na nie, Matylda też zaczęła się śmiać.

– No dalej, pokaż dziewczynie coś wesołego! – Brodaty Andrzej stanął za plecami Wojtka. – Może tę wstrząsającą powieść o prawdziwej miłości? Wyobraź sobie – mrugnął do Matyldy – autorka przesłała nam to dwa czy trzy razy, za każdym razem trafiło do koszyka! To rekord wydawnictwa, najbardziej pretensjonalna rzecz, jaką kiedykolwiek czytałem...

– No nie wiem, czy chcesz poznać nas od tej strony. – Wojtek odsunął klauna i zaczął energicznie gmerać w koszyku. – Jesteśmy czasem złośliwi i bez serca...

– Chociaż ja bym była za tym, żeby wydać kilka z tych książek – zaprotestowała Jola. – W jakiejś specjalnej serii wydawniczej, mogłaby się nazywać...

Nie dokończyła zdania, bo redaktorzy zaczęli się przekrzykiwać, rzucając pomysłami.

– Perły Grafomanii!

– Pisać każdy może!

– Drgnienia duszy!

– Debiuty z Dupy! – zarechotał grafik, pan Jurek, niezmiernie ucieszony własną inwencją. Tymczasem Matylda, nie wiedząc czemu, poczuła, że oblewa ją zimny pot, a w całym pomieszczeniu nagle zabrakło powietrza do oddychania.

– O, tu ją mam. – Wojtek uniósł tryumfalnie do góry wydruk, który młoda kobieta przecież doskonale знаła.

– Przeczytaj jej tę scenę oświadczyn w Paryżu! – podrzuciła któraś z redakterek. – Albo nie, lepiej naszą ulubioną scenę łóżkową!

– Widać, że laska nigdy nie była ani we Francji ani w łóżku z facetem – zarechotał znów brzuchaty grafik. – Rany, jakie to farmazony... To światło księżycy oblepiające nagie torsy i cięte róże w pościeli, a gość ma takie fantazyjne gatki z jedwabiu i ani na chwilę ich nie zdejmuję... – kontynuował z pasją, dowodzącą że przeczytał tę scenę więcej niż raz.

– „Tak, pragnę pozostać twoją na wieczność” – Wojtek jednak zdecydował się na scenę oświadczyn i czytał teraz z emfazą. – „Niechaj Paryż stanie się niemym świadectwem naszej miłości, płynąca u stóp wieży Loara splecie nasze

serca srebrzystą wstęgą, łącząc je na zawsze w jedno...”

– Loara, rozumiesz, gdzie Paryż, a gdzie Loara! – Jurek szturchnął pobladłą Matyldę, a redaktorki zgodnie udawały, że omdlewają ze wzruszenia.

– Dalej jest tylko lepiej... – Wojciech nie odrywał wzroku od tekstu. – „Po twarzy Manuela, gdy wyciągał przed siebie drogocenny pierścień z diamentem, aby włożyć go na palec ukochanej, drżący z emocji, przepływały łzy...” – Wydawca bezlitośnie kontynuował lekturę, nie zwracając niestety uwagi ani na Matyldę, ani na Matiela, który usiłował wyrwać mu plik kartek. – „Przystojny i blady mężczyzna uniósł dłonie do twarzy, zasłaniając oczy, porażony blaskiem bijącym od ukochanej postaci nerwowymi falami. Blask zdawał mu się płynąć od jego przyszłej żony, chociaż możliwe, że to zachodzące słońce...” – urwał nagle, bo jego ukochana Matylda, nie czekając na dalszy ciąg, niespodziewanie wybiegła z pokoju. Redaktorzy popatrzyli po sobie, oszołomieni.

– No i patrz, co może zrobić kiepska literatura, przeraziło się dziecko – skomentował niezbyt pewnie pan Jurek. Wojciech, nie namyślając się ani chwili, pobiegł za dziewczyną. Po drodze cisnął jeszcze nieszczęsną powieść w stronę koszyka, ale nie trafił i dzieło życia Matyldy rozsypało się po podłodze redakcji.

Wojciech dogonił swoją dziewczynę dopiero w parku. Matylda, oparta o drzewo, nie mogła złapać tchu. Nic dziwnego, zważywszy na to, że zanosila się płaczem. Przerażony mężczyzna niemal padł przed nią na kolana, jak książkowy Manuel.

– Co się stało? Żle się czujesz? Uraziłem cię czymś? Chcesz wracać do domu? – dopytywał się coraz bardziej gorączkowo. Spanikowany Matiel krążył wokół. Nawet Wonsael, porażony powagą sytuacji, porzucił czytany przez całe popołudnie rękopis i pobiegł za nimi.

– To była jej powieść? – Spojrzał spode łba na Matiela. – Trzeba było poinformować mnie wcześniej, że nastąpiła kryzysowa sytuacja!

– A skąd miałem wiedzieć, że macie koszyk z klaunem! – obruszył się drugi anioł. – Nie wstyd ci? To przecież okropne, śmiać się z cudzych marzeń!

– Marzenia powinny być dostosowane do danych nam od Boga talentów – odparował Wonsael i natychmiast się napuszył. – Inaczej to nie są marzenia, tylko nieprzemyślane mrzonki... – Oba anioły umilkły, bo wyglądało na to, że Matylda chce coś powiedzieć. Zapłakana dziewczyna usiadła wprost na krawężniku i ocierała gorączkowo całą twarz chusteczką.

– T-ta książka... – jęknęła cicho, niemal na granicy słyszalności. – Naprawdę jest taka zła?

– No cóż... – Wojciech przerwał, uświadamiając sobie nagle zaskakującą zbieżność. Autorka śmiesznej powieści również miała imię podobne do jego dziewczyny... Nie, nie podobne. Ona też była Matyldą. A nazwisko? I nagle

uświadomił sobie ze zgrozą, że autorką *Prawdziwej miłości* był nie kto inny, tylko Matylda Konarzewska, która siedziała teraz przed nim na chodniku, zanosząc się płaczem.

– Czy to...?

– Tak, to moja książka – chlipnęła dziewczyna, potwierdzając jego najgorsze obawy. Wojtek złapał się za głowę.

– No, może nie jest tak fatalnie, to znaczy, widać pewien potencjał... – zaczął się płatać, próbując uratować sytuację. Jednocześnie cała jego prostolinijna natura sprzeciwiała się beczelnym kłamstwom. Zastanawiał się też gorączkowo, jak taka inteligentna i wrażliwa kobieta mogła napisać coś równie nieudanego. – Większość osób wcale nie kończy swoich książek, zapisanie ponad trzystu stron papieru to już jest pierwszy krok... – Zaczął, zadowolony z takiego punktu wyjścia. – I wiesz, gdybyś wcześniej powiedziała, że piszesz, mógłbym ci doradzić, są takie fajne warsztaty literackie w Domu Kultury... – przerwał, nagle tknięty nieprzyjemną myślą. Jakieś fakty usiłowały się w jego głowie połączyć w jedno. Dom Kultury. Matylda. Powieść, którą ta najwyraźniej przed nim ukryła...

– Wszystko jest w porządku! – krzyknął Matriel, prosto do jego ucha. – Szybko, pocieszaj ją, zobacz, cały czas się maże!

Jednak Wojciech bez słowa przysiadł na krawężniku obok Matyldy. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko ciche pochlipywanie dziewczyny. W końcu udało jej się przestać, ale Wojtek już jej nie uspokajał. Zamiast tego przyglądał się jej badawczo.

– Wiedziałaś, że jestem wydawcą? – zapytał nagle. – Wtedy, w supermarkecie, kiedy spotkaliśmy się... Po raz pierwszy?

Matylda opuściła głowę.

– To nie był pierwszy raz – przyznała nieśmiało, gniotąc mokrą chustkę w dłoniach. – Przyszłam wcześniej na twoją prelekcję do Domu Kultury...

– Siedziałaś w pierwszym rzędzie – dopowiedział mężczyzna. – Tylko chyba wyglądałaś zupełnie inaczej...

– Anka pomogła mi zrobić makijaż...

– Och, czyli się znacie. – Wojtek odchylił się do tyłu i zmarszczył brwi.

– No tak, to moja przyjaciółka. Zuza też. – Każdemu słowu Matyldy towarzyszyło ciche chlipnięcie.

– Przyszłyście posłuchać mojej prelekcji? – Właściwie znał już odpowiedź, chociaż miał jeszcze resztki nadziei, że się myli. Matylda westchnęła.

– Chodziło o książkę – przyznała z rozbijającą szczerością. A widząc wyraz twarzy wydawcy, dodała prędko. – To znaczy, wtedy tak myślałam, teraz wszystko się zmieniło!

– Myślałaś, że to będzie dobry plan? Poznać wydawcę i wcisnąć mu swoją



książkę? Wymyśliłyście to z koleżankami? – Wojciech wyglądał na wstrząśniętego. Zwykle słuchał tego, co mówi Matylda z uwagą, pochylony w jej stronę. Teraz odsunął się od dziewczyny i oparł brodę na zaciśniętej w pięść dłoni. Matylda milczała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co zrobiła.

– Ale myślałam tak tylko na początku! – zaprotestowała słabo.

– Na początku, to znaczy wtedy, kiedy przeznaczenie przypadkiem postawiło cię na mojej drodze? Kiedy ja myślałem, że poznałem bratnią duszę? Że to miłość od pierwszego wejrzenia? Ale czego ja się spodziewałam po takiej małolacie! – Mężczyzna gorączkował się coraz bardziej. Matylda chciała mu przerwać i powiedzieć, że przecież ona czuła to samo, a co więcej, że właśnie takie uczucie próbowała opisać w swojej powieści, ale zamiast tego znowu zaniosła się płaczem.

– Cały czas robiłem z siebie idiotę! – jęczał tymczasem Wojciech. – Kwiaty, randki, huśtawka... Wiesz, jak ja sobie poobijałem palce, wbijając gwoździe?! To po to wymontowałem drzwi w domu i opowiedziałem o nas wszystkim w wydawnictwie?! – Zaklął dosyć szpetnie i po raz pierwszy, odkąd się poznali. – Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć o książce?

– Nie wiem... To znaczy... – Nigdy nie widziała Wojtka tak wzburzonego. Nawet nie wiedziała, że to możliwe.

– Co ja myślałem! – kontynuował mężczyzna. – Ale to oczywiste... Bo niby czemu taka dziewczyna jak ty miałaby bezinteresownie prowadzić się ze starym kawalerem! Pewnie miałaś niezły ubaw z tymi swoimi koleżankami!

– Wcale nie! – Matylda podniosła ręce w obronnym geście.

– To co, może mi powiesz, że pokochałaś mnie od pierwszego wejrzenia?

Matylda, zaskoczona, znowu zamilkła. Na chwilę zapadła cisza tak głęboka, że niemal można było dosłyszeć, jak spanikowany Matiel drepcze w miejscu, machając skrzydłami. Wojtek westchnął ciężko.

– Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy – powiedział grobowym tonem. – I gdybyś miała jeszcze jakieś wątpliwości – dodał, nie patrząc nawet w jej stronę – ta powieść, którą wysłałaś do wydawnictwa, to infantylna, fatalnie napisana, a w większej części po prostu głupia imitacja romansu. Możesz sobie podrywać wydawców, możesz dalej łamać mężczyznom serca, ale gwarantuję ci, że nikt tego bubla nie wypuści na rynek, żeby nie narazić się na śmieszność.

Wygłosiwszy to, Wojciech odszedł. Nie czekał na odpowiedź Matyldy i nie oglądał się za siebie.

## ROZDZIAŁ 31

Nic się nie stało. Wszystko było w porządku, po prostu znowu się przyjaźnili. To nic złego, przyjaźń z byłym chłopakiem. Wprost przeciwnie, taka relacja świadczy o dojrzałości, o tym, że namiętność wygasła, a dawne urazy wybaczone... Zuzanna przyspieszyła kroku. Dochodziła szósta i groziło jej, że spóźni się na babski wieczór u Matyldy. Niezobowiązujące spotkanie z Adamem nieco się przeciągnęło. Przez ostatnie trzy godziny spacerowali po mieście, instynktownie unikając miejsc, w których mogliby się natknąć na znajomych. Chociaż oczywiście nie mieli nic do ukrycia. Rozmawiali o wszystkim, jak starzy kumple. Zuzanna zwierzyła się nawet z tych pustych tygodni, które spędziła, snując się po mieszkaniu, wspomniła o liścikach zostawianych jej przez mamę. Myślała, że poczuje się lżej, kiedy podzieli się z Adamem tym kawałkiem życia, ale teraz, nie wiedzieć czemu, zaczęła tego żałować. Ale jej nowy przyjaciel też był szczery. Adam żalił się na żonę. Anetka okazała się osobą strasznie zapatrzoną w siebie i egoistyczną, a jedynym tematem rozmów w ich domu były pieniądze. Małżeństwo z Adamem nie miałyby zupełnie przyszłości, gdyby nie dziecko... Adam opowiadał jednak o tym spokojnie, pogodzony z życiem. Zaledwie raz czy dwa położył Zuzannie rękę na ramieniu, w taki przyjacielski sposób... Tylko to im zostało. I wydawało się w porządku.

– Wcale nie! – Zanael szedł krok w krok za dziewczyną. Podczas gdy Zuza starała się wytłumaczyć sobie, że zachowuje się mądrze i dojrzałe, anioł czepiał się wszystkiego, wypominając jej niemal każdą chwilę spotkania. Pewnie dlatego nie mogła dojść ze sobą do zgody.

– Adam z tobą flirtował – zaznaczył po raz kolejny jej opiekun. – Przez

następne dni będziesz o nim myśleć, zupełnie jakby znowu był twoim narzeczonym. Co ty sobie wyobrażasz? Ja nie wiem, co to jest, ale przyjaźń tak nie wygląda...

Anioł naprawdę się złościł. Tyle czasu poświęconego na to, żeby jego podopieczna zaczęła nowe życie bez balastu pod postacią niedoszłego męża... A ona sama wszystko psuła.

– Jesteś uzależniona, jak alkoholiczka – szepnął jej do ucha, sam porażony brutalnością własnego stwierdzenia. – A jedyną kuracją jest całkowite odstawienie Adama! Całkowite! Także pod postacią liścików, maili, SMS-ów, MMS-ów, tra-la-la-mesów, czy co tam jeszcze obecnie można sobie wysyłać...

Dobrze widział, że dziewczyna robi wszystko, żeby odsunąć od siebie te myśli. Ale on był bardziej uparty. Zamierzał jej to powtarzać tak długo, jak trzeba, choćby miał pogubić wszystkie pióra ze zgryzoty.

– Zuza! – Rozmyślenia dziewczyny przerwał wesoły okrzyk. Przed blokiem Matyldy stała Anka i wymachiwała reklamówką.

– Ale jest ciepło, nie? – Zaczęła mówić, jeszcze zanim Zuza zdążyła dojść do schodów. – Wspaniały wieczór na małą imprezkę! I wreszcie trochę wolnego, już myślałam, że przez cały weekend będę się uczyć francuskich słówek, a w przyszłym tygodniu mamy test z niemieckiego, dwa kursy językowe to masakra, nie wiem, jak mogłam się na to zapisać! – dodała z entuzjazmem, wyraźnie ucieszona. – No, ale zdążyłam kupić prezent! – Podsunęła przyjaciółce reklamówkę pod nos, nie przejmując się tym, że Zuzanna może zobaczyć tylko ozdobny papier i wstążeczki.

– Co to jest?

– Satynowa halka! Bardzo krótka i ogniście czerwona! – Ania wyszczerzyła się w uśmiechu. – Akurat się nada, jak tylko ich związek nabierze konkretnych kształtów!

– Super. – Zuza uświadomiła sobie, że nawet nie pomyślała o prezencie. Ale teraz niezręcznie byłoby pytać Ankę, czy może się dorzucić do randkowej bielizny.

– Wreszcie miałam za co iść na zakupy – kontynuowała tamta, niezrażona nikłym entuzjazmem przyjaciółki. – Ojciec powiedział, że skoro żyjemy w kraju, w którym młodzi wykształceni ludzie nie mogą znaleźć godnej pracy, to on wraca do wypłacania mi kieszonkowego... Mój tata bardzo dobrze to ujął, on uważa, że można sobie wysyłać CV tu czy tam, ale to i tak jest odgórnie ustalane, kto dostanie pracę, a kto nie. I właściwie się z nim zgadzam, nie można walczyć z układami tam na górze.

– Pewnie tak – zgodziła się Zuza.

Stojący kilka kroków dalej Annael wyprężył się z dumy.

– Odgórnie ustalane, to się rozumie, ustalam to niemal od pół roku. –

Mrugnął do Zanaela. – Pan Sławomir jest naprawdę bystry!

– Dobrze sobie radzisz. – Zanael spojrział na kolegę z mieszaniną podziwu i zazdrości. Prowadzona przez niego dusza miewała się coraz lepiej, wyraźnie służył jej powrót do nauki i dobrych relacji z rodzicami. W wolnych chwilach oddawała się kontemplacji przyrody. Cieszyła się też z rzeczy, które dostawała... Dawna Anka po prostu zakładała, że wszystko jej się należy. Anioł pokiwał głową. Co za wspaniałe wyniki! Czemu tylko życie Zuzanny musiało zatoczyć koło..? Już byli na górze, już widzieli jasną przyszłość, a tu znowu ten sam dołek...

A jednak – nie tylko Zuza znalazła się w punkcie wyjścia. Anioł uświadomił sobie to w tej samej chwili, w której przekroczyli próg mieszkania. Niezbyt spieszenie, bo Anka musiała opowiedzieć o zakupionej halce ze wszystkimi szczegółami, zupełnie jakby Zuza nie miała jej za chwilę obejrzeć na żywo. Jednak dobry nastrój szybko prysnął. Gospodyni przywitała swoich gości bez entuzjazmu. Była potargana i dziwnie ubrana, w stare leginsy i sweter w poziome pasy. Ciuchy wyglądały tak, jakby Matylda celowo chciała podkreślić najgorsze cechy swojej figury. Odebrała prezent z grobową miną i bez większego entuzjazmu zaczęła rozrywać papier.

– Ojej – powiedziała, wyciągając satynowe cudeńko.

– Jaka ładna! – zawołała w tej samej chwili Olga. – Cześć, dziewczyny! Rety, muszę sobie kupić taką samą... Marek po prostu oszaleje!

– Masz. – Ku największemu zdumieniu Anki, która spodziewała się wdzięczności i okrzyków podziwu, Matylda wcisnęła swój prezent współlokatorce. – Mnie się nie przyda. Pewnie nigdy – dodała, posyłając Ance przeproszające spojrzenie.

Pół godziny później wszyscy siedzieli w okręgu na podłodze, skupieni wokół dzbanka, w którym Olga wymieszała żubrówkę z sokiem pomarańczowym. Aniołom kręciło się w głowach od samego patrzenia na szklane naczynie, tylko Matiel, równie przybity jak jego podopieczna, trzymał w zębach nasączone alkoholem źdźbło trawy. Olgael przysiadł obok niego na piętach i pocieszająco klepał przygnębionego stróża po ramieniu. Tymczasem Matylda kończyła swoją niewesołą opowieść.

– I tak po prostu sobie poszedł? – upewniła się Olga, niedowierzając. – Nie próbował zrozumieć, jak to wyglądało z twojej strony?

– A po co! – zachnęła się Matylda. – Uznał mnie za głupią manipulantkę.

– I tak był dla ciebie za stary. I zupełnie bez stylu, z tymi wąsami jak u hydraulika! – Anka wyciągnęła się na brzuchu i zezowała na swoją szklankę. Szybko przypomniała sobie, co myślała o Wojciechu, zanim okazał się równym gościem. Jednak nikt jej nie poparł.

– Powinnaś dać mu drugą szansę – zasugerowała Zuzanna. Dyskretnie dołała

dodatkowy sok do drinka, z nadzieją, że pomarańcza zakryje smak alkoholu, za którym nigdy nie przepadała.

– Po tym, co mi powiedział? Mowy nie ma, kobieta musi mieć swoją godność. – Matylda pokręciła głową.

Zuzanna się zafrasowała.

– Może gdybyś do niego zadzwoniła... – podzuciła.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam?! Ładnie bym wyglądała, gdybym wydzwaniała do faceta, który mnie poniżył! – Matylda, wzburzona, niemal krzyczała na przyjaciółkę.

– A gdyby on się odezwał? – zasugerowała nieśmiało Olga.

Poniżona dziewczyna pochyliła głowę, zastanawiając się.

– Nie zrobi tego – zawyrokowała. – Już nie jestem kobietą jego marzeń, tylko infantylną oszustką. Mam nie po kolei w głowie, a z mojej książki śmieje się całe jego wydawnictwo. To już koniec tej historii.

**LATO**

## ROZDZIAŁ 32

Wiosna przeszła w późną wiosnę, a późna wiosna – w sesję. Matiel, nauczony doświadczeniami Zanaela, przygotował się na najgorsze. Kilka nocy z rzędu spędził w księgarni, czytając poradnik traktujący o tym, jak przeżyć trudne rozstanie, i wertując książeczkę o depresji. Przekartkował nawet *Spełnione życie singielki*. Zyskał mocne naukowe podstawy, aby pomóc załamanej dziewczynie.

Tymczasem Matyllda, jakby na przekór, nie zdradzała żadnych oznak załamania psychicznego. Trochę popłakała, bardziej chyba ze złości niż ze smutku, wyrzuciła przez okno ostatni bukiet kwiatów i wykasowała z komórki zdjęcia. A potem zacisnęła zęby... I zaliczyła w terminie niemal wszystkie egzaminy na uczelni. Gdyby wszyscy potrafili tak przeżywać trudne rozstania! Matyllda uczyła się za dnia, natomiast wieczorami niemal zawsze gdzieś wychodziła, dostarczając Matielowi zupełnie innych powodów do zmartwienia. Ile on się naganiał, broniąc ciała i duszy dziewczyny przed niebezpieczeństwami czekającymi na nią w klubach i na dyskotekach! Anioł byłby gotów podejrzewać Matyldę o brak uczuć, gdyby nie jej pamiętnik. Kierowany oczywiście nie tyle ciekawością, co względami zawodowymi, jak również troską, czytał młodej kobiecie przez ramię. I dowiedział się naprawdę dużo.

Wraz z końcem akademickiej sesji naprawdę nadeszło lato. I to stuprocentowe, bez widma wrześnieowych poprawek. Matylda nie posiadała się z dumy. Można było wreszcie wyciągnąć z szafy bluzeczki na ramiączkach i spódniczki, pomalować paznokcie u nóg na jakiś odlotowy kolor. Matylda wybrała pomarańcz, Zuzanna perłowy róż. Obie dziewczyny leżały wyciągnięte na skarpie, grzejąc się w słońcu. Dwie pary sandałów leżały obok, rzucone na trawę obok torebek. Spod przymkniętych powiek przyjaciółki leniwie obserwowały park. Nie tamten, po którym zdarzało się krążyć Wojciechowi – tam rozciągała się teraz ziemia przeklęta. Na miejsce relaksu wybrały zupełnie neutralny Park Szczęśliwicki, z którym nie wiązały się żadne złe wspomnienia.

– Muszę ci powiedzieć coś ważnego – zakomunikowała Matylda, przekręcając się na brzuch. Na głowie miała słomkowy kapelusz z nieprawdopodobnie szerokim rondem.

– Mhm? – Zuza mruknęła cicho, żeby dać do zrozumienia, że słucha.

– Już nie chcę wydawać powieści.

– Żartujesz!

Matylda pokręciła głową, rzucając okiem na przyjaciółkę, która wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Rozumiała zaskoczenie Zuzanny i dokładnie takiej reakcji się spodziewała. Matylda zawsze była tą dziewczyną, która chce napisać książkę o miłości. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Wiesz, z tej całej kłótni z Wojtkiem wyszła jedna dobra rzecz – zaczęła opowiadać niespieszenie. – Wspomniał o warsztatach literackich. Pomyślałam, że skoro żaden z tych napuszonych bubków z wydawnictwa nie zadał sobie trudu, żeby wskazać mi, jakie błędy popełniłam, to może warto spróbować poradzić się kogoś, kto zawodowo zajmuje się dawaniem dobrych wskazówek.

– Och. – Zuzie udało się w tym jednym dźwięku zawrzeć zarówno podziw, jak i zadziwienie faktem, że aspirująca pisarka pozwoliła komuś ingerować w swoją twórczość. No i dlaczego nie mówiła, że zaczęła chodzić na warsztaty?

– Byłam tam dwa razy, ale bardzo się rozczarowałam – kontynuowała Matylda. Zuzanna odetchnęła z ulgą. Wciąż miała obok siebie dobrą, starą Matyldę. – Warsztaty robi ten nasz dom kultury. Powiem ci, że początkowo nie wyglądało to fatalnie, bo większość uczestników w ogóle nic nie potrafi i prowadząca uznała, że mam potencjał...

– No! – przytaknęła Zuza.

– Ale potem zaczęła mi tłumaczyć, co powinnam zmienić, i wyszło na to, że całą książkę trzeba napisać od nowa, zupełnie inaczej, niż chciałam... Kazała mi zacząć od ćwiczeń...

– Mhm? – Nie wiedzieć czemu, Zuzanna wyobraziła sobie przyjaciółkę w sportowym trykocie, żonglującą piłeczkami.

– Rozumiesz, miałam opisywać różne scenki z życia, żeby nauczyć się obserwacji i szlifować styl... A równolegle zapoznawać się z czymś takim jak konstruowanie fabuły... To akurat bzdura, miałam przecież dobrą fabułę: Emmanuela najpierw była nieszczęśliwa, potem poznawała Manuela, i to dzięki nagłej koincydencji światów, mającej miejsce raz na tysiąclecie, więc moja powieść miała też wątek naukowy... A później on postanawia pozostać w jej rzeczywistości i się pobierają. Tymczasem tej całej prowadzącej strasznie zależało na tym, żeby wprowadzić zwroty akcji, żeby moi bohaterowie co i rusz mieli jakieś kłopoty... Przecież gdybym chciała, żeby cały czas mieli pod górkę, to bym to tak napisała, prawda? No i kreacje postaci, fabułę jeszcze mogłabym przeboleć, ale ten pomysł, żeby popsuć bohaterów... Rozumiem, że tak się teraz pisze, to takie współczesne, kierować się założeniem, że skoro w życiu nikt nie jest idealny, to w powieści tym bardziej...

– Mm... – Nie sposób było ocenić, czy Zuza jeszcze słuchała, czy już nie, bo leżała wygodnie z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz do słońca.

Matylda tymczasem rozpędzała się coraz bardziej, zawzięcie krytykując metodologię, a w końcu nawet samą ideę prowadzenia warsztatów literackich.

– Każdy powinien pisać tak, jak mu serce dyktuje! – ogłosiła na koniec autorytatywnie. – Dlatego już nie zamierzam wydawać mojej książki.

– Co?

Na twarzy Matyldy malowała się powaga.

– Zrozumiałam, że to jest historia, którą napisałam tylko dla siebie – oznajmiła. – Wiem, że jest niezyciowa i nawet można powiedzieć, że infantylna, niech już będzie tej całej prowadzącej... Ale właśnie dlatego kochałam moją powieść. Bo świat powinien tak wyglądać, jak to opisałam... Tylko że nie wygląda. A ja najwyraźniej nigdy nie będę pisarką.

– No coś ty! – zaprotestowała Zuza. – Możesz przecież wymyślić inną historię, masz już doświadczenie w pisaniu, poduczylaś się techniki... Najwyższa pora zacząć nową powieść! – Uśmiechnęła się, pewna, że te argumenty przekonają przyjaciółkę.

– No i właśnie to jest ta rzecz, którą zrozumiałam, robiąc ćwiczenia. – Matylda wzruszyła ramionami. – Nie mam ochoty pisać innych książek. Nie miałam ochoty spisywać scenek z życia ani nudzić o deszczu czy jesiennych liściach.

– A gdybyś... – Zuza przerwała. Pomysł, żeby nieszczęsną sprawę z Wojciechem przerobić na fabułę powieści, nie wydawał się trafiony.

– No, sama widzisz. – Matylda bezbłędnie odgadła jej myśli. – W moim życiu nie wydarza się nic, co mogłoby mieć walory literackie.

Matylda obróciła się znów na plecy i zagapiła na niebo, widoczne zza plecionki gałęzi. Zapowiadało się długie, ciepłe lato, pełne dni, które można



spędzić z przyjaciółkami. Przez chwilę myślała o Ance, która tego dnia miała kolejny egzamin, chyba z francuskiego. Matylda nieco się gubiła w tych wszystkich kursach. A ponieważ Zuza najwyraźniej znowu przysnęła, Matylda pozwoliła sobie wrócić myślami do Wojtka. Od paru tygodni starała się zachowywać dojrzałe. Nie wydzwaniała do niego, nie wystawała pod wydawnictwem. Powstrzymała się od wyprawy do osiedlowego domu kultury, chociaż wiedziała, że w ostatni weekend maja Wojtek miał tam wystąpić z wykładem „Kamienie milowe w historii literatury”. Przez chwilę Matylda zastanawiała się, że czy nie zakraść się do sali pod pretekstem wysłuchania prelekcji. Ale jednak tego nie zrobiła. Przynajmniej zachowała twarz... O ile to możliwe w przypadku niedoszłej pisarki, która postanowiła uwieść wydawcę. Nie planowała się w nim zakochać. A tym bardziej nie zamierzała się zbłąźnić. Ale pomimo tej mistrzowskiej samokontroli ciągle wracała do niego myślami. Spotkała tego jedyne go właściwego mężczyznę i natychmiast bezpowrotnie go utraciła. Ale czego można oczekiwać po życiu? Ono nigdy nie rozpieszczęło Matyldy. A w każdym razie dziewczyna była o tym głęboko przekonana.

Tymczasem Zuza pogrążała się coraz bardziej, ale nie we śnie, tylko w rozmyślaniach, pełnych podziwu dla bohaterskiej postawy Matyldy. Jej przyjaciółka posiadała cenną umiejętność zostawiania różnych spraw za sobą. Zdecydowała, że nie chce już publikować książki – i naprawdę przestało jej zależeć. Rozstała się z Wojciechem i poszła dalej, nie zasypując go wiadomościami i nie bawiąc się w „koleżeńskie” spotkania. Gdyby tak ona, Zuza, opanowała tę sztukę! Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest Matyldą. Zrywa raz na zawsze z Adamem i już nigdy nie odbiera od niego telefonu. Poznaje zupełnie nowych ludzi, znajduje jakąś pasję... Tymczasem w jej życiu wszystko było długotermionowe: te same studia przez pięć lat, ten sam chłopak, ten sam pokój, którego ani razu nawet nie przemeblowała. Zuza musiała ze wstydem przyznać, że na miejscu Matyldy, na którym oczywiście nie była, dałaby mężczyźnie i drugą, i trzecią, i pięćdziesiątą szansę, w nadziei, że rozdzieliło ich zwykłe nieporozumienie. Ta myśl zatrzymała Zuzannę na dłużej. Czy to nie był właśnie przypadek jej przyjaciółki? Zwykłe nieporozumienie... Ale nie mogła zasugerować tego Matyldzie, bo dziewczyna najwyraźniej przysnęła, z twarzą ukrytą pod słomkowym kapeluszem.

W tym samym czasie po drugiej stronie skarpy odbywała się narada wojenna. Matiel i Wonsael siedzieli naprzeciw siebie, pogrążeni w gorączkowej wymianie zdań. Między nimi, na wygniecionym kawałku trawy, leżały dwa piórka, pięćdziesięciogroszówka i szminka, która wypadła z torby Matyldy. A pod kolanem Matiela leżał dziewczęcy pamiętnik, założony w kluczowych miejscach źdźbłami trawy.

– A jeśli zrobimy tak – zasugerował Matiel, przesuając jedno z piór w stronę monety – ty nakłoniś Wojtkę, żeby napisał list do Matyldy...

– Wojciech Miśkiewicz już zdecydował, że nie będzie się z nią kontaktował – zaprotestował Wonsael. – Omawialiśmy to.

– A gdybyś zasugerował mu, że nigdy nie wyśle tego listu? Wyrazi jedynie swoją głęboką miłość do dziewczyny i schowa kartkę do szuflady. O, wiem! Niech napisze wiersz! Natomiast my wykradniemy kartkę... – zapalił się Matiel.

– A może zostawimy na chwilę moją duszę i skoncentrujemy się na Matyldzie? – Wonsael skrzywił się lekko, podnosząc szminkę z trawy. – Powiedzmy, że twoja podopieczna zrozumie w końcu, jak infantylne było jej zachowanie i postanowi, oczywiście w dojrzały sposób, wyjaśnić całą sytuację Wojciechowi... Niech powie mu, co naprawdę czuje! – Zdecydowanym ruchem położył szminkę obok monety. Drugi anioł przez chwilę przyglądał się, mrużąc oczy.

– Niemożliwe, o tym też już dyskutowaliśmy – przypomniał. – Matylda nie może porozmawiać z Wojtkiem, bo czuje się odrzucona i zraniona. – Opiekuńczym ruchem zagarnął szminkę.

– Ona czuje się zraniona? A co my mamy powiedzieć? – Wonsael schował monetę w zaciśniętej pięści. – Zostaliśmy oszukani, bawiono się naszymi uczuciami... A ze swojej strony dodam, że cała sprowokowana przez tę smarkulę sytuacja zagrażała interesom wydawnictwa! Wojciech nie może tak po prostu zapomnieć o całej sprawie, on jest idealistą i romantykiem!

– Moja Matylda też jest idealistką! – Matiel odwrócił wzrok, głęboko urażony. Przez chwilę wpatrywał się w trawę, na której pozostały dwa samotne piórka. Nie wyglądało na to, żeby przez kilka ostatnich tygodni zrobili szczególne postępy. Anioł zadumał się głęboko. Naprzeciwko niego gniewny Wonsael wpatrywał się w przestrzeń, nerwowo skubiąc wąsy.

– A ten list – odezwał się nagle. – A gdyby Matylda napisała list do Wojciecha...

– To niemożliwe, już mówiliśmy o tym! – Matiel westchnął.

– No, to niech go nie wysyła! – Wypalił Wonsael, zachwycony własnym pomysłem. – Niech opisze swoje uczucia, jak w tym fragmencie pamiętnika, gdzie rozwodzi się o miłości życia, tylko może bez tych wszystkich bzdur o wąsach, a potem schowa kartkę do szuflady i pójdzie spać czy coś, a ty wykradniesz list...

Matiel jęknął. Coś mu mówiło, że omawiali już podobny plan.

– A takie się zaczęło śliczne lato – mruknął. – Matylda i Wojtek mogliby teraz planować jakiś wakacyjny wyjazd, a tak...

– Też bym wolał, żeby było zimno i padało – przytaknął poważnie Wonsael.

## ROZDZIAŁ 33

– Nie ma to jak konsekwencja – pochwalił sam siebie Annael.

– To nie konsekwencja, to upór – odparował Matiel niechętnym tonem. – Pozwoliłbyś jej znaleźć tę pracę, już i tak tyle się nauczyła...

– Zrobiła wystarczająco duże postępy, i to niemal sama z siebie – dodał zachęcająco Zanael, usiłując się uśmiechnąć. Pomimo pogodnej aury ciepłego letniego dnia, anioł znów wydawał się przygaszony, jakby dźwigał na barkach ciężar nie jednego dziewczęcego losu, a całego wszechświata.

– Nic z tego! – W przeciwieństwie do kolegów Annael sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z życia. Bujał się na łączu sieciowym w pokoju Anki i znów kasował maile. Praca była lekka i przyjemna, w porównaniu z tą orką, którą wykonywał zimą i wczesną wiosną. Jego podopieczna co prawda nie przedstawiała obsyłać potencjalnych pracodawców swoim *Curriculum Vitae*, ale robiła to najwyżej raz w tygodniu, licząc na to, że wraz z każdym zaliczonym kursem zawodowym jej szanse na rynku wzrosną. Póki co, ukończyła dopiero szkolenie z księgowości, więc nie było pośpiechu.

– Już jej tak nie zależy, zobacz, koncentruje się na tylu innych rzeczach poza pracą – przekonywał Matiel. – Uczy się, buduje zdrowe relacje z innymi ludźmi, jeszcze chwila i pewnie się szczęśliwie zakocha...

– Tak, ona to mogłaby się szczęśliwie zakochać – przytaknął Zanael. W jego głosie można było wyczuć nutkę zazdrości. – Pewnie nawet w kimś uczciwym

i prawdomównym... Raczej nie będą się spotykać za plecami jego żony.

– I na pewno nie rozstanie się z nim przez pomyłkę – dorzucił swoje Matiel.

– No przestańcie! – Annael, wzburzony, zamachał skrzydłami. O mało nie przegapił ważnego maila. Nie mógł pozwolić, żeby przez jego nieuwagę dziewczyna została asystentką redaktorki w osiedlowej gazecie „Twój Dzień”, nawet na śmieciowej umowie. – Przecież wasze dusze też sobie nieźle radzą, nie ma co histeryzować...

Zamiast odpowiedzi, napotkał spojrzenie dwóch par oczu, wpatrujących się w niego z oburzeniem.

– No ale zobaczcie, na przykład Matylda... – Annael nie zdążył jednak wyjaśnić, dlaczego Matylda świetnie sobie radzi w życiu, bo w tej właśnie chwili do pokoju Anki wtargnęła jej matka.

– Wyłącz już ten komputer, jesteś niegotowa! – Eleonora wyglądała jak uosobienie dobrego gustu i elegancji, w przeciwieństwie do swojej córki, siedzącej na łóżku w pasiastym, pomarańczowo-czarnym dresie. Anka oderwała wzrok od ekranu laptopa.

– No przecież nie przyjdiesz na obiad przebrana za tygrysa! – emocjonowała się matka. – Mówiłam ci ze dwadzieścia razy, że mamy gości!

– Przyjdzie wujek i jego kumpel z synem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. Niechętnie spojrzała w stronę szafy, a potem znów na mamę. Strój i mina Eleonory jednoznacznie sugerowały, że również Anka powinna zasiąść do rodzinnego obiadu ubrana w sukienkę i buty na obcasie. Nie zdążyła jednak tego przemyśleć, bo jej mama pierwsza dopadła do szafy.

– Sukienka, koniecznie – zaczęła mówić do siebie, przerzucając rzeczy córki. – Może nie ta, którą założyłaś na rozmowę o pracę, tylko coś kobiecego, mamy lato, ty dopiero co skończyłaś studia...

– Prawie rok temu – zaprotestowała dziewczyna.

– Ale Fryderyk właśnie obronił magisterkę, więc na razie nie musimy mówić, że jesteś rok starsza... O, w tym będziesz ślicznie wyglądać! Tylko czy ty zdążysz się umalować?

– Fryderyk..? – powtórzyła Anka, nieco oszołomiona.

– Syn Jeremiasza ma na imię Fryderyk – potwierdziła mama, nie odrywając wzroku od sukienki. Przyjrzała się krytycznie niewyprasowanym koronkom przy kołnierzyku. – Może zwilżyć to wodą, przecież nie zdążymy już z prasowaniem... Znakomity chłopak, właśnie skończył prawo, będzie robił praktyki w kancelarii ojca...

– Jeremiasz? Fryderyk? Pięknie, ale ja się nie nadaję do pracy w kancelarii. – Anka westchnęła. – Mamo, to świetnie, że próbujecie znaleźć mi pracę, ale do kancelarii nie przyjmą nikogo, kto nie ukończył prawa, nawet po znajomości...

– Nie próbujemy znaleźć ci pracy. – Eleonora odwróciła się w końcu od szafy. Spojrzała na córkę poważnie. Na chwilę nawet przestała się spieszyć i przysiadła na brzegu łóżka. – Kochanie, młoda i ładna dziewczyna nie musi za wszelką cenę szukać etatu. Ja na przykład nigdy nie musiałam się o to martwić...

– Bo wyszłaś za mąż za tatę... – Anka zaczęła wreszcie łączyć ze sobą fakty.

– Z miłości – podkreśliła Eleonora. – Ale młodej i ładnej dziewczynie jest łatwiej w życiu, jeśli zakocha się w kimś odpowiednim. – Nie powiedziała nic więcej, ale Ance wydało się, że i tak usłyszała puentę tej myśli: „Na przykład w młodym, obiecującym prawniku”.

– A ty dokąd znów idziesz?

Zuzanna zatrzymała się w pół kroku. Zadane przez mamę pytanie zastało ją w otwartych drzwiach mieszkania.

– Na spacer – bąknęła, świadoma, że Anita przygląda się uważnie jej letniej sukience, sięgającej do połowy ud.

– W tej sukience da się usiąść?

– Mamo!

– To z kim ta randka? – Anita oparła się o framugę kuchennych drzwi i postukiwała o nią drewnianą łyżką. Jej córka, zdziwiona, przełknęła ślinę. Dawno już wyrosła z tłumaczenia się, gdzie wychodzi i z kim spędza czas. Do tej pory matka zawsze szanowała jej prywatność i o nic nie dopytywała.

– Nie mam siedemnastu lat – burknęła, czując, że się czerwieni.

– A to ciekawe. – Łyżka miarowo stukała we framugę. – Bo widzisz, ja też nie mam siedemnastu lat.

Zuzanna, speszona, wbiła wzrok w podłogę.

– Tylko nie marnuj czasu na mężczyznę, którego wstydzisz się przedstawić rodzinie. – Poważne słowa nieprzyjemnie uderzyły Zuzę. No tak, mama nie wiedziała, że parę ulic dalej na jej córkę czeka Adam. Od przypadkowego spotkania wiosną widzieli się już... Chyba straciła rachubę. Ale to były niewinne, koleżeńskie spotkania. W innych okolicznościach Zuzanna mogłaby wyjaśnić to mamie, ale z jakiegoś powodu teraz czuła się jak przyłapana na gorącym uczynku złodziejka cudzych mężów.

– No bo właściwie... – urwała, orientując się, że kieruje te słowa w przestrzeń. Pani Jezierska wycofała się już do kuchni, zostawiając córkę samą z jej życiem.

Anka nie po raz pierwszy czuła się na rodzinnym obiedzie jak na rozmowie kwalifikacyjnej. Albo może jak na planie serialu. Opcjonalnie jakby siedziała na wystawie sklepowej. Wyszukiwanie kolejnych porównań pozwalało jej nie tracić zimnej krwi. Wystawa sklepowa była najlepszą metaforą, uznała po chwili.

Ostatecznie musiała tylko siedzieć i ładnie wyglądać, to jej rodzice wzięli na siebie prowadzenie błyskotliwej rozmowy.

Cała scena przypominała Annie dzień, w którym zdecydowano się poprosić wujka Mirosława o załatwienie dla niej pierwszej pracy. Wtedy też nie obyło się bez wykrochmalonego obrusa i zastawy ze złotym wzorkiem, i to pomimo że Mirosław był rodzonym bratem Sławomira. Teraz sytuacja była poważniejsza. Wujek Mirosław musiał zadowolić się miejscem obok Anki, ponieważ u szczytu stołu siedział Jeremiasz, najlepszy kumpel wujka, a przy tym znakomity prawnik. Pochylony nad stołem, w milczeniu siorbał brokułową zupę. Anka odniosła wrażenie, że gość boi się dotknąć śnieżnobiałego obrusa. Na pewno nie był duszą towarzystwa. W przeciwieństwie do swojego syna, Fryderyka. Młody mężczyzna, chudy jak tyczka i równie, w odczuciu Anki, atrakcyjny, zdążył już dogadać się ze Sławomirem. Ojciec Anki siedział po drugiej stronie stołu, wygodnie rozparty na krześle. Wyglądało na to, że przynajmniej oni dwaj dobrze się bawią.

– Jeśli ktoś nie radzi sobie z wypełnieniem PIT-u, powinien udać się do biura rachunkowego – perorował Sławomir. – Jasne, to są koszty, ale za głupotę się płaci.

– Dokładnie, znakomicie pan to ujął. To właśnie miałem na myśli. – Fryderyk mówił przynajmniej dwa razy głośniejsz, niż było potrzeba. Anka na chwilę zadumała się nad tym, czy słyszą go również sąsiedzi. – Dlatego powiedziałem mojemu znajomemu: jeśli chcesz, żebym wypełniał twoje zeznania, zapłać mi za usługę! – kontynuował młodzieniec z ogniem w oczach. – Nie ma czegoś takiego jak koleżeńska przysługa, gdy w grę wchodzi praca. Słyszał pan o takim zjawisku jak psucie rynku?

Anka westchnęła. Przynajmniej nie musiała się oganiać od niechcianego adoratora. Ten cały Fryderyk nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

– To takie trudne, te PIT-y! – wtrąciła lekko pani Eleonora, klepiąc Ankę po ramieniu i dyskretnie poprawiając koronkowy kołnierzyk przy jej sukience. – My z córką zupełnie się na tym nie znamy! – Ukryty komplement pod adresem zebranych przy stole mężczyzn przeszedł bez echa. Fryderyk, pochylony nad stołem, wpatrywał się w Sławomira i świata poza nim nie widział.

– Tak, właśnie! – wykrzyknął, a Anka pożałowała, że nowy gość nie ma gdzie pokrętnie do ściszenia dźwięku. – Rozumie pan, z mojego zawodowego – podkreślił to słowo – punktu widzenia takiego rodzaju koleżeńskie – to słowo też zostało podkreślone, tyle że ze wstrętem – prośby to zwyczajna bezczelność! Czemu miałbym udzielać porad prawnych za darmo, mniejsza o to, znajomym czy rodzinie...

– Praca to praca – potwierdził Sławomir, chociaż uwaga o rodzinie nieco zbiła go z tropu. Ojciec Anki zawsze uważał, że krewni to podstawa, a drzewo genealogiczne jest święte.

– Zainwestowałem mój czas, pieniądze, żeby zdobyć wykształcenie... Studia

prawnicze to nie jest jakaś tam polonistyka czy filozofia, to pięć lat poważnej pracy, zarwane noce... – Z każdym słowem Fryderyka Anka lubiła go coraz mniej. Rzuciła ostrożne spojrzenie mamie, ale wyglądało na to, że Eleonora wciąż jest zbyt dumna ze swojego pomysłu wyswatania córki, żeby dostrzec oczywiste wady przyciągniętego na rodzinny obiad kandydata na męża. Za to na swojego ojca Anka nawet nie musiała spoglądać. Pan Sławomir cały promieniał, szczegółowo opowiadając o tym, jak to co roku bez najmniejszego problemu wypełnia zeznania podatkowe za siebie i za żonę. Doskonale się dogadali, nie ma co.

Zniechęcenie Anki podzielał za to jej anioł stróż. Annael siedział na niewygodnym krześle pod ścianą, rzucając niechętne spojrzenia niejakiemu Frydealowi. Opiekun młodego, obiecującego prawnika zajął dla siebie całą kanapę. Jak na tak chudego anioła nieprawdopodobnie się rozpychał, miał też niemiły zwyczaj nerwowego machania stopą w takt rozmowy. Minęło zaledwie pół godziny, a Annael zdążył już się strasznie stęsknić za towarzystwem Matiela i Zanaela. We trzech może daliby radę zaklepać kanapę dla siebie, usuwając Frydeala z pola widzenia. Ale i Zanael, i Matiel byli zajęci, czuwając przy swoich podopiecznych. Annael podkulił boscie stopy. Byłoby dużo zabawniej pójść z kolegami, ale Anna potrzebowała duchowego wsparcia... A on musiał trzymać rękę na pulsie, na wypadek gdyby pod koniec wieczoru padła jakaś nieprzemyślana propozycja matrymonialna. Chociaż, jak na razie, nie zanosilo się nawet na powtórkę spotkania... Chyba że pan Sławomir zaprosi gdzieś Fryderyka.

W tym samym czasie, gdy Anka nudziła się na zaaranżowanym przez rodzinę obiedzie, romantyczne uniesienia przeżywała Zuza. Tłem dla sercowych wzruszeń stały się Łazienki, park, po którym spacerowali z Adamem w jej studenckich czasach. Teraz znowu stali ramię w ramię na moście nad jeziorkiem, oparci o balustradę, jak za starych dobrych czasów... Kiedyś przychodzili tutaj karmić kaczki, dlatego Zuza zabrała ze sobą kawałek bułki, ale dawna zabawa chyba już nie interesowała Adama, dlatego dziewczyna sama rzuciła parę kawałków pieczywa na wodę. Reszta leżała i kruszyła się na dnie jej torebki, a znudzone kaczki odpłynęły z powrotem spod mostu na środek jeziora. Zuzanna już od dłuższej chwili nie patrzyła na wodę. Przyglądała się za to, jak słońce obrysowuje profil mężczyzny. Niezależnie od wszystkiego, pomyślała, jej niedoszły mąż jest naprawdę przystojny. Wysokie czoło, rzymski nos... Może jedna rzecz przestała jej się podobać, ale to był drobiazg: podbródek Adama. Robił wrażenie za mało zdecydowanego, jakby cofał się przed życiowymi trudnościami. Swoją drogą, ten rys twarzy niestety doskonale pasował do charakteru mężczyzny. Zuza uczepiła się swojego nowego odkrycia. Czy nie był to kolejny dowód na to, że wyleczyła się już z niedobrej miłości, a jej relacja z Adamem nabrała czysto

przyjacielskiego charakteru? Zakochane dziewczyny nie widzą przecież żadnych skaz w swoich chłopakach. Zuzanna mogła o tym zaświadczyć z własnego doświadczenia. A teraz widziała wyraźnie aż dwie wady Adama: pierwszą była jego żona, a drugą za mało zarysowany podbródek. A więc wszystko było w porządku.

– Co się tak gapisz? – burknął Adael, kierując te słowa do Zanaela. Oba anioły stały nieco dalej, przy tej samej balustradzie. Potężny Adael uniósł lekko skrzydła, przez co wydawał się jeszcze wyższy.

– Ja? Jak śmiałym – odburknął Zanael. O dziwo, towarzysz Adama coraz mniej go onieśmiał. – Czekam, aż coś zrobisz – dodał po chwili odważnie. Adael zafrasował się i nagle jakby zmalął.

– Och, no tak... – jęknął, kierując te słowa ku kaczkom pływającym w kółko po jezioru. Wyraźnie brakowało mu inicjatywy.

– Nie dzieje się nic strasznie złego – rzucił po chwili, nawet nie zdając sobie sprawy, jak bardzo zirytował tym Zanaela. – Nie możemy uciec się do cudownej interwencji w takiej sytuacji, raczej pozostałbym przy tym, co robimy...

Zanael otworzył oczy szerzej.

– A co niby robimy?

To pytanie nie doczekało się odpowiedzi, w tej samej chwili niespodziewanie odezwał się Adam. Niestety, odwrócił się przy tym do Zuzanny i posłał jej długie spojrzenie hipnotyzujących jasnoblękitnych oczu. Oczom, w przeciwieństwie do podbródka, nie można było nic zarzucić.

– Wyjedźmy gdzieś razem – zaproponował, wprawiając oba anioły w lekkie osłupienie. Nawet Zuza przez chwilę nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– W następny weekend – kontynuował. – Zarezerwuję nam dwa pokoje w domku nad jeziorem, gdzieś na Mazurach... – dodał takim tonem, jakby domek nad jeziorem wszystko wyjaśniał.

– Ale... – Zuzanna zaczęła protestować, ale Adam nie pozwolił jej dokończyć. Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Wiem, co myślisz – oznajmił. – Ale powiedz, kto może nam zabronić?

– Ja! – wydarł się Zanael. Niestety, nawet jeśli ten krzyk dotarł do Zuzy, to dziewczyna wsłuchiwała się w monolog Adama, nie w anielskie podszepty.

– Są wakacje – kontynuował mężczyzna kuszącym głosem. – Żadne z nas dawno nigdzie nie wyjeżdżało, prawda?

Zuzanna skinęła głową. Domek nad jeziorem? Adam opowiadał jej, że jego Anetka nie uznaje takich miejsc. Tylko hotele z czystymi ręcznikami i suszarką do włosów w łazience, plazmą i klimatyzacją w pokoju – pamiętała, jak Adam o tym opowiadał, skarżąc się na żonę. Góry, domki nad jeziorem czy wczasy pod namiotem – takie były ich wspólne wyjazdy, zanim wszystko się zawaliło. Wakacje Zuzy i Adama.



– Ale co powiesz żonie? – zapytała, chcąc chyba uciszyć protestującego głośno Zanaela. Nie musiała być świadoma obecności anioła, i tak czuła, że coś zabrania jej zgodzić się na taki wyjazd.

Ku największemu zdziwieniu Zuzanny mężczyzna uniósł brwi do góry, jakby pytanie, które zadała, było zupełnie niepoważne.

– Jak to co? Prawdę – odparł. To była chyba ostatnia rzecz, której ktokolwiek mógłby się spodziewać. Nawet od strony wody dobiegło zdziwione kwakanie kaczek. – Przecież nie robimy nic złego – wyjaśnił.

– No tak. – Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie. Umawiali się na koleżeński wyjazd, nie na ucieczkę od świata, w tajemnicy przed wszystkimi... Więc dlaczego czuła się tak niezręcznie? Najwyraźniej Adamowi łatwiej przyjdzie poinformowanie żony, niż Zuzie przyznanie się do wszystkiego rodzicom. Może to z nią coś było nie w porządku? Przecież była dorosła. Wiedziała, co robi. Odsunęła od siebie myśl o mamie stojącej w kuchennych drzwiach i miarowo uderzającej łyżką we framugę.

– A twoja rodzina? – zapytała jeszcze na wszelki wypadek, ale czuła już, że da się przekonać do tego wyjazdu. – Raz się żyje, prawda? – szepnęła bardziej do siebie niż do Adama.

– No właśnie! Tylko raz! Bardzo krótko! Nie można robić takich rzeczy! Jeszcze parę głupot i nie starczy ci życia, żeby to wszystko poodkręcać! – Zanael machał skrzydłem tuż nad jej głową. Poziom jego wzburzenia dobił właśnie do dziesięciu punktów, i to w pięciopunktowej skali. To było nie w porządku, to po prostu nie mogło mieć miejsca, taki obrót spraw! Już raz rozwiązał ten problem. Adam zniknął z życia Zuzy, chociaż jej aniołowi zajęło to wiele miesięcy, wiele miesięcy ciężkiej pracy... A teraz wszystko zaczynało się od początku. To było nie fair, po prostu... Miał ochotę rzucić aureolę na ziemię i zacząć po niej skakać. Jeśli tak dalej pójdzie, on sam będzie potrzebował pomocy. Może dobrego psychoterapeuty. Zamarzył o wygodnej kozetce w czystym białym pokoju. Wygodna kozetka, relaksująca muzyka i psychoterapeuta, który wysłucha tej całej historii, nie przerywając.

– Dla mnie to też jest trudne – rzucił pocieszająco Adael. W odczuciu Zanaela flegmatyczny anioł zdecydowanie za mało przeżywał tę sprawę. Ale przecież nie od dzisiaj był irytująco spokojny. – To moja dusza zachowuje się nagannie – przyznał. – I ma zły wpływ na twoją.

Zanael zacisnął zęby.

– Za to moja jest beznadziejnie głupia – skwitował.

## ROZDZIAŁ 34

Takie wakacje... Dopiero się zaczęły, a właściwie mogłyby się już skończyć. Była sobota po południu, a Matylda siedziała sama w mieszkaniu. Olga wyjechała na dwa tygodnie w góry ze swoim Markiem. Co prawda grzecznościowo zaproponowała współlokatorce wspólne wakacje, ale Matylda równie grzecznie odmówiła. Nie bardzo widziało jej się wspinanie krok w krok za zakochaną parą, przyglądanie, jak popijają herbatę z jednego kubeczka i znikanie wieczorem, żeby nie zakłócać ich prywatności. Na wyjazd za granicę Matylda miała zbyt ograniczone fundusze, a znajomi ze studiów, z którymi spędzała ostatnie tygodnie, jak na złość porozjeżdżali się w różnych losowych kierunkach. Niezależnie od tego, jak bardzo Matylda starała się nie myśleć, że jest samotna i smutna, świat robił wszystko, żeby jej o tym przypomnieć. Od czasu do czasu spoglądała na telefon komórkowy, żeby przypomnieć sobie, dlaczego nie może zadzwonić do Wojtka. Teraz zaczęła trochę żałować, że nie spróbowała wyjaśnić mu całej sytuacji dzień czy dwa po kłótni. Może przynajmniej by się jeszcze znali, czasem mogliby się spotkać, a tak... Poczula, że jeśli jeszcze przez chwilę posiedzi zamknięta w czterech ścianach, to oszaleje. I wtedy nagle zadzwonił telefon.

– Halo? – To oczywiście nie był Wojtek. Po drugiej stronie Matylda usłyszała zdenerwowany głos Zuzanny.

– Słuchaj, czy mogłabyś pożyczyć mi śpiwór?

– Śpiwór? Ach tak, jasne. – Matylda westchnęła. No proszę, nawet Zuza ma jakieś życie i wyjeżdża na wakacje. Tylko ona jedna siedzi tu samotna, opuszczona przez wszystkich i nieszczęśliwa. Ale bardzo dzielnie będzie udawać, że nic się nie

dzieje. To jedyny sposób na to, żeby nie zdołować się jeszcze bardziej.

– Wyjeżdżasz gdzieś? – zapytała możliwie neutralnym tonem.

– Nad jezioro.

– Z rodzicami?

Zuza niemrawo zaprzeczyła, ale nie zadała sobie trudu, żeby wyjaśnić, z kim jedzie. Bardzo to miłe, że nawet nie pomyślała o tym, żeby zabrać ze sobą Matyldę. Za to pożyczyć od niej śpiwór – proszę bardzo!

– To super, że szykują ci się piękne wakacje! – Matylda uśmiechnęła się do słuchawki. – Ja niestety nie mam żadnych planów, a szkoda, zapowiedzieli same słoneczne dni, w całym kraju, pojechałabym gdziekolwiek... – dodała znacząco. Tak znacząco, że już nie dało się bardziej.

– Aha – odmruknęła Zuza. – To mogę zajrzeć po śpiwór?

– No tak, proszę bardzo... A ty nie miałaś swojego? – przypomniała sobie nagle. – Jeździliście z Adamem w różne miejsca...

Na chwilę zapadła głucha cisza.

– Pozbyłam się pamiętek – odpowiedziała w końcu Zuza. Coś dziwnego było w tonie jej głosu, ale przyjaciółka nie potrafiła określić, co konkretnie. – Słuchaj, a mogę zajrzeć już teraz?

– Możesz i teraz, ja nic nie robię... – Matylda zorientowała się, że mówi do głuchego telefonu. Przez chwilę miała ochotę cisnąć nim o ścianę. Nie podejrzewała przyjaciółki o taki brak wrażliwości. No tak, to nie była wina Zuzanny, że Matyldę czeka ponure, puste, nieciekawe lato... Ale czemu nie mogłaby okazać odrobiny empatii? Chociaż tego jednego dnia, kiedy Matylda czuła się zupełnie opuszczona i potrzebowała odrobiny ludzkiego ciepła? Może powinna specjalnie na przyjście Zuzy założyć na siebie koszulkę z napisem „S.O.S”? Ratunku, ja tu umieram na samotność! Gdzie są wszyscy? Czemu powyjeżdżali na wakacje? Może ktoś jednak wpadnie na to, żeby zabrać mnie ze sobą? Mogę się nawet nadać na bagaż!

Nie minęło nawet pięć minut, gdy rozległ się dzwonek do drzwi, wrywając Matyldę z niewesołych rozmyślań. Wojtek! – w pierwszej chwili serce zabiło jej mocniej, zupełnie irracjonalnie, bo to oczywiście nie mógł być on. Nie dzwonił telefonem, dzwonkiem do drzwi tym bardziej. Matylda otworzyła drzwi i oczywiście, zamiast Wojciecha, na progu mieszkania Matyldy stała Zuzanna, objuczona gigantycznym plecakiem. Miała na sobie spodnie moro i wyciętą koszulkę, a do tego przeciwsłoneczne okulary, chociaż powoli zapadał już letni wieczór. Długie włosy zebrała w artystyczny kok. Wyglądałaby świetnie, gdyby nie przerażony wyraz twarzy.

– To masz ten śpiwór? – zapytała bez żadnych wstępów. – Za godzinę mam pociąg, zaraz się spóźnię...

– Spokojnie, jest na dnie szafy... – Matylda ruchem ręki zaprosiła ją do mieszkania. Zuzanna musiała dzwonić, stojąc już pod jej blokiem. I pakować plecak w pośpiechu tuż przed wyjazdem. Zupełnie nie w jej stylu. A teraz stała na progu, bujając się niezdecydowanie na boki.

– Aha, słuchaj... – zaczęła.

– Mhm? – Matylda nie patrzyła w jej stronę, przegrzebując dno stojącej w korytarzu szafy.

– Jakby moi rodzice dzwoniли do ciebie, chociaż nie powinni, ale gdyby cokolwiek... – Zuza wyraźnie miała problem z wyrażeniem swoich myśli.

– To wtedy co?

– To pojechaliśmy razem.

– Razem? – A więc jednak wpadła na to, żeby zabrać przyjaciółkę na wakacje? Matylda poczuła krótki przypływ radości, ale niemal w tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie o to chodzi...

– Mam cię kryć przed rodzicami? – zapytała podejrzliwie. – To dokąd ty jedziesz? Z kim?

– Nieważne – odburknęła Zuza nieprzyjemnym tonem. Matylda westchnęła. To było głośne, teatralne westchnienie.

– Jak mam cię kryć, skoro nie chcesz mi nic powiedzieć?

Zuza nie odpowiedziała, za to zrobiła taką minę, jakby miała się zaraz rozpląkać. Matylda niepewnie podała jej śpiwór.

– A musisz tam jechać? – zapytała, na chwilę rezygnując z zaspokojenia własnej ciekawości. – Może nie jedź? – dodała, widząc zrozpaczoną minę przyjaciółki – Może po prostu olej tych ludzi, z którymi nie chcesz tak naprawdę nigdzie jechać, i wybierzmy się nad morze? – wypaliła na jednym oddechu.

– Nie wiem, może i tak nie zdążę na pociąg... – Zuzanna objęła się ramionami. Wyglądało na to, że nie dosłyszała propozycji wspólnego wyjazdu. – To bez sensu... – dodała zrozpaczonym tonem.

– No właśnie widzę – poparła ją Matylda. Widok przyjaciółki objuczonej wielkim plecakiem z czymś jej się kojarzył. No tak, wspólne wakacje Zuzy i Adama, zawsze wyruszali we dwoje, dźwigając cały majątek na plecach.

– Jedziesz z jakimś facetem, prawda? – zgadła w końcu. – I nie masz pewności, czy chcesz? – Zuza w milczeniu kiwała głową. – No dobrze... Ale jak już z nim pobędziesz, to chyba się przekonasz, czy to miało sens, prawda? – Matylda była zadowolona z tej uwagi. – Tylko jednego nie rozumiem – dodała – Czemu mi nie powiedziałaś, że poznałaś kogoś nowego?

– Muszę już bieć – odparła Zuza w tej samej chwili. Wyraz przestachu, malujący się na jej twarzy, ustąpił miejsca ciężkiej panice. – Ucieknie mi pociąg! – krzyknęła, zbiegając już po schodach. Jedną ręką pomachała Matyldzie, drugą gorączkowo tuliła do siebie jej śpiwór. Matylda wybiegła z mieszkania i wychyliła

się przez poręcz. Zdążyła dojrzeć na schodach tył uciekającej Zuzy.

– To z kim jedziesz? – krzyknęła. Ale przyjaciółka nie dosłyszała już jej wołania – albo udawała, że nie słyszy. Przed oczami stojącej na klatce Matyldy przesuwały się kolejne obrazy: Zuzanna wplątana w mafijne porachunki, wyjeżdżająca do Indii z przywódcą niebezpiecznej sekty, oskarżona o pomoc w przemyśle narkotyków, romansująca z żonatym mężczyzną... A jeśli w grę wchodzi ojciec którejś z koleżanek? Albo... Były chłopak którejś z koleżanek? Przez chwilę Matylda poczuła ukłucie przerażenia: tak, to jest jedyny sekret, którego Zuza nie mogłaby jej powierzyć... Wyjeżdżają sobie pod namiot z Wojtkiem! Będą nocować razem nad jeziorem, patrzeć na gwiazdy i nie pamiętać o zdradzonej Matyldzie! Ale nie... Nie, Zuzanna nie byłaby tak wyrachowana, żeby w takiej sytuacji pożyczać od niej śpiwór. Romans z Wojtkiem nie wchodził zatem w grę... I nagle Matylda domyśliła się, co jest grane.

Anna dawno nie była na równie nieciekawym przedstawieniu. W sumie, dawno nie była na żadnym przedstawieniu. Teraz siedziała w trzecim rzędzie, wciśnięta między własnego ojca a Fryderyka, nudząc się i cierpiąc. Pod sobą miała nie miękki fotel, a plastikowe krzeselko – bo też przedstawienie miało miejsce nie w teatrze, a w domu kultury. *Nota bene* w tej samej sali, w której niegdyś Wojciech wygłaszał swoją prelekcję o filozofii. Sztukę, będącą jakąś dziwną wariacją na temat procesów sądowych, wystawiało koło teatralne złożone z absolwentów prawa. Anka nie mogła zrozumieć, co oni wszyscy robią w mieście, skoro wakacje trwają już od dobrych dwóch tygodni. Nie rozumiała też, dlaczego połowa kwestii jest po łacinie i jakim cudem dom kultury zgodził się udostępnić absolwentom salę na spektakl. Sezon ogórkowy? Czy może nikt nie widział wcześniej scenariusza i nie mógł go oprotestować? Siedzący po jej prawej Sławomir chrząknął. Anka widziała, że nawet jej ojciec nudzi się jako mops. Rzuciła okiem na lewo. Fryderyk podskakiwał na krześle, przeżywając każdą scenę. Krzeselko dalej jego tata śledził grę aktorów z tym samym co zawsze nieodgadnionym wyrazem twarzy. Anka dyskretnie sięgnęła do torebki i zaczęła pisać SMS-a do Matyldy.

„Najgorszy sobotni wieczór w moim życiu, tata powinien się sam umawiać z tym prawniczym młotkiem” – Upewniając się, że Fryderyk nic nie widział, nacisnęła na „wyślij”. Matylda odpisała zaskakująco szybko. I zupełnie nie na temat.

„Alarm! Zuza wyjechała na wakacje z Adamem!”

– Och! – Anka mimowolnie jęknęła, ściągając na siebie uwagę Fryderyka. Młody obiecujący prawnik syknął, najpewniej dając jej do zrozumienia, żeby była cicho i skoncentrowała się na sztuce. Anka jednak zignorowała go zupełnie. Z komórką przyciśniętą do piersi przedarła się pomiędzy ludźmi do wyjścia z sali. Wychodząc, czuła na sobie wściekłe spojrzenie ojca. Pał sześć, niech sam ogląda

sobie tę sztukę. I Fryderyka.

– Jak to, wyjechała z Adamem? – Anka nie traciła czasu, natychmiast oddzwoniła do przyjaciółki. – Po co?

– Ukrywa to – wyjaśniła Matylda konspiracyjnym szeptem. – Ale jestem niemal pewna, przed chwilą pożyczyla ode mnie śpiwór. I nie, nie wiem po co z nim wyjeżdża, przecież Adam ma już żonę.

– I jest niegodnym zaufania kłamcą i manipulantem – dodała Anna podekscytowana. – To nawet gorzej niż zadufany w sobie nudziarz.

– Rozumiem, że świetnie się bawisz?

– Oj, daj spokój... Nie wiem, co mój ojciec widzi w tym Fryderyku, powinien sam się za niego wydać, dobrze by się dogadali. Muszę przyjść do ciebie, zaraz jak ta smętna tyczka wycofa się do domu.

– Jasne, przyjdź! We dwie na pewno coś zaradzimy! – ucieszyła się Matylda.

– Dobrze, a póki co, wracam na swoje miejsce... – Anka niechętnie zakończyła rozmowę. Ale mus to mus, okropne przedstawienie samo się nie obejrzy. Odwróciła się w stronę drzwi i stanęła twarzą w twarz z Fryderykiem. Zamrugęła, przez chwilę mając nadzieję, że to zły sen. Czemu takie rzeczy muszą się zdarzać? Młody obiecujący prawnik wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Myślałem, że się źle poczułaś – rzucił, tłumacząc swoją obecność za plecami dziewczyny. Zawstydzona Anka nie musiała się nawet zastanawiać, ile dosłyszał z rozmowy. Czerwona twarz chłopaka mówiła sama za siebie.

– O rety, przepraszam cię... – zaczęła, nie wiedząc, jak się wytłumaczyć. Poza tym pierwszy raz rozmawiali sam na sam. – Ja...

– Nie wiem, co ci sugerował twój ojciec, ale wcale nie zamierzałem cię prosić o rękę – przerwał jej Fryderyk. – To znaczy, nie zrozum mnie źle, jesteś bardzo ładna, ale dla mnie w kobiecie liczą się dobre maniere... I to, co ma do powiedzenia.

Anka zbaraniała i zagapiła się na niego. Mężczyzna nagle zaskakująco zyskał w jej oczach. Gorzej, że ona sama poczuła się nagle bardzo malutka. Rzeczywiście, przy Fryderyku nie popisała się ani manierami, ani intelektem.

– Tak naprawdę to dałem się namówić na wieczór z wami ze względu na tatę – dodał mężczyzna, jeszcze bardziej zbijając ją z tropu. – Ojciec uważa, że wieczory spędzone z ciekawymi ludźmi, takimi jak pan Sławomir, są na wagę złota.

Dziewczyna zamrugęła. Nie przyszło jej do głowy, że milczący Jeremiasz może cenić sobie życie towarzyskie. W zasadzie, ojciec Fryderyka zachowywał się tak, jakby nie zauważał ludzi wokół siebie. Anka zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na szczęście Fryderyk nie był zainteresowany dalszymi pogaduszkami na korytarzu.

– A skoro wyjaśniliśmy, że nie planujemy się pobrać, to czy nie masz nic przeciwko temu, żeby obejrzeć sztukę do końca? – zapytał z chłodną kurtuazją. – Zaraz przegapimy najciekawszą część.

## ROZDZIAŁ 35

Słońce zaszło i krajobraz przesuwany się za oknami pociągu zniknął, zastąpiony przez odbicie wnętrza wagonu. Zuzanna udawała, że coś tam jeszcze śledzi w mroku, ale tak naprawdę widziała tylko odbity w szybie własny profil i nieliczne światełka, rozbłyskujące, gdy tory biegly przy zabudowaniach. Adam przysunął się bliżej i wykorzystał okazję, żeby objąć dziewczynę ramieniem, oczywiście przyjacielsko. W pustym przedziale nie było nikogo więcej – nie licząc aniołów. Zanael, Annael, Matiel i Adael siedzieli w komplecie naprzeciw przytulonej pary, wbijając w Adama niechętnie spojrzenia. Nie bacząc na powagę sytuacji, Matiel zabrał ze sobą popcorn. Oczywiście metafizyczny.

– Anetka nic nie wie o tym wyjeździe – oznajmił Adael. – Tak mówię, żebyście byli zorientowani.

– Rodzice Zuzanny też nic nie wiedzą. – Zanael załamał ręce. – I co więcej, ona też nie wie, co wyprawia!

Annael i Matiel pokleпали go pocieszająco, jeden po prawym, drugi po lewym ramieniu. Adam tymczasem nachylił się nad Zuzą i odgarnął kosmyk

włosów z jej czoła. A dziewczyna, zamiast go szturchnąć, uśmiechnęła się lekko.

– To koniec – westchnął melodramatycznie Zanael. – Całkowita klęska. Moja osobista przegrana. Wiecie co? – wypalił nagle. – Jutro podaję się do dymisji.

– Do dymisji? – powtórzył Matiel, gorączkowo przeżuważając prażoną kukurydzę.

– No, zwalniam się.

– Zwalniasz? – Annael też zrobił wielkie oczy.

– Rezygnuję.

– Przecież to się nie zdarza, daj spokój. – Matiel pokręcił głową. – My się nigdy nie zwalniamy.

– Będę pierwszy. – Anioł rzucił jeszcze jedno spojrzenie tulącej się parce naprzeciwko i ukrył twarz w skrzydłach.

– Nie wolno się poddawać. – Adael wtrącił się swoim najbardziej przemądrzałym tonem. – To grzech, pograżać się w rozpacz.

– Taaa? – Matiel spojrział na niego krzywo. – A zaniechanie to nie grzech? Ktoś tutaj jest współodpowiedzialny za całą sytuację... I nic nie zrobił, by jej zapobiec!

– Dajcie spokój, kłócić też się nie wypada. – Annael rozłożył ręce. – Trzeba działać, zanim dojdzie do najgorszego.

– Do najgorszego... – jęknął Zanael. I zaczął mamrotać do siebie coś o zwolnieniu, rezygnacji i splamionym anielskim honorze.

Pociąg pędził przed siebie w ciemną noc, a w sensie metaforycznym zmierzał w stronę otchłani, podczas gdy w pokoju Matyldy dwie młode kobiety siedziały wygodnie na dywanie. Anka postukiwała paznokciem w szklanekę z herbatą. Miała bardzo poważną minę.

– Jesteś pewna, że Zuza wyjechała z Adamem?

Matylda pokiwała głową.

– Kobięca intuicja – oznajmiła poważnie. – I indukcja eliminacyjna.

– Hę? To coś z filozofii?

Matylda zrobiła minę ekspertki. Trzy miesiące studiowania na kierunku poświęconym poszukiwaniom mądrości odcisnęły na niej swoje piętno. A w każdym razie czasem coś jej się przypominało.

– Odrzucamy błędne hipotezy – wyjaśniła. – Zuza nie mogła poznać jakiegoś nowego mężczyzny i nie powiedzieć nam o tym, prawda? Wyjazd ze znajomymi odpada, bo też nie musiałyby tego ukrywać. Z rodziną nie jedzie, bo jej rodzice myślą, że podróżujemy razem.

Anka się zamyśliła.

– No bo zobacz – tłumaczyła dalej Matylda. – Co innego musiałyby ukrywać i przed nami, i przed rodziną?



– Terapię? Przemyt broni? Narkotyki? Inną dziewczynę? Może postanowiła wstąpić do zakonu i jedzie na misję do Afryki? – Anka niepewnie podrzucała kolejne pomysły. Każdą nową propozycję poprzedzała coraz dłuższa pauza. Nic jednak nie było tak straszne ani tak prywatne, aby nie powiedzieć o tym przyjaciółkom.

– Musiało być jej cholernie głupio, że znowu się z nim spotyka – zasugerowała w końcu Anka.

– Odradziłybyśmy jej.

– No pewnie, żonaty facet, a fe! To się nigdy dobrze nie kończy. – Anka poczerwieniała, przypominając sobie incydent z byłym szefem. – Pewnie powiedział Zuzie, że żona go nie rozumie – dodała, przypominając sobie własne przejścia. – I że się rozwodzą. A w ogóle, to nie rozmawiają ze sobą i mają oddzielne pokoje.

– Mhm, i że jego żona wymusiła ślub, grożąc mu z broni palnej – podsunęła Matylda. – Ewentualnie groziło mu to nienarodzone jeszcze dziecko. Ale dosyć o tym. Zuza nie odbiera telefonu. Wiemy, że pojechała na wakacje ze złym Adamem. Pytanie brzmi: co robimy?

Dziewczyny nie mogły jednak nic zrobić, nie mając pojęcia, gdzie znajduje się ich nierozsądna przyjaciółka, a Zuzanna nie ułatwiała im zadania. Jej telefon komórkowy leżał na dnie plecaka, a głowa – na ramieniu Adama. Tymczasem pociąg powoli wtoczył się na stację docelową. Zuza ocknęła się i zerwała, sięgając po plecak.

– Daj, poniosę oba. – Adam wyrwał jej bagaże z rąk, pozostawiając do niesienia jedynie lekką kurteczkę. Parę wędrowców czekała jeszcze krótka podróż pekaesem i dziesięć minut marszu przez las, w stronę domków letniskowych nad jeziorem. Adam maszerował energicznie, dowcipkując i zagadując Zuzannę. A ta czuła się dziwnie. Drogę, po części przysypaną ściółką, oświetlały niezbyt liczne latarenki. Wokół rozpościerał się, pogrążony już w mroku, las. Pachniało ziemią i liśćmi. A ona czuła się, jakby podróżowali nie pociągiem, a wehikułem czasu, i cofnęli się do zeszłych wakacji. Wtedy jeszcze wszystko było przed nią: zaręczyny, planowanie wesela i prawdziwy ślub Adama z zupełnie inną panią. Gdyby tylko można było naprawdę cofnąć czas... A jeśli można?

– To tutaj? – zapytała, widząc po lewej stronie niewielką drewnianą chałupkę. Adam jednak pokręcił głową. Minęli jeszcze kilka podobnych domków, a potem zdecydowanie brzydsze pawilony mieszkalne. Droga zaczęła robić się błotnista.

– Może tu?

– Też nie. – Adam uśmiechnął się, sugerując, że przygotował wspaniałą niespodziankę.

I tak dotarli na pole namiotowe. Wtedy dopiero do Zuzy dotarło, dlaczego jej były narzeczony targa ze sobą taki wielki plecak.

– Chyba żartujesz – powiedziała Zuzanna, rozglądając się dookoła. Po ciemku pole namiotowe nie wyglądało ani trochę przyjaźnie, poza tym było puste – najwyraźniej oni pierwsi wpadli na pomysł, żeby się tutaj rozbić. Nic dziwnego, zapowiadała się raczej chłodna noc. Zuza zacisnęła zęby, odprowadzając wzrokiem Adama, który pobiegł w stronę pobliskiego murowanego domu zapłacić za nocleg. Mająca na horyzoncie po drugiej stronie pola drewniana budka musiała być toaletą, obok niej pewnie znajdował się jakiś kran. Zuza popatrzyła na leżący u jej stóp namiot. Więc tutaj mieli nocować. Razem. I będzie diabelnie chłodno. Co Adam właściwie sobie myślał?

Nie musiała się za długo nad tym zastanawiać. Mężczyzna wrócił i zabrał się energicznie do rozstawiania namiotu.

– Trzeba było ciąć koszty, inaczej Anetka by się zorientowała – rzucił, wręczając Zuzie garść szpil do namiotu.

Zuza poczuła się jeszcze mniej wyraźnie.

– Ale ona przecież wie, że tu przyjechaliśmy?

– No tak, oczywiście, to miałem na myśli. – Nie odwrócił się do niej, zajęty rozwijaniem tropiku. Dziewczyna pokręciła głową, sama do siebie. Powoli zaczęło do niej docierać, że Adam znowu ją oszukał. To jasne, nie powiedział żonie ani słowa o wyjeździe. A przez „domek nad jeziorem” miał na myśli kawał ubitej ziemi. Szkoda, że tym razem w pobliżu nie było Anki. Mając przyjaciółkę przy sobie, Zuza może odważyłaby się odrócić na pięcie i wrócić z powrotem, w nocy przez las. Podjęła błyskawiczne postanowienie, że zrobi to rano. Adam jednak, jakby zgadując jej myśli, podszedł i delikatnie objął ją od tyłu.

– Nawet nie wiesz, jak dużo dla mnie znaczy to, że zdecydowałaś się tu przyjechać – szepnął. – Zobacz, świat przestał istnieć. Jesteśmy tylko ty i ja.

Nachylił się delikatnie, całując ją w płatek ucha, a Zuza poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

– Ale, czekaj, przecież... – podjęła poważną próbę przerwania rozpoczynającej się właśnie sceny.

– No tak, jeszcze nie rozłożyliśmy namiotu, przepraszam. – Dłoń Adama zsunęła się z ramienia na biodro dziewczyny, podczas gdy jego usta szukały ust Zuzanny. Nie było to zbyt trudne, bo chociaż kobieta kręciła głową na lewo i prawo, utrudniając sprawę, to jednak robiła to z coraz mniejszym przekonaniem. Oszołomiona Zuza poczuła, że czas naprawdę się cofnął i nic już nie ma znaczenia, a ona sama zapada się w morską toń i musi mocno uchwycić Adama, żeby nie utonąć...

I dokładnie w tym momencie lunęło. Gwałtownie i bez ostrzeżenia. Woda

chlusnęła prosto z nieba zupełnie jak zimny prysznic. Między chmurami coś się zakotłowało i po chwili na ziemi wylądował zupełnie mokry Arael.

– No nareszcie! – powitał go okrzyk ulgi, wydobywający się z trzech niematerialnych piersi.

– Wybaczcie, chłopaki, chwilę to trwało. – Skinął głową pozostałym aniołom. – Ma się te dojścia, wiadomo, ale jacyś starsi państwo z domku obok, bardzo bogobojni, modlili się o cały tydzień dobrej pogody i musiałem negocjować...

– Świetnie ci poszło. – Zanael uśmiechnął się szeroko. Mokre pióra pozlepiały się błyskawicznie, a woda ściekała cienkimi strumykami z anielskiej aureoli prosto do oczu. A jednak, niepomny o własny komfort, Zanael promieniał radością. Adam i Zuzanna, skutecznie odklejeni od siebie, biegali wokół namiotu, usiłując rozstawić chwiejną konstrukcję w strugach wody.

– Ja też pomogłem – szturchnął go Matiel. I on coraz bardziej przypominał zmokłą kurę, ale szczerzył się radośnie, a w dłoni trzymał kilka metalowych rurek, najwyraźniej stanowiących ważną część konstrukcji namiotu.

## **ROZDZIAŁ 36**

Zuzanna ścisnęła kurczowo mokry materiał tropiku. Deszcz nie ustawał ani na chwilę, a wichura uparcie próbowała porwać ich na wpół rozstawiony namiot. Ręce zdrętwiały jej zupełnie, ale nie mogła puścić swojej połowy prowizorycznego dachu. Chociaż i tak była przemoczona do suchej nitki. Obok niej Adam klęczał na ziemi, wbijając śledzie. Nie wiedziała, jakim cudem znalazły się w zaimprovizowanym środku namiotu, ani gdzie podziła się ta część, która powinna stanowić podłogę. Zmarzła i czuła się nieszczęśliwa, a mężczyzna, którego miała przy sobie, coraz gorzej radził sobie w roli obrońcy przemokniętych niewiast. Burczał coś pod nosem, a przed chwilą, w niewybrednych słowach, których nigdy wcześniej od niego nie słyszała, kazał jej trzymać tropik i nie marudzić.

„To jakiś zły sen” – pomyślała. Nie mogła sobie przypomnieć, po co tu przyjechała i dlaczego akurat z tym facetem. Już kilka razy sugerowała mu, żeby przenieśli się do domku letniskowego, ostatecznie, w tych okolicznościach przyrody wypadało zastukać do recepcji czy innego kierownika tego mokrego piekła nawet w środku nocy. Z rzucanych pod nosem uwag Adama zrozumiała, że nie jest przygotowany na takie koszty. Nie precyzował, na jakie, a kiedy zaoferowała, że sama poszuka im noclegu w czterech ścianach i zapłaci, dowiedziała się, ku swojemu najwyższemu zdziwieniu, że sytuacja jest pod kontrolą, a deszcz zaraz się uspokoi. W jej odczuciu nic na to nie wskazywało.

Jedno było dobre, widziała jeden słoneczny promyk w tej całej nawałnicy. Mężczyzna, którego miała u swego boku, wściekły i antypatyczny, w niczym już nie przypominał czarującego amanta, który cztery lata temu skradł jej serce. Przez ostatnie pół roku marzyła o tym, by mogli do siebie wrócić, a teraz ogrzewało ją gorące pragnienie oddalenia się od niego jak najdalej. Gdzieś, gdzie jest sucho i ciepło. A Adam, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, że cała sytuacja dawno wymknęła mu się spod kontroli, tracił kolejne punkty, jeden za drugim. Zdążył już nie tylko przyznać się do tego, że Anetka nic nie wie o wyjeździe, ale też nawarczał na Zuzę i zwrócił jej uwagę, że nie ma prawa do narzekań, skoro sama chciała tu przyjechać.

– I tyle z naszej pierwszej nocy pod namiotem – rzucił w którymś momencie, mocując się z mokrym tropikiem. A kiedy Zuzanna z rozbijającą szczerością wyznała, że spodziewała się koleżeńskieho wyjazdu, bez wspólnych nocy i takich tam, spojrzął na nią krzywo i powtórzył:

– Czego się spodziewałaś?

– Cały czas planowaliśmy, że jedziemy jako przyjaciele. No i miał być domek, nie namiot... – przypomniała Zuza. Wiatr zawiął mocniej, zacięło deszczem i nie dosłyszała odpowiedzi Adama.

– Co mówiłeś?

Adam powtórzył, a Zuzanna wzdrygnęła się, pamiętając, że kiedyś uważała go za dżentelmana, bo nigdy przy niej nie przeklinał.

– A ja miałem wreszcie odpocząć, bez żony i tego całego cyrku, człowiekowi należy się chyba odrobina relaksu... – kontynuował. – Ale nie, musiało się rozpaść, a ty też coś kręcisz, nagle się namyśliłaś, że nie wiesz, czego chcesz...

Adam rozwijał swój monolog, a Zuza słuchała, coraz bardziej zniesmaczona. – Wiesz jaki to stres, za parę tygodni mam zostać ojcem, Aneta nie daje mi spokoju nawet na pięć minut, to przynieś, tamto zrób, królowa się znalazła, wszystkie pieniądze trzeba oczywiście odłożyć na dziecko i nic człowiek nie wykombinuje, jak mu tak patrzą na ręce...

– A ja? Gdzie ja jestem w tym wszystkim? – wtrąciła Zuza. Musiała powtórzyć to pytanie dwukrotnie.

– No wiesz... Ty jesteś tą kobietą, przy której zawsze czułem się dobrze, nigdy nie robiłaś problemów...

– Nie robiłam problemów? – powtórzyła wściekłym tonem, zastanawiając się, czy się nie przesłyszała. I poczuła narastające pragnienie zrobienia jakiegoś problemu. Najlepiej natychmiast.

Adam chyba też to wyczuł.

– Do teraz – podkreślił przemądrzałym tonem, najwyraźniej coraz bardziej zirytowany. W tym momencie zagrzmiało i deszcz, o ile to możliwe, lunął jeszcze gwałtowniej. Zuza poczuła, że zimna woda przesączyła jej się za kołnierz i spływa po karku. Adam odwrócił się od niej, podejmując kolejną desperacką próbę wbicia w ziemię niesfornych śledzi. Puścił przy tym swoją część namiotu, spuszczać im obojgu na głowę zimny prysznic.

– Co mówiłeś? – Zuzie udało się złapać mokry tropik. Trzymała go teraz w dwóch wyciągniętych rękach.

– Że na tym polega problem z wami. Nie wiecie, czego chcecie. Niby się zgodziłaś na wyjazd, ale nie, jesteśmy tylko kolegami, ale jak coś, to przecież miałaś ochotę, prawda? – mamrotał, pochylony. – A teraz znowu, zamiast mi pomóc, tylko narzekasz i masz pretensje...

Zuzanna pokręciła głową, sama do siebie. Deszcz zmył porozumienie dusz, wielką miłość i nieśmiertelne uczucia, zakazana namiętność też zniknęła bez śladu. Jak się okazało, wystarczył jeden, ale za to porządny opad atmosferyczny, żeby splukać z Adama wszystkie maski. Przeklinający pod nosem mężczyzna z każdą chwilą coraz bardziej stawał się sobą. A kiedy z głośnym okrzykiem poddał się

i cisnął śledziami od namiotu w ciemną noc, Zuza poczuła, że poznała właśnie zupełnie nowego człowieka. Tropik zwinął się gwałtownie, wrywając dziewczynie z rąk, i cały namiot odleciał w ciemność, porwany wiatrem. Adam rzucił się za nim w pogoń, a Zuza, zupełnie mokra i najpewniej już teraz ciężko przeziębiona, niespodziewanie uśmiechnęła się do siebie.

Odprowadziła wzrokiem mężczyznę biegnącego za namiotem. Wydało jej się, że patrzy na scenę z filmu. W deszczu niewiele było widać, ledwo odbiegł o kilka metrów, a niemal zupełnie straciła go z oczu. Osłoniła oczy dłonią, rozglądając się za swoim plecakiem. Budziło się w niej nowe, piękne uczucie. Podjęła decyzję. I wreszcie była... wolna. Na tyle wolna, że zarzuciła sobie na ramiona ociekający błotem plecak i ruszyła rażno w stronę domków letniskowych, z mocnym postanowieniem zbudzenia kierownika i wynajęcia pokoju natychmiast. Dla jednej osoby. A ten cały Adam może się schronić przed deszczem w sławojce, skoro jest taki oszczędny. Pewnie jest zadaszona.

– Nie poznaję mojej dziewczyny – wyznał Zanael, rozpromieniony z dumy. Zuza skończyła brać długie, ciepłe prysznic i anioły przejęły dla siebie przytulną łazienkę w drewnianym, ale zaskakująco dobrze ogrzonym domku. Matiel owinął się cały w wielki puchaty ręcznik, a Annael suszył pióra suszarką. Zuzanna nie oszczędzała i zainwestowała w prawdziwy apartament. W końcu zostawała tylko na jedną noc. I na pewno nie zamierzała wpuszczać do swojego pokoiku Adama. Kiedy anioły widziały go ostatni raz, mężczyzna ganiał po całym polu za resztkami namiotu, a uczynna wichura przenosiła brezent z miejsca na miejsce. Możliwe, że przez ostatnie pół godziny coś się zmieniło, ale nikt nie miał ochoty wychodzić na deszcz i sprawdzać. Tylko biedny Adael pozostał na zewnątrz, pilnując swojej przemoczonej duszy. Miał zamiar nakłonić Adama, żeby wracali do domu pierwszym pociągiem. Wyglądało na to, że nie będzie to trudne. Jak przystało na porządnego manipulatora, Adam nabrał głębokiego przekonania, że to on został oszukany, zdradzony i wykorzystany. I chyba nie miał już ochoty wdzięczyc się do Zuzy. A ta tymczasem siedziała po turecku na łóżku z ręcznikiem na głowie i od dobrych piętnastu minut rozmawiała przez komórkę.

Anka zasiedziała się u Matyldy niemal do północy. Omawiały szczegółowo sytuację Zuzanny, co nie było łatwe, zważywszy na to, że na dobrą sprawę wcale nie wiedziały, gdzie pojechała. I czy na pewno z Adamem. A cała reszta stanowiła już zupełne domysły. Jednak w końcu musiały się zgodzić, że nic więcej nie działają i Ania postanowiła wrócić na noc do siebie.

Wsunęła się cicho do mieszkania, żeby nie budzić rodziców, i przemknęła na palcach do pokoju. A tam, korzystając z tego, że noc jeszcze młoda, odpaliła komputer. Godzina duchów w sam raz nadawała się na to, by poświęcić ją na

zgåębianie francuskiego. Ostatecznie, nie przestała walczyć o lepszą pozycję na rynku pracy. Zagłębiona w meandrach konstrukcji gramatycznych, o mało nie przegapiła telefonu. Była pierwsza w nocy i Zuzanna, do której wydzwaniały przez cały wieczór, postanowiła się wreszcie odezwać. A co więcej, wersja wydarzeń, którą opracowały z Matyldą, potwierdziła się w stu procentach. Anka nie musiała więc zastanawiać się, co poradzić przyjaciółce. Wszystkie mądre uwagi już czekały, przygotowane na tę rozmowę.

– Oczywiście, że to drań i nie powinnaś była nigdzie jechać! – ogłosiła Anna autorytarnie. – I bardzo dobrze, że moknie na dworze, dobrze zrobiłaś. Co? Nie, nie jesteś złą kobietą, właśnie odwrotnie, jesteś za dobra. Trzeba krańcowej naiwności, żeby uwierzyć w „koleżeński wyjazd” z takim facetem... Nie, źle się wyraziłam, chodziło mi o „niewinność”. Jasne, przecież nie twierdziłabym, że jesteś głupia... No tak, o to mi chodzi, że cały czas przypisywałaś mu dobre intencje. Podobno oceniamy ludzi według siebie. Co? – Przez dłuższą chwilę milczała, wysłuchując monologu drugiej strony. – Nie, to jego problem, że zmoknie, nie musisz mu niczego wyjaśniać. – Westchnęła ciężko. – Tak, ja też się zgadzam, że to kłamca, manipulant i egoista, nie widziałaś tego wcześniej? Matylda też tak uważa. Halo? Czekał, powtórz to jeszcze raz, bo chyba się przesłyszałam.

– Bardzo się cieszę, że nie wyszłam za niego za mąż – powtórzyła Zuza po drugiej stronie. – Poważnie. – Poprawiła ręcznik zsuwający się z włosów. Wcale nie było łatwo rozmawiać przez komórkę w turbanie na głowie. – Los był dla mnie łaskawy – ogłosiła.

– Los! – prychnął Zanael, podsłuchujący całą wymianę zdań. – Żaden los, to kilka miesięcy mojej ciężkiej pracy... Właściwie – poprawił się, czując na sobie dwa spojrzenia – szczególne znaczenie miało tu ostatnie pół roku znakomicie zgranej pracy zespołowej.

## ROZDZIAŁ 37

Zuzanna nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała tak olśniewająco piękny poranek. Obudziło ją wpadające przez koronkowe firanki światło i krótką chwilę leżała, ciesząc się samym słonecznym blaskiem. Kiedy mrużyła powieki, zdawało jej się, że kontury przedmiotów same z siebie lekko świecą. A potem uświadomiła sobie, że wcale już nie chce jej się wylegiwać pod kołdrą, więc zerwała się z łóżka i otworzyła okno, ostrożnie, na wypadek gdyby stał pod nim jakiś nieproszony gość. Ale nikogo nie było. Wciągnęła głęboko w płuca powietrze, świeże po burzy, pachnące lasem i wakacjami. Było też jezioro! No tak, przecież domki miały stać niedaleko brzegu... Zauważyła między drzewami pas błyszczącej wody. Kiedy wyszła w klapkach na ganek domku, upewniła się, że pobliskie pole namiotowe jest zupełnie puste. Walały się na nim tylko jakieś rurki, najpewniej od namiotu Adama. Przez chwilę rozglądała się wokół, zastanawiając, czy mężczyzna pojechał na dobre, czy może wyskoczy nagle zza któregoś krzaka jak zły wilk, z pretensjami i żalami. Ale coś jej podpowiadało, że może odetchnąć spokojnie. Tak więc odetchnęła i postanowiła, że przed powrotem do domu wykąpie się w jeziorze.

Woda okazała się chłodna, a trawa zbyt mokra, żeby na niej usiąść, więc kobieta ostatecznie znalazła sobie miejsce na pomoście. Dopiero teraz zorientowała się, jak wcześniej wstała. Pierwsi turyści niemrawo rozkładali koce po drugiej stronie jeziora, a na horyzoncie majaczył maszt żagłówki. Przeżuwaszając niespiesznie naprędce przygotowaną kanapkę (mokry chleb prawie wysechł, masło orzechowe było bez zarzutu), Zuza patrzyła na wodę i pasmo drzew. Po nocnej nawałnicy zieleń była wyjątkowo świeża, a cała przyroda, sądząc po świergocie ptaków, otrząsała się z wody i rażno zaczynała nowy dzień.

– To rozumiem – szepnął Matiel, nie chcąc burzyć wspaniałego spokoju poranka. Annael zamruczał cicho, wyciągnięty na deskach pomostu. W ręce trzymał patyk i bawił się, uderzając nim o powierzchnię wody i obserwując rozchodzące się kręgi. Z całej ekipy nad jeziorem pozostali tylko oni dwaj. Adael jeszcze przed świtem zabrał swojego podopiecznego i pomaszerowali razem w stronę żony, przysięgi małżeńskiej, odpowiedzialności i gotującego się do przyścia na ten piękny świat potomstwa. Zanael z kolei, jakby poranek sam w sobie nie był wystarczająco idealny, poleciał gdzieś zaaferowany, realizować



kolejny plan. Ale nie było tak źle, bo podobno miał on związek z wakacjami.

Poranek Matyldy był mniej zachwycający, poza tym zaczął się wraz z dzwonkiem telefonu. Młoda kobieta jęknęła i nakryła głowę kołdrą, zastanawiając się, kto śmie wydzwaniać o świcie. Komórka umilkła, ale była to cisza przed burzą, bo po chwili znów rozległa się natarczywa melodyjka i Matylda pojęła, że spanie się skończyło. Człapiąc w stronę telefonu leżącego na biurku, zdążyła rzucić okiem na budzik. Jedenasta – więc właściwie nie można mieć już nikomu za złe, że dzwoni.

Zwłaszcza że była to mama Zuzy. Słyszając głos pani Anity, Matylda podjęła desperacką próbę obudzenia się na dobre. Tym bardziej że sytuacja wymagała kombinowania.

– Przepraszam, że dzwonię do ciebie, ale Zuza nie odbiera.

– Um... – Matylda przypomniała sobie nagle, że według wersji oficjalnej, to ona wybrała się na wakacje z Zuzaną. Tylko gdzie miały jechać? Na szczęście pani Jezierska była lepiej poinformowana:

– Zuza mówiła, że nie macie konkretnych planów, więc chciałam was zapytać, czy nie uwzględniliście w waszych wakacjach ciotki Izabeli.

– Uhm?

– Wiem, mało emocjonująca perspektywa, ale ciocia siedzi od paru dni ze skręconą kostką i nie może wychodzić z domu, w końcu namyśliła się, żeby zadzwonić do rodziny... Oczywiście, jeśli macie inne plany, to nie będziemy was zmuszać, może ja się tam wybiorę w weekend... Ale ciotka ma duży dom, jest tam za rogiem las i jeziorko, więc właściwie...

– Las i jeziorko? – powtórzyła Matylda nabożnym tonem. To brzmiało jak wymarzone, prawdziwe wakacje... Gdyby tylko ta głupia Zuza nie szwendała się nie wiadomo gdzie z Adamem! Ale może za parę dni wróci? Ciotka nie ucieknie do tego czasu, ma skręconą kostkę... No tak, a poza tym, co Zuza sobie wyobraża, plany można zmienić, rodzina jest najważniejsza, trzeba tam jechać, i to już!

– Halo? – Głos pani Anity przywołał ją do rzeczywistości.

– Skontaktuję się z Zuzą... To znaczy, dam jej znać, jak wróci, eee... spod prysznic – poprawiła się szybko, łatając dziury w rzeczywistości błyskotliwym kłamstwem.

– No, w każdym razie poproś ją, niech do mnie zadzwoni. – Pani Anita ciężko westchnęła.

Wyglądało jednak na to, że zły los się odwrócił i rzeczywistość wreszcie jest po stronie Matyldy. Ledwo skończyła rozmowę, zorientowała się, że w nocy Anka wysłała jej kilka wiadomości. Matylda przebiegła wzrokiem po opisie stanu emocjonalnego Zuzy i po refleksjach Ani i skoncentrowała się na faktach. A z faktów wynikało, że zły Adam zniknął na dobre, a Zuza, ocalona z jego sideł,

wieczorem powinna wrócić do miasta. Matylda miała więc akurat kilka godzin na spakowanie plecaka i przygotowanie się do wyjazdu nad jeziorko, do tej ciotki, jak-jej-tam-było, która tak szczęśliwie skręciła kostkę.

Następnego dnia o tej samej porze anioły znów siedziały w pociągu, całą trójką: szczęśliwy Zanael, rozradowany Matiel i uśmiechnięty Annael. Poprzedni dzień zszedł im na aranżowaniu rozmów telefonicznych, ale wszystko przebiegło zgodnie z planem. Matylda dodzwoniła się w końcu do Zuzy i obie zgodziły się, że wyjazd do ciotki jest znakomitym wakacyjnym planem; wpadły też na świetny pomysł, żeby zabrać ze sobą i trzecią przyjaciółkę. Anka zapytała tylko, czy u cioci jest internet; nie mogła przecież przegapić ważnych maili, nie mówiąc już o kursach... Ale poza tym gotowa była jechać nawet zaraz. Na szczęście Adam nie dzwonił do nikogo i nikt nie dzwonił do Adama. Zanael pomyślał z pewnym żalem, że w tych okolicznościach pewnie nie będą już widywać Adaela – pomimo tej całej tragicznej sytuacji zdążył polubić mrukiwego anioła o gabarytach kulturysty.

– Musicie przyznać, że nieźle to wypadło, co? Dziewczyny jadą razem na wakacje! – uśmiechnął się szeroko.

– Więc to był ten twój pomysł? – upewnił się Matiel. – Ale mam nadzieję, że nie przyłożyłeś ręki do tej skręconej kostki?

– No coś ty! – Anioł zafurkotał z oburzeniem. – Ciotka już od dawna namawiała Zużę do przyjazdu... Poleciałem, żeby jej przypomnieć o tym pomysle, skręconą kostkę zastałem już na miejscu. Zresztą, tak na moje oko, to Izabela dobrze sobie radzi, z kostką czy bez. W każdym razie koty były zadbane.

– Ma kota? – ucieszył się Annael.

– Koty. – Anioł podkreślił liczbę mnogą. – Ciocia ma KOTY.

Stacja kolejowa w Milanówku, na której wysiadły przyjaciółki, leżała na trasie prowadzącej do wsi, z której pochodził Adam – i warto zaznaczyć, że Zuzanna nie myślała o tym wcale. Całkowicie koncentrowała się na próbach porównania rzeczywistości z mapą wydrukowaną z internetu. Wyglądało na to, że żadna z ulic nie znajduje się na swoim miejscu, a w czasie, gdy jechały pociągiem, dobudowano kilka nowych... I najwyraźniej jacyś ateści ukradli kościół. Na szczęście podróżniczkom pomogli miejscowi. Dziewczyny, poinstruowane przez miłą staruszkę handlującą kapeluszami ze słomy, minęły centrum, przemaszerowały bulwarem, skręciły w jakąś bardzo długą ulicę, potem w następną... I w końcu stanęły przed furką cioci Izabeli. Warto zaznaczyć, że Matylda przewędrowała całą tę trasę w nowym nakryciu głowy z imponującym, szerokim rondem. Jeszcze bardziej imponującym, niż przy jej poprzednim kapeluszu, który w tych okolicznościach przejęła Zuzanna.

Ciocię Izabelę odnalazły w ogrodzie. Siedziała na leżaku w wielkich

okularach przeciwsłonecznych. Zuza od razu zauważyła, że ciotka zmieniała fryzurę: aktualnie jej włosy były krótkie i w większości w odcieniu jasnego blondu, jeśli nie liczyć papuzich pasemek za uszami i nad karkiem. Kostka cioci była dokładnie obandażowana, a obok leżała praktyczna laseczka. Zaś na ciocinym podółku wygrzewał się czarny kot.

– Moje kochane, już jesteście! Przyjechałyście do starej ciotki! – wykrzyknęła, najwyraźniej natychmiast uznając przyjaciółki Zuzy za część swojej rodziny. – Zuziaczek! Nachyl się tutaj, niech cię uściskam! Zaraz pokażę wam, gdzie przygotowałam pokoje...

– Tylko niech ciocia nie wstaje, nie ma potrzeby! – zaniepokoiła się Zuza. – My sobie ze wszystkim poradzimy!

Ciocia Izabela skinęła głową z zadowoleniem. Zuzanna, potakując, wysłuchiwała szczegółowych instrukcji obejmujących spanie, jedzenie, kwestię deserów, późnych powrotów do domu i kieszonkowego (ciotka nijak nie mogła przyjąć do wiadomości, że stojące przed nią trzy dziewczyny są dorosłe, i to od jakichś siedmiu lat). Tymczasem Anka dyskretnie wyjęła komórkę, żeby sprawdzić, czy w ogrodzie jest zasięg, a Matylda z rozanielonym wyrazem twarzy rozglądała się wokół. Leżak ciotki stał na trawniku przed domem. Przy ogrodzeniu rosły gęste różane krzaki, a w trawie, która była przystrzyżona tylko przy samym domu, chowały się margerytki. W rogu ogrodu dostrzegła starą jabłoń. Wokół budynku biegła żwirowa ścieżka, a za nim majaczył najprawdziwszy las. Porządny, nie jakieś tam dziesięć czy dwadzieścia drzew na krzyż. A nad tym wszystkim, gdy spojrzała do góry, majaczyły słomki, wystające z jej nowego kapelusza. Matylda westchnęła z zachwytem i przeniosła uwagę na dom, odnotowując pomalowane na niebiesko okiennice i niewielki taras. Na stoliku stał szklany dzbanek pełen czegoś dobrego i cztery szklanki. Najwyraźniej dziewczyny były oczekiwanymi gośćmi. Uśmiechnęła się szerzej, kiedy przez kłapkę w dolnej części drzwi przelazł gruby, pręgowany kot. Za nim wysunął się łeb rudej kotki. Wtedy coś poruszyło się na parapecie za oknem i Matylda odnotowała obecność jeszcze jednego zwierzęcia. Ile ich razem było? Cztery?

W tym samym czasie inspekcję ogrodu przeprowadzali także aniołowie. Tyle że na nich czekała większa niespodzianka.

– Cześć! – Wesoly okrzyk sprawił, że wszyscy trzej mimowolnie się wzdrygnęli, a Zanael aż podskoczył. Chwilę później zatrzęsły się liście jabłonki i z drzewa sfrunął mały kupidynek. Gdyby stanął na palcach, mógłby sięgnąć Zanaelowi do piersi. Zamiast tradycyjnej białej kupidynkowej przepaski aniołek nosił krótkie spodenki i koszulkę w kolorze intensywnej żółci. I sandałki.

– Jestem Izabiel, a wy? – zapytał.

Annael, Matiel i Zanael spojrzeli po sobie, po czym Zanael odchrząknął.

– Przepraszam, opiekujesz się ogrodem? Różami? – zapytał możliwie

uprzejmym tonem.

– Ogrodem, różami, wszystkim, jasna sprawa! – Kupidynek zamachał skrzydłami jak szalony. – Już wiem, ty jesteś od Zuzanny, tak? Masz takie samo smutne spojrzenie.

– Smutne spojrzenie? – powtórzył anioł, skonfundowany.

– Czyli ten grubszy to od Matyldy, a ten z zadartym nosem jest od Anny – zdecydował maluch, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z trzech zirytowanych min.

– Wybacz – zaczął Zanael jeszcze raz. – Może mógłbyś nam powiedzieć, gdzie jest właściwy anioł stróż ciotki Izabeli? Ktoś, hm, wyższy rangą. Bo rozumiem, że ty tylko... pomagasz – dokończył niezbyt zręcznie.

Kupidynek spojrzał na niego, przekrzywiając głowę.

– Nie ma innego anioła stróża – oznajmił. – Jestem tylko ja, Izabiel. Już mówiłem.

– Ale...

Kupidynek jednak najwyraźniej uznał sprawę za niebyłą, bo odwrócił się i wbiegł po poręczy na ganek. Zatrzymał się przy drzwiach wyjściowych.

– No, co tak stoicie, wejdźcie! – zawołał. – Zobaczycie moje koty!

– Koty – powtórzył Annael. Dyskretnie obmacał czubek własnego nosa, ale był gotów przysiąc, że nie jest i nigdy nie był ani trochę zadarty.

– Koty! Bo ja się opiekuję kotami, wiecie? – Maluch zniknął już we wnętrzu domu, z którego dobiegało teraz wesołe podśpiewywanie. Zanael odetchnął głębiej, próbując się przygotować na to, co zobaczą w środku.

## ROZDZIAŁ 38

Następnego poranka Zanaela obudziło miauczenie. Anioł otworzył jedno oko. W jego polu widzenia przesunął się ciemny, koci kształt. Zanael poruszył się lekko i wtedy rozległ się ostrzegawczy pomruk, a anioł zdał sobie sprawę, że za plecami też ma przynajmniej jednego kota. Usiadł ostrożnie, starając się w miarę możliwości nie zdenerwować futrzanej kuli, która chciała sobie jeszcze pospać. Ten kot najwyraźniej miał wśród swoich przodków żbika. Anioł odsunął się lekko i rozejrzał po salonie. Matiel i Annael najwyraźniej też się zdrzemnęli. Jeden z nich spał nakryty czarnym, a drugi białym kotem. Tylko Izabiel był na nogach, najwyraźniej robiąc coś w rodzaju porannego obchodu. Zatrzymywał się przy każdym kocie, odliczając półgłosem.

– Dwanaście, trzynaście...

Zanael pokręcił głową. Wiedział już, że kupidynek doliczy do dwudziestu jeden. Dwudziestu jeden! Tyle samo miseczek stało pod oknami w kuchni, nie licząc kilku specjalnych naczyń na wodę. I niemal tyle samo kuwet rozstawiono w obu łazienkach, przez co przypominały one zwirową pustynię. Tylko dwie kotki, rude bliźniaczki, łaskawie zgodziły się korzystać z tej samej toalety. Ogród, o czym anioł przekonał się jeszcze poprzedniego wieczora, a w szczególności zarośla za domem, stanowił teren polowań. Piwnica była strefą przejściową, to tam od czasu do czasu pojawiał się jakiś nowy włóczęga, przywabiony przez Izabiela. Bo w to, że kupidynek stoi za tajemniczym nagromadzeniem kotów, Zanael nie wątpił ani przez chwilę, zresztą Izabiel sam się do tego przyznał. Aktualnie w miasteczku nie było chyba ani jednego bezpańskiego kota. Wszystkie znalazły dom u ciotki.

Mruczki okupowały poddasze, pokoje, a w szczególności salon. Zanaelowi przypominał on wystawkę sklepu zoologicznego; wszędzie stały drapaki, kocie drabinki i domki. Co nie zmieniało faktu, że koty najchętniej korzystały z mebli. A najlepiej im się spało przy aniołach. Co ciekawe, pomyślał Zanael, przeciągając się, aniołom najwyraźniej dobrze się śpi przy kotach. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spędził tak spokojną noc.

– Mówiłaś, że będzie tutaj internet, a tymczasem nie ma nawet zasięgu! – Zirytowana Anka położyła przed sobą telefon komórkowy. Dziewczęta wstały późno, ale za to wyspane, i po długich przygotowaniach, obejmujących głównie parzenie kawy, w końcu usiadły przy stoliku na ganku. Zapowiadał się piękny dzień i prawie wszyscy cieszyli się wspaniałą letnią aurą.

– Może u cioci nie ma, generalnie w miasteczku jest... No i masz kawiarenkę internetową przy stacji... Chyba – zaznaczyła Zuzanna. Matylda nic nie mówiła, popijając kawę z mlekiem. W zasadzie, biorąc pod uwagę proporcje, było to bardzo udane mleko z kawą.

– Mam egzaminy z księgowości, na poziomie dla zaawansowanych – marudziła dalej Anna. – Poza tym gramatykę niemiecką i słówka z francuskiego, i jeszcze...

– Kochanie, nic się nie martw, w piwnicy leżą jakieś stare książki po niemiecku, możesz z nich korzystać. – W drzwiach stanęła ciotka Izabela. Opierała się jedną ręką o futrynę, a w drugiej dzierżyła laseczkę. Wszystkie trzy dziewczyny zerwały się równocześnie, żeby podsunąć cioci fotel. – Ojej, mam tylko nadzieję, że koty ich nie zapaskudziły – dodała ciotka, siadając. Na jej kolanach natychmiast ulokował się kot, tym razem nakrapiany.

– Kiedy te wszystkie moje kursy są online... – biadoliła dalej Anna. Ciocia spojrziała na nią z zaciekawieniem.

– A-lajn? – powtórzyła obce słowo.

– W komputerze – pospieszyła z wyjaśnieniem Zuza. – Ale tutaj nie działają.

– To może dobrze będzie zrobić sobie wakacje? – podsunęła ciotka. – Przecież po to tu przyjechałyście!

Anka wbiła zrozpaczone spojrzenie w leżący na blacie laptop i telefon. Oba urządzenia chwilowo były nieszczerze przydatne, ale po śniadaniu, postanowiła, koniecznie wybierze się do centrum tego miasteczka, poszukać jakiejś sieci bezprzewodowej. Gdzieś musi być...

– A może pojeździecie dzisiaj nad jezioro? Możecie zabrać rowery z garażu, są akurat trzy, bo w zeszłe lato jeździliśmy z Helenką i Tadeuszem i zostały w końcu u mnie – podsunęła tymczasem ciotka Izabela, nie wyjaśniając, kim jest Helenka i Tadeusz. – Bo jutro – dodała, najwyraźniej przypominając sobie o czymś ważnym – może będę miała do was parę pytań.

– Parę pytań? – Zuza zamrugła, zdziwiona.

– Przyjdzie Helenka, to wszystko wyjaśni, ona się na tym lepiej rozumie. – Ciotka uśmiechnęła się szeroko i tajemniczo, po czym uznała temat za chwilowo wyczerpany. – Możecie zabrać duże ręczniki kąpielowe, są w górnej szafce – oznajmiła.

Godzinę później całe towarzystwo ulokowało się nad jeziorem. Tylko ciotka

Izabela została w ogrodzie, ale dało się wyczuć jej duchową obecność. Szczególnie kiedy Zuza rozłożyła ręczniki kąpielowe i okazało się, że na wszystkich są nadrukowane koty. Nie wspominając o autentycznej kociej sierści, która też była wszędzie, nawet w kanapkach z dżemem.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy – westchnęła Matylda. – I jest tak ciepło...

– Nie mogę uwierzyć, że nigdzie po drodze też nie było zasięgu, przecież nie jesteśmy na pustyni – westchnienie dobiegło od strony krzaków, za którymi schowała się Anka, żeby założyć kostium kąpielowy.

– A ja nie mogę uwierzyć, że jestem szczęśliwa. – Zuzanna rozciągnęła się na całą długość na kocim kocu i przymknęła oczy. W ciepłym słońcu sama czuła się jak kot. Mogłaby tak leżeć i leżeć, może z przerwą na kąpiel... Po chwili uświadomiła sobie, że przecież taki właśnie jest plan na dzisiejszy dzień. Ciotka wskazała im mniej uczęszczaną i dzikszą część plaży, uniknęły więc leżenia nad wodą w tłumie miejscowych i były duże szanse na to, że żadna piłka plażowa nie zakłóci im wypoczynku.

– Wiecie, że minęło pół roku? – odezwała się, tknięta nagłą myślą.

– Pół roku od czego? – Anka wyszła wreszcie zza krzaków, poprawiając ramiączka prześlicznego srebrnego kostiumu, pochodzącego z czasów, gdy umawiała się na basen z koleżankami z firmy.

– Dokładnie sześć miesięcy i dziesięć dni, jeśli dobrze liczę. – Matylda domyśliła się, o co chodzi. – Ale daj spokój, nasze postanowienia noworoczne są dawno nieaktualne, nie ma sensu robić podsumowań.

– Jak to nieaktualne! – obruszyła się Anka. – Nasze postanowienia są w trakcie realizacji... W każdym razie, jak ukończę te kursy, będę miała dwa certyfikaty językowe, no i lepszą osobowość...

– Osobowość? – Matylda uniosła w górę brwi. To było coś nowego.

– No przecież chodzę też na warsztaty rozwoju osobowości, zaczęła się letnia edycja... Ojej, przepadnie mi spotkanie w ten piątek – zmartwiła się Anka.

– Takie spotkania są do kitu, wiem, bo byłam na warsztatach literackich, pamiętasz? – zauważyła Matylda. – Mogę się założyć, że zasada jest ta sama, przychodzi ktoś z zewnątrz, na niczym się nie zna i próbuje ci narzucić...

– Masz świetną osobowość – wtrąciła tymczasem Zuza, nie podnosząc głowy z koca.

– Nie o to chodzi, na kursie rozwija się kreatywność i motywację, wyznaczamy sobie cele...

– Ja mam cel poleżeć na plaży. – Zuzanna odwróciła się na plecy. – I kontemplować przyrodę.

– Ja też! – oznajmiła radośnie Matylda. – Nie martw się, tylko opalaj – dodała. – Jak już znajdziesz tę pracę, to zatęsknisz za wakacjami.

– Ale dobrze, że się starasz – mruknęła znów Zuza. – Zostałaś sama na placu boju, nie będzie ani ślubu, ani powieści, można powiedzieć, że nasze postanowienia diabli wzięli...

– Jacy diabli! – Annael poderwał się z ręcznika. – Szturchnij tę swoją dziewczynę, ona nie wie, co mówi! Diabli to im pewnie naraili te postanowienia, już ja to wiem najlepiej!

– Nie chce mi się, leżę – odburknął Zanael.

– Ja szturchnę. – Matiel nieznacznie uniósł się ze swojego stanowiska na nagrzanym piasku. Miał najbliżej.

– Ale wiecie, tak naprawdę, to dobrze się stało – zaznaczyła Matylda, tknięta nagłą myślą. – To dziwnie zabrzmiało, ale ja w tym widzę jakąś nadnaturalną opiekę.

– Co ty nie powiesz? – Ania przewróciła oczami.

– No zobacz, Zuza uniknęła małżeństwa z tym, hm...

– Zakłamanym poligamistą – wtrąciła niedoszła panna młoda. – Zgadza się, miałam dużo szczęścia.

– A ja zrozumiałam, że moja powieść jest zbyt osobista, żeby puszczać ją między ludzi. Już mi nie zależy na jej wydaniu, niech zostanie w szufladzie. Poważnie, liczy się to, że opisałam idealną miłość, taką, jaką chciałabym przeżyć... Porozumienie dusz, zaręczyny w Paryżu... – Dziewczyna nagle posmutniała. Nie wiedzieć czemu, przypomniała sobie obraz z aniołem, wiszący na ścianie pokoju Wojciecha. Ależ on pięknie malował! No tak, przecież to Wojtek opowiadał o czuwających nad ludźmi opiekunach... Mówił też, że ich związek na pewno został zaaranżowany przez takiego życzliwego anioła... Znów stanęła jej przed oczami świetlista postać ze złotą aureolą, a wyobraźnia Matyldy dodała również tęczowe refleksy na skrzydłach i róże wokół, takie jak z ogrodu ciotki Izabeli. Najwyraźniej Wojtek się pomylił. Tylko jak można się mylić w tak ważnej sprawie? I czemu ciągle ją to obchodzi?

Matylda ucichła i dyskusję o noworocznych obietnicach kontynuowała Anka z Zuzą. Właściwie mówiła ta pierwsza, chociaż bez większego przekonania.

– Ja myślę, że dobrze mi idzie, może nawet fajnie, że nie znalazłam tej pracy zaraz po Nowym Roku, dzięki temu mam możliwość rozwinąć kompetencje zawodowe...

– Może tak. – Zuzanna postanowiła poprzeć przyjaciółkę. – A może szukałaś w złym miejscu. Tak jak ja usiłowałam wyjść za mąż za niewłaściwego faceta.

– Może... – Anka zadumała się. – Ale przecież odpowiadałam na wszystkie ogłoszenia, jakie znalazłam, nie byłam specjalnie wybredna...

– Może właśnie o to chodzi?

– Co masz na myśli?



Zuza, która sama nie wiedziała, co ma na myśli, na wszelki wypadek odwróciła się z powrotem na brzuch i mruknęła coś niezrozumiałego.

– Myślisz, że trzeba było odpowiadać na ogłoszenia z gazet? Albo szukać tylko tych na mieście? Albo poszerzyć krąg znajomych? – Po dłuższej chwili Anka zreflektowała się, że mówi tylko do siebie. Westchnęła ciężko i przymknęła oczy. Słońce grzało jak szalone. Skoro nie mogła rozwijać kompetencji zawodowych nad wodą, pozostawało jej już tylko nasmarowanie się olejkiem do opalania. Za kilka dni wróci do miasta i wtedy, zadecydowała stanowczo, wtedy zasiądzie przed laptopem i skoncentruje siły na kursach. W sumie, nie było większego sensu w szukaniu kawiarenki internetowej... Pewnie już dawno wszystkie pozamykano.

## **ROZDZIAŁ 39**

W niedzielę padało, ale dziewczęta uznały to za pozytywny zbieg okoliczności, bo w napiętym planie dnia nie przewidziano czasu na leżenie nad jeziorem. Po wczesnym śniadaniu wszystkie trzy wyruszyły do zabytkowego kościoła, poleconego im przez ciotkę – okazało się, że jednak był na swoim miejscu, to one, idąc od stacji, pomyliły drogę. Po nabożeństwie zajrzały jeszcze do sklepu, żeby zrobić zakupy na kilka dni. Wracały objuczone torbami i pod jedną parasolką, bo Zuzanna zapomniała swojej z domu, a Matylda – z ostatniej ławki za filarem. W związku z tym tylko torby pozostały w miarę suche. I telefon, na który

Anka co jakiś czas rzucała okiem.

– Czekajcie, stać, tu jest zasięg! – wykrzyknęła, zatrzymując się nagle.

– Nie wierzę... – Matylda, która od dłuższego czasu obserwowała zmagania przyjaciółki, podniosła oczy ku niebu.

– W domu nie ma zasięgu, nad jeziorem też nie było – wyliczała Anka gorączkowo – ani w sklepie, ani nawet w kościele... No co? – burknęła, widząc krytyczne spojrzenie Matyldy. – To miasto jest odcięte od świata...

– Ja tam wszędzie mam zasięg – wtrąciła Zuza. – Wczoraj dzwoniłam do rodziców z ogródka cioci.

– Mój telefon też działa... – Matylda sięgnęła do kieszeni. – Może pójdziemy dalej, co? Przecież pada.

Anka jednak twardo stała na chodniku, jak przymurowana do tego jednego jedyne miejsce, z którego jej telefon zdołał połączyć się z siecią, a wraz z Anką zatrzymał się w tym miejscu parasol. Trzy przyjaciółki przytuliły się do siebie, a deszcz zacinał radośnie raz z lewej, raz z prawej.

– Jest, udało się nawet połączyć z internetem... Mam jakieś maile w skrzynce... – Anka gorączkowo ścisnęła swoją komórkę. Matylda burknęła coś pod nosem, a Zuza westchnęła głośno. Osobiście uważała, że telefon jest sam w sobie wystarczająco złożonym urządzeniem i nie powinno się jeszcze bardziej komplikować go takimi bajerami jak bezprzewodowy internet... Ale nie powiedziała tego na głos, czekała tylko cierpliwie, aż Anka zapozna się zawartością swojej skrzynki mailowej. Obok z takim samym cierpięciznym wyrazem twarzy czekała Matylda.

– Mam powiadomienie z kursu, dobrze, Fryderyk wysłał mi zaproszenie na facebooka, ale... – Anka zamilkła na chwilę. – No tak – dodała grobowym tonem – oczywiście żadnych maili w sprawie pracy.

– To super, możemy iść dalej! – Matylda uznała to za pozytywną wiadomość.

Zuza postanowiła się zdobyć na nieco więcej empatii.

– Są wakacje – przypomniała.

– Ale nie ma przerw wakacyjnych w biurach! – Ania ruszyła powoli przed siebie, a wraz z nią drgnęła wreszcie parasolka. Pozostałe dziewczyny szybko dostosowały do niej krok. – Przed wyjazdem wysłałam CV w parę miejsc, to były pewniaki, mam już kompetencje, dodałam, że kończę jeszcze jeden kurs...

– Trzy kursy – przypomniała sobie Matylda.

– Jeszcze jeden z tej księgowości. Poza tym dwa językowe, redakcja tekstów...

– Warsztaty rozwoju osobowości – odrzuciła Zuza.

– I salsa. – Matylda też знаła już na pamięć listę zajęć przyjaciółki. – To właściwie sześć.

– Salsy nie ma do wrzeźnia, ale mniejsza o to – sprostowała Anka. – Tyle zachodu i nadal nic się nie udaje... – Westchnęła ciężko i znów się zatrzymała. – Jak to możliwe, żeby człowiek tak się starał, i bez żadnych efektów? Pół roku i nic! A tyle czasu to zajmuje, to całe szukanie pracy, jakbym już pracowała na etat... I to bez wolnych weekendów!

Matylda z Zuzą spojrzały po sobie. Znów stały na chodniku, co gorsza: w kałuży, deszcz ciągle zacinał, ale Anka chyba przeżywała coś na kształt załamania i należało to mimo wszystko uszanować.

– W końcu się uda – podrzuciła Zuzanna ostrożnie.

– Na bank – dodała Matylda zdecydowanym tonem. Ich przyjaciółka jednak stała nieruchomo jak posąg i patrzyła przed siebie z dziwnym wyrazem twarzy. Potem spojrzała na swój telefon i zamachnęła się, jakby chciała cisnąć go do kałuży. Ostatecznie jednak komórka wylądowała w torebce, a młoda kobieta energicznie ruszyła przed siebie. Matylda i Zuza rzuciły się w pogoń za Anką... I za uciekającą parasolką.

– Piękny ten zabytkowy kościół, prawda? – zachwycił się Zanael. – Wiecie, ile on ma lat? Te stare figury... Zwróciliście uwagę na świętego Krzysztofa? A ile ludzkich modlitw, zupełnie jakby stadko ptasząt krążyło pod sklepieniem... Ale mamy świetne wakacje! Zuza też była wzruszona, widzieliście?

– A jaka Matylda jest szczęśliwa! – cieszył się Matiel. – Na chwilę zapomniała o ziemskich sprawach, w końcu nawet parasolkę zostawiła...

Annael nic nie odpowiedział, zamyślony jak rzadko. Cała trójka wędrowała krok w krok za dziewczynami. A z każdym takim krokiem zbliżali się do domu ciotki.

– Słuchaj, a w kwestii twojej Ani... – Matiel zbierał się już do przekierowania rozmowy na inne tory, ale przerwał mu wesóły okrzyk.

– Już jesteście! Co tak długo zeszło?

Na spotkanie wybiegł im Izabiel. Z okazji niedzieli miał na sobie biały T-shirt z napisem JEZUS CIĘ KOCHA. Koszulka sięgała mu akurat do kolan, z powodzeniem zastępując anielską szatę.

– Ciotka już zaparzyła herbatę, pani Helenka też przyszła, tylko was się nie można doczekać... – mówił, potrząsając skrzydłami i rozchlapując wokół krople letniego deszczu. – No i Elechiela jeszcze nie ma, bez niego przecież nie zaczniemy...

– Elechiela? – zagadnął Zanael. Kątem oka obserwował Annaela, który gorączkowo szeptał coś do ucha Ani. Wyglądało na to, że młoda kobieta jest dziś wyjątkowo podatna na dobre sugestie, bo znów przystanęła, zasłuchana. Tymczasem deszcz wreszcie zaczął się uspokajać i Zuza pobięła przodem, żeby otworzyć furtkę.

– Elechiel, tak, on jest super, mega! – Izabiel energicznie kiwał głową. – To mój najlepszy kumpel!

– No tak. – Zanael skinął głową sam do siebie. Nie starał się podtrzymać rozmowy, ale kupidynek już się nakręcił.

– Elechiel opiekuje się panią Helenką, ma się rozumieć... To najlepszy stróż ever, zobaczycie!

– Najlepszy stróż ever? – powtórzył Zanael.

– No, w znaczeniu, że kiedykolwiek, no przecież wiecie... – Kupidynek zamachał skrzydłami, przefruwając nad ogrodzeniem. Zanael westchnął i postanowił skorzystać z otwartej furtki.

Kimkolwiek był Elechiel, najlepszy stróż, wyglądało na to, że bez niego poważne spotkanie się nie zacznie. Dziewczęta siedziały stłoczone na kanapie, pomiędzy kotami. Ciotka Izabela obserwowała zebranych z wysokości swojego ulubionego fotela, a jej przyjaciółka Helenka ulokowała się naprzeciwko. Na niskim stoliku stał talerz kruchych ciasteczek z cukrem i filiżanki z herbatą, regularnie napełniane przy użyciu porcelanowego dzbanka. A rozmowa krążyła niespiesznie wokół neutralnych tematów, chociaż cały czas dało się wyczuć, że istnieje jakiś prawdziwy powód zebrania.

– I bardzo dobrze, że zerwałaś ten związek. Miłość powinna budować, a nie ranić. – Pani Helena mówiła z przekonaniem, wymachując trzymanym w ręku ciastkiem. – Zawsze musisz mieć na uwadze, czy mężczyzna wnosi do twojego życia coś dobrego. Na smutki i problemy przyjdzie czas po ślubie.

Zuzanna westchnęła. Nie była pewna, jak to się stało, że akurat jej życie uczuciowe okazało się idealnym neutralnym tematem do dyskusji. Ale pani Helenka najwyraźniej była specjalistką od spraw sercowych. I nawet niezłe się jej słuchało: korpulentna siwa kobieta w wieku ciotki Izabeli mówiła cichym tonem, ale za to gestykulowała z ogromną werwą. Biało-szary kot, wyciągnięty na jej kolanach, co i rusz spoglądał z niepokojem na dłoń Helenki, zataczając łuki nad jego głową.

– A najlepsza rada? Najpierw pokochać siebie. Jeśli widzisz, że nie realizujesz swoich pasji, to znak, że w związku coś jest postawione na głowie... Na poświęcenia też przyjdzie czas po ślubie.

Ciotka Izabela chrząknęła, najwyraźniej chcąc przejść już do właściwego tematu spotkania. Ale jej najlepsza przyjaciółka Helenka nie skończyła jeszcze wykładu. A co więcej, przeszła właśnie od teorii do przykładów z życia.

– Jak wspomnę mojego świętej pamięci męża... Ile ja się przy nim nauczyłam! Na czym to on się nie znał! A jak mnie wspierał! Mężczyzna powinien mieć coś do powiedzenia, jeśli już teraz nie macie o czym rozmawiać, to jak ty się, biedna, wynudzisz po ślubie...

Zuzanna pokiwała głową, myśląc sobie, że na szczęście to już nie ona będzie się nudzić po ślubie. Faktycznie, kiedy się dobrze zastanowiła, musiała przyznać, że tematy rozmów z Adamem były dość ograniczone. Głównie mówił o swoich wspaniałych uczuciach. Chociaż była daleka od obwiniania byłego narzeczonego o to, że zarzuciła przy nim swojej pasje. Do niczego jej przecież nie zmuszał, prawda? Rzuciła okiem na Ankę i Matyldę, żeby zobaczyć, czy jej przyjaciółki się nie nudzą. Z dużym zaskoczeniem odnotowała, że co prawda Anka śledzi wzrokiem wzorek na obrusie, ale za to Matylda siedzi pochylona, chłonąc każde słowo pani Helenki.

– A pani mąż... – odważyła się wtrącić. – Czy coś pani w nim nie pasowało?

Zuzanna syknęła, słysząc tak nietaktowne pytanie, ale Helenka zaczęła się serdecznie śmiać.

– No nie wiem, kochanie – zwróciła się do Matyldy – czy mi uwierzysz, ale jak poznałam mojego przysłego męża, byłam jeszcze bardzo młoda... I zupełnie mi się nie spodobał! Był bardzo wysoki... Miał prawie dwa metry wzrostu!

– Dwa metry? – powtórzyła Matylda z konsternacją.

– A poza tym miał taką brodę, jak rozbójnik. – Helenka śmiała się dalej. – Pamiętam, że poprosiłam go, żeby zgolił ją do ślubu, a on się zgodził, bo w gruncie rzeczy był niezwykle łagodny i miał gołębie serce. I kiedy zobaczyłam go bez brody, to się strasznie spłakałam, bo wyglądał jak obcy człowiek i nagle zrobiło mi się tak smutno...

Matylda kiwała głową z namysłem, ale wyglądała na nieco zszokowaną. Helenka tymczasem mówiła dalej, już bardziej do siebie.

– Taki dobry człowiek... Kilka spotkań, parę rozmów i już byłam pewna, że nie chcę nikogo innego. Ale jak wiedziałam, że przyjdzie się oświadczyć, to znów się przestraszyłam i ukryłam w szopie, musiał potem drugi raz chodzić... A ja tak się bałam, że już się obraził i drugi raz nie przyjdzie! Całą noc przepłakałam! – Helenka machnęła ręką nad swoją dawną dziewczęcą naiwnością. – Taka z nim byłam szczęśliwa, nawet jak było biednie, bo to był taki człowiek, który wszystko robił dla innych, nic dla siebie...

Matiel otarł łzę z kącika oka.

– Jaka piękna historia – szepnął.

– Już to słyszałem z milion trylionów razy, ale jest supcio – przytaknął Izabiel, wyglądając zza kanapy. – Ej, patrzcie, jest już Elechiel! Cześć, Elechielu!

Matiel rozejrzył się wokół i szturchnął Zanaela, który przekazał szturchnięcie Annaelowi.

Po drugiej stronie salonu, w stojącym na uboczu fotelu, ulokował się nowy gość. Musiał przybyć bezszelestnie. Opiekujący się panią Helenką anioł, w przeciwieństwie do swojego najlepszego kumpla, wyglądał dostojnie i poważnie.

Biała szata spływała do ziemi, a siwa broda Elechiela była tak długa, że anioł nosił ją przewieszoną przez ramię. Widząc machającego Izabiela, niespiesznie skinął mu głową, a następnie przeniósł spojrzenie na pozostałe anioły. Przez dłuższą chwilę przypatrywał im się bacznie, a kiedy cała trójka poczuła się już do szczętu prześwietlona bystrym anielskim wzrokiem, Elechiel uśmiechnął się ciepło. Ten uśmiech zmienił atmosferę w salonie. Kilka kotów zerwało się z miejsca i powędrowało w stronę fotela, a pani Helenka westchnęła głośno.

– Tak, mój mąż był takim dobrym człowiekiem, czasem już się nie mogę doczekać, kiedy znów go spotkam! – oznajmiła. – Ale tymczasem żyjemy i mamy coś do zrobienia!

– O właśnie! – Ciotka Izabela wyraźnie się ożywiła. – Najwyższa pora omówić plan działań. Bo musicie wiedzieć – omiotła wzrokiem wszystkich zebranych – że razem z Helenką założyłyśmy fundację!

– Nazywa się „Szczęśliwy Mruczek” – ogłosiła Helenka, przy czym sama wyglądała na ogromnie uradowaną.

– I będziemy pomagać wszystkim biednym kotkom! – dokończyła ciotka, kierując te słowa w stronę trzech młodych kobiet, które najwyraźniej jeszcze nie poczuły wagi tematu, bo Zuza spojrzała na nią bez większego przekonania, Matylda zainteresowała się nagle ciastkami, a Ania chyba jeszcze nie usłyszała, że coś się dzieje, bo wyglądała na całkiem zatopioną we własnych myślach. Dlatego też Izabela zaklaskała w dłonie.

– Wszystkie ręce na pokład! – oznajmiła. – Nasze koty nas potrzebują!

## **ROZDZIAŁ 40**

Trudno było nie zwrócić uwagi na koty krążące wokół Elechiela. Niektóre siedziały zapatrzone, inne ocierały się o nogi anioła, a jeden, najodważniejszy, zwinął się na jego kolanach. Siwowłosy anioł drapał go za uchem i wyglądał na zatopionego we własnych myślach. Nagłe poruszenie w świecie zwierząt nie umknęło też ludzkiej uwadze.

– Tak – skomentowała Izabela. – Kociaczki uwielbiają ten fotel. Kiedyś rozlał mi się tam olej z sardynek. Ale wracając do meritum: czy wspomniałam już o naszej liście priorytetów?

Zuzanna pokręciła głową. Z trzech młodych kobiet na razie tylko ona starała się okazać zainteresowanie projektem ciotki. Ania na zebraniu obecna była tylko ciałem, a Annael rozpraszał ją jeszcze bardziej, ciągle szepcząc jej coś do ucha. Z kolei Matylda najwyraźniej wciąż przeżywała wzruszającą opowieść o mężu pani Helenki i nie do końca odnotowała zmianę tematu.

– Lista priorytetów – powtórzyła ciotka Izabela. – Nasza lista to właściwie spis działań, które w najbliższym czasie podejmie fundacja „Szczęśliwy Mruczek”.

– A czy ciocia już ją, hm, zarejestrowała, tę fundację? Bo to chyba może potrwać parę tygodni? – Zuza zadała nieśmiałe pytanie i wyraźnie posmutniała, słysząc twierdzącą odpowiedź.

– Oczywiście! – oznajmiła ciotka. – Mamy już numer KRS, konto i statut!

Helenka pokiwała energicznie głową.

– Jesteśmy kobietami sukcesu! – ogłosiła. Anka podniosła głowę, słysząc to nieoczekiwane sformułowanie.

– Nasza fundacja ma na celu pomoc bezdomnym kotkom poprzez lokalne zbiórki funduszy, ale też edukację mieszkańców... – tłumaczyła tymczasem kobieta sukcesu, Helenka. – Podejmiemy działania mające na celu podniesienie poziomu wiedzy ogólnej, na jesieni zamierzamy zorganizować coś na kształt otwartej konferencji, o kotkach...

– Konferencji? – Zuzanna przełknęła ślinę. – O kotkach?

– „Konferencja” brzmi lepiej niż „pogadanka”, prawda? Dyskutowaliśmy już o tym z Izabelą – wyjaśniła Helenka.

– Tak, konferencja, zdecydowanie! – poparła ją ciotka. – Pani Magdusia, nasza weterynarz, obiecała już wygłosić prelekcję, wynajmiemy salę gimnastyczną, może da się tak zrobić, żeby dzieci ją udekorowały, to plan na wrzesień, tymczasem musimy rozpocząć zbiórkę funduszy...

Zuzanna westchnęła, a Anka powiodła wzrokiem w stronę drzwi. Jednak nie istniała żadna możliwość ewakuowania się z kanapy. Tymczasem Izabela nabrała

powietrza w płuca i powiedziała to, czego Zuza obawiała się najbardziej.

– Oczywiście pomożecie nam, prawda?

Nie widząc natychmiastowej reakcji, kontynuowała:

– My we dwie nie dajemy już rady, a jeszcze teraz ta moja noga, o... – Wyciągnęła przed siebie skreconą kostkę.

– Takie już z nas trochę niedołążne staruszki... – zawtórowała jej kobieta sukcesu, Helenka, po czym zakasłała dla lepszego efektu.

– No, ale my... To znaczy, jeszcze właściwie nie rozumiem, w czym można tutaj pomóc... – Zuzanna gorączkowo szukała dobrej wymówki, która nie zraniłaby uczuć ciotki. Wydarzenia rozgrywały się zdecydowanie zbyt szybko jak na jej potrzeby. Jednak miała pustkę w głowie.

– O, to trzeba pochodzić po domach, rozdać ulotki, cegiełki posprzedawać... – wyliczyła Helenka. – Ja mogę ciasteczek napiec, ale koteczki same nie pójda ich rozdać...

Zuzanna, teraz już całkowicie czerwona na twarzy, patrzyła przed siebie z desperacją. Wesole wakacje właśnie zmieniały się w senny koszmar.

– Bo ja... – bąknęła, czując, że oczekuje się od niej jakiejś deklaracji. – To znaczy, żeby chodzić po domach... – Jej spanikowane spojrzenie mówiło samo za siebie. Gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię razem z kanapą. Atmosfera wokół niepokojąco zgęstniała.

– Możemy przejść się z ciasteczkami – zadeklarowała nagle Anka, skupiając na sobie uwagę wszystkich obecnych. – Co w tym strasznego? – dodała półgłosem, kierując te słowa do roztrzęsionej Zuzy. – Mam doświadczenie, rozdawałam miód w supermarkecie.

Zuza spojrzała na przyjaciółkę z niekłamanym podziwem.

– No tak, pomożemy razem... – powiedziała, kierując te słowa do ciotki, ale nadal patrząc na Ankę. Matylda tymczasem skinęła mechanicznie głową, dając do zrozumienia, że też może pomóc, to znaczy: stać za Anią, kiedy ta będzie sprzedawać ciastka sąsiadom.

– Wiedziałam, że można na was liczyć! – Ciotka Izabela cała się rozpromieniła, a Helenka, najwyraźniej zapominając, jaką jest niedołążną staruszką, energicznie zeskoczyła z fotela i pobięła uściskać dziewczyny.

– Nie wiem, jak ci dziękować, uratowałaś sytuację, uratowałaś mnie, wszystko uratowałaś... – Zuza mechanicznie nawijała kosmyk włosów na palec i odwijiała go z powrotem. Nadal pozostawała pod wrażeniem wydarzeń niedzielного popołudnia, szczególnie postawy Anki, którą uznała za bohaterską. Ta jednak, jak przystało na prawdziwego herosa, po raz kolejny wzruszyła skromnie ramionami.

Dzień już się kończył i dziewczyny siedziały w wielkim pokoju na poddaszu.



Stały tutaj dwa łóżka: wąski tapczan pod ścianą i szerokie łoże, w którym spokojnie mieściły się i trzy osoby. Zuzanna podejrzewała, że ciotka kupiła je z myślą o kotach, bo wcale nie było łatwo wygrać z nimi batalię o miejsce do spania.

Ania przez chwilę milczała, przeczekując entuzjastyczne podziękowania ze strony Zuzy i zbierając własne myśli.

– To nie jest taki zły pomysł – powiedziała w końcu – z tą fundacją. I tak nic tutaj nie robimy – dodała. Po jej minie można było jednak wywnioskować, że nie jest to najważniejszy powód.

– Ty to byś cały czas coś robiła – westchnęła tymczasem Matyllda, zgarniając na swoją stronę jeszcze jedną poduszkę. Wyciągnięta w poprzek łóżka, miała przed oczami ukośne okienka, po których spływał deszcz. Spoglądając na szybki i w ciemność za nimi, czuła, że znalazła się w najprzytulniejszym miejscu na świecie. – Jak nie szukanie pracy, to kursy, a jak nie kursy, to koty... – mruknęła.

– Poza tym muszę wam coś powiedzieć. – Ania nabrała powietrza, zdecydowana, by podzielić się z przyjaciółkami niewypowiedzianą wcześniej myślą. Obie dziewczyny spojrzały na nią, zaalarmowane poważnym tonem.

– Przemyślałam wszystko i mam już dosyć marnowania życia. – To zaskakujące stwierdzenie Anka wyrzuciła z siebie na jednym oddechu. – Przez pół roku zamartwiałam się tylko tą pracą... I wiecie co?

– Już nie chcesz pracować? – podrzuciła leniwie Matyllda. Anka posłała jej niechętne spojrzenie, niezadowolona, że ktoś ukradł jej dramatyczną puentę.

– Nie chcę szukać pracy – sprecyzowała. – To znaczy, za jakiś czas, jak coś się w końcu trafi, to oczywiście nie mówię nie, no i nie można zawsze polegać na rodzinie... – dodała ostrożnie. – Ale mam już dosyć tego, że poświęcam całą energię tej jednej sprawie, jakby świat się kończył na robocie.

Zuza i Matyllda pokiwały głowami i zgodnie wyraziły swoje poparcie. Anka tymczasem mówiła dalej, jak natchniona:

– Zrozumiałam, że nie muszę czuć się gorsza przez to tylko, że nie mogę znaleźć etatu. Przecież to nie może mieć wpływu na moją wartość, tak naprawdę... Bo w jaki sposób?

– Nigdy bym nie pomyślała, że może mieć – podrzuciła Matyllda. Jako artystka, nawet niedoszła, miała swoje spojrzenie na te sprawy. Anka jednak zignorowała ten wtęty.

– A tymczasem życie mija, no wiecie, wokół są ludzie, przyroda, drzewa rosną, niebo jest niebieskie...

Matyllda zachichotała, ale niespodziewane wsparcie nadeszło ze strony Zuzanny.

– Wiem, o czym mówisz – oznajmiła poważnie. – Mam podobne wrażenie, odkąd naprawdę zapomniałam o tym, jak mu tam było... – zażartowała

z przekąsem. – Wcześniej wszystko mi umykało. Jakbym żyła w takiej szarej bańce.

– No właśnie, wiecie, że w tym roku prawie przegapiłam wiosnę? Zimą zresztą też nic mnie nie cieszyło... – wyliczyła Anka. – A teraz odetchnęłam głębiej, rozejrzałam się...

– I okazało się, że drzewa rosną, a niebo jest niebieskie – dopowiedziała Zuza.

– Uf, ale żeście to wykombinowały – prychnęła Matylda. – Mogłam wam to powiedzieć, wystarczyło zapytać.

– To wcale nie jest takie oczywiste – zaprotestowała Anka, podczas gdy Zuza potakiwała energicznie. – Bo na przykład, spróbuj zrobić takie ćwiczenie... Wymyśliłam to parę godzin temu. Pomyśl, kiedy świat wydawał ci się najpiękniejszy? Ale tak na serio? Bo ja czuję, że stał się taki dopiero dzisiaj, mogłabym nawet wskazać dokładną godzinę, kiedy stałyśmy przed domem, deszcz kończył padać...

– O, ja dokładnie mogłabym powiedzieć! – ożywiła się Zuzanna. – Mój świat jest całkiem niczego sobie od dwóch tygodni... I też mam takie swoje doświadczenie. Kiedy Adam wreszcie zniknął, był wczesny poranek, a ja siedziałam na pomoście nad jeziorem... – Westchnęła, przenosząc się myślami w tamto miejsce. Matylda pokręciła głową, skonsternowana.

– Mój świat miewa się dobrze cały czas – odparła stanowczo. – A jeszcze lepiej odkąd jestem na wakacjach, więc chyba nie muszę robić takich odkryć... – zamyśliła się. – Ale ta wasza teoria nie jest najlepsza – uznała po chwili. – Bo musiałabym powiedzieć, że wszystko wydawało mi się szczególnie żywe, kiedy spotykałam się z Wojtkiem. Zupełnie... No, prześliczne. Chociaż może po prostu mieliśmy tego roku wyjątkowo słoneczną wiosnę.

Imię wielkiego wydawcy Wojciecha Miśkiewicza dawno nie padało w ich wspólnych rozmowach. Może dlatego między kobietami na chwilę zapadła pełna szacunku cisza. Anka próbowała posłać Zuzie znaczące spojrzenie, ale bezskutecznie, bo ta w zamyśleniu głaskała pasiastego kota. Nie udało jej się jeszcze spamiętać imion wszystkich pupili cioci, ale ten maluch na pewno wabił się Pieszczoch.

– Nawet kolory wydawały mi się intensywniejsze – opowiadała tymczasem Matylda. – A poza tym on sam... Trudno to wyjaśnić, w jakiś sposób wydawał mi się bardziej realny niż inni faceci. Może to nie jest dobre określenie... Chodzi mi o to, że rozumieliśmy się jakby poza słowami... To znaczy, czułam, że wiem, kim on jest, tak od wewnątrz, tak jak czuję, kim ja sama jestem... – Westchnęła, orientując się, że nie ma pojęcia, jak wyrazić to najwyraźniej niemożliwe do opisanie odczucie. – Miał jakąś taką... Siłę przyciągania – próbowała dalej od innej strony. – Jak planeta.

Przynajmniej kilka zabawnych ripost przemknęło przez głowę Anki, większość z nich dotyczyła zarośniętych planet (czy Saturn ma wąsy?), ale ugryzła się w język.

– To nie za dobrze – powiedziała zamiast tego. – Bo to brzmi, jakbyś trafiła na rzadki okaz prawdziwej miłości i puściła ją wolno.

Poduszka, ciśnięta przez dotkniętą do żywego przyjaciółkę, trafiła ją prosto w czoło.

– Wypraszam sobie! – wykrzyknęła urażona Matylda. – Niczego nie puszczałam! On sam sobie poszedł... I bardzo dobrze!

## ROZDZIAŁ 41

– Tylko się nie ruszaj, bo go spłoszysz – syknął Zanael.

Siedzący na tarasie Matiel wzruszył ramionami.

– Nigdy nie byłem bardziej nieruchomy – westchnął, spoglądając na kota wyciągniętego przy jego boku. A potem powiódł wzrokiem przed siebie, na obsypany margerytkami trawnik, gdzie siedziała Zuzanna. Kobieta trzymała przed sobą blok rysunkowy i zawzięcie szkicowała śpiącego kota. Matylda, przykucnięta obok, śledziła z zapartym tchem powstający rysunek. Zza drugiego ramienia Zuzy wyglądał Zanael.

– Jest znakomicie – powtarzał co chwilę, wpatrując się w dzieło swojej

podopiecznej. – Tylko się nie ruszaj – dodał, rzucając Matielowi surowe spojrzenie. – Jak już tam usiadłeś, to siedź.

Anioł westchnął. Nie do końca rozumiał, dlaczego Zanael aż tak bardzo trząsał się nad rysunkiem Zuzy. W ogrodzie ciotki Izabeli hasały w tej chwili blisko dwie dziesiątki kotów. Znalezienie kolejnego modelu nie będzie żadnym problemem, jeśli ten jeden się obudzi i odmaszeruje. Właściwie: ta jedna, bo przy anielskim boku drzemała nakrapiana kotka. Jednak Zanael zachowywał się tak, jakby tego poranka w ogródku zamiast Zuzy siedział sam Leonardo da Vinci, a powstającym właśnie obrazem była *Dama z łasiczką*. A przecież na ganku obecny był tylko anioł z kotem, z czego na obrazku utrwalony zostanie co najwyżej kot – o ile nic go nie spłoszy. Matiel pokręcił głową. Tylko bardzo powoli, żeby nie obudzić modelki.

Po drugiej stronie ogrodu, na pasiastym leżaku, siedziała Anka. Energicznie machała stopą i z zapamiętaniem rozpisywała plan działań dla fundacji „Szczęśliwy Mruczek”. Już teraz miała poczucie sukcesu, bo praca toczyła się w najlepsze. Zuza odkopała swój zaginiony talent plastyczny i tworzyła artystyczną ulotkę, ciotka Izabela układała niedługi tekst, zachęcający do zaangażowania w prace fundacji, a Helenka piekła ciastka... Zaś Ania kierowała zespołem i najwyraźniej była w swoim żywiole. Podobnie Annael. Anioł przykucnął na ogrodzeniu, trochę jak wielka sowa, i co jakiś czas podrzucał Ani nowe pomysły. Wyglądało na to, że od wczorajszego dnia znalazł w niej wierną słuchaczkę. Obserwujący ich kątem oka Matiel złapał się na tym, że trochę zazdrości koledze. Gdyby tak Matylda... Ale nie, ona zupełnie nie chciała współpracować. Zainspirowany sukcesami przyjaciół, anioł też starał się podszeptać swojej podopiecznej coś mądrego. Ale kobieta zignorowała pomysł wysłania Wojciechowi pocztówki z wakacji, nie zamierzała też do niego dzwonić... A przecież, Matiel był tego pewien, koniecznie trzeba znów zetknąć ze sobą tę dwójkę! Im dłużej o tym myślał, tym bardziej czuł, że zawiódł. Nie rozpoznał prawdziwej miłości, kiedy miał ją przed oczami, i nie potrafił ocalić uczucia, gdy wszystko się posypało... Ciekawe, pomyślał nagle, jak miewa się Wonsael. Wąsaty anioł też w niczym nie pomógł. Tymczasem minęły już dwa miesiące... A gdyby tak...

– No i co ty wyprawiasz! – wykrzyknął Zanael, niestety poniewczasie. Matiel zerwał się i zniknął gdzieś z furkotem skrzydeł, a spłoszony kot dał susa między krzaki. Zuzanna zaś zamarła z ołówkiem wzniesionym nad kartką.

– Ojej – szepnęła Matylda, przyglądając się kartce, na której w letnim słońcu drzemała mniej więcej połowa kota. – Nie dokończyłaś.

W wydawnictwie Książka i Myśl również panował wakacyjny nastrój. Na tyle, na ile to możliwe w miejskich warunkach. Wszystkie okna otwarto na oścież, na biurkach stały małe wiatraczki. Wieniec bożonarodzeniowy, wiszący na

drzwiach toalety od listopada, zastąpiono niemal hawajską girlandą z papierowych kwiatków, a pracownicy zmienili *dress code* na letni. W szczególności grafik, pan Jurek, który od kilku dni przychodził do pracy w kolorowych bermudach.

Wojciech siedział w swoim gabinecie, pogrążony w ciężkiej pracy. Od ośmiu tygodni, to znaczy odkąd Matylda okazała się oszustką, nie robił nic innego. Przez krótką chwilę rozważał również rzucenie się w wir życia towarzyskiego lub w szpony jakiegoś nałogu, jednak nie mógł znaleźć w sobie pociągu do żadnej z tych rzeczy. Dlatego pozostawało mu odkrywanie nowych znaczeń zwrotu „ożenić się ze swoją pracą”. Wonsael dzielnie mu w tym sprawdzonym związku asystował. Siedział teraz po drugiej stronie biurka, wachlując się gazetą, i przeglądał szczególnie nieudany rękopis powieści kulinarno-erotycznej. Dopiero nagle przybycie Matieła, który wpadł przez okno na podobieństwo pierzastej torpedy, zakłóciło bezruch spokojnego lipcowego dnia.

– Nie uwierzysz! – wykrzyknął, lądując z poślizgiem na dywanie. – Wiem, co zrobimy!

Opiekun Wojciecha odchrząknął i powoli złożył czytane właśnie kartki. Następnie poluzował zawiązany pod szyją letni krawat.

– Witaj, Matielu – powiedział uprzejmie, patrząc na anioła, który podskakiwał niecierpliwie przed biurkiem.

– Mam taki pomysł... – zaczął Matiel, jednak Wonsael zmarszczył brwi i nie pozwolił mu dokończyć. Obronnym gestem podniósł dłoń.

– Mam nadzieję, że nie chodzi znów o twoją podopieczną?

– Jak to znów? – Matiel zrobił wielkie oczy. – Przecież obaj pracujemy, żeby uratować to uczucie, prawda?

Wonsael jednak pokręcił głową, wyraźnie dając do zrozumienia, że wcale nieprawda.

– Przemysleliśmy to – wyjaśnił. – Bez wątpienia, masz rację, mieliśmy do czynienia z tak zwaną miłością życia... – odchrząknął. – Ale zbiegi okoliczności były wyjątkowo niefortunne. Śmiem przypuszczać, że twoja podopieczna była jeszcze zbyt młoda. Gdyby spotkali się parę lat później... Może tak dziesięć, do piętnastu... No, powiedzmy, piętnaście do dwudziestu...

– A więc to była miłość życia! – Matiel uczeplił się tego jednego sformułowania. Siedzący przy biurku anioł westchnął ciężko.

– No, niestety – przyznał. – Zadałem sobie trochę trudu, żeby skonsultować to wyżej. Potwierdzono moje przypuszczenia. Nie wiem co prawda, kto odpowiada za tak zwane „pary dobrane w niebie”, ponieważ ja sam miałbym sporo wątpiwości w kwestii kompetencji tej osoby, niemniej...

– Ale w takim razie – zapalił się Matiel – trzeba koniecznie, koniecznie...!

– Nie mamy możliwości. – Wonsael znów pokręcił głową. – Moja dusza jest urażona i całkowicie straciła wiarę w siłę uczuć. A twoja, o ile pamiętam...

– Moja zaczyna się łamać! – wykrzykiwał Matiel. – Ona analizuje! Myśli! – Wonsael uniósł brwi w wyrazie powątpiewania. – Jestem pewien, że wszystko się ułoży, trzeba tylko, żebyś zabrał swoją duszę na wakacje!

– Na wakacje? – Teraz i wasy anioła podjechały do góry. – Nie ma mowy! – Uderzył dłonią w blat. Wojciech, jakby zaalarmowany, rozejrzał się po gabinecie. Opiekun duchowy spojrział na niego spode łba i dyskretnie podsunął mężczyźnie leżącą obok gazetę, żeby zająć czymś jego myśli.

– My już jesteśmy na wakacjach – oznajmił. – Wakacje to bardzo pracowity okres w wydawnictwie.

– Właśnie widzę – sapnął Matiel. – Posłuchaj – zaczął jeszcze raz – skoro zgodziliśmy się, że nasze dusze są sobie przeznaczone...

– Z takimi uczuciami są same problemy. – Wonsael pospieszenie wszedł aniołowi w słowo. – Wielka miłość nie obywa się bez tragedii. Spójrzmy na przykłady – odchrząknął i mówił dalej, belferskim tonem. – Tristan i Izolda, Abelard i Heloiza, oczywiście Romeo i Julia... Katarzyna i Jerzy...

– Katarzyna i Jerzy?

Wonsael westchnął.

– Nasz grafik i korektorka. To przykład z wydawnictwa. Słodka Opatrzności, ile my mamy z nimi zamieszania! Biedny Kasjel to chyba posiwieje ze zmartwienia... Widzisz – dodał konspiracyjnym tonem – Jerzy, niestety, jest praktykującym buddystą i – wzdrygnął się lekko – hedonistą, z tych co to się najpewniej nigdy nie ustatkują. Natomiast Katarzyna pragnie założyć wielką rodzinę i wychować dzieci zgodnie z Dekalogiem, najlepiej na wsi. Poza tym jej matka nigdy nie zaakceptuje...

– To ciekawe, ale... – Matiel podjął niezbyt udaną próbę przerwania tego monologu. Wonsael jednak za bardzo przeżywał opowiadaną właśnie historię.

– On nawet nie je mięsa! – opowiadał dalej. – I to jego okropne poczucie humoru, Katarzyna jest na to bardzo wyczulona... Już pierwsza wspólna kolacja była katastrofą, nic, tylko się rozejść. Zresztą Kasjel i Juriel też nie zapalali do siebie sympatią, delikatnie mówiąc. Ale nie, tych dwoje ludzi coś ciągnie do siebie. No i na gorze mówią, że to miłość życia, a jako taka, no trudno, ma prawo być nieszczęśliwa i niespełniona...

– Ale Matylda i Wojtek mogliby się dogadać – przerwał nieśmiało Matiel. Wonsael jednak zaprzeczył energicznie.

– Same problemy! – oznajmił. – Jeśli znów się pokłóć, a mogę ci zagwarantować, że tak będzie, bo nieporozumienia są w tę całą prawdziwą miłość wpisane, to się może skończyć jakąś tragedią, cierpieniem... A nawet – wstrzymał oddech – problemami w pracy!

– Ale...

– Coś ci poradzę. – Wonsael nachylił się do Matiela. – Poszukaj dla swojej

duszy jakiegoś miłego towarzysza życia, kogoś, za kim nie będzie specjalnie szaleć... Może jakiegoś prawnika albo, hm, dentystę? Dentyści mają nerwy ze stali.

Ostatnie słowa jednak nie dosięgły Matiela. Oburzony anioł wyleciał z wydawnictwa jeszcze szybciej, niż do niego wleciał.

## **ROZDZIAŁ 42**

– Pobudka! Wszyscy na stanowiska!

Głośne okrzyki Anki postawiły wszystkich na nogi: Matyldę, Zuzę i całe stado niewyspanych aniołów. Poprzedniego dnia do późnych godzin nocnych omawiano sprawę fundacji „Szczęśliwy Mruczek”. Na ściennym kalendarzu (z kotami, a jakże!) czerwonymi wykrzyknikami zaznaczono daty planowanych wydarzeń. I tak: pierwsze spotkanie Klubu Szczęśliwego Mruczka zaplanowano już w przyszłym tygodniu, następne – siedem dni później. We wrześniu kameralne klubowe spotkania miały przerodzić się w cykl comiesięcznych „konferencji”, uświadamiających mieszkańców nie tylko w kwestiach kocich potrzeb i pragnień, ale też „historii kota” czy „najniezwyklejszych egzotycznych ras”, ze szczególnym uwzględnieniem sfinksów, kotów norweskich i błękitnych rosyjskich. W kuchni na dole czekały trzy tace udekorowanych fantazyjną posypką babeczek, których sprzedaż zasilić miała fundusz na dalsze, ambitniejsze działania. Natomiast

artystyczna ulotka Zuzy nieoczekiwanie rozrosła się do formatu biuletynu. Obok zaproszenia do klubu i informacji o fundacji znalazł się tam cały cykl rysunków, a nawet kocie wycinanki, przygotowane z myślą o dzieciach.

Gdyby ktoś zapytał o zdanie zmęczoną Matyldę, cała ta inicjatywa wołała o pomstę do nieba. Jeden absurdalny pomysł gonił drugi, a wymarzone wakacje zaczęły przypominać kolonię karną.

– Chyba jeszcze nie zaczynamy? – jęknęła. – Tak rano?

– Jest sobota – odparła Anka, bezceremonialnie ściągnając koldrę z przyjaciółki. – Wyruszamy o dziesiątej, a tymczasem trzeba jeszcze...

Zniechęcona Matylda zakryła uszy i skuliła się na łóżku. Ale nie było już mowy o dosypianiu. Dzień rozpoczął się na dobre.

W przeciwieństwie do Matyldy, Zuza obudziła się w doskonałym humorze i pełna energii do działania. Sama nie była pewna, w którym momencie zaczęła kibicować planom ciotki. Dobrze pamiętała, że na początku miała ochotę schować się za kanapą i przeczekać całe zamieszanie... A jednak działania, koordynowane przez Ankę, stanowiły całkiem niezłą zabawę. Przede wszystkim nie mogła się nacieszyć powrotem do malowania. Jak to możliwe, że na tyle lat zapomniała o swojej największej pasji? I nawet nie czuła, że czegoś jej brakuje... Na szczęście nic nie zapomniała; chyba nic. Najpierw ołówkowy szkic. Rysowała swobodnie, tworząc „tańczące” fantazyjne linie, z których powoli wyłaniał się szkicowany obiekt, nieodmiennie wywołując zachwyt tych wszystkich, którzy patrzyli jej przez ramię. A tymczasem Zuzanna, pochylona nad blokiem rysunkowym, zapomniała o całym świecie. Potem moczyła kartkę w wodzie i sięgała po akwarele. Te farby posiadały wolną wolę; potrafiły rozlać się na papierze w zupełnie nieoczekiwany sposób i nie znosiły przestrzegania planu pracy. Owa właściwość, kłopotliwa dla wielu hobbystów, niezmiernie cieszyła Zuzannę, która wykorzystywała przypadkowe efekty po swojemu. Rozmarzona malarka ledwo zarejestrowała obecność Matyldy na ganku. Ta ostatnia siedziała z nosem w wielkim kubku pełnym kawy i starała się niezauważalnie opóźnić wymarsz na „drogę hańby”. Pogrążona w ponurym nastroju, nie liczyła już na niczyje zrozumienie. Ani Anki, która przyjęła tymczasem rolę motora fundacji, ani Zuzanny, najwyraźniej całkowicie oddanej malarskiej pasji. Matylda ze skrzywioną miną obserwowała, jak Zuza obwiązuje włosy kwiecistą chustą i wkłada do uszu małe kolczyki – kotki z modeliny. W ciągu ostatniego tygodnia niedoszła panna młoda przeobrażała się w artystkę – i Matylda przyglądała się temu z mieszanymi uczuciami. Oczywiście, to świetnie, że Zuza odkryła na nowo dawne hobby... Ale czy nie mogłaby czasem przenieść się z tymi farbami na plażę nad jeziorem? Przecież przyjechały tu na wakacje, a nie na letni staż w fundacji ciotki Izabeli... Przynajmniej Matylda nie przypominała sobie, żeby zgłaszała się do pracy. Tymczasem wszyscy oczekiwali



od niej aktywnego udziału w projekcie i w niekończących się dyskusjach przy herbatce – trudno nawet ocenić, co było gorsze. W rezultacie przez cały ostatni tydzień Matylda widziała jezioro tylko raz i nawet wtedy nie mogła odpocząć, ponieważ Anka trajkotała o pozyskaniu dla fundacji dofinansowania z urzędu miasta... A Zuza nawet z nimi nie poszła, bo została w ogrodzie, żeby poszkicować! Matylda uśmiechnęła się krzywo do własnych myśli i odstawiła na bok kubek z niedopitą kawą. Jeśli słuch jej nie mylił, to po schodach zbiegała właśnie Anka. A wraz z Anką biegły kosze z babeczkami i ulotki, które trzeba będzie rozdać obcym ludziom... Matylda czuła, że wraz z babeczkami odda również swoją godność osobistą i resztki dobrego humoru. Ale wiedziała, że i tak pójdzie razem z przyjaciółkami. Jak wszyscy, to wszyscy. Poza tym przydzielono jej ważną rolę: miała nieść skarbonkę.

– Mogliśmy zostać w domu – zauważył Matiel. – Nic się nie dzieje.

Od prawie godziny ekipa „Szczęśliwego Mruczka” wędrowała od posesji do posesji. Dziewczęta rozpoczęły sprytnie od adresów poleconych im przez ciotkę Izabelę. Odwiedziły sześć miłych pań w sile wieku, usłyszały mnóstwo komplementów i za każdym razem zostały zobowiązane do przekazania pozdrowień ciotce. Wszystkie sąsiadki najwyraźniej spodziewały się wizyty, bo paliły się do tego, by otrzymać ulotkę i solennie przyrzekły przyjść na przyszłotygodniowe spotkanie fundacji „Szczęśliwy Mruczek”, o której i tak najwyraźniej wiedziały już wszystko. Można dodać, że dziewczyny bez żadnego trudu sprzedały sześć kompletów babeczek z posypką i tym samym opróżniły jeden z trzech koszyków. Za to świnka-skarbonka, dzierzona pewnie przez Matyldę, powoli się wypełniała.

– Ja tam się dobrze bawię. – Annael nie poparł przyjaciela. Anioł czerpał wielką radość z obserwowania Anki i nie miał ochoty zostawiać jej nawet na chwilę. Jego dusza była tego dnia szczególnie radosna, uśmiechała się serdecznie do wszystkich i nawet nie zdawała sobie sprawy, że bezinteresownie robi coś dobrego. Annael był w siódmym niebie. I mógł sobie pogratulować: to on skłonił dziewczynę do wyjazdu, on zadbał o to, żeby nie mogła nigdzie znaleźć zasięgu i pogrążyć się na powrót w morzu internetowych kursów; on w końcu, gdy nadszedł dobry moment, wytłumaczył jej, że życie nie toczy się tylko wokół pracy. A jego podopieczna wreszcie podchwyciła tę genialną myśl.

– No właśnie – dodał Zanael równie optymistycznym tonem. – Jest bardzo miło, poza tym szkoda siedzieć w domu w taki piękny letni dzień... – Ten z kolei nie miał dość komplementów prawionych pod adresem Zuzy i jej wielkiego talentu plastycznego. Z sześciu miłych pań aż pięć zapytało, czy można gdzieś kupić jej obrazy! Szósta nie okazała się zresztą mniej sympatyczna, bo wyraziła przekonanie, że Zuzanna na pewno ukończyła studia plastyczne – i to za granicą!

– Kiedy nic ciekawego się nie dzieje. – Matiel dalej mówił swoje, nie bacząc na to, że nikt go nie słucha. – Będziemy się tak cały dzień kręcić, od domu do domu...

– Musimy jeszcze zajrzeć do pani Wiśniewskiej i do Malewskich, a potem do babci Stefanowej... – Radosny głosik odezwał się tuż za jego plecami i anioł drgnął, zaskoczony. No tak, prawie zapomniał, że Izabiel idzie za nimi krok w krok. Albo przed nimi. Albo lata jak pokręcony dookoła.

– I jeszcze do pani Michalczewskiej! – dodał kupidynek, wymachując listą z nazwiskami, bardzo podobną do tej, którą poprzedniego dnia spisywała Anka. – A wtedy zostanie nam jeszcze...

Wysłuchany w monolog Izabiela Matiel nie zauważył, że Annael nagle zatrzymał się tuż przed nim. Dlatego nie wyhamował na czas i uderzył nosem w skrzydła kolegi, na szczęście pokryte miękkim puchem.

– Co jest? – burknął. Annael jednak nie zaszczycił go odpowiedzią. Stał nieruchomo i wpatrywał się przed siebie z wyrazem szczególnego nabożeństwa na twarzy. Matiel powiódł wzrokiem w tę samą stronę i gwałtownie nabrał powietrza.

W małym ogródku, przylegającym do ściany pobliskiego domu, rosła wysoka trawa i ogniście pomarańczowe lilie. Pomiędzy liliami unosiły się motyle bielinki. A w tej niezwyklej scenerii, wdzięcznie przechylona, stała anielska postać. Matiel zamrugał, całkowicie zaskoczony. Nie ulegało jednak wątpliwości: to była najprawdziwsza anielica. Zobaczył uroczą drobną twarz wykrojoną w serduszko, jasne włosy połyskujące w słońcu i secesyjnie wygięte skrzydła. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że ktoś ją obserwuje, anielica oddaliła się powoli, przechodząc na tył domu.

– Przecież to Michaela! – Zanael również przystanął. – Pamiętasz, spotkaliśmy ją na cmentarzu, chyba pół roku temu...

– W lutym – sprecyzował Annael dziwnie przytłumionym głosem. Po chwili jednak odzyskał wigor.

– Te drzwi! Trzeba tam zapukać! – wykrzyknął desperacko, jakby od „tych drzwi” zależało życie wszystkich zebranych.

– Ale tego domu nie ma na liście – wtrącił Izabiel. Annael jednak wyrwał się do przodu i bezceremonialnie postukał Ankę w ramię.

– Nie możecie trzymać się ściśle tylko wytycznych ciotki – szepnął sprytnie. – Z ulotkami trzeba dotrzeć też do nieznanomych! Czemu nie zacząć od tamtego domu? Takie wspaniałe lilie w ogródku, to pewny znak, że mieszka tam jakaś miła starsza pani, która kocha koty...

Matiel pokręcił głową, słuchając tych zdumiewających argumentów z konsternacją. Jednak Anka była ostatnio aż przesadnie podatna na sugestie i nawet nie analizowała bliżej przychodzących jej do głowy pomysłów. Dlatego uśmiechnęła się szeroko do przyjaciółek i zakomunikowała:

– Wiecie co, zadzwonię do tamtego domu. Nie możemy odwiedzać tylko przyjaciółek ciotki Izabeli, to żadna akcja informacyjna, one już i tak wiedzą o wszystkim. – Po czym pewnym ruchem nacisnęła dzwonek i wzięła głęboki oddech, szykując się do spotkania z miłą starszą panią, która kocha lilie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, aż w końcu usłyszała kroki w głębi domu i po chwili drzwi się otworzyły.

– Czy zechciałaby pani wspomóc naszą fundację... – Ania przerwała w pół zdania, bo drzwi nie otworzyła żadna miła starsza pani, ale zaspany dryblas w szlafroku. Zamrugał, niezdecydowany, czy skoncentrować spojrzenie na stojącej przed nim dziewczynie, czy na podetkniętym mu pod nos koszu z babeczkami. Dziewczyna również zamrugała i w tej samej chwili oboje się rozpoznali.

– Ania? – zapytał dryblas.

– Michał?

– Michaela? – szepnął Annael, wtykając głowę przez drzwi i rozglądając się po domu. Zanael głośno westchnął i pociągnął go za szatę.

– Daj spokój...

– Jaką fundację? – zapytał w tym samym czasie Michał. – Może wejdziecie?

Pięć minut później sytuacja nieco się rozjaśniła. Michał, którego Anka i Zuza pamiętały z przypadkowego nocnego spotkania na cmentarzu, mieszkał niedaleko ciotki Izabeli, w domu, który rzeczywiście należał kiedyś do starszej pani lubiącej koty i kwiaty – była to babcia Michała, nieżyjąca już od kilku lat. Teraz dom stanowił nie tyle mieszkanie, co piętrową pracownię, z prawdziwą ciemnią fotograficzną w piwnicy i przestrzenią wystawową na strychu. Gdyby któreś z dziewcząt przyszło do głowy w ramach wakacji u cioci zajrzeć do lokalnej prasy, bez trudu znalazłyby tam zdjęcia autorstwa zdolnego młodego fotografa. Tymczasem Michał zniknął na krótką chwilę w celu zmiany szlafroka na coś bardziej wyjściowego, a dziewczyny, pozostawione same sobie, rozglądały się wokół ciekawie. Pomieszczenie, w którym siedziały, najprawdopodobniej niegdyś stanowiło salon; dopóki właściciel domu nie zdecydował, że w tym miejscu najbardziej przyda mu się składzik. W tym krótkim czasie, kiedy nie było z nimi fotografa, dziewczyny zdążyły się nieco oswoić z owym składzikiem i uznać, że miejscami zdaje się on aspirować do miana pracowni. Szczególnie świadczyły o tym ściany obwieszane fotografiami – część zdjęć przewędrowała nawet na sufit.

– To co będziecie robić? – zapytał chłopak, pojawiając się na schodach. Miał na sobie ogrodniczki i pasiasty T-shirt. – Czy to jakaś większa inicjatywa artystyczna?

W tym samym czasie Zanael wciąż kurczowo ścisnął w rękę tył szaty Annaela. – Nie możesz tak latać po całym domu, uspokój się...

– Ale ona tu była, zdawało mi się... Może w ogrodzie...

– Oj, przestań, zachowujesz się jak wariat...

– Kto był w ogrodzie? – Znajomy anielski głos sprawił, że nie tylko Annaelowi na chwilę odebrało mowę.

Zanael pierwszy pozbierał się do kupy.

– Witaj, Michaelo! – Skłonił głowę przed zwiewną postacią, która zmaterializowała się przed nimi zupełnie niespodziewanie. – Cieszymy się ogromnie z ponownego spotkania...

Anielica uśmiechnęła się lekko, zadowolona z wrażenia, które wywarła. W tym uśmiechu było dużo rozbawienia i najwyżej szczypta próżności. Zanael pogratulował sam sobie, że udało mu się wywołać tak spektakularną reakcję. Niestety Annael był w stanie wydukać tylko „uhm”, a i Matiel, który widział Michaelę po raz pierwszy, nagle zapomniał wszystko, co wiedział o sztuce konwersacji. Za to, niestety, Izabiel postanowił popisać się elokwencją.

– Jaki czad, ty jesteś dziewczyną? – pisała. Oczarowany, okrążył Michaelę kilkakrotnie, jakby anielica była eksponatem w muzeum, i byłby gotów zajrzeć jej pod suknię, gdyby Zanael nie złapał go w porę za rękę. – Przecież nie ma aniołów dziewczyn! – dodał kupidynek nie dość, że niegrzecznie, to jeszcze niemądrze.

– Ależ są. Po prostu jesteśmy rzadkie – odparła skromnie Michaela, udając, że nie uraziło ją to bezczelne zachowanie. Po tych słowach odwróciła się, dając do zrozumienia, że zamierza teraz skoncentrować całą swoją uwagę na Michale. Annael dyskretnie przesunął się o parę metrów, aby nie tracić z oczu jej łagodnego anielskiego oblicza, Zanael znów westchnął, a Izabiel usiadł na podłodze.

– Taka artystyczna inicjatywa, to super – stwierdził tymczasem Michał. Trudno powiedzieć, co utwierdziło go w przekonaniu, że akcja fundacji „Szczęśliwy Mruczek” ma artystyczny charakter: piękna ulotka wymalowana przez Zuzannę czy monolog Anki. Bo ta druga ze wszystkich sił starała się podkreślić, że uczestniczą w czymś w rodzaju alternatywnego happeningu, w którym nie chodzi wcale o spotkania starszych pań przy herbatce i rozmowy o kotkach, ani trochę.

– No dobra. – Michał odgarnął opadające na oczy włosy. Od kiedy dziewczyny spotkały go na cmentarzu, na pewno nie był ani razu u fryzjera. – To mi się podoba. Można zrobić coś w rodzaju akcji artystycznej, sfotografować te koty z tymi staruszkami w naturalnym otoczeniu, widzę ciepłe popołudniowe światło... Albo lepiej: ujęcia przy kominku! Macie tam kominek?

– Może być i kominek – przytaknęła Anka. Zuzanna, która już otworzyła buzię, żeby przyznać, że nie mają kominka, zamknęła ją z powrotem.

– No to wszystko gra. Kurczę, dobrze, że teraz wpadłyście, akurat skończyłem fotografować cmentarze, i to na dobre, przyda się zmiana tematu.

Michał wstał, strzelił kostkami palców i usiadł z powrotem, tknięty nową ideą.

– Was też bym sfotografował! – oznajmił. – Z tymi kotami, oczywiście. Mówisz, że ile ich tam jest? Ej, to będzie pomysł, za jednym zamachem zrobimy sesję modową...

Anka słuchała go rozpromieniona, potakując. Zresztą Zuza i Matylda też były pod wrażeniem. Jeszcze nigdy nie brały udziału w sesji modowej, chociaż nie ulegało wątpliwości, że to Anka nadaje się do tego najlepiej. Tymczasem Michaela przysłuchiwała się rozmowie z delikatnym, tajemniczym uśmiechem na wargach.

## ROZDZIAŁ 43

– Ej, słuchaj, to jak to jest z tymi anielicami, to naprawdę takie anioły jak my, tylko że dziewczyny? – Izabel natarczywie trącał Annaela w ramię. – Czy one mogą stróżować? To chyba nie jest praca dla kobiet?

Mały kupidynek stał na oparciu kanapy, skąd mógł ogarnąć wzrokiem cały salon. Pierwsze spotkanie Klubu Szczęśliwego Mruczka zgromadziło blisko dwadzieścia osób. W salonie ciotki Izabeli panowała wesoła atmosfera i moderująca dyskusję Anka już od dłuższej chwili właściwie nie miała nic do roboty. Na fotelach i krzesłach rozsiadło się wygodnie piętnaście gospodyń domowych, niektóre przyniosły ze sobą własne koty. Ciotka Izabela wraz z Helenką, niepomne, że wyręczają moderatorkę, objaśniały właśnie zebrany plan działań na następne miesiące. Natomiast dwudziesty pierwszy uczestnik spotkania

zaglądał przez okno do salonu, machając energicznie. Był to Michał, dzierżący w jednej ręce wielki aparat fotograficzny. Pod pachą miał statyw. Tuż za fotografem stała Michaela. Dzisiaj anielica wpięła we włosy jedną z lili z ogrodu, w związku z czym Annael zapomniał o bożym świecie i zupełnie nie słuchał Izabiela.

– No bo zobacz, to bez sensu, żeby dziewczyna była aniołem stróżem! To robota dla facetów! – Kupidynek wypiął dumnie pierś, balansując niebezpiecznie na oparciu kanapy.

– Mhm. – Annael przytaknął grzecznościowo.

– A w ogóle to Elechiel ma świetny pomysł – mówił tymczasem kupidynek, porzucając na chwilę kwestię równouprawnienia anielskich płci. – Naprawdę czadowy. Zobaczysz, to będzie bomba, i to atomowa!

Zapatrzony Annael nadal przytakiwał odruchowo, w związku z czym nie dowiedział się, jaką bombę milczący Elechiel przygotował im na wieczór. Michaela weszła za swoją duszą do domu, po czym ulokowała się przy oknie, elegancko rozkładając skrzydła. Annael przyglądał się temu z zapartym tchem i otwartymi ustami. Dopiero po chwili zrozumiał, że zabiegi anielicy mają związek ze światłem. Rozproszone przez anielskie pióra opromieniało ono salon, tworząc unikalną atmosferę. Wymarzone warunki dla fotografa – dlatego Michał mruknął pod nosem coś, co mogło uchodzić za „dzieńdobry”, zdawkowym skinięciem głowy obdarzając za jednym zamachem cały salon, i od razu zabrał się do pracy. Koty, jakby wyczuły właściwą chwilę, zaczęły malowniczo spacerować między nogami zebranych, wskakiwać na oparcia foteli i zwijać się w urokliwe kłębuszki.

Przyjemny nastrój spotkania przy herbacie i ciastkach udzielił się nawet Matyldzie, która siedziała przy drzwiach, piastując świnkę-skarbonkę. Nie mogła się nadziwić, jak to możliwe, że nonsensowny pomysł ciotki Izabeli zaowocował tak miłym popołudniem. Wszystkie zebrane w salonie panie wyglądały na zadowolone i zaangażowane. Poza tym wciąż były wakacje, a jutro, to już było pewne, na Matyldę czekała plaża nad jeziorkiem – i obiecana im przez Michała sesja moda! Westchnęła z rozleniwieniem, nie przejmując się za bardzo przebiegiem dyskusji; w międzyczasie salon podzielił się między zwolenników kotów kursujących między domem a podwórzem, a frakcję kotów niewychodzących z domu. Zważywszy na to, że większość gości mieszkała w posesjach z ogrodami, koty wychodzące cieszyły się zdecydowaną przewagą. Matylda obserwowała salon i uśmiechała się do siebie. Cieszyła się chwilą. Nie musiała czekać na jakiś mityczny dzień spełnienia marzeń czy rozwiązania wszystkich problemów, żeby poczuć się szczęśliwą. Wystarczył salon oświetlony ciepłym popołudniowym światłem, ukochane przyjaciółki i kilkadziesiąt kręcących się pod nogami kotów. Mały szary kotek, pętający się pod jej fotelem, właśnie

zdecydował się wskoczyć na kolana dziewczyny i oglądał teraz, nieco niepewnie, świnkę-skarbonkę. Gdyby Matylda wciąż chciała zostać pisarką, mogłaby zacząć powieść od tej sceny. Zanalizować uczucie ulotnej radości życia, rozłożyć je na części składowe i złożyć z powrotem. Może nawet zastanowiłaby się, skąd pochodzi i co zrobić, żeby zatrzymać je na dłużej.

W tym samym czasie, kiedy Matylda bezinteresownie kontemplowała chwilę, Anka miała bardzo konkretne powody do radości. Plany fundacji rozrastały się z dnia na dzień, istniała realna szansa pozyskania sponsorów, a Michał obiecał przygotować artystyczny fotoreportaż. A co więcej, umówili się już, że Anna napisze tekst do zdjęć, a całość ukaże się w prawdziwej gazecie! To znaczy, w lokalnych „Wiadomościach Sąsiedzkich”, skupiających czytelników raczej z okolic Milanówka niż z samego miasteczka. Ale tak czy inaczej, Anka miała poczucie spełnienia i sukcesu. O dziwo, cieszyło ją to dużo bardziej niż zeszłoroczny staż w firmie, załatwiony jej przez wujka Mirosława. Tak naprawdę, miała wrażenie, że dopiero teraz zasłużyła na miano „kobiety sukcesu”, chociaż wyjściowe szpilki zostały w mieście, schowane na dnie szafy. Wymieniła pełne satysfakcji spojrzenia z Zuzanną. Zuza też wyglądała na dumną. A przecież nie zrobiły niczego wielkiego. Ot, trochę przyczyniły się do tego, że kilkanaście pań w sile wieku będzie się dobrze bawić, a koty dostaną lepszą karmę i kocyki na zimę... Czy może odwrotnie. Fundacja miała tyle pomysłów na przyszłość, że chwilami zaczynały jej się wszystkie mieszać.

– Już jest! – Izabel potrząsnął ramieniem Annaela, bezskutecznie próbując zwrócić jego uwagę. – Najważniejszy gość!

Annael, wktóry usiłował dyskretnie i nienachalnie obserwować Michaelę, wciąż nie zauważał natarczywego kupidyńka. Nie mógł jednak przegapić dzwonka do drzwi, a tym bardziej przybysza, który wszedł do salonu. Skupił on na sobie uwagę zebranych już chociażby z racji na to, że nie był kolejną gospodynią domową. Starszy mężczyzna ubrany był w elegancki płócienny garnitur, gdzieśgdzie poplamiony farbą. Rozłożystą siwą brodę nosił przyciętą w półkole, a na jego rękach spoczywał imponujący kot o szarym futrze z błękitnym połyskiem, zdecydowanie bardziej rasowy niż ciocine dachowce.

– Toż to Tadeusz! – Helenka wzięła na siebie zadanie przedstawienia gościa zebranym. – Proszę was, poznajcie mojego przyjaciela, wybitnego artystę plastyka, emerytowanego profesora sztuk pięknych, a przy tym właściciela Franczeski! Franczeska jest kotem kartuskim – dodała tonem podkreślającym arystokratyczne pochodzenie zwierzęcia.

Starszy pan ukłonił się skromnie, pozwalając kotu zeskoczyć na podłogę. Zetknąwszy się z parkietem, Franczeska prychnęła lekko, zamrugała złotymi

oczami i podążyła pewnym krokiem w stronę fotela w rogu pokoju. Dopiero wtedy Annael, a wraz z nim pozostałe anioły, zorientował się, że był on już zajęty: Elechiel siedział na swoim miejscu, podobny do uśmiechniętego świątka i równie nieruchomy.

– Kiedy on przyszedł? – Annael skierował te słowa do Izabela, ale tym razem to on został zignorowany. Kupidynek był całkowicie skoncentrowany na obserwowaniu Tadeusza. Annael, podążając za jego wzrokiem, zauważył, że artysta plastyk przyniósł ze sobą nieco już wymiętą ulotkę z kotami wymalowanymi przez Zużę. Anioł niezwłocznie podzielił się tym odkryciem z Zanaelem.

– Czy myślisz to, co ja? – szepnął. Zanael lekko skinął głową, nieumiejętnie próbując ukryć podekscytowanie.

Przecucie nie myliło Annaela. Ledwo zebranie dobiegło końca i rozgadane sąsiadki zaczęły niespiesznie opuszczać salon, Helenka zerwała się z miejsca, by przedstawić sobie Tadeusza i Zuzannę. Jak się okazało, emerytowany profesor zdążył się zapoznać z pracami początkującej malarki. Czy to w uznaniu jej wielkiego talentu, czy może z racji na wieloletnią przyjaźń z Helenką, niemniej gotów był otoczyć młodą artystkę mentorską opieką. Zuzanna, stojąc przed uznanym malarzem, ograniczyła swój udział w konwersacji do potakiwania i pełnych wdzięczności uśmiechów. Za to Helenka mówiła dużo, głośno i bardzo pochlebnie o obojgu. Nie omieszkała wspomnieć o wystawach Tadeusza, szczególnie zagranicznych, i o tym, że w świecie sztuki, opanowanym przez „nowoczesne bohomyzy”, udało mu się wypracować własny, miły dla oka i niezmiernie pracowity styl, bazujący na osiągnięciach XIX-wiecznego malarstwa akademickiego. Z kolei Zuzanna została pochwalona za samorodny talent, dotychczas rozwijany samodzielnie.

– Właściwie to dziewczyna dopiero co odkryła na nowo swoją pasję, a przecież jej obrazki od razu można zanieść do galerii, nie będzie wstydu – perorowała Helenka. – Proszę, ile dobrego mogą przynieść wakacje u nas!

– Ołówki i akwarele – odparł profesor, posyłając swojej nowej uczennicy porozumiewawcze spojrzenie. – Od tego zaczniemy w przyszłym tygodniu – dodał wyjaśniającym tonem, kierując te słowa do Helenki, ponieważ Zuza od razu zrozumiała, o co chodzi.

– Jaki czad, nie? – Izabel znów wspiął się na oparcie kanapy i balansował na jednej nodze. – Facet naprawdę nieźle maluje, zobaczycie, kwiaty i domy, to jasne, ale umie nawet konie, burze na morzu i portrety... No i z niewidzialnymi rzeczami też sobie radzi, kiedyś wymalował Boga Ojca i to całkiem do rzeczy! No i jeszcze ma taki fajowy cykl płócien, na których jest tylko światło i woda, nic więcej, ale jest do tego cała teoria. Naprawdę warto oblukać. – Zmęczony tą dłuższą



przemową o sztuce przewiesił się przez oparcie. – I nie zapominajcie – dodał – że to wszystko był pomysł Elechiela!

## ROZDZIAŁ 44

W drodze na pierwszą lekcję rysunku Zuzanna czuła się nieco onieśmielona. Poza tym czegoś jej brakowało... Stojąc pod furtką domu Tadeusza, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od dobrych trzech tygodni nie ma u jej boku Ani i Matyldy. Tak bardzo przyzwyczała się do ich obecności, że teraz czuła się nieco osamotniona, chociaż z drugiej strony, nie było w tym nic szczególnie nieprzyjemnego. Poprawiła tkwiącą pod pachą teczkę na rysunki, pchnęła otwartą furtkę i rażno wkroczyła do ogrodu. Ogród, chociaż niebywale zarośnięty, zdawał się świecić pustkami – prawdopodobnie przez brak kotów.

Malarza znalazła dopiero w pracowni na poddaszu. Tadeusz stał przed sztalugami z pędzlem w uniesionej dłoni i wpatrywał się w powstający obraz wzrokiem torreadora, który śledzi pędzącego w jego stronę byka. Zuzanna kilka razy przestąpiła z nogi na nogę, zanim odważyła się zachrząkać. Artysta uniósł wolną rękę, tym jednym gestem dając do zrozumienia, że pamięta o swoim gościu i że gość ma mu nie przeszkadzać. Dlatego Zuza cofnęła się o parę kroków i zaczęła rozglądać po pracowni. Przestronne pomieszczenie zajmowało całe poddasze, a przez liczne okna, rozmieszczone na ścianach i suficie, wpadało tyle

światła, że było tu równie jasno co w ogrodzie. Przez starannie wymyte szyby do pracowni ze wszystkich stron zaglądało niebo. Na środku pomieszczenia stały sztalugi i malarz, a obok kilka drewnianych stołeczków, zajętych przez słoiki z brudną wodą i pędzlami. Poza tym wokół było zupełnie pusto i dopiero pod ścianami zaczynało się coś dziać: oparto o nie gotowe malowidła. Zuzanna przeszła się dookoła, oglądając po kolei płótna. Helenka zdążyła jej opowiedzieć o sztuce Tadeusza, który, rozmiłowany w XIX-wiecznych akademikach, cenił malarstwo realistyczne i doskonale technicznie, ale starał się „pożyczyć” od impresjonistów ich wrażliwość na ulotne i zmienne wrażenia, wywołane przez światło, deszcz czy mgłę. Zuza nie bardzo mogła sobie wyobrazić, jak może to wyglądać, teraz jednak tajemnica nieco się rozjaśniła. Dzieła Tadeusza, w większości przedstawiające naturę i krajobrazy, łączyły w sobie niemal fotograficzny realizm z wrażeniem rozmycia, zamglenia, czasem – prześwietlenia obrazu. Stała właśnie przed szczególnie ciekawym płótnem, przedstawiającym opuszczone miasto, trochę tylko podobne do Milanówka. W złocistym południowym słońcu rysowały się mocne cienie domów i drzew, rozmywające się wraz z perspektywą, aż na koniec przechodzące w złocistą mgłę. Na pustych ulicach nie było widać żywej duszy. Zuza spojrzała na Tadeusza, ale nie wyglądało na to, aby jej nowy nauczyciel miał zamiar oderwać się od malowanego właśnie obrazu. Dziewczyna jeszcze chwilę pokręciła się po pracowni, po czym usiadła na jedynym pustym stołeczku, być może przeznaczonym właśnie dla gości, i wyjęła swój blok do akwareli.

Opuszczone poddasze pozostawało puste tylko pozornie. W tym samym czasie, gdy Zuzanna i Tadeusz malowali, w idealnej ciszy i zupełnie sobie nie przeszkadzając, tuż obok nich odbywała się regularna towarzyska posiadówka. Gospodarzem spotkania był anioł stróż malarza – uśmiechnięty od ucha do ucha Tadael. Ubrany w coś w rodzaju togi i zawadiacko przekrzywiony beret, anioł podejrzenie przypominał starego Balzaca. Poza nim na poddaszu znalazł się Zanael, Annael i Matiel, a także, nie wiedzieć czemu, Michaela. I to ona stanowiła główny obiekt zainteresowania jowialnego gospodarza.

– Jakoś mało nas tu dzisiaj, ale nic nie szkodzi! – mówił Tadael, bezustannie spacerując między gośćmi i poklepując wszystkich po plecach. – Dobrze, że przynajmniej Michaśka wpadła...

Urażona anielica momentalnie poczerwieniała na twarzy.

– Michaela – powiedziała głośnym szeptem, dając do zrozumienia, że gospodarz się przejęzyczył.

– Oj, Michaśka, daj spokój, za długo się znamy. – Anielski Balzac żartobliwie zmierzwił włosy Michaeli na oczach oniemiałego Annaela. Anioł nie potrafił zrozumieć, jak ktokolwiek może odnosić się w podobny sposób do świetlistego odbłasku boskiego piękna, ale nie mógł znaleźć właściwych słów, by

wyrazić swoją dezaprobatę. Anielica prychnęła i skierowała swoją uwagę na obrazy, wyraźnie dając do zrozumienia, że zajrzała tu jedynie w poszukiwaniu artystycznych inspiracji. Nieświadomy niczego Tadael zarechotał pod nosem zupełnie nieanielsko.

– Nie przejmujcie się nią, Michaśka tylko udaje taką wrażliwą – rzucił w stronę pozostałych aniołów.

– Za to Tadael nie musi udawać gburą – odezwała się anielica z przekąsem. Annael, który nabrał już powietrza w płuca, by zaprotestować przeciwko niesprawiedliwym słowom Tadaela, teraz wypuścił je z powrotem.

– Ale i tak się lubimy. – Gospodarz drażnił się z nią dalej. Annael byłby jednak gotów przysiąc, że Michaela na pewno nie lubi brzuchatego anioła. On sam nie mógł wykrzesać w swoim sercu ani odrobiny sympatii dla Tadaela. Tymczasem tamten kręcił się dalej po poddaszu, radośnie perorując na temat wszystkich gości, których można było się jeszcze dzisiaj spodziewać.

– Tadeusz to odludek i milczek. – Nie tylko o Michaeli, ale też o swojej duszy Tadael mówił zupełnie bez szacunku. – Na szczęście ja nadrabiam towarzyskie obowiązki za nas obu! W tej świątyni samotności nigdy nie jest pusto...

– Goście są godni swojego gospodarza – podrzuciła Michaela. Nie wyjaśniła jednak, co ma na myśli, pomimo że Annaelowi udało się, tak na granicy słyszalności, wydusić z siebie słabe „jacy goście?”.

– Tak, kreska w porządku, ale nie widzę tu koloru. – Tadeusz w końcu oderwał się od płótna i stanął nad Zuzanną, zaglądając jej przez ramię. Kobieta spojrzała na niego trochę zdziwiona. Od dobrych dwudziestu minut malowała widoczny przez okno krajobraz, głównie drzewa i dachy domów, i wydawało jej się, że użyła całkiem pokażnej ilości kolorów.

– No tak... – mruknął tymczasem malarz, sięgając jedną ręką po wolną paletę, a drugą po zestaw farbek, przyniesiony przez Zuzannę. Przez dłuższą chwilę młoda adeptka sztuki obserwowała, jak mistrz miesza barwniki na palecie. – Niebo – chrząknął, wskazując na pięć różnych odcieni, a po namyśle dodał obok kroplę żółci. – No. A tego nie używaj. – Wydłubał czarną farbę z zestawu Zuzy i bezceremonialnie schował ją do kieszeni utyłanej różnymi kolorami kamizelki.

Dziewczyna spojrzała na paletę, potem na swój obrazek i znów wzięła się energicznie do pracy. Tadeusz jeszcze przez chwilę stał za nią i parę razy wyrwał Zuzie pędzel, żeby nanieść właściwy kolor we właściwe miejsce. W odczuciu Zuzanny krajobraz powoli zaczął przypominać małe arcydzieło, chociaż nie wyglądało na to, by malarz był z niego zadowolony. Praca artystki wyjątkowo za to podobała się Zanaelowi. Anioł nie mógł się jednak skoncentrować na obserwowaniu powstającego malunku, bo na poddaszu zrobiło się jakby tłoczno.

Co gorsza, goście Tadaela stanowili nadprzyrodzoną zbieraninę różnych niebudzących zaufania typów. Zanael miał mieszane uczucia wobec Jozefira i Uruela, natomiast Litodiel z całą pewnością nie był niczym stróżem. Poczciwy Zanael nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego gospodarz ściągnął tu podobnych gości. Annael i Matiel, na których nowo przybyli zrobili równie złe wrażenie, wcisnęli się w kąt pod ścianą, a Michaela skończyła oglądanie obrazów i wyniosła się dyskretnie bez pożegnania z kimkolwiek. Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się ciężka. O dziwo, nie przeszkadzało to malarzowi, który kładł właśnie na swoje płótno wielobarwne i podejrzanie żywo wyglądające cienie.

– To dopiero była impreza. – Tadael dzielił się z zebranymi jakimś wyjątkowo nieprzystojnym wspomnieniem. – Dwadzieścia lat temu, a pamiętam jak dzisiaj...

Zanael westchnął, rzucając ostrożne spojrzenie na gości. Każda chwila obserwacji potwierdzała jego najgorsze przypuszczenia. Jeśli przyjaciele Tadaela w ogóle byli aniołami, to drugiego sortu. A przykurzone skrzydła milczącego Litodiela jednoznacznie świadczyły o tym, że należał do anielskiego półświatka. Zanael na pewno nie chciałby poznać go bliżej. Narastała w nim za to silna potrzeba pogadania z Tadaelem w cztery oczy. Może i podejrzane towarzystwo stanowiło dobrą kompanię dla stróża artysty, ale na pewno nie dla Zuzanny.

## **ROZDZIAŁ 45**

Kolejne ciepłe popołudnie przyciągnęło wszystkich na plażę nad jeziorkiem. Leżenie na brzegu i patrzenie na chmury już ze dwa tygodnie temu straciło posmak nowości, niemniej wciąż budziło miłe odczucia. Nikogo nie zaskoczyło, gdy Zuza, wychodząc na plażę, zabrała ze sobą blok i farbki, mając nadzieję, że uchwyci zmienną kolorystykę wody. Jednak póki co akcesoria malarskie leżały obok koca, a pod nimi chowała się książka do niemieckiego, przyniesiona przez Ankę. Książka założona była zielonym listkiem między stroną czwartą a piątą – to znaczy zaraz po stronie tytułowej. Wyciągnięte na kocach kobiety wpatrywały się w „Wiadomości Sąsiedzkie”, a dokładnie – w dział z modą, w tym numerze zajmujący większą część pisma. Matyllda kartkowała gazetę, a przyjaciółki zaglądały jej przez ramię, Zuza przez lewe, a Anka przez prawe. Zamieszczone w gazecie zdjęcia w całej trójce budziły uzasadnioną radość i dumę, ponieważ przyjaciółki same do nich pozowały. I tak, na fotografiach uwieczniono Matyldę: ubrana w długą czarną suknię, dzierżyła w objęciach białego perskiego kota, wypożyczonego specjalnie na tę okazję od kuzynki Michała. Z kolei Anka, cała na białło, uchwycona została w pozycji leżącej, w towarzystwie, dla kontrastu, czarnych kocurków. Modelka miała na nosie ciemne okulary, a na szyi sznur pereł, i wyglądała jak gwiazda – w każdym razie tak powiedział fotograf. Nie zabrakło też Zuzanny, która zapozowała do zdjęć portretowych, z kilkumiesięcznym kociakiem przytulonym do policzka i kolorową chustą na głowie. Całą galerię zamykało jeszcze jedno zdjęcie Anki (zgodnie z przewidywaniami jej przyjaciółek, okazała się najbardziej fotogeniczna, no trudno). Do tej ostatniej fotografii zapozowała też kotka Tadeusza, Franczeska. Sesja zdjęciowa wyszła przepięknie – i bardzo godnie reklamowała fundację „Szczęśliwy Mruczek”. Matyllda westchnęła z zadowoleniem i jeszcze raz przerzuciła kartkę, żeby wrócić na początek galerii.

Anioły opalały się nieopodal, korzystając z sierpniowego słońca. Matiel leżał z uśmiechem na ustach i przymkniętymi oczami, Annael rozglądał się wokół, jakby na kogoś czekał, natomiast Zanael znowu wydawał się zafrasowany.

– Muszę pogadać z Tadaelem – powtórzył po raz któryś. – Oczywiście, rozumiem, że każdy może sobie sam dobierać przyjaciół, ale martwię się, że Zuza będzie przebywać w takim towarzystwie...

– Przecież jej pilnujesz – pocieszył go Matiel, nie otwierając oczu.

– A jak się na chwilę odwrócę? I zaczepli ją taki, na przykład, Litodiel?

– Nie ma mowy. – Matiel uspokajająco zamachał skrzydłem. – Jesteś przeczulony.

– Pewnie tak. – Anioł westchnął ciężko. – Ale moja dusza jest taka wrażliwa! – W tym jednym słowie zawarł bardzo dużo znaczeń. Jednym z nich było, niestety, „podatna na wpływy”.

– My też jej pilnujemy – rzucił Annael.

– I tak mi się to nie podoba. – Zanael twardo obstawał przy swoim. – Czemu zawsze musimy mieć tak pod górkę? Jedno niebezpieczeństwo zażegnane, a już dusza ludzka radośnie dryfuje w stronę następnej katastrofy, spuścisz ją z oka na pięć minut i możesz zmarnować rok pracy...

– No, już daj spokój. – Matiel otworzył jedno oko specjalnie po to, by łypnąć na kolegę krytycznie. – Twoja dusza wreszcie odnalazła swoją pasję, jest na dobrej drodze, iskra boża się nie marnuje. Masz najmniej powodów do narzekania z całej naszej trójki. Zobacz, że biedna Matylda zupełnie nierozsądnie straciła prawdziwą miłość...

– A Anna nigdy nie spotkała prawdziwej miłości! – Annael postanowił się wtrącić. – A jak spotka, to dopiero będą problemy... – dodał przewidująco. A potem spojrzął za siebie, na drogę prowadzącą do jeziora, i westchnął z rezygnacją, ponieważ ścieżka była pusta.

– Kogo ty tak wypatrujesz? – zagaił Zanael znacząco.

– Nikogo.

– Patrzcie – rzucił tymczasem Matiel, spoglądając na przeciwległy brzeg jeziora. – Czy to nie jest...

– Litodiel – dokończył Annael zaskoczony. Wyraźnie to nie jego się spodziewał.

Szaroskrzydły anioł siedział na pomoście, wpatrzony w powierzchnię jeziora. Pomimo słonecznej pogody wydawało się, że otacza go mgła, i to listopadowa. Na wodzie unosił się złotawy liść, przedwcześnie zwiastujący jesień. Wyglądał wyjątkowo smutno, podobnie jak i zgarbiony Litodiel. Wyraz twarzy anioła nie zachęcał do tego, by zagaić rozmowę. Matiel mrugnął do Annaela, a Annael do Zanaela – cała trójka zgodziła się ze sobą bez słowa. Wtedy jednak trawa rosnąca na brzegu za plecami zgarbionego Litodiela poruszyła się, jakby dotknięta przez wiatr, a po chwili zza zasłony zieleni wynurzyła się zwiewna anielska postać. Michaela powoli przeszła przez pomost, jakby stąpała po czymś delikatnym i kruchym, po czym usiadła tuż obok zgarbionego anioła.

– Ale... – Z ust Annaela wyrwał się mimowolny jęk sprzeciwu. Przyjaciele spojrzeli na niego, nie mając już wątpliwości, kogo tak wypatrywał.

– Może pomachaj do niej? – zasugerował Matiel bez większego przekonania. Annael jednak jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pomost. Nie działo się tam nic szczególnego; wyglądało na to, że Michaela mówi coś do Litodiela. Sądząc ze sposobu, w jaki pochylała głowę – coś pocieszającego.

– Za dużo ryzykuje! To nie jest towarzystwo dla niej... – syknął znów Annael. – Idę tam! – Jednak nie wstał z miejsca.

– To duża anielica, na pewno wie, co robi. – Matiel próbował go pocieszyć.

Annael jednak kręcił głową, wzburzony. Nie był to koniec przykrych niespodzianek. Chwilę później na pomoście zjawił się kolejny gość. Tadael, jak przystało na anioła stróża malarza, ubrany był ekscentrycznie: w staromodny kostium kąpielowy w poziome, białe-czarne pasy, sandały i nieodłączny, jak się okazało, beret. Zasiadł na pomoście, wciskając się między Litodiela i anielicę, i zaczął wszystkich poklepywać po plecach, śmiejąc się nie wiadomo z czego i po co. A potem uniósł wzrok i pomachał wesoło do trójki aniołów, gapiących się na pomost z przeciwległego brzegu.

– Hej tam, letnicy! – zawołał. – Woda jest ciepła?

– Taka sobie! – odkrzyknął po chwili Matiel, wyręczając kolegów; w szczególności Annaela, któremu najwyraźniej odjęło mowę.

– Może chcecie odwiedzić naszą stronę jeziora?

– Może nie – szepnął Annael. Matiel jednak pospieszył się i zdążył już zadeklarować, że bardzo chętnie. Zanael westchnął i rzucił ostrożne spojrzenie w stronę dziewczyn, które nadal wylegiwały się w słońcu, i pokręcił głową, odnotowując, że nie przestały przeglądać zdjęć w gazecie. Teraz zabawiały się dyskusowaniem o tym, czy czarna suknia wystarczająco wyszczupliła Matyldę i czy Zuzanna nie powinna częściej nosić wzorzystej chusty na włosach.

– Zimna woda... – Tadael wzdrygnął się, zanurzwszy w jeziorze jedną piętę. – A przecież mamy sierpień, co się dzieje z tą pogodą... Przynajmniej światło dobre, ten mój malarz zamknął się w swojej pustelni, wyłączył telefon, drzwi zatrzasnął i tworzy... Dobrowolny więzień, można powiedzieć: więzień talentu...

Zanael uśmiechnął się grzecznościowo w odpowiedzi. Pomost, na którym znajdowało się teraz sześcioro aniołów, zaczął podejrzanie przypominać ciasną główkę od szpilki i Zanael miał tuż przed nosem poszarzałe pióra Litodiela. Rozmowa niespecjalnie się kleiła: Michaela przybrała tajemniczy wyraz twarzy i najwyraźniej patrzyła na nich wszystkich z góry, Zanael udawał, że obserwuje przeciwległy brzeg, na którym pozostawili dziewczyny, a Annael, zniechęcony, od czasu do czasu wymieniał porozumiewawcze spojrzenia z Matielem. Tylko Tadael dowcipkował niewzruszenie. Litodiel natomiast siedział odwrócony tyłem do wszystkich i nadal wpatrywał się w wodę i w swój opadły listek. Wydawał się nieobecny duchem. A po chwili, gdzieś w połowie anegdotki Tadaela, niespodziewanie rozłożył skrzydła, omal nie strącając Zanaela do wody, i odleciał, nie żegnając się z nikim. Biorąc pod uwagę, że wcześniej nikogo nie witał, było to może nagle, ale nie zaskakujące zniknięcie.

– Tak, on tak zawsze. – Tadael wzruszył ramionami i przesunął się nieco, korzystając z tego, że na pomoście zrobiło się luźniej. – O czym to ja mówiłem? – Na chwilę zapadła cisza.

– O malarzu – podpowiedział Zanael. – Ale – zebrał się na odwagę – może powinniśmy porozmawiać o czymś jeszcze.

– Taaak? – Słowo to zostało wypowiedziane z pobłażaniem; towarzyszyło mu też wystarczająco dużo ironii, żeby zbić z tropu rozmówcę – a jednak za mało, aby go obrazić.

Zanael nabrał powietrza.

– Chodzi o to towarzystwo, które spotyka się w pracowni – zaczął i natychmiast przerwał, czując na sobie spojrzenie Michaeli. Ale ponieważ nikt się nie odezwał, anioł poprawił przekrzywioną aureolę i brnął dalej. – Właściwie, głównie o Litodiela. Ponieważ Zuza...

– Mhm? – Mogło to stanowić zachętę do mówienia. Ale wcale nie musiało, zważywszy na pokerową twarz anioła.

– Zuza ma za sobą bardzo ciężkie pół roku, nawet więcej: siedem i pół miesiąca! Przeżyła zawód miłosny i bardzo niewskazany romans, niemal romans – poprawił, przypominając sobie, że nie doszło do najgorszego. – Nadal potrzebuje, że tak powiem, szczególnej uwagi i opieki.

– Nie wątpię, że ma taką szczególną opiekę – wtrącił Tadael, chyba bez złośliwości.

– Tak, właśnie. I zależy mi na tym, żeby trzymać ją z dala od, że tak powiem, złych wpływów...

Wypowiedź Zanaela przerwało głośne prychnięcie. Prychnęła Michaela. Widząc, że spojrzenia wszystkich zebranych skupiły się na niej, anielica znacząco wzniosła spojrzenie ku niebu.

– Czy wy się niczego nie domyśliliście? – zapytała. – Odnośnie Litodiela?

Odpowiedziały jej trzy niezbyt w tej chwili inteligentne spojrzenia. Michaela i Tadael także popatrzyli po sobie i dopiero gdy cała gra spojrzeń i zerknięć dobiegła końca, Tadael oznajmił:

– Ty im opowiedz.

– Mam takie trochę odstające uszy – zdecydowała tymczasem Matylda. – W każdym razie na tym zdjęciu.

– Ale za to symetryczną twarz. – Zuzannę najwyraźniej dręczyło coś innego. – Ja mam nos skrzywiony w lewo, o tutaj, popatrz. – Matylda popatrzyła, ale nic nie dostrzegła.

– Może to kwestia światłocienia – zdecydowała. – Na drugim zdjęciu wygląda dobrze.

– Bo jest z półprofilu – zachnęła się Zuza. – Wszystko wygląda dobrze z półprofilu.

– Może powinniśmy się zawsze ustawiać półprofilem? To znaczy, do fotografii.



– Na co dzień też by nie zaszkodziło. – Zuzanna pomacała swój nos.

– Nikt nie ma idealnie symetrycznej twarzy – wtrąciła się Anka. – Czytałam o tym artykuł. Idealnie symetryczna twarz wyglądałaby nienaturalnie.

Przyjaciółki spojrzały na nią bez przekonania. Obie gotowe były się założyć, że kto jak kto, ale akurat Anka ma symetryczne rysy, więc nie powinna wtrącać się do rozmowy.

– A co z artykułem, który piszesz? – Matylda zdecydowała się odpowiedzieć złośliwością na domniemaną złośliwość. – Nie powinnaś już go oddać?

– Nie, bo Michał znowu zmienił koncepcję i powyberał inne zdjęcia. – Anka westchnęła. – A tekst ma towarzyszyć fotografiom ze spotkania. Nie wystarczy, że napiszę parę słów o fundacji. Musi być nastrój, poetyka... – rozmarzyła się, trudno powiedzieć, czy ze względu na artykuł, czy z powodu zdolnego fotografa. Matylda westchnęła znacząco i złożyła głowę na rozłożonych „Wiadomościach Sąsiedzkich”.

– Litodiel jest aniołem stróżem, tak jak my wszyscy. – Michaela zaczęła opowiadać, upewniwszy się, że uwaga wszystkich skoncentrowana jest na niej. Odgarnęła pasmo jasnych włosów za ucho, żeby nie przeszkadzało jej w snuciu opowieści. – Ale z duszami czasem są problemy.

– Ja wiem! – wtrącił się Matiel. – Matylda na przykład chciała wydać swoją książkę i...

– To prawda! Zuzanna na wiele lat porzuciła malarstwo i myślała tylko o Adamie, który... – zaczął tymczasem Zanael. Oba anioły mówiły równolegle i bardzo szybko.

– Ona nie mówi o takich problemach – uciszył ich Annael, który, wpatrzony w twarz anielicy, dostrzegł na niej ślad irytacji. – Chodzi o coś innego.

– No właśnie. – Michaela obdarzyła Annaela delikatnym uśmiechem, sprawiając mimowolnie, że anioł na chwilę przestał koncentrować się na jej opowieści. – Ja mówię o innej sytuacji. Otóż Litodiel dostał pod swoją opiekę chłopczyka z pobliskiej wsi. Od początku nie wyglądało to dobrze: chłopiec wychowywał się bez ojca, a mama nie bardzo odnajdywała się w swojej roli, chociaż miała poza nim już trójkę dzieci. Całą opiekę nad maluchem wziął na swoje barki Litodiel. Pilnował, żeby mały nie wpadł do rzeki, odganiał go od kuchenki i szuflady z nożami, łapał, kiedy chłopiec zaczynał łązić po drzewach... No, wicie, jak to wygląda. Myślę, że nie byłoby najgorzej, gdyby Litodiel mógł sam zajmować się chłopcem. Niestety, jego podopieczny poszedł do szkoły. Szybko okazało się, że trudno mu znaleźć wspólny język z innymi dziećmi, a nauczyciele uznali go za trudnego ucznia. Wcześniej, kiedy nie wiedział, że można mieć przyjaciół, nie odczuwał ich braku, wystarczyło mu, że biega po łąkach w towarzystwie Litodiela. W szkole nauczył się, że jest samotny

i nieszczęśliwy. Czasem musiał zostawać w niej do wieczora, kiedy mama zapomniała odebrać go ze świetlicy. Dopiero w ósmej klasie wydarzyło się coś dobrego. Podopieczny Litodiela się zakochał. Jego wybranką była koleżanka z klasy, nowa w szkole, miła dziewczynka, która bardzo przeżywała przeprowadzkę na wieś. Ich miłość była bardzo ładna, chociaż tak naprawdę mało się znali, a rodzice dziewczyny pilnowali, żeby ich córka nie włóczyła się sama z chłopakiem. Nie mieli jednak nic przeciwko temu, żeby dziewczynkę ktoś odprowadzał po szkole. Dusza Litodiela po raz pierwszy zobaczyła, jak może wyglądać dom i rodzina. Czasem nawet zapraszano go na obiad, a w dniu urodzin chłopak otrzymał od swoich nowych przyjaciół piękny zegarek. Rodzice dziewczyny najpewniej nie zdawali sobie sprawy, ile ich prezent znaczył dla chłopaka. Przez cały czas dzieciak uważał tylko, żeby trzymać wybrankę z dala od swojego prawdziwego domu. Nie mógł jednak ukryć kiepskich manier ani braku obycia z ludźmi, ani wytłumaczyć, czemu nie chce zaprosić przyjaciółki do siebie. Pewnie dlatego rodzice dziewczyny nakłaniali ją, żeby poznawała też innych kolegów, a w końcu zachęcili córkę, by po wakacjach rozpoczęła naukę w liceum w stolicy, które było za dobre dla jej chłopaka. Trafnie przewidzieli, że w innej szkole, w otoczeniu nowych ludzi, ich córka szybko zapomni o dziecięcym zauroczeniu. Jednak dla duszy, którą opiekował się Litodiel, ta miłość była jak najbardziej poważna. Chłopiec czekał tylko na osiemnaste urodziny, żeby móc się oświadczyć. Odkładał nawet pieniądze na wspólne życie... Właściwie, Litodiel nie mówił, skąd je miał – Michaela westchnęła. – Wtedy zaczęły się najtrudniejsze tygodnie. Dziewczyna długo zwodziła chłopaka. Zresztą, trudno ją winić; nadal bardzo lubiła przyjaciela ze szkoły, ale dla niej nie była to chyba miłość na całe życie. Jej rodzice też przestali go zapraszać. Chłopak jednak wmawiał sobie, że wszystko jest po staremu. Też był bardzo młody, pierwsze miłości są często najtrudniejsze, ludzie jeszcze zupełnie nie umieją sobie radzić z uczuciami. W końcu chłopak pojechał do Warszawy, tylko po to, by porozmawiać ze swoją wybranką. Przygotował sobie całą przemowę, miał plan na życie, zamierzał skończyć zawodową szkołę, zdobyć pracę... Im dłużej mówił, tym bardziej dziewczynę przerażały te poważne plany. Myślę, że w innych okolicznościach ta cała historia potoczyłaby się inaczej. Jednak stało się, jak się stało, i chłopak wracał do domu ze złamanym sercem, w poczuciu, że jego życie już się skończyło. Litodiel tłumaczył mu oczywiście, że się myli, że brakuje mu doświadczenia i perspektywy, że wszystko jeszcze się zmieni, i to nie raz. A on powinien kontynuować swój plan na życie, uczyć się, pracować. Za jakiś czas poznałby swoją prawdziwą drugą połowę, pewnie sam by zrozumiał, czym się różni dorosła miłość od tej szkolnej. Ale podopieczny Litodiela zupełnie nie chciał go słuchać, wybrał najgorsze możliwe zakończenie. – Anielica przerwała na chwilę opowieść i spojrzała po swoich rozmówcach, upewniając się, że wszyscy zrozumieli, co się

stało z duszą Litodiela. – Ta dziewczyna potem bardzo żałowała – dodała Michaela. – Poza tym jej rodzina poznała w końcu matkę chłopaka, niestety – dopiero na pogrzebie. Litodiel mówił, że odniósł dziwne wrażenie, jakby te dwie rodziny patrzyły na siebie z zupełnie innych światów. A potem zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego i trudnego do uchwycenia. Kiedy żalobnicy przez chwilę ze sobą rozmawiali, Litodiel zobaczył coś jakby nić porozumienia pomiędzy matką dziewczyny a matką chłopaka. Zastanawiał się... Ale było już oczywiście na wszystko za późno.

Michaela umilkła. Najwyraźniej zastanawiała się, czy coś jeszcze dodać.

– A jak nazywał się ten chłopak? – wtrącił Annael.

Anielica pokręciła głową.

– Tego Litodiel nam nie chciał powiedzieć. Powinien był dawno wrócić na Górę, nie ma już tutaj nic do roboty – dodała stanowczo. – Przyjętoby go dobrze, zrobił przecież wszystko, co mógł. Ale on nie chce. Już od lat włóczy się po ziemi i wygląda na to, że ma zamiar tak się szwendać aż do dnia Sądu. Dopiero wtedy się dowie, co się stanie z jego duszą.

– No tak... – Annael westchnął. – Nie wiadomo, co będzie z takimi duszami.

– Ja myślę, że wszystko dobrze, chłopak był młody i nic nie rozumiał – wtrącił Matiel z nadzieją w głosie.

– Ale nie wiadomo.

Wszyscy zamilkli, pogrążając się we własnych myślach. Michaela pierwsza wstała z pomostu i przeciągnęła się, rozkładając skrzydła.

– Pora na mnie – powiedziała. Tuż po niej pożegnał się Tadael i trójka przyjaciół została sama. Zanael pochylił się i wyciągnął z wody opadły listek, który nie tak dawno obserwował Litodiel. Wyraźnie czuł się nieswojo. Spojrzał na drugi brzeg, na trzy dziewczyny wyciągnięte na nagrzaną przez słońce plażę. I on myślał, że ma ciężką pracę? Właściwie dlaczego coś takiego przyszło mu do głowy?

## ROZDZIAŁ 46

Ponad miesiąc (i naprawdę wiele wypraw nad jezioro) później, nadszedł długo planowany dzień: pierwsza konferencja fundacji „Szczęśliwy Mruczek”. Imprezę zorganizowano rękami Anki w miejscowej szkole, a rozwieszono na ścianie afisze przyciągnęły blisko setkę gości. Salę gimnastyczną, jeszcze kilka dni temu udekorowaną wielkim napisem „Rozpoczęcie roku szkolnego”, teraz zdobiły obrazy autorstwa Zuzanny i fotografie Michała. Przy stolikach w głębi można było nabyć zarówno odbitki zdjęć, jak i małe obrazki, pięknie oprawione specjalnie na tę okazję. Na zielonym papierze leżały ciasteczka-kotki, do których pieczenia zagoniono wszystkich, łącznie z Matyldą. Środek sali zajmowały krzesła dla gości, natomiast przy oknach zorganizowano kocią miniwystawę. Ponieważ na razie udało się zwerbować tylko trzy rasowe koty (obok Franczeski znalazły się jeszcze dwa persy, jeden wypożyczony od kuzynki Michała, drugi od pani Stasi), do pozowania zostały zmuszone też zwyczajne dachowce, teraz podpisane jako „popularny kot domowy”. Dzieciom, które tłumnie przybyły na spotkanie, i tak się podobało, szczególnie że obok kotów znajdował się punkt tworzenia balonowych zwierzątek, którym zawiadywała Matylda. Uśmiechnięta ciotka Izabela, od stóp do głów ubrana w strażacką czerwień, siedziała przy stole prezydialnym obok Helenki, która wbiła się w dawno nienoszoną szmaragdową garsonkę. Honorowe miejsce pomiędzy nimi zajmowała pani Magda, weterynarz, a obok siedziała Anka. Ta ostatnia miała na sobie gustowny beżowy garnitur i szpilki – jedno i drugie przywieźli jej rano rodzice.

Pan Sławomir siedział w pierwszym rzędzie i pęczniał z dumy. Oboje z żoną uznali, że pierwsze „Kocie spotkanie” warte jest tego, by przyjechać w odwiedzinę do córki. Nie widzieli Anki już prawie dwa miesiące, odkąd wyjechała „trochę odpocząć nad jeziorem z przyjaciółkami”. Wyglądało jednak na to, że ich córeczka nie próżnowała. Pan Nowicki ubolewał co prawda, że praca w fundacji jest działalnością nieodpłatną (dyskretnie zwrócił uwagę żonie, że ta cała Izabela mogłaby dać dziewczętom do podpisania przynajmniej przyzwoite śmieciówki), ale za to robiła wrażenie prestiżowej. Na pewno można takie pracowite wakacje

wpisać do CV. Ciesząc się sukcesem córki, Sławomir wykupił z kiosku przy dworcu wszystkie egzemplarze najnowszych „Wiadomości Sąsiedzkich”. To tam, na stronie drugiej i trzeciej, znajdowała się fotorelacja z działalności fundacji, okraszona tekstem autorstwa jego zdolnego dziecka. Niestety, nie był już dostępny egzemplarz gazety, w którym Anna zadebiutowała jako modelka, ale Sławomir miał nadzieję, że uda się zamówić naręczne archiwalnych numerów w redakcji. Kto by pomyślał – w ciągu kilku tygodni dziewczyna zdążyła rozpocząć karierę dziennikarską, zaangażować się w zarządzanie fundacją i jeszcze przebojem wkroczyć w świat fotomodelingu! Pan Nowicki nie mógł się temu nadziwić, zwłaszcza że przez ostatnie miesiące nabrał przekonania, że jego dziecko robi wszystko, byle tylko nie znaleźć pracy – bo jak inaczej wytłumaczyć ten szereg niepowodzeń? Teraz niefortunna passa odwróciła się i nad ścieżką kariery Anny zabłysło słońce. Kolejnym powodem do radości była obecność Fryderyka. Pan Sławomir obawiał się już, że młodych nie ciągnie do siebie, jednak prawnik natychmiast przyjął zaproszenie na imprezę, wystosowane przez Sławomira w imieniu córki. Ojciec Anki uśmiechnął się pod nosem i odwrócił na krześle, aby rozejrzeć się po sali. Ku swojej wielkiej satysfakcji dojrzał kolejne znajome twarze. Zygmunt, tata Zuzanny, również przyjechał specjalnie na to spotkanie, aczkolwiek wybrał nietypowy środek komunikacji. Bardzo zadowolony i tylko trochę zmęczony, dzierżył pod pachą kask motocyklowy. Wolną ręką pomachał do Sławomira i jego żony. Na sali nie zabrakło też przedstawicieli rodziny Matyldy. Alicja Konarzewska, bardzo piękna brunetka ubrana w skromny golf i dzinsy, mogła spokojnie być siostrą, a nie mamą dziewczyny. Podniosła dłoń i pokiwała lekko palcami w odpowiedzi na energiczne machanie Sławomira.

– Dziękujemy państwu za przybycie – powiedziała ciotka Izabela. Nieco stremowana, odchrząknęła i postukała palcem w mikrofon, upewniając się, że na pewno dobrze działa. – Mamy wielką przyjemność gościć was wszystkich na pierwszej uroczystej konferencji. Fundacja „Szczęśliwy Mruczek” narodziła się z miłości do zwierząt, jako naturalne rozwinięcie działalności, którą od lat jest opieka nad koteczkami... – Przechodząc do swojego ulubionego tematu, ciotka porzuciła oficjalny ton i prędko zaczęła się rozczulać nad losem bezdomnych kotów. Zachęcała też do hojnych datków, a to z uwagi na fakt, że synoptycy zapowiadają ciężką zimą.

– Tak naprawdę, to w okolicy nie ma bezdomnych kotów, ani jednego, ani nawet pół bezdomnego kota – szepnął Izabel. – Wszystkie mieszkają u nas.

– Nie wątpię – odparł Matiel. Rozglądał się po sali, mało zainteresowany prelekcją. Matylda siedziała przy punkcie z balonikami i wyglądała na dość zadowoloną. Wypatrzył też Michaelę, wolno spacerującą pod ścianami, i Annaela, który ze smutną miną śledził każdy krok anielicy. Anioł najwyraźniej ciężko

przeżywał zbliżające się rozstanie – ciepła letnia pogoda powoli ustępowała miejsca chłodniejszym dniom i przyjaciółki zaplanowały już powrót z wakacji. Matiel był przekonany, że jesienią często będą odwiedzać ciotkę Izabelę, chociażby po to, by nie zaniedbać działań Fundacji – ale to oczywiście nie to samo, więc trudno się dziwić, że Annael zwiesił nos na kwintę.

– Widzieliście Elechiela? – Zanael przemknął obok nich jak podmuch jesienno-wiatru. – Widzieliście go? Muszę mu koniecznie podziękować za pomoc! Taka wspaniała wystawa obrazów, Zuza tyle się nauczyła w te wakacje! – Nie czekając na odpowiedź, anioł pomknął dalej. Matiel zdążył tylko odnotować, że trzymał w rękach bukiet polnych kwiatów przewiązany czymś, co najpewniej było popołudniowym promykiem słońca.

Po ciotce Izabeli głos zabrała Anka. Jej zadanie polegało głównie na tym, aby zapowiedzieć prelekcję pani Magdy, która miała pochylić się nad kwestią właściwej opieki nad kotami. Na koniec przemawiała Helenka. Nie za długo, bo na zebranych gości oczekiwały jeszcze inne, liczne atrakcje. Przy stoliku ze zwierzątkami z balonów prędko zrobił się korek, a Zuzanna nie nadążała z dedykowaniem obrazków. Michał też miał pełne ręce roboty – on z kolei podpisywał swoje nastrojowe fotografie z kotami. Anka, już zwolniona z obowiązków, wyszła na wewnętrzny dziedziniec, żeby odetchnąć w towarzystwie dawno niewidzianych rodziców – i Fryderyka, który nie wiadomo po co, też przyjechał na spotkanie. Pod czujnym okiem własnego ojca Anka starała się zachowywać miło, chociaż młody prawnik zadawał mnóstwo głupich pytań dotyczących przewidywanych zysków fundacji, jej statusu i rozmaitych regulacji prawnych, a pan Sławomir dodawał od siebie dobre rady w temacie planowania kariery. Obaj zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że w całej działalności Anki chodziło wyłącznie o to, żeby mieć frajdę i satysfakcję z pracy w gronie dobrych przyjaciół... Przecież cały czas była na wakacjach! Dopiero pod koniec rozmowy Anka uświadomiła sobie nagle, że jeszcze parę miesięcy temu nie miałyby wrażenia, że Fryderyk ze swoimi pytaniami urwał się z choinki i pewnie nawet sama, bez dobrych rad taty, wpadłaby na to, żeby wpisać działalność w fundacji do CV... Niesamowite, pomyślała, jak wyjazd może zmienić człowieka. Czy to zasługa sielskich krajobrazów i świeżego powietrza, czy znajomości z ciotką Zuzy? A może nie powinna się aż tak cieszyć z tego, że nagle przestała myśleć praktycznie? Najbardziej zagadkowe w tym wszystkim było to, że najwyraźniej zaczęła stawiać pierwsze kroki w zawodowej karierze – i to w trzech różnych dziedzinach – i wcale tego nie zauważyła. Dopiero pan Sławomir, głośno wychwalający osiągnięcia córki, zwrócił jej uwagę, że zadebiutowała jako organizator, modelka i dziennikarka. I to akurat wtedy, kiedy wreszcie porzuciła marzenia o sukcesie i postanowiła po prostu cieszyć się życiem. Tak, to było

najdziwniejsze. Bardziej zdziwioną minę od Anki miał w tej chwili tylko Annael, który wreszcie przestał wodzić wzrokiem za Michaelą i wrócił do pełnienia obowiązków stróża.

– To niemożliwe. Anka pracuje. Ona pracuje – powtórzył po raz któryś. – Od stycznia pilnuję jej jak głupi, żeby nie zaczęła żadnej roboty... Jak ja mogłem to przegapić?

Stojący obok Michael nie mógł nic powiedzieć, ponieważ histerycznie chichotał.

– Naprawdę zaczęła zarządzać fundacją. Pewnie nawet, o zgrozo, za jakiś czas zaczną na tym zarabiać... Musimy się postarać, żeby tego uniknąć!

– Spokojnie. – Matiel próbował złapać oddech i coś powiedzieć. – Spokojnie...

– I jeszcze została reporterką! I pozowała do zdjęć! Teraz będzie mogła współpracować z innymi fotografami, zacznie robić karierę... A jeśli strzeli jej do głowy, żeby coś jeszcze napisać do gazety...? Gdzie ja miałem oczy? Nie to obiecywałem sobie na początku tego roku!

– Głupi jesteś. – Matielowi w końcu udało się opanować i sformułować zwięźle swoją myśl. – Odniosłeś wspaniały sukces. Pomyśl chwilę. Anka nie znalazła po prostu pracy. Ona zaczęła robić coś z pasją. Nie musisz się tak martwić.

– Nawet jeśli ktoś zacznie jej płacić? – Annael jeszcze nie był przekonany. Matiel jednak wiedział już lepiej.

– To już nic nie zmieni. Najwyżej będzie miała trochę pieniędzy. Nie zepsuje ci się ta twoja dusza od tego.

– No ja mam nadzieję – westchnął Annael, niezbyt przekonany. – Mam nadzieję. Ale jak ja mogłem to przegapić?

Zanael wybrał tę właśnie chwilę, aby wylądować przy nich z furkotem. Anioł uśmiechał się szeroko, *nomen omen* – rozanielony.

– Znalazłem Elechiela – oznajmił. – I wręczyłem mu bukiet. Elechiel co prawda nic nie powiedział, ale Izabiel twierdzi, że bardzo polubił moją duszę i jest zadowolony, że mógł pomóc. Zuzanna – dodał z emfazą – to prawdziwa artystka! Tylko czekać, aż świat o niej usłyszy! Chociaż – dodał po chwili, czując na sobie dwa krytyczne spojrzenia – może nie to jest najważniejsze...

**JESIEN**



## ROZDZIAŁ 47

Ostatniego dnia września padało, dlatego Matylda wyruszyła na zakupy pod wielkim parasolem. Parasol miał czarne cętki, jak lampart, co było może w nienajlepszym guście, ale za to dzielnie, jak to drapieżnik, stawiał czoła ulewie. Zmierzając szybkim krokiem w stronę sklepu papierniczego, Matylda zadumała się nad zmianami pogody – i, patrząc ogólniej, zmianami jako takimi. Wyglądając spod parasola na mokre warszawskie ulice i szare niebo, wiszące nisko nad miastem, trudno było uwierzyć, że istnieją we wszechświecie takie miejsca jak plaże nad jeziorkiem i ogród ciotki Izabeli na obrzeżach Milanówka... Wygrzewające się w słońcu koty i dzbanek z lemoniadą zdawały się należeć do innego świata, odległego od deszczowej ulicy o całe lata świetlne. Ulubiony kostium kąpielowy Matyldy leżał już na górnej półce szafy, a słomkowy kapelusz z szerokim rondem dołączył do kolekcji nakryć głowy, które ozdabiały wieszak w przedpokoju. Minie przynajmniej osiem miesięcy, zanim znów będzie można zdjąć go z kołka... Matylda miała nadzieję, że te wszystkie należące już do przeszłości tygodnie, spędzone w pełnym słońcu, pozwolą jej jakoś przetrwać nadchodzącą jesień i nowy rok akademicki. Zajęcia zaczynały się jutro i dziś był ostatni dzwonek, żeby kupić komplet przepięknych zeszytów. A wybieranie zeszytów, pomyślała, naciskając łokciem klamkę drzwi wejściowych i jednocześnie składając parasol, to jedna z nielicznych prawdziwych przyjemności związanych z edukacją. A potem westchnęła z zadowoleniem, bo oto rozciągały się przed jej oczami długie szeregi kolorowych okładek. Na szczęście dzieciarnia z podstawówek, robiąca zakupy miesiąc wcześniej, nie przebrała wszystkiego. Mogła wybierać pomiędzy krajobrazami puszczy amazońskiej, widokami z Paryża, małymi kotkami i jakimś blondynem, z grzywką zaczesaną na bok, w którym podkochiwały się aktualnie wszystkie trzynastolatki. Matylda szybko przeliczyła ilość czekających ją wykładów i ćwiczeń. Trzeci rok kulturoznawstwa to poważna sprawa, wymagająca przynajmniej kotków z kłębkim włóczki, a może nawet buldoga w wiaderku.

Dziesięć minut później rozanielona Matylda nadal grzebała w stosach

zeszytów. Pod pachą dzierżyła wybrany zestaw i sięgała właśnie w stronę szczególnie pięknego notatnika z wieżą Eiffla, kiedy poczuła czyjąś obecność. To było nagłe wrażenie, tak intensywne, że później była gotowa przysiąc, że wiedziała, kto ją obserwuje, jeszcze zanim zdążyła się odwrócić. Spojrzała za siebie. Po drugiej stronie sklepu stał Wojtek. Mężczyzna natychmiast odwrócił wzrok, a stało się to w tej samej chwili, w której Matylda upuściła całe naręczce zeszytów. Nie zrobiła tego specjalnie, częściową winę za stan rzeczy ponosiły śliskie, lakierowane okładki; reszty dokonało zaskoczenie. Tak czy inaczej, udało jej się bardzo malowniczo rozrzucić je wokół. I w tym samym czasie, w którym Matylda stała oniemiała, zastanawiając się, czy uciekać, czy udawać niedostępną, zafrasowany mężczyzna westchnął ciężko i postanowił zachować się jak dżentelmen. Z ciężkim sercem, ponieważ pamiętał, że już raz przeżył podobną sytuację i nie skończyło się to dobrze.

– Uwaga! Alarm! Matiel, gdzie ty jesteś? – Całą scenę obserwował tylko Wonsael – i może jeszcze ekspedientka za ladą, nieszczęśliwie zadowolona, że ktoś rozrzuca materiały papiernicze.

– Alarm! Alarm! – Rozgorączkowany anioł nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że przegapił obecność Matyldy w sklepie. Wstąpili tu przecież tylko po ryzę papieru do drukarki i niebieski długopis! Gotów byłby się założyć, że to Matiel zaaranżował to niby przypadkowe spotkanie, a najpewniej również szturchnął młodą kobietę, aby upuściła zeszyty, jednak zaprzyjaźnionego anioła nigdzie nie było widać i nawoływanie nie miało żadnego sensu. Wonsael był sam... I musiał natychmiast coś zrobić! Zafrasowany stanął obok Wojciecha i potarł nerwowym ruchem wąs.

Dzielny mężczyzna tymczasem zdążył pozbierać z podłogi całą kolekcję zeszytów z kotkami, pieskami, pustynią Atacama i, na koniec, piękny notatnik z wieżą Eiffla. Ten ostatni wywołał w jego umyśle cały szereg skojarzeń, obejmujący między innymi, choć nie tylko, niewydaną powieść jego byłej dziewczyny. Pozornej dziewczyny – poprawił się w myślach, przypominając sobie, że cały ich związek był tylko sprytnym fortelem. A przypomniawszy to sobie, zrobił poważną i oficjalną minę.

– Mogą się jeszcze przydać – powiedział z mrozącą krew w żyłach uprzejmością, podając dziewczynie zeszyty. W odpowiedzi spojrzały na niego piękne, złocistobrązowe, ufne oczy. Matylda szybko się otrząsnęła i podjęła drugą próbę spojrzenia na utraconą miłość, tym razem surowo i z dystansem.

– Dziękuję, nie trzeba było – odparła lodowato, akcentując szczególnie ostatnią część wypowiedzi. Miała nadzieję, że Wojtek dosłyszy w jej głosie obojętność, ale efekt musiał być mizerny, skoro mężczyzna nadal stał przed nią. Niemniej, kiedy tylko nabrała powietrza w płuca, żeby dodać coś jeszcze, zaczął się gwałtownie żegnać.

– Powodzenia, hm, na studiach – rzucił.

– Dziękuję! – zawołała Matylda w stronę jego pleców. Wojciech nie odchodził, raczej uciekał, a przy nim frunął Wonsael.

– Szybko, szybko, wychodzimy! – poganiał swoją duszę. Ale w ostatniej chwili, już przy drzwiach, anioł przystanął gwałtownie. To jego serce służbisty, jak na nieszczęście, odezwało się akurat teraz.

– Ryza papieru! Długopis! – przypomniał sobie. Zaalarmowany Wojciech też się zatrzymał. – Albo nie, nieważne, kupimy gdzie indziej... – Anioł dostrzegł, że dziewczyna, jak na złość, nadal stała, patrząc na nich. Bóg jeden wiedział, co knuła. – Wychodzimy! – Wonsael pchnął lekko Wojciecha w stronę wyjścia. A przynajmniej chciał to zrobić, ale jego dłoń trafiła w próżnię. Dzielny wydawca maszerował już z powrotem ku swojej ryzie papieru i czającemu się obok przeznaczeniu.

Deszcz bębnił w dach pracowni Tadeusza i malowniczo spływał po szybach wąskimi, krzyżującymi się strużkami. Pochylona nad blokiem rysunkowym Zuzanna pracowała z oddaniem, aby uchwycić nastrój wczesnojesiennej niepogody. Na poddaszu nie było najcieplej i malarka cieszyła się, że pomyślała o zabraniu z domu grubego swetra. Jej nauczyciel niespiesznie dumał nad paletą, na której rozmieszał kilka odcieni szarej farby. Odrywał się od niej co jakiś czas, aby dla odmiany podumać nad pracą Zuzy.

Chociaż lato dobiegło końca, dziewczyna nie przerwała lekcji. Tyle że teraz raz lub dwa razy w tygodniu wsiadała w podmiejski pociąg albo w busik, żeby odwiedzić pracownię malarza. Busik jechał zdecydowanie dłużej, ale za to zatrzymywał się blisko domu Tadeusza; pociąg miał dokładnie odwrotne właściwości. Zachęcona przez swego mentora Zuza nie ograniczyła nauki tylko do tych spotkań – wraz z początkiem października zamierzała zacząć kurs malarstwa w domu kultury na własnym osiedlu.

– Dużo cię tam nie nauczą, ale ważne, żeby ciągle malować i malować – powtarzał Tadeusz. – I jeszcze więcej malować. Później urządzimy prawdziwą wystawę – dodawał czasem na zachętę. Chociaż właściwie nie trzeba było Zuzy zachęcać. Raczej ktoś powinien czasem wyrwać jej pędzel z dłoni i wyprowadzić na spacer. I to prawdziwy spacer, nie plener malarski. W każdym razie tak uważał Zanael, ale ilekroć próbował wspomnieć coś na ten temat, pozostałe anioły zgodnie zabraniały mu narzekać. Za dobrze się to wszystko układało, żeby wciąż szukać dziury w całym.

Cała trójka skrzydlatych przyjaciół siedziała na poddaszu, grzejąc się w ciepłe prawdziwej sztuki.

– Uwielbiam jesień – powiedział Matiel. – To najspokojniejsza pora roku. Wreszcie można odetchnąć, wiadomo, że jesienią nic się nie dzieje, ludzie siedzą

po domach, piją ciepłą herbatkę...

– Zwłaszcza w taką pogodę – przytaknął Zanael.

– A Matylda nakupowała włóczki, planuje po zajęciach dziergać ciepły sweter w dziesięciu różnych kolorach... Piękny pomysł... – Matiel niespiesznie dobierał słowa, rozkoszując się spokojnym popołudniem.

– A nie na zajęciach? – wciął się Annael. – Pod ławką?

Matiel zignorował tę uwagę.

– Czeka nas spokojna jesień – powtórzył. – I bardzo dobrze, należy nam się trochę relaksu, a nawet nudy. Chętnie się ponudzę – zadeklarował, układając się wygodniej. Deszcz cicho bębnił o parapety, jakby samo niebo włączyło, specjalnie dla nich, relaksującą muzykę.

– Nie, nie, nie! – W tej samej chwili Wonsael miotał się po wnętrzu sklepu. – Odlóż ten papier! Kiedy indziej kupimy... Albo nie, zapłać! Już teraz, szybko, zapłać! – wykrzyknął, widząc, że Matylda pewnym krokiem zmierza w stronę kasy, niosąc swoje naręcze infantylnych zeszytów. Wonsael uznawał tylko monochromatyczne kołonoratniki i do takich zakupów zawsze skłaniał swojego podopiecznego. – No już, zapłać!

Pech chciał, że Wojciech również zapatrzył się na idącą ku niemu Matyldę i zamiast wyjąć z portfela banknot, wręczył zaskoczonej sprzedawczyni pognieciony paragon.

– Przepraszam pana... – zaprotestowała ekspedientka. – Za ryzę papieru należy się szesnaście złotych i siedemdziesiąt dziewięć groszy.

– Och, i jeszcze długopis! – przypomniał sobie Wojciech, jak na nieszczęście akurat teraz. Matylda stanęła już obok niego, odwracając twarz w stronę regałów. Z dużym zacięciem starała się zachowywać jak nieznajoma z kolejki.

– Długopisy stoją tutaj. Proszę sobie wybrać. – Ekspedientka zdążyła już dojść do wniosku, że ma do czynienia z kompletnym kretynem. Aż dziwne, zważywszy na elegancki płaszcz i raczej szlachetne rysy męzczyzny, szczególnie ten arystokratyczny wąs. A może był obcokrajowcem?

– Um... – Denerwujący klient patrzył niewidzącym wzrokiem na wystawione długopisy. Najwyraźniej zbyt szeroki wybór sprawił go w konsternację.

– Niebieski z czarną zatyczką, zawsze je bierzemy – odpowiedział Wonsael. Dokładnie w tej samej chwili przy jego uchu rozległ się niepewny kobiecy głos.

– Może ten? – zaproponowała Matylda. Cała spłoniona podsunęła mężczyźnie pod nos wybrany przez siebie długopis. Zaskoczony Wojciech odebrał go od dziewczyny z taką miną, jakby pisak wykonano ze złota, a nie z pomarańczowego plastiku.

– Powiniennem go wybrać? – zapytał z powagą w głosie. Ekspedientka wydała z siebie zniecierpliwione westchnienie, na które nikt nie zwrócił uwagi.

– Mam taki sam – powiedziała Matylda odważnie.

– A więc mielibyśmy identyczne długopisy? – upewnił się.

Chociaż pytanie nie było trudne, Matylda przez chwilę dumiała nad odpowiedzią.

– Ucieszyłabym się – powiedziała w końcu. Opuściła wzrok, ale kiedy spojrzała na Wojtkę, stojący przed nią mężczyzna uśmiechał się zagadkowo. Zapatrzony w Matyldę, nie zwracał uwagi na sznurek klientów, formujący się powoli za jego plecami.

– To poważna decyzja – powiedział, udając nieprzekonanego. – Znów dopisałibyśmy coś do listy rzeczy, które nas łączą.

Dziewczyna od razu przypominała sobie, o czym mówił. Wróciło wspomnienie spotkania w markecie, pierwszej rozmowy... Tego wszystkiego, co jeszcze pięć minut temu wydawało się bezpowrotnie stracone. Wzięła głęboki oddech.

– Muszę ci coś powiedzieć. Od pewnego czasu... używam długopisów tylko do notatek na studiach – zadeklarowała pewnym głosem. – Obiecałam sobie już nigdy nie pisać żadnych powieści.

Wojtek skinął głową, przyjmując niewypowiedziane wprost przeprosiny. Przez krótką chwilę zbierał myśli. Ta chwila wystarczyła, by do lekko zniecierpliwionej kolejki dołączyły dwie czy trzy osoby. Sprzedawczyni zastukała paznokciami w ladę.

– Szkoda – powiedział Wojciech – że nie usłyszałem tego wcześniej.

– Bo wcześniej... – zająknęła się Matylda.

– Kupuje pan ten cholerny długopis czy nie?! – głos należał do starszego pana stojącego na końcu długiej kolejki. – Ile można deliberować nad czymś takim?

Minutę później Matylda i Wojtek wychodzili ze sklepu, idąc pod ramię i zaśmiewając się niemal do łez. Za nimi włókł się zniechęcony do życia Wonsael. Ostatecznie jego podopieczny kupił ryzę papieru, długopis w niewłaściwym kolorze i pięć szkolnych zeszytów, które wylądowały już w torbie Matyldy.

## ROZDZIAŁ 48

Anka spędzała miłe popołudnie przy własnym laptopie, ubrana w luźny dres. Świeżo umyte włosy zawinęła w duży ręcznik. Pocziwy komputer, zapomniany przez wakacje, teraz znów chodził na pełnych obrotach. Po powrocie do miasta na dziewczynę czekało sporo niespodzianek. Jaki ten internetowy świat jest mały! Jak się okazało, Michał nie omieszkął umieścić w sieci efektów fotograficznej pracy i mnóstwo ludzi obejrzało przepiękne konterfekty Anki. W związku z tym nagle stała się, w pewnym sensie, całkiem popularna i czekało na nią sporo wiadomości. Niektóre propozycje wyglądały zachęcająco, inne były niestosowne, najwięcej było jednak wiadomości od starych znajomych, którzy chwalili jej klasyczną urodę, pytali, jak się miewa i czy nie miałaby ochoty na wspólną kawę albo coś podobnego. Szczególnie dawni znajomi z pracy zachowywali się tak, jakby Anka nagle wróciła do świata żywych. Nawet były szef wysłał miły liścik z jakiegoś nieoficjalnego maila, na którego zapewne nie zaglądała żona. Anka nie była pewna, co o tym wszystkim myśli, dlatego od kilku dni przeglądała wiadomości, w zasadzie na żadną nie odpisując. Poza tym była trochę zajęta, bo jej rodzice zorganizowali cykl powakacyjnych spotkań z Jeremiaszem i Fryderykiem. Siedzenie przy stole i konwersacje na temat polityki, prowadzone głównie przez jej ojca i młodego prawnika, nie dostarczyły Ance zbyt wielu wrażeń, ale za to przygotowania do proszonych obiadków i kolacyjek zajmowały mnóstwo czasu. W końcu jednak dziewczyna poczuła, że jeśli natychmiast nie weźmie się za odpisywanie na wiadomości, to już nigdy tego nie zrobi i cała przypadkiem zyskana popularność ulegnie przedawnieniu.

Zaparzyła waniliową herbatę i włączyła miłą muzykę, ale inspiracja nie przychodziła. Świeżo upieczona gwiazda fotomodelingu odpisała zaledwie dwóm czy trzem koleżankom ze studiów i przeglądała bez entuzjazmu pozostałe wiadomości. Chyba po prostu nie miała ochoty na spotkanie z dziewczynami

z dawnej pracy ani na internetowy flirt z byłym szefem. Przez niemal rok nie widziała nikogo z nich na żywo i dawne koleżanki kojarzyły jej się teraz głównie z fotografiami zapełniającymi ich profile społecznościowe, a co poniektóre także z markami ubrań i nazwami knajpek, w których bywały. Poza tym miała denerwujące wrażenie, że starzy znajomi w gruncie rzeczy kierowali swoje listy nie do zapomnianej Anki, tylko do pięknych zdjęć. Westchnęła i przymknęła oczy. Zamiast ekranu monitora zobaczyła teraz taras i ogród ciotki Izabeli. A przede wszystkim, nie wiedzieć czemu, Michała, aranżującego sesję zdjęciową ze stadem kotów. Wspomnienie było jeszcze bardziej słoneczne i jeszcze zabawniejsze niż rzeczywista sesja. Anka zdążyła już zapomnieć, jak bardzo się przejmowała efektami artystycznych działań i ile innych spraw, związanych z fundacją, miała wtedy na głowie. Nie pamiętała, że Matylda marudziła, nie mając ochoty pozować, a ciotka Izabela narobiła zamieszania, dla odmiany chcąc uczestniczyć w zdjęciach. Całkowicie wyleciało jej z głowy, co pomyślała na temat obszarpanego kapelusika, w którym przyszedł Michał. Miała za to przed oczami całą galerię roześmianych twarzy i przypominała sobie, jak miło było usiąść na tarasie i przeglądać fotografie na małym ekranie aparatu, komentując każde zdjęcie. Przypominała sobie też różne miłe komplementy, które usłyszała na własny temat od fotografa. No i tę chwilę, kiedy wszyscy już mieli się rozejść, ale okazało się, że ciotka Izabela przygotowała dla nich w międzyczasie poczęstunek-niespodziankę, złożony z lodów i arbuza. Anka postanowiła sobie wtedy mocno, że zacznie doceniać wagę takich miłych i niespodziewanych gestów.

Otworzyła oczy i spojrzała raz jeszcze na ekran, a potem bez większego żalu wyłączyła laptopa. W sumie, był tylko jeden fotograf, któremu miała ochotę pozować do zdjęć, małe grono przyjaciół, którzy pamiętali o niej cały czas, i jedna sprawa, nad którą należało nadal czuwać: losy fundacji. I chociaż podskórnie czuła, że nieco przesadza, lekką ręką skreślając dawne znajomości, to jednak nie miała ochoty do nich wracać. A może wcale nie przesadzała, może po prostu bezpowrotnie zmieniła priorytety?

Fundacja „Szczęśliwy Mruczek”, o którą tak bardzo troszczyła się Anka, przeżywała dobrą passę. Wrześniowe spotkanie zaowocowało nie tylko pełną skarbonką, ale przede wszystkim licznymi kontaktami. Część tych kontaktów zdążyła już zresztą dołączyć do grona dobrych znajomych ciotki Izabeli. W pierwszej kolejności była to dyrektorka miejscowej szkoły, która okazała się szczęśliwą właścicielką piątki kotów, a także jej siostra, prowadząca prywatną hodowlę eleganckich nebelungów. Szare koty z długim futrem zdążyły już podbić wrażliwe serce Izabeli. Ważną, pozyskaną niedawno znajomością był również pewien właściciel salonu samochodowego, który, czy to z sympatii do kotów, czy może do ekscentrycznej prezeski fundacji, został pierwszym poważnym

sponsorem. A wkład pieniężny umożliwił nie tylko zakup kocyków i karmy na zimę, ale też organizację miłych „kocich” wieczorków z prawdziwym cateringiem dla zaproszonych gości. W związku z rozwojem fundacji Izabela czuła, że sama też rozkwita. Przefarbowała włosy na wyrafinowany szaro-niebieski odcień, zainspirowany kolorem futerka nebelungów, i zaczęła prowadzić dziennik sukcesów. Największym z nich było to, że mogła liczyć na wsparcie przyjaciółki Helenki i Anki, która wzięła na swoje barki dużą część obowiązków, w tym niemal wszystkie kwestie organizacyjne. Izabela nie mogła się nacieszyć, że Niebiosa zesłały jej taki dar, jak ta dziewczyna.

Nieco gorzej przedstawiała się aktualnie sytuacja życiowa Michała. Młody fotograf nie był tym szczególnie zaskoczony, ponieważ nie od dziś wiadomo, że artyści mają pod górkę, a niedawne pasmo sukcesów musiało zwiastować zastój w interesach. Redaktor naczelny miejscowej gazety na początku chwalił jego artystyczne sesje zdjęciowe, zwłaszcza że numer, w którym były zdjęcia Anki, jako pierwszy w historii „Wiadomości Sąsiedzkich” sprzedał się w całym nakładzie. Mniejsza o to, że ten nakład wykupił ojciec dziewczyny, dla gazety liczyły się statystyki. Potem jednak redaktor zreflektował się i najpewniej przypomniał sobie o swojej roli podcinającego skrzydła zgryźliwego szefa, bo oznajmił chłopakowi, że pismo w zasadzie nie ma funduszy na druk tyłu fotografii, a poza tym trzeba się skoncentrować na aktualnych problemach społeczności. Innymi słowy, ambitny fotograf miał wrócić do uwieczniania dziur w jezdniach i prezesów na uroczystych galach. Żalu Michała nie zmniejszyła w niczym fakt, że rozkaz ten został mu przekazany w formie życzliwej sugestii.

Przez dłuższą chwilę po rozmowie z redaktorem naczelnym Michał stał na deszczu pod siedzibą redakcji (mieściła się w jednym pokoiku na tyłach kwiaciarni) i użalał się nad sobą. Dla lepszego efektu zapalił nawet papierosa, chociaż nie widział nic przyjemnego w dostarczaniu do organizmu nikotyny. Czuł żal wymieszany z czymś w rodzaju satysfakcji, ponieważ kolejny raz mógł się poczuć niezrozumianym artystą, który ma światu do pokazania więcej, niż ten chce zobaczyć. Znów pomyślał, że gazeta jest dla niego za mała, a taka sesja, jak ta z Anią, mogłaby spokojnie ukazać się w dużym magazynie. Nawet powinna, bo artystyczne zdjęcia dużo lepiej prezentowałyby się na błyszczącym papierze. Dziurom w jezdni było to obojętne – a jemu obojętne były te przekłete dziury. Może powinien w końcu rozwinąć skrzydła i zapukać do drzwi którejś z dużych redakcji w Warszawie? Mógłby to zrobić – tak, miałby szansę coś osiągnąć. Tylko że wtedy zaryzykowałby koniec swojej tożsamości niezrozumianego artysty, niezależnego i przymierającego głodem pod koniec miesiąca. Michał pokręcił głową, strzepnął popiół z papierosa i zapatrzył się na światła odbite w kałużach. Z drugiej strony ulicy obserwowała go mokra wrona, siedząca na krawężniku.



Artysta pospiesznie wyciągnął zza pazuchy aparat i, tak jak stał, przyklęknął wprost w kałuży. Zanim wrona odleciała, udało mu się ustawić ostrość i pstryknąć kilka zdjęć, które powinny zatrzymać nastrój tej niezwykłej chwili. Atmosferę opuszczenia i tajemnicy. A potem zerwał się na nogi, tknięty nową artystyczną wizją. Ulewny deszcz, puste miasto, ludzie przemykający pod parasolami jak cienie... Potrzebował tylko modelki. Wyłuskał z kieszeni komórkę. Numer do Anki miał już na szybkim wybieraniu.

## **ROZDZIAŁ 49**

Matylda zajęła swoją ulubioną strategiczną pozycję w ostatniej ławce obok okna. W auli wykładowej, odmalowanej przez wakacje, unosił się jeszcze zapach farby, a profesor, z tej perspektywy odległy jak postać widziana w telewizorze, spacerował wzdłuż rzędu tablic. Mówiąc, gestykulował trzymanym w ręku mikrofonem, w związku z czym do Matyldy docierało co któreś zdanie. Było to zgodne z jej zamysłem; miała w tej chwili pilniejsze kwestie do przemyślenia. Po zajęciach czekało ją spotkanie z Wojtkiem. Umówili się na spacer i, w razie złej pogody, wizytę w kawiarni. Jeszcze wczoraj Matylda nie miała wątpliwości, że czeka ją randka. Dzisiaj zaczęła się obawiać, że jej entuzjazm był przedwczesny. Niczego sobie przecież z Wojtkiem nie wyjaśnili, tak naprawdę nawet go poważnie nie przeprosiła. „Randka” może jeszcze okazać się jednym z tych okropnych

spotkań, gdy po rozpadzie związku ludzie postanawiają poważnie porozmawiać, zastanowić się, co poszło nie tak, po czym rozstać definitywnie, z postanowieniem niepopelnienia w przyszłości tych samych błędów. Matylda zdążyła z samego rana zadzwonić i do Anki, i do Zuzanny, w nadziei, że przyjaciółki wspomogą ją jakąś dobrą radą. Anka, pomocna jak zawsze, zasugerowała, żeby Matylda zbagatelizowała cały epizod z niewydaną powieścią, Zuzanna z kolei kazała jej wszystko dokładnie wyjaśnić z Wojtkiem, by uniknąć niedomówień. „Musisz trzymać pewien dystans, żeby on znowu poczuł się zdobywcą. Bądź tajemnicza. Jak Mona Lisa” – coś takiego powiedziała Anka. Jednak druga z przyjaciółek doradziła jej „szczerść, szczerść i jeszcze raz szczerść”. Obie za to zgodnie ostrzegły ją przed zwrotem „zostańmy przyjaciółmi”. Tyle że zdaniem Anki mężczyźni używają go, by definitywnie zakończyć znajomość, a Zuza twierdziła, że służy on skomplikowaniu relacji i że w takim przypadku w grę wchodzi pewnie jeszcze jakaś dziewczyna, o której Matylda nieprędko się dowie.

Matylda westchnęła, czując, że porady przyjaciółek pozostawiły ją z jeszcze większym bałaganem w głowie i zupełnie bez strategii. Nie mogła być naraz szczerą i zdystansowaną, przyjacielską i chłodną, wylewną i małomówną. Co miała zrobić? Przyznać się, że strasznie tęskniła, czy poczekać, aż Wojtek powie to pierwszy? O ile powie... Ostatecznie, zadecydowała wraz z końcem wykładu, najlepiej będzie zastosować strategię Zuzy. Opowie wszystko jak na spowiedzi, a na koniec, albo na początek, powie Wojtkowi, że marzy o tym, by razem z nim zamieszkać, urodzić mu trójkę dzieci albo i czwórkę, i psa, to znaczy psa wzięliby ze schroniska, i najlepiej byłoby to całe towarzystwo zainstalować w domu z kominkiem, ale niech będzie i na poddaszu albo w piwnicy, chociaż w zasadzie mieszkanie Wojtka, skoro już je ma, to będzie akurat dla Matyldy, tej trójki dzieci, psa i może jeszcze złotych rybek. Powie mu to wszystko szybko i na jednym oddechu, zanim znowu pokłóć się o coś głupiego.

W tym samym czasie, gdy Matylda zastanawiała się, co zrobić, by spędzić resztę życia szczęśliwie u boku Wojciecha, Anka kombinowała usilnie, jak uniknąć huczego ślubu. Wyglądało na to, że trochę zaniedbała sprawę Fryderyka, popełniła też chyba błąd, nie oprotestowując wcześniej aranżowanych przez ojca spotkań. Nawet się ucieszyła, że mimo początkowej obojętności, czy nawet niechęci, młody prawnik w końcu trochę ją polubił. Ostatecznie był u nich częstym gościem, a z gośćmi lepiej mieć dobre stosunki. Nie sądziła jednak, że sytuacja była aż tak poważna. W każdym razie do momentu, gdy tata wezwał ją na rozmowę. Widząc poważną minę ojca, rozpartego na ulubionym fotelu, spodziewała się, że wyniknie jakaś mało przyjemna kwestia. Oczekiwała jednak co najwyżej gromu z jasnego nieba, a zastała całą burzę. Z huraganem, gradobiciem i falą tsunami.

– Mam wspaniałą wiadomość – powiedział Sławomir, po czym przerwał na chwilę i odchrząknął. Ania przeniosła wzrok na twarz mamy. Eleonora stała za mężem, oparta o wezglowie fotela i w zamyśleniu gładziła palcami obicie. Posłała córce uspokajające spojrzenie, które w tych okolicznościach nie wróżyło niczego dobrego.

– Wczoraj był u nas Fryderyk. Niestety cię nie zastał. – Sławomir zawiesił głos, Anka jednak dosłyszała niewypowiedziany wyrzut. W czasie gdy do domu zawitał młody, obiecujący prawnik, ona włączyła się po mieście. Co gorsza z Michałem, pozując do artystycznie rozmytych deszczowych fotografii, ale o tym już rodzice nie musieli wiedzieć.

– No cóż, ale to może nawet lepiej – dodał Sławomir po chwili. – Przynajmniej ustaliliśmy, że my, jako twoi rodzice, nie mamy nic przeciwko waszym planom.

– To bardzo ważne – podrzuciła Eleonora. Uśmiechnęła się nieco nerwowo. – Niby młodzi teraz sami decydują, ale tak naprawdę trudno poradzić sobie bez przychylnie nastawionej rodziny. Nie jest łatwo tak od razu stanąć na własnych nogach...

– No właśnie, dlatego byłoby fatalnie, gdybyś ty się zgodziła – Sławomir skinął głową Ance – a potem okazałoby się, że my z matką nie możemy zaaprobować takiego czy innego młodego człowieka. Na szczęście w tym przypadku będę mógł tylko wam błogosławić... – Mężczyzna przerwał, najwyraźniej niespodziewane wzruszenie na chwilę odebrało mu mowę. Stojąca przed rodzicami Anka też nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Ale jeśli zmysły jej nie miały, to chyba zawiódł umysł, bo za nic nie mogła zrozumieć, czego ojciec od niej chce. Jakie plany? Na co miała się zgodzić? Czy może już się zgodziła? Przez głowę przemykały jej obrazy z ostatnich spotkań z Fryderykiem. Zazwyczaj rozmawiał z jej ojcem o polityce i sytuacji w kraju albo, zachęcony przez Eleonorę, wdawał się w długie dywagacje na temat własnej pracy. Anka zwykle wtedy odpływała i zaczynała rozglądać się po pokoju, ale przy stole nigdy nie było nikogo, z kim mogłaby wymienić porozumiewawcze spojrzenie. Jeremiasz, ojciec Fryderyka, zazwyczaj z namaszczeniem popijał swoją zupę albo kroił kotlet na małe, idealnie równe kwadraciki, a Eleonora przyjmowała zaszuchany wyraz twarzy, kiwając głową. Jeśli spoglądała na córkę, to tylko po to, by dyskretnie zachęcić ją do udziału w rozmowie. Czasem przy stole siedział również wujek Mirosław, ale po nim też nie można było oczekiwać pomocy; mógł co najwyżej skierować konwersację w stronę swojej własnej pracy w branży reklamowej, o której opowiadał jednak urywanymi zdaniem, co i rusz przypominając sobie, że obowiązuje go zawodowa dyskrecja. Anka zaczęła w końcu podejrzewać, że wuj tylko dodaje sobie ważności. Eleonora starała się podać coś wykwinętego i często dopytywała się,

mniej lub bardziej delikatnie, co ich goście lubią. Fryderyk zawsze miał na sobie elegancką koszulę, a w ostatnią niedzielę przyszedł pod krawatem. Raz przyniósł nawet kwiaty – dwa podobne bukiety kremowych róż, jeden dla Anki, drugi dla Eleonory. To były jedyne kwiaty, które Anka dostała od młodego prawnika. I, pomimo paru sugestii Sławomira, które jednak przeszły bez echa, nigdy nie umówili się sam na sam. Ani razu.

– Ale chyba nie mówicie... o jakimś ślubie czy czymś w tym stylu? – wydusiła w końcu. Na chwilę zapadła cisza i Ania spodziewała się, że lada moment przerwie ją wybuch śmiechu. Sławomir jednak powoli pokiwał głową.

– To znakomity pomysł – podkreślił tonem, który kazał się Ance domyślać, że być może pomysłodawcą nie był wcale Fryderyk, przynajmniej nie do końca. – Oboje skończyliście dobre studia, pora pomyśleć o założeniu rodziny... W dzisiejszych czasach mało jest dobrze wykształconych, godnych zaufania i inteligentnych młodych ludzi, mieliście wiele szczęścia, że udało wam się na siebie trafić. No i – podkreślił – mieliście już dość czasu, żeby dobrze się poznać.

– Tu trzeba wybierać rozważnie – podpowiedziała Eleonora. – Łatwo popełnić błąd, kierując się chwilowym porywem serca. To decyzja czasem i na całe życie. Dobrze, że jesteś nie tylko romantyczna, ale i rozsądna.

– No więc właśnie – dodał Sławomir po chwili, ponieważ jego córka, najwyraźniej pobladła z wrażeń, wciąż nic nie mówiła. – Bardzo się cieszymy – podkreślił jeszcze raz, zachęcająco. Ania jednak wpatrywała się w ojca z szeroko otwartą buzią i zupełnie nie wyglądała na ucieszoną.

Nie tylko Matylda denerwowała się nadchodzącym wielkimi krokami spotkaniem. Jeszcze bardziej od niej przejmował się Wojciech – chociaż, zajęty pracą, nawet przed samym sobą nie przyznawał się do tych nerwów. Bębnił palcami w blat biurka, pomieszał ze sobą dwa maszynopisy i zaopiniował pozytywnie debiutancką powieść przygodową, w której dwie pólnagie bohaterki biegały bez sensu po dżungli. Na szczęście w pobliżu był Wonsael i czuwał nad wszystkim. Strach pomyśleć, co by się działo bez niego.

– Widzisz, mówiłem ci – oznajmił chłodnym tonem, kierując te słowa do Matieła, który wpadł właśnie z krótką wizytą do wydawnictwa. – Przewidywałem, że tak się stanie. A w przyszłości wcale nie będzie lepiej.

Matieł, siedzący z podkulonymi skrzydłami na biurku, pokornie kiwał głową. Był szczęśliwy i pełen nadziei na przyszłość, a słuchając Wonsaela, zaczynał po trochu czuć się winny z tego powodu.

– Tak, będzie gorzej – podkreślił Wonsael. – Nasza praca, która powinna być absolutnie priorytetowa, spadnie na drugą albo i trzecią pozycję...

– Trzecią? – szepnął Matieł ze starannie ukrytym entuzjazmem. Anioł stróż wydawcy nastroszył się.

– Przewiduję, że w grę wchodzi nawet ślub i dzieci – oznajmił grobowym tonem, śledząc kątem oka rozmarzony uśmiech swojego podopiecznego. Wojciech właśnie obracał w dłoni długopis, wybrany dla niego przez Matyldę. Nie wyglądało na to, by zamierzał go użyć do czegoś sensownego. Wonsael zaczął się obawiać, że ten poważny i dojrzały człowiek za chwilę zacznie rysować serduszka na bloczku do notatek. Anioł westchnął i przeniósł spojrzenie na Matiela. Zdążył jeszcze dostrzec, że opiekun Matyldy uśmiecha się głupio sam do siebie. Pod jego baczny spojrzeniem natychmiast przybrał stosowniejszy wyraz twarzy.

– No tak, tak – powiedział z troską w głosie. – Tak, tak. Myślisz, że to szybko pójdzie?

Wonsael westchnął ciężko.

Tymczasem kilka ulic dalej Anka w końcu odzyskała głos i bardzo zdecydowanie oprotowała domniemane plany matrymonialne. Nie, nie zamierza w najbliższym czasie wychodzić za męża. I na pewno nie za obiecującego prawnika, który, nawiasem mówiąc, niczego jej nie obiecywał, bo też żadnej rozmowy pomiędzy nimi nie było. Z każdym słowem swojej córki pan Nowicki przybierał coraz bardziej zawiedziony wyraz twarzy. Nie stracił jednak nadziei, że jego latorośl przemyśli kwestię ponownie i zmądrzeje.

– A dlaczego nie? – zapytał w końcu bezradnie. – Chłopak jest miły, przystojny, dobrze wychowany, wykształcony... Czego jeszcze można chcieć? – Rzucił spojrzenie żonie. Eleonora skinęła głową.

– Nie ma co się spieszyć, zastanowisz się jeszcze na spokojnie – poradziła córce. – Często tak jest, że młode dziewczyny szukają nie wiadomo czego, a potem żałują straconych okazji. Teraz może ci się wydawać, że ważne są emocje i motyle w brzuchu, a za jakiś czas pomyślisz o przyszłości, rodzinie, dzieciach... – Każdemu jej słowu towarzyszyło energiczne potakiwanie Sławomira.

– Tak – stwierdził – tak, po prostu nie ma co się spieszyć.

– Ale ja się nie namyślę. To niemożliwe! – Anka rozłożyła szeroko ręce. Jednak jeśli nawet jej gest zrobił jakieś wrażenie na rodzicach, ci nie okazali tego. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i zmarnowała kolejnych pięć minut, próbując im wytłumaczyć, że nigdy, przenigdy nie wyjdzie za Fryderyka, ale im głośniejsz protestowała, tym mniej była przekonująca. Eleonora podrzuciła jeszcze parę ludowych mądrości w stylu „kto się czubi, ten się lubi”, a Sławomir dodał coś o znakomitej orientacji Fryderyka w polityce, która jego zdaniem była bardzo ważną cechą u kandydata na męża. W końcu Anka zamknęła buzię, uświadamiając sobie, że za chwilę sama straci orientację w tym, co czuje. Pozostało jej tylko wycofać się do pokoju. I natychmiast zadzwonić do tego bałwana młodego prawnika.

## ROZDZIAŁ 50

Po południu znów padał deszcz, chociaż niewiele brakowało, by Matylda nie zauważyła pogorszenia pogody. Wyszła z budynku uniwersytetu, rozglądając się nerwowo. Wojciech powinien gdzieś tu czekać. Nie było go jednak ani przy szatni, ani przy automatach z kawą i batonikami, ani na schodach przed budynkiem. Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię i zacisnęła usta. Już miała się rozplakać, kiedy nagle krople deszczu przestały kapać jej na głowę. Uniosła wzrok i zobaczyła nad swoją głową parasol, a obok siebie – Wojtka.

– To może jednak kawiarnia? – zapytał Wojciech, podając jej ramię. Matylda pokiwała głową, odnotowując jednocześnie, że nie tylko ona jest spięta. Wojtek niby na nią patrzył, ale uciekał wzrokiem na boki.

– Jest taka miła knajpka przy uniwersytecie... – zaczęła mówić.

– A może Niezapominajka? – podrzucił Wojtek niemal w tej samej chwili. – Podjedziemy autobusem.

Matylda się uśmiechnęła. Niezapominajka, jej ulubiona kawiarenka koło domu, która przed wakacjami zdążyła już zostać *ich* kawiarnią. To nie było miejsce na ponure rozmowy o wzajemnych rozczarowaniach i wygaszaniu uczuć. Chociaż z drugiej strony... Na szczęście nie zdążyła dokończyć tej myśli, bo Wojciech zaczął ją wypytywać o początek roku akademickiego i o wykłady. Szybko przeszli od tematu zajęć na nowy automat do kawy, stojący w holu uniwersytetu, a potem

mężczyzna zaczął snuć opowieść o ekspresie, który pojawił się w wydawnictwie.

– Musisz kiedyś wpaść na cappuccino – dodał, po czym najwyraźniej się spieszył, ale Matylda szybko podjęła temat, jakby nigdy nic.

– Bardzo chętnie – zapewniła. – Pod warunkiem, że dostanę je w ładnej filiżance, a nie w tym twoim okropnym kubku.

Wojciech uśmiechnął się i Matylda odpowiedziała tym samym. Chociaż tak naprawdę mówiła bzdury, bo ani trochę jej nie przeszkadzał okropny kubek, i to pomimo że był wyszczerbiony na brzegu i miał wielki głupawy napis „kubek szefa”.

Zamykając za sobą drzwi do pokoju, Anka odetchnęła z połowiczną ulgą. Nie czuła już na sobie rozczarowanego spojrzenia ojca, ale problem Fryderyka pozostawał aktualny. Dziewczyna opadła ciężko na łóżko. Oczywiście, był XXI wiek. Sławomir nie zmusi córki do zaaranżowanego małżeństwa, nie wydziedziczy jej ani nie uwięzi w wieży pilnowanej przez smoka. Ale też nie przestanie delikatnie zachęcać do zmiany zdania. Oboje się nie poddadzą: było tylko kwestią czasu, kiedy Eleonora zapuka do drzwi, żeby pogadać. Na myśl o tym Ania poczuła gwałtowną potrzebę wyprowadzenia się z rodzinnego domu, ale przypomniała sobie, że nie ma żadnych środków do samodzielnego życia. Jedynym sposobem na ucieczkę z czułych objęć rodziców był ślub, a jedynym kandydatem – młody prawnik. Jakby nie patrzeć, dziewczyna tkwiła w pułapce bez wyjścia; pozostawało jak najszybciej wyjaśnić sprawę z Fryderykiem. Anka powinna dzięki temu zyskać trochę czasu dla siebie, zanim rodzice wpadną na kolejny znakomity pomysł, jak poukładać jej życie. Dziewczyna westchnęła, uświadamiając sobie, że Fryderyk może być dopiero pierwszym z całej kolejki nietrafionych kandydatów, których będzie musiała poznać i odrzucić. A jeśli tata dalej będzie kierował się swoim gustem, to może się okazać, że prawnik rzeczywiście był najlepszą z matrymonialnych opcji. Jak zwykle, kiedy coś szło nie po jej myśli, Anka pomyślała z zazdrością o swoich przyjaciółkach. Dlaczego rodzice Zuzanny nie próbowali układać jej życia? Albo rodzina Matyldy – oni zostawili córkę zupełnie samopas, nawet nie poznali jej chłopaka. Nie mieli nic przeciwko temu, że Matylda wciąż studiowała. Anka zdała sobie sprawę, że jej własne samopoczucie jest bardzo mocno uzależnione od akceptacji rodziny.

Sławomir i Eleonora zawsze byli dumni z sukcesów córki. Najpierw dziesięć punktów w skali Apgar, potem najlepsze oceny w podstawówce, odznaka wzorowego ucznia, nagrody w konkursach, dobre liceum, studenckie stypendium, staż w agencji reklamowej... Dopiero ten rok wszystko zmienił i rodzice wyglądali na zadowolonych tylko przez chwilę, gdy Anka zaczęła organizować prace fundacji „Szczęśliwy Mruczek” i zadebiutowała w prasie. Ale najwyraźniej na dłuższą metę to było za mało. Jeszcze parę miesięcy wcześniej dziewczyna też była

niezadowolona z siebie i desperacko chciała znów stać się obiektem zazdrosnych westchnień koleżanek i tą osobą, którą stawia się innym za wzór życiowego sukcesu. Jednak przez wakacje wiele się zmieniło i teraz starania rodziców, chcących znaleźć jej pracę albo przynajmniej męża, wydawały się Ance przesadzone i nawet nieco zabawne. Czemu nie mogli wszyscy po prostu cieszyć się życiem i dać sobie spokój z jego układaniem?

Dziewczyna zerwała się z łóżka, sięgając po leżący na nocnej szafce telefon. Im szybciej rozwiąże problem, tym lepiej. Dwukrotnie wybrała numer Fryderyka, zanim uświadomiła sobie, że młody prawnik robi pewnie jakieś swoje praktyki i raczej nie odbierze. Jednak, o dziwo, po paru minutach oddzwonił. Mówił ściszym tonem, co pozwoliło Ance się domyślić, że ukrył się w jakimś kącie, żeby oddzwonić. Pewnie telefonował z toalety.

– Nie bardzo mogę gadać – powiedział. – Jestem w pracy.

– A o której kończysz? Możemy się spotkać? – Anka była zdecydowana działać szybko. Odpowiedziała jej cisza.

– Dzisiaj nie mogę – odszepnął w końcu Fryderyk. Robił chyba wrażenie nieco przestraszonego, ale może Ance tylko się tak zdawało. – Może w sobotę?

– W sobotę? – Dziewczyna przeliczyła szybko. Sobota oznaczała cztery dni czekania, a w końcu mieli do wyjaśnienia bardzo prostą sprawę. – Wiesz co, mogłaby być i sobota, ale...

– No to świetnie, jesteśmy umówieni – przerwał jej Fryderyk. – Muszę kończyć, pa! – dodał i rozłączył się, zanim Anka zdążyła zaprotestować. Przez chwilę patrzyła zdegustowana na telefon, kiedy rozległo się ciche stukanie do drzwi. To Eleonora przyszła porozmawiać z córką.

W przytulnym wnętrzu Niezapominajki nic się nie zmieniło. Wciąż można było wcisnąć się w kąt za parawanem i usiąść bardzo blisko siebie, przy małym stolczku, na którym mieściły się akurat dwie filiżanki z kawą i świecznik. Matylda przez chwilę przyglądała się pełgającemu płomykowi, a potem z przyjemnością rozejrzała po znajomym wnętrzu. Na ścianach nadal wisiało kilka czarno-białych zdjęć, odbitek z zeszłej epoki, gdy kobiety w wielkich kapeluszach pozowały w poważnym bezruchu, by dobrze wyjść na cennych fotografiach. Przez wysoko umieszczone okna kawiarenki widać było tylko rozmytą deszczową szarość. Wojtek powiesił ich płaszcze przy drzwiach, a potem wdał się w cichą rozmowę z kelnerką. Matylda domyśliła się, o co mogło chodzić, dopiero po kilku minutach, gdy dziewczyna z obsługi postawiła przed nią filiżankę. Na powierzchni aromatycznego cappuccino widniało zrobione z pianki serduszko. Matylda przeniosła spojrzenie na Wojciecha, ten jednak już zanurzył wąsy w swojej kawie, udając, że nie ma z tym nic wspólnego. Żadne z nich nie dosłyszało ciężkiego westchnienia.



– Zaczynij myśleć o imionach – mruknął Wonsael. Anioł stróż siedział przy sąsiednim stoliku, naprzeciwko Matiela. Pomimo że kanapy w Niezapominajce należały do najwygodniejszych na świecie, anioł kręcił się i wzdychał, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. W końcu przesiadł się na drugą stronę stołu, przeganiając ruchem ręki Matiela. Drugi anioł posłusznie usiadł na miejscu opuszczonym przez opiekuna wydawcy.

– Czemu mam myśleć o imionach? – zapytał z anielską niewinnością. Wonsael westchnął i pochylił się nad stołem.

– No wiesz, dzieci – zaczął mentorskim tonem. – Ktoś będzie musiał podpowiedzieć naszym gołąbeczkom dobre imiona, kiedy nadejdzie właściwy moment. Ale proszę, jak nie chcesz myśleć o dzieciach, to nikt cię nie zmusza. Mamy dużo ciekawych tematów! – dodał z rozżaleniem. – Możemy porozmawiać o piosenkach na ślub albo o liście prezentowej. No i koniecznie o podróży poślubnej, to przecież strasznie ważne, gdzie nasi nowożeńcy pojedą na wakacje! Tak – westchnął – wszystko jest ważne, tylko nie praca! – Znów wstał i zaczął nerwowo spacerować między stolikami. Matiel rzucił ostrożnie okiem na Wojtka i Matyldę. Rozmawiali, od czasu do czasu z czegoś się śmiejąc. W którymś momencie Wojtek na chwilę uściśnął dłoń dziewczyny, ale zaraz ją puścił.

– Wiesz – zaczął Matiel ostrożnie. Mówił do pleców Wonsaela – Ja może się nie orientuję jeszcze za bardzo, teraz są inne czasy, ale nie wydaje mi się, żeby te dzieci, o których mówisz, miały być tak za chwilę. – Na wszelki wypadek jeszcze raz rzucił okiem na sąsiedni stół. Wojciech właśnie spojrzał Matyldzie w oczy, a dziewczyna, zarumieniona, odwróciła wzrok. – Poza tym – przypomniał sobie anioł – ona go jeszcze nie przedstawiła rodzicom.

– No, jak go przedstawi rodzicom, to dopiero szybko pójdzie! – Wonsael znów się nastroszył i zaczął nerwowo szarpać wąsy. – Teraz to już nie ma odwrotu, prawdziwa miłość, przeznaczenie, to będzie jak lawina... Nie zatrzymamy tego – zakończył zrezygnowany, po czym usiadł tam, gdzie stał, to znaczy na podłodze. Skonfundowany Matiel przyglądał mu się przez dłuższy moment. Podłamany anioł stróż wydawcy przedstawiał sobą niewesoły widok.

– Może pora wszystko to rzucić – zaczął mówić, bardziej do siebie niż do kogokolwiek, od czasu do czasu nerwowo szarpiąc wąsy, takim samym ruchem, jak Wojciech, gdy był czymś naprawdę zdenerwowany. – I tak nic w tym tygodniu nie zrobione... W przyszłym pewnie też nie nadгонimy... Nie ma rady, w końcu trzeba będzie zamknąć wydawnictwo, już nigdy nam się nie uda pracować tyle, ile należy... Koniec z nadgodzinami, koniec z siedzeniem w nocy nad papierami, ze wszystkim koniec...

Matiel pokręcił głową, zastanawiając się gorączkowo, jak pocieszyć Wonsaela. A anioła trzeba było podnieść na duchu, bo jeszcze gotów, zdesperowany, przeszkodzić zakochanym.

– Miłość dodaje często energii do pracy – spróbował. Bez odzewu.

– Może Matylda będzie pomagać w wydawnictwie? – podrzucił po chwili. Tym razem odpowiedziało mu niechętnie prychnięcie. Wonsael nadal siedział na podłodze, ze spuszoną głową.

– Wojciech będzie musiał zarobić na te dzieci! – wykrzyknął w końcu Matiel, tknięty nową, genialną myślą. – Dzieci są bardzo drogie! Wiesz, ile nadgodzin trzeba będzie wysiedzieć?

W oczach Wonsaela na moment błysnęła nadzieja.

– No, nie wiem – burknął ostrożnie. – To już nie będzie właściwa motywacja. My zawsze pracowaliśmy dla samej pracy, nie dla czegoś jeszcze.

– O, i właśnie o to chodzi! – ucieszył się Matiel. Wspaniałe myśli przychodziły mu do głowy jakby same. – Taka praca dla czegoś jeszcze będzie bardziej wartościowa niż praca dla samej pracy!

Wonsael odwrócił wzrok, robiąc nieprzekonaną minę. Ale nie wyglądał już tak smutno jak przed chwilą. Matiel postanowił kuć żelazo póki gorące.

– Może Helenka i Piotruś? Po dziadkach Matyldy...

– Bożenka i Stasio. – Wonsael odpowiedział natychmiast, bez namysłu, po czym zaczerwienił się, widząc zaskoczone spojrzenie drugiego anioła. – No co? – burknął.

– Nic, nic – Matiel uśmiechnął się do siebie. A potem znów skupił całą uwagę na Matyldzie, żeby nie przegapić jakiejś ważnej kwestii w rozmowie. A mimo wszystko wciąż miał w tyle głowy podrzucone przez Wonsaela imiona. Bożenka i Stasio. Odpowiedzialny anioł musiał długo nad tym deliberować w przerwie między przekładaniem jakichś ważnych papierów z jednego stosika na drugi.

Annael, zniecierpliwiony, przestępował z nogi na nogę. W przeciwieństwie do jego podopiecznej, anioła nie obeszły matrymonialne zapędy Fryderyka, a i plany państwa Nowickich interesowały go mniej niż trochę. Niezależnie od sympatii pana Sławomira, to nie on miałby zamieszkać z Fryderykiem i codziennie prowadzić z nim małżeńskie rozmówki z cyklu „jak minął dzień w pracy”. I to nie pani Eleonora gotowała mu obiady i pakowała kanapki do biura. Anioł przefrunął przez pokój i przysiadł obok garderoby, znów zmieniając punkt obserwacyjny. Niezależnie jednak od tego, skąd obserwował, widok się nie zmieniał. Eleonora wciąż rozmawiała z córką, już chyba drugą godzinę. W międzyczasie wspaniała deszczowa pogoda, która napawała anioła taką nadzieją, przeszła we wczesnowieczorną ulewę. O ile Annael się orientował, dobre światło do robienia zdjęć właśnie się skończyło. Miał też oko na komórkę dziewczyny, której ta nie mogła odebrać, pomimo, że Michał dzwonił ze trzy razy; zaaferowana Fryderykiem Anka przegapiła też porannego SMS-a od fotografa.

A przecież wczoraj dopiero zaczęli pracę! Annael westchnął rozczulony, a jego myśli poszybowały w stronę Michaeli. Anielica miała tyle wspaniałych artystycznych pomysłów i tak zgrabnie potrafiła podsunąć je swojemu podopiecznemu. Annael pomagał jej jak mógł: to on podpowiedział wczoraj Ani, aby zabrała na sesję długi płaszcz i męski kapelusz. Wypatrzył również pewną scenerię, którą anielica zaaprobowała: opuszczony budynek fabryki. Seria fotografii pod bardzo roboczym tytułem „samotność w deszczu” zapowiadała się na najlepszą w dotychczasowej karierze Michała. Anioł uśmiechnął się pod nosem, myśląc o dobrze zapowiadającej się współpracy z Michaelą, o tych wszystkich wspólnych wyprawach, gdy będzie mógł iść parę kroków za nią, mając przed oczami delikatne skrzydła, po których spływają deszczowe krople. Pomyślał o tych kilku krótkich chwilach, gdy odważył się podrzucić jej jakąś długo kielkującą myśl, a anielica kiwała głową, raz nawet – z uznaniem. Przypomniał sobie otaczającą ją poświatę, zdecydowanie jaśniejszą niż jego własna, ledwo połyskująca aureola. Jak to możliwe, pomyślał, że ona robi wrażenie takiej mądrej, a jednocześnie tak młodej? Twarz Michaeli momentami wydawała się niemal dziecięca. A przecież to Annael czuł się przy niej jak anielski pisklak, który jeszcze nie nauczył się fruwać.

No i właśnie. Michaela mokła teraz gdzieś na deszczu, spacerując krok w krok wraz z Michałem i szukając pomysłów na fotografię, a może właśnie wracała z wyprawy, podczas gdy on z Anką utknął na dobre w tym pokoju. I już równie dobrze mógł zostać tu na zawsze, bo cały dzień i tak był spisany na straty. Eleonora tymczasem tłumaczyła córce to samo po raz chyba dwudziesty, ale bardziej zmęczonym tonem.

– Nikt cię do niczego nie zmusza – mówiła. – Proszę tylko, żebyś się zastanowiła, zanim udzielisz decydującej odpowiedzi. Wiem, że chcesz być samodzielna, ale nie możesz odrzucać miłego chłopaka tylko dlatego, że podsuwają ci go rodzice.

Annael zatkał uszy, ale i tak wiedział, co odpowiedziała Anka. Niezrażona mama znów zadała to samo pytanie.

– No, ale powiedz, czego mu brakuje? Przecież sama w końcu przyznałaś, że jest przystojny, inteligentny i ma dobry charakter. Jak o niego zadbasz, to nie będzie już tak przeraźliwie chudy, popatrz na swojego ojca, też był kiedyś szczupły jak patyk.

Annael jęknął i przemknął znów przez pokój, tuż nad głową zbolącej Anki. Dziewczyna pokładała się na łóżku, a w tej chwili leżała z poduszką na głowie.

– Odłóż tę poduszkę, kiedy ze mną rozmawiasz – powiedziała pani Eleonora w tej samej chwili, w której anioł wylądował przy toalecie, omal nie strącając na dywan buteleczki z perfumami.

Wieczór zapadł na dobre i zrobiło się całkiem późno zanim Matylda

i Wojciech opuścili zaciszne wnętrza Niezapominajki. Rozmawiali przez kilka godzin: o minionych wakacjach, kotach ciotki Izabeli, koleżankach Matyldy, psychologii, którą Wojciech kiedyś studiował, i filozofii, zahaczyli nawet o kwestię życia na innych planetach i, nie wiedząc czemu, o polarne niedźwiedzie i efekt cieplarniany. Ku wielkiej uldze Wonsaela mówili także o planach wydawniczych, chociaż anioł uważał, że akurat w tych przypadkach Matylda powinna tylko słuchać, nie przerywając i nie dając wydawcy żadnych rad. Matiel z kolei uznał za dobrą monetę ilość wspólnych planów na jesień, które wynikły z tej rozmowy. Zakochani pominęli chyba tylko jeden temat: tę nieszczęsną przedwakacyjną historię z niewydaną powieścią.

## **ROZDZIAŁ 51**

Deszcz, który tak hojnie skropił początek roku akademickiego, nagle zupełnie się uspokoił i nastaly słoneczne, wczesnojesienne dni. Drzewa w większości były jeszcze zielone, nieliczne zaczynały się żółcić, a na skwerze w kampusie akademickim dojrzały kasztany. Matylda miała poczucie, że ta wspaniała aura po prostu musi mieć związek z radością, którą ona sama czuła. Wojtek niemal codziennie odbierał ją z uniwersytetu po zajęciach, a potem długo spacerowali: krążyli po Starym Mieście, schodzili nad Wisłę, wędrowali do Ogrodu Krasieńskich albo Saskiego, zbierali pierwsze kolorowe liście i ciągle obdarowywali

się nawzajem prezentami, zupełnie drobnymi, ale znaczącymi, jak kamyk z wycieczki, ulubiona książka lub zdjęcie z dzieciństwa. W zaciśniętym pokoju, do którego wracała naprawdę późno wieczorem, Matylda zaczęła robić na drutach dwa ciepłe szaliki w tym samym kolorze. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd znów się widywali, ale Matyldzie ponownie zdawało się, że zna swojego mężczyznę od zawsze i trudno było jej uwierzyć, że w ich relacji mogły kiedykolwiek zaistnieć jakieś przerwy. Kiedy wspomniała Wojtkowi o tych swoich przemyśleniach, okazało się, że ten czuje dokładnie to samo, potrafi jednak wyrazić to dużo piękniej. „To dobre anioły”, powiedział Matyldzie, kiedy siedzieli przytuleni do siebie na parkowej ławce. „One nie pozwoliły nam się od siebie oddalić”. A potem zgodzili się ze sobą, że również lato, chociaż niefortunne, można wpisać do historii ich związku. Przecież ogromnie za sobą tęsknili, więc właściwie ich rozstanie było pozorne. Szkoda tylko, że nie wysyłali sobie wzajemnie pocztówek. A zgodziwszy się na to, uznali, że uświęcony anielską opieką związek trwa już ponad sześć miesięcy i koniecznie muszą nadrobić świętowanie tej rocznicy. Żadne z nich nie dosłyszało westchnień i sapnięć nieszczęśliwego Wonsaela, który musiał teraz pracować za dwóch, odkąd jego podopieczny wydawca nabrał zwyczaju zrywania się z pracy i zbierania liści po parkach.

Matielowi pogodna aura też jakby dodała skrzydeł, również Zanael cieszył się z atmosfery idealnej na plenery malarskie. Te złote poranki, czerwieniące się liście, ciepłe światło popołudnia i różowo-szare, zamglone zachody słońca! Poza tym nie musiał martwić się o to, że Zuzie zmokną zwinięte w rulon kartony, z którymi biegła na zajęcia plastyczne. I tylko Annael zrobił się marudny i uparcie wypatrywał deszczu. „Mogłoby już popadać”, mówił. Albo: „Za dużo tego słońca, drzewa wyschną”, ewentualnie: „Taka jesień bez ulewy to żadna jesień”. A pozostałe anioły nie bardzo domyślały się, o co mu chodzi.

Tymczasem Michał nie dzwonił, bo też nie było pogody do zdjęć. Nie dzwonił też Fryderyk, dopiero w piątek wieczorem napisał do Anki krótką wiadomość, by przełożyć sobotnie spotkanie. Zadzwoiła za to, zupełnie niespodziewanie, ciotka Izabela. A Annael, przysłuchujący się rozmowie, dosłyszał również głosik Izabiel, podsłuchującego z drugiej strony.

– Hej, jak się tam macie? – dopytywał się kupidynek, podczas gdy ciotka zadawała niemal to samo pytanie Ance. – I czy nie wiesz przypadkiem, po co Michał tak ciągle jeździ do miasta?

– Wcale nie ciągle – zaprotestował Annael, podczas gdy Anka streszczała ciotce Zuzy, co u niej słychać. – Był tu raptem trzy razy i nie przyjedzie, jeśli to całe słońce ciągle będzie świecić i świecić.

– Co mówisz? Odpuść, słońce to jeden z lepszych wynalazków! –

zaprotestował Izabel. – A wiesz, że jak pada deszcz, to ono też świeci? Tylko nie widać, bo chmury zasłaniają.

Annael oklapł pod ciężarem tej mądrości.

– I wiesz, na co wtedy wpadłam? – ciotka Izabela kontynuowała swoją myśl. – Nie mówiłam tego nawet Zuzie, do ciebie pierwszej dzwonię, jesteś dobrą duszą naszej fundacji...

– To wcale nie ona to wymyśliła – podszeptał Izabel. – To my z Elechielem, jak zawsze.

– Kalendarz z koteczkami! – oznajmiła tryumfalnym tonem Izabela po stosownej dramatycznej przerwie. – Śliczne koteczki na nowy rok! Ale nie taki sam kalendarz, jaki możesz kupić w każdym kiosku – uprzedziła ewentualną uwagę Anny – Ten nasz, fundacyjny, będzie artystyczny! A cały dochód oczywiście pójdzie na kotki... O, i na twoje wynagrodzenie – dodała zupełnie niespodziewanie. – Czy mówiłam ci, że mamy już pulę na wynagrodzenia? Tylko nie ma komu dawać tych pieniążków, ja to i tak bym wydała na koteczki i fryzjera, a na koteczki jest przecież inna pula... Helenka za to mówi, że jest szczęśliwą emerytką i nic nie potrzebuje.

– Wynagrodzenie? – powtórzyła Anka, niepewna, czy dobrze usłyszała. Ciotka równie dobrze mogła niewyraźnie wymówić inne słowo, może „ogrodzenie” albo nawet „przyrodzenie”, chociaż żadne z nich nie grało w kontekście rozmowy. Czyżby jednak...

– Tak, pieniążki – potwierdziła Izabela. – A wracając do kalendarza, to zrobiłyśmy z Helenką taką burzę mózgow i mamy takie trzy kluczowe słowa... – W słuchawce rozległ się szelest kartki. – Już mam: radość, delikatność, prostota, siła i tajemnica. O, to nawet pięć słów, możesz skreślić tę radość jeśli chcesz, kalendarz z kotkami ucieszy wszystkich niejako z definicji. Rozumiesz? Chodzi o to, że to są słowa, które mają opisywać cały projekt.

Anka, która nadal smakowała wzmiankę o wynagrodzeniu, machinalnie zapisała słowa na kartce.

– Super – powiedziała. – I co jeszcze?

– Oj, więcej to żeśmy nie wymyśliły – przyznała ciotka z pewnym wahaniem. – Liczyłam na ciebie, masz tyle pomysłów i znasz się na wszystkim!

– Jasne – przytaknęła Anka. „Wynagrodzenie” – ze wszystkich słów, które usłyszała, to jedno bez wątpienia było kluczowe. Oznaczało, że nie będzie musiała prosić rodziców o kieszonkowe, ale po raz pierwszy od początku roku znów będzie miała własne pieniądze na wydatki, chociażby te drobne. Może to chociaż trochę udobrucha rodziców i odsunie wizję małżeństwa z rozsądku w nieokreśloną przyszłość. A nawet więcej: za pierwszym wynagrodzeniem może przecież przyjść kolejne, a to by oznaczało, że naprawdę nie ma już powodów, by spieszyć się do ślubu.

– Muszą być kotki, te nasze słowa kluczowe, to bardzo ważne, no i logo fundacji, już ci je wysłałam pocztą, pewnie trzeba będzie ładnie przerysować, bo ja mam dwie lewe ręce, a Helenka nie bardzo widzi małe szczegóły...

– Nie ma sprawy – zgodziła się Anka, nadal dumając nad nowymi perspektywami.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, jesteś kochana! – Niemal było słyhać, jak Izabela uśmiecha się na końcu łącza. – Tylko musimy działać szybko, raz-dwa, żeby ludzie kupili nasz kalendarz przed świętami! Och, i jak już znajdziesz drukarnię, to oczywiście fundacja pokrywa wszystkie koszty, więc nic nie wykładaj ze swoich, tylko wpadnij do nas. I wiesz, że mam nową herbatkę do częstowania gości? Truskawkową!

– Jest mega – potwierdził Izabiel. – Normalnie pachnie jak całe lato w kubku.

Izabiel nie czekał, aż ciotka Izabela odłoży słuchawkę na widełki. Ledwo skończyła rozmowę i pożegnała się z Anką, aniołek śmignął przez salon i wyfrunął do ogrodu przez drzwiczki dla kotów. Rozpierała go energia. Koci kalendarz, jaki to wspaniały pomysł! Anka na pewno będzie wiedziała, jak się do tego zabrać. Wywinął salto w powietrzu nad krzakami róż, które dzielnie znosiły chłodniejsze jesienne dni. Październikowy ogród nadal pełen był kwiatów, chociaż trawa przywiedła, a ciotka uprzątnęła leżaki z trawnika, uznając, że przy chłodniejszej pogodzie nie będzie już z nich korzystać. Za to na tarasie pozostały nakryte pledami krzesła i stół, przy którym wciąż miło było wypić poranną kawę, nawet jeśli szybko stygła. Izabiel, niesiony prostą radością życia, przemknął nad furtką i skierował się aleją kasztanowców w stronę domu Michała. Nie zaglądał tam od kilku dni i ciekaw był niezmiernie, jaki projekt artystyczny angażuje teraz Michaelę i jej artystę.

– Nie świeć! – syknęła anielica minutę później. – Zepsujesz odbitki!

Zafrasowany kupidynek natychmiast przygasił anielski blask, z którym wleciał do ciemni fotograficznej. Michaela odwróciła się z prychnięciem i skoncentrowała na obserwacji metalowych kuwet, w których Michał moczył kawałki papieru. Izabiel trochę już zdążył się zorientować w technikach wywoływania zdjęć i uważał, że anielica sarka na niego bez powodu. W końcu tym razem nie wyrócił żadnej kuwety ani nie zrzucił suszących się odbitek ze sznurka na pranie. Stał na palcach, aby dojrzeć wyłaniające się w półmroku obrazy. To musiała być ważna sesja – Michał na co dzień używał cyfrowych aparatów i wcale nie tak często korzystał z ciemni.

– Wszystko zamazane... – szepnął rozczarowany. Poczł lekkie pacnięcie w tył głowy i dopiero po chwili zrozumiał, że Michaela szturchnęła go skrzydłem.

– To deszcz – odpowiedziała z wyższością. – Pracujemy nad uchwyceniem

nostalgicznej jesiennej aury.

– Och – odparł Izabiel. Zdążył się już zorientować, że najlepszym sposobem na wyciągnięcie informacji z małomównej anielicy jest sprowokowanie jej. Ale z tym dobrym sposobem nie można było przesadzać.

– Anka wam pozuje? – zagadywał dalej, krążąc wokół anielicy i fotografa. – Chyba się polubili z Michałem?

– Nie wiem. – Michaela wzruszyła lekko skrzydłami. – Ania jest dobrą modelką. Annael dużo pomaga. Ale mamy jeszcze parę znajomych dziewczyn, do których trzeba będzie zadzwonić.

– Mhm... A my też mamy projekt artystyczny! – przypomniał sobie kupidynek. – Szykujemy kalendarz na nowy rok!

– Och. – Anielica zmarszczyła brwi. – No, to rzeczywiście artystyczne. – Izabiel nie był pewien, jak odczytać ton jej głosu. – Aż szkoda, że jesteśmy zajęci.

Izabiel, który właśnie miał zapytać, czy Michał ze swoim fotograficznym talentem nie dołączy do projektu, z powrotem zamknął buzię. Spojrzał na ciąg wywołanych już fotografii i na twarz Anki, widoczną to z przodu, to profilem. Modelka miała poważny wyraz twarzy, ale jej oczy rozświeślał wesoły błysk. Na kilku fotografiach widać było tylko sylwetkę dziewczyny, stojącą w oddali za zasłoną rozmytych deszczowych strug. Wszystkie zdjęcia były czarno-białe. Rzeczywiście wyglądały wspaniale, jak na jakąś wielką wystawę. Może rzeczywiście ten projekt był ważniejszy od kalendarza? Izabiel spuścił głowę, ale Michaela nie zauważyła jego smutnej miny.

## **ROZDZIAŁ 52**



Kilka dni później Anka siedziała przy biurku z miną generała, który ocenia siły przed decydującą bitwą. Walką, którą miała stoczyć, było zaprojektowanie kalendarza. Wytyczne leżały przed nią na blacie: pocztówka od Helenki i kartka ze wskazówkami ciotki Izabeli. Już ta pierwsza komplikowała sprawę. Anka pamiętała, że Helenka miała przesłać jej projekt logo dla fundacji. Natomiast nie mogła sobie przypomnieć, żeby ciotka Izabela wspomniała w rozmowie, że projekt przybędzie narysowany kredkami na pocztówce. Anka przyglądała się kartce już od dłuższego czasu i niemal mogła wyobrazić sobie dzielną emerytkę, która szkicuje, nuci pod nosem i od czasu do czasu wznosi okrzyki w stylu „to niesamowite, że ostatni raz rysowałam coś jeszcze w szkole!”. Izabela zapewne siedziała obok przyjaciółki, kiwając głową z uznaniem i mówiąc coś w rodzaju: „z rysowaniem jest jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina...”. Największym problemem jednak było to, że cały projekt do złudzenia przypominał logotyp pewnej znanej firmy produkującej kocią karmę. Anka nie podejrzewała Helenki o celowy plagiat, nie ulegało jednak wątpliwości, że jej artystyczna wizja nie posunęła prac do przodu. „Szczęśliwy Mruczek” nie miał więc logotypu. Niedobrze. Anka przeniosła wzrok na drugą kartkę, tę, na której przed paroma dniami zanotowała słowa kluczowe. Delikatność, prostota, siła i tajemnica. Wystarczyło przestawić je miejscami, żeby się zorientować, że również nie ułatwią jej zadania. Tajemnica i prostota, siła i delikatność – same sprzeczności! Poza brakiem logotypu należało też odnotować brak wytycznych do pracy. Jeszcze gorzej. Zostawało najważniejsze: dobór materiałów do zilustrowania projektu. Kalendarz miał przecież być „artystyczny”. Inny niż wszystkie kalendarze z kotami, które Anka widziała w swoim dotychczasowym życiu. Inny niż wszystkie – czyli jaki? Obok braku wytycznych i logotypu należało też odnotować brak jakiegokolwiek koncepcji. To już zupełnie fatalnie. Anka zamyśliła się na chwilę, czując, że nie są to wszystkie problemy, które przyniesie ze sobą ten projekt. Co takiego powiedziała Izabeli, rozmawiając przez telefon? Czy to było coś w stylu: „nie ma sprawy, chętnie to zrobię”? Może dodała: „nie martwcie się niczym, spokojnie sobie poradzę”? Szkoda, że nie przeliczyła wcześniej sił, którymi dysponuje w tej walce.

Deszcz niby padał, ale jakoś nie mógł się zdecydować. Michał też nie do końca był pewien, co robi. Są takie momenty, gdy fotograf czuje, że robota idzie mu świetnie, kolejne kadry pojawiają się jak objawienie. Pozostają niuanse, decydujące o sukcesie – czy uchwycić modelkę trochę bardziej z lewej czy z prawej strony, czy poprosić ją, by spojrzała bardziej przed siebie. I ta chwila,

kiedy nagle wszystkie elementy układanki trafiają na swoje miejsce. To może być niespodziewany promyk światła albo uśmiech fotografowanej dziewczyny, czasem wiatr, który zwichrzy jej włosy.

Dziś nic takiego nie chciało się wydarzyć. Pogoda nie była najgorsza, mokre liście i pnie drzew niosły w sobie artystyczny potencjał. Michał wybrał wspaniałą lokalizację: leśną polanę, otoczoną przez stare, dostojne dęby. Co prawda polana okazała się nieco błotnista, ale dziewczyna, którą zabrał ze sobą do lasu, nie narzekała, nawet kiedy jej szpilki utknęły w błocie. Dziewczyna miała na imię Marzena, niedawno skończyła dziewiętnaście lat i przyjechała do stolicy na studia, udało jej się dostać na technologię żywienia; narzekała tylko na dojazdy, ponieważ mieszkanko, które dzieliła ze współlokatorami znajdowało się niestety już pod Warszawą. Ale świat Marzeny nie zaczynał się i nie kończył na tych studiach, których zresztą nie planowała ukończyć, przynajmniej nie za wszelką cenę. Jej prawdziwym marzeniem, pielęgnowanym od ósmego roku życia, była kariera w modelingu. Tyle Michał zdążył się dowiedzieć podczas krótkiej podróży samochodem. O ile potrafił ocenić, aspirująca modelka powinna osiągnąć swój cel. Marzena miała eteryczną urodę, gęste kasztanowe loki, długie nogi i wyraz twarzy małego jelonka, który właśnie zorientował się, że otacza go wielki ciemny las. Michał robił zdjęcie za zdjęciem i niemal na każdym ujęciu Marzena wyglądała profesjonalnie. Gdyby szykowali sesję dla magazynu o modzie, mógłby skończyć pracę po dziesięciu minutach i iść na piwo. I chyba tu właśnie leży problem – pomyślał młody fotograf, podnosząc aparat. Sesja nie miała mieć przecież nic wspólnego z modą.

– Usta! – rzucił, po raz enty dając Marzenia znak, żeby zamknęła buzię. Dziewczyna rzuciła mu długie, uwodzicielskie spojrzenie. Na tyle długie, że zdążył pstryknąć kilka ujęć.

– No nie rozumiem, z tymi ustami – pożaliła się. – Lepiej wychodzę na zdjęciach, jak trzymam takie uchylone, o. – Znow zaprezentowała swoją minę.

– Ale to trochę inna sesja. – Michał miał poczucie, że już próbował jej to wyjaśnić. – Po prostu bądź naturalna. I spróbuj oprzeć się o drzewo.

Marzena skinęła głową, dając znać, że rozumiała, po czym przytuliła się do pobliskiego dębu, obejmując zmysłowo pień i unosząc zgiętą nogę. W jakiś niesamowity sposób udało jej się wyeksponować zarazem kształtne udo i wspaniały biust. Michał doświadczył dziwnie ambiwalentnych uczuć: z jednej strony zrobiło mu się gorąco, a z drugiej poczuł się zirytowany.

– Nie, nie – zaprotestował. – Nie próbuj uwodzić drzewa. Po prostu się oprzyj.

– Tak? – Dziewczyna z pewną rezygnacją przyjęła pozycję mniej działającą na wyobraźnię. Odgarnęła włosy, a Michał bez większego przekonania pstryknął następną serię fotografii. Czuł, że kolejne ujęcia nie nadają się do niczego... No,

może poza magazynem o modzie, ale naprawdę nie o to chodziło. Marzena dostrzegła jego minę.

– To może ja się przebiorę? – zaproponowała. – Mam inne ciuchy w torbie.

Nie czekając na odpowiedź chłopaka, pomknęła z torbą pomiędzy drzewa. Nie odeszła zbyt daleko, ale Michał był zbyt zirytowany, żeby zwrócić na to uwagę. Jeszcze raz przejrzał fotografie, wyświetlone na małym ekranie cyfrowego aparatu. Modelka była wspaniała. Naprawdę. Mógł z czystym sumieniem stwierdzić, że zna niewiele dziewczyn równie fotogenicznych co nowo poznana Marzena. Las wokół tworzył wspaniałe tło do zdjęć, mokre pnie drzew znakomicie wpisywały się w jego nostalgiczny projekt. Michał złościł się tylko na siebie, że mając taką modelkę i tak dogodne warunki nie potrafi zrobić naprawdę dobrego zdjęcia. Co się stało z jego artystyczną intuicją? Jeszcze wczoraj podpowiadała mu, by rozwinąć projekt, zapraszając do deszczowych zdjęć również inne dziewczyny, nie tylko Anię. A dzisiaj czuł, że jest... No tak, naprawdę był w lesie, sam ze swoją artystyczną wizją. Intuicja nie podpowiadała mu niczego poza tym, co oczywiste: żadna z dzisiejszych fotek nie mogłaby zawisnąć koło tych fotografii, do których pozowała Ania. Minęło już dobrych dwadzieścia minut, a on nawet nie wyjął z torby swojej lustrzanki załadowanej czarno-białym filmem, cały czas pstykał fotki cyfrowym aparatem. Po prostu nie widział przed sobą dobrego ujęcia.

– Już jestem! – oznajmiła Marzena radośnie, wymurzając się spomiędzy drzew. Miała na sobie obcisłą białą sukienkę, na tyle krótką, że mogła być równie dobrze o dwa rozmiary za mała. Porażony tym widokiem fotograf potrzebował chwili, żeby dojść do siebie.

– Nie jest ładnie? – zmartwiła się dziewczyna. – Za długa? – Na wszelki wypadek podciągnęła kieckę jeszcze wyżej.

– Nie, wprost przeciwnie... Wyglądasz super, naprawdę, ale nie do tej sesji... Zresztą... Wiesz co, może na chwilę zapomnimy o moim projekcie – Marzena otworzyła szerzej oczy i przyjęła wyczekujący wyraz twarzy – i po prostu zrobię ci kilka kapitalnych fotek do portfolio, dobra? – Michał dokończył myśl. Miał jeszcze nadzieję, że w trakcie pracy coś go oświeci i wpadnie na to, jak zgrać ze sobą Marzenę, las dookoła i tę wizję, którą miał w głowie.

– Nie, nie mogę. – Zuza westchnęła, ale tak naprawdę nie wydawała się zasmucona. – Naprawdę, narysowałabym ci te koty do kalendarza, ale nie ma mowy, żeby to było w tym miesiącu.

Anka przełknęła ślinę, próbując przejść do porządku dziennego nad tym, co właśnie usłyszała. Przełożyła komórkę do drugiej ręki i oparła łokcie na biurku, patrząc niewidzącym wzrokiem na rozłożone na blacie materiały i plany działania, które, póki co, składały się z samych znaków zapytania. Tymczasem Zuzanna mówiła dalej, nieświadoma zdruzgotanej miny przyjaciółki. W końcu rozmawiały

przez telefon.

– Tadeusz sporo zaryzykował, proponując mi wspólną wystawę, i za niecałe trzy tygodnie po prostu muszę skończyć cykl akwareli. Nie masz pojęcia, jak się pracuje pod taką presją, jestem wykończona...

Wbrew temu, co mówiła, Zuza sprawiała wrażenie całkiem uradowanej – o ile można to ocenić przez telefon. Anka powstrzymała się przed zapytaniem, co takiego niby ryzykował malarz-emeryt. Odkryła, że wbrew sobie zaczyna się złościć na przyjaciółkę. A przecież nie mogła winić Zuzy za sukcesy artystyczne ani za brak czasu. Tymczasem ta trajkotała radośnie, raz za razem podkreślając, jak bardzo czuje się wykończona i zdenerwowana.

– Nawet nie miałam kiedy się wam pochwalić – dodała. – Dowiedziałam się o tym przedwczoraj, wyobrażasz sobie? Tadeusz będzie miał dużą zagraniczną wystawę, trzy sale, a jedna ściana będzie zarezerwowana na moje prace! Tylko jest bardzo ważne, żeby w jakiś sposób się one dopełniały z obrazami Tadeusza, to znaczy...

– A te obrazki z kotami, które już masz? – Anka postanowiła spróbować z drugiej strony.

– Oj nie, coś ty! Na pewno nie mam aż dwunastu, poza tym trzeba byłoby dobrać te koty do pór roku, prawda? A u mnie wszystkie występują skąpane w letnim słońku...

– No tak... – Anka była pewna, że podczas wakacji Zuza naszkicowała dziesiątki obrazków z kotami, ale znów nie mogła klócić się z artystką, która uważała, że najwyżej cztery czy pięć z tych prac nadaje się do pokazywania. A może już wszystkie były *passé*.

– Dużo się nauczyłam przez te tygodnie, zupełnie nie mam przekonania do moich pierwszych szkiców – tłumaczyła niefrasobliwie Zuza. – Już nawet nie mam ochoty ich przeglądać. Odkryłam dla siebie zupełnie nową kolorystykę... – mówiła dalej, wyjaśniając przyjaciółce niuanse warsztatu artysty. Anka zamruczała coś w odpowiedzi, żeby nie wyjść na nieuprzejmą, ale myślała już o czymś innym. Skoro Zuza nie mogła jej pomóc, to pozostawał tylko Michał i jego znakomite zdjęcia. Tymczasem fotograf nie odzywał się do niej od kilku dni i nawet powrót deszczowej aury niczego w tym stanie rzeczy nie zmienił. Anka zaczęła mieć złe przeczucia.

– Okej, to ja już kończę – szczebiotała tymczasem Zuza. – Muszę jeszcze zadzwonić do Matyldy! Super, że mogłam się z tobą tym wszystkim podzielić – dodała. – To niesamowite, jak życie robi nam niespodzianki, prawda? Dopiero trzy miesiące temu znów sięgnęłam po pędzel, a teraz czeka mnie wystawa... I to w Berlinie!

Kawiarnia położona przy jednej z podwarszawskich stacyjek do złudzenia

przypominała dworcową poczekalnię. Stoliki były za małe, a fotele niewygodne, w okropnym pomarańczowym kolorze. Jedynym plusem było dużo miejsca na placyku przed lokalem; Michał bez problemu zaparkował samochód. Sesja w lesie została już definitywnie zakończona, Marzena jednak upierała się przy tym, żeby na dobry koniec sesji odpocząć i wypić coś gorącego. Michał zamówił dwa kubki herbaty, zdecydowanie za drogiej jak na te warunki, i wrócił do kąta przy oknie, gdzie siedziała Marzena. Wyglądało na to, że jego przemarznięta modelka trochę się już rozgrzała, zdążyła też wyciągnąć telefon komórkowy.

– Teraz ja strzelę nam fotę, dobra? – Nie czekając na odpowiedź, przysunęła się do Michała i wyciągnęła przed siebie rękę z telefonem. – Nie, poczekaj, zrobię jeszcze jedno, tu głupio wyszłam.

Michał zdobył się na nieco wymuszony uśmiech, podczas gdy dziewczyna pstrykała zdjęcie za zdjęciem. Ostatecznie mógł to uznać za rewanż, podejrzewał, że efekty dzisiejszej sesji warte są niewiele więcej niż selfie zrobione telefonem.

– Super – emocjonowała się tymczasem dziewczyna. – Nieźle razem wyglądamy, wiesz?

– Mhm. – Na krótką chwilę zapadła niezręczna cisza. Michał zrobił w głowie krótki przegląd tematów, które mógłby poruszyć. W końcu przypomniał sobie, że mają wspólnego kumpla, od którego *nota bene* dostał namiary na Marzenę.

– Co tam u Rafała? – zapytał, ucieszony własną inwencją.

– Okej – Marzena, pochylona nad telefonem, nie rozwinęła tej myśli.

No cóż, pozostawały jeszcze zdjęcia. Chłopak sięgnął po plecak i wyjął laptopa. Po krótkich oględzinach musiał przyznać, że plon dzisiejszej sesji nie prezentuje się aż tak tragicznie. Był gotów dać sam sobie mocną trójkę z plusem... Głównie za starania. Marzena jednak nie zwróciła uwagi na jego ciężkie westchnienia.

– Super – powtarzała raz za razem. – O, widzisz, mówiłam, że lepiej będzie w sukience, tu fajniej wyszłam, nie? Oj, a to skasuj! – jęknęła. Michał w zasadzie nie lubił, kiedy ktoś w ten sposób ingerował w jego pracę, ale dziś było mu to obojętne. Jedyny pożytek z sesji w lesie był taki, że Marzena zyska w miarę profesjonalne zdjęcia do portfolio, więc przynajmniej ona nie straciła całego dnia. Zajęty przeglądaniem fotografii chłopak kompletnie zignorował dzwoniący od dłuższego czasu telefon.

– A kiedy następna sesja? – zapytała Marzena. Fotograf spojrzął na nią nieco nieprzytomnie.

– Następna?

– Mam kilka pomysłów – ogłosiła dziewczyna, nieco go zaskakując. O co jak o co, ale o pomysły jej nie podejrzewał. Za dobrze ją poznał przez ten jeden dzień. Marzena posłała chłopakowi wystudiowane długie spojrzenie, takie samo jak to, z którym pozowała do zdjęć.

– No, dobrze – bąknął, trochę dlatego, że głupio było mu odmówić, a trochę ze względu na to, że szkoda spławiać aż tak ładną dziewczynę. Ostatecznie coś jeszcze mogło wyjść z tych zdjęć. Może potrzebował innego pomysłu... Ale nostalgiczną deszczową sesję zrealizuje z Anką – postanowił mocno. W pierwszy pochmurny dzień. Nie będzie już szukał innych modelek. Anka po prostu jest nie do zastąpienia, najwyraźniej ten pomysł od początku można było zrealizować tylko z nią. Zamyślony, nie zwracał większej uwagi na radosną paplaninę Marzeny, która znów opowiadała o swoich marzeniach związanych z modelingiem.

## **ROZDZIAŁ 53**

Dzień później Ania znów siedziała przy biurku, w tej samej pozycji i w tej samej dresowej bluzie. Założyła kaptur na głowę i od czasu do czasu odgarniała opadającą na oczy grzywkę. Nie czuła się już jak generał planujący bitwę. Jej armię rozgromiono, kraj podbito; teraz pozostawało tylko policzyć straty. Najbardziej bolało, że zawiedli przyjaciele. Zuzanna wycofała się rakiem, zanim Anna zdążyła poprosić ją o pomoc, a sprawy z Michałem wyglądały jeszcze gorzej. Przez cały dzień nie odbierał telefonu, a wieczorem zachował się tak jak Zuza: zaczął się gorączkowo tłumaczyć, czemu nie ma wolnego czasu, i to jeszcze zanim Anka wyjaśniła, o co jej chodzi. Zresztą, już wcale nie miała ochoty prosić go o wsparcie. Dobrze wiedziała, czym był tak zajęty i dlaczego przez cały dzień nie

odbierał. W końcu oboje mieli facebooka. A facebook Anki dziś po południu, z charakterystycznym brakiem wycucia, zaproponował jej polubienie zdjęć, na których rzekomo strasznie zapracowany fotograf siedział przy kawiarnianym stoliku z jakąś laską przyklejoną do ramienia. Laska z włosami mokrymi od deszczu i w za dużej kurtce Michała prezentowała się tak, jakby nad stylizacją „deszcz plus kurtka” pracował sztab profesjonalistów. Nie tylko wyglądała jak milion dolarów, ale pozowała z takim blaskiem w oku, jakby właśnie wygrała zbliżoną sumę. I najwyraźniej, jak oceniła Anka, przeglądając pozostałe fotografie, był to stały element jej wizerunku. To tłumaczyło, dlaczego Michał nagle przestał mieć czas wolny. Ania westchnęła, czując, jak ulatują z niej resztki energii do działania. Powinna myśleć o kalendarzu, a nie o tym, że natura pozbawiła ją kasztanowych loków i oczu jelonka Bambi. Tym bardziej nie wolno tracić czasu na rozmyślanie o Michale, który w niczym nie pomoże, bo przecież jest ogromnie zajęty.

– Może po prostu porozmawiaj z Michaelą? – zasugerował Matiel. Annael nawet nie podniósł wzroku, chociaż lekko się zarumienił.

– To dobry pomysł – Zanael poparł kolegę. – Ten cały Michał na pewno chętnie pomoże twojej zgnębionej duszy, jeśli tylko dowie się, że jest potrzebny. Przecież bardzo ją lubi!

Na przykrytej flanelowym kocem kanapie trwała narada kryzysowa. Siedząc na szerokim oparciu, anioły miały dobry widok na plecy pochylonej nad komputerem Anki. Zamiast szukać materiałów do kalendarza, znów przeglądała zdjęcia Marzeny, dochodząc do różnych nieuprawnionych wniosków na temat młodej modelki i fotografa. Niestety, Marzena nie omieszkała podpisać fotografii. Najwyraźniej należała do tych osób, które komunikują się z innymi, używając głównie emotek, bo każde ze zdjęć opatrzone było długim szeregiem serduszek, uniesionych kciuków i uchachanych buziek.

– Jedna rozmowa i po sprawie! – Matiel powoli zaczynał tracić anielski spokój. – To normalne, że w razie problemów rozmawiamy z aniołem stróżem drugiej strony. Zobacz, ja się prawie zaprzyjaźniłem z Wonsaelem! – dodał.

– A ja kiedyś rozmawiałem z Adaelem, pamiętasz? – podrzucił Zanael. – Też nie było łatwo, to duży anioł i trochę groźnie wygląda...

Annael zakrył głowę skrzydłem, broniąc się przed gradem spadających na niego dobrych rad.

– To inna sytuacja – bąknął. Na myśl o spotkaniu z Michaelą, podczas którego musiałby wypowiedzieć całe mnóstwo zdań, by wytłumaczyć zaistniałą sytuację, czuł się dziwnie słabo. To było zupełnie co innego niż obserwowanie powabnej anielicy z bezpiecznej odległości. Zgoda, w czasie wakacji parę razy zdobył się na to, żeby coś powiedzieć, na przykład „dzień dobry”, a ostatnio nawet

odezwał się do niej prawie pełnym zdaniem, ale teraz miała miejsce, no właśnie, zupełnie inna sytuacja. Poza tym miał przecucie, a właściwie niemal był pewien, że w odpowiedzi na swoje starania zostałby obrzucony jednym z tych ironicznych spojrzeń. A może urażona anielica postanowiłaby zupełnie zerwać z nim znajomość? Z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo.

– Myślę, że nakłonię Anię, żeby znów zadzwoniła do Michała, może jutro – mruknął ostrożnie i głównie po to, by pozostałe anioły przestały mu świergotać nad uchem.

– Zobaczymy, co powiesz za kilka dni – stwierdził Matiel urażonym tonem, który większość ludzi i aniołów przyjmuje wtedy, gdy ich dobre rady nie zostają należycie docenione. – Jak już się okaże, że bez Michała ten kalendarz nie ruszy z miejsca.

– Właśnie – poparł go Zanael. – A nie ruszy, nie ma takiej szansy.

Matylda nie mogła doczekać się końca zajęć i z budynku uniwersytetu wybiegła jak na skrzydłach. Dziś był jeden z tych dni, w które kończyła wcześniej, więc wybierała się do wydawnictwa, żeby odebrać Wojtka z pracy. Nie wspomniała mu ani słowem o tym, że nieco zmodyfikowała plan zajęć, żeby ułatwić im spotkania. A widywali się teraz niemal codziennie, w zależności od pogody odwiedzając rozmaite kawiarnie, kina, muzea, przesiadując na zmianę to u Matyldy, to u Wojtka. Ku wielkiej radości dziewczyny, w jego mieszkaniu nadal wisiała huśtawka; okazało się, że mężczyzna nigdy jej nie zdemontował, chociaż przyznał się niechętnie, że po ich rozstaniu, które oboje już uważali za pozorne, planował to zrobić – ale nie potrafił się do tego zebrać. I dobrze, dzięki temu Matylda mogła przychodzić do niego i przesiadywać na huśtawce, czytając kryminały. Nie była to oczywiście jedyna rzecz, którą robili wspólnie. Sytuacja zaczęła się robić naprawdę poważna i Matylda czuła coraz silniejszą potrzebę porozmawiania z mężczyzną o wspólnych planach na przyszłość, ale nie chciała pierwsza zaczynać tej rozmowy. Wojtek tymczasem albo nie słyszał jej aluzji, albo je ignorował. Najwyraźniej mężczyźni funkcjonowali inaczej od kobiet również pod tym względem. Matylda wciąż nie mogła się nadziwić, że nie było potrzeby dokładnego wyjaśnienia sobie sporu sprzed wakacji. Wojtek po prostu uznał go za niebyły, a teraz z podobną prostotą przyjął fakt, że znów są razem i zupełnie nie potrzebował omówienia tego stanu rzeczy. W przeciwieństwie do Matyldy. Ona miała dużo pytań i mnóstwo kwestii, w jej odczuciu, wymagało doprecyzowania. Czy rzucona mimochodem uwaga o garniturze oznaczała, że Wojtek zamierza się z nią ożenić? Czy kiedy powiedział, że jest wierzący, miał na myśli, że przed ślubem nie zaprosi jej na noc? I co w tym kontekście znaczyły wspomniane przez niego „błędy młodości”? Matylda też mogłaby się paroma błędami pochwalić, ale nie było okazji, ponieważ nie rozmawiali również o poprzednich związkach ani



tym bardziej o przelotnych przygodach. To wszystko było nieco irytujące, zważywszy na to, że poza tymi kilkoma naprawdę ważnymi sprawami nie było pomiędzy nimi ani tajemnic, ani niedopowiedzeń. Rozmawiali zupełnie szczerze, dzieląc się swoimi najprywatniejszymi przemyśleniami, i Matylda czuła się z nim tak swobodnie, jakby konwersowała sama ze sobą, tylko że lepiej, bo byli we dwoje.

Dziewczyna poprawiła torbę, odnotowując jednocześnie, że dzień jest bardzo piękny jak na połowę października. Matylda wiedziała, że październikowa aura sprzyja pracy w wydawnictwie, że Wojtek lubi obserwować zmieniające kolory liście, szczególnie czerwieniące się klony. Wiedziała nawet, że zdaniem mężczyzny wszystkie drzewa mają dusze, a co więcej, każdym gatunkiem opiekuje się inny anioł. „One opiekują się nie tylko ludźmi, ale też przyrodą, a także innymi planetami” – tak jej powiedział, chociaż dodał potem, że nie jest tego pewien; to było jedno z tych odczuć, kiedy człowiek ma wrażenie, że rzeczy mają się tak, a nie inaczej, ale przecież nie wie tego na pewno. Któregoś wieczoru oboje spędzili trochę czasu, segregując takie ulotne uczucia, a Wojtek narysował dla niej anioła opiekującego się Mleczną Drogą. Aktualnie ten niewielki rysunek służył Matyldzie za zakładkę do książek. To niesamowite: miała wrażenie, że zna już zwyczaje Wojtka lepiej niż własne, to samo zresztą mogła powiedzieć o jego poglądach na różne sprawy. A wciąż nie miała najmniejszego pojęcia, jakie są jego plany odnośnie ich wspólnej przyszłości. A może tylko ona miała romantyczne wyobrażenia, w których przeznaczeni sobie ludzie zakochują się, pobierają i zaczynają, bez zbędnych ceregieli, żyć długo i szczęśliwie?

Anka drgnęła gwałtownie, kiedy stukanie do drzwi wyrwało ją ze stuporu. Leżące na kanapie anioły również się poderwały. Jesienny poranek dawno minął, podobnie jesienne południe i popołudnie, i właśnie mijał wieczór. Przez cały ten czas Anka gorączkowo pracowała nad znalezieniem fotografii do projektu. Zarejestrowała się na paru serwisach oferujących kupno gotowych zdjęć i właśnie usiłowała zrozumieć znalezione w sieci wytyczne dotyczące projektowania kalendarzy. Anioły jednak dobrze widziały, że nie posunęło to wcale prac do przodu. Tylko frustracja Anki rosła z każdą następną godziną. Zdjęcia były, delikatnie mówiąc, mało interesujące, tajniki grafiki komputerowej – równie zrozumiałe jak średniowieczna alchemia, a sam projekt stał w miejscu. Natomiast za drzwiami czekała Eleonora. I ktoś jeszcze.

– Aniu, masz gościa! – oznajmiła ostrożnie, zaglądając do pokoju przez uchylone drzwi. Tak jak się obawiała, jej córka siedziała przy komputerze, ubrana w dres, z narzuconym na głowę kapturem. Oderwana od pracy, rzuciła matce niezbyt przytomne spojrzenie podkrążonych i nieumalowanych oczu.

– Może przyjdiesz za chwilę do salonu? – Eleonora chrząknęła znacząco,

po czym równie znacząco spojrzała na szafę i na toaletkę. Jednocześnie zasłaniała sobą drzwi, nie pozwalając Ance dostrzec, kto za nimi stoi, a gościowi – kimkolwiek był – zobaczyć niewyjściowej wersji Anki. Ta niechętnie zamknęła klapę laptopa i skinęła głową. Nie wyglądało na to, by zamierzała się pospieszyć. Eleonora rzuciła córce jeszcze jedno, ostrzegawczo-ponaglące łypnięcie i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Pięć minut później Anka siedziała w salonie naprzeciwko niespodziewanego gościa. Zdążyła zmienić niewyjściowy dres na dzinsy i przyczesać włosy. Gość postarał się znacznie bardziej. Siedział na brzegu kanapy ubrany w zapiętą pod samą szyję białą koszulę i krawat w cienkie pastelowe paseczki. Nawet jak na Fryderyka była to lekka przesada. Eleonora, która zabawiała młodego prawnika rozmową, po przyjściu córki wycofała się dyskretnie do kuchni, gdzie Sławomir udawał, że czyta gazetę przy stole. Tak naprawdę oboje dyskretnie podsłuchiwali. Niestety ani Fryderyk, ani Anka nie ułatwiali im zadania, rozmawiając półgłosem.

– Ekhm. No to cieszę się, że cię zastałem – powiedział Fryderyk. Ania, której przez zamieszanie z kalendarzem nieco już wywietrzały z głowy kwestie matrymonialne, ograniczyła się do skinięcia głową. Gorączkowo próbowała ustalić sama ze sobą, jak poprowadzić rozmowę.

– Wiesz, mój tata mówił... – zaczęła w tej samej chwili, w której Fryderyk powiedział:

– Twój ojciec powiedział mi...

Przerwali oboje. Anka zagapiła się na Fryderyka, a Fryderyk utkwiał wzrok w stojącej na stoliku szklanej paterze z owocami. Zaiste, ułożona przez Eleonorę owocowa kompozycja była godna uwagi. Szczególnie winogrona wyglądały bardzo malowniczo.

– No tak. – Chłopak przełknął ślinę. – Muszę cię przeprosić, że nie zdeklarowałem się od razu, ale twój ojciec zaskoczył mnie swoją sugestią. Chociaż oczywiście – podniósł wzrok na Ankę – sam też brałem to pod uwagę, ale może raczej... bardziej przyszłościowo.

– Słuchaj... – Dziewczyna postanowiła, że najwyższa pora postawić sprawę jasno, zanim młody prawnik zadeklaruje coś, czego będzie żałował. – Ja cię oczywiście bardzo lubię... – Nie, to nie był dobry początek. Mógł niepotrzebnie budzić nadzieję. – To znaczy, nie bardzo, co najwyżej trochę... A właściwie, jeśli mam być szczerą, to nawet nie powiedziałabym, że... No, tak, tak z ręką na sercu, to nie nadajemy na tych samych falach. – Czuła się podle, mówiąc coś takiego, ale jeszcze podlejsze byłoby utrzymywanie mężczyzny w błędzie. Teraz należało przejść do drugiej części. Tu mogła puścić wodze fantazji. – Uważam, że jesteś bardzo fajnym, inteligentnym i wartościowym człowiekiem – powiedziała, dziwiąc się samej sobie, jak łatwo te słowa przeszły jej przez usta. – Na pewno będzie

mnóstwo dziewczyn, które to docenią i trafisz na kogoś, kto naprawdę będzie twoją drugą połówką jabłka – zakończyła niezręcznym banałem, ale coraz trudniej było jej mówić do człowieka, którego twarz nie wyrażała w tej chwili żadnych emocji. Gdyby Anka miała zgadywać, powiedziałaaby, że Fryderyk cały czas coś sobie kalkulował, ale nie wiedziała, co. W każdym razie siedział w milczeniu, dopóki nie upewnił się, że skończyła mówić, a potem jeszcze przez chwilę przeciągał panującą między nimi ciszę, pocierając w zamyśleniu dłonią o dłoń, gestem, który już zaczął Ankę niezmiernie irytować.

– Co do tych innych dziewczyn, to nie sądzę – zaczął. – Bo szczerze mówiąc, jestem zbyt zajęty pracą, żeby biegać na randki. Sama widzisz, że spotykamy się dopiero teraz. Miałem strasznie intensywny tydzień. Natomiast co do lubienia, to sądzę, że takie rzeczy przychodzą z czasem. Ja też nie polubiłem cię od pierwszego wejrzenia – dodał, najwyraźniej nie siląc się na romantyczne wyznania. – Raczej uznałem, że jesteś płytka, mało inteligentna i, co gorsza, brakuje ci ambicji. Odnośnie tych dwóch pierwszych obserwacji, to byłem w błędzie – dodał, zanim Anka zdążyła naprawdę się zdenerwować. – Co prawda, w wielu tematach nie masz własnego zdania, ale to nie jest najważniejsze. Brak zawodowych ambicji to większy problem, ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że może być trudno zbudować związek małżeński z kobietą nastawioną na karierę. Twoje podejście jest więc, tak bym to ujął, optymalne.

– Optymalne – powtórzyła jak echo Anka.

– Tak. Widzisz, kiedy pan Sławomir wspomniał, że mogłabyś być, ewentualnie, zainteresowana, i że oni, jako twoi rodzice, są bardzo przychylnie nastawieni do tego pomysłu, początkowo byłem zaskoczony, ale potem zacząłem dokładnie kalkulować. – Anka nie mogła uwierzyć własnym uszom, ale rzeczywiście tak właśnie powiedział: „kalkulować”.

– Rozważyłem wszystkie za i przeciw – kontynuował młody prawnik. – Jesteśmy oboje w podobnym wieku, nasze rodziny bardzo się lubią, a to naprawdę ważne. – Tę ostatnią kwestię wypowiedział nieco głośniejszym głosem i Eleonora, podsłuchująca przez uchylone drzwi kuchni, cała się rozpromieniła. – Uważam, że jesteś atrakcyjna, dlatego nie miałbym też nic przeciwko wspólnym dzieciom – kontynuował. – Na pewno, mając taką mamę jak pani Eleonora, potrafiłabyś się spełnić w roli matki i żony. Ja ze swojej strony mogę zapewnić, że niczego ci przy mnie nie zabraknie. Mam już obiecaną dobrą pracę. – Mrugnął, po raz pierwszy naprawdę się ożywiając.

Anka, która wzdrygnęła się na samą myśl o dzieciach, przez chwilę nie mogła znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić, co czuje. Właściwie, to myślała o tym, żeby rozbić prawnikowi na głowie misę z owocami, ale był zbyt grzeczny, żeby potraktować go w ten sposób.

– Myślę – odezwała się w końcu ostrożnie – że należymy do dwóch różnych

światów. Ty mówisz o małżeństwie, jakby to była inwestycja, natomiast...

– Bo to jest inwestycja – przytaknął zadowolony z siebie Fryderyk.

– Natomiast ja szukam czegoś innego. Uczuć. Bliskości. Porozumienia. – Nie była pewna, czy te słowa będą mu coś mówić.

– To wszystko pojawi się z czasem. – Fryderyk inteligentnie odbijał jej argumenty. – Poza tym nie musisz deklarować się od razu. Narzeczeństwo to taki okres, w którym można się jeszcze wycofać. Niestety, dopóki razem nie zamieszkamy, nie mogę ci obiecać częstych spotkań, ostatnio i tak zaniedbałem obowiązki, żeby bywać u was na obiadach. Ale, tak... – zastanowił się głęboko – dwa czy trzy razy w miesiącu moglibyśmy gdzieś pójść. Jakiś teatr czy filharmonia, może czasem bez rodziców. – Uśmiechnął się w sposób, który chyba miał być pociągający. – No, ale teraz czas na mnie – powiedział, spoglądając na zegarek. – I tak się zasiedziałem, a pieniądze same się nie zarobią.

Zgodnie z zapowiedzią zerwał się z kanapy. Anka też wstała, i to dość gwałtownie.

– Ale ja. Naprawdę. Nie wyjdę. Za ciebie. Za męża. – Nie tyle wypowiedziała, co wyskandowała te słowa. Dla lepszego efektu uniosła poduszkę, chyba z zamiarem zdzielenia adoratora, ale opuściła ją, zdając sobie sprawę z obecności stojących w drzwiach rodziców. Widząc Sławomira, Fryderyk podniósł dłoń z uniesionym kciukiem.

– Pierwsze koty za płoty – powiedział, obracając fakt, że Anka dała mu właśnie kosza, w inteligentny żarcik. Anka obróciła się na pięcie i odmaszerowała do swojego pokoju, nie czekając już, aż jej rodzice pożegnają się z Fryderykiem. Najwyraźniej źle oceniła sytuację, myśląc, że nikt nie będzie wydawał jej za męża na siłę, wbrew jej woli. Najwyraźniej jej zdanie nikogo nie interesowało. Zaczęła się zastanawiać, czy jej rodzicom uda się znaleźć księdza, który zinterpretuje jej stanowcze „nie” jako „tak” i udzieli im ślubu. Jeśli będą szukać w gronie znajomych, to było całkiem możliwe, może znajdą go na tej samej półce, z której wyciągnęli prawnika. Anka po raz pierwszy od dawna zamknęła za sobą drzwi na klucz i opadła na łóżko. Po chwili uniosła głowę, zerknęła na biurko, na którym wciąż nie było nawet pomysłu na fundacyjny kalendarz, i, koniec końców, zanosła się płaczem. I po raz pierwszy od wielu lat zupełnie zignorowała stukanie do drzwi.

## ROZDZIAŁ 54

Trudno powiedzieć, aby kolejne dni przyniosły ze sobą poprawę sytuacji. Ania parokrotnie poruszyła drażliwy temat zamążpójścia, z nadzieją, że jej rodzice wreszcie się opamiętają. Niestety, najwyraźniej oni oczekiwali tego samego po niej. Któraś z kolei rozmowa zakończyła się w momencie, gdy Eleonora powiedziała coś w stylu „jak sobie chcesz”, po czym zacisnęła wargi w wąską linię i utrzymała ten wyraz twarzy przez cały następny dzień. Chyba to od tamtej chwili młody prawnik stał się tematem tabu, starannie omijanym w codziennej konwersacji. Jak to niestety bywa, nie mogąc otwarcie mówić o Fryderyku, wszyscy o nim myśleli. Eleonora z nostalgią – już zdążyła się przywiązać do młodego, dobrze wychowanego człowieka. Fryderyk był pięknym snem każdej matki. Miły i wykształcony, dobrze ubrany i elokwentny, bez nałogów, a za to ze świetlaną przyszłością. Od początku wyjątkowo dbał o relacje z rodziną Ani i, niezależnie od uczuć, które pojawiły się między młodymi, był bardzo porządny i nie próbował bałamucić jej córki. Eleonora od początku podejrzewała, że Anka jest zbyt młoda, by w pełni docenić wszystkie zalety chłopaka, ale jak mogła być aż tak niemądra? A co gorsza, po kilku miesiącach rozczulających rodzinnych spotkań, podczas których wydawała się zadowolona z obecności Fryderyka, nagle zmieniła zdanie. Eleonora dostrzegła w tym jakąś smutną tendencję. Dobrze rozpoczęta kariera Anki w firmie reklamowej zakończyła się przecież podobnie, również bez dobrego wyjaśnienia. Pani Nowicka nie mogła się pozbyć wrażenia, że jej córka komplikuje swoje życie na złość rodzicom. Przemyślenia Sławomira były mniej złożone, chociaż szły w podobnym kierunku. On również przywiązał się już do niedosłego zięcia i nie mógł zrozumieć postępowania krnąbrnej latorośli. Przy okazji nie lubił, gdy jego wysiłki szły na marne. Przez ostatnie pół roku poświęcił na Fryderyka wiele godzin i zachodu, nie wspominając już o środkach finansowych. Czy Anka myślała, że wykwitne kolacje i dwudaniowe obiady

z deserem spadają z nieba za darmo? A skoro Fryderyk aż tak jej się nie podobał, to dlaczego nie powiedziała tego od razu?

Niezależnie od negatywnych emocji, kłębiących się pod sufitem mieszkania, tliła się w nim również nadzieja. Eleonora liczyła po cichu na to, że w córce odezwie się jeszcze zdrowy rozsądek, odziedziczony po matce. Sławomir miał nadzieję, że coś się ruszy po następnym spotkaniu młodych. Fryderyk wyznał mu na odchodnym, że planuje zaprosić Anię do filharmonii. Może wieczór z muzyką Bacha coś zmieni?

Tymczasem Anka miała wrażenie, że oszaleje. Przemykała po mieszkaniu jak duch, unikając oskarżycielskich spojrzeń rodziców. Dodatkowo dobił ją telefon od Matyldy, która przez pół godziny, zupełnie rozanielona, mówiła o swoich uczuciach. A przede wszystkim próbowała ustalić z Anką, czy może raczej sama ze sobą, jakie są szanse na to, że Wojtek zamierza się jej oświadczyć. Ania nie rozumiała, jak Matylda może na poważnie myśleć o ślubie z kimś, do kogo wróciła zaledwie trzy tygodnie temu. A co więcej, jak może o tym myśleć tak konkretnie, spekulując na temat szczegółów wspólnego życia. Ale skoro Fryderyk był w stanie wystosować własne oświadczyzny przez pana Sławomira, i to nie będąc wcześniej z jego córką na ani jednej prawdziwej randce, to najwyraźniej ten świat już dawno stanął na głowie i absolutnie wszystko było możliwe. Natomiast jeśli chodzi o projekt kalendarza – no cóż, na na tym polu nie wydarzyło się nic nowego.

W powietrzu już wyraźnie czuło się jesienny chłód i zmrok zapadał wcześniej, zostawiając mniej czasu na fotografowanie. Ostatnie dni były wyjątkowo pracowite dla Michała. Redaktor naczelny zmusił go do uwiecznienia wystawy ciągników i ceremonii otwarcia nowej przychodni zdrowia, a w międzyczasie wciąż zawracała mu głowę Marzena. Chłopak nie chciał robić aspirującej modelce przykrości, więc zgodził się jeszcze na parę sesji, ale naprawdę szkoda mu było czasu na tak nieciekawe fotografie – a także na samą Marzenę, która przy bliższym poznaniu traciła coraz bardziej. Na początku nawet zaimponowały mu wysiłki dziewczyny, która najwyraźniej starała się zwrócić na siebie jego uwagę. Michał nieczęsto czuł się podrywany, a Marzena była szalenie atrakcyjna i przyjemnie było siedzieć z nią w kawiarni, czując na sobie zazdrosne spojrzenia innych mężczyzn. Ale cała sytuacja szybko stała się irytująca. Na przykład teraz. Po kilkugodzinnej sesji, Marzena praktycznie wprosiła się do jego domu, żeby obejrzyć fotografie na dużym ekranie komputera, i najwyraźniej robiła wszystko, co można, żeby przeciągnąć spotkanie do momentu, w którym będzie już za późno, żeby wracać po nocy do domu. Wymagało to nie lada zachodu, zważywszy na to, że rozmowa wcale się nie kleiła. Dziewczyna najpierw obejrzała wszystkie swoje zdjęcia, potem zmusiła fotografa, żeby pokazał jej fotografie innych modelek. Przez cały czas siedzieli obok siebie na kanapie i Michał kątem

oka obserwował poczynania Marzeny, która sprytnie próbowała skrócić dystans pomiędzy nimi. Pracowała nad tym centymetr po centymetrze. Trzeba przyznać, że fotograf zachował się trochę niegrzecznie, ponieważ dokładnie w momencie, w którym dziewczyna z czułym westchnieniem położyła mu głowę na ramieniu, wstał z kanapy i poszedł do kuchni po coś do picia. Sam nie mógł się nadziwić własnej oziębłości i nawet było mu trochę szkoda Marzeny, która traciła energię na trzepotanie rękami i poprawianie ramiączka bluzki, które jakimś przypadkiem co chwila opadało. Chyba właśnie o to chodziło. Ona się za bardzo starała. Kiedy Michał wrócił, niosąc dwie szklanki i coca colę, modelka stała przed wywieszonymi na ścianie fotografiami. Podpierała się pod boki i przekrzywiała głowę, jakby krytycznie oceniała jego pracę.

– A to, co to za dziewczyna?

Michał też popatrzył na zdjęcia, przez dłuższą chwilę nie odpowiadając. Z fotografii patrzyła na niego twarz Ani. Na każdym z tych zdjęć grały emocje. Zamyślenie, nostalgia, rozmarzenie, rozbawienie, nieco ironii i dużo subtelnych odczuć, których nie potrafiłby nazwać. Powieszzone obok siebie, stanowiły większą całość, jak rozmaite dźwięki, tworzące jedną doskonałą melodię. Zastanawiał się, czy to nie są jego najlepsze fotografie.

– To... projekt, nad którym pracuję – powiedział w końcu, nie mając ochoty zdradzać tego wszystkiego Marzenie.

– Aha. A dziewczyna?

– No, dziewczyna – przytaknął.

Marzena ni to prychnęła, ni to westchnęła.

– Ale to twoja dziewczyna? – dopytywała się. Michał chciał zaprzeczyć, ale jakoś się powstrzymał.

– Chcesz jeszcze coli? – zapytał zamiast tego. – Mogę cię potem podwieźć do domu, chyba że wolisz wracać pociągiem. Zrobiło się późno.

– On nic nie zrobi – mówił tymczasem Matriel, kierując te słowa do Zanaela. Oba anioły siedziały w pokoju Zuzanny. Przez ostatnie tygodnie przeobraził się on w pracownię malarską z prawdziwego zdarzenia i w domu Jezierskich ciągle pachniało farbą. Stojące na środku pokoju sztalugi stanowiły już stały element wystroju, a ponieważ utrudniały dojście do szafy, część ubrań musiała zamieszkać na kanapie. Na ścianach i pod ścianami prezentowały się obrazy, od małych akwarel po naprawdę spore płótna, malowane olejami, które dziewczyna dostała od Tadeusza. Część dzieł, owinięta przezroczystą folią, wystawała zza regału. Na biurku i wszystkich parapetach stały słoiki z pędzlami. Obrazu całości dopełniała paleta, przybita nad wejściowymi drzwiami. Sama Zuza siedziała na dywanie, rozkładając przed sobą serię małych jesiennych akwarelek. Co chwila zmieniała zdanie i zamieniała je miejscami, po czym notowała na kartce aktualny układ.

Zanael śledził jej poczynania kątem oka, w zasadzie skoncentrowany na rozmowie z Matielem.

– Mówisz o Annaelu? – domyślił się. – No tak, chyba cała sytuacja go przerosła. A słyszałeś o sprawie z Fryderykiem?

– Mniejsza o Fryderyka! – Drugi anioł westchnął, poirytowany. – Myślę o tym kalendarzu. Anka właśnie zaprzepaszcza szansę na udaną współpracę z fundacją, za chwilę będzie musiała przyznać się ciotce Izabeli, że nic nie zrobiła, pokłóć się albo poobrażają na siebie, i tyle z tego będzie...

– E, ciotka jej wybaczy – wtrącił Zanael.

– Ale ze współpracy nic nie wyjdzie. No i z kalendarza.

– No tak... – Tutaj Zanael musiał się zgodzić.

– A przecież wystarczyłaby krótka rozmowa z Michaelą. Annael naprawdę by się nie przemęczył.

– Najwyraźniej nie może. – Zanael pokręcił głową.

– Szkoda mi go. Zamartwia się, ale nic nie robi.

– No tak, masz rację. I rzeczywiście, wystarczyłaby mała rozmowa.

Anioły spojrzały po sobie.

– Nie bardzo się znam na rozmowach z dziewczynami – przyznał Matiel po chwili. – Ale czego się nie robi dla kumpla.

– Musimy zdobyć skądś kwiaty – zasugerował Zanael. – Dziewczyny lubią kwiaty. To powinno zapewnić nam punkty na wejściu.

– Kwiaty? – Matiel uniósł brwi. – O tej porze roku?

Michał z westchnieniem zamknął za sobą drzwi. Nie bez trudu udało mu się w końcu skłonić Marzenę do wyjścia. Chyba poczuła się urażona obsesowym traktowaniem, ponieważ postanowiła wrócić do siebie autobusem. Michał, który grzecznościowo zaproponował dziewczynie podwózkę, przyjął tę deklarację z niekłamaną ulgą.

Obejrzał przedpokój, przeszedł przez salon i zajrzał do łazienki. Dopiero upewniwszy się, że Marzena na pewno nie zostawiła żadnych portfeli, komórek ani kobiecych drobiazgów, po które musiałaby za chwilę wrócić, opadł bez sił na kanapę. Po drugiej stronie pokoju wdzięczna kobieca sylwetka z podobnym westchnieniem osunęła się na fotel. Michaela przymknęła oczy i pogrzyła się w smutnej zadumie.

Chociaż trudno było to przyznać, po raz pierwszy zawiodła ją intuicja. Znajomość z Marzeną i pomysł, że modelka może zainspirować fotografa – to wszystko było jedno wielkie nieporozumienie, w którym niestety miała swój udział. Za bardzo zależało jej, by nostalgiczny, deszczowy projekt wzbogacić o kolejną dziewczęcą twarz. Pomyliła się i była zła na siebie. Zmarnowali szereg dni, które mogły stać się czasem twórczej pracy, a teraz zostały bezpowrotnie



stracone na doświadczenia, które w niczym nie wzbogaciły duszy młodego artysty. Zrezygnowana, zakryła twarz skrzydłem, odgradzając się od jesiennego wieczoru.

Z zadumy wyrwało ją chrząknięcie. Zaalarmowana anielica aż podskoczyła na fotelu. Musiała przysnąć, bo niemożliwe, aby ktokolwiek podszedł ją tak niepostrzeżenie. A intruzów było dwóch, na szczęście – jak zorientowała się w tej samej chwili – obaj znajomi.

– Dobry wieczór – powiedzieli chórem, a Matiel wyciągnął w jej stronę podejrzanie wyglądający wiecheć, złożony głównie z wilgotnych liści. Widząc jej minę, spojrzeli po sobie niepewnie z Zanaelem.

– Najładniejsze, jakie znaleźliśmy po drodze – zapewnił Zanael. Michaela zamrugała skonsternowana i sięgnęła po bukiet.

– Dziękuję, to bardzo miłe – powiedziała, starając się trzymać liście tak, żeby nie zmoczyć swojej anielskiej szaty. – Nie wiedziałam, że znowu pada.

– No... Trochę jakby kropi – przyznał Matiel. Przystępował z nogi na nogę i Michaela zrozumiała, że obaj przyszli z jakąś prośbą.

– No, słucham.

Aniołowie jeszcze przez chwilę milczeli, więc posłała im zachęcający uśmiech. W rezultacie Zanael poczerwieniał, a Matiel utkwiał wzrok we własnych stopach. Najwyraźniej przyszli z poważną misją, bo po chwili Matiel zebrał się na odwagę.

– Chodzi o Anię i o Annaela – powiedział, kierując te słowa w stronę klepek podłogowych.

– Ania ma poważny problem – podpowiedział Zanael.

– No właśnie. I myślimy, że Michał mógłby pomóc.

– To nic takiego – dodał znów Zanael. – Chodzi o kalendarz z kotkami.

– Kalendarz – powtórzyła Michaela. Gdzieś już o tym słyszała... Chyba od Izabela. Tak, Izabel mówił coś o kalendarzu, kiedy ostatnio przyleciał do ciemni fotograficznej. – Pewnie potrzebne są dobre zdjęcia? – zgađła.

– No właśnie! – Aniołowie się rozpromienili.

– No cóż, to chyba rzeczywiście nie problem... – Anielica udała, że się namyśla. – Mamy całe archiwum: są przepiękne fotografie, które Michał zrobił latem, ale mamy też trochę starsze zdjęcia, przypominam sobie takiego czarnego kota na śniegu, widocznego od góry, niby fotografia, a przypomina japońską kaligrafię...

– O, to to! – Zanael aż podskoczył.

– Do wiosny też udałoby się coś dopasować, mamy ładne zdjęcia, to zdaje się było w marcu dwa lata temu, przy okazji grilla... Michał fotografował kociaki na jabłonce...

– Kociaki na jabłonce! – Matielowi aż zapařło dech z wrażenia.

– Może są trochę pretensjonalne, ale budzą ciepłe uczucia – przyznała

anielica.

– No więc... – Obaj patrzyli na nią wyczekująco. Michaela odpowiedziała spojrzeniem, nie spiesząc się.

– Bo chodzi o to, że Ania chyba sama nie zadzwoni, a Annael... To znaczy, przyszliśmy jakby za niego, ponieważ... – plątał się Zanael. Michaela przerwała mu, rozkładając nagle skrzydła.

– Wspaniale się składa – powiedziała. – Zaraz do niej zadzwonimy. Chyba jeszcze nie śpi? – Rozejrzała się po salonie, szukając wzrokiem Michała. Okoliczności wydawały się sprzyjające: chłopak znów stał przed ścianą ze zdjęciami, przyglądając się rozmytym, deszczowym fotografiom. Matiel i Zanael znów popatrzyli po sobie. Zanael znacząco wskazał wzrokiem na bukiet, z którym przyszli. A tak się martwili, że pod koniec października trudno znaleźć świeże kwiaty! Tymczasem okazało się, że starannie dobrane jesienne liście biją na głowę banalne róże z kokardą. Dzięki dobrze skomponowanemu bukietowi Michaela od razu dała się przekonać do ich planu.

## **ROZDZIAŁ 55**

Zuzanna siedziała na dywanie naprzeciwko najnowszego obrazu i bujała się na boki, starając znaleźć nowe spojrzenie na swoją pracę dzięki zmianie perspektywy. Raster wyciągnął się obok niej, służąc za kudłatą podpórkę i przy

okazji wsparcie duchowe. Zuza odkrywała, i to coraz bardziej, że praca twórcza jest wyczerpująca emocjonalnie. Przynajmniej w jej przypadku; ciągle wahała się między euforią a poczuciem klęski, które to poczucie, paradoksalnie, znów motywowało ją do pracy. Nie był to jednak łatwy proces i dobrze było mieć przy sobie psa, w którego zawsze mogła się wtulić. Rodzice też byli pomocni, podobnie przyjaciółki, ale tak jakoś wychodziło, że zazwyczaj nie leżeli z nią na podłodze. Pies za to był kompanem niezawodnym, a przy tym wyjątkowo cierpliwym.

A teraz słuchał, co dziewczyna ma do powiedzenia o nadchodzącej wystawie.

– Niesamowite, piesku, jak wszystko się zmieniło... Uwierzyłyś, że jeszcze rok temu marzyłam tylko o ładnym fartuszk do kuchni, miotełce do kurzu i urządzaniu towarzyskich wieczorków, i gdyby to się spełniło, gdybym naprawdę została szczęśliwą żoną, to mogłabym nigdy, przenigdy nie wrócić do malowania... I powiedz mi, jesteś takim mądrym psem: czy to znaczy, że nigdy nie byłabym naprawdę sobą, czy po prostu byłabym kimś innym? – Zadumała się nad tą poważną kwestią, a Raster położył łeb na łapach i patrzył na nią rozumnym wzrokiem, jakby znał odpowiedź.

– Jeszcze kilka dni i jadę do Berlina... – kontynuowała Zuza. – Pierwsza poważna wystawa i od razu za granicą! Zupełnie jakby ktoś to dla mnie zaplanował, nie uważasz? – Pies nic nie odpowiedział, a Zanael, przyglądający się całej scenie, też bardzo się pilnował, by nie odezwać się ani słowem, chociaż miał ogromną ochotę klasnąć w ręce i zawołać, że tak, oczywiście, tak właśnie było, to przecież on to zaplanował! I koledzy, i Izabel i Elechiel, i jeszcze sama Opatrzność, jak zawsze. A poza tym Zuzanna była w błędzie, bo wystawa wcale nie odbędzie się w Berlinie. Ale termin się zgadzał – zostało tylko kilka dni. Ostatni obraz jutro powędruje do oprawy. Naprawdę nie było już powodu, żeby siedzieć w pracowni. Zuza chyba też doszła do tego wniosku, bo wstała z dywanu i przeciągnęła się. Z pewnym żalem rzuciła pożegnalne spojrzenie na swoją akwarelę i podreptała do łazienki. Zanael również wyprostował skrzydła. Przez ostatnie tygodnie już wystarczająco napatrzył się na farby i czuł miłą ekscytację na myśl o tym, że spędzą wieczór w innym otoczeniu. Szkoda trochę, że Zuzannie się nie spieszyło. Najpewniej dotrą na miejsce już po imprezie.

Spotkanie Klubu Szczęśliwego Mruczka chyliło się ku końcowi. Wypito całą kawę i opróżniono wszystkie kartony z sokiem pomarańczowym. Za oknami szkolnej sali zapadał wczesny, jesienny zmierzch, co o tej porze roku oznaczało nadejście pory obiadowej. Anka składała rzutnik, który posłużył do wyświetlenia slajdów prezentujących dzikie koty. W tym miesiącu na afiszu były pantery śnieżne, lwy i tygrysy, a wśród zaproszonych gości – tłum dzieciaków z podstawówki. Ciotka Izabela żegnała jeszcze gości, szczególnie serdecznie –

dyrektorkę podstawówki, która znów użyczyła im sali, oraz pana Ryszarda, owego właściciela salonu samochodów, który od niedawna był pierwszym poważnym sponsorem klubu. Helenka dojadła ostatnią babeczkę z kremem, Matylda spuszczała powietrze z baloników, mając nadzieję, że przydadzą się na następny raz, natomiast Michał siedział w kącie sali na jednej ze szkolnych ławek i kartkował kalendarz. Właściwie – pierwszy egzemplarz kalendarza, wczoraj po południu odebrany z drukarni. Anka wciąż nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Przez ostatnie miesiące to ona wciąż albo komuś pomagała albo próbowała pomagać. Początkowo naprawdę wydawało jej się, że i ten projekt udźwignie sama, rozpisze plan i zrealizuje go punkt po punkcie. Tymczasem niemal całą pracę wziął na siebie Michał.

Fotograf zadzwonił niespodziewanie jakiś tydzień temu, żeby zaproponować kolejną sesję, a przy okazji tak intensywnie dopytywał się, co tam u niej, że dziewczyna bez oporów opowiedziała mu o swoich zmartwieniach. To znaczy: o zmartwieniach związanych z kalendarzem, bo kwestie matrymonialne wołała przemilczeć. I tak jakoś wyszło, że następnego dnia Michał wysłał jej mailem wybór fotografii, kolejnego spotkali się u Izabeli, żeby napić się truskawkowej herbaty, zjeść kruche ciastka i zrobić zdjęcie na tył okładki, a trzeciego, również mailowo, dyskutowali we dwójkę o czcionce i kolorystyce. Natomiast po czterech dniach Anka odebrała wiadomość z gotowym projektem i spędziła cały wieczór, przeliczając okienka w kalendarzu, żeby mieć pewność, że wszystko jest jak należy i że z całego przyszłego roku nie zgubił im się żaden dzień ani żadne święto. A w piątek Michał odebrał pierwszy próbny egzemplarz z drukarni. Anka nie była pewna, kiedy zdążył zaprojektować fundacyjne logo. Na pewno jakoś w międzyczasie.

I teraz kalendarz naprawdę był gotowy – i to jaki piękny! Miał okładkę i dwanaście stron: na każdej znajdowała się olśniewająca fotografia ze zbiorów Michała, a pod fotografią – pięknie wypisane dni miesiąca, z zostawionym miejscem na notatki. Na tylnej okładce znalazło swoje miejsce zupełnie nowiutkie zdjęcie przedstawiające zarząd fundacji: była na nim ciotka Izabela, Helenka i uśmiechnięta od ucha do ucha Anka.

Dziewczyna sięgnęła dłonią do torebki, tylko po to, by wymacać w niej plastikową koszulkę z umową. Ania nie miała jeszcze czasu, żeby naprawdę się nią nacieszyć, ale najważniejsze podpunkty zdążyły zapaść jej w pamięć. Szczególnie ten fragment, który stwierdzał, że już oficjalnie jest dyrektorem artystycznym fundacji „Szczęśliwy Mruczek”. Anka miała ochotę zaraz po powrocie do domu oprawić ten dokument w ramki i powiesić nad łóżkiem. Tymczasem ograniczyła się do zadowolonego westchnienia i przemaszerowała przez salę, żeby usiąść koło Michała.

– I jak, podoba się? – zapytał, kiedy tylko Anka usiadła obok. Zadał jej to

pytanie już drugi albo trzeci raz, ale najwyraźniej chciał jeszcze raz usłyszeć odpowiedź.

– Jest niesamowity.

– E tam... No, może nie najgorzej wyszło, jak na taki temat. – Michał złożył kalendarz i trzymał go przed sobą z zadowoloną miną. Może i wzruszył ramionami, mówiąc swoje „e tam”, ale wyraźnie czekał, na wypadek gdyby Anka chciała coś dodać.

– Izabela jest zachwycona – przypomniała jeszcze raz Anka. – I Helenka. Przy okazji, dla ciebie też przygotowują umowę. Za te zdjęcia i całą pracę.

– E tam – powtórzył chłopak. – To nic takiego.

– No ale wiesz, zrobiłeś właściwie wszystko i to za kilka osób: zdjęcia, skład...

– Poważnie, nie chcę żadnej umowy – przerwał Michał, rzucając jej szybkie spojrzenie, jakby się upewniał, że dziewczyna cały czas siedzi obok. – Zrobiłem to, co chciałem, bo... Bo tak – dokończył, zeskakując ze stołu. Powiedział to takim tonem, jakby był o coś obrażony, dlatego sens w połowie przemilczanych słów dotarł do Anki dopiero po dłuższej chwili, a dokładnie: kiedy Michał był już za drzwiami. Sięgnęła po kalendarz, który zostawił na ławce, i położyła go na kolanach, bezwiednie naśladując gest Michała. Zrobił to, bo tak. Bo chciał. Bo ona go poprosiła.

– No tak – westchnął Zanael. Wbiegając po schodach, minęli się z Michałem. Michaela pomachała mu lekko z porozumiewawczym uśmiechem, przemykając obok, zwiewna jak niesiona wiatrem wstęga mgły. Zanael odwrócił głowę, śledząc oddalającą się postać.

– No tak, spotkamy się jeszcze może z woźną. Chociaż niekoniecznie, w końcu jest sobota... – mamrotał anioł sam do siebie. Ale mocno się pomylił: w jasno oświetlonej sali zostali jeszcze niektórzy członkowie i sympatycy fundacji. Zbierali talerze i zwijali plakaty, ale nie dało się ukryć, że jeszcze tu byli.

– Halo! – rzucił zadowolony, podczas gdy nieprzyzwoicie spóźniona Zuza witała się z przyjaciółkami. Annael zerwał się z miejsca. Po jego minie Zanael wywnioskował, że anioł zaraz znów zacznie mu dziękować, dlatego uniósł ręce w obronnym geście.

– Już wystarczy, naprawdę! – zapewnił.

Stojący obok Matiel posłał mu porozumiewawcze spojrzenie.

– Kiedy tylko chciałem powiedzieć, że jestem wam obu naprawdę niesamowicie wdzięczny... – zaczął niespieszony Annael. – Jak mówiłem już Matielowi...

– Jak powtarzał przez całe spotkanie – wtrącił przekornie Matiel.

– Jak powtarzałem przez całe spotkanie, tak, bez was nic nie potoczyłoby się

tak, jak powinno! Ania nie dogadałaby się z Michałem, nie przygotowaliby kalendarza...

– I pewnie nie podpisałyby umowy o pracę – wtrącił Matiel.

– No tak, ta umowa. – Annael westchnął – To już trudno, stało się. Ale i tak bardzo wam dziękuję! – dodał szybko. – Nawet nie wiecie, ile zrobiliście dobrego... A jakie mamy teraz piękne plany – westchnął. – Artystyczne. Naprawdę, niesamowite. Już omówiliśmy wszystko z Michaelą...

– Ona mówiła, on wzdychał – wtrącił usłużnie Matiel. Zanael pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Twoje docinki nie zmniejszają mojej wdzięczności – zadeklarował tymczasem Annael. – A jeśli chodzi o plany...

– Będzie się włożył po deszczu za anielicą...

– Zamilknij, Matielu, bardzo cię proszę. Nie tylko po deszczu. Będziemy również poszukiwać mgły, wiatru i pierwszych przymrozków. Atmosfery smutku i samotności – uśmiechnął się, uszczęśliwiony perspektywą tych poszukiwań w towarzystwie Michaeli. – Tworzymy cały projekt – dodał, żeby jego kumple nie mieli żadnych wątpliwości. – To będą całe tygodnie...

–... permanentnego przeziębienia.

– Matielu, przestań! Nalegam. To będą całe tygodnie twórczych poszukiwań, duchowych wzruszeń i artystycznych wzlotów... – Mówiąc to, Annael uniósł się aż pod sufit. Zanael i Matiel popatrzyli po sobie, kręcąc głowami.

Zabawnie było znaleźć się znów w szkolnej klasie. Zuzanna zwróciła na to uwagę już przy poprzednim spotkaniu, ale wtedy działało się zbyt wiele, żeby znaleźć chwilę na analizowanie podobnych odczuć. Teraz mogła rozejrzeć się po sali, usiąść na blacie ławki, pomachać nogami, przypominając sobie licealne czasy. A pierwszym wspomnieniem, które wyświetliło jej się w głowie, były szkolne zeszyty z dziesiątkami szkiców na marginesach i marzenie o artystycznych studiach. Nie była pewna, czemu zrezygnowała z tych planów, które w liceum wydawały jej się czymś tak pewnym, że już właściwie zrealizowanym. Może czasem trzeba było zawrócić ze swojej ścieżki, żeby znów ją odnaleźć po paru latach? I tak miała szczęście – pomyślała sobie. Mogła dokonać tego odkrycia na emeryturze i zająć się malowaniem garnków na zajęciach w klubie seniora, za jakieś czterdzieści lat od teraz.

– I kiedy ta wystawa? – zagadnęła ją Ania. Zuza udała, że się zastanawia, przeliczając na palcach.

– Sześć dni – oznajmiła. – A za pięć, o tej porze, będziemy dojeżdżać do Berlina. To ma być jakaś duża galeria. Będę do was dzwonić – zapewniła, zdając sobie nagle sprawę, że przez ostatnie tygodnie prawie zaniedbała swoje przyjaciółki. Podobnie było kiedyś, kiedy zaczęła się spotykać z Adamem. Też

zniknęła dla świata. Teraz miała wrażenie, jakby tamta historia rozgrywała się w poprzednim życiu.

– Super! – Matyllda uśmiechnęła się szeroko. – Może następną wystawę zrobicie bliżej? – zasugerowała. – Osobiście uwielbiam wernisaże. – Przerwała, zdając sobie sprawę, że ciotka Zuzanny od dłuższego czasu znacząco do nich macha. Najwyraźniej należało przenieść dalszy ciąg rozmowy na schody. I do domu Izabeli – już wcześniej umówiły się, że spędzą tam wieczór. Matyllda podejrzewała, że jeśli zaczną rozmawiać o życiu, a na to właśnie się zapowiadało, to będą musiały przenocować u gościnnej ciotki na poddaszu. Najpewniej, jak zawsze, dzieląc wielkie łóżko z kotami. I rzeczywiście, nie pomyliła się.

– Michał ma samochód, więc możemy zrobić bazę wypadową w Milanówku, a potem jeździć, gdzie dusza zapagnie. To znaczy, wszędzie tam, gdzie mogą być ciekawe plenery. – Rozciągnięta na dużym łóżku u Izabeli Anka głaskała Pieszczocha, który zdążył urosnąć od wakacji. Szary kot z zadowoleniem przewrócił się na plecy. Był już niezłe zaprzyjaźniony z Anką, w końcu dziewczyna zaglądała do domu ciotki Izabeli dość często. Jako dyrektor artystyczny fundacji miała już nawet własny kubeczek i szczoteczkę, na stałe stojące w łazience.

– Bazę wypadową u ciotki czy u Michała? – Matyllda nie byłaby sobą, gdyby nie zapytała. Ale jeśli liczyła na jakąś rewelację, to się pomyliła.

– Czemu u Michała? Ja będę mieszkać tutaj. – Anka wydawała się nawet trochę zdziwiona. – Ciotka Izabela ma zawsze wolny ten pokój na poddaszu. No, chyba że my tu jesteśmy. – Rzuciła ostrożne spojrzenie w stronę Zuzy. Zdążyła już trochę zapomnieć, że tylko jedna z nich jest tak naprawdę spokrewniona z ich „ciocią”. Ale Zuzanna nie miała nic przeciwko temu, że Izabela włączyła jej przyjaciółki do rodziny. Wprost przeciwnie. Miło było pomyśleć, że któregoś dnia, na przykład wracając z lekcji malarstwa u Tadeusza, będzie mogła wpaść do ciotki i zastać tam Anię, planującą dla „Szczęśliwego Mruczka” strategię na następne dziesięć lat albo coś podobnego.

– Cieszę się, że znowu tu jesteśmy, we trzy – westchnęła. – To tak, jakby wakacje wcale się nie skończyły.

– To mi się podoba! – zawtórowała jej Matyllda. – Chcę więcej wakacji!

– To niegłupie – szepnął do siebie Matiel. – Naprawdę, tak, to świetny pomysł! Skoro i Ania, i Zuzanna planowały jakieś wyjazdy, to dlaczego takie szczęście miałyby ominąć Matylldę?

## ROZDZIAŁ 56

– Wakacje? Po moim trupie – oznajmił Wonsael. Zmarszczył przy tym nos, zupełnie jakby Matiel podetknął mu coś nieświeżego. – I tak jesteśmy do tyłu z pracą! A ty chciałbyś, żebyśmy robili sobie wolne? Jeszcze bardziej wolne?

– Tak. – Matiel nie poddawał się łatwo. – Dla Matyldy i Wojciecha to byłaby wspaniała okazja, żeby bliżej się poznać i umocnić związek.

Wonsael aż jęknął, zasłaniając twarz skrzydłami.

– Po co go umacniać? I tak są nierozłączni.

– No – przyznał Matiel. – Widują się prawie codziennie, ale żeby byli nierozłączni, to...

– W duchowym sensie – przerwał mu anioł. – Gdyby myśli wytyczały ścieżki, to między tą dwójką biegłaby sześciopasmowa autostrada! Rozumiesz?

Matiel nie odpowiedział, tylko uradowany pokiwał głową.

– W takim razie – uznał – na pewno chętnie pojadą razem na wakacje.

Odpowiedziało mu stłumione westchnienie.

– Nie, nie, nie. I nie. I nawet o tym nie myśl. Po prostu nie.

Matiel znów otworzył usta, ale szybko je zamknął. Nie, ani to, że Zanael z Zuzanną jadą do Berlina, ani planowane wojaże Annaela i Anki, nie przekonają Wonsaela. Anioł nie chciał też negocjować dla Matyldy krótkiego wyjazdu na weekend. Już sobie wymarzył te wakacje i koniec. Już nawet wiedział, gdzie wyśle te zakochane duszyczki. Było takie miasto, o którym Matylda marzyła od lat. Nawet opisała je w swojej powieści, aktualnie zakopanej na dnie szuflady. Fatalnie, to prawda, ale jak inaczej można opisać coś, czego się nie doświadczyło?



A Matylda w owych odległych czasach, gdy pisała swoją powieść, nie miała pojęcia ani o miłości, ani o Paryżu. Skoro to pierwsze już się zmieniło, pora na to kolejne wielkie odkrycie. Życie – tak pomyślał – życie polega na odkrywaniu. Na olśnieniach. Zdał sobie sprawę, że Wonsael od dłuższego czasu przygląda mu się krytycznie, marszcząc brwi.

– Grosik za twoje myśli – powiedział.

Po nocy przegadanej z przyjaciółkami, Anka wróciła do domu wieczorem, głównie po to, żeby się wyspać i spakować większą ilość ubrań do torby. Nie sądziła, że uda jej się w tak krótkim czasie jeszcze bardziej zrujnować relacje z rodzicami. A jednak się udało. I znów przez Fryderyka.

– Coś czeka na ciebie w pokoju – powiedział Sławomir. Najwyraźniej było to ważne, bo nie czekał nawet, aż córka zdejmie kurtkę. Już z tonu głosu ojca, w którym uraza mieszała się z ostrożną nadzieją, Anka wywnioskowała, że czekająca na nią niespodzianka ma jakiś związek z nieszczęsnym absztyfikantem. W pierwszej chwili pomyślała nawet, że czekającą na nią niespodzianką jest sam Fryderyk, ale Sławomir wyraźnie mówił o czymś, nie o kimś. Otworzyła drzwi do pokoju, licząc na to, że rodzice nie oszaleli do reszty i nie znajdą tam ślubnej sukni albo weselnego tortu.

Na szczęście czekająca na nią niespodzianka była mniejszego kalibru. Na biurku stał gustowny storczyk, przewiązany wstążką, a obok leżały dwie koperty. Anka nie musiała zgadywać, domyśliła się od razu: Fryderyk zapraszał ją na randkę. Nawet nie miała ochoty się zastanawiać, dlaczego znowu robi to przez jej ojca, który zaglądał ciekawie znad ramienia Anki.

– Nie otworzysz? – zapytał. – To chyba zaproszenia...

Dziewczyna ostrożnie sięgnęła po kopertę, jakby brała pod uwagę, że w środku jest coś jadowitego. Sławomir nie pomylił się. Zresztą pewnie doskonale wiedział, gdzie postanowił zaprosić ją Fryderyk. Ania mogła mieć tylko nadzieję, że chociaż tym razem nie był pomysłodawcą.

– Filharmonia... W ten czwartek?

Pan Sławomir zadowolony skinął głową. Eleonora tymczasem wyszła z kuchni i stanęła za mężem. Starannie i nieco nerwowo wycierała ręce w kuchenną ścierkę.

– Fryderyk upewnił się, że nie masz żadnych innych zajęć – podkreślił Sławomir.

– Kiedy właśnie... – Anka przerwała na chwilę, czując, że cokolwiek powie, będzie to nieodwołalne. Ale nie mogła już dłużej tego ciągnąć. Jeszcze raz spojrzała na rodziców. Na pewno chcieli jak najlepiej, ale sądząc po ich minach, i oni przygotowywali się właśnie na nieprzyjemną wymianę zdań. Ance przemknęło przez głowę, że może byłoby prościej przeskoczyć tę scenę i po prostu

wymaszerować z mieszkania. Czują, że to i tak tym się skończy. Jeśli nie wybiegnie za chwilę, to wyjdzie rano, po kiepsko przespanej nocy.

– Nie wybiorę się do filharmonii – powiedziała.

– Może wcześniej tam nie chodziłaś, ale nie można bywać tylko w kinie... – zaczęła ostrożnie Eleonora.

– Nie pójdę z Fryderykiem – dodała bardziej zdecydowanie. – Poza tym nie mam wtedy czasu.

– Chyba nie zamierzasz znowu włączyć się z tym niedomytym fotografem? – Pan Nowicki przyjął bojową postawę. – Albo marnować czasu na charytatywną pracę dla kilku szalonych staruszek? – Może zresztą użył w tym miejscu mniej miłych słów, ale Anka i tak nie słyszała go dobrze, oszołomiona przez pierwsze pytanie.

– A dlaczego nie?! Michał jest artystą, dlaczego nie możecie tego zrozumieć? – wybuchnęła.

– Czy to takie dziwne, że chciałbym, aby moja córka prowadziła się z porządnymi chłopakami? – Sławomir poczerwieniał. – Jak to możliwe, że mając przed nosem kogoś wykształconego, inteligentnego, z perspektywami, ty decydujesz się na... na... – Zasapał się i przerwał, nie mogąc znaleźć wystarczająco obraźliwych słów, które oddałyby jego uczucia wobec niechlujnego i zupełnie niegodnego zaufania artysty. Eleonora położyła mu dłoń na ramieniu, próbując załagodzić sytuację.

– Poza tym Michał nie jest moim chłopakiem! – jęknęła Anka, mając nadzieję, że ten fakt chociaż trochę pocieszy jej ojca. – My tylko pracujemy razem. Chodzi o sztukę!

– Tak, oczywiście, że nie jest – prychnął Sławomir. – A od kiedy ty się interesujesz sztuką? Albo bezdomnymi kotkami, hę? Możesz oszukiwać innych, ale nie własnego ojca!

– A właśnie, że się interesuję! Zaczęło mnie to obchodzić. Poza tym... – Anka chciała powiedzieć o otrzymanej wczoraj umowie, ale ugryzła się w język. To nie był dobry moment na wspólne świętowanie jej sukcesu. Już lepiej, żeby rodzice na razie o niczym nie wiedzieli.

– Wyjeżdżam rano – oznajmiła, starając się nie patrzeć na mamę, która rzucała jej jeszcze błagalne spojrzenia. – Wracam za tydzień. I nie wybieram się do filharmonii.

Sławomir jeszcze raz otworzył usta, po czym, czując, jak palce żony nerwowo zaciskają mu się na ramieniu, zamknął je z powrotem.

– Zrobisz, jak sobie chcesz – powiedział, zamykając w tym krótkim zdaniu całą swoją złość i rozczarowanie. Po czym oboje z Eleonorą wymaszerowali z pokoju, pozostawiając córkę sam na sam z zaproszeniami i storczykiem.

Anka opadła na łóżko, nagle zupełnie pozbawiona sił. Spędziła całe wakacje

pod dachem Izabeli i, podobnie jak Matylda, czasem łapała się na tym, że mówi do starszej pani „ciociu”. Praca w fundacji mogła początkowo wydawać się czymś zabawnym, ale przerodziła się w całkiem poważną działalność i Anka miała poczucie, że robi coś pożytecznego, nawet jeśli ten pożytek sprowadza się do zapewnienia miłych comiesięcznych spotkań starszym paniom czy ciepłych kocyków dla kotów. To może było mało – ale i tak dużo więcej, niż mogłaby kiedykolwiek osiągnąć, pracując w reklamie, parząc kawę dla szefa czy przekładając papiery ze stosika na stosik. A projekt fotograficzny Michała... Anna po raz pierwszy czuła, że uczestniczy w tworzeniu sztuki. To prawda, jeszcze pół roku temu nie pomyślałaby, że zainteresuje ją chodzenie po deszczu i pozowanie do zdjęć, które być może zostaną zaprezentowane tylko na ścianie salonu u fotografa. Ale przecież można odkryć w życiu nowe fascynacje, można zmienić priorytety. Jej rodzice, z tym ich całym Fryderykiem, siedzieli w swoim sposobie myślenia jak w zamkniętym pokoju. Pieniądze, kariera, dobrze ustawione małżeństwo, poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji, jakiegoś prestiżu. Nawet jeśli Anka podskórnie czuła, że trochę przesadza, przypisując rodzicom aż taką małostkowość, to w tamtej chwili nie dopuszczała tej myśli do siebie. Była wściekła. Najbardziej gniewała się na Fryderyka, po części dlatego, że pozwalało to trochę odpuścić rodzicom. Rzuciła niechętnie spojrzenie stojącemu nieopodal storczykowi, ale wbrew sobie musiała przyznać, że roślina jest naprawdę ładna. Jedno musiała zresztą przyznać Fryderykowi, chociaż robiła to niechętnie – miał oko do kolorów. Bładoturkusowe koperty, w które zapakował zaproszenia, pięknie korespondowały z fioletowym kwiatem, przyozdobionym oryginalną, srebrną wstążką. Anka nie była pewna, czy sama wymyśliłaby podobne zestawienie. Wszyscy znani jej faceci kupowali po prostu czerwone róże. I tak dobrze, jeśli nie były przywiedle od całodziennego stania na słońcu. Westchnęła, żałując, że pod tak piękny kwiat nie był podczepiony lepszy mężczyzna. Z drugiego pokoju dobiegło ją stłumione trzaśnięcie drzwi – Sławomir wyraźnie też był zirytowany i dawał upust swoim uczuciom.

– Nie wiem, czy orientujesz się, po co właściwie ludzie wyjeżdżają na wakacje. – Matiel nie poddawał się łatwo. Udało mu się złapać Wonsaela, gdy ten wychodził wraz ze swoim podopiecznym z wieczornej mszy.

– Mógłbyś dać spokój przynajmniej w niedzielę – odparował niechętnie pełnomocnik Wojciecha do spraw duchowych. Z okazji pierwszego dnia tygodnia miał na sobie odprasowany garnitur, śnieżnobiałą koszulę i nowy krawat w szarobure paski. Przycesał też wąsy i czymś je nabłyszczyl, tak że połyskiwały w świetle mijanych latarni.

– Wakacje – kontynuował Matiel – pozwalają ludziom zregenerować siły. A czy wiesz, po co się je regeneruje? Otóż po to właśnie, by efektywniej

pracować! – wykrzyknął, zachwycony własną logiką. – Wakacje to taka niedziela... Właściwie, są tym dla całego roku, czym niedziela dla tygodnia...

– Ostatnio byłem zmuszony pracować w niedzielę, i to, niestety, ciężiej niż w tygodniu. – Wonsael rzucił Matielowi gniewne spojrzenie. – Byliśmy do tyłu z planem wydawniczym. A jeszcze rozpraszały nas te ciągle telefony... – Westchnął znacząco, dając do zrozumienia, kto tak wydzwaniał.

– Na wyjeździe nasi podopieczni mieliby w końcu czas się nagadać – podrzucił Matiel, ucieszony, że ma nowy argument, ale Wonsael tylko wzruszył ramionami, a właściwie poruszył lekko ramieniem, dając znać, że obchodzi go to tyle, co nic, i że szkoda mu nawet energii na okazanie tych uczuć. Matiel otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale żadna genialna myśl nie chciała go nawiedzić. Zatrzymał się, zdając sobie sprawę, że podopieczny Wonsaela już nie maszeruje, tylko utknął, wpatrzony w wystawę. Rzut oka na szyld upewnił Matiela, że stoją przed witryną jubilera. W niedzielny wieczór sklep był zamknięty i wystawa częściowo przesłonięta przez potężne żaluzje, ale w okienku z boku można było podziwiać wystawione obrączki. Wojtek patrzył się na nie jak sroka w gnat – a przynajmniej tak pomyślał sobie Wonsael.

– No i zobacz, co zrobiłeś! – jęknął, jakby naprawdę było to wszystko winą Matiela. A potem odwrócił wzrok, żeby nie widzieć, jak niefrasobliwy anioł uśmiecha się sam do siebie.

Na twarzy Wojciecha również malował się lekki uśmiech. Nie musiał się zastanawiać, bo już dawno zdecydował. Kiedy to było? Bardzo możliwe, że już pierwszego wieczora, po tym, jak uratował Matyldę przed ekspedientką w Cytrynce i siedzieli u niej na kanapie, oglądając filmy. Potem tylko umacniał się w tym pierwszym, intuicyjnym postanowieniu – do momentu, w którym rozdzielił ich spór o książkę. Ale o tym mężczyzna wolał już nie myśleć. Sam też się nie popisał – teraz to widział. Całe nieporozumienie można było rozwikłać w piętnaście minut, może w pół godziny, gdyby tylko potrafił we właściwym momencie porozmawiać z Matyldą, zamiast odwracać się i odchodzić, jak jakiś kretyn.

Oczywiście, to było ryzykowne, zdawał sobie z tego sprawę. Rozsądniej byłoby odczekać jeszcze kilka miesięcy, a może i te dwa lata, które Matyldzie zostały do ukończenia studiów... Jeśli z nich jeszcze nie zrezygnuje i nie rozpocznie od nowa na innym kierunku. Tak, deklarowanie poważnych zamiarów niosło ze sobą ryzyko. Ale kto wie, co przyniesie przyszłość? Czy nie rozdzieli ich kolejny niemądry spór albo przystojny kolega, który przysiądzie się do dziewczyny na zajęciach? Może Matylda za parę tygodni zacznie się z nim nudzić i postanowi poszukać kogoś innego? Mężczyzna westchnął, zdając sobie sprawę, że nawet zaręczyny mogą nie zapobiec czarnym scenariuszom, które przelatowały mu w tej chwili przed oczami. Ale przeniosłyby ich relację na inny poziom, byłyby

początkiem nowej wspólnej drogi. Musiał tylko zebrać się na odwagę. Może Matylda nie odmówi tak zupełnie, może usłyszy przynajmniej obiecujące „być może”...

– Bądźmy poważni – powtarzał od dłuższego czasu Wonsael, strosząc pióra tuż za plecami mężczyzny. Z niepokojem obserwował uczucia przemykające przez twarz Wojciecha. – Ona jest za młoda...

– Wcale nie jest za młoda! – wciął się Matiel z drugiej strony. – Niektóre z jej koleżanek już dawno są zamężne...

– Nie chodzi mi o metrykę... – Anioł odwrócił się, zirytowany. – Oczywiście, w jej wieku niektórzy prowadzą już dzieci do przedszkola, ale twoja podopieczna sama jest dziecinna...

– Ani trochę! – obruszył się Matiel, odsuwając od siebie obraz tych zeszytów z pieskami, które wybierali miesiąc temu, a które, nie wiedzieć czemu, właśnie stanęły mu przed oczami. – A nawet jeśli, to co z tego?

– No cóż, dla nas również nie nadszedł jeszcze czas na zakładanie rodziny... – odparł Wonsael. Z całych sił starał się podrzucić tę myśl Wojtkowi. – Może potem, jak wydawnictwo się trochę rozwinie, bo teraz jest trudny moment, musimy skoncentrować się na pracy...

– Pewnie, dobry czas na rodzinę będzie może na emeryturze! – prychnął drugi anioł.

– No właśnie, pomyśl – Wonsael znów nachylił się nad powierzoną mu duszą – kiedy ty będziesz już na emeryturze, Matylda będzie dopiero, hm...

– Dalej będzie piętnaście lat młodsza, no i co z tego? – burknął Matiel.

– Czy możesz mi nie przerywać i nie wcinać się w moje kompetencje? Czy ja konwersuję z twoją duszą? Jak myślisz, dlaczego każdy człowiek ma jednego anioła stróża? – Wonsael podkreślił mocno ostatnie słowa. Ale kiedy odwrócił się z powrotem w stronę swojego podopiecznego, Wojtek odchodził już od wystawy, z miną na wpół stanowczą, a na wpół rozmarzoną.

– No i co zrobiłeś? – westchnął wąsaty anioł, znów zrzucając wszystko na Matiela. Okazja, by przemówić Wojciechowi do rozsądku, właśnie bezpowrotnie przeminęła.

## ROZDZIAŁ 57

– Popatrz w moją stronę – poprosił Michał.

Ania odwróciła się lekko, spoglądając przez ramię. Stała na małym pomoście nad brzegiem jeziora. Było bardzo wczesnie i nad wodą unosiła się poranna mgła. Spoglądając na Michała, za sobą miała wodę i wschód słońca. Na razie nie udało mu się przebić przez chmury, więc docierała do nich tylko jasna, niemal nierealna poświata. Ania uniosła głowę, nasłuchując. Od czasu do czasu rozlegał się krótki trel jakiegoś ptaka, którego nie potrafiła zidentyfikować, poza tym nad jeziorem panowała cisza. Michał cofnął się jeszcze o parę kroków i przykląkł w mokrej trawie. Trzask migawki musiał spłoszyć, a przynajmniej zadziwić ptaka, ponieważ ten nagle zamilkł. Ania otuliła się szczelniej grubym szalem, ale i tak czuła ciągnący znad wody poranny chłód. Chwilami żałowała, że nie mogą zrealizować tej sesji, używając jako rekwizytów futrzanej czapy i grubych rękawic. Przez ostatnie dni ciągle byli w trasie. Ponieważ Izabela postanowiła wybrać się na wernisaż do Berlina razem z Zuzanną i malarzem, to Ance, jako dyrektorowi artystycznemu fundacji „Szczęśliwy Mruczek”, przypadła w udziale opieka nad kotami. A tym samym wszystkie noce, a zazwyczaj też kilka godzin w ciągu dnia, spędzała w dużym domu w Milanówku, który stał się jej bazą wypadową. Co rano, czasem jeszcze przed świtem, pospiesznie karmiła koty, pomijając własne śniadanie, i wybiegała z domu na spotkanie z Michałem. Godzinami jeździli po okolicy, szukając nastrojowych plenerów. Ania zdążyła przyzwyczaić się do tego, że towarzyszący jej artysta jest małomówny – o ile, oczywiście, nie rozmawiali o sztuce, bo wtedy potrafił gadać bez końca, zawieszając się tylko wtedy, gdy nie wiedział, jak wyrazić swoją myśl. Okazał się za to, o dziwo, wyjątkowo dobrym słuchaczem. Ponieważ nie zadawał wielu pytań, Anka sądziła, że nie słucha jej zwierzeń specjalnie uważnie, okazało się jednak, że miał zwyczaj zapamiętywać każdy szczegół.

Pierwszego dnia po wyjściu od rodziców była wściekła i musiała podzielić

się z kimś swoimi uczuciami. Michał niemal nie skomentował jej historii, nawet wątku z Fryderykiem, o którym dziewczyna opowiadała dość złośliwie, i dopiero wieczorem niespodziewanie wrócił do tematu. Siedzieli wtedy w innej knajpce i chłopak podsunął w stronę Anki jej własny telefon komórkowy, leżący dotychczas beczynnie na blacie. „Powinnaś zadzwonić do rodziców” – powiedział. I chociaż Anka uznała to początkowo za głupią radę, to jednak wybrała numer do domu i zdecydowanie nie żałowała tej krótkiej rozmowy. Od tego czasu rozmawiała jeszcze ze dwa razy z mamą, raz z ojcem, i pomimo wyraźnego ochłodzenia w ich relacji wyczuła, że ucieszyli się z tych telefonów, i ona też spała dużo spokojniej. Rodzicom chyba spodobało się, że nie przez cały czas są z Michałem w trasie – i że nie odjechali nie wiadomo gdzie.

– Co ty na to, żeby potem poszukać jakiegoś baru i kupić gorącą kawę? Albo grzane piwo? – Anka zdała sobie sprawę, jak bardzo zmarzła, dopiero gdy usłyszała to pytanie. Roześmiała się i w tej samej chwili migawka trzasnęła kilka razy.

– Za wcześnie na piwo – odparła. – Ale na kawę w sam raz.

– Możesz teraz zrobić smutną minę? Przez chwilę nie myśl o kawie.

Ania skinęła głową. Odetchnęła głębiej, wciągając w płuca chłodne jesienne powietrze i zapach jeziora. Próbowała wyobrazić sobie, że jest nad tym brzegiem całkiem sama. Może nawet sama na całym świecie. Utraciła coś bardzo cennego. Cokolwiek to było, przepadło w mętnej wodzie. Tak sobie myślała, a Michał szukał najlepszego ujęcia.

– Nie zmarzłaś? – zapytał w końcu, akurat wtedy, gdy dziewczyna sama zamierzała się poskarżyć na jesienny chłód. Podał Ani rękę, kiedy schodziła z pomostu. Potem zdarzyło się coś niespodziewanego. Trudno powiedzieć, czy Ania potknęła się lekko, czy chłopak pociągnął ją w swoją stronę, dość, że po chwili stali objęci na brzegu jeziora, oboje równie przejęci i niepewni, co dalej. Michał podniósł dłoń i lekko dotknął warg dziewczyny i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem jednak chłopak uśmiechnął się, jakby ta cała sytuacja miała być tylko żartem.

– Chodź, zanim się przeziębimy. – Pociągnął Anię za sobą w stronę samochodu, a dziewczyna ruszyła za nim bezwolna, czując, że wciąż galopuje jej serce. I nie miała pojęcia, czy czuje rozczarowanie, że romantyczny moment trwał tak krótko, jakby go nie było, czy ulgę, że uniknęli jakiegoś głupstwa, bo przecież, była tego pewna, nie zakochała się w tym fascynującym fotografie. Michał otworzył drzwi samochodu, starannie unikając wzroku dziewczyny. Kiedy dziesięć minut później wchodzili do przydrożnej restauracji, którą dopiero otwierano, Ania nadal miała na sobie długą białą suknię, w której pozowała na pomoście, a Michał plamy z trawy na wytartych dżinsach.

– Dwie duże kawy. I dwa razy jajecznicę – zamówił to samo, co zawsze. Rzucił Ance szybkie spojrzenie, upewniając się, że nie zmieniła zdania. Anka zmusiła się do uśmiechu, potwierdzając zarazem dwie rzeczy: że też ma ochotę na jajecznicę i że mogą uznać całą sytuację nad jeziorem za niebyłą.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wiedzieć o wakacjach. – Matiel kolejny raz zaczął ulubiony temat. Pochylony nad Bardzo Ważną Pracą Wonsael nawet nie podniósł głowy znad notatek. Siedzieli obaj w gabinecie Wojciecha, z tym że jeden przy biurku, a drugi na parapecie. Właściciel Książki i Myśli najprawdopodobniej dopiero był w drodze do pracy. Matiel przez dłuższą chwilę milczał, czekając na zachętę, jakieś chrząknięcie albo mruknięcie, które świadczyłoby o tym, że Wonsael go usłyszał. Po namyśle postanowił się jednak nie zrażać brakiem reakcji.

– Podróże kształcą! – wykrzyknął, zachwycony własnym odkryciem. Wonsael w końcu podniósł wzrok.

– Tak! – mówił dalej rozentuzjasmowany anioł – Wakacje to tylko z pozoru czas odpoczynku... Sam się zastanów: jak wielu ludzi wraca zmęczonych z wakacji? Bardzo wielu! – Wobec upartego milczenia Wonsaela sam sobie odpowiedział. – A dlaczego? Otóż dlatego, że zwiedzają, uczą się obcej kultury, języka, obyczajów... Poznają świat! Wyobraź sobie wspaniały, napięty program wycieczki... Powiedzmy: do Paryża! – dorzucił takim tonem, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Wonsael niemal niezauważalnie westchnął, po raz kolejny słysząc tę samą nazwę. Matiel jednak dopiero się rozkręcał.

– Nasi podopieczni wstają o świcie, jedzą zdrowe francuskie śniadanie, bagietki i rogaliki, piją kawkę, a potem ruszają w *tournée* po muzeach... Zwiedzają Luwr, oglądają greckie rzeźby, egipskie mumie, wspaniałe malarstwo renesansowe... Jakie bogactwo dla duszy! Następnie poszerzają horyzonty, odwiedzając Centrum Pompidou... Już z zewnątrz jest bardzo ciekawe! – Matiel bez wątpienia zdążył przeczytać jakiś przewodnik po mieście, bo raczej nie zaczerpnął tych informacji z zapomnianej powieści Matyldy. – A jak już jesteśmy przy poszerzaniu horyzontów, to na pewno warto zobaczyć też Musée du quai Branly: paryskie muzeum etnograficzne... Ale to nie koniec, ponieważ muszą jeszcze odwiedzić coś dużo ważniejszego... Kościoły! – wykrzyknął z niekłamany zachwytem. – Katedra Notre Dame, oczywiście, ile historii do poznania, jaki wspaniały szlif dla dobrego gustu...

– „Szlif dla dobrego gustu”? – powtórzył Wonsael dziwnym tonem, ni to pytającym, ni to zdziwionym, i zmarszczył nos, dając Matielowi do zrozumienia, że nie jest to poprawny związek frazeologiczny.

– Och, nieważne! – kontynuował niezrażony anioł. – A wieczorem, wyobraź sobie tylko, nasi najmilsi idą do jakiejś miłej knajpki, i co robią? Doskonałą język



francuski! A przed snem mogą przejrzeć notatki z całego dnia i powtórzyć sobie zapamiętane daty z historii Paryża, nazwiska malarzy i artystów...

– Notatki z całego dnia? – Wonsael po raz pierwszy nieco się rozchmurzył. Matiel postanowił kuć żelazo póki gorące.

– Oczywiście – zapewnił. – Po zaledwie kilku dniach zwiedzania będą mieli cały dziennik wypełniony wiedzą historyczną, podniosą poziom znajomości języka, a dzięki obcowaniu ze sztuką spojrzą na świat innymi oczami! – Powiedział to wszystko gładko, starając się brzmieć przekonująco. Najważniejsze, powtarzał sobie po cichu, to pojechać do tego Paryża. Potem będą już robić, co zechcą. Pójdą do zoo, zwiedzą wszystkie cukiernie, nawcinają się naleśników z czekoladą, poprawią to lodami i napstrykają mnóstwo zdjęć. Będą się włóczyć po mieście, a wieczorem skoczą na piwo. Byle tylko przekonać Wonsaela do wyjazdu. Chyba było blisko, bo anioł stróż wydawcy zamyślił się i przez jego surową twarz, gdzieś pomiędzy krzaczastymi brwiami a wąsem, przemknęło rozmarzenie.

– Niestety to niemożliwe – stwierdził nagle, otrząsając się z zamyślenia. Matiel, który po cichu już gratulował sobie wygranej, nagle oklapł, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

– Ale jak to? – wybąkał.

– Tak to, że mamy pilną pracę. – Wonsael powtórzył swoją ulubioną kwestię. – Może w przyszłym roku. A najlepiej tak za trzy, cztery lata – poprawił się. – W każdym razie, aktualnie żaden urlop nie mieści się w naszym grafiku.

Ania i Michał zdążyli tymczasem zamówić drugą kolejkę kawy. Była to decyzja uzasadniona, tym bardziej że bar najwyraźniej prowadził politykę oszczędności i pod etykietką „kawy” oferował wyjątkowo słaby napar o kawowym smaku. Szczęśliwie, ta polityka nie odnosiła się do zupełnie smacznej jajecznicy. Ania oparła łokieć na stole i odważyła się rzucić Michałowi ostrożne spojrzenie. Fotograf siedział pochylony nad laptopem i całkowicie pochłonięty przeglądaniem plonów porannej sesji. Dziewczyna przez chwilę studiowała jego rysy twarzy, poczochrane włosy i stukające w klawiaturę palce, w nadziei, że zrozumie coś więcej z tej sceny, która niby się wydarzyła, a niby nie wydarzyła. W końcu chłopak, czując wzrok Anki, podsunął komputer w jej stronę. Ania zaczęła powoli przeglądać galerię.

– Jesteśmy blisko, ale to jeszcze nie to – ocenił, patrząc nad jej ramieniem, znów zupełnie skoncentrowany na zdjęciach.

– To jest dobre, i to też. – Ania zatrzymała się przy paru fotografiach. Michał pokiwał głową.

– Nadadzą się – potwierdził. – Ale brakuje jakiegoś zbliżenia. Rozmyta postać we mgle jest świetna, ale, rozumiesz...

– Możemy jeszcze wrócić. Światło będzie dobre do portretu, może nawet

lepsze niż o świcie – oceniła Anka. Przez chwilę obawiała się, że ta uwaga mogła mieć dla chłopaka drugie dno, ale Michał tylko skinął głową.

– Znowu myślisz tak, jak ja – rzucił z podziwem, a potem wstał energicznie. Coś w jego postawie uświadomiło Ance, że przez resztę dnia zamierza już twardo odgrywać rolę jej najlepszego kumpla.

Zuza maszerowała wzdłuż ulicy, ściskając w ręku aparat fotograficzny. Wystawa była już właściwie gotowa, do uroczystego wernisażu zostało parę godzin, więc postanowiła wykorzystać ten czas na zwiedzanie. Przed wyjazdem zdążyła przeczytać od deski do deski przewodnik po Berlinie i miała swoją osobistą listę rzeczy, które koniecznie trzeba zobaczyć. Przede wszystkim muzea na wyspie, ale też Bramę Brandenburską, budynek Reichstagu, aleję Unter der Linden... W myślach zdążyła przemierzyć swoją trasę wycieczkową już kilka razy. I niestety – tylko w myślach. Szkoda, myślała, że przed wyjazdem nie przyszło jej do głowy uściślić z Tadeuszem, gdzie dokładnie odbędzie się wystawa. Mogła też zapytać o to ciotkę Izabelę, która niespodziewanie zadeklarowała, że chce pojechać razem z bratanicą. Może dowiedziałyby się wtedy, że galeria nie mieści się w Berlinie, ale pod Berlinem, i że zwiedzanie stolicy Niemiec ograniczy się do dworca, przez który zresztą przebiegli bardzo szybko, bo czekał już na nich busik przysłany przez galerię. Kierowca, wąsaty i stary Niemiec, wyraźnie dawał im do zrozumienia, że jego czas liczy się w euro, więc nie można marnować ani minuty. Przybyli na miejsce wczoraj po południu i przez cały wieczór krzatali się wokół wystawy. Akurat Zuza nie robiła zbyt wiele, ponieważ kurator, bliźniaczko podobny do kierowcy, miał własną wizję tego, co gdzie powiesić i ilekroć dziewczyna usiłowała się wtrącić, udawał, że nie rozumie jej wymowy. Swoją drogą, biorąc pod uwagę wyniesione ze szkoły średniej kompetencje językowe Zuzanny, być może nie było to wcale udawane.

Dziewczyna podniosła aparat, żeby sfotografować mijany zaułek. Nie był szczególnie interesujący, podobnie jak całe miasteczko – o ile potrafiła to ocenić po dwugodzinnym spacerze. Przez ten czas zwiedziła osiedle domków jednorodzinnych i stworzyła galerię zdjęć przedstawiających ogrodowe krasnale – przestała fotografować dopiero w momencie, w którym zdała sobie sprawę, że mieszkańcy osiedla przypatrują jej się z konsternacją. W centrum miasta zabudowa była bardziej zwarta. Mogła zobaczyć dwupiętrowe kamieniczki, sklepy, skwerek i wielki ośrodek sportowy. Na wszelki wypadek ominęła go bokiem, wsuwając aparat z powrotem do futerału. Nie dziwiła się już tak bardzo ciotce Izabeli i Tadeuszowi, którzy zrezygnowali ze zwiedzania, wymawiając się zmęczeniem podróżą. Gdzie jej Reichstag, gdzie Muzeum Pergamońskie? Za zakrętem ulicy odkryła budkę z bratwurstami i zamkniętą księgarnię i pomyślała, że chyba powinna już wracać do galerii.

– Zaraz zaczyna się wernisaż, chodź już wreszcie. – Zanael, zniecierpliwiony, przestępował z nogi na nogę. – Bo ja zaraz pójdę. Sam – zagroził. Izabel, z zapamiętaniem eksplorujący niemieckie ogródki, w końcu się zatrzymał.

– Ale nie widzieliśmy jeszcze wszystkiego! – zaprotestował. – O tam, zobacz! Te gipsowe bociany to chyba sprowadzają z Polski...

Zanael przewrócił oczami, wyrażając w ten sposób swój stosunek do gipsowych bocianów, a także krasnali, grzybków, flamingów, domków dla ptaszków i całej reszty ogrodowych ozdób, które tak zafascynowały Izabiela. Miał już powyżej uszu zwiedzania przedmieść i nie mógł się doczekać, żeby wrócić do Zuzanny, którą stracili z oczu jakiś czas temu. Nie mówiąc już o Izabeli – tej nie widzieli od rana. Izabelowi zdawało się to nie przeszkadzać, najwyraźniej uważał, że ciotka Zuzy wystarczająco dobrze czuwa sama nad sobą i jeśli o coś się martwił, to o koty pozostawione w kraju. Dobrze, że pod opieką Anki i Elechiela. Tymczasem chłodne popołudnie przeszło w jeszcze zimniejszy wieczór i chociaż w tym roku listopad był wyjątkowo ciepły – jak na listopad – to jednak nie można było nazwać panującej wokół aury przyjemną.

– Wernisaż – powtórzył Zanael z naciskiem. – Już się ściemnia, na pewno zaczęli bez nas.

– O nie, nie mogli zacząć bez nas!

– Mogli – zapewnił go Zanael. – A co gorsza, jak będziemy zwlekać, to zwiną wszystkie obrazy i nic nie zobaczysz – dodał, szturchając kupidyńka. Izabel westchnął, rzucając ostatnie tęskne spojrzenie gipsowym krasnalom. Zanael ruszył przed siebie, już się nie oglądając, świadom, że kupidynek podąża za nim, mamrocząc pod nosem. Gdy dotarli do galerii, nad której drzwiami wisiał zachęcający szyld z napisem *Bier und Wurst* – co, jak tłumaczył sobie Zanael, najpewniej znaczyło „Galeria sztuki” – było już zupełnie ciemno i rozświetlone jasno wewnątrz zapraszało, żeby wejść do środka. Wernisaż miał miejsce w niewielkiej sali, na tę okoliczność szczelnie wypełnionej ludźmi. Nie była to wielka i prestiżowa galeria sztuki w Berlinie, jak wyobrażała sobie Zuzanna, ale w zamian za to wewnątrz miało przytulny klimat, sprawiający, że wszyscy czuli się swobodnie. Po części była to zasługa belkowanych sufitów i grubych zasłon, po części krzesel i foteli od kompletu, ale chyba przede wszystkim – stojących we wszystkich kątach drewnianych krasnali, ku którym rzucił się zachwycony Izabel.

Najwyraźniej anielscy posłańcy spóźnili się na część oficjalną, ponieważ goście stali już w małych grupkach, uzbrojeni w kieliszki z winem. Zanael momentalnie wypatrzył swoją podopieczną. Zuzanna, ubrana w turkusową tunikę i czerwone botki, stała przy ścianie ze swoimi akwarelami, otoczona przez grupkę ludzi. Miłośników jej sztuki – jak błyskawicznie ocenił anioł. Za dziewczyną wisiły jego wszystkie ulubione obrazy. Widoki, malowane z okna pracowni

Tadeusza i na wakacyjnych plenerach, a także klimatyczne pejzaże, oddające nastrój i zmienne światło jesieni. Wśród nich zaplatała się nawet jedna akwarelka z kotem, wybrana przez krytyczną autorkę z jej pierwszych prac. Obok Zuzy stała rozanielona ciotka Izabela i dumnie wyprostowany Tadeusz. Malarz miał już okazję wystawiać swoje prace w wielu miejscach i przede wszystkim cieszył się z sukcesu swojej uczennicy, dla której był to pierwszy taki wieczór. Obok malarza stał Tadael w swoim nieodłącznym berecie. Anioł malarza wyglądał na zadowolonego i przyglądał się wywieszonym obrazom z miną znawcy, jakby widział je po raz pierwszy. Jednak osobą, która najbardziej przyciągała uwagę, był starszy mężczyzna w spodniach od garnituru i szarej kamizelce. Miał krótką, kozią bródkę i przetykane siwizną włosy, które unosiły się wokół czaszki jak naelektryzowane. Apaszka pod szyją wydawała się zawiązana niedbale, ale w sposób, którego nie dałoby się łatwo skopiować. Innymi słowy, jakby nie patrzeć, wyglądał na artystę, a przy tym na ważną szychę. Mówił coś, gestykulując energicznie i wskazując to na Zuzannę, to na jej obrazy, to znowu – na Tadeusza. Zuza, zawstydzona, że skupia na sobie całą uwagę, uśmiechała się i grzecznie kiwała głową, przytakując za każdym razem, gdy czuła na sobie wzrok mówcy. Obserwujący całą scenę z boku anioł szybko zdał sobie sprawę, że jego podopieczna niewiele rozumie z tej barwnej przemowy, wygłoszonej w języku Goethego. Jakie szczęście, że on sam, jako istota czysto duchowa, bezbłędnie odczytał intencje mężczyzny. Zanael bardzo szybko zorientował się, do czego zmierza ten monolog, i bardzo mocno zacisnął kciuki.

## **ROZDZIAŁ 58**

Niebo nad Warszawą się roz pogodziło, dzień był ciepły, a parkowe alejki niknęły pod dywanami złotych liści. Jesienne słońce działało na ludzi jak magnes, dlatego Wonsael tym bardziej się ucieszył, zastając Wojtka w gabinecie przy biurku. Jego podopieczny podparł głowę na ręce, drugą przekładając powoli leżące na blacie kartki. Na twarzy wydawcy widniała zaduma, której anioł dawno już nie widział. Co więcej, sięgnął właśnie po długopis – ten kupiony podczas pamiętnej wizyty w papierniczym, gdy wpadli na Matyldę – i zakreślił jakiś fragment tekstu. Wonsael uśmiechnął się szeroko i z przyjemnością zajął swoje miejsce tuż za prawym ramieniem mężczyzny. Z tej pozycji mógł wygodnie zaglądać mu przez ramię. Spojrzał na tekst, czytany z takim zapamiętaniem przez Wojtka. A potem zamrugał oczami, nie wierząc w to, co widzi.

– Paryż – powiedział w tej samej chwili Wojtek. Po czym pokręcił głową, zdając sobie sprawę, że mówi do siebie na głos. Zapisał jednak słowo „Paryż” na marginesie tekstu. Wonsael wodził wzrokiem po rozłożonych na stole kartkach, ale jeśli miał jakieś wątpliwości, to rozwał je widok nazwiska autorki na odłożonej na bok stronie tytułowej. Wojciech wczytywał się w powieść Matyldy. Musiał wyciągnąć ją z samego dna koszyka na odrzucone rękopisy... A może miał ten tekst przez cały czas przy sobie? Pytania przefruwały przez głowę anioła jedno za drugim, jakby same dostały skrzydeł. Wojciech zatrzymał ten tekst? Chyba nie po to, żeby napawać się jego wątpliwymi walorami artystycznymi? Anioł szybko znalazł odpowiedź w notatkach, którymi jego podopieczny opatrzył odłożone na bok kartki. Znalazł tam takie zwroty jak „wiara w przeznaczenie”, „miłość – jedna na całe życie”, „całkowite zaufanie” czy „tylko czerwone róże!”. A także dwa słowa, które nieomal przyprawiły go o palpitacje serca: „Paryż” i „oświadczyń”.

Anioł trafnie domyślał się intencji Wojtka. Jego podopieczny tym razem nie patrzył na powieść Matyldy oczami wydawcy. Najwyraźniej sięgnął po nią z nadzieją, że niespieszna lektura odsłoni przed nim marzenia dziewczyny, które – w co już nie wątpił – przeniosła na kartki opowieści o Emmanueli i... Ale skąd przyszedł mu do głowy podobny pomysł?

Tymczasem Wojtek, nieświadom, w jaką konsternację wprowadził swojego opiekuna, uśmiechał się pod nosem z rozczuleniem. Dziwił się sam sobie i nawet z pewną niechęcią wspominał, że kiedyś ta historia mogła go śmieszyć. Bez wątplenia Matylda nie wykazała się literackim talentem i leżący przed nim tekst nie powinien nigdy opuścić na dłużej koszyczka z niewydanymi rękopisami; ale można było odnaleźć w nim inne wartości. Wyjątkową wrażliwość, idealizm, przekonanie o istnieniu przeznaczenia, które na zawsze łączy ludzi... Matylda obdarzyła swoją

bohaterkę własnymi cechami i widzeniem świata. Znając autorkę, z linijek jej tekstu Wojciech potrafił teraz wyczytać zdolność do cierpliwego oczekiwania na prawdziwe uczucie, oddanie, pewną prostolinijność, która i jemu była nieobca, a w gruncie rzeczy świadczyła o czystości intencji. Wojciech uważał, że na świecie jest wystarczająco dużo kobiet szukających tylko korzyści, zainteresowanych społeczną pozycją, rozrywką albo zwyczajnie – pieniędzmi. Na tym tle Matylda jawiła mu się jak bohaterka baśni, przybyła z innego świata, w którym nie liczy się znalezienie „odpowiedniego” partnera i ustawienie w życiu, ale rzeczy tak piękne, jak porozumienie dusz czy też bezinteresowna miłość. W gruncie rzeczy poruszało go to tak mocno, ponieważ był pewien, że sam podziela przekonania Matyldy, nawet jeśli lepiej zdaje sobie sprawę, jak trudno w dorosłym życiu utrzymać takie nastawienie. Czytany przezeń tekst zawierał jednak także bardziej konkretne wskazówki i Wojtek był z siebie naprawdę zadowolony, że wpadł na pomysł, aby przestudiować powieść i pod tym kątem. O czym marzyła Matylda? Tutaj miał odpowiedź: o romantycznych spacerach po parku, niespodziewanie przyniesionych kwiatach, czułych listach, pisanych na papierze, a nie przesłanych SMS-em. Matylda wyobrażała sobie też wesele na dwieście osób, co mogło być finansowo trudne do zrealizowania... Ale ofiarowanie jej sznura pereł nie stanowiło już problemu. Wojtek oderwał wzrok od sceny nocy poślubnej, odnotowując na marginesie „płatki róż na jedwabnej pościeli” i „setki świeczek”. Ta noc pozostawała jeszcze w sferze odległych fantazji. Za to coraz realniejsze stawało się inne marzenie; na tyle realne, że powoli zaczynało przeistaczać się w plan. Przełożył kartki z powrotem, wracając do szczególnie ważnej sceny: były to oświadczyzny w Paryżu, gdy Manuel ofiarowuje Emmanueli pierścionek na szczycie wieży Eiffla.

– No coś ty, nie miałem z tym nic wspólnego! – zarzekł się Matiel, jednak podejrzenie unikał wzroku Wonsaela. – To chyba nic złego, że Wojtek sobie coś czyta, dawno nie zaglądał do powieści Matyldy... – dodał po chwili, tym tłumaczeniem mimowolnie przyznając się do winy. – Nie możemy mu przecież podsunąć jej pamiętnika, to byłoby nieeleganckie, a proza jest, tak jakby, przestrzenią, w której autor odsłania zakamarki swojej duszy...

– Zakamarki duszy – powtórzył Wonsael takim tonem, jakby Matiel wspomniął o czymś nieprzyzwoitym.

– Tak, tak – przytaknął drugi anioł. – To ważne, jak ludzie się kochają, żeby czytali nawzajem swoją prozę. Jak Wojciech coś napisze, rozumiesz, jakąś powieść, to Matylda na pewno ją uważnie przeczyta i dzięki temu lepiej się poznają.

Wonsael pokręcił głową, zbyt zrezygnowany, żeby powiedzieć, co myśli o tym absurdalnym pomysle, by wydawca napisał książkę. Od pisania byli pisarze.

Już nie mówiąc o tym, że akurat oni dwaj – wydawca i jego pełnomocnik do spraw duchowych – zwyczajnie nie mieli na to czasu.

– Wiesz, co teraz będzie? – powiedział zamiast tego. – No tak, jasne, że wiesz, przecież po to podsunąłeś mu tę lekturę. – Rzucił okiem na Matiela, ale zadowolony anioł zapomniał zaprzeczyć. Za bardzo był zaabsorbowany planowaniem wycieczki na wieżę Eiffla. Wojciech na pewno kupi wcześniej pierścionek, butelkę szampana i inne rzeczy, które Matylda opisała w swojej książce, ale i on, jako jej anioł stróż, powinien zadbać o oprawę uroczystości.

Pięćset kilometrów na zachód słońce grzało równie pięknie. Zuzanna siedziała na schodkach *Bier und Wurst*, ramię w ramię z Tadeuszem. Oboje trzymali kubki z aromatyczną kawą, a Zuza dodatkowo ścisnęła w palcach maślany rogalik. Ich obrazy, rozwieszane na ścianach, miały tu zostać jeszcze przez dwa tygodnie, ale oni po południu wracali już do Polski. Wczorajszy wernisaż okazał się, na miarę ich możliwości, gigantycznym sukcesem. Jeszcze przed końcem wieczoru udało się sprzedać kilka prac, a obrazy dziewczyny były równie rozchwytywane jak dzieła cieszącego się już renomą Tadeusza. Zuza zastanawiała się, jak wiele z jej obrazów znajdzie nowy dom za granicą. Z jednej strony ogromnie cieszyła się z tego powodzenia, a z drugiej miała ochotę oplakiwać każdy malunek, którego nigdy już nie zobaczy. Tadeusz wyjaśnił jej, że to zupełnie normalne.

– Zostawiasz coś z siebie, jakąś ważną część – powiedział. – Na tym polega sztuka. A przy okazji, myślałaś już o propozycji profesora Gerharda?

Zuzanna pokręciła głową. Doskonale pamiętała postawnego artystę, który najwyraźniej z uznaniem oglądał jej prace. Z tymi rozwianymi siwymi włosami i trójkątną bródką wyglądał jak szalony naukowiec z kreskówki. Ale tak naprawdę nie miała pojęcia, czy *Herr* Profesor coś jej zaproponował, czy tylko dawał entuzjastycznie odczuć, że podobają mu się obrazy.

– Stypendium w Berlinie to piękna sprawa – mówił dalej Tadeusz, mimowolnie odpowiadając na niezadane pytanie. – Oczywiście, profesor ma rację, powinnaś najpierw zacząć studia w naszym kraju, potem, na drugim albo trzecim roku, mogłabyś pojechać do Niemiec. Jestem pewien, że będziesz mogła się naprawdę wiele nauczyć... – Spojrzał na swoją podopieczną i przerwał wywód. Zuza patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Malarz w odpowiedzi zmarszczył brwi, ale po chwili jego twarz rozświetlił błysk zrozumienia.

– Och, i oczywiście będzie dobrze, jeśli podniesiesz trochę kompetencje językowe – dodał. – W przeciwnym wypadku możesz przegapić następną ważną propozycję zawodową.

Zuza zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę, że Tadeusz przejrzał jej ignorancję. Ale malarz zaczął się śmiać.

– Pięknie potakiwałaś przez cały czas, myślałem, że wszystko rozumiesz. *Herr* Profesor też dał się nabrać. – Otarł kąciki oczu. Mało brakowało, a popłakałby się ze śmiechu. – Ale, słuchaj, powinnaś poważnie rozważyć ten pomysł...

– Skoro już się zgodziłam, to chyba nie ma odwrotu. – Zuzanna sama była zaskoczona tym, jak szybko podjęła decyzję. I nagle poczuła, jak poszczególne fragmenty układanki wskakują na swoje miejsce. Rozpocznie studia w Warszawie, zrobi jakiś porządny kurs językowy, potem czeka ją stypendium w Berlinie. Będzie realizowała swoją pasję. Ścieżka, którą widziała przed sobą, może nie była łatwa, ale za to rysowała się wyraźnie, jak linia nakreślona grubym węglem. To niesamowite, jak bardzo czuła się sobą w tej chwili. Była zdecydowanie bardziej Zuzanną niż jeszcze kilka miesięcy temu. Tadeusz poklepał ją po ramieniu po czym, wyczuwając sytuację, zostawił dziewczynę samą na schodkach galerii wraz z jej nowymi uczuciami, maślanym rogalikiem i kawą. Zuzanna skierowała twarz w stronę słońca i zamknęła oczy, oddając się rozmyśleniom. Ale zamiast ubranych w słowa myśli, przez jej głowę przelatywały dziwne, nastrojowe krajobrazy, czekające, aż przeniesie je na płótno. Gdyby wyciągnęła w tej chwili rękę przed siebie, natrafiłaby prosto na skrzydła Zanaela, który przykucnął przed nią i wpatrywał się z satysfakcją w twarz dziewczyny. To się oczywiście nie zdarzyło, ale przez chwilę Zuza miała wrażenie, że wśród widzianych w wyobraźni pejzaży przechadza się wysmukła, uskrzydłona postać, na wpół tylko widzialna. Wizja była poruszająca. Tylko czy potrafiłaby to namalować?

Matiel pozostawił w końcu Wojciecha i Wonsaela samych sobie – jednego pochylonego nad powieścią Matyldy, drugiego nad jakąś *prawdziwą* książką – i wyfrunął z gabinetu. Szybował nad miastem, ciesząc się promieniami słońca i wiatrem w skrzydłach. Był niezmiernie zadowolony z siebie, chociaż zaczynał podejrzewać, że i bez jego podszeptów historia potoczyłaby się podobnie. Ale to prawda, trochę dopomógł szczęściu. Wystarczyło poczekać, aż Wonsael będzie zajęty dumaniem nad planem wydawniczym i cichutko podkraść się do Wojtka, który w tym samym czasie też dumał, tyle że o Matyldzie. Matiel trochę obawiał się przypominać mężczyźnie o książce, która w swoim czasie przysporzyła im tylu kłopotów, ale coś go tknęło i poczuł, że to dobry pomysł. Nie pomylił się. Wojtek zaczął kartkować wydruk, najpierw z roztargnieniem, a potem z coraz większą fascynacją, odnajdując w nim to wszystko, co anioł chciał mu podpowiedzieć. Nie tylko pomysł na wyjazd, na którym Matiel cały czas się koncentrował, ale nawet ważniejsze rzeczy duchowej natury, których autorce nie udało się do końca ośmieszyć nieudolną prozą. Matiel, który nie musiał wierzyć w przeznaczenie, bo wiedział, że istnieje i po trochu nawet orientował się, jak funkcjonuje, ogromnie się cieszył, że Wojtek i Matylda byli na najlepszej drodze, by nie zaprzepaścić swojej



szansy. To była ich droga i w końcu podążali nią zgodnie, razem.

## ROZDZIAŁ 59

Anka zorientowała się, że już jest czwartek, przypadkiem, podczas oglądania wieczornych wiadomości. Siedzieli razem z Michałem w domu ciotki Izabeli, otoczeni przez armię kotów, nakarmionych, rozleniwionych i zadowolonych z własnej miękkiej, kociej natury. Oboje mieli za sobą intensywny dzień, wypełniony twórczą pracą. Ponieważ deszcze ustąpiły miejsca sielankowej pogodzie, Michał wystąpił z pomysłem zorganizowania kolejnej sesji pod hasłem już nie nostalgii, lecz odwrotnie – radości życia. Rano buszowali z aparatem po Milanówku, wśród czerwonych i złocistych liści, a popołudnie spędzili, dyskutując nad efektami pracy i złożonością uczuć, które wywoływały w nich gotowe zdjęcia. Zgodzili się, że w tych najlepszych było też coś smutnego, jakiś znak przemijania, chociażby uschły konar, na którym pozowała Anka, butwiejące liście w rogu fotografii albo zamyślona mina i spojrzenie dziewczyny, skierowane gdzieś w dal. Tak więc, gdyby nie data, która pojawiła się u dołu ekranu telewizora wraz z wieczornymi wiadomościami, Ania na pewno nie przypomniałaby sobie o wycieczce z Fryderykiem do filharmonii, którą właśnie przegapiła. Zresztą – zgodnie z własnymi intencjami, dlatego nie poświęciła temu kolejnej myśli. Zuzanna powinna wrócić z Berlina lada chwila, a wraz z nią ciotka Izabela,

niebotycznie stęskniona za swoimi koteczkami. Jeśli Anka nie myliła się w wyliczeniach, to wycieczka miała już za sobą przesiadkę w Warszawie i ich pociąg powinien lada moment zajechać na stację.

– Jutro robimy przerwę – oznajmił w tej samej chwili Michał. Leżał na kanapie, z głową tuż obok nóg dziewczyny.

– Co będzie jutro?

– Praca. – Michał przewrócił oczami. – W końcu czymś muszę zarabiać na życie, a w gazecie zaczynają już się złościć.

Anka spojrzała na niego uważniej. Nie zdawała sobie sprawy, że artysta realizował ich projekt kosztem własnej pracy zawodowej. Ale Michał najwyraźniej nie zamierzał się na to żalić.

– Pod koniec miesiąca powinienem znowu urwać się z redakcyjnej smyczy – zapewnił ją.

– No cóż, ja pewnie jutro, najdalej pojutrze wrócę do Warszawy – powiedziała dziewczyna z ledwo dostrzegalnym westchnieniem. – Ciotka Izabela przejmie już swoje koty z powrotem. – Sięgnęła po pilota i ściszyła dźwięk. – Szkoda, że się rozstaniemy – powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć.

Michał natychmiast się poderwał i usiadł koło niej.

– Ja też żałuję – oznajmił krótko, po czym popatrzył na swoje dłonie. Cisza przedłużała się i tym razem była krępująca. Ania parę razy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale jedyne słowa, których była pewna, już padły. Cała reszta stanowiła galimatias mglistych uczuć, krążących wokół wspólnych wypraw, rozmów i jeziora, nad którym właściwie nic się nie zdarzyło.

Michał pierwszy postanowił się z nimi rozprawić.

– Musisz coś wiedzieć na mój temat – powiedział, biorąc dłonie Anki w swoje. – Nie planuję się z nikim wiązać, nie teraz. Jestem wolnym duchem, nie potrafiłbym się od nikogo uzależniać.

Wyglądało na to, że przygotował sobie to przemówienie już wcześniej. A może po prostu bardzo dobrze wiedział, kim jest i czego potrzebuje. Ania znów poczuła jednocześnie rozczarowanie, że nic się między nimi nie zdarzy, i ulgę – z tego samego powodu. To było dziwne połączenie, ale najwyraźniej pomiędzy nią a Michałem nic nie przebiegało w standardowy sposób.

– Mam nadzieję, że będziemy dalej pracować razem. – Chłopak odwrócił wzrok, dla odmiany zawstydzony. – Nie tylko ze względu na zdjęcia – dodał ciszej.

– Ja też nie chciałabym się z nikim teraz wiązać. – Anka bezwiednie powtórzyła jego wyznanie. Wcale nie była tego tak do końca pewna, ale co właściwie mogła powiedzieć? No i zaraz miała przyjechać Zuzanna z ciotką, przerywając ich poważną rozmowę. – Myślę, że możemy niczego nie zmieniać między nami – dodała.

– To super! – Michał niespodziewanie energicznie pocałował ją w policzek.

Chyba chciał coś jeszcze dodać, ale usłyszeli, jak pod dom Izabeli zajeżdża samochód. Chłopak natychmiast zerwał się z kanapy. Anka zmarszczyła brwi, niezadowolona, że rozmowa już dobiegła końca. Mimowolnie dotknęła dłonią policzka, po czym pobiegła otworzyć drzwi i bramę. Wychodząc z domu, odetchnęła głębiej świeżym powietrzem i nagle poczuła zaskoczeniem, że właściwie jest bardzo zadowolona z tej krótkiej wymiany zdań. Michał stał się dla niej kimś bliskim i ważnym, czuła się przy nim swobodna i szczęśliwa; ale nie wyobrażała sobie, jak chodzą wszędzie we dwoje, objęci jak Matylda z Wojtkiem, całują się przy każdej okazji i spotykają w niedzielę na rodzinnych obiadach... Chociaż na pewno milej byłoby mieć przy sobie Michała niż Fryderyka.

– Moja dusza bardzo szanuje twoją – powiedziała tymczasem Michaela. Kiedy tylko młodzi wstali z kanapy, oddalając się od siebie na bezpieczną odległość, anioły, obserwujące wcześniej całą scenę z przeciwnych kątów salonu, odetchnęły i znów stanęły obok siebie. Annael uniósł na anielicę pytający wzrok.

– Niektórzy artyści potrzebują samotności. – Michaela przybrała zadumany wyraz twarzy. – Michał nie może oglądać się na drugą osobę, nie może się angażować... Myślę, że nie został stworzony, by być połową większej całości.

Annael potrzebował chwili, żeby przetrwać te słowa. Po raz pierwszy nie był pewien, czy Michaela nie jest zbyt jednostronna w swoich zapatrywaniach. Przypomniał sobie różne krótkotrwałe relacje, w które Anka wplątywała się w ostatnich latach. O niektórych myślał z rozczuleniem, o innych ze zgrozą, niemniej dostrzegał też prawidłowość. Jego dusza nie była gotowa na prawdziwy związek, kierowała się ulotnymi emocjami i fascynacjami, a te zmieniały się u niej jak w kalejdoskopie. Przynajmniej do niedawna... Może Michał jest do niej podobny i jeszcze nie dorósł do tego, co ludzie nazywają „poważnym związkiem”? Jeśli tak, to dobrze, że był na tyle uczciwy, żeby nie wykorzystywać Ani. Szybko by się pokłócili i rozstali... A on, nagle zdał sobie z tego sprawę, pewnie już nigdy nie zobaczyłby Michaeli. Ale nie chciał urazić anielicy sugestią, że być może Michał kiedyś, niech będzie, że za wiele lat, być może z Anią, a może zupełnie z kimś innym, ale jednak odnajdzie się jako „połowa większej całości”. Dlatego nie przerywał, gdy Michaela rozwodziła się nad specyfiką duszy artysty, wyobcowaniem, osobnością i dyscypliną, którą musi narzucić sobie samotny adept sztuki fotograficznej.

Zuza zdążyła już poinformować przyjaciółkę telefonicznie o rozmiarach odniesionego sukcesu, więc Ania spodziewała się, że jej przyjaciółka wróci zadowolona z życia. Jednak dopiero widząc rozpromienioną dziewczynę, uświadomiła sobie, jak wielkie znaczenie ten pierwszy ważny wernisaż miał dla początkującej malarki. Zuzanna wysiadła z auta i przecięła ogrodową ścieżkę,

stąpając lekko, jak wielka gwiazda, która wróciła z zagranicznych wojaży. Na widok Ani i Michała zaczęła energicznie machać, a potem, co zupełnie nie było w jej stylu, rzuciła się obojgu na szyję. Tymczasem ciotka Izabela, z pomocą Tadeusza, wyciągała z bagażnika samochodu przerośniętego drewnianego krasnala, pomalowanego na kolory, które nawet w wieczornym półmroku wydawały się niedobre i jaskrawe. Krasnal miał na sobie typowy bawarski strój, czyli spodnie na szelkach, białe podkolanówki i czapkę z piórkiem. Gdy wynurzył się z bagażnika w całej swej krasie, okazało się, że dzierży również ogrodowe taczki. Te ostatnie zostały pomalowane na złoto.

– Naprawdę nie wiem, czemu go kupiłam – powtarzała ciotka Izabela. – Jest okropnie brzydki, prawda? I płaciłam za niego w euro. No coś mnie podkusiło... Naprawdę, chyba miałam jakieś zaćmienie. Już trudno. Będzie stał w ogrodzie. Do tych taczek to można kwiatków nasadzić, nie będą takie puste – dodała, nieświadoma, że taczki puste wcale nie są. Aktualnie zawierały przynajmniej jednego, niewielkich rozmiarów kupidyńka, strasznie zadowolonego ze swoich zagranicznych zakupów.

## **ROZDZIAŁ 60**

Wieczór, poświęcony żartom z krasnala, minął szybko. Michał pożegnał się z Anią zdawkowo i nie wyglądało na to, by mieli jeszcze wrócić do rozmowy

o uczuciach. Tymczasem Zuzanna opowiadała wylewnie o swoich planach. Ance udało się nakłonić przyjaciółkę, żeby następne przedpołudnie również spędziły w domu ciotki, ale potem naprawdę trzeba było wracać do Warszawy.

Siedząc w pociągu, Ania oparła głowę na ramieniu przyjaciółki i apatycznie zagapiła się na krajobraz za oknem. Wiedziała, co usłyszy po powrocie. Była pewna, że niewykorzystane zaproszenia do filharmonii nadal leżą na jej biurku, jako symbol odrzuconej szansy. Nad nimi zapewne, jak wyrzut sumienia, góruje zwiędły storczyk. Pomimo to wyciągnęła z torby telefon komórkowy i wybrała numer mamy. Eleonora odebrała od razu.

– O, jak to dobrze, że już wracasz! – Anię pozytywnie zaskoczył ton jej głosu. Czyżby krnąbrność, nieposłuszeństwo i brak życiowego rozsądku zostały już jej wybaczone? A może dobrym pomysłem był kilkudniowy wyjazd? Tak czy inaczej, mama wydawała się bardzo serdeczna i dziewczyna poweselała.

Jak się miało okazać, nie był to koniec niespodzianek. Godzinę później, ledwo Anka otworzyła drzwi mieszkania, na jej powitanie wyszedł Sławomir. Mężczyzna zamknął córkę w niedźwiedzim uścisku, jakby wróciła nie z kilkudniowego wypadu za miasto, ale z linii frontu. Eleonora stała obok, cierpliwie czekając na swoją kolej.

– Upiekłam ciasto – oznajmiła, gdy tylko córka, oswobodzona z uścisku ojca, mogła zwrócić na nią uwagę.

– I jak wasz projekt artystyczny? I gdzie jest Michał? – zapytał pan Nowicki, tonem, który już zupełnie zaskoczył dziewczynę. – Straszna szkoda, że nie zaprosiłaś chłopaka do nas.

– On nie jest moim chłopakiem – zaznaczyła Anka asekuracyjnie. Powitanie było zbyt ciepłe i zaczynała węszyć jakiś podstęp. Czy to możliwe, że te wszystkie zabiegi są tylko zasłoną dymną i za chwilę znów padnie jakaś nieoczekiwana propozycja matrymonialna? Może schowali Fryderyka w salonie? Musiała się mieć na baczności. Tymczasem rodzicom należało się parę słów wyjaśnienia.

– Właściwie to opiekowałam się kotami Izabeli. Z Michałem tylko wykorzystaliśmy okazję, żeby umówić się na kilka sesji zdjęciowych.

– Ho ho, chłopak ma pasję, nic tylko te zdjęcia! – Sławomir uśmiechnął się z uznaniem, jakby już nie pamiętał, co wcześniej mówił na temat młodego fotografa. Albo bardzo dobrze udawał, albo naprawdę zmienił o nim zdanie. W tym drugim przypadku prawdopodobnie był przekonany, że od początku uważał Michała za wartościowego chłopaka... Anka błyskawicznie analizowała tok myślenia własnego ojca. Jednego nie mogła zrozumieć: co skłoniło jej rodziców do nagłej zmiany poglądów? Tymczasem, jak się okazało, Eleonora przyrządziła dla wszystkich brokułową zupę i pieczonego sandacza z grzybami.

– Specjalnie na powrót mojej córeczki! – oznajmiła, jakby ktokolwiek mógł mieć jeszcze jakieś wątpliwości.

Wojtek czekał na Matyldę na małym skwerku pośrodku akademickiego kampusu. To było już ich stałe miejsce spotkań. Wciąż jeszcze było przyjemnie spędzić parę chwil na stojącej pod drzewami ławce, ale Wojtek podejrzewał, że to już ostatnie ciepłe dni. Może nawet ostatni ciepły dzień. I tak listopad w tym roku był wyjątkowo przyjazny, nie licząc może początku miesiąca, kiedy bez przerwy padało. Zbliżał się jednak czas niekończącej się sloty, szarego nieba, łysych, ponurych drzew i zniechęconych ludzi. Ale w tym roku, tak, Wojciech powtarzał to sobie raz po raz, w tym roku czekają ich popołudnia spędzone w Niezapominajce, gorąca czekolada i spacer pod wielkim parasolem. Mężczyzna spojrzął na zegarek – nie pozbył się zwyczaju noszenia go na ręce pomimo możliwości sprawdzenia godziny w telefonie – i znów skoncentrował myśli na pogodzie. Nie dało się już ukryć, i wcale tego przed sobą nie ukrywał, że stara się myśleć o czymś neutralnym, żeby nie denerwować się czekającą go rozmową. No bo tak: zaplanował wszystko bardzo pięknie, ale skąd wiadomo, że Matylda będzie chciała wyjechać na wakacje – i to w grudniu, bo wcześniej obowiązki na pewno nie pozwolą mu porzucić wydawnictwa? Co więcej, pilna studentka musiałaby opuścić kilka dni na uczelni. Było też całkiem możliwe, że nie spodoba jej się przygotowana przez Wojtkę propozycja. Może powinien zacząć od zapytania jej, czy i kiedy chce wyjechać, a dopiero potem poprowadzić rozmowę o tym, dokąd się wybiorą... Tymczasem bilety na samolot leżały już w jego torbie, przewiązane wstążeczką i zapakowane w niebieską kopertę, wziętą wprost z kart powieści: „...Emmanuela drżącymi dłońmi otworzyła niebieską kopertę. W środku znalazła bilety lotnicze...”. Naprawdę, chyba się pospieszył.

Anka nie zebrała się na odwagę, żeby wspomnieć o Fryderyku przy rodzinnym obiedzie ani nawet później, gdy – w znakomitych humorach – raczyli się ciastem. Znowu mogła swobodnie oddychać i nie musiała zastanawiać się nad każdym słowem. Jakby powietrze w mieszkaniu się zmieniło. I chwilowo wystarczyła jej świadomość, że w jakiś cudowny sposób sytuacja w domu wróciła do normy. Znowu cieszyła się pełną akceptacją, rodzice wypytywali ją o fotografie i o pracę w fundacji, nawet pośmiali się z faktu, że dyrektor artystyczny może się zajmować karmieniem kotów, ale bez prób umniejszania tego, czym się zajmowała. Sławomir ponowił sugestię, że Michał mógłby wpaść do nich na kolację, ale też nie upierał się przy tej propozycji. Zupełnie jakby pod nieobecność córki jej rodzice postanowili nigdy więcej do niczego jej nie zmuszać. Anka była bliska uznania tego za cud. Złożona sieć przyczyn stojących za dzisiejszym popołudniem zaczęła się ujawniać dopiero późnym wieczorem.

Ku swojej wielkiej uldze Anka odkryła, że w jej pokoju nie ma ani zaproszeń, ani storczyków, ani żadnych innych niespodzianek. Przez dobre pół

godziny rozpakowywała torbę, a potem zaczęła czytać książkę, ale nie mogła się skupić. Nawet ucieszyło ją delikatne stukanie we framugę. Eleonora jak zawsze nieco nieśmiało wsunęła się do pokoju córki i usiadły razem na łóżku.

– Wiesz, jeśli chodzi o Fryderyka... – urwała i spojrzała na córkę, jakby chcąc się upewnić, że Anka ma ochotę jej wysłuchać. Córka wydała z siebie zachęcające mruknięcie. Zagadka zaraz miała się rozwiązać.

– No więc Fryderyk zajrzał do nas przedwczoraj, żeby odebrać zaproszenia na koncert – wyjaśniła Eleonora. – To nie było zbyt uprzejme, ale w sumie zrozumiałe, skoro nie zadeklarowałaś się, czy idziesz... – dodała bez większego przekonania. Najwyraźniej jednak uważała zachowanie mężczyzny za małostkowe. – No, a dziś rano dowiedziałem się, że był w filharmonii. Teraz wszyscy o tym mówią – dorzuciła tonem wyjaśnienia. – To był, ten, no, *coming out*.

– *Coming out?* – powtórzyła Anka. Jej mama najwyraźniej użyła tego zwrotu bez zrozumienia, ale dziewczyna nie była pewna, czy jej wyjaśnić, że *coming out* nie oznacza wielkiego wyjścia, nawet jeśli jest to wizyta w filharmonii.

Pani Nowicka tymczasem westchnęła ciężko, jakby czekające ją zadanie było ponad siły.

– Fryderyk poszedł do filharmonii z kolegą – oznajmiła poważnym tonem po długiej chwili ciszy, dowodząc, że doskonale rozumie zwrot, którego przed chwilą użyła.

– To o niczym nie świadczy. – Anka uśmiechnęła się, nieco zażenowana. – My z dziewczynami ciągle gdzieś razem chodzimy...

– Potem przedstawił go rodzicom. – Eleonora kontynuowała swoją opowieść, nie zwracając uwagi na słowa córki. – Dziś rano Jeremiasz zadzwonił do twojego wujka, a twój wujek do ojca, bo uznali, że powinniśmy wiedzieć. Żeby nie robić ci dalszych nadziei na małżeństwo, w końcu sprawy tutaj zaszły dość daleko.

Anka była zbyt oniemiała, żeby po raz kolejny wyjaśniać, że nie wiązała żadnych nadziei z Fryderykiem i cały ich dobrze prosperujący związek istniał tylko w sferze marzeń jej rodziców.

– Bardzo mi przykro – powiedziała jeszcze Eleonora, zupełnie niepotrzebnie, po czym, tknięta jakimś impulsem, objęła córkę. Ania pokręciła głową, wciąż zszokowana. A więc to jednak był *coming out*. Próbowała to sobie wyobrazić. Fryderyk i tajemniczy *kolega*, obaj w garniturach, rozparci na fotelach i rozsmakowani w muzyce, która dla takich profanów jak ona była mało zrozumiała. Poszczególne elementy zagadkowej sytuacji układały się w całość. Pomyślała o wspaniale dobranym kolorze zaproszeń, o eleganckich, odprasowanych koszulkach i gustownych marynarkach. Czy Fryderyk nie miał zawsze doskonale ułożonych włosów? Dbał o siebie bardziej niż większość znanych jej dziewczyn i miał od nich lepszy gust. A kto jak kto, ale Ania potrafiła

to ocenić. Potem wróciła pamięcią do propozycji matrymonialnej, której nie poprzedziła ani jedna randka. Młody prawnik nigdy nie próbował jej dotknąć ani nawet na nią nie patrzył. Na całe szczęście! Za to wpatrywał się z oddaniem w jej ojca. I w gruncie rzeczy, Anka uświadomiła sobie to z pewnym niepokojem, Fryderyk mógł odwiedzać ich w dużej mierze dla miłych wieczorów u boku Sławomira. Podziw młodego chłopaka dla jej taty nabrał nagle innych barw.

– A tata? – zapytała ostrożnie.

Eleonora potwierdziła jej obawy.

– Bardzo to przeżył – powiedziała, ujmując w delikatne słowa tę burzę, która musiała się przetoczyć przez ich mieszkanie. – Ale cóż – dodała dyplomatycznie. – Każdy ma prawo do szczęścia. To chyba lepiej, że chłopak zdecydował się ujawnić teraz, prawda? Podobno Jeremiasz nie przyjął tego wcale tak źle, od dawna się domyślał.

– Wyjazd do Paryża? – Matylda otworzyła szeroko buzię. Wojciech pokiwał głową, wpatrując się w nią z napięciem. Znowu wszystko poszło nie tak. Zamierzał wręczyć dziewczynie bilety w kawiarni, w której nawet zarezerwował już stolik, ale okazało się, że Matylda planuje spędzić weekend u rodziców, których nie widywała zbyt często, i spiesz się na pociąg. Dlatego nadal stali na skwerku i, koniec końców, zamiast delikatnie wybadać grunt, po prostu wręczył jej przewiązany wstążeczką pakiecik.

– Pomyślałem, że moglibyśmy... To znaczy, jeśliś chciała... – Nie wypadło to najlepiej, zważywszy na to, że kupił już bilety. – Oczywiście oddam je, jeśli nie chcesz lecieć – zaznaczył. Matylda wciąż przyglądała się biletom bez jednego słowa. Potem zaczęła nawijać wstążkę na palec.

– Ja... Nie wiem, co powiedzieć. To było moje marzenie – oświadczyła w końcu, wyraźnie wzruszona, a Wojtek poczuł, jak kamień spada mu z serca. A więc jednak! Przez dłuższą chwilę stali, wpatrzeni w siebie i bezgranicznie szczęśliwi.

– Słuchaj – powiedziała Matylda, mając nadzieję, że nie zrujnuje tej chwili – a może pojedziesz ze mną, poznać rodziców? Skoro już wybieramy się do Paryża? – dodała, a Wojtek bez problemu dosłyszał ukryte w tym pytaniu drugie dno. Ich związek dojrzał do tego, by zacząć budować relację nie tylko z Matyldą, ale też z jej bliskimi. Mógł już kupować garnitur i wódkę na wesele.



## ROZDZIAŁ 61

Ania dawno nie czuła się tak dobrze we własnej skórze. Znów była ukochaną córeczką rodziców, jej decyzje cieszyły się powszechną akceptacją, a sukcesy były szeroko omawiane i nagłaśniane wśród dalszej rodziny i znajomych. Czuła nawet większą niż kiedykolwiek sympatię do młodego prawnika, który niechcący przyczynił się do takiego obrotu spraw. Uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że prawdopodobnie Fryderyk tak samo jak ona czuł się zależny od akceptacji rodziny. W przeciwnym wypadku zapewne nie próbowałby, wbrew sobie, angażować się w małżeństwo. Anka raczej nie dopuszczała do siebie myśli, że Fryderyka mogła napędzać tylko fascynacja jej ojcem i dlatego przyjął jego życzliwą sugestię stania się częścią rodziny. Swoją drogą, nie potrafiła zrozumieć, co takiego młody chłopak mógł zobaczyć w jej wąsatym, brzuchatym tacie. Sam Sławomir prawdopodobnie też nie mógł tego pojąć, ponieważ Ania zastała go kilka dni później przy lustrze, jak prężył dumnie pierś, oglądając swoje odbicie ze zmarszczoną brwią. Tak czy inaczej, nie spodziewała się, że kiedyś jeszcze zobaczy Fryderyka, chociaż miała szansę usłyszeć o nim z drugiej, a właściwie – z trzeciej ręki, ponieważ Eleonora zawzięcie omawiała ten temat z wujem Mirosławem, na wpół przerażona możliwą tragedią, którą sama mimowolnie próbowała sprowadzić na swoją jedyną córkę, na wpół podekscytowana melodramatycznością i egzotycznym wydźwiękiem całej historii. Próbowała to ukryć, powtarzając od czasu do czasu, jak typowe jest w obecnych czasach zainteresowanie tą samą płcią i mówiąc o Fryderyku w liczbie mnogiej: „Zawsze uważałam, że oni są bardzo wrażliwi” albo: „Kto jak kto, ale oni potrafią się zachować na rodzinnym obiedzie”. Anka nie była do końca pewna, czy jej mama nadal szczerze lubi Fryderyka, czy po prostu nie chce wyjść na zacofaną i dlatego

podkreśla tylko dobre cechy niedoszłego narzeczonego córki.

Tymczasem Matylda była szczęśliwa, co objawiało się gwałtownymi przejściami od euforii do paniki. Czasem tylko dawała sama sobie parę godzin oddechu, podczas których nie targały nią żadne gwałtowne emocje. Odkąd wyjechała z niebieskiej koperty bilety do Paryża, sytuacja zrobiła się naprawdę poważna i dziewczyna nie miała już wątpliwości, dokąd to wszystko zmierza. Oczywiście, nie licząc tych chwil, gdy właśnie dopadało ją zwątpienie. Wylizowała wtedy wszystkie symptomy, które mogły świadczyć o tym, że mężczyzna nie traktuje jej poważnie, wliczając w to nieodebrane telefony i sytuacje, gdy Wojtek nie domyślił się, o czym ona myśli. Zazwyczaj szybko uświadamiała sobie głupotę takich wylizanek, ale przecież na tym wymyślone kłopoty się nie kończyły. Bo przecież mężczyzna mógł traktować ją poważnie, ale nie *dość* poważnie. Czasem koncentrowała się też na własnych uczuciach, zastanawiając, czy jest gotowa na takie naprawdę poważne traktowanie. Potem uświadamiała sobie z ulgą, że oczywiście tak – i o niczym innym nie marzy tak bardzo, jak o poważnych deklaracjach. Ale, z drugiej strony, może własne uczucia, o umyśle już nie wspominając, sprzysięgły się, aby ją zwodzić? A gdy już udawało jej się przekonać samą siebie, że serce nie może się mylić, nie w tak oczywistych sprawach, to przychodziły jej do głowy czarne scenariusze, w których pomiędzy nich wkracza ktoś trzeci. Mało wiedziała o byłych dziewczynach Wojtka, ale podejrzewała, że istnieją i nadal chodzą po ziemi – i w takich chwilach grozy wydawało jej się to realnym zagrożeniem. Na szczęście szybko zdawała sobie sprawę z nikłego prawdopodobieństwa wymyślonych scenariuszy i po raz kolejny uznawała samą siebie za mało rozsądną, co któregoś dnia doprowadziło ją wręcz do płaczu: bo jak mogła skazywać Wojtka na związek z tak głupią kobietą? Jedynym plusem tej emocjonalnej burzy było to, że popołudniami znajdowała wytchnienie od samej siebie, angażując się w naukę, dzięki czemu jej oceny na studiach wyglądały w większości zaskakująco dobrze.

Samo przedstawienie ukochanego rodzicom również przysporzyło dziewczynie nerwów. Już w momencie, w którym Wojtek zgodził się na wizytę u państwa Konarzewskich, ich córkę dopadły wątpliwości, ale było za późno, żeby się wycofać. Powinna była – uświadomiła to sobie z przerażeniem – najpierw przygotować grunt pod rodzinne spotkanie. Co prawda, na wiosnę wspominała rodzicom, że się z kimś spotyka, a jesienią chyba napomnęła coś o tym, że jej uczucia znów są aktualne, ale na pewno nie poinformowała rodziny o tym, że jej wybrankiem jest piętnaście lat starszy właściciel wydawnictwa, do którego wysłała kiedyś swoją powieść i że związek jest bardzo poważny. Całe spotkanie mogło zakończyć się katastrofą i podczas gdy Wojtek biegał po dworcu, usiłując kupić zapasową koszulę i szczoteczkę do zębów na wyjazd, ona przeżywała kolejne

wymyślone scenariusze. W najgorszym z nich jej matka podpieraa się pod boki i mówiła coś w stylu: „on jest tylko osiem lat młodszy od twojego ojca!”, a ojciec robił groźną minę, oznajmiając, że ktoś z takimi wásami nie może stać się członkiem ich rodziny. W następnym scenie Matylda, zapłakana i nieszczęśliwa, odchodziła razem z Wojciechem, porzucając rodzinny dom, w nadziei, że jej rodzice kiedyś, może po latach, zrozumieją swój bład. Ta wizja miała w sobie pewien urok, więc kiedy Wojtek wrócił ze skompletowanym ekwipunkiem na podróż, zawierającym szczoteczkę do zębów, dezodorant, ubrania na zmianę i bombonierkę z czekoladkami dla jej rodziców, Matylda czuła się już dużo lepiej. I nawet, w ostatniej chwili, zdążyli na pociąg.

Państwo Konarzewscy zajmowali połowę bliźniaka na przedmieściach Łodzi. Obok pomalowanego na biało domu znajdował się mały ogródek – właściwie tylko kilka różnych krzewów, które latem ładnie kwitły. Pierwsze chwile rodzinnego spotkania po części potwierdziły obawy Matyldy. Gdy stanęli w drzwiach jej rodzinnego domu, zarówno Alicja, jak i Krzysztof powitali Wojtkę z uprzejmą powściągliwością. Później zdała sobie sprawę, że była ona uzasadniona: w końcu spodziewali się tylko swojej córki, a nie postawnego mężczyzny w garniturze. Oczywiście, mogła wcześniej zadzwonić, chociażby z pociągu, i poinformować rodziców, że przyjedzie w towarzystwie, ale nie miała pomysłu na to, co powiedzieć przez telefon. Bo czy miała od razu zaznaczyć, że Wojtek jest jej chłopakiem? Słowo „chłopak” brzmiało niepoważnie, jak określenie licealnej miłości, zwrot „mój mężczyzna” nie przeszedł by jej przez gardło w rozmowie z mamą, a „przyjacielem” nie mogła Wojciecha nazwać w żadnym przypadku. Poza tym, czy nie powinna ostrzec rodziców, że jej wybranek jest dużo starszy, żeby uniknąć niespodzianki? A może się nie zorientują? Skołowana, koniec końców nie wykonała żadnego telefonu, co tłumaczyło pewne zagubienie rodziców. Jednak pani Konarzewska stanęła na wysokości zadania, stawiając na stole dodatkowe nakrycie, a jej mąż dyskretnie wycofał się do sypialni, żeby zmienić niewyjściowe dżinsy i T-shirt na koszulę, korespondującą z garniturem gościa. W akcie męskiej solidarności pan Konarzewski dodał nawet krawat.

Kolacja upłynęła we w miarę miłym nastroju, w każdym razie Matylda musiała przyznać, że jej rodzice się starają. Mama pochwaliła Wojtkę za to, że „w tak młodym wieku” kieruje wydawnictwem, a jej tata próbował przypomnieć sobie, jakie publikacje Książki i Myśli ma w swojej biblioteczce. W miarę upływu czasu nieco wymuszona uprzejmość przeszła w zupełnie przyjacielską pogawędkę, anegdota goniła anegdotkę, Wojtek barwnie opowiadał o perypetiach wydawniczych, a rodzice Matyldy wyciągnęli parę zabawnych historyjek z czasów jej dzieciństwa, tylko trochę żenujących, jak przygoda z żabą. Matylda, która ostatnio rzadko widywała rodziców i czuła czasem, że egzystują w różnych

światach, złapała się na tym, że znów czuje się w domu zupełnie jak u siebie. Co więcej, wyglądało na to, że będzie z nimi spędzała teraz więcej czasu, ponieważ Wojtek zdążył już zadeklarować, że odwiedzą ich również w przyszły weekend, żeby pomóc w odmalowaniu kuchni, a Alicja zdążyła go zaprosić na ich tradycyjne listopadowe ciasto czekoladowe, które Matylda ostatni raz jadła chyba w liceum. Siedzieli razem do późna w nocy, potem jednak matka Matyldy zarządziła czas nocnego odpoczynku i po raz pierwszy dała wyraz swoim ultrakonserwatywnym poglądom, ścieląc Wojtkowi łóżko w sypialni, która była po przeciwnej stronie domu niż pokój Matyldy – i co więcej na innym piętrze. Układając się pod kołdrę, Matylda wciąż jeszcze snuła przemyślenia odnośnie rozkwitających rodzinnych więzi. Jej rodzice wyraźnie zaakceptowali Wojtka i, jak wydawało się dziewczynie, docenili jego mocne strony: był wydawcą, człowiekiem odpowiedzialnym i życiowym, najwyraźniej miał też dobry wpływ na Matyldę, skoro po raz pierwszy zapowiadało się, że skończy ten sam kierunek, który zaczęła studiować. Zасыpiając, miała poczucie, że doskonale rozgryzła tok myślenia rodziców.

Okazało się jednak, że nie doceniła ani Krzysztofa, ani Alicji, ale o tym miała się przekonać dopiero przed samym wyjazdem.

Wizyta u rodziców Matyldy była ważnym przeżyciem również dla rodzinnych aniołów. Matiel od początku bawił się znakomicie, kibicując kształtującym się więziom i klaszcząc w dłonie za każdym razem, gdy przy stole padał jakiś dobry żart. Szczególnie rozczuliła go stara historia o żabie. Dobrze ją pamiętał, ponieważ chodził wtedy krok w krok za pięcioletnią Matyldą, nie spuszczać jej z oczu nawet na chwilę. Nieco gorzej wyglądały sprawy z Wonsaelem, który, gwałtownie oderwany od pracy, czuł się jak wyciągnięta z wody ryba. Nie mógł wysiedzieć przy stole, chociaż Konarzewscy jakby specjalnie zostawili przy nim parę pustych krzeseł. Za to przez cały wieczór krążył po niewielkim domu. Przeglądał książki w biblioteczce, kartkował gazetę i ogólnie rzecz biorąc, nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Co prawda przywitał się grzecznie z opiekunami gospodarzy, Aljelem i Kristofelem, ale nie dał się wciągnąć w dłuższą rozmowę. Miało się też wrażenie, że po raz pierwszy źle się czuje w swoim białym garniturze, bo raz po raz próbował rozluźnić kołnierzyk. Nie rozchmurzył się nawet wtedy, gdy Kristofel, idąc w ślady swojego podopiecznego, postanowił się przebrać. W tym celu narzucił na białą szatę równie białą, wyjściową koszulę i nawet zapiął wszystkie guziki, ale odnosiło się wrażenie, że zagubiony Wonsael nie zauważył tego gestu. Wszystkim, którzy próbowali do niego zagadać, odpowiadał uprzejmie, ale krótko, i było jasne, że brakuje mu biurka i ważnych papierów. Dlatego Matiel nie zdziwił się za bardzo, gdy następnego dnia, w porze śniadania, zastał anioła przy kuchennym blacie, z piórem w dłoni. Zagadnięty, anioł długo się krygował, ale w końcu wyznał, nad czym

pracuje.

– To notatki do powieści – oznajmił Matielowi. – Nie będę przecież siedział beczynnie! – dodał kategorycznym tonem.

– Do powieści? – powtórzył Matiel, usiłując zapuścić żurawia w notatki kolegi, ale Wonsael zasłonił kartki łokciem.

Tymczasem pozostali domownicy cieszyli się swoim towarzystwem. Krzysztof oprowadził wszystkich po rodzinnym mieście, a potem, z racji na podłą pogodę, cała wycieczka zaszła się w kinie i to na dwa seanse. Wieczorem Alicja wyciągnęła z półki album ze zdjęciami i odnalazła w nim fotografie z Paryża. Matylda, która zdążyła zapomnieć, że jej rodzice spędzili którąś z kolei rocznicę ślubu we Francji, uznała to niemal za znak, natomiast Matiel wykorzystał moment nieuwagi Wonsaela, aby rzucić okiem na jego ważne notatki. W ten sposób, ku swojemu największemu zdziwieniu, odkrył, że ma przed sobą szkic powieści, która zapowiada się na romans. Naszkicowane przez Wonsaela sylwetki bohaterów do złudzenia przypominały Wojciecha i Matyldę, a pierwsze strony były bardzo szczegółowym opisem rodzinnej kolacji, w stylu nieomal Proustowskim. Skrupulatny anioł opisał solidny drewniany stół, porcelanową zastawę, podane po kolei dania, kolor tapet i fakturę dywanu. Opisawszy rozkład wszystkich pomieszczeń w domu, widok z okien i, chociaż pokrótce, geografię Łodzi, w końcu skoncentrował się na ludziach, poświęcając kolejne linijki na opis sylwetki i stroju Alicji, występującej pod powieściowym imieniem „Weroniki”, jej męża, „Bogumiła”, a w końcu głównych bohaterów: „Magdaleny” i „Bogusława”. Na szczęście przy stole zabrakło miejsca dla kolejnego męskiego bohatera, ponieważ na pewno zostałby „Bożydarem”. Dziesięć stron dalej najwyraźniej zaczynał się dialog, ale tak daleko Matiel nie dotarł, przepłoszony powrotem autora. Jedynym wnioskiem, który wyciągnął z tej lektury, było poczucie, że Wonsaelowi naprawdę dobrze zrobi powrót do regularnej pracy w wydawnictwie.

Matylda i Wojtek wyruszyli w stronę dworca zaraz po niedzielnej mszy, w której mieli okazję uczestniczyć, siedząc w drugiej ławce, tradycyjnie zajmowanej przez rodziców dziewczyny. W związku z tym Matylda miała wrażenie, że każde słowo proboszcza skierowane jest prosto do niej, szczególnie życzliwa zachęta do pielęgnowania rodzinnych więzi. Ale z tego dnia najmocniej utkwіło jej w pamięci coś, co powiedziała jej mama. Tuż po wyjściu z kościoła, Alicja wykorzystała okazję, żeby wziąć córkę na bok i zapewnić, że oboje z ojcem polubili Wojtka. „Jeszcze mało go znamy, ale czuję, że to dobry człowiek” – tak właśnie powiedziała, i Matylda, idąc w stronę stacji kolejowej, raz po raz przypominała sobie te słowa, za każdym razem z pewnym zawstydzeniem. A ona myślała, że sympatia rodziny ma związek z pracą Wojtka, jego sukcesami albo, co

również przemknęło jej przez głowę, niezłymi zarobkami... No cóż, możliwe, że to również miało jakieś znaczenie, ale jej mama wypunktowała rzecz najważniejszą, udowadniając, że Matyllda nie jest jedyną romantyczną idealistką w tej rodzinie. Dziewczyna miała wrażenie, że te słowa przywołują jakieś niezbyt odległe wspomnienie. Ktoś wypowiedział przy niej to samo zdanie, a może trochę inne słowa padły w podobnym kontekście? Wspomnienie wróciło do niej w tej samej chwili, w której Wojtek podał jej ramię przy wsiadaniu do pociągu. To Helenka, przyjaciółka ciotki Izabeli, mówiła tak o swoim nieżyjącym już mężu... Matyllda próbowała przypomnieć sobie szczegóły tamtej rozmowy, ale w jej pamięci wracało głównie upalne lato, ukwiecony ogród i stado kotów, wylegujących się na wszystkich meblach. No trudno, zapamiętała tylko to jedno zdanie, więc widocznie było najważniejsze.

– Ale naprawdę wyciągnęłaś tę żabę z kałuży i pocałowałaś? – zapytał Wojtek, wrywając ją z zamyślenia. – I płakałaś, kiedy nie zmieniła się w księżyc?

– Daj już spokój – burknęła dziewczyna. – Miałam pięć lat. I to wcale nie było śmieszne – dodała. – Długo jeszcze będziesz się z tego nabijał?

– Całe życie – zaoferował bez zastanowienia, po czym, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo, natychmiast zagapił się za okno, podczas gdy Matyllda zaczęła udawać, że gorączkowo szuka czegoś w torebce. Pociąg ruszył ze stacji, wioząc ich w stronę Warszawy.

## **ROZDZIAŁ 62**

„Spotkanie u mnie, w sobotę?” – Zuzanna niemal podskoczyła, odczytując SMS od Matyldy.

Przez ostatnie tygodnie przyjaciółki niemal nie miały czasu na spotkania, a już na pewno nie we trójkę. Tymczasem listopadowa plucha, która nastąpiła po pierwszych ciepłych dniach miesiąca, przeszła w prawdziwie grudniowe mrozy. Znow wszyscy wzruszyli się, kiedy spadł pierwszy śnieg, i znow trzeba było wyciągnąć z pawlacza i z dna szafy najcieplejsze ubrania. Zuza, omotana szczelnie w płaszcz i bardzo długi szalik, wychodziła rano, gdy jeszcze było ciemno, zmierzając na zajęcia plastyczne. Udało jej się dostać na kurs, organizowany przez akademię, na której miała nadzieję studiować w przyszłym roku... Zanim zrealizuje marzenie o wyjeździe do Berlina. W wolne dni, dopóki było dość jasno, ustawiała sztalugi przy oknie i malowała ośnieżone podwórze albo mozaiki złożone z łysych gałęzi drzew, chmur i światła. Niektóre z tych kompozycji przywoływały skojarzenia z kościelnymi witrażami, czasem artystka dodawała też ledwo widoczne, uskrzydłone postacie, które ożywiały zimowe krajobrazy. Rodzicom Zuzy, którzy zaglądali do jej „pracowni”, często trudno było uwierzyć, że zwyczajne blokowisko mogło się na tych obrazach tak przeistoczyć. Tadeusz, którego odwiedzała przynajmniej raz w tygodniu, z powagą kiwał głową nad tymi nowymi pomysłami, dostrzegając postępy uczennicy. Tymczasem gorąca herbata, którą Zuzanna stawiała na okiennym parapecie, bardzo szybko stygła i szybko nadchodziły też wieczory, kiedyienne światło znikowało, a wraz z nim możliwość pracy nad kolorystyką powstających arcydzieł. Żeby nie marnować drugiej połowy dnia, dziewczyna brała się za lekturę, wertując podręczniki malarskie, a czasem, zmęczona tym wszystkim, wychodziła na miasto. Najczęściej jednak zwijała się na kanapie w salonie, w towarzystwie psa, i bez większego zainteresowania śledziła kątem oka, co dzieje się w telewizorze, niespiesznie dumając nad życiem i sztuką. I tak nie miała szans skoncentrować się na żadnym programie, ponieważ jej tata miał zwyczaj skakać z kanału na kanał, żeby orientować się we wszystkim naraz; a w najlepszym razie śledził akcję trzech czy czterech filmów równoległe z jakimiś wiadomościami. I gdyby chodziło tylko o Zużę, to naprawdę mogłaby widywać się z Anką i Matyldą częściej, ta pierwsza jednak spędzała podejrzanie dużo czasu z fotografem, realizując kolejne projekty zdjęciowe, natomiast Matylda była całkowicie zaabsorbowana Wojciechem i Zuza wiedziała z własnego doświadczenia, że minie trochę czasu, zanim szczęśliwie zakochana dziewczyna przypomni sobie o dawnych znajomych. Chociaż nie można było powiedzieć, że Matylda zapomniała o nich całkowicie: regularnie przysyłała wiadomości i MMS-y z romantycznymi zdjęciami. Zużę nieodmiennie bawiła mina Wojtka, uchwyconego na tych zdjęciach. Za każdym razem wyrażała uprzejmą rezygnację,

świadcząca o tym, że mężczyzna nie chce sprawić zawodu swojej ukochanej, jednakże zupełnie nie pojmuje, po co jej taka ilość wspólnych fotografii. Ciekawe, czy wiedział, że Matylda dzieli się kolejnymi ujęciami na facebooku, opatrując je radosnymi komentarzami. Zuza ani przez chwilę nie wątpiła, że duża część sobotniego spotkania upłynie pod znakiem omówienia uczuć Matyldy. O ile dobrze pamiętała, to za jakieś dwa tygodnie zakochani lecieli do Paryża – akurat przed świętami Bożego Narodzenia.

Dla aniołów to również była pierwsza od paru tygodni okazja do dłuższego spotkania. Matiel był ostatnio bardzo zajęty rozwijającą się relacją swojej podopiecznej, a w weekendy często bywał za miastem, ponieważ Wojtek zaskakująco szybko zaprzyjaźnił się z rodzicami dziewczyny. Anioł starał się również ocieplić swoją relację z Wonsaelem – zapowiadało się przecież, że będą teraz najbliższymi znajomymi. Szło mu jednak jak po grudzie.

Zanael tymczasem zupełnie się zatracił w pozowaniu do obrazów i zazwyczaj można go było zastać przed oknem Zuzanny, jak kołysał się wraz z grudniowym wiatrem na czubku topoli albo fruwał to tu, to tam, ustawiając się raz lewym, a raz prawym profilem. Niewidzialność nieco utrudniała pozowanie, ale szczęśliwie Zuza, obdarzona artystyczną wrażliwością, potrafiła, na wpuł intuicyjnie, przenieść jego wizerunek na swoje płótna. A przynajmniej kilkoma pociągnięciami farby zaznaczyć obecność jakiegoś pierwiątka świetlistego i duchowego. Czasem nawet pierzastego.

O Annaelu nawet nie było co mówić, ponieważ zajęty był łażeniem krok w krok za Michaelą i oczywiście chętnie widywał przyjaciół, ale pod warunkiem że godzili się wędrować razem z nim i z jego podopiecznymi w poszukiwaniu nastrojowych plenerów do fotografii. Podczas tych sesji tak naprawdę jednak niewiele się działo, zmieniał się głównie krajobraz, z dnia na dzień coraz bardziej zimowy. Ostatnio były to opuszczone zabudowania fabryczne, tonące w świeżym śniegu, a cała sesja zaczęła się o szóstej rano, wraz ze wschodem słońca, które odbijało się w piórach Michaeli, rozświetlając je całym spektrum niezwykłych odcieni, od lekkich różów po głębokie karmazyny. Trudno się dziwić, że Annael był naprawdę bardzo zajęty, a w każdym razie – bardzo zagapiony.

Przed przyjściem gości Matylda uprzątnęła stos ubrań z kanapy i poskładała walające się wszędzie książki, przy okazji odkrywając zagubione notatki z kulturoznawstwa. Miała nawet zamiar coś ugotować, ale jak zwykle w końcu zdała się na pomoc Olgi. Współlokatorka, która potrafiła upichcić coś bardziej skomplikowanego od jajecznicy i nie przypalić przy tym patelni, była bez wątplenia darem od niebios. Dzięki temu Anię i Zuzannę przywitał widok apetycznej warzywnej tarty.



– Od razu widać, że to nie ty piekłaś. – Anka uśmiechnęła się czarująco i pocałowała przyjaciółkę w oba policzki. – Uprzedzałaś już Wojtka, że będzie musiał przestawić się na dania z torebki, jeśli kiedykolwiek razem zamieszkacie?

– On już jest przestawiony na torebki. – Matylda przewróciła oczami. – I nawet sam je sobie zalewa wrzątkiem.

– Nie każdy ma tyle szczęścia co Marek. – Zuzanna rzuciła znaczące spojrzenie Oldze. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czy współlokatorka Matyldy nadal spotyka się z tym samym Markiem, co parę miesięcy temu. Jednak ku jej uldze Olga odwzajemniła uśmiech.

– Marek nie narzeka – zapewniła.

– A tobie co chodzi po głowie? – Godzinę później, kiedy po tarcie nie zostały nawet okruszki, a cztery dziewczyny plotkowały w najlepsze, Matiel poczuł, że nie może już dłużej ignorować dziwnego zachowania Zanaela. Od początku spotkania anioł snuł się po pokoju, przysłuchując rozmowie i od czasu do czasu poszturchiwał Zuzannę skrzydłem, udając, że wcale tego nie robi. Chwilami, kiedy rozmowa schodziła na twórczość jego podopiecznej, rozpromieniał się, po czym przygasał jeszcze pręcej, gdy Matylda znów zaczynała mówić o Paryżu albo Anka wtrącała coś o sesjach zdjęciowych. Parę razy coś mu się chyba pomyliło, bo zamiast Zuzę, szturchał Olgaela, stojącego grzecznie pod ścianą, albo wręcz samą Olgę. Ta ostatnia chyba nawet zbierała się, żeby coś wtrącić, ale naprawdę trudno było przerwać monolog rozentuzjasmowanej gospodyni.

– To naprawdę było moje marzenie, ten Paryż! – powtórzyła któryś już raz. – I to od lat, pamiętam, że jak jeszcze próbowałam napisać książkę, to oczywiście najważniejsze sceny musiały mieć miejsce w Paryżu, zwłaszcza zaręczyny na wieży Eiffla...

– O, też pamiętam – wtrąciła Anka neutralnym tonem, z którego na szczęście nie dało się nic wyczytać.

– No właśnie! To pamiętasz też szampan, pierścionek z diamentem, orkiestrę, to całe tło, które stworzyłam do sceny zaręczyn... Ale najważniejszy był Paryż, podobno z wieży widać całe miasto... Absolutnie wszystko...

– Poza wieżą – wtrąciła Olga. Zanael syknął cicho, jakby oczekiwał, że dziewczyna powie coś innego. Tymczasem dziewczyny chichotały, przypominając sobie opisaną ongiś przez Matyldę scenę.

– I dlatego, kiedy Wojtek wyciągnął bilety do Paryża, właśnie do Paryża, to nie mogłam uwierzyć! Tak jakby spełnił się mój sen... Staliśmy na dziedzińcu uniwersytetu, już było chłodno, zapadał zmrok, listopadowe popołudnie, wiecie, te wszystkie brązowe liście pod nogami, ludzie przemykają szybko, żeby jak najszybciej pochować się po domach, a on wyciąga w moją stronę kopertę, w pierwszej chwili nie wiem, co to jest... Dopóki nie zobaczyłam biletów na

samolot! Taką scenę mogłabym sama napisać! Chociaż oczywiście tego nie zrobię – zarzekła się szybko.

– To mogłoby być lepsze niż Emmanuela i Manueli– wtrąciła Zuza trochę bezrefleksyjnie. Po czym, żeby przez przypadek nie zachęcić Matyldy do napisania nowej książki – co mogłoby przysporzyć bólu głowy Wojtkowi – szybko zmieniła temat:

– Szykuję teczkę malarską – oznajmiła. – Okazało się, że trzeba mieć całe stosy obrazów, żeby w ogóle zdawać na akademię.

– Czyli już trzeba być malarzem? – uściśliła Olga.

– Tylko w pewnym sensie. Oni traktują te wszystkie prace jako wprawki.

– Twoje obrazy nie są wprawkami! – zaprotestowała natychmiast Matylda, nieco rozczarowana, że nie rozmawiają już o Paryżu.

– Ha, mam nadzieję! – Zuza się uśmiechnęła, po czym drgnęła, szturchnięta skrzydłem w plecy. Matiel posłał Zanaelowi długie spojrzenie, ale anioł nic sobie z tego nie robił. Nachylił się za to do ucha Zuzy i coś jej szepnął. A nie doczekawszy się reakcji, przeszedł na drugą stronę stołu, do Olgi. Ta okazała się, o dziwo, bardziej podatna na anielskie szturchanki.

– I jakie masz plany? – zapytała. – Poza zdawaniem na malarstwo?

– Och, no właśnie – zafrasowała się artystka. – Trochę się tym martwię. W zasadzie moi rodzice bardzo wspierają ten plan i niczego mi nie żałują, ale trochę głupio zaczynać teraz kolejne studia i prosić ich o kieszonkowe na farby. Pewnie byłabym już, tak życiowo, w innym miejscu, gdyby nie to, że przez kilka lat moje plany ograniczały się do tego, żeby skończyć polonistykę i bogato wyjść za mąż – dodała samokrytycznie.

– Planowałaś wyjść za mąż za Adama. To, że był bogaty, to przypadek – sprostowała życzliwie Olga.

– Tak czy inaczej, malowanie kosztuje. – Zuza wzruszyła ramionami. – Chyba będę musiała w którymś momencie zakasać rękawy i poza machaniem pędzlem poszukać też jakiejś pracy... – dokończyła.

To był moment, w którym Zanael już nie spacerował, ale krążył nad stołem, gwałtownie gestykulując i dając Olgaelowi tajne znaki. Ten skinął głową z lekką rezerwą i sam nachylił się nad Olgą. Cokolwiek szepnął dziewczynie, musiało to być ważne, bo współlokatorka Matyldy nagle pacnęła się teatralnym gestem w głowę.

– Mam dla ciebie pracę! – oznajmiła, uśmiechając się szeroko do Zuzanny. – Jeśli chcesz, w naszym domu kultury będzie potrzebny ktoś na pół etatu. Od stycznia pani Renia idzie na emeryturę. Ona i tak niewiele robiła, więc nie miałabyś dużo pracy. Trzeba byłoby przyjść na całą sobotę, we wtorek i czwartek popołudniu, popilnować seniorów na zajęciach z afrykańskich bębnow i na salsie... I czasem w piątek, żeby pomóc przed sobotą. Soboty są najtrudniejsze, bo wtedy

mamy program dla rodzin z dziećmi.

Zuza słuchała jej z coraz szerzej otwartymi oczami.

– Wtorki i czwartki po południu? I soboty? – upewniła się. – Przecież to akurat te dni mi pasują!

– Naprawdę? – ucieszyła się Olga. – A nasza kierowniczką tak się martwiła, że nikogo nie znajdzie... No i wiesz, pół etatu to tylko pół pensji...

– To o pół pensji więcej niż mam teraz – przerwała jej Zuza. – I pewnie i tak więcej, niż potrzebuję na farby. Naprawdę wtorki i czwartki, i soboty?

– I czasem piątki, ale nie wszystkie i na krótko. Pani Renia zaglądała wtedy głównie napić się herbaty z panią Grażyną, ale oficjalnie chodzi o ustalenie planu pracy na weekend – wyjaśniała Olga. – Rany, jak to super, że się zgadałyśmy! Czeka, wyślę naszej kierowniczce SMS-a, uciesz się, że mamy problem z głową.

– No nie wierzę – mówił w tym samym czasie Annael. – Po prostu nie wierzę, że to zrobiłaś.

Zanael nie słuchał go, krążąc radośnie wokół żyrandola. Dopiero po którymś kółku uspokoił się na tyle, żeby zejść na ziemię.

– I akurat te dni, które jej pasują, tak? Długo szukałeś?

– Rozejrzałem się tu i ówdzie – Zanael skromnie wzruszył ramionami, ale uśmiech satysfakcji ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy. – Po różnych znajomych i nieznajomych... Ten pomysł wydał mi się optymalny. Olga też tak uznała – dodał, wskazując na opiekuna Olgi, ale onieśmielony Olga też zasłonił twarz skrzydłem i nie zamierzał włączać się do dyskusji.

– Aha. Optymalny – powtórzył głucho Annael. Dopiero teraz Zanael spojrział uważniej na kolegów i zdał sobie sprawę, że nie dzielają jego entuzjazmu. Matiel z neutralną miną patrzył w podłogę, ale Annael wyraźnie marszczył brwi. Kiedy w końcu się odezwał, mówił przez zaciśnięte zęby, artykułując wyraźnie każde słowo:

– To ja włożyłem tyle wysiłku, żeby Anka nie znalazła za szybko pracy, żeby nauczyła się cierpliwości, pokory, zbudowała bliskie relacje z innymi, a nawet zdobyła się na bezinteresowną pomoc dla ciotki Izabeli i jej stada kotów... A ty tak po prostu dogadujesz Zuzie pracę? Przecież ona nawet nie zaczęła szukać! Nic nie zrobiła!

– To jednak trochę inna sytuacja – próbował wtrącić Matiel. Nieskutecznie, bo nikt go nie słuchał. Zanael tymczasem nastroszył wszystkie pióra tak bardzo, że aż podwoił objętość.

– Jak możesz tak mówić? – obruszył się. – Przecież Zuza nauczyła się zupełnie innych rzeczy! Odkryła swój talent, doceniła więzi rodzinne, pogłębiła wrażliwość na świat, nauczyła się podejmować decyzje...

– Ania bardzo docenia pracę w fundacji! – przerwał mu znów Annael. –

Musiała włożyć w nią dużo wysiłku, poza tym robi coś dobrego dla innych... A Zuza ma pić kawę z panią Grażynką i pilnować seniorów, żeby niczego nie wynieśli z zajęć? I co oni tam będą robić? Walić w afrykańskie bębny? Wiesz, jak się nazywa taka pomoc? To nepotyzm! Kolesiostwo!

– Co ty mówisz? Nawet nie znam tych słów. – Zanael przewrócił oczami. – Dzięki pracy Zuza będzie miała środki finansowe na rozwój swojej pasji – zaznaczył poważnie. – Moja podopieczna wkłada całe serce w malarstwo. Potrzebuje zajęcia, które nie będzie jej przeszkadzać w przyszłych studiach na wydziale malarstwa...

– Jeśli jeszcze zamierzasz jej pomagać na egzaminie...

– Jak bym mógł? Przecież nie umiem malować! – Zanael zrobił minę niewiniątka, zaraz jednak znów się nastroszył. – Poza tym Zuzanna nie potrzebuje pomocy! Jest wystarczająco utalentowana! A w tym roku, zwróć na to uwagę, nie tylko odkryła swoją pasję, ale też, dzięki temu, zrozumiała, kim naprawdę jest! To prawdziwe osiągnięcie!

– A Matylda wychodzi za mąż! – Matiel musiał krzyknąć, żeby przerwać ten bezproduktywny spór. – I już – dodał. – Tyle sukcesów nam wystarczy na jeden rok.

– Wychodzi za mąż?

Anioł poczuł na sobie dwa zaskoczone spojrzenia. Trzy, jeśli doliczyć ukradkowe zerknięcie Olgaela, który znów zajął swoje ulubione miejsce za plecami Olgi. Annael trochę ochłonął, a Zanael przyglądał pióra, odzyskując normalny rozmiar.

– No, na to się zapowiada, bo Wonsael twierdzi, że Wojtek kupił już pierścionek – sprostował Matiel ostrożnie, zdając sobie sprawę, że i on się trochę zagalopował. – Tak więc Matylda wychodzi za mąż... O ile mi pomożecie! Bez nas to się może nie udać – dodał sprytnie, tym samym zamykając spór między kolegami i sprowadzając dyskusję na zupełnie inne tory.

## ROZDZIAŁ 63

– Tutaj! *Je voudrais boir mon coffee ici!* – Wykrzyknęła Matylda, wskazując małą kawiarenkę, ledwo widoczną z ulicy. Wzrok przyciągał tylko niewielki szyld, ozdobiony oszczędnym sznurem świątecznych lampek. – Dobrze to powiedziałam? – upewniła się szybko. Wojtek, który w ciągu ostatnich kilku dni urósł w jej oczach na autorytet w kwestii francuskiej wymowy i gramatyki, pokiwał głową.

– *Très bien.* – zapewnił – Znakomicie. I nie, nie mam nic przeciwko trzeciej kawie dzisiaj.

Mężczyzna zdążył już zaakceptować fakt, że zwiedzanie Paryża w towarzystwie Matyldy odbywa się szlakiem kawiarni i knajpek. Inna sprawa, że był tak zapatrzony w swoją dziewczynę, że bez wahania przystałby na pomysł zwiedzania przez cały tydzień podziemi paryskiego metra albo Centrum Pompidou, chociaż ni w ząb nie rozumiał sztuki współczesnej i wiszące tam obrazy wywoływały u niego tylko ból głowy. Tak naprawdę, nie był przekonany nawet do impresjonizmu i wcale się nie dziwił, że ci niechlujni malarze, którzy przedstawiali swoje wrażenia pod postacią rozmazanych pacnięć farbą, pozostali niezrozumiani przez swoją epokę i perfekcyjnych akademików. Jeśli o niego chodziło, to sztuka mogłaby się skończyć w renesansie, kiedy artyści jeszcze zadawali sobie trud, żeby malować starannie.

Matylda przeciwnie. Z zachwytem zwiedziła Muzeum d’Orsay i Oranżerię, gdzie utknęli na dobre, podczas gdy dziewczyna zachwycała się liliami wodnymi Moneta. W Luwrze zafascynowała się zbiorem starożytności i ledwo rzuciła okiem na Monę Lizę, którą chciał jej pokazać Wojtek. Inna sprawa, że obrazu i tak nie było dobrze widać zza pancernej szyby i japońskich turystów, którzy, wiedzeni nową modą, robili sobie zbiorowe selfie z arcydziełem Leonarda. Wojtek miał w planach wizytę w muzeum na Quai Branly, które zachwalano w przewodniku jako imponującą kolekcję sztuki z najdalszych zakątków świata. Poza tym czekały na nich niezliczone gotyckie kościoły – mężczyzna przygotował przed wyjazdem całą listę, ale teraz sam nie był pewien, które już widzieli, bo Matylda wolała włóczyć się uliczkami miasta i trafiać na zabytkowe świątynie „przy okazji”, najlepiej wtedy, gdy byli już dokumentnie zagubieni. I zmarznięci wystarczająco,

by jak najszybciej schronić się w kolejnej kawiarni. Ta nowa polityka zwiedzania, na którą Wojtek przystał bez mrugnięcia okiem, zupełnie wyprowadzała z równowagi Wonsaela, nastawionego na zaliczenie jak największej ilości ważnych zabytków w jak najkrótszym czasie – i na poszerzenie wiedzy historycznej o daty, nazwiska i interesujące fakty.

Tymczasem znów utknęli w kawiarence, tuż przy wielkim oknie, za którym toczyło się życie Paryża. Matylda, tuląc w zziębniętych dłoniach kubek z gorącą kawą, obserwowała z nieustającym zachwytem przechodzących ludzi i widoczne po drugiej stronie ulicy kamienice. Na wysokości jej wzroku ciągnęły się wystawy sklepowe i witryny butików, pełne świątecznych dekoracji. W Paryżu królowały wesole Mikołaje, bałwanki i renifery, a w kawiarni puszczone właśnie najwyraźniej nieśmiertelne *Last Christmas*. Ku jeszcze większej radości dziewczyny, zaczynał właśnie padać śnieg. Spojrzała na Wojtka tylko po to, by zobaczyć, że mężczyzna wpatruje się w nią intensywnie, jakby to Matylda była największą atrakcją w całym Paryżu. Złapany na tym, spieszył się i odwrócił wzrok.

– No to posiedzimy tutaj – westchnął Wonsael, znacząco marszcząc brwi. Wraz z Matielem zajęli wolny stolik niedaleko zakochanych. – Widziałeś te świąteczne dekoracje? – dodał. – Zgroza i bezbożność. Ani jednej porządnej tradycyjnej szopki, wszędzie tylko Mikołaje, renifery i bałwanki. O ile mi wiadomo, przy narodzinach Chrystusa nie był obecny żaden renifer ani bałwan, świętego Mikołaja zresztą też tam nie było.

– Oj, mógłbyś już nie marudzić. – Matiel też westchnął, tyle że w duszy. Uroczę paryskie krzeselko nagle wydało mu się bardzo niewygodne, a miły okrągły stolik, przy którym siedzieli, zdecydowanie za mały. Wonsael miał wyjątkowy talent do wyszukiwania dziury w całym i, co gorsza, Matiel nie potrafił z nim polemizować. To prawda, że wybrany przez Wojtka hotel z widokiem na Sekwanę był zdecydowanie za drogi, poza tym dostali narożny pokój, z którego widać było tylko dachy. Niewątpliwie, aniołowie nie mogli się cieszyć, że pomimo horrendalnej ceny na wyposażeniu pokoju było tylko jedno łóżko, zważywszy na fakt, że ich podopieczni jeszcze się nawet nie zaręczyli i wszystko się mogło wydarzyć. I tak, kolejki do muzeów były długie; bez wątpienia dodanie paru budek z biletami rozwiązałoby sprawę, ale „Francuzi lubią się znęcać nad turystami” – jak podsumował Wonsael, gdy przez dobrą godzinę czekali na możliwość obejrzenia kamiennych gargulców zdobiących Katedrę Notre Dame. Matiel drżał na samą myśl, że będzie musiał się użerać z tym aniołem-malkontentem przez resztę życia. Coraz bardziej tęsknił za Annaelem i Zanaelem. Na szczęście obaj aniołowie obiecali odwiedzić Paryż nieco później. Matiel nie mógł się już doczekać ich przybycia.

Tymczasem Wonsael, nadal skrzywiony, wyciągnął z teczki plik papieru.

Tak właśnie: anioł stróż wydawcy wybrał się na wakacje z teczką. Matiel patrzył zrezygnowany, jak Wonsael zasypuje niewielki blat kartkami. Wyciągnął również dwa długopisy: jeden główny i jeden zapasowy, oraz ołówek z gumką, na wypadek gdyby nie był pewien jakiegoś zwrotu. Po drugiej stronie stołu, a więc tuż pod nosem Matiele, umieścił słownik ortograficzny.

– Przynajmniej popracuję – rzucił asekuracyjnie, żeby Matiel sobie niczego nie pomyślał. – Tylko nie zaglądamy mi w rękopis – dodał. Drugi anioł wzruszył ramionami. Nie miał serca mówić Wonsaelowi, że już dawno znudziło mu się zaglądnienie do jego notatek. Anioł wydawcy postanowił wykorzystać urlop twórczo, to znaczy: na dalsze prace nad rozpoczętym rękopisem. O ile Matiel się orientował, Wonsael wciąż nie miał żadnego pomysłu na akcję lub dialogi, dlatego pokrywał kolejne strony opisami postaci, okraszając je czasem własnymi uwagami moralizatorskimi. Matiel trochę się obawiał, że anioł spróbuje za jakiś czas wykorzystać swoją pozycję do opublikowania powieści drukiem, co mogłoby pograżyć wydawnictwo Wojciecha. Po cichu liczył jednak na to, że wąsaty anioł zapomni o wszystkim, kiedy tylko wróci do ukochanej pracy. Poza tym sam się przyznał, że nie ma pomysłu na zakończenie.

Tymczasem w plecaku Wojtka, ukryte w wewnętrznej kieszonce, spoczywały kilkakrotnie złożone kartki wyjęte z powieści Matyldy. Mężczyzna nie musiał do nich zaglądnąć, bo znał stworzony przez dziewczynę opis zaręczyn Emmanueli i Manuela prawie na pamięć.

„Przed nimi wznosił się symbol miasta, strzelista wieża Eiffla, monumentalna i błyszcząca w promieniach popołudniowego słońca. Mężczyzna poprowadził Emmanuelę do niewielkiej windy, która miała ich zawieźć na sam szczyt. »Zamknij oczy«, poprosił. Złapała go za rękę, kiedy wznosili się powoli w górę. Gdy je otworzyła, stali na tarasie widokowym. Byli sami. Manuel wyjął z zanadru dwa kieliszki i butelkę szampana. »A co to za okazja«, zdziwiła się. »Jeszcze nie wiem«, odparł zagadkowo. Nagle kobieta dostrzegła stojącą po drugiej stronie tarasu orkiestrę. Muzycy stroili instrumenty, szykując się do gry. Gdy znów spojrzała na Manuela, mężczyzna klęczał przed nią. Na jego twarzy malowało się wzruszenie. W powietrzu rozległy się pierwsze dźwięki skrzypiec. Słońce zachodziło nad dachami Paryża. »Najdroższa«powiedział, ocierając zebrane w kącikach oczu łzy. »Jesteś światłem mojego życia, moją duszą i sercem, jesteś pierwszą kobietą, którą pokochałem, i chciałbym, żebyś była i ostatnią. Czy wyjdiesz za mnie?«. Emanuela zadrżała, niezdolna do wydobywania z siebie głosu. A przecież musiała mu odpowiedzieć! Wyciągnęła dłoń, jej palce musnęły otwarte pudełeczko, w którym, na czarnym atłasie, lśnił wspaniały brylant. Ten drogocenny kamień krył w sobie ognistą lunę słońca. »Ukochany, ty i ja stanowimy jedność«, odrzekła. »Patrzę w niebo i nie śmiem pytać, czy zetknął nas ze sobą los, aniołowie

czy kapryśny przypadek; moje serce mówi, że nie mogłoby być inaczej. Tak, najdroższy, chcę zostać twoją żoną«.”

Im dłużej Wojtek zastanawiał się nad tą sceną, tym bardziej pragnął ją odtworzyć – może pomijając prowadzony w podniosłym stylu dialog. Ukradkowe przygotowania zakończył już w dniu, w którym przylecieli do Paryża. Butelka szampana spoczywała ukryta na dnie hotelowej szafy, podobnie dwa piękne kieliszki. Niezależnie od dobrych chęci, nie było go stać na „drogocenny” brylant, który zresztą, wedle powieści, należał do rodowych klejnotów przekazywanych w rodzinie Manuela z pokolenia na pokolenie. Niemniej nikt nie mógłby zarzucić mu skąpstwa przy wyborze pięknego złotego pierścionka wysadzanego drobnymi diamentami. Szczęśliwie sprzedawczyni w sklepie wyjaśniła mu, podobno oczywistą dla kobiet, różnicę między diamentem a cyrkonią, które w oczach Wojciecha wyglądały zupełnie tak samo. Poświęcił również dużo czasu na zdobycie czarnego atlasu i bardzo pracowicie wyścielił nim kupione w tym samym sklepie pudełeczko. No cóż, najwyraźniej pomysły Matyldy nie należały do standardowych, skoro pudełeczek z czarnym atlasem nie mieli na składzie. Mężczyzna wciąż jednak odkładał planowane oświadczyzny. Najpierw zamierzał zabrać Matyldę na wieżę Eiffla już pierwszego wieczora – koniecznie o zachodzie słońca! – potem pomyślał, że powinien dać im obojgu jeszcze trochę czasu. Aktualnie był zdecydowany zrobić to tuż przed wyjazdem, aczkolwiek coraz trudniej było mu znajdować wytłumaczenia, dlaczego jeszcze nie byli na wieży Eiffla, którą Matylda tak bardzo chciała zobaczyć z bliska – a potem obejrzeć cały Paryż z samego szczytu.

## **ROZDZIAŁ 64**



– Są piękne – powiedziała Anka. Siedziała obok Michała w jego pracowni, przeglądając roboczo zszyty album ze zdjęciami. Z fotografii patrzyła na nią własna twarz, czasem uchwycona w ruchu, mało wyraźna, kiedy indziej spoglądająca wprost w obiektyw, z uchwyconym światłem w oczach. Na innych zdjęciach widać było tylko sylwetkę, majaczącą gdzieś w oddali albo w rogu kompozycji; w końcu niektóre ze zdjęć przedstawiały sam krajobraz; złamany konar, pustą ulicę albo niebo. Michałowi udało się uchwycić nastrój i, zdaniem Anki, przeglądając album, widz zatapiał się w jedyną w swoim rodzaju nostalgiczną i tajemniczą atmosferę. Jakaś magia kryła się w poplątanych korzeniach drzew, a obrazy deszczowego miasta wydawały się jednocześnie smutne i urzekające. W zdjęciach chłopaka było coś ponadczasowego, zarówno w jesiennych fotografiach znad jeziora, na których Michał mistrzowsko uchwycił poranną mgłę, jak i w ostatnim portrecie: to było jedyne zdjęcie, na którym twarz modelki zajmowała cały kadr, doskonale ostra i widoczna zza zamazanych płatków śniegu. Anka patrzyła prosto w obiektyw, pewna siebie i zdecydowana na tej fotografii, zamykającej cały zbiór.

– Piękne i uniwersalne – dodała dziewczyna, zamykając album. Ich wspólne dzieło, na razie wydrukowane w jednym egzemplarzu i spięte spiralą, przyjemnie ciążyło jej w dłoniach. – Mam wrażenie, jakby przywoływały wspomnienia. Nie tylko te nasze, z sesji. Chodzi mi raczej o to, że ludzie, patrząc na twoje zdjęcia, będą mieli wrażenie, że przypominają sobie coś odległego i ulotnego, jakiś zimowy albo jesienny dzień, może wspomnienie z młodości... Coś takiego.

– Chyba jeszcze nigdy nie usłyszałem takich słów o moich zdjęciach. – Michał spojrział na nią poważnie, po czym wstał i zaczął krążyć po pokoju, jakby chciał zostać sam na sam z tą nową myślą. Anka poczuła, że czas już się zbierać; czekało ją jeszcze dzisiaj organizacyjne spotkanie „Szczęśliwego Mruczka”. Trochę już przywykła do zmian nastroju fotografa. Czasem odwracał się od wszystkich i zatapiał we własnym świecie, a wtedy wszystkie próby dotarcia do niego były bezcelowe, a Ania upewniała się w przekonaniu, że bardzo dobrze się stało, że pamiętnego dnia nad jeziorem jednak odsunęli się od siebie.

– Mam nadzieję, że przyjdiesz na świąteczne przyjęcie w fundacji – rzuciła, wstając. – To bardzo ważne, przydałyby nam się zdjęcia ze spotkania.

– Mhm, jasne. – Michał pokiwał głową i Anka pomyślała, że będzie musiała wysłać mu SMS-a z przypomnieniem. Fotograf zapatrzył się za okno, a potem zaczął coś ustawiać przy aparacie i po chwili zupełnie zaskoczył Annę, deklarując,

że odprowadzi ją do Izabeli.

Na dworze wciąż było jasno; uginające się pod śniegiem drzewa rzucały długie cienie i Anka szybko doszła do wniosku, że Michał nie odprowadza jej przez grzeczność ani przez sympatię: wywabiła go z domu perspektywa udanego ujęcia. Szli niespiesznie, zatrzymując się co kilkanaście metrów. Podobnie anioły; tyle że te ostatnie pogrążone były w rozmowie.

– Te fotografie to dla nas nowy etap w pracy – mówiła Michaela. Anielica stąpała lekko tuż nad świeżym śniegiem. – Szkoda tylko, że teraz nie wydaje się takich dzieł; to nieopłacalne – westchnęła cicho i z takim uczuciem, że Annael poczuł, że kraje mu się serce.

– Jeden egzemplarz jest czymś wyjątkowym – próbował pocieszyć ją Zanael. Anioł Zuzanny znalazł się dzisiaj w miasteczku nieprzypadkowo; jego podopieczna siedziała właśnie na poddaszu u Tadeusza, szkicując zimowe krajobrazy. – Nikt nie ma podobnego, a to sprawia, że ten album jest jedyny na świecie – dodał zyczliwie.

– Tak, właśnie o to chodzi – odparła anielica z przekąsem i Zanael umilkł, nieco skonfundowany. Michaela za to mówiła dalej, używając wielu pięknych sformułowań. Twierdziła, że autentyczna sztuka nigdy nie zyskuje uznania mas, a nawet jeśli, to i tak nie za życia artysty. A jeżeli, wyjątkowo, artysta zostaje głosem epoki, to najpewniej dzieje się to wielkim kosztem; nie sprecyzowała jednak jakim.

– Ale i tak to czyste spekulacje – westchnęła. – A nasz album pozostanie w jednym egzemplarzu. – Rzuciła nieokreślone spojrzenie Zanaelowi, a ten przewrócił oczami. Odczekał z tym chwilę, aż anielica odwróci wzrok i skoncentruje się znów na swoim Michale. Odkąd poznali się lepiej, Zanael zaczął zauważać, że pewne cechy skrzydlatej piękności czasem go irytują. Szczególnie zwyczaj rzucania uwag, których nikt z nich nie rozumiał i uśmiechania się z wyższością, podczas gdy inni, onieśmieleni, patrzyli na własne stopy. Annael tymczasem pozostał niemal bezkrytyczny, a przy tym wyczulony na wszystkie niuanse w nastroju Michaeli – nawet jeśli zazwyczaj interpretował je błędnie.

– Może dałoby się coś poradzić – odezwał się nagle. Odchrząknął, żeby zatrzymać na dłużej kapryśną uwagę Michaeli. – Właściwie to znamy jednego wydawcę.

Zanael rzucił mu baczne spojrzenie, unosząc wysoko brwi.

– Doprawdy? – Michaela również spojrzała w jego stronę, w związku z czym Annael się speszył i nic nie odpowiedział.

– A czemu nie zrobić tak jak z kalendarzem? – odezwał się za to Zanael, próbując ratować wymykającą się spod kontroli sytuację. – Kalendarz „Szczęśliwego Mruczka” sprzedał się znakomicie, fundacja zebrała mnóstwo pieniędzy... Ten nowy album nie jest co prawda związany z kotami, ale może

gdyby dodać parę zdjęć na początku...

– Czy myślicie o tym wydawcy, który zakochał się w Matyldzie? O Wojciechu Miśkiewiczu? – Michaela przerwała jego monolog. – Czy on mógłby być zainteresowany albumem? – dodała z nadzieją w głosie.

– Oczywiście! – wypalił Annael bez zastanowienia. – Przyjaźnimy się z jego aniołem stróżem – wyjaśnił. – Jest bardzo życzliwie nastawiony, więc nie powinien robić problemów...

Annael mówił, a Michaela patrzyła na niego z coraz większym uznaniem. Oboje nie zwracali uwagi na pełne przerażenia miny strojone przez Zanaela. Anioł nie miał wątpliwości, że kto jak kto, ale Wonsael na pewno nie wykaże się ani entuzjazmem, ani nawet zrozumieniem dla artystycznego projektu i Annael wyjdzie w oczach anielicy na głupka. Zapewne nie po raz pierwszy, ale tym razem w spektakularny sposób. Możliwe, że i sam Annael podskórnie obawiał się takiego obrotu spraw, bo wyraźnie postawił wszystko na jedną kartę i obiecywał właśnie wydanie luksusowe, na kredowym papierze.

Obiad u Izabeli się przedłużył. Widząc młodego fotografa odprowadzającego Anię, ciotka nie omieszkała zaprosić na obiad obojga; okazało się również, że wśród zaproszonych gości jest Helenka i pan Ryszard, najważniejszy sponsor fundacji. Ten ostatni już od pewnego czasu przychodził na spotkania organizacyjne – warto nadmienić, że niektóre z nich odbywały się jedynie w cztery oczy, sam na sam z panią prezes Izabelą. Z kolei wśród niewidzialnych gości nie zabrakło Izabela i Elechiela. W ślad za Ryszardem przyszedł również Ryszard, ale został na krótko. Po przywitaniu się ze wszystkimi wrócił pełnić straż nad salonem sprzedaży samochodów, który, jak się okazało, wymagał niemal takiej samej uwagi, jak jego właściciel. Skutkowało to tym, że biedny Ryszard był ciągle zalatany.

Dopiero przy szarlotce Izabela ogłosiła uroczyste rozpoczęcie kolejnego organizacyjnego spotkania. Przygotowania do świątecznej imprezy były niemal ukończone, rozesłano już nawet zaproszenia, ozdobione przez Zuzannę uroczym wizerunkiem kociaka w mikołajowej czapce. Jak się okazało, Izabela zamówiła dodruk kalendarzy, ponieważ wszystkie egzemplarze zostały już wykupione. Dzięki zyskom ze sprzedaży koty zostały dobrze zaopatrzone na mroźną zimę – a niektóre znalazły przy okazji własne domy. Jednak ilość zwierzaków mieszkających u ciotki nie zmniejszyła się, wprost przeciwnie – ludzie, wiedząc o fundacji, przynosili do nich każdą znalezionej w miasteczku kocią sierotkę, przy czym niektóre znaleźiska były zupełnie dzikie i wcale nie potrafiły docenić nowych perspektyw związanych z udomowieniem.

Nie chcąc opuszczać rozbawionego towarzystwa, Zanael wyfrunął z salonu Izabeli później, niż zamierzał, i dotarł do warsztatu Tadeusza pod wieczór, gdy

Zuzanna myślała już pędzle. Mało gdzie było teraz tak przytulnie jak na poddaszu malarza. Na opartym o sztalugi płótnie powstawała martwa natura, którą Zuzanna bardzo starannie malowała olejami pod okiem Tadeusza. Do obrazu pozowała szklana waza, zasuszona róża, koło od roweru (bez opony) i kilka mocno podeschniętych jabłek. Zuzanna wcale nie miała ochoty kończyć zajęć i odkładać pędzla, ale czekała ją jeszcze droga powrotna. Co prawda Tadeusz zaoferował jej awaryjny nocleg w pracowni, ale Zuza nie chciała nadużywać jego gościnności. Poza tym stojąca na poddaszu kanapa kojarzyła jej się z wczesnymi obrazami malarza, przedstawiającymi obfite modelki leżące nago na czerwonym obiciu. Mebel już dawno stracił intensywny kolor, a pupiaste i biuściaste dziewczęta zapewne zdążyły już odchować wnuki, ale Zuza i tak czuła, że dziwnie byłoby spać w miejscu otoczonym taką aurą. Dlatego niechętnie zakręciła tuby z farbami.

– Na natępnym spotkaniu popracujemy nad laserunkami – zawyrokował Tadeusz, patrząc jej przez ramię. – I poćwiczmy różnicowanie odcieni, te kolory wciąż jeszcze są zbyt banalne. Chociaż – dodał po namyśle – widzę bardzo dużą różnicę w porównaniu do tych prac z wakacji.

Zuzanna poważnie pokiwała głową, zdecydowana poprawić wszystkie niedociągnięcia. Nie mogła zdawać sobie sprawy z tego, że Tadeuszowi z coraz większym trudem przychodzi wyszukiwanie mankamentów w jej pracach. A przecież przychodziła do niego na lekcje dopiero od pół roku! W głębi serca malarz podejrzewał, że już za rok czy dwa młoda artystka może go przeskoczyć. O ile nie okaże się, że należy do tych ludzi, którzy osiągają pewien poziom w sztuce i nie idą już dalej. Ale miał nadzieję, że się nie pomylił, odkrywając już w pierwszych akwarelkach Zuzanny wyjątkową wrażliwość.

Tymczasem Franczeska, coraz grubszy rasowy kot, zaczęła ocierać się o nogi malarza i Zuza przyklękła, żeby ją pogłaskać. Czuła się jak skoczek na krawędzi basenu albo jak wędrowiec pakujący plecak przed podróżą. Nowe obrazy tylko czekały na to, by przeniosła je na płótno. Nie martwiła się o teczkę z pracami, którą na wiosnę złoży na uczelni. Problemem będzie tylko wybranie najlepszych rysunków z zajęć u Tadeusza i w domu kultury, a także ze stosu własnych prac. Nie wątpiła, że do wiosny powstanie ich jeszcze więcej, chociaż Tadeusz ostrzegał ją, że nie zawsze będzie w stanie pracować w takim tempie. Ale póki co, Zuzanna takie zjawiska jak „brak weny” czy „zastój twórczy” znała tylko z nazwy. Dodatkowo uskrzydlała ją świadomość, że sama zarobi na swoje studia. Miała już za sobą rozmowę z kierowniczką domu kultury i od stycznia naprawdę zaczynała pracę; po cichu liczyła na to, że za kilka miesięcy uda jej się tak zgrać przyszły plan zajęć z grafiką, żeby nie rezygnować z dopiero co zdobytej połowy etatu. Patrząc w przyszłość, widziała rozszerzający się krąg nowych, ekscytujących możliwości. Studia malarskie. Nowe obrazy, nowe inspiracje, nowi ludzie. Wyjazdy. Całe życie. Zamyślona, nie zdawała sobie sprawy z tego, że od dłuższej

chwili klęczy na podłodze, mechanicznie głaszcząc całkiem z tego powodu zadowolonego kota. Tadeusz uśmiechnął się pod nosem i pochylił, żeby podnieść z podłogi Franczeskę.

– Już pora na ciebie – powiedział. – Chyba nie chcesz przegapić pociągu.

## ROZDZIAŁ 65

– Album z fotografiami? Oczywiście, nie ma problemu. Ostatnio i tak wydajemy wszystko jak leci. – Wonsael westchnął demonstracyjnie. Po chwili mówił dalej, udając, że nie zdaje sobie sprawy z uczuć malujących się na twarzy Annaela, niedowierzającego własnemu szczęściu. – Niestety, muszę odnotować, że z Wojciecha wyszedł bezkrytyczny romantyk, który wzrusza się każdym nadesłanym tekstem. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Matylda dziś pokazała mu swoją powieść! Na szczęście dziewczyna ma już za sobą etap błędzenia. O czym ja mówiłem? Ach tak: możemy wydać i zdjęcia Michała, nie ma problemu.

– Na kredowym papierze? – szepnął Annael.

– Na kredowym, a co tam! To nie będzie pierwsza rzecz, do której ostatnio dopłaciliśmy. – Wonsael nerwowo szarpał wąsy. – Ale trudno, wypuścimy w przyszłym roku więcej poradników i książek o gotowaniu, jak każde inne wydawnictwo w tym kraju. Książka i Myśl wyjdzie na swoje.

Annael i Zanael dopiero przylecieli do Paryża. Było wczesne popołudnie i cała czwórka aniołów wędrowała niespiesznie korytarzami Musée du quai Branly.

Matiel podskakiwał na czele grupy, wyjątkowo podekscytowany. Annael kręcił się wokół Wonsaela, dopytując o możliwość dodania tłoczonych liter na okładce, a Zanael patrzył w ich kierunku z kpiącą miną. Nie mógł uwierzyć, że poważny anioł stróż wydawcy tak po prostu się zgodził na wydanie albumu niszowych fotografii. Poza tym, czy starania Annaela nie podpadały pod „nepotyzm” albo „kolesiostwo”? Rozradowany anioł zdawał się jednak nie pamiętać, że niecałe dwa tygodnie temu wypominał koledze podobne działania. Cały w skowronkach dopytywał się o ilość egzemplarzy i kolportaż. Zanael wznosił oczy ku niebu, napotkał na linii wzroku nisko zawieszony sufit galerii i przypomniał sobie, że jako istota duchowa, pełna dobroci i miłosierdzia, nie powinien tak się irytować. Michał nie miał szans wydać debiutanckiego albumu z artystycznymi fotografiami bez anielskiej pomocy. Więc może dobrze się stało. Anioł odetchnął głębiej i rozejrzał się wokół. Jeszcze nie zdążył zwiedzić miasta i nie spodziewał się, że będą w tak tajemniczym miejscu. Otaczały ich gigantyczne drewniane totemy i rzeźby, przywiezione z najdalszych zakątków świata. Wojtek z Matyldą zwiedzali właśnie wystawę poświęconą sztuce Aborygenów. Wokół panował półmrok, a ściana, wzdłuż której szli, przypominała fakturą wnętrze jaskini. Matylda zatrzymała się właśnie przed obrazem przedstawiającym tęczowego węża i wraz z Wojtkiem odszyfrowywali zamieszczoną obok tabliczkę. Matiel stał tuż za nimi, przestępując z nogi na nogę. Następnym punktem programu miała być wyprawa na wieżę Eiffla i zdenerwowanie anioła zaczęło się powoli udzielać pozostałym.

– Już czas! Chodźcie! – Matiel wyprzedził Wojtkę i Matyldę stojących w kolejce do szatni. Przed wyjściem z muzeum musieli jeszcze odebrać swoje płaszcze.

– Chyba zdążymy. – Annael nie widział powodu do pośpiechu. Zanim zakochani znajdą się na szczycie wieży Eiffla, minie jeszcze dobra godzina – przynajmniej jeśli wierzyć Wonsaelowi, który ostrzegał przed gigantycznymi kolejkami. Tymczasem oni mogli tam dolecieć w jednym momencie. Matiel jednak miał dobrze przemyślany plan i uważał, że już są spóźnieni. Nie tracąc czasu na dalsze wyjaśnienia, pociągnął kolegę za rękaw, wywlekając go na zewnątrz. Po chwili cała czwórka wzniosła się w powietrze i pofrunęła w stronę wieży. Zimowe słońce wisiało już nisko nad Paryżem, oświetlając miasto ciepłym światłem – prawie jak w książce Matyldy. Zapowiadał się wspaniały wieczór i cudownie byłoby zrobić przynajmniej parę okrążeń wokół wieży, wygrzewając pióra w ostatnich słonecznych promieniach i obserwując z góry całe miasto: płynącą powoli rzekę, dachy kamienic, Pola Elizejskie pokryte cienką warstwą śniegu, spacerujących niespiesznie turystów, uliczne budki z gorącymi naleśnikami i śniadych sprzedawców, handlujących podrobionymi torbami. Jednak ta przyjemność musiała poczekać; anioły miały przed sobą misję.

– Jeszcze sklepik z pamiątkami! – zawołała tymczasem Matylda. Zdziwiła się trochę, kiedy Wojciech nie odpowiedział równie entuzjastycznie.

– Pamiątki? A, tak, możemy zajrzeć – burknął pod nosem, starając się brzmieć wesoło. Nie mógł przecież wyjaśnić dziewczynie, dlaczego się spieszą. – Tylko nie marnujmy za dużo czasu, chciałbym, żebyś zobaczyła zachód słońca z wieży Eiffla – rzucił ostrożnie, ale Matylda zmarszczyła nos, urażona jego wcześniejszym tonem.

– Pamiątki to nie jest marnowanie czasu! – oznajmiła, ignorując wzmiankę o wieży Eiffla. – Przecież chcemy przywieźć coś dla moich rodziców i dla dziewczyn, zapomniałeś? Dziś nasz ostatni wieczór w Paryżu, a ja jeszcze nic dla nich nie wybrałam!

– Nie mógłbym zapomnieć. – Mężczyzna pocałował ją lekko w czubek głowy, jednocześnie gorączkowo próbując wyliczyć, jak szybko muszą iść, żeby zdążyć przed zachodem. Miał poczucie, że jeśli chociaż jedna rzecz nie pójdzie zgodnie z planem, to wszystkie wysiłki spełzną na niczym: to nie będzie idealna scena zaręczyn. A on chciał, żeby Matylda była szczęśliwa zupełnie, nie połowicznie. Tymczasem młoda kobieta, nieświadoma jego przemyśleń, grzebała radośnie w stosach małych „eskimoskich” amuletów, po czym zaczęła przeglądać apaszki z etnicznymi wzorami.

– Zobacz, którąś byś wybrał? – zapytała, zapominając już, że przed chwilą czuła się urażona. – Dla Ani moglibyśmy chyba kupić coś z bardziej kontrastowym wzorem, ale nie widzę nic pastelowego, a Zuzie najbardziej pasują pastele...

Kiedy pół godziny później wyszli na zewnątrz, zaopatrzeni w kilka apaszek, notes i książkę o Aborygenach, Wojtek odnotował ze zgrozą, że nad miastem widnieje przepiękna, pomarańczowo-czerwona łuna zachodu. Cóż z tego, skoro mieli oglądać ją z wieży, nie z chodnika przed galerią! Matylda również się zaniepokoiła.

– Ojej, chyba nie zamkną nam wieży Eiffla? – rzuciła, przestraszona. – Nie wiem, dlaczego odłożyliśmy ją na ostatni dzień – dodała.

– Spokojnie, zdążymy – Wojtek objął ją ramieniem, chociaż wcale nie był tego pewien. – Zobaczysz z góry cały Paryż – zapewnił, a Matylda znów się rozpromieniła.

– No to biegniemy! – zakomenderowała i osobiście przebiegła kilka metrów, po czym oboje przeszli do szybkiego marszu. Cel ich wędrówki majaczył na horyzoncie. Wieża czasem wyglądała spomiędzy dachów, ukazując imponującą metalową iglicę, czasem się chowała, ale najważniejsze, że zbliżali się do niej z każdym szybkim krokiem.

Aniołowie siedzieli na samym czubku wieży, ponad platformą widokową.

Przynajmniej oni mieli okazję obejrzeć zachód słońca w całej okazałości, chociaż Matiel i Wonsael spoglądali raczej w dół, rozglądając się za Wojciechem i Matyldą. W końcu wypatrzyli zakochanych, którzy szybkim krokiem dotarli do stóp wieży i ustawili się na samym końcu długaśnej kolejki.

– Tak jak przewidywałem – Wonsael nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Jego prognozy znów się sprawdziły. – Niby grudzień, niby zimno, a kolejka jak w szczycie sezonu.

– Nie gadaj tyle i pilnuj skrzypiec. – Matiel spojrzał na niego wilkiem. Zazwyczaj dobroduszny anioł był najprawdę poddenerwowany. Póki co, Wojtkowi nie szło za dobrze i Matiel miał poczucie, że tylko oni mogą uratować ten wieczór. Musieli być gotowi, żeby wziąć na siebie rolę orkiestry towarzyszącej zakochanym. Skrzypce, jako najważniejsze, dostały się Wonsaelowi, pozostali aniołowie dzierżyli niewielkie harfy. Zdążyli już kilka razy przećwiczyć niebiańską melodię i ostatecznie postanowili zrezygnować z wokalu i zostać przy samych instrumentach.

Matiel znów spojrzał w dół, ale kolejka przesuwiała się nieznośnie powoli.

– A niech to, stanęliśmy w złej kolejce! – jęknął Wojciech kilkanaście minut później, kiedy niemal udało im się dotrzeć do bramek. Matylda posłała mu niezbyt miłe spojrzenie.

– Oczywiście, mówiłam ci to już dwa razy. Ale ty mnie zupełnie nie słuchasz. – Podparła się pod boki. – To kolejka do schodów. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę wchodzić na samą górę schodami.

Wojtek, który też nie miał na to najmniejszej ochoty, pokręcił głową.

– A właściwa kolejka jest..?

– Tam. – Matylda wskazała na ciągnący się obok sznur turystów. – Proponuję, żebyśmy też tam stanęli – dodała chłodno. Zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego Wojtek robi dziś wszystko, żeby ją zirytować. To miał być ich ostatni, romantyczny wieczór w Paryżu, a tymczasem ukochany mężczyzna najpierw strasznie ją poganiał, a potem przestał słuchać, co do niego mówi. Dziewczyna czuła, że za chwilę będzie miała serdecznie dosyć tej całej wyprawy na słynną wieżę. Powłócząc nogami, podążyła za Wojtkiem, który ruszył w stronę właściwej kolejki niemal biegiem, a potem zostawił ją na końcu, żeby upewnić się, że na pewno stanęli w dobrym miejscu. Matylda objęła się rękami, próbując ogrzać. Szkoda, że słońce właśnie zaszło, bo wraz ze zmrokiem zrobiło się jeszcze chłodniej. Ale przynajmniej wyglądało na to, że nikt nie zamierza zamykać im wejścia na wieżę przed nosem. Kolejka powoli, ale jednak posuwała się do przodu i Wojtek po chwili znów stanął koło niej i mogła się do niego przytulić, tym razem głównie po to, żeby się ogrzać.



Przy bramkach Wojtek przepuścił Matyldę przodem i tylko dlatego dziewczyna nie widziała, jak strażnik z poważną miną przetrząsa plecak mężczyzny. Nie zwrócił większej uwagi na aparat fotograficzny, kieliszki i papierową torbę z pamiątkami. Wyjął za to butelkę szampana i stanowczo pokręcił głową. Najwyraźniej szklane butelki znajdowały się na liście rzeczy, których nie wolno było wnosić ze sobą. Wojtek próbował łamaną francuszczyzną wytłumaczyć, jak bardzo potrzebuje dziś wieczorem tego szampana i jak niezmiernie istotne jest, żeby otworzyć go na szczycie wieży, ale najwyraźniej przepisy były bardzo restrykcyjne – albo on miał pecha i trafił na służbistę. Matylda odwróciła się i zaczęła machać, więc Wojciechowi pozostało podążyć za nią. Bez szampana. Chwilę później, stojąc w kolejnej, krótszej kolejce, prowadzącej już do upragnionej windy, pomyślał, że trzeba było przemycić ten alkohol w termosie. Chyba nikt nie zarekwirowałby termosu? Jaka szkoda, że scena zaręczyn, opisana niegdyś przez Matyldę, okazała się tak nierealistyczna. Manuel nie mógłby zabrać ze sobą szampana. A teraz Wojtek zastanawiał się, jak duża część jego planu okaże się fikcją literacką. Nie miał jednak czasu o tym myśleć, ponieważ stali już stłoczeni w przeszklonej windzie, w tłumie turystów. Obok nich chichotała grupa skąpo ubranych i opalonych dziewczyn, które najwyraźniej nic sobie nie robiły z grudniowej aury, a po przeciwnej stronie tłoczyli się Japończycy, dzierżący aparaty i kije do robienia selfie. Przeszklona kapsuła drgnęła i ruszyła w górę pod zaskakującym kątem i Matylda pisnęła, wtulając się w jego ramię. Ku zaskoczeniu Wojciecha Japończycy postanowili uwiecznić już podróż windą i radośnie pozowali do zdjęć. Po chwili również inni turyści zaczęli wyciągać aparaty i telefony. A winda sunęła w górę i przez przeszklone ściany widać było wnętrze metalowej konstrukcji.

– O, zobacz, nigdy nie myślałam, jak wieża wygląda od środka! – Na szczęście przynajmniej Matylda odzyskała dobry humor. – My też zrobimy sobie parę zdjęć, prawda? Na samej górze! – Spojrzała na niego oczekująco i Wojtek zorientował się w porę, że powinien pokiwać głową. Z całych sił starał się nie okazać, jak bardzo jest podłamany. Słońce zaszło, nie mieli szampana i nijak nie mógł poczuć romantycznej aury w hałaśliwym tłumie turystów. Winda zatrzymała się i wysiedli, ale tylko po to, żeby przesiąść się do następnej kabiny, która miała ich zawieźć na najwyższą platformę.

– Zimno – stwierdził tymczasem Annael.

– Przestań. Anioły nie marzną. – Matiel próbował być stanowczy, chociaż sam zaczynał już powoli wątpić w to, że anioły nie odczuwają zimna. Słońce dawno zaszło i szczyt wieży smagały dzikie wiatry. Aniołowie od dłuższego czasu zabawiali się obserwowaniem snopu światła, rzucanego przez kręcącą się na górze latarnię. Matiel potarł o siebie dłonie.

– Już za chwilę tutaj będą – dodał pocieszającym tonem. Wonsael spojrzał na niego ponuro i przeciągnął smyczkiem po strunach, wydobywając ze skrzypiec jeden smutny dźwięk, przywołujący na myśl dmący wiatr.

– No to jesteśmy na samej górze – oznajmił Wojciech, starając się brzmieć entuzjastycznie. Matylda skuliła się lekko, czując na skórze zimny wiatr. Platforma biegła wokół szczytu wieży i na małej przestrzeni tłoczyli się ludzie, gorączkowo fotografujący widoki. Wojtek odnotował, że po wpaniałym zachodzie słońca nie został już nawet ślad. Matylda złapała go za rękaw.

– Zobacz, ile światła! – zawołała. – Spójrz tylko, jak jest pięknie!

Podeszli do barierki, nad którą, dla bezpieczeństwa, wznosiła się krata. Na szczęście szeroko rozstawione druty nie przeszkadzały w oglądaniu panoramy. Nocny Paryż rozbłyskiwał niezliczoną ilością światła, które dalej, na horyzoncie, przechodziły w świetlistą lunę.

– Widać całą rzekę! – Dziewczyna zdążyła zapomnieć, że przed chwilą było jej zimno. – Patrz, płyną statki!

– Tam dalej, widzisz? Sekwana zakręca i tam gdzieś jest nasz hotel – podpowiedział Wojtek. Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wymacał ukryte tam pudełeczko. Nie miał jednak pojęcia, jak miałby znaleźć kawałek wolnej podłogi, żeby przyklęknąć przed Matyldą w tym kłębiącym się tłumie ludzi. Najchętniej wybrałby jakiegokolwiek inne, spokojne miejsce na zadanie tego jednego, najważniejszego pytania. Ale wiedział, że nie uda mu się już przed wyjazdem wymyślić ratunkowego planu. To oznaczało: teraz albo nigdy.

– Muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego – zaznaczył.

– Czy nie jest super? – Matylda odwróciła się w jego stronę. Jednocześnie Wojtek poczuł, jak ktoś napiera na niego z tyłu. Najwyraźniej przybyła właśnie cała wycieczka z Ameryki, bo weseli starsi państwo, ubrani w kolorowe puchowe kurtki w rozmiarze XXL, koniecznie próbowali stanąć dokładnie w tym miejscu, w którym stał już Wojtek. Zważywszy na panujący na platformie tłok, trudno było mieć im to za złe. Matylda i Wojtek wymienili spojrzenia i zgodnie przesunęli się w prawo, wpadając dla odmiany na Japończyków. Jednak mimo wszystko było tu trochę luźniej i Wojciech poczuł, że czas łapać okazję.

– Chciałem cię o coś spytać – zaczął znowu. Matylda spojrzała na niego uważniej, odrywając się od fascynujących widoków. I wreszcie zorientowała się, że Wojtek próbuje jej powiedzieć coś ważnego. Mężczyzna rozejrzał się wokół, oceniając, czy uda mu się przyklęknąć w tym tłumie. Oceniał, że nie ma na to żadnych szans, po czym postanowił, że i tak to zrobi. Opędzając się od kijków do selfie, którymi wymachiwali radośnie Japończycy, opadł przed Matyldą na jedno kolano i wyciągnął przed siebie pudełeczko. Miał w głowie przygotowany wcześniej tekst, zarazem romantyczny i zabawny, chyba nawet miało się tam

znaleźć jakieś odwołanie do literatury, ale w końcu wszystko, co zdołał powiedzieć, brzmiało:

– Czy wyjdiesz za mnie?

Matylda stała przed nim oniemiała. Wszystkie światła Paryża majaczyły jej przed oczami, dużo jaśniejsze, niż to możliwe. A przed nią, na dłoni Wojtka, w pudełku wyściełanym czarnym ałtusem, spoczywał pierścionek, skrząc się w tym świetle jak klejnot przywołany z jakiejś baśni. Dopiero później, odtwarzając w myślach ten moment, Matylda uświadomiła sobie, że Wojtek zainspirował się sceną, którą kiedyś sama napisała. Teraz, stojąc na platformie widokowej na wieży Eiffla, ledwo odnotowała wygląd pierścionka czy pudełeczka – była zbyt zszokowana tym, że Wojtek właśnie jej się oświadczył. Coś, o czym marzyła, wyobrażając sobie tę scenę gdzieś w odległej przyszłości, miało miejsce tu i teraz, na ich pierwszym wspólnym wyjeździe! Podniosła oczy, napotykać spojrzeń mężczyzn, które powiedziało jej dużo więcej niż zadane na głos pytanie. Turyści wokół zorientowali się, co jest grane, chyba szybciej niż ona, bo odsunęli się o krok, pozostawiając parze nieco wolnej przestrzeni, i gorączkowo pstrykali zdjęcia. Dwie rozchichotane dziewczyny zaczęły nawet kręcić film, a Wojtek tymczasem miał wrażenie, że mijają całe stulecia. W rzeczywistości były to tylko bardzo długie sekundy.

– Tak – szepnęła Matylda na granicy słyszalności. Po czym, zdając sobie sprawę, że w tym hałasie Wojtek chyba nie ma szans jej usłyszeć, powtórzyła zdecydowanie głośniej:

– Tak!

Gdy tylko wysunęła przed siebie dłoń, żeby Wojtek mógł wsunąć na jej palec pierścionek, rozległa się muzyka. W pierwszej chwili oboje pomyśleli, że komuś zaczął grać telefon, ale melodia, zamiast się urwać, narastała i piękniała z każdym dźwiękiem.

– To chyba skrzypce! – powiedziała Matylda, trochę dlatego, że zachwyciła ją muzyka, a trochę dlatego, że nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć w tak ważnej chwili. Wciąż nie mogła uwierzyć, że właśnie stało się to, co się właśnie stało. Jakaś roześmiana turystka postukała Wojciecha w ramię, pytając, czy nie przesłać im na maila filmu z zaręczyn, a za nią ustawiło się kilka następnych osób. Podczas gdy Matylda zapisywała swój adres mailowy na rozmaitych podsuniętych jej karteczkach i biletach, Wojtek zauważył coś jeszcze: na wieży był mały barek i sprzedawano w nim szampana.

Kilka minut później stali objęci, trzymając plastikowe kieliszki, i patrzyli z góry na miasto. Matylda co i rusz spuszczała wzrok i przyglądała się swojemu pierścionkowi, obracając go tak, by odbijał światła miasta. Potem spoglądała na Wojciecha i, zawstydzona, znów na pierścionek. O dziwo, muzyka, która zaczęła

się tak nagle, wcale nie ucichła. Nie wiedziała, co bardziej ją dziwi: czy to, że jej marzenie właśnie się spełniło, czy to, że nie domyśliła się wcześniej.

– Gdzieś w pobliżu musi być orkiestra – zawyrokował Wojciech, ale chociaż bacznie się rozglądali, nie dostrzegli żadnych grajków. Turyści wokół wrócili do własnych spraw, niektórzy chyba już zeszli na dół, wciąż też dochodzili nowi ludzie, ale narzeczeni nie zwracali już na nich większej uwagi, Wojtek pilnował tylko, żeby nikt nie potrącił przypadkiem jego przyszłej żony.

A aniołowie grali. Z dużą werwą i radością, aż sami dali się porwać swojej muzyce. Matiel nadawał ton, pozostali włączali się ostrożnie, czasem pojedynczo, czasem wszyscy naraz. W którymś momencie Annael zaczął nucić melodię i po chwili wszyscy się dołączyli, śpiewając cicho, bez słów. Poniżej turyści przystawali zasłuchani, ale nikt nie zastanawiał się nad źródłem dźwięków, uznając, że mają do czynienia z kolejną atrakcją, wpisaną w cenę biletu. Anielska orkiestra ucichła dopiero, gdy Wojtek i Matylda zeszli z platformy i przepychali się przez tłum w stronę wind.

– No, chłopaki – powiedział Matiel z satysfakcją w głosie. – To nam się udało ich zeswatać – dodał, tak dumny, jakby przed chwilą sam się oświadczył. Spojrzał na Wonsaela i z zaskoczeniem odnotował, że i ten uśmiecha się pod wąsem.

## **ROZDZIAŁ 66**

Zuzanna spieszyła się, żeby zdążyć na pociąg. Zaaferowana zajęciami i malowaniem, niemal zapomniała, że na ostatnią sobotę przed świętami zaplanowano uroczyste spotkanie „Szczęśliwego Mruczka”. A przecież sama zaprojektowała zaproszenia!

Zanael frunął parę metrów przed dziewczyną, również zaaferowany. Dopiero co wrócił z Paryża i miał o czym rozmyślać. Musiał dopisać do planów na przyszłość wysłanie swojej podopiecznej do Francji. Spacerując nad brzegiem Sekwany naoglądał się akwarelowych pejzaży z wieżą Eiffla w roli głównej i miał silne przekonanie, że Zuzanna wyciągnęłaby więcej z tego tematu. Czy byłoby źle, gdyby w poszukiwaniu malarskich plenerów zwiedzili cały świat? Wyobrażał sobie już Zuzę z plecakiem wypełnionym farbami, jak rozkłada przenośne sztalugi na nadbrzeżu. Mogli przecież zacząć już w przyszłe wakacje! Pograżony w marzeniach niemal nie zauważył stojącej na chodniku postaci. Zatrzymał go widok nietypowo ubarwionych anielskich skrzydeł i niekompletnej szaty. Zatrzymał się osłupiały, zdając sobie sprawę, że ma przed sobą anielicę. To była już druga anielica, którą spotkał w tym roku, co już samo w sobie było zupełnie wyjątkowe, zważywszy na to, jak rzadko występują w ich gatunku. Nieznajoma stała przed przeszkloną witryną jednego z butików, upchanych w podziemiach Dworca Centralnego. Najwyraźniej przyglądała się ubraniom.

– Przepraszam, może mogę ci jakoś pomóc? – zdążył zapytać, zanim zorientował się, że jej szata nie została poszarpana przez złoczyńców, ale celowo skrócona. Anielica odwróciła się w jego stronę. Nieznajoma miała końcówki piór ufarbowane na kolor jasnego różu i wyjątkowo kusą suknię; kusą jak na anioła, to znaczy skróconą tuż nad kolanem. Obrazu całości dopełniały rude włosy i para białych kozaków, która wywołała w umyśle Zanaela jakieś odległe skojarzenia.

– O, to ty – powiedziała anielica, tonem sugerującym, że mogli się już kiedyś spotkać, a przynajmniej znali się ze słyszenia. Najwyraźniej jednak nie byli serdecznymi przyjaciółmi, ponieważ anielica zmierzyła go niechętnym spojrzeniem.

– Po co się tu kręcicie? – zapytała, wskazując na Zuzannę, która, między Bogiem a prawdą, wcale się nie kręciła, tylko zmierzała równym krokiem w stronę peronów. – Chyba nie chcecie znowu zaczepiać Adama? – dodała, a wtedy wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– Ty jesteś aniołem stróżem Anetki? – upewnił się Zanael, przypominając sobie odległe wydarzenia z początku roku. Anielica skinęła głową i z pewną rezerwą podała mu dłoń.

– Anielica Aniela – przedstawiła się. – Pewnie mnie nie widziałeś wcześniej. W sumie nie było powodów, żeby się zapoznawać.

Zanael skinął głową. Rzeczywiście, nie przypominał sobie, żeby widział wcześniej anielicę. Pamiętał za to dobrze jej rudą podopieczną. Aniela, zgadując jego myśli, wskazała na wnętrze sklepu widoczne za witryną. Zanael bez trudu wypatrzył rudowłosą Anetę, szperającą w wywieszonych sukienkach. Kobieta skróciła włosy i nadała im nieco bardziej stonowany odcień, ale poza tym zachowała swój image: zbyt krótkiej kurteczce towarzyszyła miniaturowa spódniczka, zaś kozaki ustąpiły miejsca modnym w tym sezonie butom, do złudzenia przypominającym rosyjskie walonki. Z szeregu sukienek wybrała właśnie małą czarną z fantazyjnymi rozcięciami po bokach. Obok Anety uwijał się były narzeczony Zuzanny, zdradliwy Adam. Wyglądał na szczęśliwego męża i ojca. Uśmiechnął się szeroko, komentując wybór żony, po czym, najwyraźniej zaalarmowany, pochylił się nad podwójnym dziecięcym wózkiem i z dużym zaangażowaniem zaczął potrząsać kolorową grzechotką.

– Bliźniaki. Dwóch małych ludzi: chłopak i dziewczyna – podrzuciła Aniela z dumą w głosie. Zanael pokiwał głową, nadal lustrując wzrokiem wnętrze sklepu. Chwilę później wypatrzył Adaela. Postawny anioł był bardzo zajęty. Lawirował między wieszakami wokół młodego małżeństwa, od czasu do czasu ustawiając się strategicznie, żeby zasłonić przed wzrokiem Adama przechodzące przez sklep dziewczyny. Najwyraźniej porzucił zasadę, która nakazywała mu nie wtrącać się w wolne wybory jego podopiecznego. Teraz dwoił się i troił, żeby Anetka pozostała jedyną atrakcyjną kobietą w polu widzenia Adama.

– Robimy, co tylko się da. – Anielica potwierdziła intuicję Zanaela. – Razem z Adaelem odwaliliśmy kupę roboty przy tym małżeństwie. Chyba nie chcecie...

– Nie, przechodziliśmy tędy przypadkiem – uspokoił ją Zanael. Aniela spojrzała na niego ponownie, tym razem z ostrożną sympatią.

– Nie zamierzamy się witać z Adamem – dodał Zanael. – Właściwie to lecimy na pociąg.

– O, to w porządku. – Anielica odetchnęła z ulgą. – Wiesz, to były strasznie trudne chwile, kiedy twoja podopieczna zaczęła kręcić z Adamem. Anetę dużo kosztowało, żeby mu wszystko wybaczyć. Wiesz, że znają się od dziecka? Nie chciałabym, żeby znowu przez to przechodzili.

– Spokojnie, nic takiego się nie stanie. – Zanael uznał, że nie jest to właściwa okazja, żeby wyjaśniać, jak cała sytuacja wyglądała od strony Zuzanny. Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Rzucił ostatecznie spojrzenie do wnętrza sklepu. Miał ochotę pomachać Adaelowi, ale anioł był zbyt zajęty. Anetka właśnie maszerowała w stronę przebieralni, prowadząc przed sobą wózek, a Adam podążał za nią, niosąc naręcze podobnych sukienek. Niespodziewanie dla samego siebie Zanael wyszczerzył się w uśmiechu. Tych dwoje stanowiło zgodną parę. Aniela spojrzała na niego podejrzliwie.

– Miło było cię poznać, ale muszę już lecieć. – Zanael uniósł dłoń w geście

pożegnania. Zuza zdążyła go wyprzedzić. Maszerowała energicznie, całkowicie pochłonięta czekającym ją spotkaniem z przyjaciółmi i doskonale nieświadoma, że o kilka metrów rozminęła się z mężczyzną, który rok wcześniej był dla niej całym światem – chociaż może trafniej byłoby powiedzieć, że zasłaniał jej cały świat.

Fundacja „Szczęśliwy Mruczek” przeżywała chwile rozkwitu, dlatego na spotkanie świąteczne Ania zarezerwowała całą salę w restauracji. Postarała się też o wystrój: balony w kształcie kotów unosiły się pod ścianami, wzdłuż okien zawieszono kolorowe lampki, a stoły przyozdobiono świątecznymi stroikami. Niewiele brakowało, a znalazłaby się na nich też kocia sierść, ponieważ większa część prac nad dekoracjami miała miejsce w domu Izabeli. Pani prezes fundacji znów przefarbowwała włosy, tym razem na klasyczny blond, i wbiła się w czerwoną sukienkę. Podobnie świąteczny strój wybrała Helenka, decydując się na czerwoną spódnicę i zielony sweter z broszką w kształcie bombki. Sama Anka witała gości ubrana w mikołajową czapkę, wzbożoną o kocie uszka.

Część oficjalna tym razem nie trwała długo. Ciotka Izabela pogratulowała wszystkim zebranym ich wkładu w pracę fundacji i wyliczyła, jak wiele udało im się zdziałać dzięki hojnym datkom. Zarumieniła się lekko, wymieniając nazwisko głównego sponsora, pana Ryszarda, który przysłuchiwał jej się cały czas, stojąc skromnie pod ścianą. Przemówienie zilustrował pokaz slajdów. Zebrani mogli zobaczyć podopiecznych „Szczęśliwego Mruczka”, wylegających się na nowych kocykach i wcinających kupioną za ich pieniądze karmę. Nie zabrakło też fotografii przedstawiających adoptowane w tym roku kociaki w ich nowych domach, z dumnymi właścicielami.

Obserwując pokaz, który sama przygotowała, Anka wciąż nie mogła uwierzyć, jak wiele zdziałali. Pomyśleć, że pół roku temu uważała cały ten pomysł za absurdalną fantazję starszej pani! Trudno było jej się do tego przyznać przed samą sobą, ale pamiętała, że początkowo zgodziła się pomóc tylko dlatego, że sytuacja w domu Izabeli zaczynała się robić niezręczna. Ciotka Zuzy zaoferowała im gościnę i nie wypadało odmówić jej pomocy, nawet jeśli miałyby ona polegać na chodzeniu po domach i zawracaniu głowy sąsiadom. Tymczasem wariactwa starszej pani przerodziły się w poważną działalność.

Anka oderwała wzrok od slajdów, żeby rozejrzeć się po sali. Zebrani goście siedzieli przy stołach; niekórzy już dyskretnie napoczęli przeznaczone na poczęstunek ciastka. Przyszło ze dwadzieścia osób związanych bezpośrednio z fundacją i dwa razy tylu sympatyków. W domach u większości z nich wisiał już koci kalendarz na nowy rok, niektórzy zdecydowali się nawet adoptować kota z bogatej kolekcji pozostających pod opieką fundacji czworonogów. Wśród zebranych Anka dostrzegła Matyldę i Wojciecha. Odkąd się zaręczyli, wyglądali na jeszcze bardziej zakochanych. Siedzieli blisko, skoncentrowani na sobie. Od czasu

do czasu któreś z nich podnosiło wzrok, żeby posłać drugiemu długie, zachwycone spojrzenie. Ale Ankę najbardziej zainteresowało coś innego: na kolanach Wojciecha spoczywał egzemplarz albumu z fotografiami Michała i wydawca przeglądał go z zamyśloną miną, najwyraźniej zainteresowany zdjęciami bardziej niż pokazem slajdów – chociaż daleko mniej niż Matyldą. Anka nie miała pojęcia, kto dał Wojtkowi ten album. Na pewno ona tego nie zrobiła, a Michał Wojtka ledwo znał. Matylda? Ciotka Izabela? Helenka? A może Zuza? Ta ostatnia chyba nie, bo przyjechała spóźniona.

Ania pokręciła głową, stwierdzając, że musi później podpytać znajomych, po czym natychmiast o tym zapomniała, pochłonięta nową kwestią: czyżby Wojciech zastanawiał się nad wydaniem ich albumu? Mężczyzna marszczył znacząco brew i wymieniał półgłosem jakieś uwagi ze swoją narzeczoną, i Anka pożałowała, że nie dysponuje szpiegowskim podsłuchem albo przynajmniej rozciągliwymi gumowymi uszami.

Niewidzialni goście również przybyli tłumnie; wśród zebranych nie zabrakło Tadaela w jego nieodłącznym berecie i zaganianego Ryszaela. Opiekun Ryszarda wyjątkowo nie pracował, przestępował jednak z nogi na nogę, nieprzyzwyczajony do tego, by przez dłuższą chwilę stać spokojnie. Aniołowie zajęli dla siebie pustą przestrzeń z tyłu sali. Zbliżało się Boże Narodzenie, dlatego też postanowili wykorzystać spotkanie „Szczęśliwego Mruczka”, żeby złożyć sobie najlepsze życzenia duchowych wzruszeń i pociechy z powierzonych im dusz. Wykorzystali również okazję do obdarowania się prezentami. W większości były to małe drobiazgi, często duchowej natury, jak porcja dobrego humoru albo duża dawka cierpliwości. Ale nie tylko. Izabiel włożył dużo pracy w przygotowanie dla wszystkich stroików na stół, bardzo podobnych do tych, które wykonała Anka. Podobieństwo było nieprzypadkowe: kupidynek pilnie obserwował dyrektora artystycznego fundacji przy pracy i w miarę możliwości skopiował wykonane przez dziewczynę wzory, używając podobnych materiałów. Po wręczeniu stroików nastąpiła krótka chwila konsternacji, podczas której aniołowie przyglądali się filigranowym konstrukcjom z gałązek, bombek i wstążki, a Izabiel z wypisanym na twarzy oczekiwaniem przyglądał się aniołom. W końcu Elechiel pierwszy się znalazł i ku wielkiej radości kupidyńka wplótł otrzymany stroik w długą siwą brodę.

– No, no – powiedział. Chyba były to pierwsze słowa, które zebrani usłyszeli z ust starego anioła, o ile „no,no” można uznać za wypowiedź. Elechielowi udało się w tych dwóch dźwiękach zawrzeć podziw dla pracy Izabiela, zachwyt nad wykonaniem stroika, a nawet sugestię, że chociaż żyje już bardzo długo, to nie wie, jak dotąd mógł się obyć bez tak pięknej i praktycznej rzeczy. Zachęceni jego przykładem aniołowie przymocowali swoje prezenty do aureoli, a Michaela



wplotła świerkowe gałązki we włosy, tak że błyszcząca bombka zwisała jej tuż nad uchem.

– Ja też coś przyniosłam – oznajmiła anielica. Uśmiechając się lekko, podchodziła do każdego po kolei, wręczając aniołom własnoręcznie wykonane pierniczki, każdemu po jednym. Annael o mało nie zemdlał, gdy na jego dłoni wylądowało piernikowe serce, ozdobione błękitnym lukrem. Wzdłuż krawędzi ciastka biegł wzorek z białej posypki. Przez dłuższą chwilę Annael szukał odpowiednich słów podziękowania – jak miał powiedzieć anielicy, że od początku odwzajemnia jej uczucie? – Michaela jednak zdążyła już podejść do Rianzaela. Dopiero wtedy romantyczny anioł zdał sobie sprawę, że wszyscy wokół dostali identyczne ciastka, wykonane przy użyciu tej samej serduszkowej foremki. Ale z drugiej strony – pocieszał się, podczas gdy jego galopujące serce zwalniało do zwyczajnego rytmu – to nie umniejsza w niczym wagi jego prezentu. Najwidoczniej anielica naprawdę polubiła ich wszystkich. Może nie chciała nikogo wyróżniać? Annael nie mógł jednak przemyśleć tej sprawy do końca, ponieważ Wonsael wybrał ten moment, żeby odczytać z kartki swoje starannie skomponowane życzenia. Opiekun duchowy wydawcy i wydawnictwa Książka i Myśl w obliczu ogromu pracy chwilowo zarzucił pisanie własnej powieści, wyraźnie jednak czuł potrzebę zabawy słowem i radość komponowania złożonych zdań, dlatego też jego bożonarodzeniowe przemówienie zajmowało trzy kartki gęsto zapisanego rękopisu. Na koniec anioł uklonił się i wręczył wszystkim prezenty: przyniósł ze sobą osiem wspaniałych skórzanych teczek na dokumenty. Bliźniaczo podobne do ulubionej teczki Wonsaela, były bardzo praktyczne, mieszcząc wewnątrz specjalne przegródki na ważne papiery, kieszonkę na pieczątki, a nawet kieszeń na zapasową parę ciepłych skarpet. Podczas gdy po drugiej stronie sali pokaz slajdów dobiegł końca i sympatycy „Szczęśliwego Mruczka” zajęli się konsumpcją, aniołowie stali w kole, trzymając swoje identyczne teczki: po lewej stronie Annaela stał Zanael, obok niego Michaela i Tadael, który z teczką i w berecie nadal wyglądał jak Balzac, tyle że uwspółcześniony; obok niego siwobrody Elechiel, dalej Rianzael, Matiel i Izabiel, który właśnie odkrył, że może wleźć do swojej nowej teczki na dokumenty. Na lewo od Izabiela znajdował się Annael i tym samym anielski okrąg się domykał.

## **I ZNOWU ZIMA**

## **ROZDZIAŁ 67**

– Właściwie nie rozumiem, czemu służą te coroczne raporty – stwierdził Annael, poprawiając aureolę. Aniołowie siedzieli na schodach prowadzących do bram Raju. Był trzydziesty pierwszy grudnia, wczesny świt. Wszyscy trzej mieli już za sobą złożenie corocznej relacji z pracy na Ziemi, ale nie spieszyli się z powrotem. Zajęli miejsca na najniższym stopniu schodów i spoglądali w dół, na chmury przepływające nad Warszawą. I stąd było widać, że na dole jest piękny, zimowy dzień. Śnieg, który padał całą noc, przykrywał jeszcze większość chodników i mniejszych uliczek. W polu widzenia aniołów przemykali nieliczni przechodnie. O tej porze miasto wydawało się opanowane przez ptaki: wrony, kawki i gołębie spacerujące śmiało po ulicach i trawnikach.

– Był ze mnie bardzo zadowolony – przyznał Matiel. – Docenia moją pracę i starania.

– Usłyszałem to samo, może w nieco innych słowach – dorzucił Zanael. – Podobno wyjątkowo dobrze się spisałem.

– I ja jestem wspaniałym stróżem – dodał Annael z zadowoleniem. – Ale, o ile pamiętam – dodał po chwili, nieco zafrasowany – w zeszłym roku usłyszałem od Niego dokładnie to samo.

– To prawda, mnie też chwalił – przypomniał sobie Zanael. – A tak z perspektywy czasu widzę, że sam wcale bym sobie tak nie wieszował. Nie w zeszłym roku, kiedy Zuzanna miała klapki na oczach i szykowałą się do ślubu z Adamem.

– Anka robiła wtedy karierę i romansowała z szefem – dorzucił Annael, wzdrygając się.

– A Matylda? – Matiel urwał i zrobił minę sugerującą, że nawet nie chce sobie przypominać, z jakim bagażem jego podopieczna wkraczała w nowy rok. – Nie macie wrażenia – dodał za to – że On po prostu zawsze nas chwali? Od samego początku?

Po chwili zastanowienia aniołowie zgodnie pokiwali głowami.

– To prawda – przyznał Zanael. – Zresztą, to mało powiedziane. Ja czułem, że On bardzo mnie kocha i dlatego cieszy się z tego, co robię. Docenia wszystkie starania. Ale nawet jak nic nie robię, to kocha mnie dalej, tylko za to, że istnieję.

– Od razu chce się energiczniej działać po takim spotkaniu, prawda? – zapalił się Matiel. – Chociaż czasem szkoda, że nie dostajemy jakichś wskazówek. Ja na przykład chciałbym wiedzieć, jak poprowadzić Matyldę do ślubu... Przecież nie chodzi tylko o to, żeby żadne z nich nie uciekło sprzed ołtarza, prawda? Jest tyle spraw, które trzeba dobrze przemyśleć, przedyskutować, różne potencjalne problemy... Ona jeszcze nigdy nie była żoną, skąd więc mamy to umieć? – Rozłożył bezradnie skrzydła. – Poza tym mam problem z Wonsaelem. Naprawdę chciałbym wiedzieć, co zrobić, żeby Wonsael był mniej męczący – dodał z westchnieniem. – Myślicie, że jego też pochwalił?

Pozostali wzruszyli ramionami.

– Pewnie tak – odparł Annael. – On bardzo kocha wszystkich, to i Wonsaela. Pamiętajcie, że jego też stworzył. Pewnie nawet wymyślił te wąsy. Mam tylko nadzieję, że nie zachęcał go do pisania. Jeśli o mnie chodzi, też bym czasem chciał usłyszeć jakąś wskazówkę. Mógłby mnie nawet zbesztać! – dodał hardo. – Dzięki temu wiedziałbym, jakie popełniłem błędy.

– Ale przecież to wiesz. – Zanael poklepał go po ramieniu. – Sami zdajemy sobie sprawę z naszych błędów, prędzej czy później.

– Zwykle później – wtrącił Annael, ale drugi anioł nie pozwolił sobie przerwać.

– A może właśnie o to chodzi? – mówił w natchnieniu. – On nie musi nas strofować, wystarczy, że spojrzy w naszą stronę – wiecie, jak to jest – i od razu chce się bardziej starać. I jakoś tak lepiej wiadomo, co trzeba robić. Może nie wszystko od razu, ale wystarczająco na początek.

– Tak jest! – Matiel podniósł pięść do góry w tryumfalnym geście. Przelatujący w pobliżu starszy anioł, który zwykle otaczał opieką biskupów i arcybiskupów, zmarszczył brwi, ale potem rozpogodził się, zdając sobie sprawę, że to znów młodzi hałasują.

– Tak sobie myślę – kontynuował Zanael – że gdyby ludzie mieli taką możliwość, spotykać się z Nim twarzą w twarz, też stawaliby się coraz lepsi. I wiedzieliby, co robić... Tak po prostu. – Rozłożył ręce, nie wiedząc, jak ogarnąć własne myśli. Po namyśle rozpostarł również skrzydła.

– Chodzi o tę Miłość – odpowiedział Matiel, mocno akcentując to ważne słowo. – To ona cię uskrzydla. O, w ten sposób! – Również rozłożył skrzydła, po czym, jakby tego było mało, zaczął nimi energicznie machać. Pozostali aniołowie odsunęli się, spłoszeni gwałtownym podmuchem powietrza.

Tymczasem daleko w dole zaczęły otwierać się drzwi bloków i opatuleni w kurtki zaspani ludzie wyruszyli na miasto. Zanael wypatrzył w dole ojca Zuzanny, który wstał pierwszy i wyruszył na poranny spacer z Rastrem.

– Szkoda, że nasze dziewczyny nie mogą przylecieć tutaj z nami na coroczny raport i mało wiedzą o tym, jak to wszystko wygląda u nas, na górze... – podrzucił Annael po dłuższej chwili.

– O, to by nam ułatwiło pracę! – Matiel aż się rozpromienił. – Tylko, no tak, nie można tego zrobić – przypomniał sobie po chwili.

– A gdybyśmy spróbowali jednak coś im przekazać? – odpowiedział Zanael. – Nie wiem nawet, czy to nie jest najważniejsze. Nie pamiętacie, czy mieliśmy to na szkoleniu?

Jego koledzy, zafrasowani, skierowali wzrok na własne stopy, dyndające wysoko ponad miastem. Jak by to wyglądało, gdyby dziewczyny mogły usiąść

razem z nimi na ostatnim stopniu rajszych schodów? Co można im opowiedzieć – i w jaki sposób? W końcu jednak Matiel spojrzał na resztę ekipy i łobuzersko się uśmiechnął.

– Wiecie co, chłopaki? Myślę, że już wiemy, jaki będzie nasz plan na następny rok.

– Łatwo nie będzie – westchnął Annael, wyrwany z zamyślenia. – Bo czy one w nas w ogóle wierzą?

– No a jak! – Matiel wyprężył pierś. – Chyba nie myślą, że same z siebie tyle osiągnęły przez ten rok? Muszą wiedzieć, że ktoś się nimi opiekował przez cały czas!

– No właśnie nie byłbym taki pewien... – Zanael się zadumał. – Przecież nas nie widać, a jak czegoś nie widać, to łatwo przegapić...

– Oj tam! – Matiel machnął ręką. Spodobało mu się ich postanowienie na nowy rok i nie uważał, żeby należało zaczynać od wyszukiwania trudności. A tymczasem mieli jeszcze przed sobą całą sylwestrową noc.

– Co wy na to, żeby zmontować jakieś anielskie fajerwerki na wieczór? – zapytał, zmieniając temat. – Nikt nie zauważy, jak dorzucimy coś własnego do dzisiejszego pokazu. On na pewno nie miałby nic przeciwko.

– Myślę, że nawet Mu się spodoba – Zanael odwzajemnił uśmiech.

Zuzanna oparła się o parapet i omiotła wzrokiem wypełniony, żeby nie powiedzieć: przepełniony ludźmi salon. Również w tym roku urządziła zabawę sylwestrową u siebie – chyba powoli zaczynało się to robić tradycją. Podobnie jak wyprawa państwa Jezierskich na imprezę organizowaną przez klub motocyklowy, chociaż pani Anita twierdziła, że idą tam z Zygmuntem ostatni raz. Ale o ile Zuza знаła swoją mamę, to były to czcze pogrózki. Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie i odmachnęła Ance, która zachęcała ją, by przyłączyła się do grupy. Potrzebowała jeszcze paru minut dla siebie, po prostu po to, by nacieszyć się chwilą. Jeszcze kilka dni temu obawiała się, że czeka ją umiarkowanie udany wieczór. Matylda zapowiedziała, że przyjdzie razem z narzeczonym, a Anna zapytała, czy może przyprowadzić Michała. Zuza obawiała się, że Nowy Rok powita w towarzystwie dwóch zajętych sobą par. Tymczasem Michał zabrał ze sobą kolegów i, jakby ten gest zwalniał go z towarzyskich obowiązków, całkowicie poświęcił się robieniu zdjęć. Aktualnie chłopak stał boso na stole i fotografował Anię, tańczącą na środku salonu. Bez wątpienia wyglądała malowniczo, ubrana w sięgającą do kolan elegancką sukienkę w kolorze strażackiej czerwieni. Włosy, które przez ostatnie miesiące zdążyły urosnąć, podpięła spinkami, ale fryzura okazała się nietrwała i jasne kosmyki rozwiały się w tańcu. Zuzanna była pewna, że fotograf nie poprosił o pozwolenie, zanim wszedł na stół, ale nie potrafiła się na niego gniewać, podobnie jak nie miała mu za złe, że zabrał ze sobą

niespodziewanych gości, w liczbie aż trzech artystów. Zwłaszcza że jego koledzy potrafili się znaleźć: oprócz zwyczajowej flaszki na imprezę przynieśli też bukiet kwiatów dla gospodyni i kiełbasę dla psa. Dlatego Zuza uśmiechała się pod nosem, obserwując podrygujących wokół Ani mężczyzn i fotografa balansującego na stole. Michał sprawiał wrażenie człowieka całkowicie oddanego swojej pasji i Zuzanna miała poczucie, że dobrze to rozumie. Wydało jej się, że rozgryzła ekscentrycznego artystę – jednak nie przyszedł na imprezę dla Anki, chociaż po tych wszystkich wspólnych wyprawach musieli się do siebie zbliżyć, nie przyszedł nawet po to, żeby się bawić czy wygłupiać z kolegami. Interesowała go okazja do zrobienia zdjęć i jeśli w tym celu będzie musiał ze stołu wspiąć się na żyrandol albo wręcz na sufit, to właśnie to robi, nie pytając nikogo o zgodę.

– No chodź, podumasz sobie potem! – Anka w końcu podeszła i pociągnęła Zuzannę za rękaw tuniki. – O czym tak myślisz?

Gospodyni pokręciła głową, nie wiedząc, jak w jednym zdaniu zmieścić wszystkie swoje wrażenia.

– Wiedziałaś, że Michał zabiera ze sobą kolegów? – zapytała za to, korzystając z tego, że głośna muzyka zagłusza ich rozmowę.

Anka skrzywiła się i pokręciła głową.

– Przepraszam, nie miałam o niczym pojęcia – odszepnęła. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzają za bardzo.

– Nie, skądże! Bardzo podobało mi się, kiedy ten artysta od kolarzy tłumaczył, że sztuka nie istnieje. No i fajnie poznać ludzi, którzy już studiowali malarstwo.

Anka spojrzała na przyjaciółkę z ulgą.

– Wiesz – szepnęła konspiracyjnie – czasem mi się wydaje, że dobrze znam Michała, ale potem wyskakuje z czymś albo mówi coś, czego nigdy bym się nie spodziewała.

Przesunęły się w stronę kuchni, na chwilę odcinając od zebranego w salonie towarzystwa.

– A czy między wami, no wiesz... – Zuza spojrzała na nią znacząco.

– No właśnie, też miałam zapytać! – W tej samej chwili obok nich pojawiła się Matylda, która jakimś kobiecym szóstym zmysłem wyczuła, że nadchodzi godzina zwierzeń i na chwilę wyrwała się z objęć Wojciecha. Niestety, Ania nie miała dla nich żadnej interesującej wiadomości.

– Raczej nie – rzuciła neutralnym tonem. – Zrealizowaliśmy razem świetny projekt. Planujemy następne. Ale... Nie, wiecie, Michał chyba nie jest facetem, który angażuje się emocjonalnie w cokolwiek poza pracą.

– Tacy są najgorsi. – Matylda zrobiła mądrą minę. – Jeśli się kiedyś zaangażuje, to już na zabój.

Anka wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że jej to nie dotyczy.

– A swoją drogą, Wojtek wyda ten wasz album z fotografiami. Może już na wiosnę. Ale ciii, ja nic nie mówiłam. – Matylda mrugnęła. – Ani słowa.

– Słuchajcie... – Zuzannie jeszcze jedna myśl nie dawała spokoju. Do północy zostało może pół godziny i rok temu o tej porze rozprawiły nad planami na następne miesiące. Nie do końca potrafiła sobie przypomnieć, o czym wtedy rozmawiały, poza tym, że były bardzo rozbawione i że nie dawał jej spokoju brak telefonu od Adama. Ale dlaczego sama do niego nie zadzwoniła? Czy naprawdę mieli układ, w którym to on decydował, kiedy się kontaktują? Już nawet nie pamiętała zbyt dobrze. Lepiej utkwiał jej w pamięci entuzjazm Matyldy, która marzyła o wydaniu książki. Ale co planowała Anka? Na pewno nie obiecywała sobie, że zostanie dyrektorem artystycznym w „Szczęśliwym Mruczku” i główną muzą obiecującego fotografa. Zuza nie zdążyła jednak podzielić się tym wszystkim z przyjaciółkami, ponieważ dołączył do nich wiedziony tęsknotą Wojtek, a w ślad za nim cała reszta gości i po chwili wokół dziewczyn na nowo rozgorzała dyskusja o tym, dlaczego sztuka nie istnieje. Paradoksalnie, to stwierdzenie z wielką mocą wygłaszał uznany w środowisku autor kolaży, dla którego wszelkie działanie artystyczne stanowiło, jak to określał, „powtórzenie”. Jego głównym oponentem był Wojtek, przekonany, że dysponuje całkiem dobrą definicją sztuki. Narzeczony Matyldy dla uzasadnienia swoich poglądów przywoływał malarstwo renesansowe, a kiedy okazało się to niewystarczające, by przekonać artystę, sięgnął po przykłady ze sztuki Aborygenów. Jego przemowa niebezpiecznie zbliżała się do konkluzji, że kolaże faktycznie nie są sztuką, co nie przeczy przecież jeszcze jej istnieniu, ale szczęśliwie zostało tylko parę minut do północy i tylko dzięki temu goście nie zdążyli naprawdę się pokłócić.

– Sztuka nie istnieje – powtórzył jeszcze raz swoje artysta od kolaży, kiedy wychodzili już na balkon. – Żaden Leonardo ani Rembrandt, im tylko się zdawało, że tworzą sztukę, ale jej wcale nie ma, my też poruszamy się w pustce, powtarzamy wzorce, kompilujemy...

– Gdybyś mógł – przerwała mu Zuzanna, wciskając do rąk artysty butelkę szampana i korkociąg. – Potrzebujemy mężczyzny do otworzenia butelki. I drugiego, żeby przynieść z kuchni kieliszki – dorzuciła, ciągnąc Wojciecha w przeciwną stronę. – Tylko szybko, bo przegapimy fajerwerki!

Wybiła północ. Zuza nie oglądała zbyt długo pokazu sztucznych ogni – Raster potrzebował jej bardziej niż goście na balkonie. O dziwo, artysta od kolaży okazał się dżentelmenem i postanowił jej towarzyszyć w uspokajaniu psa, chociaż Zuza nie była do końca pewna, czy nie szukał słuchacza, któremu mógłby dalej wykładać swoją teorię. Zuza miała wrażenie, że jego przemyślenia niezbyt jej odpowiadają, ale kobieca natura skłaniała ją do poszukiwania zgody, dlatego

w przeciągu kilku minut, poświęconych głaskaniu psa, udało im się ustalić, że oboje rozumieją sztukę jako odbicie rzeczywistości. Potem Zuza próbowała wyjaśnić, że rzeczywistość, którą ona usiłuje namalować, to przede wszystkim ulotne wrażenia i uczucia, i wiele innych rzeczy, których nie widać, ale chyba nie potrafiła dobrze ująć tej myśli w słowa, bo chłopak kręcił głową i powtarzał swoje. Dopiero kwadrans później, gdy wszyscy znów zebrali się w salonie, Zuzanna zdała sobie sprawę, że w tym całym zamieszaniu nie zdążyła przemyśleć kwestii postanowień na nowy rok.

Stojąca na balkonie Anka też zapomniała o noworocznych postanowieniach, chociaż jeszcze parę godzin wcześniej zastanawiała się, czy nie powinna dokończyć zarzuconego jakiś czas temu internetowego kursu księgowości i wrócić na poważnie do nauki języków obcych. Wojtek wręczył jej kieliszek i wszyscy wzniesli toast, na chwilę przed tym, zanim Zuza pobiegła zaopiekować się psem. A potem rozpoczął się pokaz fajerwerków, jeszcze wspanialszy niż w zeszłym roku. Ania poszukała wzrokiem Michała, ale fotograf oglądał sztuczne ognie przez obiektyw aparatu rozstawionego na statywie. Jego zapomniany kieliszek z szampanem stał na parapecie. Po chwili, jakby czując na sobie wzrok Anki, skierował obiektyw w jej stronę.

– Super wyjdą – rzucił po chwili, spoglądając na wyświetlacz. – Możesz znowu zapatrzeć się na niebo?

Anka posłusznie odwróciła wzrok. Zadane przez Zuzę pytanie, jak to jest z nią i z Michałem, nie dawało jej spokoju i trochę miała to sobie za złe. Nie czuła, żeby przez ostatnie miesiące naprawdę poznała skrytego artystę, chociaż stał się jedną z najbliższych jej osób. Jeżeli już musiała określić jakoś ich relację, powiedziałyby, że się przyjaźnią. Ale ten zwrot niczego nie wyjaśniał. Dlaczego w języku jest tak mało odpowiednich słów? – pomyślała. Czuła się zmuszona wybierać pomiędzy „miłością” a „sympatią”, „fascynacją”, „zauroczeniem” lub „koleżeństwem”... A to wszystko było nie to; słowa, które znała, mówiły za mało lub za dużo. Dopiero by było, gdyby na pytania znajomych odpowiadała, że jest muzą Michała! A to określenie wydawało jej się najbliższe prawdy. Tylko kim jest Michał dla niej? Podskórnie czuła, że sama komplikuje sprawę, próbując włożyć to, co przeżywa, do bezpiecznej, dobrze opisanej przegródki. Dlatego postanowiła nie myśleć za dużo i skoncentrować się na fajerwerkach. A w tym roku naprawdę było co oglądać.

– Zobaczcie! – wykrzyknęła, zapominając, że obiecała ładnie pozować. – Jakie te fajerwerki są dziwne!

Niebo przecięło kilka jasnych iskier. Wzleciały wyżej niż powinny, gubiąc po drodze kolorowe rozbłyski, tak że zebrani na balkonie ludzie mieli wrażenie, że patrzą na nową galaktykę, którą ktoś nagle narysował na niebie. Michał pracował gorączkowo, próbując utrwalić ulotne zjawisko. Tymczasem w niebo wzniosły się



kolejne iskry, pozostawiając za sobą chmurę świetlistego pyłu.

– Nie umiesz. – Kilka pięter wyżej, na dachu bloku, Zanael karcił Izabiela. – Miałaś najpierw przeczytać instrukcję.

Kupidynek spuścił wzrok. Nie dało się ukryć: starsi koledzy obiecali mu, że będzie mógł puścić anielskie ognie pod tym jednym warunkiem. Instrukcja spoczywała chyba w jego teczce na ważne dokumenty, otrzymanej przed świętami od Wonsaela. Ale teczka była trochę za duża, żeby taki mały anioł podróżował z nią na co dzień.

– On pewnie nie umie czytać. – Annael rozgryzł go pierwszy. – Daj mi to opakowanie, ja to zrobię.

Matylda obserwowała pokaz ogni wtulona w narzeczonego. To był ich pierwszy wspólny sylwester, czas obietnic i przyrzeczeń. Dobra wróżba – następnym Nowy Rok powitają już jako małżeństwo. Z pewnym zaskoczeniem dziewczyna zdała sobie sprawę, że wspomina zarazem podobną i zupełnie niepodobną noc, rok temu, kiedy stały na balkonie we trójkę z przyjaciółkami, rozbawione, snując wielkie plany. W przeciwieństwie do pozostałych dziewczyn, Matylda potrafiła sobie przypomnieć niemal wszystkie szczegóły tamtej rozmowy. Rok temu to Zuzanna planowała wesele. Matylda nie liczyła na żadne romantyczne uniesienia; tym bardziej nie mogła się spodziewać miłości, która przerosła jej fantazje, spisane w niewydanej powieści. Gdyby miała napisać ją jeszcze raz – chociaż niczego takiego nie planowała, Boże broń! – już nie uczyniłaby głównym bohaterem szarmanckiego przystojniaka, opowiadającego okrągłymi zdaniemami o swoich uczuciach. Jej bohater miałby szlacheckie wąsy i osobowość, zaś główna bohaterka zamiast idealnych wymiarów zyskałaby poczucie humoru i grono bliskich przyjaciółek.

– Popatrz! – Poczula, jak Wojtek szturcha ją lekko, by skierować jej uwagę na niebo. Pośród innych fajerwerków w górę wznosiły się niezwykle, srebrne iskry. Po chwili rozbłysły jasnym światłem, przemieniając w pióropusze zaskakująco kolorowych światełek. I zamiast zgasnąć, jak zwykle fajerwerki, jeszcze przez chwilę wisiały na niebie.

– No. – Annael obserwował niebo z zadowoleniem, dopóki nie usłyszał za sobą krytycznego głosu Wonsaela.

– Też nie umiesz. – Anioł Wojciecha zgasił jego entuzjazm. – To są anielskie sztuczne ognie, miały się chyba ułożyć w jakiś napis, a nie w palmę.

– Niby jaki napis? „Anielskiego Nowego Roku”? – Annael pokazał mu język. W odpowiedzi Wonsael wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To było w instrukcji.

Spojrzeni wszyscy na Izabiela, który wycofał się za nogi Michaeli i zasłonił jej anielską szatą.

– To co? – zapytał Matiel. – Ostatnia próba? Może ja to zrobię.

Ostatnie fajerwerki rozbłysły gdy Zuzanna wróciła do zebranych na balkonie gości, przekonana, że pokaz już się skończył. Za nią dreptał cały czas niespokojny pies, a za psem – artysta od kolaży. Zuza oparła się o barierkę między Anią a zaskakująco niskim malarzem, którego Michał przyprowadził ze sobą. Podobno ukończył już studia i początkująca artystka miała do niego mnóstwo pytań. Zdziwiła się, widząc, że na niebie rozkwitają kolejne fajerwerki. Najbardziej zaskakujące było to, że rozbłyskiwały bezgłośnie, rozpraszając się na miliardy jasnych iskier, i Raster, zamiast uciekać z podkulonym ogonem, najwyraźniej obserwował je z prawie ludzkim zachwytem.

– Coś wam to przypomina? – zagadnął niski malarz. – Bo ja mam jakieś skojarzenia...

– Ze skrzydłami – odpowiedziała natychmiast Zuza. – Te fajerwerki wyglądają, jakby rozkładały skrzydła.

– To suknia – odpowiedziała w tej samej chwili Matylda. – Ja widzę suknię z trenem.

– Morska piana. – Anka przez chwilę nie była do końca pewna. – Kiedy są fale przyboju i woda się rozpryskuje. Od razu pomyślałam o dalekich podróżach.

– To dziwne – powiedział Michał, na chwilę opuszczając aparat. – Bo ja wyraźnie widziałem otwartą książkę. Taki duży album. – Zaciekawiony, przejrzał zrobione przed chwilą zdjęcia. – O, zaraz wam pokażę... A nie, jednak nie – zmarszczył czoło – Nic się nie udało uchwycić. Na zdjęciu mam tylko czarne niebo.

– Może to była prawdziwa sztuka? – podrzuciła Zuza przekornie, spoglądając na artystę od kolaży. – Nieuchwytna i niemożliwa do zdefiniowania.

– A może wróżba? – Te słowa wyszeptał do siebie Wojtek, ale tak cicho, że nikt go nie usłyszał, nawet Matylda. Jemu samemu wydało się, że rozbłyskujące iskry układają się w zarys dwóch splecionych obrączek. Trochę nie dowierzał oczom i najwyraźniej pozostali także po chwili stracili pewność, że naprawdę widzieli coś niecodziennego. Koledzy Michała śmiali się, bo jeden z nich dostrzegł na niebie rozbłyski złotej, a drugi srebrnej farby, ale obaj poczuli się zainspirowani do czegoś wielkiego. Natomiast artysta od kolaży, który jeszcze przed chwilą gapił się w górę z otwartymi ustami, teraz upierał się, że nie widział niczego niezwykłego.

Czymkolwiek były, wrażeniem, wróżbą czy iluzją, obrazy rozmyły się, pozostawiając na niebie srebrne iskry, które lśniły jeszcze długo, podwajając liczbę

gwiazd, i zanim wrócili do przytulnego salonu, Wojciech zdążył pomyśleć o podróżach, podczas których gwiazdy wskazują drogę wędrowcom. Nie był pewien dlaczego, ale była to bardzo budująca myśl.

– No dobrze – powiedział Wonsael, prawie zadowolony. Nawet poklepał po głowie Izabiela. – Dalej nie mam pewności, czy to widowisko było zgodne z instrukcją. Ale chyba można je uznać.

Warszawa 2013–2016

## **SPIS TREŚCI**

### **ZIMA**

#### **ROZDZIAŁ 1**

#### **ROZDZIAŁ 2**

#### **ROZDZIAŁ 3**

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

**WIOSNA**

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

**LATO**

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

**JESIEŃ**

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

**I ZNOWU ZIMA**

ROZDZIAŁ 67